

KSIĘGA ŚWIATA.

KSIĘGA ŚWIATA.

WIADOMOŚCI

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH, HISTORII KRAJÓW I LUDÓW,

ŻYWOTY ZNAKOMITYCH LUDZI.

PODRÓŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, WÓD SŁYNNIEJSZYCH, ODKRYCIA I WYNAŁAZKI,

WAŻNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,

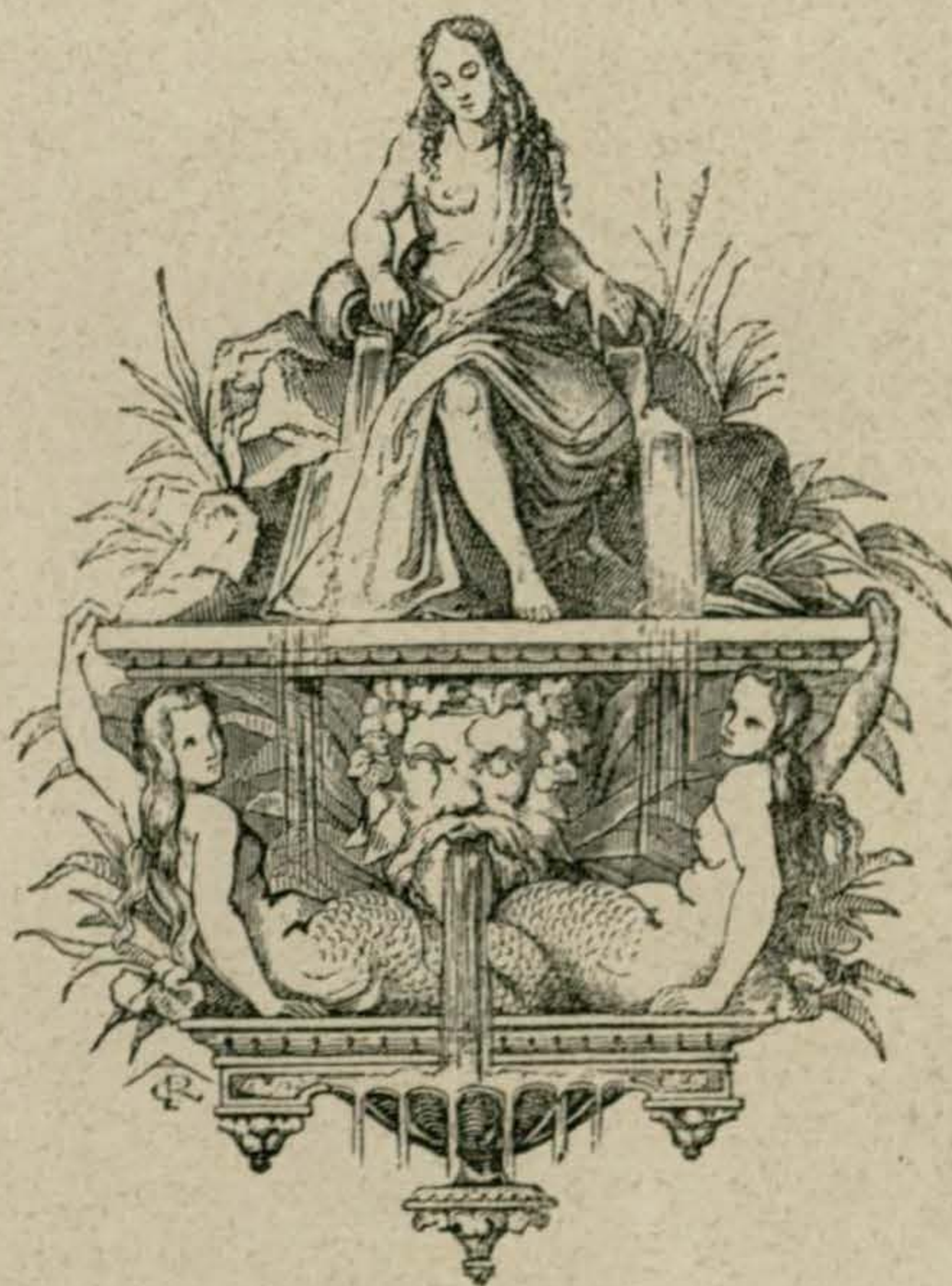
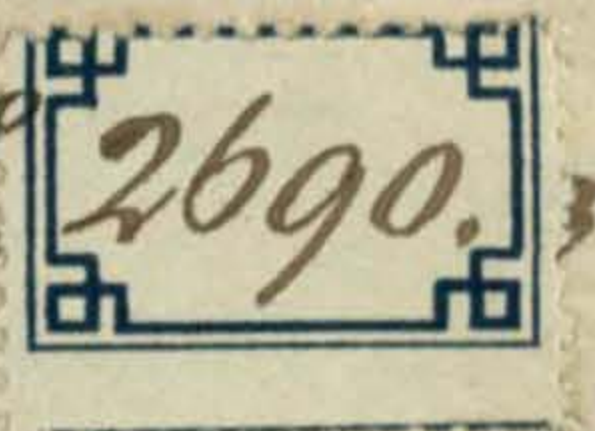
OBRAZY TOWARZYSKIE, STATYSTYCZNE, EKONOMICZNE,

i t. p.

Z RYCINAMI NA STALI CZARNEMI, KOLOROWANEMI, ORAZ DRZEWORYTAMI.



CZĘŚĆ DRUGA.



WARSZAWA.

NAKŁADEM S. H. MERZBACHA KSIĘGARZA

PRZY ULICY MIODOWEJ N. 486.

1856.

2600

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby
exemplarzy.

Warszawa dnia 3 (15) Grudnia 1856 r.

Starszy Cenzor, Radca Honorowy,
T. Hertz.

w Drukarni J. Jaworskiego.



Gerson rysował

malogrąfkę Baranów 1812.

KOŚCIÓŁ ŚWIĘTO-KRZYZYŻKI

Ceglinski lit.

GÓRA ŚWIĘTOKRZYŻKA.

USTĘP Z NOTATEK PODRÓŻNYCH

OSKARA FLATT.

Tam się od wieków wznosi do połowy góry,
Gaj światła nieprzystępny, głuchy i ponury,
Tajemnym sam wierzchołek obrzędowi oddany
W migających płomieniach zwiędzały niebiany.
Tu Lelum i Polelum miewały świątynie,
Zabobon swe siedlisko, gody czarownice,
Póki ich nie zniszczyła ręka Bolesława,
Na gruzach bałwochwalstwa święte wznosząc prawa.
Tak tej ręce oświaty winniśmy nasiona,
Jakie się dobyć mogły z barbarzyństwa łona.

Prześliczny to był dzień sierpniowy, gdy koło południa opuszczał Kielce i ostatnie pożegnanie z podróżnego wózka znajomym i przyjaciółom zasyłał. Piękne Kielce z wabną zalotnością roztoczyły się za mną, kryjąc w coraz grubszej, mglistej osłonie wszystkie swoje uroki natury i wszystkie skarby sztuki. Sam z sobą zostałem, ale tak byłem zajęty wspomnieniem, tak myśl lubowała się ciągle wstecznym biegiem, że nie miałem nawet czasu obejrzeć się po okolicy, aż już Radlice minąłem. Odtąd uważniejszym już w koło siebie spoglądałem okiem, a choć nieraz jeszcze przypominała mi się Karczówka, katedra kielecka, dzieje biskupiego pałacu, lub też bogata w arcydzieła penzla rozgłośnie znana galeryja obrazów, — zwolna jednak terażniejszość odzyskiwała swe prawa, zwłaszcza też od chwili kiedy otaczająca mnie okolica przybierać zaczęła odrębny, charakterystyczny wyraz. Zaraz za Górnem, przed Bielinami jeszcze, oko oswajać się zaczyna z pasmem łysogórskim. Bujną zielenią i złotym kłosem falujące niwy piętrzą się ku wschodowi w szeroko rozsiadłe górzyste olbrzymy, a każdy z nich prawie dźwiga na barkach lesistą oponczę, a każda zielona, a każda innej barwy. I nie spływają się te barwy w jedną całość łagodnym cieniowaniem zieleni: śmiałym penzlem narzuca tu przyroda obok siebie kontrastowy kolor światła i cienia, według tego jak świerkiem, czy jodłą, dębem czy brzozą, olszą czy bukiem lesisty zawój utkać jej się podobało. Te góry, niby kwieciste, zieleniejące piramidy, brzeżą cały wschodni widnokrąg, w który wjeżdżasz niby do tajemniczej cudów krainy. Więc też cuda tu zaiste, w tej woni powietrza, w tej świeżości w koło rozlaniej: urok tych cudów oceni każdy, kto raz cho-

ciaż w wiosenny lub letni poranek odbył przechadzkę po ulicach Warszawy.

Wkrótce dzieliła się przedemną droga: na lewo wiodła do kościoła i klasztoru Ś. Krzyżkiego, na prawo do Nowej Słupi. Nie chciałem stracić potęgi pierwszego wrażenia. Obrąłem więc drugą z tych dróg: wiodła ona przez grzbiet Łysiej góry i obiecywała mi przedstawić Ś. Krzyż w całym majestacie, w całym uroku, jakim szeroko nad równinami opatowskiemi panuje.

Od chwili jak wjechałem w puszcze Ś. Krzyżką, poznałem dopiero do jakiego stopnia idealnej doskonałości może dojść nieprzebytość dróg naszych. Droga do Nowej Słupi kamienista, znurtowana korzeniami i wybojami, ma wprawdzie już w normalnym swoim stanie ustalone zaszczytne imię w bliższej i dalszej okolicy; ale wyobraźcie sobie tę drogę we dwa czy trzy dni po gwałtownym uraganie, który drzewa powalił i rozerwałszy goścień wijać się po grzbiecie Łysogórskim, szeroko utorowanym łożyskiem poniósł wody ulewne na okoliczne sioła. Gdyby nie obowiązki miłości chrześcijańskiej, pragnąłbym, dla uwydatnienia opisu, abyście wraz ze mną, kochani czytelnicy, doświadczyli tej kilkogodzinnej przejażdżki. A jednak nie czułem ja z razu znużenia, ani też zrażały mnie te lekkie niewygody. Zapomniałem nawet o nich zupełnie wobec myśli że jestem na Łysiej górze, że w koło mnie rozciąga się puszcza Świętokrzyżka, że te miejsca były świętością jeszcze dla zamierchłej w dziesięciu wiekach Sławiańszczyzny, że tu rozlegały się śpiewy na cześć Pośwista, tu czczono Lelum-Polelum... tu wreszcie, gdy przed promienistym światłem krzy-

za znikły złudne cienie Ładona, Marzanny, Światowida—obrał lud główne, ulubione siedlisko i stolicę czarów i czarownic. Magiczny urok wiał z każdego ziela i listka Łysėj góry—stała się ona sławiańskim Brokenem, a noc Ś. Jana Chrzciciela, przesilenia wiosenne i jesienne, uroczystą pamiątką tyśiąca legend zapisuje ludowa wiara w księdze podań swoich o popularnej Łysėj górze. Wśród ponurych cieniów puszczy i głuchėj do koła ciszy, odbrzmiewającėj tylko poważnym, pełnym szumem nieprzejrzanego lasu, zdało mi się co chwila widziéć to jakie bożyszczę pra-pra-ojców, to czarownice z jemiolą, to rozkwitającą paproć... Tam zdało mi się bieluchna postać mignęła wśród drzew, i dźwięczy mi w uchu dziewiczy jėj szept:

Czy cisza, czy burza,
Doliny i wzgórze
Przebiegam z tęsknotą.
U jakichże progów
Odpoczniesz sieroto?
Ni w ziemi ni w niebie
Pociechy dla ciebie:
Bo żal masz — do bogów!

To Tomira! a ot w ślad trąbki zda mi się Emyryk; smagła, udatna postać, zapal łowiecki tli w oku, a święty majestat na czole. Zbliża się... trzask! i rozwiane marzenia, i surowa rzeczywistość przedemną. Koło złamane, bryczka przewrócona, ja leżę na przesiąkłej ludowemi podaniami ziemi. Nie mały to kłopot, wśród lasu, w pół drogi, zdała od wsi, a tu słońce ku zachodowi. Posyłam tedy złorzeczącego woźnicę po pomoc, a sam na przewróconym wózku, jak Maryusz na gruzach Kartaginy, rozmyślać zaczynam nad swoim położeniem, które musiało być koniecznie figlem jakiejś Łysogórskiej Oready. Niewiele tu i na pomoc blizką liczyć można było, bo z ochoczėj gotowości do usług nie słyńą świętokrzyzcy wieśniacy. Nadciągnął wreszcie i mój woźnica z chłopkiem jakimś drzewo wożącym: z dziwną sztuką i misternością, godną wystawy powszechnėj, skrępowano i zesztukowano jakoś koło, i po półgodzinnym odpoczynku, znowu powoli i ostrożnie potoczyłem się trudną i skalistą dziś przeznaczeń moich drogą. Zpochmurniało mi jakoś w oczach—czysty pryzmat poezyi, przez jaki spoglądałem na górę Świętokrzyżką, zakopcił się sadzami niechęci i znużenia; w miejscu białoszatnej Tomiry przeświécała mi z poza każdego drzewa suchożyła postać czarownicy, z wklęsłym okiem i złośliwie przedrzeźniającemi

usty; szum lasu zdawał mi się szydzącym śmiechem... Trzy godziny już przeszło jestem w lesie, a tu o bożym świecie ani myśleć jeszcze: wózek coraz wolniej się toczy... zgubiłem wątek poetycznych marzeń. Zazdrościłem już czarownicy tėj wygodnej łopaty, jaką im niewybrédny gust ludu naszego ofiarował do nadpowietrznej podróży; tėj łopaty, na którą siadłszy leci czarownica gdzie zechce, niesiona potęgą zaklęcia:

Plot, nie plot, — wieś nie wieś,
Biesie nieś!

Zdaje mi się że gdyby Mefistofeles, za wybawienie mnie z tėj nieskończenie długiej i męczącej drogi, żądał odemnie podobnej jak od Twardowskiego nagrody, kto wie czybym mu jėj ochotczy nie przyrzekł. Ale bies się nie pokazał—odepchnąłem tėj pokusę i czystsza odetchnąłem myślą, z okiem nad szczyty drzew wzniesioném. Lekki brzeżek jasności zaświécił mi zdała, i wpatrzyłem się weń, i mimo wiedzy zamknęły się oczy... była to chwila spoczynku wzburzonych wrażeń... Nagły blask uderza me oczy, szybciej potoczył się wózek, otwieram oczy... i okrzyk zdumienia czy zachwytu wydarł się głośno z mych piersi.

Cudnyż bo boży świat roztaczał się przedemną. Spuszczałem się z góry, z czarnej otchłani gęstwiny leśnej w majową, kwiecistą kotlinę, wśród której wązkim smugiem, kościelną wieżycą uwieńczona, ciągnie się bielejąca na szarym tle zmierzchu osada: to *Nowa Słupia*. Słońce już zachodziło i z przeciwległego pasma gór utworzyło przesłaniczny, malowniczy krajobraz. Słupia już w mroku: cienie nocy rozwieszzone już nisko nad ziemią do połowy gór; wyżej mrok jeszcze nie sięga, rozplywa się w półświatle, a wierzchołki gór promienieją krasą ostatnich słonecznych promieni. Ta antyteza dnia i nocy, światła i cienia, to uplastycznienie tėj wiecznej walki dwóch żywiołów, tego wiecznego dualizmu, żyjącego od wieków w naturze i w stworzeniach—żywe uczynił na mnie wrażenie i z rzewną myślą zjeżdżałem do Słupi... Ale gdzież ten Święty Krzyż? Święty Krzyż, cel mojej pielgrzymki... gdzie on? odbrzmiewało w mój duszy wrzącym niepokojem, jak Bohdanowe: „Roma! Roma! gdzież ta Roma?”

Aż dopióro gdym wjeżdżał do Słupi i spojrział w górę, ostatni może, jedyny jeszcze promyk zegnającego nas do jutra słońca, dał mi odpowiedź, zabłysnąwszy świetnie przed okiem na kopule

święto-krzyżkiej. Za chwilę żaden już promyk światła nie rzucał disharmonii w cudną noc sierpniową, wzywającą do marzeń pod gwiaździsty swój namiot.

Zanocowałem w Słupi: małe to, ubogie miasteczko, zabudowane samemi prawie drewnianemi domami, kupiacemi się nad skromnym wężykiem Pokrzywianki. Starożytny, wcale dobrze utrzymany kościółek panuje nad cichém, rolniczém miasteczkiem, uroczym przytuloném do stóp opiekuńczej góry. Słupia nowa (tak zwana dla odróżnienia od wsi Stara Słupia, o ćwierć mili ztąd położonej), zawdzięcza byt swój jednemu z opatów benedyktyńskich Ś. Krzyża, i zwała się pierwotnie *Słup*. Jak jasne chwile dziejowych wspomnień, tak i koleje losowych nieszczęść dzieliła Słupia z klasztorem Ś. Krzyża, mając sama przez się pożyczane tylko w dziejach znaczenie, o tyle, o ile królowie polscy zatrzymywali się tu dla odbycia pielgrzymki do słynącego cudami klasztoru. Wyłącznie chrześcijańska ludność mieściła się niegdyś w Słupi; dzisiaj inaczej. Zaraz na wstępie do zajezdnej karczmy, w pośród rynku, powitał mnie tradycyjny arendarz i młoda żydóweczka, a ponieważ nie byłem wcale wymyślny w żądanych wygodach, nie znalazłem więc powodu złorzeczyć powolnemu rozwijaniu się u nas dogodności w zajazdach i hotelach prowincjonalnych; a może też obznajmienie się z hotelami warszawskimi nastroiło mnie do takiej wyrozumiałości.

I we śnie nie opuszczała mnie myśl o święto-krzyżkim klasztorze: wśród czarnénocy na szczycie góry widzę unoszące się niekształtne bałwany Pogody, Świstu i Poświstu; jasny promień słoneczny rozdziéra mgły ciemności, padają strwożone bałwany i wzniosła, majestatyczna postać rycerskiego męża na obalonych szczątkach utwierdza krzyż, z pod którego wyrasta świątynia pańska. Nie widzę oblicza, ale duch mój odgadł bijące pod zbroicą Chrobrego serce... Przerażliwy jakiś odgłos zmącił czystą melodyą dziękczynnego hymnu... Zbudziłem się—to kogut zwiastuje jutrznią. Żal mi było przerwanego widziadła, ale rad byłem zbudzeniu, bo jeszcze do świtu daleko, szara mgła zaległa dolinę i góry. Więc rączo naprzód!

Z poranną modlitwą na ustach i z młodzieńczo bijącym sercem przesunąłem się przez uśpione miasto, jak cień bez szelestu. Przy wstępie pod górą pierwszym przedmiotem jaki uderzył me oczy w pobliżu drogi, w pośrodku drzew, był kamienny

posąg w klęczącej postawie, mężczyzny czy kobiety, trudno to odgadnąć w starożytnym tym zażytku z dzieciństwa zaledwie wyglądającej sztuki. Lud okoliczny opowiada legendę o tej kobiecie, bo kobietą mieni ten posąg powszechny głos ludu (choć go niektórzy, przewodnicy nawet, Emerykiem nazywają). Ma to więc być posąg polskiej jakiejś Magdaleny, pięknej pokutnicy, która, dla zmazania ciężkich grzechów żywota, ślubowała wejść na kolanach do świętokrzyżkiego kościoła na błagalną modlitwę. Ale i tu znać duch był chętny, ale słabe ciało; niepodolały siły pokutnicy uczynionemu ślubowi—a może też wytrwania i silnego postanowienia nie stało: dość że Magdalena nasza obrała łatwiejszą, praktyczniejszą drogę pokuty: w miejscu dokąd dojść zdołała na klęczkach, wzniosła kamienny posąg, na pamiątkę i przestrożę przyszłych wieków.

Jeśli jednak w poetycznej barwie ma się wam jawić legenda ludu, to przyjrzyjcie się dobrze temu niekształtnemu głazowi—to postać Tomiry, zaklętej w kamień głosem Emeryka:

Czas, co wdzięk w wszystkiém, nawet w glazie zmroczy,
Startł w tym posągu piękna ideały;
Lecz ojców ojce od ojców słyszały,
Że był on niegdyś kształtny i uroczy.
Posąg ten zwolna, podług wieści ludu,
Wstępuje drogą, co się z góry schyla...

A chcecieli wiedzieć kiedy kres podróży tego pokutniczego glazu?

... ta żyjąca skala,
Nie dojdzie szczytu, aż w ów dzień postrachu,
Gdy trąbą wstrząśnięte bożą,
Na gruzach wszech wieków gmachu,
Groby się z jękiem otworzą.¹⁾

Wyżej już na spadzistości góry spotykam dwie kapliczki ze stacyami—wnętrze kapliczek pokryte licznemi napisami pamiątkowemi, i coraz wyżej i coraz dalej — już teraz szeroką drogą, śliską i kamienistą pnę się w górę gęstym jodłowym lasem porośłą, tą samą drogą, którą przed 446 laty pątnikował Jagiełło, wyprawiając się pod Grunwalden, a po nim Kaźmirz Jagiellończyk, i wreszcie Zygmunt III, zanosząc dziękczynne modły za pogrom rokoszan na Guzowskich polach. W pół godziny, zwawym idąc krokiem, ujrzałem roztwierającą się przedemną koronę leśną, i tam wysoko, na zieleniącej płaszczyźnie wystrzelił przed oczy poważnemi kształty kościół i klasztor świętokrzyżki. Je-

¹⁾ Tomira, str. 7 i 84.

szcze w śnie słodkim pogrążona była cała dokoła natura, tylko różowy odblask, jakby nadzieja jutrzeńki, drgał na ostrym szczycie wieży wieńczącej kopułę. Przez chwilę ze czcią i wzruszeniem spoglądałem na ten widok, i zdało mi się że różowy blask Bolesławowych czasów zstępuje na młodziuchną Polskę, spowitą jeszcze w ciemnościach pogaństwa. A potem w biegu już stanąłem u stóp świątyni, na zrębie gęstwiną puszczy obrosłej góry — i całą piersią i całą duszą wsiąkałem w niebiański obraz wschodzącego słońca. Niewielu zapewne znajdzie się braci i sióstr moich, którzyby raz chociaż nie oglądali tak cudnego widoku w piękny wiosenny lub letni poranek, a jeśli są, to z duszy ich żałuję i w imię miłości bliźniego zachęcam do powetowania sobie tego w przyszłości. Co do mnie, często już zachwycąłem się tą codzienną uroczystością natury. Jest to tak wielki dramat — to zbudzenie do życia wszech istot stworzenia, — że zdaje się sam Bóg wielkości, łaski, piękna i miłości zstępuje na ziemię... Mam tę pewną wiarę, że gdyby ludzie częściej dziękczynną łzą i modlitwą witali wschodzące słońce, więcejby mieli w sercu i Boga i miłości. Nigdy jeszcze żaden ranek tak wspaniale nie roztoczył się przedemną, jak ranek 9 sierpnia na świętokrzyżkiej górze. Pyszna była ta majestatyczna purpura nieba, coraz ogniściej krasniejaca na wschodnim widnokręgu; wreszcie z krwawego łona trysnął snop płomienisty, i jakby zaklęciem czarodziejskim budzi się cała przyroda w świetlanej strefie. Ale tam w dole jeszcze noc, jeszcze cisza. Teraz walka krwawej purpury z złościstą barwą światła: łamią się, wiążą promienie, niebiańska harmonia je splata, i w biały smug dziennego światła stopione, płyną na ziemię. Ognista kula, oko nieba, coraz się wyżej i wyżej wytacza, a róż i złoto bledną na niebie i rozplývają się w jasny, przejrzysty błękit. Świątynia pańska pierwsza owiana światłem niebiańskim; jak jej światłość promienieje nad ciemnością doliny, tak światło kościoła promieniować powinno ludom. Zwolna i puszcza leśna zazięrać zaczyna wierzchołkami drzew w mlęczny smug światła, leśne ptastwo zawodzi głośno dziękczynny hymn Twórcy, rozwidnia się wzrok gęstwiny. O! prawdę, prawdę powiedziałeś zacny nasz pięknoznawco: „Kiedy Bóg wszechmocny pierwszy raz oddzielił ciemność od światła i z nocy chaotycznego zamętu żywiołów wyprowadził jasność, była to najwspanialsza chwila w dziele stworzenia, którą w całym jej majesta-

cie pojął Michał Anioł i natchnionym penzlem oddał w pierwszym obrazie *Stworzenia świata...*” Mgły coraz niżej opadają, wieżyczka słupskiego kościoła wyrzała nad szarą pomrokę... jeszcze chwila... budzi się miasteczko. Człowiek wtedy dopiero myśli o porannej modlitwie, gdy już przebrzmiał oddawna dziękczynny hymn całego stworzenia...

Chciałem dziś uprzedzić mieszkańców Słupi, i z głębi duszy wzniosłem modły słowami ukochanego wieszczka:

Och dusza moja—jak spalona niwa,
Z jutrzenią, o Duchu! drży pod skrzydły twemi.
Niechże co wsiane w głębiach jej spoczywa,
W kwieciu na owoc bujnie się rozpleni;
Co mętne—brudne—niechaj zamrze na dnie,
Co smętne—mgławce—niech w rosie opadnie!
Już dusza moja, więzien, dzwoni w pęta,
Ku początkowi swojemu się miota.
Gołąbko Nieba! przezysta, prześwieta
Piastunko różyczki cudownej żywota,
Duchu! ku duszy mojej powion blaski!
Błogosław ku niej strumieniom Twój łaski!

Zawczasem jeszcze do kościoła i do klasztoru, a tu tak świeżo, tak lubo, tak bliżej zdaje się nieba, że się i oczu od rozkosznego dokoła krajobrazu oderwać nie chce. Więc nim do kościoła zadzwonią, zejździe tu ze mną poza dziedziniec klasztorny i poigrajcie z echem, które tak wyraźnie i donośnie wtórzy tu każde słowo i dźwięk każdy, jak z piersi naszych o okoliczne odbija się wzgórze. A może spoczniecie wraz ze mną na tém tu urwisku, a ja tymczasem, uskrzydłając pamięć widome mi pamiątki, wysnuję wam dziejowe pasmo tej świątyni, byśmy już świadomi rzeczy i z przeszłością zbratani w jej progi weszli.

Lysa góra, Mons Calvus, w przywileju Jagielly zwana także *Lipecz*, przez Długosza *Kalwaryą*, w późniejszych czasach od kościoła Benedyktynów zostającego pod wezwaniem S. Krzyża, przybięra nazwę *Góry Świętokrzyżkiej, Mons Crucis*. Nie zgadza się tradycya we wskazaniu jakie mianowicie bożyszczka dawnych Sławian cześć na tej górze odbierały: jedni twierdzą, że Lelum i Polelum, inni że potrójne bożyszcze: Świst, Poświst, Pogoda. Wiadomość z miejscowych kronik, wyryta dość obszernie na marmurowej tablicy, znajdującej się na jednym z korytarzów klasztornych, objaśnia, że pierwsza myśl wzniesienia świątyni czci prawego Boga na gruzach bałwochwalstwa, na Łysiej górze, przypada w r. 996, i powziętą zo-

stała przez Mieczysława i Dąbrówkę. Kościół ten i klasztor w r. 1006 przeznaczony został przez Bolesława Chrobrego sześciu wraz z Dąbrówką z Czech przybyłym Benedyktynom, po ich zaś zamęczeniu pod Kaźmirzem osadził tu Bolesław 12 innych, z Cassino sprowadzonych. Pierwotny kościółek modrzewiowy Mieczysława, stać miał poniżej dzisiajszej świątyni, tam gdzie widne jeszcze sztachety; w początkach bieżącego wieku znaleziono nawet szczątki tego kościoła, i drzewo z niego użyto na organy i stalle nowój świątyni. Naruszewicz fundacją tutajszego kościoła i opactwa Benedyktynów odnosi do r. 1008, epokę zaś złożenia tu relikwii krzyża Chrystusowego przez S. Emeryka królewicza węgierskiego, syna S. Stefana, przenosi później. Trudno bowiem byłoby Ś. Emerykowi w r. 1008 orędować u Bolesława za wzniesieniem świątyni i myśliwstwem na jego dworze się bawić, kiedy dopiero w r. 1007 światło dzienne ujrział.

Kromer (zawsze pod rokiem 1008) w ten sposób opowiada o początkach klasztoru świętokrzyżskiego 1).

„Tenże król (Bolesław Chrobry) zbudował był jeszcze przed ruską wojną tymże zakonnikom (S. Benedykta) drugi klasztor na górze Łysój, (pierwszy istniał już w Sieciechowie nad Wisłą) za prośbą i namowami Emeryka, Stefana węgierskiego króla syna, świętobliwego i niepokalanego młodzieńca, który dobrowolnie z Bolesławem, powinnym swym, w Polsce przemieszkiwał i w kościele tegoż klasztoru część krzyża Ś., którą cesarz konstantynopolski ojcu jego Stefanowi za wielki upominek posłał był i której samże za najprzedniejsze noszenie używał, ostawił, gdzie i po dziś dzień ludzie zbawiennych dostępują cudów.”

I rzeczywiście dopiero téż od chwili jak relikwie święte spoczęły w kościele świętokrzyżkim, sława góry całej coraz rozgłośniej rozbrzmiewać zaczęła. Bolesław i dostojnicy jego dworu hojnie uposażali świętokrzyżkie opactwo, coraz nowe przybywały mu zapisy, lud coraz tłumniej pielgrzymić zaczął zblizka i zdala do słynącej cudami świątyni, a wnet i stolica apostolska obdarzyła kościół tutajszy nadaniem licznych odpustów i przywilejów.

Ale nie uszło opactwo świętokrzyżkie losowych klęsk wojny, a będąc składowym punktem,

przytułkiem i schronieniem bogactwi i mienia całego okolicznych mieszkańców, spieszących szukać obrony i ocalenia pod ramiona cudotwornego krzyża, musiało też opactwo obudzić żywo chęć łupieżkiego Tatarzyna, gdy po raz pierwszy w r. 1260 krwawym szlakiem pożogi i miecza swój najazd na Polskę naznaczył. Zrabowano wtedy kościół i opactwo, a w odmęcie zniszczenia straciły potomne wieki najdawniejsze, najszacowniejsze pomniki naszego piśmiennictwa. Działo się to za rządów Stanisława, 82 opata.

W sto lat potem, r. 1370, gdy już ojcowskiéj tarczy Kaźmirza Wielkiego nie stało, zahuczała na górze świętokrzyżkiej burza drugiego pogańskiego najazdu. Tym razem byli to Litwini pod wodzą Lubarta, plądrujący poraz ostatni w Polsce, która wkrótce wspólnością chrztu stać się miała siostrą Litwy, a symbolem tego pobratymstwa krwi dwóch nieprzyjaznych narodów stał się Bodzanta, błogosławiący związek Jadwigi i Jagiełły.

Otóż po zdobyciu Łucka wołyńskiego, niedbale bronionego przez Pietraszę Turskiego szlachcica powiatu łęczyckiego, jak zwie go Kromer 1), według Bielskiego był to Piotr Turski herbu Rogala, szlachcic ziemi łukowskiej 2). Litwini rzucili się w lubelskie i sandomierskie strony, znacząc drogę swego przejścia szerokim zniszczenia szlakiem. Nie ostał się wtedy i świętokrzyżki klasztor; najdotkliwszą stratą jaką łupieżcy całej gminie wiernych chrześcian zadać mogli, było bezwiedne, wraz z innemi skarbami kościoła, zabranie relikwii Ś. Emeryka. Łupami obciążone wozy wysyłano przodem do Litwy, ale gdy przybyły nad polską granicę, jeden z ładownych wozów stanął nagle, i nie tylko wyteżona siła mnóstwa koni i ludzi z miejsca go poruszyć nie zdołała, ale co większa, ktośkolwiek dotknął tego wozu, czy Litwin, czy bydlę jego, jakby gromem rażone padały trupem. Gdy się z myślami biją przerażeni Litwini, by to zjawisko odgadnąć, Rusin pewien (podobno duchowny, oświadcza im że na tym upornym wozie, wśród mnóstwa złupionych rzeczy, musi się także znajdować i krzyż lacki, mieszczący relikwie z świętokrzyżkiej góry, w wielkiem u chrześcian będący poszanowaniu. Przetrząsnięto wóz, znalazł się w istocie wspomniony krzyż, a gdy Litwini, uwolniwszy jednego z jeńców nazwiskiem Chorobalę (Bielski nazywa go Karabola), rozkazali mu

1) Kromer przekład Błażowskiego str. 283.

2) Bielski (wyd. Gałęz.) t. XIII str. 99.

świętą relikwię odnieść do złupionego kościoła, wóz ruszył lekko, a odgłos cudu Bożego szeroko się rozległ po kraju i nowym urokiem łaski nieba świętokrzyżką opromienił puszcę. Kromer, objaśniewszy że Litwini relikwie do właściwego kościoła odesłali, kończy opowieść swoją temi słowy: „Sami zaś (Litwini) z ostatkiem zdobyczy wcale do domów odchodzą; gdyż żaden taki nie znajdował się, któryby był sąsiadów za gwałt pogański zwoływał. Ponieważ to zawsze bywa, że podczas śmierci królewskiej, co żywo rozpustnej się swój woli chwytą.”

Ostatnie zniszczenie mieszczan i ostatni rabunek padły już z chrześcijańskiej ręki. Trzykrotnie zawzięty Szwed niszczył świętokrzyżkie opactwo, a najokropniejsze było łupieztwo 1656 r., bo oblane niewinną krwią kilku zamordowanych zakonników.

To ostatnia karta wojennych losów, ale nie ostatnia zniszczenia jakie kościół tutaj przeżył. Trzy straszne nawidzały go w kolei wieków pożary, w latach 1447, 1459 i 26 października 1777. Po dwóch pierwszych dźwignięty, za szczodrą pomocą Tronu, przez Stanisława 2^{go} opata. Po ostatnim zaś pożarze, gdy opactwo zupełnie spłonęło, a popękane ściany kościoła niebezpieczeństwem grozić zaczęły, rozebrano nadwątlone mury i wznosić zaczęto nową zupełnie świątynią. Szczególniej pamięci godne są w tej mierze starania opata Jana Nepomucena Niegolewskiego, oraz przeora Wincentego Szczytyńskiego. Dzięki usilnej gorliwości tych pasterzów, stanęła dzisiajsza świątynia, wspaniała i miłych dla oka kształtów, ciosowym dokoła obłożona kamieniem. W r. 1806 odbyło się uroczyste poświęcenie nowowzniesionego kościoła: przewodniczył obrzędowi biskup krakowski Gawroński, a 24,000 pobożnego ludu zebrało się na ten pamiętny obchód i zaległo świętokrzyżką górę.

Dziś klasztor świętokrzyżki stał się instytucją poprawczą dla tych, co się zbłąkali na ślizkiej a stromiej ścieżce kapłańskiego powołania. I zdaje się trudno już było stosowniejsze na ten cel wybrać miejsce: położenie klasztoru w cudnie pięknej okolicy, odświeża i odmładza serce. Samotność wśród puszczy leśnej, oderwanie od zgiełku świata, wzbicie się nad jego marność, z okiem w niebo zwróconym, uskrzydlać musi serce ku Bogu i wieczności, i otwierać źrenicę ducha do jasnego zbadania wewnętrznej istoty. A wreszcie czyż ła-

ska Boża, przez tyle wieków widomie tryskająca z ramion cudotwornego krzyża, kryjącego w sobie relikwie Zbawiciela, czyż ta łaska nie opromieni zbłąkanych, pod jej cienie się tulących?

Ot i rozległ się poważny odgłos dzwonów, wzywając do modlitwy, otworem stoją przed nami podwoje poważnej świątyni.

Ze czcią i pokorą wszedłem w uświęcone tyłą cudy, tyłą modłami progi. Rozległe, ale nader skromne jest wnętrze świątyni; jedno sklepienie wiąże cały kościół, oświetlony szerokimi oknami weneckimi. Czyste wybielenie murów dodaje mu jeszcze światła i pogody, ale nie tej, co rozstrzela myśl i skupieniu ducha przeszkadza, lecz tej jasności, co niby łaska Boża, niby promień miłosierdzia Bożego rozwidnia nam pogląd w siebie samych, i oczyszcza z wszelkiej pychy przed Tron Przedwiecznego zanoszoną modlitwę. Niezłe tu organy, piękne są stalle w presbyterium, ale naczelną i najznakomitszą ozdobą kościoła jest siedm obrazów zdobiących jego ołtarze. Wszystkie są pensla Smuglewicza i każdy na oddzielne studium znawcy zasługuje, choć nie są to jeszcze najznakomitsze tego artysty utwory. Z bólem serca patrzeć przychodzi na liczne uszkodzenia, jakim te pomniki sztuki krajowej przez wilgoć już uległy i jeszcze uledez mogą. A są to drogie zabytki owych czasów, gdy religia bywała dla artystów natchnieniem do najznakomitszych dzieł, gdy architekt jak talizman pieścił w duchu skończoną myśl godnego przybytku Boga, gdy malarzowi tęczę wiary spływał w serce żywy źródło najwznioślejszych religijnych natchnień. Gdzież ich dziś szukać między artystami naszymi? Wylączyć tu chyba tylko wypadnie jednego Hadziewicza, bo inni (mówimy o artystycznych znakomitościach) nie czują popędu do religijnych tematów. Czyżby traktując przedmioty religijne, sztuka zaprzedała się tém samym w służebnictwo kościoła, z zaparciem się swojej samodzielności? Bynajmniej. Żywa wiara, cześć prawa i serdeczna tej odwiecznej ręki, co talenta i geniusze namaszcza — oto i cała summa poświęceń wymaganych od religijnego malarza, oto jedyna droga religijnych natchnień, z których już tyle cudów sztuki ludzkiej wytrysło. Przyjrzyjmy się po szczególe dość rzadkiemu nas dziełom Smuglewicza.

W wielkim ołtarzu mieści się pełen wzniosłej kompozycji obraz S. Trójcy.

Po lewej stronie od wejścia pierwszy obraz przedstawia S. Emeryka na polowaniu, kiedy

zsiadłszy z białego rumaka, chce go naglić na przód, a wtém rozlega się znany głos z nieba. Artysta schwycił tu właśnie chwilę, którą młoda wieszczka nasza przedstawiła w tych słowach 1).

Głos z wysoka:

Ni koń twój postąpić może,
Ni ty rzucisz to bezdroże,
Aż przyrzekniesz, że co tobie
Jest najdroższém, — tu zostanie.

Emeryk (padając na kolana)

Harfo aniola!

Któręj dźwięk do mnie się zniża:
Rozświeć mych uczuć otchłanie,
Bym zbażał, co z nich wywoła
Najgorętsze ukochanie...
Ach!... wiem, i cóż droższém być może
Od twego własnego krzyża?
Opatrzności! świetle! Boże!...
Więc usłysz ślub: — tu krzyż złożę.

.....
Dość już Panie, dość tych darów!...
Takiego szczęścia nie zniosę;
Wśród bożkiej miłości żarów,
Tęsknię, wielbię, konam, płonę...
Spuść mi wytchnienie, spuść rosę,
Bo serce me roztopione...

Drugi obraz przedstawia Ś. Benedykta, odwiedzającego w klasztorze siostrę swoją, Ś. Scholastykę zakonnicę. Brat spieszy się z powrotem — siostra nagli by pozostał — a gdy prośby nie skutkują, błaga niebios o łaskę. I zaszalała burza, tak że mąż święty zatrzymać się musiał, a siostra na jego ręku tegoż wieczora świętobliwego dokonała żywota. Trzeci obraz przedstawia śmierć Ś. Józefa; u łoża umierającego widać pełną boskiego spokoju postać Chrystusa i zbolalą Maryą. Po prawej stronie pierwszy obraz od wejścia jest wizerunkiem Ś. Heleny cesarzowej, matki Konstantyna W. Drugi przedstawia śmierć Ś. Benedykta; trzeci jest wizerunkiem Bogarodzicy.

Głęboka cisza panowała w kościele — ani jeden ton organów, ani jeden szept modlitwy nie przerywał mych marzeń, które bujały swobodnie w przeszłości, snując wątki ze Smuglewicza obrazów. To Emeryk mnie zatrzymywał, to Helena, to Ś. Benedykt z siostrą, to światłością promieniące oblicze Bogarodzicy... a wszystkie myśli, jakby hold należny, zléwały się u stóp Trójcy Świętej, jaśniejącej tajemnicą wcielenia z wielkiego ołtarza. I nie

są „sztuki piękne cmentarzem samych pomników ducha, nie podpadającego zgniliznie, — pomników, dających świadectwo duchowi nieskończonemu wśród zgiełku interesów i powszedniości życia z dnia na dzień; — światem umarłych wśród żywych, obrazem wieczności dla każdej chwili ubiegającego czasu; wryte na trwałość myśli, pojęcia, wyobrażenia, uczucia ludzi i wieków?” 1)

Właściwém Sanctissimum kościoła tutajszego, jest kaplica Ś. Krzyża, zakrystyi dotykająca, zwana pospolicie, od nazwiska fundatorów, kaplicą Oleśnickich. Obszerna to i estetycznych wcale kształtów kaplica — ale malowidła pokrywające ściany zaledwie do mierności rościć mogą jakieś takie prawo. Szczególniej téż niekorzystnie przedstawiają się te utwory wobec widzianych dopiero co w kościele przeslicznych dzieł Smuglewicza. Malowidła te przedstawiają dzieje Krzyża Ś. aż do oddania odłamku jego Benedyktynom świętokrzyżkim. Byłyby to nader ciekawe obrazy, gdyby niemi artystyczniejsza kierowała ręka.

W téj tedy kaplicy, w wielkim ołtarzu złożone są relikwie Ś. Emeryka, już ośm wieków przeszło będące przedmiotem rozgłośnej sławy, oraz celem poszanowania i czci nadwiślańskiej, bliższej i dalszej Sławiańszczyzny.

Odlamek Ś. Krzyża mieści się w relikwiarzu z XVII wieku, w kształcie podwójnego krzyża, z wyobrażeniami na nim narzędziami męki Pańskiej i wizerunkiem Jerozolimy. Relikwie z wszelką ostentacją kościoła okazywane są pobożnym pątnikom. Ksiądz w komży i w stule przy jarzącém świetle wyjmuje relikwiarz z cymborium; podawszy go do pocałowania, dopiero obejrzeć pozwala.

Obok drzwi kaplicy, wiodących do zakrystyi, zatrzymuje się oko na grobowcu Oleśnickich, pięknej rzeźby z szarego marmuru. Dwa obszerne są tu napisy w języku łacińskim, jeden na cześć zmarłej w r. 1612 Zofii Oleśnickiej małżonki wojewody lubelskiego, drugi dla męża jej Mikołaja Oleśnickiego, zmarłego w r. 1628. Na grobowcu Zofii z serdeczném współczuciem wyczytałem, że „w jednym z nią grobie złożone są: skromność, wiara, pobożność, których los pozazdrościł światu, ale napróżno (dodaje epitafium) żyjesz z lepszej strony sławą na ziemi, błogosławieństwem w niebie.” A jest to też sama Zofia, z której wspomnie-

1) Tomira str. 17—18.

1) Libelt, Umnictwo piękne t. I, str. 89.

niem spotkałem się już wśród murów pieskoskałskiego zamku, Zofia poetka nasza, znana autorka *Pieśni nowój*, drukowanej jeszcze w r. 1556.

Poczyniwszy sobie notatki z marmurowej tablicy pamiątkowej na ścianie korytarza znajdującej się, zwidziłem klasztor, mieszczący dziś 19 księży demerytów z dążnością korekcyjną, w miejsce owych zasłużonych Benedyktynów, co pierwsze ziarno oświaty narodowej siali w dziewiczą ziemię, określoną w granicach mieczem Chrobrego, a z których ostatniego widział tu jeszcze w czasie swój wycieczki archeologicznej p. F. M. Sobieszczański. Czekala mnie jedna prawdziwie jeszcze miła niespodzianka—wejście na wieżę kościelną. Wejście to po 112 wschodach niebardzo jest męczące i wygodniejsze nierównie niż po innych znajdowałem kościołach—więc też nikt w pielgrzymce swój tego wstępu opuścić nie powinien. Widok jaki się tam przed oczami waszemi rozściele, będzie najcudniejszym wiankiem pamiątki, jaki z pielgrzymki swojej uniesiecie. Nie po badawczym szkłem archeologa jawi się tu piękno: stanie ono wam w żywe oczy, i dość mieć serce, dość kochać atmosferę którą oddychamy, by ta piękność, krajowidem przed nami rozlana, wsiąknęła w atomy krwi, we fibry duszy naszój.

Wyobraźcie sobie kolosalną wyniosłość, nabrzmiała prawie do 2000 stóp nad powierzchnią Bałtyku, otuloną bujnie spływającym płaszczem zieleniejącej, a w tajemniczych ostępach, w czarnej pomroce gęstwiny leśnej niknącej puszczy. Na grzbiecie tej góry, której szczyt w chmurnej obsłonie wiedzie pogadankę z jednoplemiennymi siostrzycami: Chelmem, Jeleniowską, Witosławską i górą S. Katarzyny,—wznosi się klasztor i kościół; jego wieżyce, jak dwa ramiona błagalnie ku niebu wzniesione, w odległą dal' kilkomilowój panują okolicy, a choć już z oka znikną—to sława i dzieje świętokrzyżkiej góry szeroko brzmią jeszcze po rozległej sławiańskiej ziemi. Te smagłe wieżyce widnej w oddali kollegiaty, to *Opatów*, w którym najprzód Templaryusze, a potem lubuscy rozkazywali biskupi; tu bliżej, to *Lagów*, pamiętny w dziejach tatarskich najazdów; a tam znów dalej w tymże kierunku—ta szczupła i biedna miejscina wśród piaszczystego morza tuląca się w koło swojej świątyni — tożto owe słynne niegdyś światłem i bogactwem polskie Ateny — aryański *Raków*. Pod sinawo-chmurną mgłą karpacką odkręśla się widok Krakowa — ale go okiem, choć w szkło uzbrow-

jonem dopatrzeć, nie mogłem. Widok z świętokrzyżkiej góry odmienne zupełnie czynił na mnie wrażenie od krajowidów jakie podziwiałem z jasnogórskiej wieży i z ruin chęcińskiego zamku. Wzniosła religijność wrażeń Częstochowy splatała się tu z urokami natury chęcińskiej: a miała wyższość świętokrzyżka góra i odległą starożytnością, i tłem dziejowem i tą odrębną, wyłączną charakterystyką, jaką posiada jedyny w kraju naszym łańcuch łysogórski, budzący tęsknotę do Tatrów, których jest przecuciem, przedsionkiem, i jakby zdala już błogosławi sławiańskie góry cudotwornym krzyżem Zbawiciela.

Nie bez uśmiechu szczerego zajęcia oglądałem miedzianą blachę, pokrywającą wieżę świętokrzyżkiego kościoła. Od 50 lat pobożni lub ciekawi podróżni zapisywali nazwiska swoje na tym metalowym pamiątniku świątyni. Taka to już słabość ludzka — każdy pragnąłby choć napisem—jeśli go niestać na czyn — przekazać pamięć swoją potomności, tak lęka się, tak drży, by nie „znikł w oceanie wieków jak dźwięk wśród przestrzeni.” I jakże też to troskliwi a pracowici byli niektórzy w uwydatnieniu imienia i nazwiska swego i zanotowaniu tak ciekawej dla potomności daty, kiedy wieżę świętokrzyżkiego kościoła zwidzić raczyli. Ale tak to, źdźbło w oku brata widziemy, a belki w własnym nie dopatrzym, bo wszak i ja sam o uświęconej notatce na miedzi wieżowój nie przepomniałem. Nosce te ipsum!

Ujrzawszy się znowu u stóp kościoła, raz jeszcze zebrałem w głowie wszystkie wrażenia z jakimi powitałem świętokrzyżką górę i jakie z niej dzisiaj unoszę. Daremnie biłem w piersi i mózg potęgą ludowych baśni, gminnych legend i podań, daremnie kusila się wyobraźnia by odtworzyć cały świat czarów, całą poezją ludowój wiary, by uskrzydloną myślą wzbić się ze mną na Łysą górę, na Brocken polski. Daremnie, to co mnie wieczoru wczorajszego w wir poetycznych mrzonek unosiło, już pierzchło: dziś widziałem tylko przed sobą apoteozę chrześcijaństwa: przed blaskiem opromieniającym *Mons Crucis*, zbladł zupełnie bogaty w czarodziejskie gadki *Mons Calvus*. Twardowskiego cień i wielki sejm czarownic łysogórskich—przyćmiła mi zupełnie olbrzymia, bohaterska Chrobrego postać, cały wiek blaskiem spojrzenia opromieniająca. Ten obraz już stale wpił się w moją głowę i coraz dalej się rozplatał, kiedym się wpatrzył w cudny pomnik, ręką Szajnochy Bo-



lesławowi wzniesiony. Równolegle z bohaterem moim wynurzała się z mgły zamierzchłych wieków druga olbrzymia także postać, nosząca na czole namaszczenie wiekowej myśli, chryzmat geniuszem zwany... to Karol Wielki. I ze smętnym westchnieniem, z gorącą łzą braterską uchwyciłem to porównanie: Bolesław Chrobry—i Karol wielki—toż to była ulubiona, wypieszczona myśl nieodżałowanego, tak zawczasie nam wydartego Gustawa Waliszewskiego. On czuł się dość silnym na duchu, wiarą i miłością dziejów, że tak pojmie w Bolesławie treść i początek i przyszłość sła-

wiańszczyzny, jak odtworzono ducha germanizmu w wielkim pogromcy Witykinda. I miałaby ta piękna myśl zaginać? nie miałoby się wśród młodej braci naszej znaleźć dość silne ramię do dźwignięcia myśli ukochanej przez tego, któregośmy wszyscy kochali? Nie, nam się zdaje że paralella Bolesława i Karola, jako dziedzictwo sumiennego pracownika na polu duchowych zapasów, znaleźć już musiała oddźwięk, po rozwinięciu myśli Waliszewskiego w serdecznym pośmiertnym wspomnieniu uczonego i dobrze piśmiennictwu dziejowemu zasłużonego przyjaciela ś. p. Gustawa.

S M O K.

Zwierzę to należy do gromady gadów, rzędu jaszczurkowatych, pokrewieństwa skrzydlatych. Po między dziś żyjącymi zwierzętami smok niema do siebie podobnego, i dlatego naturaliści łączą go w jedno pokrewieństwo ze zwierzęciem przedpotopowym zwanym *powietrzalec* (pterodactylus), który, o ile można wnosić z budowy jego skieletu, był jeszcze dziwniejszym gadem od smoka. Mógł on chodzić po ziemi i latać, jak nasze nietoperze, gdyż tylne jego nogi, jak równie przednie, wyjąwszy palec drugi, są wykształcone w zwyczajny sposób, lecz właśnie ten drugi palec jest przeszło dwa razy dłuższy od tułowu i służył zapewne do utrzymania skóry zastępującej skrzydła.

Złączenie jednak tych dwóch rodzajów w jedno pokrewieństwo zdaje się że niema słusznej zasady, z tego mianowicie powodu, iż błona skrzydłowa u smoka jest przyczepiona po bokach ciała do sześciu pozornych, wyprostowanych żeber, u powietrzalca zaś była pomiędzy palcami nóg. Oprócz tego z miejscowości na których znajdowano skielety powietrzalca należy wnosić że on był stworzeniem wodnym, gdy tymczasem smok przebywa na drzewach.

Zoologiczne cechy smoka są następujące: pysk mierny, lekko spłaszczony, głowa w czole wypukła, zaokrąglona, oczy mierne, podługne, otwory słuchowe błoną pokryte, podgardle przedłużone w długi worek. W szczękę górną ma pięć walcowatych, ostro zakończonych zębów przednich,

z których środkowy jest najdłuższy, dwa kły i 16 zębów trzonowych, trójgraniastych, ku tyłowi zwiększających się. W dolnej szczękę ma dwa zęby przednie, odstające jeden od drugiego, dwa kły mocno zakrzywione i 17 zębów trzonowych, budowy takiej jak w szczękę górnej.

Pierwsze sześć żeber, zamiast coby miały być obrośniętymi naokoło ciała, rozchodzą się zaraz od grzbietu promienisto, i na nich to opiera się przedłużenie skóry stanowiące skrzydła. Te jednak nie służą smokom do latania, lecz jako spadochrony przy przeskakiwaniu z jednego drzewa na drugie. Ciało smoków pokryte jest małymi dachówkowato na siebie zachodzącymi łuskami, które na ogonie i nogach mają postać klinowatą. Język ich gruby, mięsisty, w pół wysuwalny, na końcu wycięty; ogon bardzo długi, szczupły, okrągły; uda bez dziurek potowych; na grzbiecie małe ząbki; skrzydła w czasie spoczynku ułożone są wachlarzowato przy bokach ciała, którego długość wynosi najwięcej jedną stopę.

Smok jest małym, niewinnym, pięknie ubarwionym zwierzętkiem; zamieszkuje gęste lasy najcieplejszych okolic Azji, i niektóre większe wyspy oceanu indyjskiego, mianowicie Jawę i Sumatrę. Przebywa po większej części na drzewach, rzadko kiedy schodzi na ziemię, gdzie chód jego jest ociężały; na drzewie przeciwnie poruszenia jego są zgrabne i rączne.

Żywi się małymi latającymi owadami, które

w czasie przeskakowania z gałęzi na gałąź chwyta. Samica znosi jaja w wydrążeniach drzew wystawionych na działanie promieni słonecznych.

Palisot de Beauvois utrzymuje że widział smoka pływającego w rzęce. Podanie to zasługuje na wiarę; wiemy bowiem że wszystkie gady łatwo mogą rozszerzać płuca, a przez to uczynić się lżejszemi od wody. W podobny sposób jaszczurki europejskie, wrzucone do wody, łatwo mogą przypląć do brzegu.

Smok znany był w odległej starożytności, jeszcze bowiem Herodot wzmiankuje że widział w okolicach miasta Butus w Arabii, w miejscu otoczonym górami, mnóstwo kości tych zwierząt. Powiadano mu że te skrzydlate węże leciały na wiosnę z Arabii do Egiptu, że w drodze zostały napotkane przez stada ibisów i przez nich wybite.

Wszystkie podania o smokach dwunożnych z siedmią głowami, przekazane nam przez Gesnera, Johnsona i Seba, są śmieszne, przesadzone bajkami. Podobne zwierzęta nigdy nie istniały, są one płodem bujnej wyobraźni trwożliwych marzycieli, lub też wymysłem podstępnych handlarzów, którzy ze swego podejścia zyski piędzienne ciągnąć pragnęli. Jako dowód przytoczymy zdarzenie zaszłe w Hamburgu w połowie przeszłego stulecia. Zjawił się w tém mieście niesłychanej wielkości,

wypchany smok o siedmiu głowach, którego kupcy hamburcy jako wielką osobliwość ogłosili, żądając za jego ustąpienie 10,000 zł. reńskich. Łatwowierny Seba kazał go natychmiast odsztychować i umieścić ten wizerunek w swoim dziele, obok opisu poczwary którą wyobrażał.

Ogłoszenie to wywołało wielki ruch w świecie naukowym, tak iż znakomity naturalista Linneusz przybył umyślnie ze Szwecyi w celu obejrzenia tego dziwnego zwierzęcia, i o zgrozo! znalazł połoza, (rodzaj węża) któremu wypychacz sześć głów innych położów przypisał. Mamy tu przykład jak bardzo trzeba być ostrożnym w przyjęciu wszelkich nowości, jeżeli nie chcemy narazić się na śmiech powszechny a zasłużony.

Dotąd znanych jest 5 gatunków smoka; wszystkie zamieszkują w Azji.

Przedstawiony na załączonej rycinie nazywa się *Draco fuscus*. Głowę ma dosyć wielką w stosunku do reszty ciała, brwi wystające, na podgardlu wielki worek, błonę skrzydłową z osadą uda zrosniętą, nogi okryte jednostajnymi lancetowatymi łuskami, koloru zielono-żółtawego. Cała część wierzchnia jest koloru ochrowatego, skrzydła szaro-marmurkowane, grzbiet ciemno-plamisty. Długość jego wynosi 6—9 cali, ojczyzną Indye.

Fr. L ki.

DZIENNIKI W HONOLULU.

Przed kilką tygodniami otrzymaliśmy przypadkowo jeden z ostatnich numerów dziennika „New Era”, wychodzącego na wyspie Oahu, jednej z grupy sandwich'skich. Wyspy te leżące pośród oceanu Spokojnego, z powodu korzystnego położenia swego, stać się mogą w niedalekim czasie znakomitą stanowiskiem morskiem, i dlatego nie od rzeczy będzie poprzedzić wiadomość o tamiecznym dziennikarstwie krótkim rysem nowoczesnej ich historii.

Wszystkie są utworu wulkanicznego; posiadają na jednej z pośród siebie, to jest na wyspie Hawaji, najwyższą z czynnych dotąd gór ogień wybuchających. Inne ich góry dochodzą ogromnej wysokości 14,000 stóp. W roku 1820 misyonarze zaszczepili tu wiarę chrześcijańską, i odtąd oświata i postęp

olbrzymim posuwały się krokiem. W przeciągu lat kilkunastu stanęły w wielu miejscach kościoły, urządzono szkoły dla ludu, a wprowadzone prassy drukarskie zajęły się odbijaniem książek w języku miejscowym. Wkrótce Anglia, Francya, Rossya, Ameryka, Hiszpania mianowały tu stałych konsułów; rozwinął się znakomity handel i dobrodziejstwa jego wyrwały oddalone te kraje z otchłani barbarzyństwa. W obecnym czasie rocznie do kilkuset okrętów wychodzących na połów wielorybów zawija do portów Honolulu i Lahoina. Wyspy Sandwich czyli hawajskie, tworzą uznane przez wszystkie mocarstwa oddzielne państwo, na czele którego znajduje się król, wraz z izbą panów czyli szlachty, i izbą reprezentantów wybieralną przez naród. Zaprowadzenie kodeksów i mianowanie ministrów

dla oddzielnych gałęzi administracyi nadały rządowi należyta energią, i przyznać należy że mimo często wznawiane w ostatnich czasach kłótnie misyonarzy katolickich i protestanckich, mimo zatargi o wpływ i pierwszeństwo między konsułami Francyi, Anglii i Ameryki i między osiadłemi tu wychodźcami rozmaitych krajów, administracya bardzo umiejętnie była prowadzoną. Obdarzone łagodnym klimatem, ziemią żyzną, obfitującą w piękne krajobrazy, i znajdując się prawie w pośrodku lądów stałych Ameryki środkowej, Meksyku i Kalifornii z jednej, posiadłości rosyjskich, Japonii, Chin i wysp filipińskich z drugiej strony, małe to państwo wzmaga się ciągle i liczba mieszkańców jego wzrasta widocznie; chociaż przyznać należy że ilość pierwobytnych wyspiarzów zmniejsza się w miarę mieszania się ich rasy z przychodniemi. Panujący obecnie król Kamehameha III urządził dwór swój na wzór angielski; ministrowie jego po większej części są Europejczykami. Szlachta nabrała obyczajów bardzo arystokratycznych, chlubi się z posiadania szlachectwa w ciągu kilku generacyj i odróżnia się widocznie od klas niższych piękną budową ciała i cerą jaśniejszą. Zasoby kraju mogą dostarczyć wszystkich potrzeb, i należycie rozwite dadzą nawet wiele przedmiotów wywozowych. Miasto Honolulu, pięknie zbudowane, ma około 15,000 mieszkańców; wszystko tu nosi cechę wzmagającej się cywilizacyi, i z pewnością przewidzieć można, że nie dalej jak za lat kilkanaście, stanie się ono jednym z największych składów dla handlu całego świata.

W Honolulu, o ile nam wiadomo, wychodzi kilka dzienników, z których jeden „The Polynesian” uważany jest za organ tamecznego rządu. Numer dziennika który mamy przed sobą, datowany 14 listopada roku zeszłego, zewnątrznie podobny jest do wielkiej części pomniejszych dzienników angielskich; druk ma dobry, lecz papier lichy. Pogląd na jego kolumny dziwne nam daje wyobrażenie o mieście Honolulu, gdzie zdaje się jedynym zadaniem mieszkańców jest zarabianie pieniędzy, sprzedaż i wymiana towarów; wszystko co tu napotykamy tchnie jakimś związkiem z dollarami. Dwie trzecie dziennika zajmują doniesienia rozmaitego rodzaju kupców i rzemieślników, akcyo, — i aukcyonaryuszów, różnych agentów, pracowników, lekarzów, i pisane są zupełnie stylem doniesień Londynu i Nowego Jorku. Tylko nazwania niektórych ulic, jak: Nuwana, Keahuma-

nu, Mauna, Kea, przypominają że wszyscy ci ludzie wywieszają wabiące swe znaki na odległej wyspie oceanu Spokojnego; jednakże wiele ulic nosi zwyczajne miana angielskie. Między nazwiskami nie spotykamy żadnego czysto miejscowego; cztery piąte mają nazwiska angielskie, reszta francuzkie i niemieckie. Towary najrozmaitszego rodzaju, całe nawet ładunki okrętowe, wystawiane są na sprzedaż. Rzeczy potrzeby i zbytku, pochodzących ze wszystkich części świata, łatwo tu nabyć można. Widocznie wielka część ogłoszeń przeznaczoną jest dla użytku kapitanów przybywających tu okrętów. Port Honolulu nietylko zaopatruje corocznie kilkaset okrętów we wszystkie dla osadnich potrzeby, lecz dostawia im także ładunków, rozwożonych następnie w rozmaite części świata. Wiele towarów przybywa tu z San Francisco, odległego tylko na dziesięć do dwunastu dni podróży żeglówej.

Literatura, ile się zdaje, niewielką gra rolę w potrzebach tutajszej ludności, bo między tylą doniesieniami nie napotykamy ani jednego ogłoszenia księgarskiego; tylko ogłoszenie miejscowej „Czytelni” zawiadamia że wszelkie dary w książkach lub pieniądzach na ich zakup z wdzięcznością będą przyjmowane. Jedno tylko ogłoszenie drukowane jest w języku hawajskim i angielskim: dotyczy ono mianowania niejakiego p. Webster agentem królewskim dla sprzedaży i dzierżawy gruntów rządowych, oraz pobierania z nich opłat i podatków. Drzeworyt przedstawiający baranów, zwraca uwagę na odbyć się mający miting czyli zebranie właścicieli owczarni, które w gospodarstwie tamtejszym niepoślednią zaczynają grać rolę. Cztery kolumny dziennika zajęte są zdaniem sprawy z posiedzeń parlamentu hawajskiego. Między przedstawianemi mu prośbami jest jedna o prędkie wytępienie psów, które jak widać już i tam nad miarę się rozmnożyły. Przytoczone wyjątki z mów niektórych krajowców wykazują, przy prostych wyrażeniach, wiele zdrowego rozsądku i loiki. Napotykamy nazwiska p. p. Kaumaea, Kalama, Maika, Kamaipelekane, chociaż połowa przedstawicieli narodu nosi nazwiska angielskie. Niektóre z wniesionych bilów ciekawe traktują przedmioty. Po raz pierwszy n. p. czytamy bil p. Nahakuelua o sposobach przeszkodzenia królowi w sprzedaży gruntów cudzoziemcom; bil p. Umaea radzącego zaciągać do wojska wszystkich włóczęgów i ludzi niewiadomego pochodzenia. W ogóle posiedzenia

izb zdają się odbywać z wszelką powagą i przyzwoitością.

Wiadomości zagraniczne niewiele zajmują miejsca; pierwsze epizody ostatniej wojny zaledwie były doszły tych miejsc oddalonych.

W artykule własnym wydawca zwraca uwagę rządu na potrzebę rychłego oczyszczenia zatoki Honolulu z piasku i błota, w oczekiwaniu wkrótce mającej tam zawinąć floty angielsko-francuzkiej, złożonej z wielkich okrętów wojennych, i dodaje że biędny, prześladowany, znieważany, czerniony wydawca dziennika wyznacza z własnych zasobów 200 dollarów nagrody wynalazcy najlepszego i najtańszego przyrządu dla osiągnięcia tego celu, ponieważ trudno byłoby sprowadzić takowy z Anglii lub Stanów Zjednoczonych, z kąd nie możnaby go mieć wcześniej jak następującej wiosny. Zdaje się jednak że o materialnych potrzebach biędnego

wydawcy niezapomina czytająca publiczność, bo szanowny redaktor dziękuje w swym dzienniku za przysłany mu, między innymi, worek przedniej mąki żytniej z młyna parowego w Honolulu; za pozostawienie w jego nieobecności przez nieznaną mu damę wielce pożądanego i bardzo wygodnego fotelu i t. p.

Uderzają nas niektóre opuszczenia. Ani wzmianki o popełnionych zbrodniach, zawartych małżeństwach, zejściach, wyrokach sądowych; ani więrsza poświęconego poezji lub literaturze. Tylko rzeczy pośrednio albo bezpośrednio dotyczące się robienia pieniędzy znajdują czytelników.

Zaiste, przeczytanie pojedynczego numeru miejscowego dziennika, częstokroć lepsze daje wyobrażenie o mieszkańcach jakiegobądź kraju, aniżeli kilkotomowe opisy podróży.

TYRALIERY W MEKSYKU.

(USTĘP Z DZIEŁ AMERYKANINA MAYNE REID).

Oddawna zarówno piszący jak czytający narzekają na przesyt w literaturze powieściowej, i chórem wołają o nowe żywioly i formę. Trudno zaprzeczyć że w zestarzałej Europie, z upowszechnieniem cywilizacyi wrażenia czerpane z natury lub z życia społecznego tak już zostały zużyte i w tak rozlicznej wypowiedziane formie, że imaginacya piszących zmuszoną jest albo odtwarzać znane i przebrzmiałe szczegóły, albo tworzyć dzikie i chorobliwe fantazy. Są przecież inne części ziemi, gdzie sama przyroda bogata i dziewicza przedstawia świetną tkanę dla wyobraźni i fantazyi pisarza. Mieszkańcy tych okolic, niestrawieni jeszcze cywilizacyą materyalną, w ciągłej walce z naturą i życiem, są aktorami dramatów najżywszy interes obudzić zdolnych. Z tego powodu w dziełach amerykańskich pisarzy spotykamy trudną do naśladowania trzeźwość opisów, głębokość obserwacyj i prostotę w pojęciu najważniejszych fenomenów społecznych. Pisma ich, jakkolwiek w bardzo szczupłej liczbie znane naszym czytelnikom, niejednokrotnie już żywe obudzały zajęcie. Wszyscy pamiętają jak powszechnie i z jakim zamiłowaniem czytano *Ostatniego z Mohikanów*, *Stepy* i *Pionierów Cooper'a*, jak rozchwytywano wszelkie po-

dróże po krajach odległych w formie dramatycznej opowiedziane. Wszakże większa część, i to bardziej zajmujących rzeczy, jest nam jeszcze nieznaną. Między innymi godne są wspomnienia: *Podróże rzeczywiste i fantastyczne Melville'a*, *Zegarmistrz Samuel Slick* przez *Haliburtona*, *Ewangelina* przez *Longfellow'a*, *Chaste'a Sceny obozowe w Węgrzech*, i *Podróże po Nowym świecie*, *Łowcy czubów indyjskich*, *Lasy dziewicze*, *Poszukiwacze kory*, *Łowcy żubrów* i *Tyraliery w Meksyku* kapitana *Mayne Reid*.

Szczególniej też dzieła *Mayne Reid'a* odznaczają się zarówno żywą imaginacyą, jak prawdziwym i barwistym opisem różnorodnych scen i okolic nowego świata.

Chcąc dać poznać choć w części naszym czytelnikom, nieznanym tych utworów, w jak zajmujący sposób autor rzecz swą maluje, zacytujemy parę wyjątków z *Tyralierów w Meksyku*.

Bohatérem powieści jest *Haller*, młody Amerykanin, dowódzca kompanii ochotników, należących do wojska Stanów Zjednoczonych wysłanego do Meksyku w czasie pamiętnej wojny o Teksas. Po żywym i iskrzącym opisie czarownych okolic, w których zdarzenia opowiedziane w powieści

mają się rozwijać, autor kręśli obraz oblężenia Vera-Cruz, w czasie którego kapitan Haller odbiera rozkaz udania się z częścią swój kompanii dla zwidzenia i przejrzania okiem nieścignionych stepów meksykańskich, oraz w celu zebrania znacznej ilości mułów dla armii potrzebnych. W wyprawie tej poznaje on rodzinę *don Kosma-Rozales*, bogatego Meksykanina, właściciela licznego *corralu*, to jest osady w stepach, przeznaczonęj na hodowlę niezliczonych stad bawołów, koni stepowych, i mułów; — zabija alligatora, który napadł na kąpiącą się córkę Rozalesa, przesłiczną Gwadalupę, i zyskuje jej przywiązanie. Wreszcie Amerykanin pod wodzą Rozalesa udaje się w stepy dla chwytania mułów, a autor w następny sposób opisuje początek tej wyprawy:

„Doszedłszy do wzgórza, na którym czekał nasz przewodnik, ujrzelśmy wspaniały obraz, roztaczający się daleko przed naszymi oczyma. Ucichła burza, a zwrotnikowe słońce, oswobodzone od zaciemniających je na chwilę obłoków, świeciło całą potęgą blasku, rozsiławając tysiące ogników po wilgotnym stepie i zamieniając każdą kroplę deszczu zawieszoną na wysokich trawach, w tyleż iskrzących brylantów.

Chociaż daleko jeszcze było do zachodu słońca, ognista jego kula zaczynała się już zniżać ku śnieżnym wierzchołkom Orizawy, strojąc swe promienie w owę czerwonawą barwę, odznaczającą zwykle zmierzchy w krajach zwrotnikowych. Wiatr spędził chmury, i niebiosą znów zaokrągląły się nad naszymi głowami, jak pyszny namiot z przeczystego błękitu. Ciemne massy obłoków, skupione ku południowej stronie, wisiały nad czarnymi puszciami Honduras i Tabasco.

U nóg naszych rozścielał się step, podobny do olbrzymiego kobierca z zieleni, zakończony w oddali szeregiem drzew olbrzymich. Kląby z takichże drzew, jak wyspy na morzu, wznosząc się tu i owdzie z pośród traw obszaru, zwiększały urok wspaniałego widoku.

Ku środkowi stepu widać było *rancha* otoczone ze wszech stron silną palisadą; był to właśnie *corral* o którym wspominał nam *don Kosme*.

W pobliżu tego ogrodzenia tysiące wołów pasło się spokojnie, brodząc w trawach wysokich. Centkowane ich boki a proste i wysokie rogi jasno świadczyły że pochodzą ze sławnęj rassy hiszpańskich byków. Kilka sztuk odłączonych od stada błądziło *samopas* lub spoczywało pod cie-

niem palm samotnych. Ze wszystkich stron dolały ucha odgłos dzwonek dźwięczny i jednostajny.

Nie samo przecież bydło rogate korzystało z tych pastwisk bogatych, gdyż seciny koni i mułów wspólnie się z niemi pasły. Zdawało się pozornie że nadzór nad wszystkimi temi stadami powierzono dwom tylko *vaquerom*, którzy w skórzanem odzieniu, siedząc na dzikich mustangach, bezustannie przebiegali wszystkie okolice stepu.

W chwili gdyśmy dosięgli szczytu wzgórza, owi pasterze ścigali byka zbiegłego z *corralu*. *Vaquery*, mustang i byk pędzili jak wiatr po stepie. — Byk ryczał ze wściekłości i trwogi, widząc tuż za sobą konnych pasterzów i słysząc ich długie *lassa* świszczące w powietrzu.

Cała ta gonitwa tak była ciekawą i charakterystyczną, iż zatrzymaliśmy się w miejscu, czekając jak się zakończy. — Wystawcie sobie jeźdźców pędzących w szalonym galopie, z rozwianemi na wiatr kruczemi włosami, o opalonych twarzach jak u Arabów, w wielkich hiszpańskich kapeluszach, w kalzonerach zapiętych wzdłuż goleni, w ogromnych bótach z olbrzymimi ostrogami, na wysokich siodłach w dziwaczne ozdoby upstrzonych, a zrozumiecie jak ten widok musiał być zajmującym, zwłaszcza że owi jeźdźcy kierowali końmi z niesłychaną zręcznością. Było to równie piękne, jak walki byków tak namiętnie przez Hiszpanów lubione.

Byk w całym pędzie przebiegał na pięćdziesiąt kroków przed nami i z rykiem wściekłości pruł rogami powietrze. Ścigający go pasterze za ledwie o kilka kroków byli oddaleni. W chwili gdy już wprost nas nadbiegli, jeden z *vaquerów* rzucił *lasso*. Sznur rzemienny wdzięczny łuk zakręślił w powietrzu i świszcząc owinął się około jednego z rogów bydlęcia. *Vaquero* zwrócił nagle w bok koniem, aby wyprężyć ciśnięty rzemień, lecz węzeł źle związany ześliznął się po gładkim rogu, a byk z więzów uwolniony z większą niż pierwęj pognał szybkością. Był to rzut chybiony.

Prawie jednocześnie drugi *vaquero* rzucił swe *lasso*, ale już z lepszym skutkiem. Tym razem rzemień padł z szybkością strzały na oba rogi ściganego zwierza. Szybki jak myśl *vaquero* zwinął w bok koniem, ścisnął go ostrogami i popędził w kierunku zupełnie przeciwnym. Byk gnał dalej; w mgnieniu więc oka sznur silnie się wyprężył, zawarczał jak cięciwa napiętego łuku i zwierz powalił się na

stepie. Targnięcie tak było silne, że mustang z jeźdźcem ukląkł i prawie na bok się położył.

Przez chwilę byk leżał bez ruchu, potem powstał z wysileniem i błędnie spoglądał w okół, Jeszcze nie uległ zupełnie, lecz zakrwawionem z wściekłości okiem upatrywał wroga, a dostrzegłszy rzemień łączący jego rogi z siodłem, zniżył łeb do ziemi i z okropnym rykiem cisnął się w pogoń za vaquerem.

Lecz ten ostatni przewidział napad; pogrążył ostrogi w bokach mustanga i puścił się galopem po stepie. Teraz byk ścigał jeźdźca. W czasie tej gonitwy rozdzielająca ich odległość zmniejszała się niekiedy, i rzemień wolno bujał w powietrzu; to znów przeciwnie nagle jego wyteżenie silnie wstrząsało łbem byka.

Ubiegłszy paręset kroków vaquero skreślił koniem i pognął w linii prostopadłej do poprzedniego kierunku. Zanim byk zdążył się zwrócić, sznur wyprężył się tak gwałtownie, że zwierzę po raz drugi zwałił się na ziemię. Przecież powstał powtórnie i na nowo zażartą pogoń za jeźdźcem rozpoczął.

W tym czasie nadbiegł drugi vaquero, a upatrzawszy chwilę gdy go byk wymijał, cisnął nań lasso tak zręcznie, iż jedna z nóg zwierzęcia całkowicie splotami rzemienia owiniętą została.

Ten trzeci atak był już stanowczym. Byk upadł tak gwałtownie, że jak martwy pozostał bez ruchu. W ten czas jeden z vaquerów zbliżył się ostrożnie, schylił się z siodła, odwiązał oba rzemienie i uwolnił uporczywego zwierzę.

Byk podniósł się zwolna, zdziwionym wzrokiem spojrzawszy w okół, a wstydząc się doznanej porażki, spokojnie zawrócił się do corralu, pozwalając się pędzić swoim zwycięzcom.

W czasie tej wycieczki, po licznych i nader interesujących przygodach, kapitan Haller z większą częścią swych żołnierzy i z wiernym sierżantem Lincoln, który przypomina postać Sokolego Oka z Mohikanów, wpadł w ręce gerylasów meksykańskich, którzy skrepowanych na grzbietach mułów uprowadzają w góry, gdzie się ich główne zgromadziły siły.

Oto część opisu tej niewoli i przygód w niej doznanych: „Odbywaliśmy drogę nocą, a zasłony pokrywające nam oczy, jeżeli wzbraniały wszelkiego widoku natury—to przynajmniej zabezpieczały twarz od podrapania kolcami *mezquitów* otaczających całą drogę. Nie mogąc rozsuwać kolczystych gałęzi skrepowanymi rękami, bylibyśmy niemylnie

oczy postradali. Więzy nas ściskające niesłychane nam sprawiały męczarnie. Pochód odbywał się ciągle lasami, jak się tego można było domyślać z ciąglego szelestu liści końskimi kopytami wzruszanych.

Nad ranem, miarkując z pozycyi i wysień naszych wierzchowców, musieliśmy przebywać jakieś strome i skaliste wzgórza. Minawszy płaszczyzny, wstępowałyśmy w okolice przy podnóżach gór położone. Nie słysząc żadnego ruchu obok siebie, ani mijających jeźdźców, domyśliłem się że odbywamy drogę po wąskiej ścieżce, na której tylko jeden za drugim mógł postępować. Raul mnie poprzędzał, a ztąd znajdowaliśmy się czasem tak blisko siebie iż mogliśmy rozmawiać.

— Jak myślisz, co oni chcą zrobić z nami? zapytałem się go po francuzku:

— Sądzę że nas prowadzą do kwatery *Cenobia*, a przynajmniej bardzo pragnę aby tak było w istocie.

— Jaki? pragniesz? —

— Naturalnie,—bo tylko to jedno może nas ocalić. — *Cenobio* to zuch!

— Znasz go więc dobrze?

— Tak jest, kapitanie, — miałem z nim częste stosunki, prowadząc handel kontrabandą.

— Więc ów *Cenobio* jest kontrabandzistą?

— Hm! — możeby nie należało nazywać go kontrabandzistą, ale raczej negocyentem, zwłaszcza też w kraju gdzie sam rząd oddaje się tego rodzaju spekulacyom. Takie pojęcia są koniecznym następstwem złej administracyi. *Cenobio* więc, ściśle biorąc, nie jest kontrabandzistą jak powiedziałem, ale negocyentem prowadzącym kontrabandę na bardzo rozległą skalę.

— Ho! ho! Raulu! widzę że w razie potrzeby umiesz wykladać ekonomią polityczną.

— Ba! cóż robić, kapitanie, kaźden przecież obowiązany bronić swojej professyi, — odpowiedział śmiejąc się mój towarzysz.

— Sądysz przeto żeśmy wpadli w ręce ludzi *Cenobia*?

— Nic pewniejszego, kapitanie! Ba! gdyby to była banda *Jarauty*, do stu katów! dawno już bylibyśmy w niebie. Rozumię się że mówię to o duszach naszych, bo co do ciał, służyłyby ony za ozdoby drzewom otaczającym plantacye don *Kosma*. Niech nas Bóg strzeże od *Jarauty*! ten ksiądz a razem rozbójnik bardzo mało czasu zostawia do odbycia spowiedzi tym co mu w ręce popadną; ale

niechno dostanie się w moje, to jeszcze prędkiej będzie wisiał.

— A z czegoż wnioskujeś że to jest gerilla Cenobia?

— Bo znam tego Yaneza, któregośmy dostrzegli w rancho; — jest to jeden z oficerów Cenobia i dowodzi prowadzącą nas bandą, która jest tylko małym jego wojsk oddziałem. Dziwi mnie przecież, że chociaż Dubrosc był z nim razem, jeszcze nas dotąd na tamten świat nie wyprawili. Musi coś tajemniczego przemawiać za nami; ale co takiego, dojsć jeszcze nie mogłem.

Uderzony tą uwagą, rozbiérałem ją w myśli, gdy gadatliwy Francuz znów się odezwał:

— Nie, nie mylę się... to wzgórze... tak! z pewnością... rzeczka San Juan płynąć powinna u spodu.

Niezadługo w istocie brnęliśmy przez potok, a Raul dodał:

— Otóż właśnie! to San-Juan, poznaję jego kamieniste łożę, a i wysokość wody jest taką, jakiej się w tej porze spodziewać należało.

Muły nas niosące przechodziły bystry strumień, z którego pyłki wilgotne aż na twarz nam spadały. Woda sięgała do kulbaki siodła, i chociaż to było w strefie zwrotnikowej, czuliśmy jęj lodowate zimno. Powodem tej pozorniej sprzeczności było to, że przebywany przez nas potok podsyca się topniejącymi śniegami Orizawy.

Po wyjściu z wody Raul odezwał się:

— Teraz już najpewniejszy jestem drogi — doskonale ten brzeg poznaję. — Czy widzisz, kapitanie, jak się muły ślizgają?

— Cóż to jest? zapytałem go z niepokojem.

— Dalipan — odrzekł śmiejąc się Raul, chybaś zmysły postradał; ostrzegam pana abyś patrzył, a zapominam że nawet nie będziesz w stanie ratować się w razie wypadku.

— Jakiego wypadku — zapytałem, przeczuwając jakieś niebezpieczeństwo.

— Możemy zlecieć z wysoka — ot! i wszystko. Jest tu obok przepaść, bardzo zasadnie uznawana za niebezpieczną. Gdyby się muły potknęły, najbliższą rzeczą za którą moglibyśmy się zaczepić byłyby wierzecholki drzew rosnących przeszło pięćset stóp pod nami.

— Wielki Boże! zawołałem.

— I, nie lękaj się kapitanie, niebezpieczeństwo jest mniejsze niż myślisz, muły mają chód pewny i prawdopodobnie nie spadną; co się zaś tyczy ich

ładunku, dodał śmiejąc się serdecznie, ten za silnie jest przysznurowany żeby mógł się sam oderwać i zlecieć.

Nie miałem bynajmniej ochoty ani śmiać się, ani podzielać wesolości swego towarzysza. Sama myśl że muł łatwo mógł się pośliznąć i zsunąć do przepaści, wcale zabawną nie była. Słyszałem już o podobnych wypadkach, i opowiadania te, stając mi w pamięci, uspakając mnie nie mogły; mimowoli więc mruknąłem z cicha:

— Po co było ostrzegać o grożącym niebezpieczeństwie, którego uniknąć nie mamy władzy.

Przyczepiłem się jak mogłem najlepiej do siodła i ścisnąłem nogi, aby uczuć z łatwością każde poruszenie muła i być gotowym na wszelki wypadek mogący spowodować naruszenie dwoistej naszej równowagi. Słyszałem ryczący potok w wielkiem oddaleniu, a miarkując po kierunku odgłosu, zrozumiałem żeśmy byli nad nim zawieszeni. Ścieżka stawała się coraz węższą i muły spięrały się silnie ku skalistej ścianie przeciwległej przepaści.

Nareszcie wstąpiliśmy na wywyższoną równinę, poczem niezadługo zaczęliśmy spuszczać się po tak stromej spadzistości, iż czasem zdawało się że muły łbami się podpięrają. Odgłos potoku, coraz wyrazistszy, zmienił się w krótkce w ryk przeraźliwy.

Słyszałem jak Raul rzucił mi kilka ostrzegających wyrazów, ale niedosłyszałem ich treści, gdyż głos uciał tak nagle, jak gdyby przepadł w otchłani.

Czekałem rychło-li przyjdzie wędrować za nim, gdy nagle mulica zarżała gwałtownie i cisnąwszy się podemną, zaczęła pogrążać się w jakąś głębią.

Przez chwilę mniemałem żeśm wpadł w otchłań, ale zaraz muł stanął na nogach i galopował dalej po równej drodze. Odetchnąłem!...

Znów się muł rzucił — krępujące mnie rzemieńnię wyprężyły się tak silnie, iż przerzynały mi ciało jak nożem; nareszcie muł wpadł w środek rzeki i woda objęła mnie do połowy ciała. Tam przecież zatrzymał się, a ja, przyszedłszy cokolwiek do siebie, z całych sił przywoływać Francuza zacząłem.

— Jestem, kapitanie, jestem! odezwał się blisko mnie, ale dziwnym jakimś głosem, podobnym do tego jaki wydaje płyn nagle wylévany z butelki.

— Czyś raniony, Raulu? zapytałem go.

— Raniony? nie, kapitanie.

— Cóżes to do mnie mówił?

— Chciałem tylko pana uprzedzić, ale już było

za późno. Domyśliłem się z ruchu naszych mułów że się zbliżamy do wody, gdyż i z niemi nielepiej jak z nami się obchodzą. Słuchaj pan jak teraz smacznie piją.

— Boże mój! ledwie się nie zaduszę z pragnienia! zawołałem, usłyszawszy szmer wody przeciskającej się przez zęby pijącego muła.

— To też zrób jak ja, kapitanie! rzekł znów Raul głosem stłumionym, jakby wychodził ze studni.

— A jakże robisz? zapytałem.

— Nachyl się na siodle i staraj się aby ci sama woda w usta wpłynęła.

Wówczas dopiero pojąłem powód nienaturalnego głosu Raula.

— Niedaliby nam wody ani kropelki, mówił on dalej, jest to jedyny sposób ugaszenia pragnienia jaki nam zostaje.

— Ależ ja dokazać tego nie mogę — odrzekłem, po kilku bezskutecznych wysiłkach, aby zniżyć swe ciało do poziomu wody.

— A to dlaczego? zapytał mój towarzysz.

— Bo nie mogę dość się zniżyć.

— A jak pan jesteś głęboko w wodzie?

— Dochodzi mi aż do wierzchu siodła.

— No! to zbliż się ku mnie, kapitanie, tu rzeka daleko głębsza.

— Ale jak to zrobić? — muł od własnej tylko zależy woli, bo w mojem położeniu zmusić go do ruchu nie mogę.

— Dalibóg — ze wszystkiem o tém zapomniałem — odpowiedział Francuz.

Na szczęście moje mulica, czy to w chęci wyświadczenia mi przysługi, czy też, co prawdopodobniejsze, pragnąc odwilżyć zapylone boki, pograżyła się głębiej w rzekę.

Namęczywszy się niemało, zdołałem przecie zgiąć się na siodle i głowę w wodzie zanurzyć. W tak trudnej postawie zaledwie potrafiłem połknąć kilka łyków ożywczego napoju, i to więcéj zaczerpnąłem go nosem i uszami niż w usta.

Clayley i Chane poszli za naszym przykładem, chociaż biedny Irlandczyk klął okropnie i prowadzących nas łotrów wszystkim diabłom oddawał w opiekę za to, że nas dobrych chrześcian zmuszali poić się na sposób dzikich koni.

Dozorcy nasi wkrótce muły wygnali z wody i zaczęliśmy wdrapywać się na brzeg przeciwległy, gdy wtém poczułem lekkie trącenie po ramieniu i głos jakiś szepnął mi do ucha:

— Odwagi, kapitanie!

Zadrzałem, i już miałem coś odpowiedzieć, gdy mała i delikatna rączka wsunęła się pod *tapajo* zasłaniające mi oczy, i włożyła mi w usta maleńki papier.

Odgłos galopującego obok konia dał mi poznać że tajemnicza protektorka już oddaliła się; — zachowałem więc najzupełniejsze milczenie."

Wkrótce gerylasy stanęli, dla odbycia siesty, w minach opuszczonego klasztoru i zamknęli w ciasnym i dobrze obwarowanym miejscu uwięzionych Amerykanów. Haller z listu tajemniczego dowiedział się, że przyjaciele jego, don Kosme i jego córki, znajdują się blisko niego i myślą o jego uwolnieniu.

„Przez chwilę — opowiada nasz bohater — zagrożony byłem w najgłębszym dumaniu po przeczytaniu listu i ani pomyślałem nad możliwością wyglądania przez strzelnicę. Potém przecie, wspiąwszy się na palce i wyciągnąwszy szyję, zacząłem starannie rozpatrywać się w otaczającej nas okolicy.

Wprost okienka widać było gęstwinę z drzew ogromnych oświeconych słońcem. Rosły w niej dzikie palmy powiązane latoroślami czerwonego wina, którego kwiaty po gałęziach jak girlandy rozwieszono, tworzyły po przed oknem zasłonę niby z szkarłatnego atlasu. Między palmami świeciły białe kielichy *magnolii*, ciemniały zaokrąglone drzew pomarańczowych korony, okryte owocem złocistym, a nieco dalej kilka palm *corozos* strzelały z wdziękiem ku niebu wierzchołkami podobnymi do olbrzymiego pióropuszu.

Najlżejszy nawet wietrzyk nie poruszał téj masy zieleni. W jednym z tych klombów, gdzie pnące się po palmach liany tworzyły ponad ziemią jakby zielone sklepienie, niedostępne palącym promieniom słońca, dostrzegłem trzy hamaki zawieszono na gałęziach. Jeden był pusty, dwa drugie zajęte. Po barwie i materji ubrania jakie przeglądało przez siatki hamaków, poznałem że w nich były kobiety.

Odwrócone twarzą odemnie, spoczywały nieruchome, jakby uspione. Podczas gdym się przyglądał, ta co zajmowała hamak mnie bliższy obudziła się, zmieniła położenie, szepnęła słów kilka i znów zasnęła. Teraz twarz jój była zupełnie do mnie zwróconą. Serce mi zadrzało, i moje jestwo nieopisanego doznało wzruszenia, gdym poznał w niej piękną Gwadalupę Rozales.

Jedna z jej nówek, w jedwabnej pończosze, z niedbalym wdziękiem zwieszała się z nadpowietrznego łoża, a trzewiczek atlasowy leżał na ziemi. Głowę wspierała na materyalnej poduszce i długi promień kruczego warkocza, wymknąwszy się podczas snu z więzów szyldkretowego grzebienia, spływał między sznurami hamaku aż do samej murawy. Przez przejrzystą tkanę muslinu widać było ruch regularny wznoszącego się łona.

Tysiączne a najsprzeczniejsze uczucia w sercu mém zawrzały: zadziwienie, rozkosz, miłość i smutek. Tak smutek! bo jak mogła zasypiać tak słodko i spokojnie, gdy ja, o kilka kroków od jej rozkosznego łoża, byłem okryty więzami i traktowany jak nędznik ostatni!

Uwaga moja zwróciła się nagle od pięknej uspio-nej do przerażającego strachem przedmiotu. Już piérwój, gdym na nią patrzył, wzrok mój padł wypadkiem na jakiś zwój pierścieni około liana okręconych. Niewiele nań zważałem, sądząc że to jest jedna z odnóg wina pnącego się po najbliższej lodydze jakiej dosięgła, jak się to zawsze dzieje w lasach Meksyku; lecz gdy promień słońca nagle te zwoje oświecił, dostrzegłem że się niezwykajnie błyszcząły. Przypatrzyłem się uważniej i z najwyższém przerażeniem poznałem, że owe pierścienie formował straszliwy wąż. Gad ten okręcił splotami pasożytną roślinę, spuścił się z wierzchołka palmy, gdzie na łup czatował, a doszedłszy do pewnej wysokości, odwinął dwa lub trzy kręgi i wyciągnął horyzontalnie szyję po nad hamakiem. Wówczas dopiero wpadły mi w oko dwie wypukłości na głowie gadu, po których poznałem najstraszliwszą żmiję amerykańską, *Cobra di capello*.

Przez kilka sekund wąż nieruchomy, z lekko wygiętą szyją jak u łabędzia, wznosił swą głowę o stopę ledwie nad twarzą uspio-nej.

Zdawało mi się że widzę drżenie lekkiego puszkę okrywającego górną wargę dziewczicy pod ja-dowitym oddechem obrzydłego gadu.

Wkrótce wąż poruszył nieznacznie łbem na obie strony i lekko sycząc zaczął. Rogi czyli narosła uzbrajające jego głowę zwiększały szkaradę całej postaci. Czasami z rozwartej paszczy wypuszczał widłowaty i jak rubin na słońcu jaśniejący język.

Zdawało się że ciskał na swą ofiarę owe spoj-rzenia wprawiające w bezwładność i zapowiadające śmierć niechybną. Chwilami zdało się jakby dziewczę ruszało ustami i wznosiło lub cofało głowę, odpowiednio poruszeniom żmiji.

Ja, bezczynny i bezsilny świadek téj straszliwej sceny, równie duszą jak wzrokiem śledziłem jej przejścia. Zresztą, choćbym był wolnym, żadnej pomocy udzielić nie mogłem. Owszém, widziałem że ofiara mogła się tylko ocalić zupełną spokojnością i milczeniem, gdyż węże kęsają wtedy jedynie, gdy są rozjątrzone lub przestraszone.

— O Boże! krzyknąłem w najwyższym przestachu, to szatan we własnej postaci! Poruszyła się!... nie... jeszcze nie... znów się uspokoiła! — O! biada! zadrzała... hamak się buja... a ona rzuca się pod wpływem morderczego uroku!... Ach!...

Rozległ się wystrzał karabina... a w téjże chwili wąż nagle cofnął głowę, rozpuścił sploty i upadł na ziemię, wijąc się z boleści.

Uspio-nej dziewczyny obudziły się, krzyknęły i wyskoczywszy z hamaków, wzięły się za ręce i znikły w gęstwinie.

Na huk wystrzału, zbiegło się kilku ludzi, którzy dobywszy szabel rozsiekali węza. Jeden z nich schylił się, a przyjrawszy się zabitemu, zawołał:

— *Carai!* on ma dziurę w głowie, wyraźnie od kuli.

Po chwili pięciu lub sześciu gerylasów otworzyło drzwi od naszego więzienia i wpadło krzy-cząc:

— *Quien tira?* (kto strzelił).

— Co chcesz? odburknął Raul, który od czasu jak mu wody odmówiono ciągle był w najgorszym humorze.

— Pytam się kto strzelił? powtórzył Meksykanin.

— A jakże chcesz u diabła, żeby który z nas strzelał? Oj! kochanku! gdybym to mógł zrobić, tobym pewno przedewszystkiém wpakował kulę w twój łeb szkaradny.

— *Santissima!* krzyknął Meksykanin z najwyższém podziwieniem, żaden z tych ludzi strzelić nie mógł, bo wszyscy są skrepowani!

Poczém odeszli, zostawiając nas własnym domysłem."

Trafny ten strzał, który ocalił uspio-ną Gwadalupę Rozales, pochodził z wprawnej ręki Lincolna, czatującego w pobliżu na stosowną porę douwolnienia współtowarzyszów. Po daremnych poszukiwaniach ukrytego strzelca, gerylasy zabrali więźniów i znowu rozpoczęli długi i utrudzający pochód. Nareszcie stanęli dla odpoczynku i przepędzenia no-

cy w miejscu które Haller malowniczo tak opisuje: „Zdjęto nam z oczu zasłony, a przejście do światła tak było rażące, że przez kilka chwil nie w około rozróżnić nie zdołaliśmy.

Zawleczono nas i ciśnięto w jeden róg *patio* — to jest obszernego dziedzińca, okrążonego zewsząd potężnymi murami i budowlami o płaskich dachach.

Zabudowania owe były niskie i dość niedbale stawiane, wyjąwszy samego korpusu stanowiącego mieszkania. Resztę składały stajnie, stodoły i oficyny przeznaczone dla służby i gerylasów. Wdłuż głównego budynku ciągnęła się galerya, z balustradą ozdobioną wazonami pełnymi kwiatów. Zasłony ze szkarłatnego sukna osłaniały ją od palących promieni słońca, a przez ich rozchylone składy widać było wewnętrzne umeblowanie pokojów, które się dość kosztownym zdawało.

W pośrodku *patio* biła wysoka fontanna i spadała w wielki wodozbiór kamienny, otoczony gajem drzew pomarańczowych, których gałęzie, obsypane kwieciami i owocami, kąpały się w wodzie.

Był to razem arsenał, gdyż ściany pokrywała broń wszelkiego rodzaju, jak: fuzye, pistolety i szable. Nawet w jednym z rogów *patio* stały dwie armaty, z należącymi do nich jaszczykami i przodkami.

Na boku ciągnął się długi żłób, otoczony dwoma rzędami mustangów i mulów, cheiwie chrupiących nasypyany mais. Widoczne ślady siodła na ich grzbietach wskazywały że to byli współtowarzysze ciężkiej naszej podróży.

Ogromne psiska, zalegające spieczone upałem płyty podłogi, warczały za najmniejszym hałasem przy wejściu. Po szerokich paszczekach i rudawej ich sierści, łatwo było rozpoznać że są z hiszpańskiej rassy i że pochodzą w prostej linii od owych straszliwych brytanów, z jakimi Korteż polował na nieszczęśliwych krajowców Nowego świata.

Jedni z gerylasów, obsiadłszy w gruppach zapalone ognisko, piekli na szablach kawały wołowego mięsa, drudzy naprawiali siodła lub czyścili stare karabiny i dziwotworne *tromblony*; insi nareszcie przechadzali się poważnie, pyszniąc się świetną *mangą* lub drapując się w malowniczą *serape*.

Wielka ilość kobiet, okrywszy głowy w *rebozo*, uwijała się między mężczyznami, zajmując się rozmaitą pracą; jedne czerpały dzbanami wodę z fontanny; inne, klęcząc przed płaskimi kamieniami,

gniotły ciasto na *tortille*, robiły czekoladę lub *chile*, albo też piekły *frijole*. Wszystko to przecież nie przeszkadzało im śmiać się i żartować z otaczającą młodzieżą.

Od czasu do czasu oficer, odznaczający się krojem sukni, wychodził na galeryę, wydając rozkazy gerylasom, poczem znów krył się wewnątrz domu.

Ogromne paki towarów leżały gromadnie w jednym z rogów dziedzińca. Około nich uwijały się *arrieros* w skórzanym ubraniu, którzy albo zabezpieczali na noc swoje ładunki, albo zawieszali *alparejas* swoje na gwoździach w tym celu w ściany powbijanych.

Z małej wyniosłości, na której nas umieszczono, widzieliśmy po przez przyległe dachy rozciągające się daleko i szeroko pola zakończone wysokimi lasami. Na horyzoncie rysowały się *Cofre de Perote* oraz wierchołki Andów, a nad tém wszystkim w eterycznym przezroczu świecił śnieżysty szczyt *Orizawy*, jak olbrzymia biała piramida cudnie odbijająca od ciemnego niebios szafiru.

Widok ten wspaniały, czysty i pogodny miał w sobie taką uroczą wielkość i wzniosłość, że na chwilę zapomniałem prawie o więzach i niewoli. Niestety! nie długo trwało to złudzenie! Rozwiął je w krótkce głos gerylasa Jose, który nadszedł z dwoma *peonami* dźwigającymi naszą wieczerzę.

Cała biesiada nasza składała się z czarnej rzepy i półtuzina placków zwanych *tortilla*. Nie był to zbytek, przecież zgłodzeni śmiertelnie, nie myśleliśmy przebiierać w zastawionych nam potrawach. Postawiono półmisek i po raz pierwszy rozwiązano nam ręce. Nie dano nam wprawdzie ani widelców, ani nożów, lecz Raul nauczył nas jak się jada po meksykańsku, i za jego przykładem tortillami chwytaliśmy szybko rzepę, która w oka mgnieniu znikła wraz z zaimprovizowanymi łyżkami.

Nadeszła noc, a drżące płomienie zapalonego łużywa oświeciły całe *patio*. Przy tém czerwonym oświetleniu wszystkie przedmioty i osoby, tak już same przez się malownicze, przybrały jeszcze bardziej fantastyczne kształty. Gerylasy w szerokich kapeluszach, ozdobionych po większej części piórami, ich czarne płomieniące oczy, ich zęby ostre i białe, twarze na wpół dzikie, ubiory z żywych barw złożone, wszystko to składało się na utworzenie uderzającego oczy obrazu.

Uszy równie jak oczy zmuszone były podziwiać, bo większa część dochodzących nas dźwięków była zupełnie nową i obcą. Sam nawet głos ludzki

miał tu jakieś dziwne i nieznanne brzmienie. Język na wpół indyjski a na wpół hiszpański, którym gerylasy krzyczeli, śpiewali i mówili, tworzył dziwną sprzeczność z naszym saksońskim dialektem. Prócz tego przeciągłe wycia psów, rzenie mułów i koni, szczęk szabel i brzęk ostróg z dzwonekami, oraz tęskny śpiew *poblanas*, naśladujący pieśni indyjskie, mieszały się z dźwiękami mandolin i zbiegały się w dziwną jakąś wrzawę.

W pobliżu ogniska przy którym leżeliśmy gerylasy i kobiety tańczyli z zapalem *tagarotę*, rodzaj fandango. Mężczyźni, dla lekkości w ruchach, zrzucili płaszcze i kapelusze, niektórzy nawet porozpinali boki swoich kalzoneros i podnieśli je w górę, zatykając je za pasy na wzór Beduinów. Kobiety pozdejmowały *rebozos*, i zakasały rękawy koszul; piersi ich zaledwie na w pół przykryte i krótkie spódniczki ruchem tańca wznoszone zdradzały prawdziwe ich kształty.

Dwóch grajków siedzących na taboretach popsutych i okrytych skórą brzęczało w mandoliny. trzeci z całej siły szarpał strony jakiegoś staruszki gitary—wszyscy zaś trzej łączyli z tą muzyką swoje przenikliwe i nieprzyjemne głosy.

Tancerze uszykowali się w równoległobok, parami naprzeciw siebie, i w bezustannym byli ruchu, wybijając takt głową, nogami i rękami. Szczególniej też ostatnie najważniejszą odgrywały rolę: klaskano niemi i uderzano się po policzkach i biodrach.

Gdy pary zmieniły kilkakrotnie zajmowane miejsce, jeden z tancerzów odłączył się, i udając garbatego, stanął w pośrodku koła, dokąd pociesznymi ruchami usiłował zwabić swoją tancerkę. Ta przez czas niejaki niby się opierała, potem złączyła się ze swym tancerzem, i już razem oboje najdziwniejsze i najśmiészniejsze robili figury, aż do chwili gdy druga para miejsce ich zastąpiła.

Jedni z tańczących udawali że rąk, drudzy że nóg nie mają, niektórzy chodzili na piętach, na kolanach, jednym słowem, usiłowali naśladować wszystkie ułomności i wady przyrodzone, choćby najwstrętniejsze. *Tagarota* składa się bowiem z figur niby śmiesznych a bezecnych, i ten co potrafi przybrać najbrzydszą postawę, uchodzi za najlepszego tancerza. *Gerillero* który najwięcej otrzymał poklasków, tańczył na brzuchu, nie poruszając ręką ani nogą. Mimowoli ta pozycja przypomnia-

ła nam niezbyt dawną gimnastykę naszą, gdyśmy się napić w strumieniu starali.

— Dalibóg! potrafilibyśmy też samę sztukę! odezwał się Chan, który przyglądał się tagarocie z silnym zajęciem i ciągle nad nią prawil komentarze.

Ja zaś, bardziej z odrazą niż z upodobaniem, przypatrywałem się jakiś czas temu widokowi, a nareszcie znudzony nim, zwróciłem oczy ku galeryi, na wpół zasuniętymi frankami zamkniętej.

— Dziwna rzecz, pomyślałem, nic o nich nie słychać. Czyżby się udali inną drogą? Nie! — tutaj być muszą, wszak *Narcysso* przyrzekł jeszcze tej nocy... On więc przynajmniej jest tutaj — lecz ona!... może także w tym domu bawi się wesółą, szczęśliwą, obojętną!

Ta myśl ostatnia rozogniła wszystkie rany mego serca. Wtém franki otworzyły się zupełnie, ukazując mym oczom świetne widowisko. Niestety! byłem jak potępieniec, spoglądający na rajskie rozkosze! Widziałem tam oficerów w świetnych uniformach, między którymi *Dubrosc* odznaczał się elegancką postawą; widziałem kobiety postrojone bogato, a między niemi!... Była tam także i jej siostra z donną *Joakiną*, oraz pięć lub sześć kobiet również jedwabiem i brylantami okrytych.

Wielu z kawalerów miało na sobie malowniczy kostium gerylasów. Zebrano się do kadrylla.

— Kapitanie, patrz! — zawołał *Clayley* — wszak to don *Kosme* z całą swą rodziną!

— Tak, ale mnie nie zaczepiaj i nieodzywaj się do mnie!...

Wzruszenie moje tak było silne, że prawie odetchnąć nie był w stanie; w gardle mi zaschło a zimny pot kroplami spadał mi z czoła.

— *Dubrosc* zbliża się do niej... prosi ją do tańca... Zezwala!... Nie! odmawia! Kochana dziewczyna! Oddała się nawet z koła tańczących. Patrzy na dół przez balustradę i zdaje się być smutną... Wzdycha!... Czémże jej łono tak silnie wzburzone?... Otóż znów się do niej zbliża... ona się uśmiecha... dotyka się jej ręki!...

— O wściekłości! o zdradziecka kobięto!... zawołałem, rzucając się ku nim w przystępie rozpaczy, ale związane nogi zniweczyły szalone zamiary i runąłem na ziemię całym ciężarem ciała.

W tej chwili nadbiegli strzegący nas gerylasy, związali mnie i moim towarzyszom ręce i zaprowadziwszy do małej izdebki w rogu patio znajdu-

jącej się, zamknęli nas na klucz, pozostawiając w ciemności.”

Nareszcie uwiezieni Amerykanie, za pomocą przyjaciół tajemnie ich wspierających, wyłamali się z więzienia, połączyli z Lincolnem i pomimo silnej pogoni zdolali ukryć się w pobliskich gęstwinach. Tam, znużeni biegiem i trudami, sądząc się już daleko od nieprzyjaciół, zasnęli spokojnie. Dalsze wypadki tej ucieczki tak Haller opowiada:

„Już dobrze dniało, gdy się zbudziłem. Wszyscy moi współtowarzysze, z wyjątkiem Clayleya, już powstawali i rozniecali ogień drzewem wydającym bardzo mało dymu, jakie im Raul wskazał w pobliżu. Zajmowano się przygotowaniem śniadania. Na jednej z gałęzi wisiało jeszcze drgające obrzydłe cielsko *iguana*, które Raul obdzięrał ze skóry, podczas gdy Lincoln starannie karabin nabijał.

Irlandczyk, siedząc na trawie, obierał banany i piekł je w żarzącym popiele.

— Na świętego Patrika! rzekł Chan, gdyby mnie kto powiedział w mojej ojczyźnie, że jeść będę kiedy podobne robactwo, anibym mu wierzył!

Wkrótce iguan upiekł się i został zjedzony z wybornym apetytem.

— Jakże ci się to wydaje? zapytał Raul Murtaga ze śmiechem.

— Zdaje mi się tylko, — odrzekł zapytany, że to zawsze lepsze niż pusty półmisek, ale...

— Cicho! przerwał Lincoln, zadrżawszy i upuszczając niesiony do ust kawałek.

— Cóż takiego? zapytałem.

— Zaraz ci odpowiem, kapitanie.

To mówiąc, strzelec znakiem nakazał milczenie, a sam, wyszedłszy z gęstwiny, położył się na ziemi.

Znany nam był ten sposób słuchania, z niepokojem więc czekaliśmy wypadku jego spostrzeżeń. I czekaliśmy niedługo, bo zaledwie Lincoln przyłożył ucho do ziemi, zerwał się nagle i krzyknął:

— Przez Boga żywego! psami nas tropią!...

Lincoln bardzo rzadko używał zaklęcia, a jeżeli mu się to trafiło, wypadek musiał być wielkiej wagi; wreszcie wyraz jego twarzy, zdradzający rozpacz, dopełniał aż nadto wymownie treści wyrazów.

Wykrzyk sierżanta galwanicznie na obecnych oddziałal; wszyscy zerwali się od ogniska i padli twarzą na murawę.

Nikt słowa nie wyrzekł, ale każdy, naśladując Lincolna, pilnie ucho przykładał do ziemi.

W tej postawie słyszeliśmy zrazu głuchy szmer, do brzęku pszczoł podobny, który dobywał się jakby z wnętrza ziemi; potem szmer ten rósł w siłę, zmienił się w przeciągłe ujadanie i nagle ustał zupełnie. Po małej przerwie hałas się wznowił, ale tym razem jeszcze był wyraźniejszym, i już na chwilę nie można było wątpić że to psy gończe czekały.

Tak jak odrazu Lincoln powiedział, — tropiono nas hiszpańskimi ogarami.

Powstaliśmy, szukając oczyma jakiegokolwiek broni, lecz gdyśmy dopatrzyć jej nie mogli, spojrzeliśmy po sobie z wyrazem niemiej rozpacz.

Jeden karabin i dwa noże składane stanowiły całe nasze uzbrojenie.

— Cóż teraz poczniemy? — zapytał któryś.

I w tej chwili oczy wszystkich zwróciły się na Lincolna.

Strzelec stał nieruchomy, ściskając ręką lufę karabina i ze spuszczonego ku ziemi wzrokiem.

— Raulu! jak daleko jesteśmy od wąwozu? — zapytał po chwili milczenia.

— Najwięcej ze dwieście kroków.

— Podług mnie, nie pozostaje nam, kapitanie, jak wejść do wody, a jeżeli potok jest do przebycia, oddzielić się nim od psów goniących. Czy masz co przeciw temu?

— Nie, bo ja sam myślałem o tym sposobie.

— Gdybyśmy mieli nasze *bowies* (noże myśliwskie) moglibyśmy nieruszając się z miejsca na psy zaczekać, ale ich nie mamy; wnioskuje zaś z odgłosu szczekania, że najmniej tuzin psów pędzi za nami.

— Tak! niepodobna tu pozostać. A więc Raulu prowadź nas do wąwozu. Francuz ruszył naprzód, a my wszyscy za nim zaczęliśmy się przedziierać przez gęstwiny.

Przybywszy do potoku, weszliśmy w łożysko.

Był to jeden z owych strumieni tak pospolitych w Meksyku, których ciche wody przerywane są nagłymi kaskadami. Spadki te po większej części bywają niesłychanie gwałtowne. Wody, ściśnięte ciasnymi brzegami bazaltu, spadają pieniając się i ryjąc w łożysko zasiane skalami.

W miejscu gdzieśmy weszli do potoku, woda była bez najmniejszego ruchu, szliśmy więc z jej brzegiem z wszelką łatwością aż do drugiego podobnego miejsca, przedzierając się przecież z wielkim trudem przez kaskady pośrednie drogi tamujące.

Ów drugi stawek miał ze sto kroków długości, a wodę czystą jak kryształ sięgającą nam do pasa.

W nadziei że już zrobiliśmy dość drogi dla odwrócenia pogoni, wdrapaliśmy się na brzeg i szli dalej łądem w kierunku równoległym do potoku. Zawsze przecież trzymaliśmy się blisko jego brzegów, w przypuszczeniu że wybiegnasz jeszcze raz może przyjdzie powtórzyć.

Szczekania psów, tak donośne przed chwilą, zupełnie ustały:

— Dobiegły widać do potoku — odezwał się Clayley.

— Nie! — odrzekł Lincoln, posłuchawszy chwilę — ony znalazły resztki iguana.

— Otóż masz! zaczynają! zawołał któryś, w chwili gdy psy na nowo chórem zagrały. W parę minut znów szczekania ustały, i słychać było warczenie psiarni szukającej tropu.

Idąc tak z biegiem strumienia, zrobiliśmy ze dwie mile, i tylko czasem dolatywał nas odgłos oderwanych naszczekiwań. Sądziliśmy już że psy zupełnie ślady nasze straciły, gdy nagle Lincoln, który szedł z tyłu, na nowo ucho pilnie przyłożył do ziemi.

Zatrzymaliśmy się, zwracając na niego pełne niepokoju spojrzenia. Zerwał się wkrótce z ziemi, silnie kolbą w nią uderzył i ze wściekłością zawołał:

— Niech piekło pochłonie te psy przeklęte! znalazły ślady i znowu pędzą za nami.

Wróciliśmy do wąwozu, a przebywszy kilka skał, weszliśmy napowrót do potoku i dalszą drogę odbywaliśmy środkiem jego koryta.

Wykrzyk Raula, który nas prowadził, wkrótce nas zatrzymał, i niebawnie ujrzelśmy wszyscy powód tego wykrzyku. Doszliśmy bowiem do miejsca gdzie potok pogrążał się w przepaści, zwaną w języku krajowym *cannon*.

Po obu stronach wznosiły się strome skały, na paręset stóp wysokie, a woda tak gwałtownie spadała w ciasny otwór między niemi, że puszczać się z jej biegiem byłoby szaleństwem, grożąc rychłym zgruchotaniem o nadbrzeżne skały.

Chcąc iść dalej z biegiem potoku, należało wyjść na łąd i przynajmniej o milę go okrążyć. — Było to jawne niepodobieństwo, gdyż psy dognaćby nas musiały o trzysta kroków najdalej.

Spojrzelśmy się badawczo po sobie — szczególniej od Lincolna czekając rady i pomocy.

— Tym razem chybaśmy już przepadli! rzekł on, zgrzytając zębami.

— Nie jeszcze! zawołałem, uderzony nowym pomysłem.

Za mną, koledzy! ucieczem przed psami, jeżeli potrafimy wdrapać się na szczyt tych wyniosłości.

I wskazałem ręką skały sterczące nad naszymi głowami.

Głośny okrzyk Lincolna świadczył o przyjęciu propozycji. Hurra! krzyknął on, na brzeg wyskakując, — doskonały pomysł kapitana! Dalej chłopcy na górę!

Po chwili czepialiśmy się urwistych boków skały, a po kwadransie pracy rękami i nogami doszliśmy do szczytu. Był to mały taras kępami trawy obrosły, który panował nad całym potokiem, pędzącym z rykiem u spodu.

Odetchnęliśmy na chwilę — gdyż ciężkie wejście na skały niesłychanie nas zmęczyło. Chciałem sam ocenić głębokość przepaści nad jaką byliśmy zawieszeni, i spojrzałem na dół. Aż mi się w głowie zakręciło! Więcej niż o dwieście kroków pod nami, u spodu ścian skalistych, pędził potok wpadający do przepaści i okrywał wieczną pianą kamienie swego łożyska.

Między nami i potokiem wzrok na niczym zatrzymać się niemógł. Ściany były prostopadłe, bez żadnej nierówności, i ani jedno drzewo nie złagodziłoby siły upadku. Spojrzenie zatrzymywało się dopiero na urwiskach skał łożysko tworzących.

Uplęnęło kilka minut, zanim ujrzelśmy naszych dziwnych nieprzyjaciół, ale każde szczeknięcie ostrzegało że się coraz zbliżają. Tropy nasze były świeże i oczywiście odkryte. Jakoż wkrótce usłyszeliśmy szelest krzaków i ujrzelśmy białawe psów piersi, pomiędzy zielonością liści. Wchwilę potem ogar przodowy na brzeg wyskoczył, i otworzywszy straszliwą paszczkę, zawył okropnie.

Natrafiał on na miejsce w którym weszliśmy do wody. Reszta psów wypadła z gęstwiny, a złączywszy się z pierwszym, chórem szczekań objawiła zawód w poszukiwaniu.

Jeden z nich, pies stary, wprawny i doświadczony, pobiegł aż do otworu *cannon'u*, to jest do miejsca gdzieśmy potok przebywali. Ztamtąd rzucił się w koryto strumienia, a skacząc po skałach, dotarł do miejsca gdzieśmy wyszli z wody. Silnym wyciem ostrzegł resztę że tropy odszukał, i zaraz też cała psiarnia popędziła w tym samym kierunku. Gdy przecież ów pies najstarszy rozpedził się,

w zamiarze dostania się na skałę, po której wdrapaliśmy się na wierzchołek, Lincoln dał ognia. — Pies lekko zaskowyczał, pogrążył się łbem w wodę i zniknął w głębinach *cannon'u*.

— A więc jednym mniej! — rzekł strzelec, spiesznie broń nabijając.

Reszta psów nie zważała na zniknięcie przewodnika i nieprzestawała biedz za naszym śladem, bezustannie szczekając. Widzieliśmy jaknajdokładniej każdy krok co ich do nas przybliżał, a gdy jeden z nich wychodził już z koryta potoku i zamierzał wdrzeć się na górę, Lincoln powtórnie wystrzałem przeciął pogoń i życie zwierzęcia.

— Dwoma wrogami mniej! — rzekł znowu, ciskając broń o ziemię. Już niepodobna było dłużej jej używać, gdyż psy, dojrawszy nas, porzuciły bezpotrzebne tropy i z szybkością wskakiwały na skały, na które my zaledwie z trudem zdołaliśmy się wdrapać. W kilka chwil nas opadły, i zaczęła się straszliwa osobista walka, w której psy i ludzie razem splątani okropny obraz tworzyli.

Jak długo trwała ta bitwa, powiedzieć nie umiem, wiem tylko że ujrawszy się otoczonym zewsząd straszliwymi poczwarami, uczułem jak coś mnie szarpało straszliwie ostremi zębami. Bronilem się z odwagą rozpacz; nareszcie, uchwyciwszy ręką ogon, szyję czy łapę napastnika, straciłem go w przepaść.

Nie na długo jednak uwolniłem się, gdyż prawie natychmiast nową walkę rozpocząć musiałem.

Była nawet chwila, w której straciwszy równowagę wisiałem nad przepaścią i o mało nie spadłem wraz z wrogiem. Zdobyłem przecież dość siły do utrzymania się na skałe, ale to było ostatnie wysilenie; padłem na murawę, niezdolny do dalszej obrony.

Obejrzałem się: Clayley i Raul, równie jak ja krwią zboczeni i pokaleczeni, leżeli na ziemi. — Lincoln i Chan trzymali psa, jeden za łeb, drugi za tylne łapy i bujali nim w powietrzu, chcąc go wrzucić do przepaści.

— Zwawo Murtag! wołał strzelec, rozmachając go dobrze, a przerzucimy na drugi brzeg wąwozu. Raz! dwa! trzy! hop!

Pies wyleciał w powietrze — spojrzałem co się z nim stanie. Przebywszy przestrzeń rozdzielającą oba brzegi wąwozu, uderzył się o przeciwległą opokę, odbił się i zwałił z łoskotem w ziejącą przepaść.

Był to już ostatni z bandy.

Teraz znów dziki okrzyk zwrócił całą naszą uwagę; wydawali go ścigający nas gerylasy, którzy występowali z zarośli. Wszyscy byli na koniach i zatrzymali się u spodu opoczystych wzgórzów.

— Co znaczy ten okrzyk, Raulu? powiedz co on znaczy?

— Znaczy to, że się zawiedli. Muszą teraz zsiąść z koni; gdyż niepodobna aby się na skały na nich dostali.

— Ach, gdyby choć każdy z nas uzbrojony był karabinem! to zdaje mi się że tą ścieżką...

Spojrzałem na wejście, i poznałem że łatwo byłoby je bronić, gdybyśmy mieli broń której nam właśnie brakowało.

Gerylasy zsiadli z koni, uwiązali je u drzew i gotowali się do przejścia na brzeg przeciwny. — Jeden z nich, w którym po piórku na kapeluszu i strojności ubrania poznaliśmy naczelnika bandy, wszedł już nawet w koryto potoku i z dobytą szablą stanął na odłamku skały. Zaledwo dzieliło go trzysta kroków od miejsca któreśmy zajmowali.

— Jak myślisz, doniesie kula? zapytałem Lincoln, który broń nabijał i wpatrywał się w Meksykanina, zapewne w celu zmiarkowania odległości.

— Lękam się czy nie będzie za daleko, kapitanie. Oddałbym swój żołd półroczny, gdybym miał teraz dobry karabin. Przecież spróbuję! Murtag! stań no przedemną! Znadto jesteście na widoku; gdyby Meksykanin dostrzegł że go na cel biorę, gotówby pierzchnąć jak daniel.

Chan zasłonił sierżanta szerokimi barkami, a ten, oparłszy karabin na jego ramieniu, złożył się na Meksykanina. Dowódca gerylasów dostrzegł to poruszenie, a zgadując niebezpieczeństwo, już się odwrócił i uciekać zamierzył, gdy rozległ się huk wystrzału. Piórko z kapelusza odleciało daleko — gerylas machnął konwulsyjnie rękami i całym ciężarem padł w wodę. Po chwili trup płynął nurtem potoku, w ślady piórka i kapelusza, a w mgnieniu oka wszystko pędem strzały wpadło w głębiny *cannon'u*.

Jednocześnie usłyszeliśmy głos donośniej nad inne wołający: — *Carajo, guardaos! esta el rifle del diabolo!* (Strzeżcie się! to ta broń szatańska.)

Gerylasy, przestraszeni śmiercią naczelnika, ukrywali się za skałami. Ci nawet, co pozostali przy koniach, za drzewami lub wzgórzami szukali schronienia.

Najbliżsi nas odpowiedzieli na strzał Lincolna ogniem ze sztucerów, lecz źle wymierzone kule albo płaszczyły się na skałach, albo świszcząc przelatowały ponad nami. Clayley, Chan, Raul i ja, jako bezbronni, skryliśmy się poza odłam opoki, nie chcąc narażać się bezpotrzebnie na błędzące kule; Lincoln zaś, stojąc na samym szczycie, całą swą postać zwracał do nieprzyjaciela, jakby żartował z jego wystrzałów.

Nie widziałem nigdy człowieka równie na śmierć obojętnego. Odwaga jego była spokojną i zimną. Wzorowy ten żołnierz, stojąc na wierzchołku skały, używając broni z całą pewnością spokoju i spoglądając z pogardą na drżących od strachu nieprzyjaciół, tworzył jeden z tych obrazów, jaki raz tylko w życiu napotkać można, a jaki malowałbym z rozkoszą, gdybym penzlem władać umiał.

Strzelec stał nieruchomy, i z godną podziwu precyzją obchodził się z bronią, nie zważając na kule obok padające lub przelatujące w około jego głowy z tym szczególnym świstem, jakiego nie zapomni nigdy ten, co się choć raz w bitwie znajdował.

Waleczność taka przerażała nas samych; o ileż więc silniej działać musiała na wrogów! Już miałem zawołać Lincolna i dać mu rozkaż aby szukał schronienia, gdy dostrzegłem jak zaczął celować. Po chwili jednak opuścił karabin z giestem nieukontentowania. Powtórzył ten ruch kilkakrotnie, ale zawsze bez skutku, aż nareszcie z cicha mruknął przez zęby:

— Podli tchórze! jakby się w chowanego bawili!

W istocie, za każdym razem gdy Lincoln przykładł do twarzy swoją broń straszliwą — gerylasy tak gdzieś znikali, że niepodobna ich było dostrzedz.

— Niewarciu nawet psów własnych — ciągnął dalej, zwracając się do nas. Gdybyśmy mieli czas po temu, moglibyśmy ich tak trzymać aż do dnia sądnego.

Przecież widać było jakiś ruch ogólny między gerylasami, połowa bandy wsiadła na koń i oddaliła się galopem.

— Chcą przez bród zająć nam z tyłu — rzekł Raul — mają najwięcej półtoręj mili, za pół godziny zatem już na nas napadną.

Co tu począć? W koło nas nie widno ani lasu, ani wąwozu, w którychby się ukryć można. Rozciągająca się poza wzgórzami płaszczyna przed-

stawiała długie i nagie pola, gdzieniegdzie upstrzone samotnymi palmami lub pniami *yukasu*. Z zajmowanego przez nas wzgórza widzieliśmy jaknajdokładniej cały kraj na pięć mil w około, i tam dopiero zaczynały się lasy. Ale czyż mogliśmy dobieść do nich, zanimby nieprzyjaciel obskoczył nas zdołał?

Gdyby wszyscy gerylasy poszli do brodu, przynajmniej moglibyśmy wrócić do głębi wąwozu; lecz, jak już powiedzieliśmy, część ich została u spodu wzgórzów i odcinała tym sposobem wszelką nadzieję odwrotu. Jedyną więc ucieczką był ów las daleki.

Przedewszystkiem, chcąc skutecznie projekt ucieczki, należało zwieść czatujących na dole gerylasów; dognaliby nas pierwój niż drudzy, bo wiedzieliśmy z doświadczenia że chociaż Meksykanie źle się biją, ale biegają jak zające.

Udało się to przecież za pomocą starego indyjskiego wybiegu, którego i ja i Lincoln nieraz już używaliśmy. Nie prowadziłby on do niczego z tyralierami teksańskimi, ale był aż nadto dostateczny dla gerylasów meksykańskich.

Rozciągnęliśmy się na ziemi, tak iż nieprzyjaciel mógł dojrzyć tylko głowy nasze, do których też ciągle kierował sztucerowe strzały. Po chwili zaczęliśmy stopniowo cofać się tyłem, z murawy zaś wyglądały jedynie już końce naszych furazerek. W tém położeniu pozostaliśmy przez chwilę, okazując czasami całe nasze głowy. Niedługo przecież powtarzaliśmy tę pantominę; czas naglił, musieliśmy rozpocząć ucieczkę. Na szczęście że i takie podejście wystarczyło do zwiedzenia gerylasów.

Wkrótce więc wysunęliśmy głowy z czapek, a pozostawiwszy je jak można było w najnaturalniejszej pozycji, cofaliśmy się dalej, czołgając jak płazy. Przebywszy tym sposobem ze sto kroków, gdyśmy już dostrzeżeni być nie mogli, zerwaliśmy się z ziemi, i jak banda psów przestraszonych nagle uciekać zaczęliśmy.

Długo jeszcze grzmiały nam w uszach, strzały gerylasów, przekonywające że wybieg powiodł się doskonale i że będą próbować swojej zręczności do czapek, przez cały czas naszej ucieczki.

Tak zmykając, zwracaliśmy często poza siebie spojrzenia, chcąc się zapewnić czy nieprzyjaciel nas nie goni. Instynkt zachowawczy życia dodawał nam sił arcy-potrzebnych, gdyż przez upływ

krwi w walce ze psami i w rozlicznych poprzednich trudach wiele tój siły utracić nam przyszło.

Z przedłużaniem się przecież biegu owe sztuczne siły coraz bardziej opuszczają nas zaczęły. Na domiar biedy spotkała nas okropna burza, jedna z owych nawalnicy znanych tylko w krainach zwrotnikowych. Dészcz lejący potokiem bił nas po twarzy i rozmiękczał grunt pod nogami; błyskawice ślepiły, a siarczane wyziewy oddech tamowały.

Mimo to wlekliśmy się osłabieni, złamani i ledwie mogąc oddychać, bo pchało nas przekonanie że niechybna śmierć pędzi za nami.

Nie zapomnę nigdy tój straszliwój ucieczki: myślałem że się nigdy nie skończy. Mogę ją porównać tylko do owych snów okropnych, w których daremnie staramy się uwolnić od szponów dręczącej nas poczwary, czujemy wszystkie boleści i strachy konania, aż do chwili gdy wszystkie mary, jakby laską czarodzieja tknięte, niewiedzieć gdzie się rozwieją.

Nieraz potém śniłami się ta ucieczka, a zawsze się wówczas budził z uczuciem najwyższój zgrozy i przestachu.

Zbliżyliśmy się nareszcie do lasu, tak iż najwięcej z sześćset kroków dzieliło nas od tego schronienia. Sześćset kroków!.. to tak mało dla wypoczętego wędrowca! — ale dla nas to była przestrzeń bez końca!...

Mała łączka, przecięta strumieniem, przegradzała nas od lasu. Na tój łące, pokrytój kwiatami, ani jedno nie rosło drzewo. Weszliśmy na nią, a Raul, jako najwprawniejszy pieszek, wszystkim przodkował; Lincoln pozostał z tyłu, dla obserwacyi nieprzyjaciela i ostrzeżenia nas w razie niebezpieczeństwa.

Jakoż na krzyk przezeń wydany, wkrótce zmuszeni byliśmy obrócić się. Szczęściem za nadto już byliśmy zmęczeni i bezwładni aby nas cokolwiek wzruszyć zdołało, gdyż widok jaki nam się przedstawił i najodważniejszych mógłbył przerazić. Najmniej stu jeźdźców pędziło za nami galopem; z każdą chwilą byli coraz bliżej, i już ich wściekłe wrzaski rozdziérały nam uszy.

— A teraz, moi drodzy, myślcie o sobie. — Ja biore na siebie tego co ich wyprzedza, ale więcej nic zrobić nie zdołam — wołał sierżant za nami.

Probowaliśmy biedz dalej — lecz gerylasy coraz bardziej naciskali i kule ich sztucerów gwizdały nam koło uszu lub darły piasek w około. Na od-

głos wystrzałów Raul, który już dobiegł do lasu, wrócił się nazad. Dzielny ten chłopiec postanowił los nasz podzielić.

— Uciekaj, Raulu! zawołałem.

Ale głos mój był za słaby, nie usłyszał go wśród strasznej wrzawy i ciągle się ku nam przybliżał.

Potém słyszałem, już niedokładnie, stukot końskich kopyt, szcęk dobywanych szabel, a nad tém wszystkiém górujący wystrzał z karabina Lincolna, i jednocześnie okrzyk jego straszliwy.

W tój chwili zagrzmiało; huk ziemski zniknął w obec straszliwego głosu niebios. Wciągnąłem w płuca jakiś siarczany wyziew z powietrza; ognisty płomyk mignął przed okiem, i uczułem uderzenie jakby niewidzialną ręką, padając bez zmysłów na ziemię...

Jakiś chłód trzeźwiący, który mi oblał razem twarz i piersi, wrócił mi przytomność: — była to woda — Otworzyłem oczy, ale jeszcze przez kilka chwil poznać nie mogłem Raula, który schyłony zléwał mnie wodą czerpniętą trzewikiem.

Wyjąkałem nareszcie parę słów bez związku.

— To piorun uderzył — rzekł do mnie Raul.

Wielki Boże! Wszyscy rażeni byliśmy piorunem! jeden tylko Raul, o kilka kroków dalej stojąc, uniknął skutków tój strasznej katastrofy.

Przekonawszy się że co do mnie niebezpieczeństwo już minęło, Raul pobiegł do Clayleya, który o kilka kroków dalej leżał między Chanem i sierżantem.

Wszyscy trzej zdali się martwemi. Wybledli jak trupy, na twarzach mieli czerwone plamy i wargi jak u umarłych obwisłe.

— Czy nie żyją? słabym zapytałem głosem.

— Wątpię... ale zobaczymy.

To mówiąc Francuz wlał kilka kropel wody w usta Clayleya. Ten odetchnął zwolna i życie weń wstępować zaczęło. Raul udał się ku strzelcowi i zrobił mu toż samo; lecz za ledwie woda spłynęła po ustach sierżanta, ten zerwał się gwałtownie, wyprostował się, a chwytając za kołnierza ratującego kolege, krzyknął:

— To ty, przeklęty zbój! co mnie masz wieszac? —

Potém, poznawszy błąd, puścił Raula i patrzył nań osłupiałym wzrokiem; lecz gdy zwrócił go na broń leżącą na ziemi, zdawał się całkowicie odzyskiwać przytomność. Postąpił parę kroków, po-



ECCE HOMO.

rwał karabin, sięgnął do ładownicy i jak na paradzie najspokojniej począł nabijać.

Otrzeźwiwszy się zupełnie, spojrzalem na łąkę. Dészcz lał strumieniami i błyskawice ciągle świeciły. O pięćdziesiąt kroków przedemną ogromna czarna kupa leżała na murawie. Była to mieszanka koni i ludzi w największym bezładzie nieruchomo spoczywająca. Dalej dwudziestu lub trzydziestu ludzi biegało w kółko po stepie, nadaremnie się siląc uhamować strwożone konie. Byli to

gerylasy, co równie jak Raul zdala od gromu znajdując się, uniknęli wypadku.

— Dalej żwawo, zawołał Francuz, nie mamy chwili do stracenia, gdyż niebawem gerylasy uspokoją mustangi i znów pogonią za nami.

Rada była rozumna, nie tracąc więc czasu na dysputy, puściliśmy się do lasu, a zanim gerylasy zdolali pokonać zbuntowane wierzchowce, już ukryliśmy się w gęstwinie drzew dészczem zmoczonych.”

TYCYAN VECELLI.

Tycyan (Tiziano Vecellio), jeden z najświetniejszych malarzów włoskich, urodził się w Capo del Cadore w Alpach friulskich r. 1477, według innych 1480. Rodzina jego od roku 1200 dostarczyła okręgowi Cadore syndyków, notaryuszów i prawników nieposzlakowanej rzetelności, a przeznaczonym jej było unieśmiertelnić swe imię i wydaniem znakomitego geniuszu. Piękne to, zaprawdę, szlachectwo, zyskane namaszczeniem talentu, wyższe stokrotnie od tytułów i godności które zbutwiały nadają pargaminy!

Powołanie do zawodu malarskiego wcześniej, jak zawsze u wielkich artystów, objawiło się w młodym Tycyanie. Wiadomo że mając lat dziesięć wymalował na słupie granicznym głowę Madonny, używszy do tego, w braku lepszych kolorów, soku wyciśniętego z kwiatów. Niezaprzeczony ten dowód wrywających się do czynu zdolności stał się powodem że rodzice posłali go do Wenecyi, gdzie pierwszym nauczycielem jego został Sebastyan Zuccati, artysta zdaje się mierny, bo wcale zkadinał nieznany. Później powierzono go kierunkowi Jana Bellini, mistrza głośnej wówczas sławy, od którego, pod względem przynajmniej poprawności rysunku, wiele mógł korzystać.

Dwóch wtedy uczniów równego wieku i talentu jednocześnie prawie weszło do pracowni Bellini'ego: Giorgione Barbarelli i Tiziano Vecellio. Pierwszy z nich, znudzony wkrótce szkolarstwem swego mistrza, udał się do Florencyi. Tam poznał Leonarda de Vinci, i styl jego zupełnie uległ przeistoczeniu. Za powrotem do Wenecyi bogac-

twem pomysłów i świetnością kolorytu nieskończenie przewyższył Bellini'ego. Jakkolwiek w młodym umarł wieku, bo mając zaledwie lat 33, zostawił wiele dzieł znakomitych, i gdyby żył dłużej, byłby pewnie dla Tycyana niebezpiecznym został współzawodnikiem. Ten ostatni szybkie także w sztuce czynił postępy, trzymając się początkowo drobiazgowej metody swojego nauczyciela. Kopiował niewolniczo naturę, pracował sumiennie ale na zimno, co dla znających styl jego późniejszy trudnym jest do uwierzenia. Powrót Giorgiona z Florencyi otworzył mu oczy, i obaj młodzieńcy, pracując wspólnie, stanęli na czele szeregu nierównianych kolorystów weneckich.

Giorgione, mając sobie zleconym wykonanie malowideł w bazarze niemieckim w Wenecyi, przypuścił do téj pracy Tycyana, który podobno przewyższył w niej swego niegdyś współuczniwa. Zawisła artystyczna rozdawała odtąd przyjaciół, i dopiero po śmierci Giorgiona, nastąpionej około r. 1511, nie było już dla Tycyana współzawodnika, a berło malarstwa weneckiego zostało w jego ręku. Najpierwszym z wielkich jego obrazów olejnych było *Wniebowzięcie N. M. P.* Później senat powierzył mu odmalowanie sali posiedzeń, której Jan Bellini nie wykończył. Między innemi Tycyan odnowił tu wielki fresk przedstawiający Fryderyka Rudobrodego u stóp papieża Aleksandra III. W nagrodę za tę pracę otrzymał od miasta przywilej zwany *sensaria*, to jest prawo poboru pewnej opłaty od towarów złożonych na składzie, które przynosiło rocznego dochodu od 300 — 400 talarów. O takie

przywileje starali się wówczas najznakomitsi artyści, nietylko dla korzyści pieniężnej, ile dla zaszczytu, bo uważano je za rodzaj patentu na malarza senackiego, a więc za jakiś urząd honorowy. Widać ztąd że żądza dostojenstw równie jest dawną jak społeczność; nawet talent, pomimo swęj natury duchowej, ulega jęj wpływowi.

Niepodobna nam tu skręślić żywota Tycyana tak szczegółowo, jakby należało ze względu na ważne jego w sztuce stanowisko. Dziewięćdziesiąt lat pracy i bytu świetnego w najwyższych sferach towarzyskich, w promiennęj atmosferze sławy, zbyt obszérnego wymagałyby zakresu. Ograniczyć się nam przeto wypada na treściwém przebieżeniu ważniejszych chwil jego zawodu.

Zdobywszy sobie zaszczytne w Wenecyi stanowisko, Tycyan pracował niezmiernie, zachowując przytęm do lat późniejszych całą surowość i prostotę obyczajów. Spokojny, poważny, rozumujący, zbierał w sile wieku skarby sławy, krzepkości i zdrowia, jak gdyby przewidział że drugą życia połowę przepędzić mu przyjdzie śród szalu uciech i rozkoszy światowych. Początkowo najwięcej zajmował się portretami, którym on piérwszy, obok zupełnego podobieństwa, nadał charakter (pełen godności, wdzięk prostoty i wytworność kostiumu. W tym rodzaju Tycyan nięma współzawodnika; umiał w nim spożytkować wszystkie zasoby bogatęj intelligencyi swojęj, i można powiedzieć że był twórcą portretu w znaczeniu artystyczném tego wyrazu.

W r. 1514, zaproszony do Ferrary przez księcia Alfonsa, ukończył dlań *taniec Bachantek*, rozpoczęty przez Jana Bellini, i wymalował *tryumf Bachusa* i *tryumf Amora*, dwa obrazy należące do najlepszych dzieł jego. Na dworze tego władzcy zawarł przyjaźń z Ariostem, któremu hołdem za hołd odplacił; bo gdy poeta unieśmiertelnił go w Rolandzie szalonym, malarz wywzajemnił się portretem Ariosta. Alfons chciał go zatrzymać u siebie; ale Tycyan, z przywiązania do miasta w którem się wychował odrzucił nietylko próśby księcia Ferrary, lecz i późniejsze wezwania papieża, Franciszka I i wszystkich prawie władzców europejskich. Artyści weneccy mają to do siebie, iż nie lubią życia koczującego; trudno im rozstać się z miejscem rodzinném, które tyle dla nich posiada powabów, że po krótkiej rozłące zawsze prawie doń powracają. I Tycyan tęż przenosil pobyt w ukochanęj Wenecyi nad świetność i bogactwa w obcych krajach. Raz na

rok tylko odwiedzał Cador, miejsce swego urodzenia, aby nacieszyć się rodziną i odświeżyć umysł pięknosciami wiejskiego ustronia.

Okolo roku 1524 utworzył jedno z najlepszych dzieł swoich, *męczeństwo s. Piotra*. W tym także czasie przypada początek znajomości jego z Piotrem Aretino, który weń wszczepil zamiłowanie zbytku i rozkoszy zmysłowych. Tycyan do lat 50 blisko wstrzemięzliwy i surowych obyczajów, wszedł teraz w życie rozpusty, miłostek i biesiad, którem osławił się Aretino. Ale pomińmy tę zażyłość ubliżającą dla wielkiego artysty; zdążmy raczej za nim do Bolonii, gdzie cesarz Karol V zjechał się wtedy z Klemensem VII dla toczenia układów o pokój. Tam po raz piérwszy Tycyan wykonał portret cesarza, i obsypany darami powrócił do Wenecyi. Roku 1532, w czasie drugiego zjazdu cesarza z papieżem w Bolonii, zdejmował powtórnie wizerunek Karola, za co go ten mianował kawalerem orderu złotęj ostrogi, koniuszym swoim, i oprócz tysiąca talarów wynagrodzenia za każdy portret, przeznaczył mu 200 talarów rocznej pensyi. Późnięj tenże sam cesarz nadał mu nawet tytuł hrabiowski, ze wszystkimi do tęj godności przywiazanemi przywilejami i z prawem przeniesienia go na potomstwo.

Wykształcenie umysłowe Tycyana, rozmowa jego pełna żywości i powabu, ułożenie nakoniec, w którem uprzejmość łączyła się z godnością, jednaly mu wszędzie przyjaciół. Fryderyk książę Mantui wezwał go do siebie, i tam, oprócz portretów samego księcia i brata jego kardynała, Vecelli wykonał wizerunki *dwunastu cesarów* na wielkich medalionach, których piękność dziś jeszcze znawców zachwyca. Wywiązawszy się z tęj pracy, artysta, mimo przyrzeczenia danego papieżowi że przybędzie do Rzymu, pospieszył nazad do Wenecyi.

Bo tęż zaprawdę życie jego w mieście dożów miało wszystkie ponęty sławy, dostatku i zaszczytów. Geniusz jego królował, powszechnemi otoczony hołdy. Czyż można naprzykład dać komu większy dowód poważania jak ten który odebrał Tycyan okolo r. 1545 od senatu rzeczypospolitéj? Nieustająca rywalizacya między Franciszkiem I a Karolem V, biorąc Wenecyę niejako między dwa ognie, zmusila ją do czujności. Rząd postanowił powiększyć flotę i wojsko lądowe, a gdy zasoby skarbu publicznego nie podolały tak nadzwyczajnym wydatkom, nałożono pogłównę jednorazowę na wszystkich mieszkańców miasta jakiegobądź

stanu, „z wyjątkiem jednego tylko Tycyana, z powodu rzadkich jego przymiotów.” Względność to rzeczywiście godna uwagi, zwłaszcza dla człowieka położonego w stosunkach majątkowych na równi z najbogatszymi.

Wiadomo że mistrz wenecki szczylił się nie tylko łaską, ale przyjaźnią Karola V. Głośną jest odpowiedź cesarza dana dworakom utyskującym na to że Tycyan jeździ po prawej jego ręce: „Mam wielu wam podobnych, lecz jednego tylko Tycyana.”

Inne jeszcze zdarzenie, które jeden z nowożytnych malarzów obrał sobie za przedmiot pięknego obrazu, świadczy również o wysokim szacunku pierwszego wtedy władcy świata dla znakomitego artysty. Karol V odwiedzał często Tycyana w jego pracowni, i nie przerywając mu roboty, lubił z nim gawędzić o różnych przedmiotach. Przy takich odwiedzinach zdarzyło się raz że Tycyanowi upadł penzel. Cesarz podjął go i wręczył zdumionemu artyście, mówiąc: „Godzi się aby cesarz usłużył Tycyanowi.”

Po abdykacji Karola V syn jego i następca Filip II, jakkolwiek mało zamięlowany w sztukach pięknych, na równi z ojcem umiał cenić geniusz Tycyana, który wymalował dlań w Madrycie słynną *Wenus śpiącą*. Filip do tego obrazu tyle przywiązywał wartości, że kiedy pałac jego w Prado zgorzał ze szczerem, zapytał najprzód czy *Wenus* uratowana, a odebrawszy potwierdzającą odpowiedź, dodał: „Jeżeli tak, to mało dbam o resztę.”

Mając już lat około siedmdziesięciu, wykończył jedno z największych arcydzieł sztuki, *włożenie cierniowej korony*. W tym także czasie, ulegając wreszcie prośbom Pawła III, w towarzystwie swego syna Horacego i z licznym orszakiem, bez którego nigdy nie odbywał podróży, udał się do Rzymu. Papiież przeznaczył mu mieszkanie w pałacu belwederskim, i zlecił znakomitym osobom obznajmienie artysty z pomnikami i zbiorami swjej stolicy. Rzadkie to i jedyne może zjawisko w owych czasach arystokratycznych, w czasach bezwarunkowego uwielbienia dla rodu i nazwiska, widok człowieka niskiego pochodzenia, postawionego siłą geniuszu na równi z książętami!

Przy schyłku długiego życia swojego Tycyan stale już zamieszkał w Wenecyi. Raz jeszcze tylko udał się do Insbruku, gdzie wymalował wspólną grupę przedstawiającą króla rzymskiego Ferdynanda z jego rodziną. Odtąd nie opuszczał

już miasta które obrał za rodzinne, prowadząc dom po królewsku i otoczony powszechnym szacunkiem, pomimo niezerwania związków z Aretinem. Do rzędu przyjaciół swoich, między wielą innymi znakomitościami współczesnymi, liczył Michała Anioła i cesarza Henryka IV, który osobiście odwiedził sędziwego artystę. Kiedy Tycyan pokazywał mu swe obrazy, a cesarz, upodobawszy sobie jeden, zapytał o cenę, starzec z wykwinną grzecznością obylego dworaka ofiarował mu go w darze.

Niepożyty pracą i wiekiem, Tycyan w pełnym używaniu sił fizycznych i duchowych żył lat blisko sto, i byłby zapewne żył jeszcze długo, gdyby w roku 1576 nie dotknęła go morowa zaraza. „Szkoda, zawołał konając, zaczynałem pojmować malarstwo.” Nauczający zaprawdę wyrok dla młodych adeptów sztuki, pragnących wstąpić w jego ślady!

Wspomnieliśmy w szkicu powyższym, w miarę następczącej się sposobności i mniej więcej porządkiem chronologicznym, o ważniejszych obrazach wielkiego mistrza szkoły weneckiej; niepodobna jednak było wymienić je wszystkie, a tém bardziej ocenić je szczegółowo. Pozostaje nam teraz dać w kilku słowach ogólną charakterystykę jego utworów. Tycyan najczęściej kopiował wien naturę, używając ku temu wszelkich zasobów sztuki i efektów kolorytu świeżo w dziedzinie malarstwa przez niego i Giorgiona zdobytych. Koloryt téż rzeczywiście główną jest zaletą jego obrazów, nie odznaczających się bynajmniej głębokością kompozycyi, której nie lubił wiele poświęcać czasu, a nawet podobno pożyczał jej niekiedy od kolegów. W ogólności znakomitszym był portreci-
stą jak malarzem historycznym, a raczej rodzajowym, jakkolwiek i w tej ostatniej gałęzi wielkie położył zasługi. Nazywano go Herkulesem weneckim, i zasłużył na ten przydomek, bo zwyciężył wszystkich współzawodników, z wyjątkiem jednego Giorgiona, którego talent równy był sily.

W wyliczaniu dzieł Tycyana pominęliśmy zamieszczony na czele tego artykułu obraz *Ecce homo*, (znajdujący się obecnie w galerii Luwru) ponieważ co do autorstwa jego zdania są podzielone; najpowszechniej jednak przypisują go Tycyanowi. Rysy Zbawiciela nacechowane są bolesną rezygnacją; twarz oprawcy po lewej jego ręce nosi piętno zwierzęcości i szyderstwa. Żołnierz rzymski stojący po prawej stronie nieokrzesaną dłonią obnaża święte ciało Boga-człowieka, i z ust jego nawpół

otwartych zdają się wychodzić wyrazy: *Ecce homo!* (Otoż człowiek!). Zarzucićby tylko można, że w osobie Chrystusa siła fizyczna zdaje się przeważać moralną; wydatne mięśnie tych rąk, tego

torsu właściwsze bez wątpienia byłyby dla bożka pogańskiego, jak dla duchowego Zbawiciela ludzkości. Całość jednakże wielkie robi wrażenie.

DWA MIESIĄCE W SYMODZIE

NA BRZEGACH JAPONII.

Symoda jest to port położony w zatoce i niedaleko ujścia rzeki tegoż nazwiska, na brzegu wschodnim wyspy Nifon, największej z całego archipelagu i stanowiącej część najważniejszą cesarstwa japońskiego. Port wiele pozostawia do życzenia, bo wystawiony jest na działanie wiatrów panujących. Zatokę tworzy z jednej strony wysoki cypel przyładkowy, zwany przez Amerykanów *Vandalia Bluff*, z drugiej ostrokąrowa wyspa bujną pokryta zielenią, zwana wyspą *Środka*. Rzeka Symoda jest jedną z ważniejszych w Japonii, pozabawioną w ogólności wielkich rzek splawnych; szerokość jej wszakże o 5 — 6 mil geograficznych od ujścia nie przenosi 40 metrów.

Szoner amerykański *Caroline Foote*, odpłynąwszy z Honolulu na wyspach Sandwich 13 lutego r. 1855, przybył 15 marca tegoż roku do Symody, gdzie wysadził na brzeg kilku podróżnych, a następnie przewiózł do Petropawłowska w Kamczatce osadę fregaty rosyjskiej *Diany*, rozbitą tu skutkiem trzęsienia ziemi. Wróciwszy do Symody, dowódca szoneru starał się otrzymać dla wysadzonych poprzednio podróżnych pozwolenie dłuższego pobytu w cesarstwie; ale władze japońskie odmówiły, i szoner, zabrawszy podróżnych, popłynął do Kalifornii.

Odmówienie to dosyć narobiło hałasu w prasie amerykańskiej: zaczęto żywo roztrząsać kwestyą czy postąpienie takie zgadza się z duchem traktatu zawartego przez kommodora Perry, i narzekać na niedostateczność uzyskanych przywilejów.

Jedno z pism kalifornijskich, *Daily Alta California*, ogłosiło w swoich szpaltach sprawozdanie jednego z podróżników wzmiankowanego szoneru. Jest to ciąg zajmujących spostrzeżeń nad ogólną fizyognomią kraju i zwyczajami jego mieszkańców,

czepianych podczas dwumiesięcznego przeszło pobytu na brzegach japońskich. Niektóre ustępy tego sprawozdania, rzucające nowe światło na lud tak mało jeszcze przez Europejczyków zbadany, udzielamy czytelnikom Księgi Świata, podług pisma francuzkiego „*Nouvelles annales des voyages.*”

„Zbliżając się do brzegów Japonii, mówi nasz podróżnik, Amerykanin Reed, spostrzegliśmy najprzód w oddaleniu górę Fudzu Jamma, pokrytą śniegiem wieczystym. Jest to olbrzymi ostrokąrowy, wzniesiony na 12—14000 stóp nad powierzchnią morza, którego szczyt alabastrowej białości już w oddaleniu dwudziestu kilku mil geograficznych wybitnie się odrzyna na modrém tle widokregu. Za podpłynięciem jednakże na odległość mil kilku, nadbrzeżne góry, choć znacznie niższe, lecz położone bliżej patrzącego, całkowicie go zakrywają przed wzrokiem żeglarza.

„Zwolna téż krajobraz równie wspaniały jak malowniczy odsłania się zachwyconemu przybyszowi. Bujna roślinność, bogata w różnobarwne kwiecie, rozkoszne wysepki i urwiste przyładki, góry wznoszące się amfiteatralnie, uprawne aż do wierzchołków, domy i świątynie zawieszane nieraz nad przepaścią, do których prowadzi kilkaset wschodów wykutych w granicie, — wszystko to tworzy całość pełną uroku i dziwnie nęci wyobraźnię.

„Przybywszy do portu, spostrzegliśmy że miasto Symoda, podobnie jak wiele sąsiednich, całkowicie prawie zostało zalaniem i zniszczonem przez ostatnie trzęsienie ziemi. W kilku minutach morze wystąpiło z brzegów i woda z niesłychaną gwałtownością ogarnęła całą równinę. Mieszkańcy jednak utrzymują, że w czasie tego wylewu tylko około stu ludzi utraciło życie, co zdaje się tru-

dnem do uwierzenia, mając na uwadze iż powódź nastąpiła nagle i dosięgła w mieście wysokości stóp siedmnastu. Podczas naszego pobytu zajmowano się czynnie odbudowaniem i naprawą domów, lecz dużo jeszcze pozostawało do zrobienia.

„W Symodzie zastaliśmy osadę i oficerów fregaty rosyjskiej *Diana*, która rozbiła się w porcie podczas trzęsienia ziemi. Zawarli oni właśnie z Japończykami traktat podobny w treści do naszego. Pozbawieni własnego okrętu, najęli nasz szoner dla przewiezienia ich do Petropawłowska. Co do mnie, pozostałem w Symodzie z trzema damami, składającymi żeńską naszą osadę, i z dziećmi.

„Stosownie do brzmienia traktatu warunkującego gościnne przyjęcie, przeznaczono nam na mieszkanie jakąś dawną świątynią i przysłano cieśli dla wewnętrznego jęj urządzenia. Mogliśmy się poszczycić że jesteśmy pierwszymi Amerykanami nocującymi na tym brzegu, czego, jak nas zapewniali Japończycy, nie dozwolano nawet oficerom zawiązujących okrętów. Przez dwa przeszło wieki kraj ten z ludnością czterdziesto-milionową zdołał się utrzymać w najściślejszym odosobnieniu od cudzoziemskich przybyszów, z wyjątkiem jednych tylko Hollendrów.

„Dzień przybycia mojego z kobietami i dziećmi do Symody stanowić będzie niezawodnie epokę w historii tego miasta. Tłumy ciekawych na każdym otaczały nas kroku. Szczególniej damy nasze zadziwiały mieszkańców białością płci swojej i delikatnością rysów. Trzeba bowiem wiedzieć że w Japonii kobiety prawdziwemi są niewolnicami, a ztąd i powierzchowność ich nosi na sobie ślady ciężkiej pracy fizycznej. Grzeczność i szacunek dla płci słabszej należą w tym kraju do rzeczy nieznanych, zagadkowych. Widok portretów przedstawiających niewiasty różnego wieku, któreśmy pokazywali ciekawym, wzbudził w nich okrzyki uwielbienia. Dam naszych pytali oni bez ogródki ile lat mają, nie pojmując zupełnie ich wahania się w objawieniu tak ważnej tajemnicy. Z większym jeszcze brakiem dyskrecyi poddawano szczegółowemu badaniu wszystkie części ich ubrania; bo uczucia delikatności i wstydu bardzo mało są tutaj rozwinięte. Pamiętam że gdy gubernator Symody po raz pierwszy nas odwiedził, całą baczność dostojnika tego zwróciło moje łóżko, i zaraz się na niem rozciągnął jak długi.

„Pytano nas w jakim przybyliśmy zamiarze. Odpowiedzieliśmy że pragniemy zamieszkać w Japo-

nii. Skutkiem tego otrzymałem wkrótce od gubernatora list następującej treści: „Powziąłem wiadomość o waszych życzeniach; ale muszę wam oświadczyć, że powinniście opuścić ten kraj zaraz po powrocie okrętu co was przywiózł, lub nawet, gdyby powrót ten się opóźnił, na najpiérwszym statku który zawinie do naszego brzegu. Obecnie pobyt wasz usprawiedliwiony jest potrzebą, boście okrętu swego pożyczyci Rossyanom; lecz nie należy uważać wyjątku za regułę. Na przyszłość więc pod żadnym już pozorem nie otrzymacie podobnego pozwolenia.” Powoływaliśmy się na traktat zapewniający Amerykanom wolny pobyt w Japonii, dodając że jesteśmy pod opieką flagi Stanów Zjednoczonych.

„Podczas tych rokowań w samą porę zawinął do portu kommodor Rodgers, z okrętami *Vincennes* i *Hancock*. Przynależał on sam napisać do gubernatora, przedstawić mu że jesteśmy w swoim prawie i wymóżyć aby nas więcej w tym względzie nie nagabano.

„Świątynia z miejscem ogrodzonym któreśmy zajmowali przeznaczone były wyłącznie do naszego użytku. Nikomu z mieszkańców, wyjąwszy urzędników służbowych, nie było wolno przekroczyć granic naszego schronienia, bez kartki upoważniającej od gubernatora. Czterech urzędników, zmieniających się co kilka godzin, strzegło nas dniem i nocą, a w przyległym zabudowaniu było na służbie pięciu innych, dla przyjmowania i oddawania korespondencyj, dla wprowadzania do nas osób opatrzonych w szczególne pozwolenie i załatwiania naszych sprawunków. Starano się słowem wszelkiemi sposobami zapobiedz zetknięciu się z nami ludu, i skoro tylko kto z nas wychodził, wyprawiono zaraz oficera dla oddalenia tłumu. Zabroniono nawet mieszkańcom wchodzić z nami w stosunki handlowe lub przyjmować jakiegobądź podarunki. Ofiarowałem kilkakrotnie Japończykom drobne przedmioty, które widocznie im się podobały; lecz odmawiali stanowczo przyjęcia, mówiąc że cesarz kazałby im zato pościnać głowy, a przerażone ich twarze świadczyły że ta obawa nie była płonną.

„Raz tylko udało mi się zbliżyć bez świadków do jakiegoś poczciwca, któremu wetknąłem w rękę nożyk. Trzeba było widzieć obawę biednego człowieka! Oglądał się na wszystkie strony ze drżeniem, i zapewniwszy się nakoniec że nikt go

nie widzi, schował prędko nóż, rzucił na ziemię kilka sztuk drobnej monety i drapnął co siły.

„Jednego dnia, podczas gdy znajdowało się u mnie kilku urzędników japońskich, tłumacz otworzył leżącą na stole biblią, i przeczytawszy na głos jakiś ustęp z Genezy, zapytał co to za książka. Biblia, odpowiedziałem, święta księga Amerykanów, w której opisany jest początek świata i wszystkich narodów. Jednocześnie prosiłem go o przyjęcie jój odemnie. Zawahał się, mówiąc że chętnieby ją zatrzymał, gdy wtém surowe spojrzenie jednego z urzędników zmusiło go wyrzec się téj chęci.

„Bez téj obawy prawa lud byłby niezawodnie ochoczo łączył się z nami. W ogólności znalazłem Japończyków uczciwymi i przyjacielskimi; lecz nigdzie może poszanowanie dla przepisów nie jest tak bezwzględne, choć więcej może oparte na postrachu jak na przekonaniu. Gdziekolwiek spotykaliśmy się z krajowcami, pytano nas ciekawie o nasze imiona i o niektóre wyrazy; wszyscy téż potém nazywali nas po imieniu. Lubiono nas widocznie, i nawet kilka razy wyraźnie nam to oświadczono.

„Strawa Japończyków bardzo jest prosta. Mięsa, o ile uważałem, nie jadają prawie wcale i żyją najwięcej ryżem, a biedni ziołami morskimi. Jednakże kraj ich obfituje w plody gastronomiczne różnego rodzaju. Mogliśmy codzień dostawać zwierzyzny, ryb, kurcząt, kaczek, jaj, najpiękniejszej mąki, ryżu, kartofli, cebuli, rzodkiewek, grochu fasoli i t. d., na wety zaś pomarańczy, cytryn, gruszek, brzoskwiń, moreli, śliwek, wisien, malin, czarnych porzeczek, słowem wszystkich owoców hodowanych w Stanach Zjednoczonych.

„W wycieczkach swoich w okolicę odkrywaliśmy zachwycające widoki, i to nas zechęcało do wdrapywania się kolejno na wszystkie prawie góry sąsiednie, z których otwierały się przed nami coraz to nowe krajobrazy. Zdarzało się nieraz iż wyszedłszy z domu dla prostej przechadzki, zapuszczaliśmy się tak daleko, że przyszło potém nocować pod gołym niebem; ale nie wielka téż to przykrość w klimacie japońskim. Podczas mojego pobytu zmiana temperatury nie przenosiła nigdy pięciu stopni, a Rosyjanie zapewniali nas że i zima równie jest łagodną. Krajowcy chodzą w bardzo lekkiej odzieży, niekiedy prawie nago, nie okazując żadnego wstydu; urzędnicy jednak, przynajmniej gdy występują publicznie, bardzo starannie bywają ubrani. Po domach niéma ani pieców, ani

kominków, a w zimie fajerka z węglami wystarcza do ogrzania.

„Kraj obfituje w plody kopalniane wszelkiego rodzaju, o ile uważałem nawet w złoto; bogactwo to wszakże usiłowano przed nami ukrywać. Aby się czego dowiedzieć od krajowców, jeden tylko był sposób: zapytać ich zniecka i niby od niechcienia, udając zupełną obojętność. Przemysł miejscowy bardzo zdaje się rozwinięty, a widok bazaru japońskiego, z różnorodnymi i dziwnego kształtu przedmiotami, niezmiernie jest ciekawy.

„Religia tego narodu, o ile zbadać ją miałem sposobność, szczególnymi także odznacza się formami ¹⁾. Japończycy nie znają tygodni i niedziel; czas dzieli się u nich na lunacye i pół-lunacye. Pierwszy dzień każdej pół-lunacyi poświęcony jest spoczynkowi. Wtedy ulice miasta są puste i mieszkańcy zamykają się w swych domostwach, oddając się tam zapamiętałe różnego rodzaju przyjemnościom; tak nas przynajmniej zapewniano, co do mnie bowiem, nie mogłem wyjednać sobie wstępu do żadnego domu prywatnego. Świątyni nadzwyczajna jest liczba, bo Japończycy stawiają je wszędzie, gdzie tylko piękność położenia odpowiada pojęciu ich o wielkości Buddy.

W każdej świątyni mieszka kapłan, z tyłą żonami ile ich utrzymać jest w stanie. Odgłos wielkiego dzwonu oznajmia mieszkańcom godzinę w której kapłan przystępuje do modlitwy. Siada wtedy na rodzaju fotelu, z zapaloną świecą w jednej, a młotkiem i różańcem w drugiej ręce. Zaczyna od wymawiania, na wpół śpiewając, na wpół mrucząc, pewnych wyrazów, między którymi rozróżniłem często powtarzane brzmienia *Am Jam Am*, i towarzyszy téj litanii uderzeniami młotka w jakieś skrzynki, jedną drewnianą, drugą miedzianą. Obrządek ten trwa z godzinę, przerywany tylko wtedy na chwilę, kiedy kapłan, jakby dla odpoczynku, kładzie młotek i zaczyna rozcierać pomiędzy rękami różaniec, wydając przytém głosy już ostre, już przytłumione i niby żalose.

„Na tém ogranicza się podobno cały rytuał Japończyków, którzy sami, jak mi mówiono, nie modlą się nigdy, bo wierzą że modlitwa kapłana dostateczną jest dla wszystkich. Nie zachowują zresztą w świątyniach żadnych szczególnych oznak czci religijnej i poszanowania dla miejsca: wcho-

¹⁾ Mowa tu o buddyzmie, który dziś jest wyznaniem panującym w Japonii.



dziliśmy do nich nieraz podczas nabożeństwa, a wtedy zwykle kapłan przerywał obrządek, wstawał i z uśmiechem zadawał nam pytania, zupełnie jak kupiec witający przybyłych do sklepu swojego kundmanów. Spostrzegłem też że lud dla swych kapłanów żadnego niema szacunku, lecz owszém obchodzi się z nimi oniemal pogardliwie.

„Obszerne tu zaiste byłoby pole dla prac missyjonarskich, imniemam że niezadługo może znajdą się w Ameryce ludzie poświęcenia, którzy poniosą Japończykom ziarno ewangelii; dotychczas jednak pojęcie ich o religii chrześcijańskiej jest żadne. Przybyło raz do mnie z odwiedzinami kilku znakomych urzędników krajowych. Na ścianie wisiał obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, otoczony gruppami skrzydlatych aniołków. „Więc u was są ludzie co mają skrzydła? zapytał naiwnie jeden z urzędników. — Nie, odrzekłem, figury te przed-

stawiają aniołów. Ale w Japonii niema takich aniołów. — Niema? Więc możebyście mieć ich pragnęli? — Nie, zawołali wszyscy razem, obejdzim się bez aniołów.”

Na tém się kończy sprawozdanie p. Reed, któremu wkrótce przymuszony wyjazd przeszkodził w czynieniu dalszych spostrzeżeń. Mimo traktatów zawartych kolejno z kilką mocarstwami morskimi, a ostatnio z Anglią, Japonia, jak dotąd przynajmniej, nie zdaje się chcieć przyznawać przybyszom cudzoziemskim nic więcej nad prawo czasowego, i to jeszcze z niezmierną troskliwością strzeżonego, pobytu w swych granicach. Jednakże wszystko zapowiada, że w niedalekiej przyszłości i rząd japoński, za przykładem chińskiego, będzie musiał szersze na korzysć ludów cywilizowanych poczynić ustąpienia.

FERRARIA TIGRIDA.

Meksyk, zawierający w swych granicach tyle cudów kwiatowych, który zaopatrzył nasze ogrody, okna i cieplarnie w tyle pięknych roślin, jest ojczyzną tego kwiatu. Otrzymał on swe miano od tygrysowato nakrapianych kwiatów, i nazwać go można zadziwiającém we florze zjawiskiem. Ubarwiony najczystszy kolorem złotym, od którego przechodzi do karminowo-szkarłatnego, nakrapiany jest odcieniami koloru brunatno i fioletowo-purpurowego, z czego tworzy się wspaniałość barw zorzy porannej. Ale też i trwałość jego jest tak krótka jak zorza, bo pod skwarném meksykańskiem niebem trwa tylko kilka godzin w swój czarodziejskiej postaci, poczem więdnąc zamyka się. Krótkotrwałość ta bywa tém wynagradzana, że przy silnych cebulkach z jednej pochwy kwiatowej okazuje się od 3 do 6 kwiatów, i to codzień po jednym, a oprócz tego cebulki zwykle są potrójne, tak że kilka łodyg kwiatowych obok siebie wyrasta. Pierwsze cebulki sprowadzono w r. 1796 do Anglii, gdzie je pielęgnowano w cieplarniach i tamże kwitły; a że cebulki szybko się mnożyły i przez nasienie otrzymano znaczną liczbę tych kwiatów, rozeszły się więc wkrótce po Eu-

ropie. Później probowano przenieść je z cieplarni do ogrodu, co się pomyślnie udało; w gruncie nawet silniej wzrastały i piękniej kwitły, i to im coraz więcej lubowników zjednywało. Cebulki z łatwością można przechować przez zimę w ciepłym, suchém miejscu, i nie kiełkują wcześniej, dopóki nie zostaną w przyjaznej porze wsadzone do ziemi, co się wykonywa wtenczas, kiedy się już nie obawia przymrozków. Z ziemi wypuszczają lancetowate, foremnie pofałdowane liście, a z pomiędzy nich wyrastają łodygi kwiatowe na 1½ do 3 stóp wysokie, okazujące się nie współcześnie, tak iż od czerwca do września można mieć tę roślinę kwitnącą. Skoro na jesień przymrozki zwarzą liście, cebulki wykopują się, i związane za łodygi poprzycinane, wieszają się w przewiewnym miejscu do przesuszenia, poczem zostawia się je tam, lub przechowuje w miejscu gdzieby przystęp powietrza nie zupełnie był zatamowany, co się da wykonać w lekkim drewnianém pudełku, które się stawia w cieplarni lub mieszkaniu. Przechowywanie tylko zasługuje na bliższą uwagę w pielęgnowaniu téj rośliny, gdyż w wilgotnym miejscu cebulki butwieją, a od najniższych nawet stopni

zimna tracą władzę kiełkowania. Latem, gdy się znajdują w gruncie, nie wymagają żadnego pielęgnowania, chyba tylko przywiązania do tyczki przez wiatr lub deszcz wywróconej łodygi kwiatowej. Także w doniczkach, na oknach, udają się w każdej dobrej ziemi; mogą więc być polecane i tym lubownikom kwiatów, którzy nie mają cieplarni.

Rycina przedstawiająca kwiat ten daje tylko słabe pojęcie o jego żywych kolorach, zdających się być posypanemi złotym proszkiem przy blasku

słonecznym; jednakże może dać wyobrażenie wyższości jej nad dwoma pokrewnymi gatunkami, obok umieszczonemi. Jeden z nich po lewej stronie przedstawia kwiat *Ferraria cincinnata*, a po prawej *Ferraria divaricata*. Oba sprowadzone najprzód do Anglii, pierwszy w roku 1825, a drugi w roku 1826, z kąd się rozeszły po Europie. Oddzielnie uważane są piękne i zajmować będą każdego lubownika kwiatów, nie mogą się jednak równać wspaniałością z *Ferraria tigrida*. Zresztą wymagają takiegoż pielęgnowania jak ta ostatnia.

RUINY BRAMINABADU,

W HINDOSTANIE, W AZYI POŁUDNIOWEJ.

W najnowszych czasach kopania przedsięwzięte w królestwie Sindk, nad jedną z odnóg dawnego łożyska Indu, w miejscu gdzie niegdyś było miasto Braminabad, do ciekawych doprowadziły odkryć. Braminabad, jak się zdaje, musiało być stolicą jakiejś dzielnicy indyjskiej, oszczędzoną przez oręż wyznawców Mahometa, ale zniszczoną, według podania miejscowego, przez straszne trzęsienie ziemi i ogień spadły z nieba, dla ukarania zbrodni jej mieszkańców.

Poszukiwania rozpoczęte przez p. Bellasis, porucznika jeneralnego w Hyderabad, który w tym przedmiocie zajmujące ogłosił dziełko, potwierdzają rzeczywiście mniemanie że miasto to zostało zburzone skutkiem wielkiego kataklizmu; trudno przynajmniej naznaczyć inną przyczynę tak nagłej i zupełnej zagłady.

Domy i ulice wypełnione są szkieletami, z których jedne znajdują dobrze zachowane pod pokładami miążskiego gruzu, inne mniej więcej zdruzgotane wielkimi odłamami rozwalonych gmachów. Odkopano także monety i różne kosztowności, między innymi posążki z kości słoniowej, misterne płaskorzeźby z krwawnika i agatu, oraz mnóstwo delikatnie wyrobionych figurek szachowych z różnego materiału.

Rzeźby religijne należą wszystkie do sekty Budyzmu, a doskonałe ich zachowanie, zdaniem p. Bellasis, służy za dowód że najeźdźcy muzułmańscy nie zdobyli, a przynajmniej nie posiadali przez czas dłuższy, Braminabadu, w epoce poprzedzającej jego zniszczenie, którego przypuszczalną datę naznacza około roku 1020 naszej ery.



Pitschman malował

Ceolinski litogra

Tadeusz Czacki

w Litografii Banku Pols.

TADEUSZ CZACKI.

„Są imiona, którym ciasno jest w biografii i w samotnej pochwie; są ludzie rzadcy, którzy czynem i sercem żyli tylko dla społeczności naszej i tylko w historii wielkie rozmiary ich zasług wydatnie, zrozumiale i bez uszczerbku pojąć się mogą.”

Karol z Kalinówki o Czackim.

Mało jest u nas ludzi znakomitych, o którychby tyle pisano, ile o Czackim. Bartoszewicz Zygmunt, Bentkowski Feliks, Chodyniecki, Czartoryski, Łukasz Gołębiowski, Łukaszewicz Lesław, Tadeusz Mostowski, Aloizy Osiński, Popliński Antoni, Kaczkowski, Stanisław Potocki (minister), Skibicki, Sienkiewicz Karól, Michał Wiszniewski, Wojcicki, Prokop Podgórski kapucyn (w rękopisie), Fr. Radziszewski nauczyciel (w rękopisie) i t. d. pisali lub przepisywali i ogłaszali drukiem wiadomości o życiu tego wielkiego człowieka. Kilku z nich kilka nawet dosyć ważnych popełniło błędów. Umieścić więc w tém piśmie ile można najzupełniejszy i wolny od omyłek życiorys, za obowiązek sobie poczytujemy.

Czacki Tadeusz, urodzony w Porycku 28 sierpnia 1765 roku, w dzieciństwie utracił matkę; ojciec zaś, nieszczęsnymi wypadkami przez lat siedm zatrzymany był w Brodach. Osierocony przeto Tadeusz znalazł przytułek w domu stryja Franciszka, strażnika koronnego, który umyślnie z Gdańska do Dubna przybył, aby zabrać synowców i z rodzicielskiem staraniem zająć się nimi. I w istocie, stryj zastąpił ojca. Przez lat pięć wychowywał się Tadeusz w Gdańsku, aż dopóki ojciec, uzyskawszy pozwolenie mieszkania w Porycku, nie zabrał synów do własnego domu. Powierzył wtedy ich wychowanie przyjacielowi swemu, księdzu jezucie Faustynowi Grodzickiemu, który, przy wielu innych naukach, posiadał doskonałą znajomość języka i literatury dawnych Rzymian. Przykład cnotliwego przewodnika zadziałał na młodzież Czackiego i obudził w przyszłości szacunek, który dlań zawsze dochowywał, z wdzięcznością wspominając nauczyciela swego. Nietylko w radach księdza Grodzickiego, ale i w otoczeniu domu ojcowskiego czerpał młody Tadeusz prawdziwie chrześcijańskich cnót zasady; miłość zaś dla ogółu, gotowość poświęceń, oraz obowiązek niesienia ulgi nieszczęśliwym, od samego dzieciństwa

sobie przyswoił. Obdarzony od natury bystrością rozumu i pamięcią niezwykłą, a przytém gorliwie się sam ucząc, wczesnie pojął jakim skarbem dla człowieka jest nauka i rozwinięcie umysłu, jak ciemnota do nędzy, a niekiedy do zbrodni prowadzić może, jak nawet wrodzone dobre skłonności gruba niewiadomość najgłówniejszych moralności zasad przygłuszyć lub wykrzywić jest zdolna; zgoła pojął całą otchłań dzielącą człowieka wykształconego od tego, co pozbawiony iskierki światła, niezdola wznieść się wyżej nad bydlę z którym razem pracuje. Zapewne niejedno dziecko pojmuje tę prawdę, lecz ją do siebie tylko zastosować umie. Czacki zaś, nauczony kochać bliźnich czynem, uczuł gorącą żądę przypuszczenia i drugich do skarbów dobroczynnych światła. W tym celu pieniądze z dziecinnych dochodów swoich skrzętnie składać począł. Nie zrażała go szczupłość zasobów, a tém samém nierychły skutek powziętego zamiaru. Nie idąc torem zwyczajnym, nietylko dzieci ale i ludzi już dojrzałych, co choć niekiedy skorzy do przedsięwzięć szlachetnych, ustają w nich jednak z niedostatku wytrwałości, Tadeusz stale zbierał pieniądze, ujmując sobie przyjemności zwykłych młodzieży, a zebrawszy ile mógł na założenie jaknajskromniejszej szkółki, z radością zajął się dopełnieniem dzieła swego. W czasie wolnym od nauki najmiłą jego rozrywką było odwiedzanie szczupłej z początku garstki ubogich dzieci, którą kształcił wybrany przez Świątkowski, a nagradzał za pilność w naukach mały Czacki ¹⁾.

Wyszędłszy z lat dziecinnych, wolny od zarozumienia młodzian postrzegł że mu wiele jeszcze niedostawało na drodze nauk, które tak ukochał. Gorliwie wziął się do pracy umysłowej, tak dalece że kiedy w roku 1784 wszedł był do sądownictwa nadwornego koronnego, wszystkie wolne od

¹⁾ Na tym fakcie prawdziwym osnuła Klementyna z Tańskich Hoffmanowa jeden ze swych dramacików dla młodzieży i umieściła w *Rozrywkach dla dzieci*.

obowiązków chwile nauce poświęcał. W tym pierwszym zawodzie publicznym, objętym w 19 roku życia, odznaczał się już roztropnością i gorliwością w załatwianiu spraw wszelkich: nie mógł zezwolić na to, aby ktokolwiek długo czekał na wymiar sprawiedliwości, i bez wątpienia urzędowanie w sądach posłużyło mu wiele do nabycia wiadomości prawnych, których w tedy pilnie szukał; potrzeba bowiem zmusiła go do ćwiczenia się nietylko w prawach krajowych, ale i w ogólnym prawodawstwie. Poznawszy się z Albertrandym, Naruszewiczem i t. p. dowiadywał się od nich o źródłach do swój pracy koniecznych, których niemało znalazł w kwitnącej podówczas bibliotece Załuskich w Warszawie.

Rozgłos prędko się rozszedł o nauce i gorliwej służbie Czackiego. Mianowanym więc został 1785 roku członkiem kommissyi przeznaczonój do szukania i wykopywania soli. Zaledwie w roku następnym został przyjęty do kommissyi skarbowej, zaraz wystąpił z projektem aby kilku zdatniejszych z młodzieży wysłano kosztem rządu za granicę, w celu kształcenia się w górnictwie i geologii. Sejm uchwalił wniosek Czackiego, i trzech młodzieńców, Bieńkowski, Mieroszewski i Okraszewski, udało się do Węgier. Następnie trzech innych miało się udać do Frejburgu; w tej liczbie był i Łukasz Gołębiowski. Gdy jednak wypadki krajowe stanęły temu na zawadzie, sam Czacki starał się przyczynić własnym kosztem do ich wydoskonalenia się.

Najchlubniej urzędował Czacki w kommissyi skarbowej. Wiadomo w jak smutnym u nas stanie znajdowała się wtedy ekonomia polityczna: można by powiedzieć że prawie o niej wyobrażenia prawdziwego niemiano. Wiele więc było do myślenia, więcej jeszcze do działania. Brak własnych kopalni soli, odpadłych od kraju 1772 roku, zubożał nas coraz bardziej. Gdy delegowani, gorliwie poszukujący żył solnych, odkryli w Busku, Bejskach i t. d. kopalnie, które się okazały przepelnionemi solą glauberską, sodą i t. p., ale nie solą kuchenną, wtedy jedynie tylko handel z Mołdawią mógł złemu zaradzić; tam bowiem można było za wysoką cenę sprzedawać produkta krajowe, a w zamian mieć sól. Czackiemu powierzono zawarcie układów w tym względzie, zwidzenie i opis rzek znaczniejszych Ukrainy, Wołynia i Litwy, tudzież rozpoznanie ich połączenia z sobą, aby za pomocą splawów ułatwić handel wewnę-

trznym. Swoim kosztem odbył Czacki wszystkie przedsiębrane w tym celu podróże. Wywiązując się jaknajzupełniej z otrzymanych poleceń, porobił mapy rzek splawnych, z planem kanałów jakie bić należało. Z Ypsylantym, ówczesnym księciem Mołdawii, zawarł korzystną o sól umowę. Ciekawe są listy Czackiego z Jass (datowane 31 lipca r. 1787) do Stanisława Małachowskiego i Poniatowskiego prymasa, w których opisuje szczegóły zaznajomienia się z Ypsylantym i sposób jakim się starał zniewolić go do ustalenia ciągłego handlu z Polską i dostarczania soli za pomierną cenę. Umowa ta wszakże, na nieszczęście, do skutku nieprzyszła; zawsze jednak czyni zaszczyt naszemu wysłańcowi, tém bardziej gdy zwrócimy uwagę na to, że ów czynny w administracyi krajowej doradca, ów deputowany kraju, ów badacz bogactw Polski, miał wtedy zaledwie dwudziesty pierwszy rok życia i był panem znacznego majątku, a mimo to nie zmarnował ani grosza, ani czasu, choćby na chwilowe oddanie się płochości właściwej takiemu wiekowi. Wyższy jego umysł wcześniej pojął prawdziwą człowieka godność. Cnota, poświęcenie, stawały mu się koniecznością, nałogiem. Samolubstwo nie kaziło jego duszy czystej, gdyż zdolności swoje, czas, majątek, uważał za własność ogółu. To też, mimo różnych przeciwności i oszczerstwa, miał on sowitą we własnym przekonaniu nagrodę, jaką czują ci tylko, co tkliwi na głos sumienia, mianują szczęściem prawdziwym pokój wewnętrzny i radość po spełnieniu dobrych czynów. W liście do Platera pisał sam o sobie Czacki: „Przewyższana nagroda jakąkolwiek moję zasługę.”

W podróży wspomnionój zwidził przy splawnych rzekach miejsca dogodne na porty. Za jego staraniem rzeka Dniestr dokładnie w biegu swym i głębinie rozpoznaną została: zrobiono aż trzynastcie kart samego Dniestru. Za swym powrotem przekonał podróżnik kommissyą skarbową, że ta rzeka, niegdyś splawna, później za nieużyteczną w tym względzie uznana, i teraz dwakroć rocznie do splawu służyć może ¹⁾.

Pragnął również Czacki podać zaradcze środki, aby handel, prowadzony wówczas bezładnie i bez wzajemnego porozumienia się, do tego stopnia że często nawet niewiedziano o cenach zagranicznych,

¹⁾ Mapa hydrograficzna Polski i Litwy, obejmująca w sobie wykaz 4,819 rzek, z oznaczeniem ich zakrętów, spadków i pomocy lub przeszkód do splawiania, wyrysowana była za jego staraniem i kosztem złotych polskich: 180,000.

mógł być przedsiębrany z pewnym systematem i korzyścią ogólną. Wypracował zatem projekt aby w państwach zagranicznych, z którymi prowadzono handel morzem, wyznaczeni byli obywatele do uwiadomiania o cenach i ruchu handlowym, a kommissye administracyjne krajowe, aby rozsyłały wieści o zbywających produktach lub o wewnętrznych kraju potrzebach ¹⁾.

Napisał potem (1788 r.) dość obszerny projekt o urządzeniu rękodzielni w Polsce i Litwie, o bezpieczeństwie osób, domów, oraz osobistych prawach rękodzielników; podawał także plany zreformowania Izraelitów. Gdy roku 1790 kommissya skarbową zdawała rapport z czynności swoich, wyświeciła się wtedy najlepiej praca i użyteczność Czackiego. Powstał ogólny głos uwielbień wśród zgromadzonych stanów dla człowieka, co każdą myśl usiłował ku dobru powszechnemu obracać, co wykazał takie dowody zdolności prawnych i ekonomicznych, troskliwością o pomnożenie dobra materialnego ziomków i wymierzaniem sprawiedliwości, bez względu komu się ona należała. Udał się wtedy Czacki właśnie na pogrzeb ojca i nie słyszał pochwał mężów przeznaczonych do roztrząsania czynności kommissyi skarbowej. Wszakże około 3,000 arkuszy interesów skarbowych, własną jego prawie pisanych ręką ²⁾, i drukowane głosy obywatelskie najlepszym będą tych jego zasług pomnikiem.

Zdając sprawę z poleconego mu zwidzenia okolic Krakowa i przejrzenia w tym starożytnym grodzie skarbcza, 1787 roku pięknie bardzo zamek krakowski opisał i wiele pamiątek krajowych oraz starożytności w mieście odkrył.

Oprócz mapy *topograficznej*, złożonej rządowi w czasie wycieczek dla obejrzenia portów i wskazania miejsc stosownych do wyrabiania soli, jako od członka kommissyi na to wyznaczonej, oraz prócz wspomnianych już kart *hydrograficznych*, podał jeszcze projekt kommissyi rządowej skarbu, aby wymierzyć kraj i sporządzić wielką kartę *strategiczną, ekonomiczną i statystyczną*, względem wykonania której zasięgał rady Jana Śniadeckiego. Mapy tej w XVIII wieku nieuskuteczono;

¹⁾ Wiszniewski i Raczyński wytłoczyli także w swych zbiorach jego rzecz o handlu Polski z Portą otomańską, napisaną 1792 roku.

²⁾ Zbiór ten znajdował się w bibliotece poryckiej. Ztamtąd przez Puławy przeszedł do Sieniawy.

wszakże zamiary Czackiego, tak chlubnie przezeń pierwszego powzięte, godne są wspomnienia.

Delegowany na sejm 1791 roku od kommissyi skarbowej, jako mówca w zakresie ekonomii politycznej odznaczał się. Wytłoczoną jest nawet z tego roku mowa jego o rzeczy mennicznej. Następnie, odsunawszy się dobrowolnie od działań powszechnych, zdał sprawę na sejmie grodzieńskim z czynności siedmioletniego urzędowania skarbowego. Potem udał się do akademii krakowskiej, wyszukując zarazem, obok oddania się naukom, zabytków piśmiennych i dziejowych w dawnych klasztorach ¹⁾. To dało powód iż w *Biographie universelle* nazwano go professorem akademii. Dwudziestotrzyletni nieodstępny towarzysz jego tak okoliczność tę wyjaśnia: „Widząc jak Czacki własne swe ogranicza wydatki, im przecież nie uszczupla, dla nich wyznaczoną nagrodę ma za rzecz nietykalną, wszyscy domownicy do swego dobroczyńcy przychodzą, niosą mu dobrowolną i chętną ofiarę umniejszenia ich losu, z tą tylko prośbą usilną, ażeby ich od siebie nieusuwał. Z rozrzwiniem przyjął Czacki tę chęć szczerą i pamiętne wyrzekł słowa: „Najmniejszym chleba kawałkiem z wami dzielić się będę; każdemu z dłużników do ostatniego grosza com winien zapłacę, a kiedy mi nic nie zostanie, wtedy dopiero z wami rozstać się będę musiał. Pójdę objąć miejsce nauczyciela w szkole głównej krakowskiej, ażebym siebie utrzymał, dzieciom dał wychowanie.” Z tego zdarzenia, zamienionego potem w skrzywioną opowiadankę, musiał urosć błąd we wspomnionej *Biografii powszechniej*.

Wkrótce istotnie postradał majątek. Ale udawszy się do Petersburga, wyjednał to iż Poryck mu oddano w części, a za klucz brusiłowski i Ostróg wypłacić ze skarbu polecono. Nie tracąc wcale z utratą dostatków zamiłowania uczoneści, zwidzał w Rosyi akademie nauk, sztuk pięknych i rękodziel. W roku 1796, odzyskawszy majątek, wybrany był z Kijowskiego na delegata do Moskwy na koronację cesarza Pawła I. Wyjednał wtedy przeniesienie metryk koronnych z Petersburga, ustanowienie sądu głównego i obieralność marszałków. Wtedy także bawił w Moskwie Stanisław August Poniatowski, który upatrywał zawsze w Czackim następcę Naruszewicza w kré-

¹⁾ Wtedy zwidził i Łysą górę, mając list króla do biskupa krakowskiego i zwierzchnika klasztoru, aby mu dano wstęp do wszelkich rzadkości i pamiątek starożytnych.

śleniu dziejów krajowych, Jakoż otrzymał od króla w darze zbiór rękopisów tyczących się historyi naszój, kosztujący 600,000 zł. pols. Był to ów skarbiec z którego korzystał Naruszewicz, były to bogactwa które Albertrandy czerpał w Kopenhadze, Sztokholmie i w bibliotece Watykanu. Znajdowały się w téj liczbie wyciągi z metryki koronnój i litewskiej, z archiwum niepublicznego zwanego sekretném, z akt biskupich, z papierów rodowych Paców, Chodkiewiczów, Sapiehów, Radziwiłłów, Judyckich, wypisy z gabinetu francuzkiego, szwedzkiego, wiedeńskiego, papieżkiego, wreszcie z korespondencyj samego Stanisława Poniatowskiego i akt urzędowych, dzienników sejmowych, diaryuszów rady stanu i t. d. Przeszło to wszystko na własność Czackiego, i razem z rękopisami, rzadkami, któremi odznaczała się od innych biblioteka porycka, dostało się do bogactw księgozbioru puławskiego. Po śmierci Stanisława Augusta kupił nadto Czacki księgozbiór Poniatowskiego dla liceum krzemienieckiego, który razem ze spisem ręką Albertrandego dopełnionym znajduje się obecnie wcielonym do biblioteki uniwersytetu Ś. Włodzimierza ¹⁾. Nadto w czasie bytności swojój w Moskwie Czacki otrzymał od bawiącego tamże nuncyusza apostolskiego, arcybiskupa Teb, Wawrzyńca Litta, pozwolenie czytania ksiąg objętych indeksem *librorum prohibitorum*, datowane 13 maja 1797 roku. W téj liczbie między innymi wymienione są dzieła Machiavellego, Giannonego, Voltaire'a i t. d. Dowód rzadkiej w uczonych uległości przepisom kościelnym.

W tymże samym roku (1797) na żądanie jenerała Beklemiszowa, rządcy trzech prowincyj, Podola, Wołynia i Ukrainy, podał uwagi obszernie, po francuzku napisane, o handlu, z wyszczególnieniem jego postępu w Polsce do roku 1792, to jest do czasu urzędowania swego w kommissyi skarbu koronnego. Tu podał środki rozwinięcia téj ważnej gałęzi administracyi krajowój, stanowiącój znaczną część bogactwa skarbu, a główne niemal źródło dostatku mieszkańców.

Zaraz po opuszczeniu służby publicznej Czacki zawiązał ze Stanisławem Sołtykiem, Michałem Walickim i Józefem Drzewieckim towarzystwo handlowe, a okrętowi który z Odessy odpływał do Tryestu nadano imię *Tadeusza Czackiego*. Właśnie

¹⁾ Myli się Bentkowski w tomie I Historyi literatury polskiej (na stronnicy 159 w przypisku) utrzymując iż sto dzieścię tomów in folio wypisów Albertrandego kupił Czacki dla biblioteki krzemienieckiej. Była to jego własność.

około owego czasu (1801 — 2) zwidzał nasz znakomity uczony wszystkie ciekawe dla badacza dziejów pamiątki. Dostał od króla pruskiego pozwolenie przejrzania archiwum tajnego po Krzyżakach w Królewcu, zkaąd, uczciwszy wprzód popioły wielkiego naszego prawodawcy światów, Kopernika, we Frauenburgu, napisał o nim właściwym sobie stylem list do Jana Śniadeckiego, a ułamki kości wielkiego rodaka przesłał do świątyni Sybilli i do byłego towarzystwa przyjaciół nauk. Następnie udał się do Gdańska, Gniezna, Poznania, Kalisza, Kujaw, gdzie zgromadzał rzadkości bibliograficzne, i sam osobiście chciał, jako sumienny badacz, przeglądać akta i zbiory przeszłości. Znane już wtedy powszechności jego imię zjednywało mu wszędzie gotowość w udzielaniu pomocy. Świeccy i duchowni zarówno pragnęli mu otworzyć skarby ukryte i przez to nauce hold winny oddać, tak dalece, iż gdy przyjął zaproszenie od kapituły wladysławowskiej znajdującój się wówczas na obradach, wdzięczni członkowie zapisali w aktach na wieczną pamiątkę bytność w gronie swoim Czackiego.

Na początku bieżącego stulecia z Franciszkiem Dmóchowskim, biskupem Albertrandym i Stanisławem Sołtykiem, założył bytujące przez lat 30 b. towarzystwo przyjaciół nauk w Warszawie i zgromadził do nowego księgozbioru, dlań zakładającego się, rzadsze dzieła. Widziemy że trzy ważniejsze nowe biblioteki: w Porycku, Warszawie i Krzemieńcu, jemu winne znamienitsze swe skarby. Dlatego wypadnie mu darować, gdy w dziejach bibliotek naszych, skręślonych przez autora *Bibliograficznych ksiąg dwojga*, znajdujemy wzmiankę, że starosta nowogrodzki kupował bardzo tanio książki z biblioteki Załuskich, że powszechnie lękano się Czackiego, jako nieodpęzonego niczém od rzadkości drukowanój lubownika; bo on rozrzucane tu i owdzie drogie kamienie zbierał we trzy klejnoty, przeznaczone dla dobra powszechnego.

Od roku 1799 był najprzód pełnomocnikiem wybranym od Ukrainy i Podola, a potem prezesem kommissyi bankowój, uprzywilejowanój od trzech dworów: rossyjskiego, pruskiego i austryackiego, do likwidowania stanu czynnego i biernego banków Teppera, Blanka, Prota Potockiego, Kabryta (Cabrit) i innych. Jego wpływem kraj zyskał pięćdziesiąt milionów złotych polskich na wzajemnym porozumieniu się wierzycieli tutajszych z galicyjskimi i wielkopolskimi dłużnikami. Gdy do-

pełnił tego polecenia rządowego i obywatelskiego zarazem, mianowany został 1803 roku wizytatorem jeneralnym szkół gubernij kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej. Zaraz prawie przy wstąpieniu do tej służby, która mu wiekopomną zjednała sławę, napisał rodzaj rapportu pod tytułem: „O stanie powszechnym oświecenia gubernii wołyńskiej i o środkach urzędzenia i upowszechnienia nauk, uczynione doniesienie przez Tadeusza Czackiego 1804 roku w styczniu.” Osieński, późniejszy rektor akademii wileńskiej, a wtedy jego przyjaciel i podwładny, tak pisał o tym doniesieniu: „Stan oświecenia w ostatnich okresach pod rządem polskim i panowaniem rossyjskiem opisał, tajenie prawdy poczytując za główną winę. Dowodził potrzeby związku cnoty z nauką, a znajomością kraju, ludzi i nauk, tudzież prawdziwą gorliwością, to pismo odznaczył. Podział wywodów, związek ich z celem zamierzonym i dowcip tę jego pracę zaszczyca. Stanie się ona wzorem dla zwidzających szkoły i drogim dla potomności pomnikiem.”

Mając upoważnienie od kuratora okręgu naukowego wileńskiego, oraz od ministra oświecenia, do zbierania składek na rzecz wychowania publicznego, zyskał od obywateli dobrowolnej ofiary złotych polskich 415,576 i wieś Grabówkę. Niemógł jednak taki człowiek jak Czacki przestać na samych tylko materyalnych zasilkach oświaty. Ustawy dla gimnazjum wołyńskiego (29 lipca 1805) przezeń utworzone, za zniesieniem się z trzema znakomitami uczonemi: Kollatajem, Ignacym Potockim i Janem Śniadeckim, dowodzą że chociaż jaknajdoskonalej znał system wychowania i tryb jakim się miały nauki wykładać, odłożył jednak na stronę miłość własną i radził się jeszcze innych w tym zawodzie zasłużonych mężów, aby prawdziwą skarbnicę dla przyszłych zostawić pokoleń. Wydane niedawno w Krakowie we czterech tomach przez Kojsiewicza listowanie jego z Hugonem Kollatajem najlepszym jest dowodem, jak daleki od zarozumienia, niechcąc w najmniejszej pomylić się rzeczy, radził się i żądał jego zdania w każdym, by najdrobniejszym wydarzeniu. Polegał na jego przeorganizowaniu szkoły głównej krakowskiej i skróceniu układu rządu szkolnego. Niegardził też i radami Śniadeckiego, który jako sekretarz Kollataja, a raczej akademii krakowskiej, i członek rady wizytatorskiej, kilkadziesiąt lat liczył zasług w zakresie nauk i ich wykładzie.

Równie wysoko cenił prace Ignacego Potockiego w sprawie kommissyi edukacyjnej, w sprawie ogólnej oświaty krajowej podejmowane. Pewnym więc był że jego usiłowania, takimi wsparte filarami, ani upadną, ani się nawet kiedykolwiek zachwieją. Budował na lat 25.

Otrzymałszy potwierdzenie najwyższe swych przedstawień i na mocy tego założywszy gimnazjum wołyńskie, które potem zmieniło się na liceum krzemienieckie, odebrał następne pismo od ministra oświecenia z Petersburga, datowane 14 listopada 1805, za N. 667: „Zaszczyciłeś mię, J. W. Panie, przysłaniem doniesienia z jak okazałą uroczystością rzuciłeś na ziemię wołyńską nasiona przyszłych Aten. Czytając mowę jego przy tej uroczystości mianą, napawałem się słodyczą równą tej jaką się nasycali starożytni Grecy, dając oklask Herodotowi czytającemu w pośród nich księgi dziejów, imionami Muz oznaczone. Wiodącym między sobą spór, że natura zmordowana wydawaniem wielkich geniuszów spoczywa w naszym wieku, wskażą na geniusz Czackiego, który na parnacie polskim wskrzesza Muzy obumarłe w Attyce. Któryż bowiem znakomitszy geniusz być może nad ten, co przynosi oświecenie współczesnym i następnym pokoleniom współobywateli swoich? Takim to okiem spoglądano na usiłowania J. W. Pana, które nacechowane być mają wieczną pamięcią i powszechną wdzięcznością. Daj J. W. Pan do zamierzonego celu, rozkrzewiając dobroczynne dla rodzaju ludzkiego nauki. Blizką już jest ta chwila, w której pracujący będzie mógł powiedzieć: *Jam opus exegi!* i usłyszeć nawzajem powszechny dla siebie odgłos, który najodleglejsza nawet powtórzy potomność. *Nomenque erit indelebile vestrum* etc. Piotr hrabia Zawadowski.

Przy akcie otwarcia mieli mowy: biskup Cieciszowski, błogosławiący tej nowej szkole, Aleksander Chodkiewicz sławny chemik, Jan Lernet założyciel szkoły geometrów przy témże gimnazjum i Jan Nepomucen Wyleżyński literat i następca Czackiego w wizytatorstwie. Za najwyższém zezwoleniem, uzyskaném w skutku prośby wszystkich Wołynia mieszkańców, postawiono Czackiego popiersie w księgozbiornie krzemienieckim i wybito dlań złoty medal. Z powodu wzniesionego pomnika w pośród biblioteki, jeden z wieszczów naszych, do dziś dnia jeszcze żyjący, napisał piękną poezją, kończącą się stosownemi słowy:

Światła i światła, wołał lud sarmacki,
Światła i światła lzy nasze błagały,
A Bóg litośny rzucił promyk chwały,
Zajaśniał Czacki!

Z wiérzopisarza zaś Marcina Molskiego umieszczono pod sztychowaném wyobrażeniem Tadeusza Czackiego tę rzetelnie zasłużoną pochwałę:

Z jego wpływu i pracy mieć będą prawniki
Dwie pamiątki najdroższe: język i nauki.

Medal wyobrażał z jednej strony popiersie Czackiego z napisem łacińskim: „Wdzięczni obywatele Wołynia na pamiątkę wieczną”¹⁾. Ze strony drugiej była wystawiona opromieniona Minerwa, budząca laską geniusz oświaty, który usnął. Wokoło napisaném było po łacinie: „Takiem światłem jaśnieje i geniusz nauk rozbudza”²⁾.

I w istocie wart był tych wszystkich hołdów Czacki! On bowiem wyjednał dla ukochanej przez się szkoły starostwo krzemienieckie, z ogromnemi lasami; sto dwadzieścia sześć szkółek parafialnych czyli elementarnych w prowincyach pod swój kierunek oddanych urządził; założył w Krzemieńcu, obok gimnazyum, oraz opatrzył we wszystkie niezbędne narzędzia i przedmioty, obserwatoryum astronomiczne, gabinety: numizmatyczny, fizyczny i nauk przyrodzonych, ogród botaniczny, drukarnią, szkołę geometrów (zwanych na Wołyniu komornikami), potworzył zakłady dla kształcenia nauczycieli wiejskich, organistów, mechaników praktycznych i ogrodników. Za jego już czasów sam jeden zbiór medali i pieniążków po Stanisławie Poniatowskim nabyty, a przezeń zwiększony, wynosił przeszło sztuk 20,000. Nadto wyjednał u rządu ustanowienie kommissyi sądowo-edukacyjnej wołyńsko-litewskiej, dla wykrycia skarbów po-jezuickich, przeznaczonych na rzecz wychowania publicznego. Podobnych dochodów od roku 1775 wiele zalegało dla ubogich uczniów; niektóre summy przepadły, idąc na zastąpienie procentów nieopłacanych; niektóre kapitały poszły pod rozbiór (eksdywizyą), inne znowu pieniądze były pomieszczane bez odpowiedniej pewności (hypoteki), inne wreszcie podciągnięte zostały pod rozpatrywanie rozmaitych sądów szlacheckich i podane w niepewność lub niebezpieczeństwo. Czacki Tadeusz, obrany prezesem kommissyi wołyńskiej, do trzech gubernij rozciągającej się, podzielił prace

swoje na ekonomiczne i sądowe, napisał myśli do prawa dla podobnej kommissyi na Litwie, obejmującej pięć gubernij, a dla swojego wydziału w siedmiu arkuszach podał pomocnicze środki należnego wykonywania obowiązków. Nadto skręślił dzieje wszystkich własności po-jezuickich, uporządkował zajęcia siedmiu członków kommissyi i stron u których długi z funduszków edukacyjnych zalegały; wreszcie tyle dokazał, iż w ciągu jednego roku (od 1807—1808) odkryto złotych polskich 2,350,000 na przedmiot wychowania publicznego.

Tak troskliwie wydobywając by najmniejszy grosz należący się niegdyś jezuitom, a później już sprawie oświaty powszechniej, musiał na siebie oburzyć niektórych z tej liczby, co pragnęli wbrew potrzebie ogółu i słuszności ukryć pieniądze dla własnego interesu: potajemnie oskarżony, udawszy się do Charkowa, a we trzy tygodnie potem do Petersburga, usprawiedliwił się jaknajzupełniej w obec najwyższej władzy i podziękę publiczną zamiast nagany dla się zyskał. Tak szlachetnie w tém zdarzeniu się znalazł, że nawet imienia oszczercy nikomu odkryć niechciał.

Na rok przed skonem przewodniczył otwarciu wyjednanego przez się gimnazyum kijowskiego. W lutym 1813 r., spiesząc z Żytomiérza do Dubna, dla widzenia kuratora wileńskiego, zapadł nagle w chorobę niewyleczoną. Silna gorączka nerwowa w pięć dni wtrąciła go do grobu 8 lutego, w czterdziestym siódmym roku życia.

Pragnął aby ciało jego złożono w Porycku w grobie ojców. Serce jego było zachowane w Krzemieńcu, z nadpisem wyjętym z ksiąg świętych: „Gdzie jest skarb twój, tam i serce twoje.” W rzeczy samój, Czacki tyle uczynił dla tej szkoły, tak przywiązał się całą duszą i sercem do sprawy publicznego wychowania, że serce jego najszlachetniej w przybytku nauk spoczywać powinno było, w tym przybytku, który on wzniósł z taką troskliwością, przez lat ośm z ojcowską miłością pielęgnował i do coraz większej podnosił doskonałości. Oto są słowa idące imieniem téjże uczelni, z grona jej członków, w obwieszczeniu zwołującym na obchód pamięci jej założyciela: „Ta szkoła, dzieło nieznanających spoczynku trudu i czuwań, którą postawił w takim znaczeniu, wziętości i zaufaniu, dla której dobra żył i życie swoje położył, niemoże mieć nigdy boleśniejszej straty. Ile uczuć dotkliwych ta śmierć sprawiła w tém zgromadzeniu, stru-

¹⁾ Grati cives Volhyniae in memoriam sempiternam.

²⁾ Hoc lumine resplendet, geniumque litterarum excitat.

chlałe serca nasze dowiodły. Żal nieukoiony codzien żywiej wyraża i coraz wydatniej okazać będzie ile z téj ręki szcudrobliwéj spływało na dobro rzetelne téj szkoły, ile z tego ożywczego dowcipu zasileń, mocy i wzrostu nabierało oświecenie we trzech guberniach i całym kraju, ile w duszy jego cnotliwéj wspaniałych i okazałych pobudek znajdował urzędnik, nauczyciel, młodzieniec i wszystkie stany. W ciągu lat ośmiu wznoszącéj się téj szkoły, ważyło się uprzedzenie z pożytkiem, zazdrość z zasługą, chwała z cierpieniem, przeciwność z wytrwałością. Sądem własnego sumienia oznaczył całe swe życie. Wzniesione są w oczach wspaniałe wielkości jego znamiona, w tém wszystkim co nas otacza.”

Wdzięczni Wołyniacy i wychowawcy liceum krzemienieckiego, do dzisiaj pamięć tego wielkiego przechowują człowieka, w rozlicznych pismach czasowych umieszczając materiały ściągające się do wyświecenia działań jego. Tak *Athenaeum* z lat 1845, 1846 i 1848 bardzo wiele umieściło listów jego, podobnież *Pamiętnik magnetyczny* Lachnickiego (w Wilnie), *Przegląd naukowy* Skimborowicza, *Noworocznik literacki* Krasieńskiego w Petersburgu, *Pomniki historyi i literatury* Wiszniewskiego, prócz listów, rozrzucone rozprawy jego zebrały. Wszakże najobfitszy zbiór listów Czackiego, nieobejmujący jednak źródeł wyżej przytoczonych, wyszedł w Krakowie pod napisem: *Hugona Kollataja korrespondencya literacka z Tadeuszem Czackim, wizytatorem nadzwyczajnym szkół w guberniach wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, przedsięwzięta w celu urządzenia instytucyj naukowych i pomnożenia oświecenia publicznego w trzech rzeczonych guberniach*, (cztery tomy od 1844 — 1845 roku, w ósemce). Naostatek wiele ważnych listów jego, gdzieindziej niewspomnianych, mieści Osieński w przypiskach do swojej rozprawy: *O życiu i pismach Tadeusza Czackiego*. Wartoby więc było w jedno wydanie rozrzucone Czackiego zebrać pisma; niespracowany bowiem był w listowaniu, a w tych urywkowych rzutach myśli maluje się cała jego działalność, zamiłowanie obranych przedmiotów i wiele ważnych dla sprawy powszechnego wychowania pomysłów.

Edward Raczyński w Poznaniu przyczynił się do wydania dzieł jego, w trzech tomach ćwiartkowych. Powtórzono tu 12 prac wytłoczonych już w pomnikach Michała Wiszniewskiego, a wiele drobnych opuszczono. Oprócz bowiem nieumie-

szczenia żadnych korrespondencyj, następnych pism niéma w tym zbiorze:

Mowa miana w Kijowie 30 stycznia 1803 roku, drukowana w Krzemieńcu in 4.

Plan szkoły mechaniki praktycznej przy gimnazjum wołyńskim, druk. 1806 roku, in 4.

Odpowiedź na pismo JP. Grumerta, czy JP. Zughoer może być umieszczony w liczbie posłów do monarchów, i czy będąc umocowany do sprawowania interesów księżęcia Kurlandyi w Polsce, powinien podlegać jurysdykcji krajowej? Warszawa 1788 roku, 107 str. w 8. (Rzecz ta napisana z powodu następnego: Tomatys, obywatel warszawski, wygrał sprawę w sądach marszałkowskich, skutkiem czego Zughoer skazany był na więź. Hajking wydał przeciwko temu wyrokowi pismo, na które Naruszewicz odpowiedział w broszurze 1785. Grumert usiłował zbijać Naruszewicza; aż wreszcie Czacki zakończył tę kilkoletnią polemikę wskazaném dziełkiem swoim, w którym dowiódł z praw krajowych że sądy słusznie postąpiły).

Mowa o pożytkach z wychowania publicznego i domowego, 20 lipca 1806 (druk. in 4 b. m.)

Mowa w materyi mennicznej, miana na sejmie 28 września 1791, druk. w Warszawie u Grella, w formacie arkuszowym.

Odezwa do całego składu nauczycielów i młodziezki szkolnej, o śmierci M. W. Mniszcha, 12 marca 1806 roku.

Podobnychże wiele odezw drukowanych w pokroju arkuszowym w Krzemieńcu przy różnych okolicznościach, jak np. przy otrzymaniu starostwa krzemienieckiego na rzecz wychowania publicznego, przy wzywaniu na pogrzeb Czecha i t. d.

Rozbiór jeografii fizycznej i matematycznej Śniadeckiego.

Rozprawa o prawie które mają obywatele prowincyj składających dawną Polskę do wolnego szynkowania piwa, miodu i gorzalki etc., wydrukowana osobno 1805, w ćwiartkowym formacie, oraz wytłoczona w Dzienniku wileńskim 1806 r.

Wiele innych podobnych pism nie znajdujemy w wydaniu poznańskim, a co najważniejsza, niemasz tam krótkiej nawet wiadomości o życiu tego znakomitego człowieka. A przecież wychowawcy Krzemieńca do dzisiaj dnia wiedzą polemiki w pismach czasowych o zasługi założyciela liceum i o pożytki jakie przyniosła ta główna trzech prowincyj szkoła. Dość przejrzeć Dziennik krajowy (warszawski), *Athenaeum* (wileńskie), Ty-

godnik petersburski, Gwiazdę (kijowską), aby znaleźć wykazane zalety Krzemieńca pięknym piórem zasłużonego Dra Karola Kaczkowskiego, Karola Wittego, Jana Sowińskiego, Przeździeckiego i wielu innych. Wołyniacy uwielbienie swoje, tak słuszne z ich strony, posuwają aż do tego stopnia, iż mając w pamięci wyryty obraz Czackiego, ujrzeni go nawet w wyobrażeniu skał rzuconych ręką natury w okolice Żytomiérza. Panowie W. K. O., podróżując po kraju, piszą w Tygodniku petersburskim (1839 r. N. 34.): „Nad brzegiem Teterowa ku Szumskowi jest skała granitowa, na której odwieczne pokłady brył potężnych i nieforemnych tworzą rysunek profilu Tadeusza Czackiego, kiedy się na nie patrzy z pewnego punktu i odległości.” Sądziłem z początku że się to widziało tylko *oczy- ma duszy*; ale będąc w Żytomiérzu 1847 roku, zwi- dziłem brzegi Teterowa i przekonałem się że jest w istocie przypomnienie niejakie rysów założyciela gimnazjum wołyńskiego. Wszakże tego podobień- stwa nieupatrzyłby ani Litwin, ani Mazur lub Ha- liczanin, trzeba na to Wołyniaka, Podolanina lub Ukrainca, którzy w sercu i myśli przechowując pamięć dobroczyńcy swego, na pierwszy rzut oka zaraz znajdują podobieństwo wizerunku Czackiego w piętrzących się skałach, na obowiązanej jemu ziemi swojej. Bo też nieszlachetny chyba człowiek ujmowałby czci Tadeuszowi Czackiemu. Wykaza- liśmy tu aż nadto dowodnie poświęcenie się jego w zakresie oświaty i wychowania; przebieżmy je- szcze po krótkce dzieła jego, jako człowieka uczo- nego.

W obronie Zygmunta Augusta, napisanej jeszcze 1793 roku, a ochrzczonej szumnie tytułem *Obrazu panowania* w Poznaniu, czyni ważne uwagi nad wyszłemi wtedy prawami, nad wojskiem, skarbem i handlem. Był to po prostu list do późniejszego ku- ratora wileńskiego, który niejako stał się powodem do skręślenia wkrótce uczonego dzieła o litew- skich i polskich prawach, o ich duchu, źródłach związku i o rzeczach zawartych w pierwszym sta- tucie dla Litwy 1529 roku. Tu przebiega dzieje naszych ustawodawstw z wielką pracą i erudycją, załącza ryciny pieniędzy polskich od najdawniej- szych czasów i rzuca wiele ciekawych pytań, które potem stały się przedmiotem badań Bandkiego. Przy- gotował już był nawet Czacki drugie poprawniejsze tego dzieła wydanie, które powierzone zostało Pla- terowi, byłemu wice-gubernatorowi wołyńskiemu, ten zaś miał wszystkie bezwarunkowo prace Czac-

kiego oddać Łukaszowi Gołębiowskiemu, które- go przed śmiercią wyznaczył autor wydawcą pism swoich. Plater nieuskutecznił woli zgasłego męża, i my aż dotąd pozbawieni jesteśmy dobrego wyda- nia dzieł Czackiego. Zapewne z rodziny zmarłego zajmie się ktokolwiek zupełnym wydaniem rękopi- sów, choćby łożąc na to wydatki pieniężne. I cie- nie Tadeusza, i oczekiwania powszechności dopra- szają się tego.

Znalazły się w Wilnie przed ośmiu laty blachy użyte do wyżej pomienionego dzieła; kazał je od- bić księgarz Ruben Rafałowicz z takim szumnym tytułem: *Zbiór ciekawy XIV tablic numizmaty- cznych*, rytych na miedzi, zawierających wizerun- ki *numizmatów*, wydanych przy dziele Tadeusza Czackiego, z dodaniem ich opisu szczegółowego, tudzież z załączeniem XIII tablic *ważnych* dla sta- rożytności polskich, pod względem paleografii uży- waną w najdawniejszych dyplomatach, począwszy od roku 1185, zawierających, między innemi, *fac simile* podpisów królów polskich, z portretem Ta- deusza Czackiego. (Stronic 49 in 4). Tych trzy- naście tablic, pięknie przelitografowanych, mieści się i w wydaniu poznańskim; *czternasta* obejmuje monety kuficzne, znajduwane w Litwie, a od ludu zwane *zakładem przymierza z czartem*¹⁾.

Myśli jego zawarte w rzeczy o dziesięcinach, czytaną na posiedzeniu byłego towarzystwa przy- jaciół nauk, przyjął 1801 ówczesny rząd pruski. Aleksander Potocki na język francuzki, Anasta- zewicz zaś na język rossyjski przełożyli tę pracę. Kollataj utrzymuje iż to dzieło najlepiej ze wszy- stkich wypracowane. Rozszerzył to pismo w nastę- pnym roku Czacki i ogłosił pod tytułem: „Dyссер- tacya o dziesięcinach w powszechności, a szczegó- lniej w Polsce i Litwie, i o koniecznej potrzebie utworzenia zamiany snopowej dziesięciny na osep zbożowy.” Umieszczona tu także historia gospo- darstwa krajowego, w porównaniu z angielskim i niemieckim.

W rozprawie *O Żydach* przebiegł rozliczne kole- je ludu tego, u nas tak licznie osiedlonego, poczy- nając od zburzenia Jerozolimy, a kończąc na schył- ku wieku ubiegłego. Czerpał zasoby do téj pracy z Ugolina i Bartolozzego. Opisał położenie staro- zakonnych nietylko w Polsce od wieku XIII, ale nawet i czasy dawniejszego ich stanu, prześlado- wań i praw u Włochów, Arabów, Hiszpanów,

¹⁾ Téj tablicy niema w wydaniu poznańskim.

Francuzów, Niemców i Węgrów, niezapomniawszy oświaty ich i przesądów ¹⁾.

Rzecz o Karaitach, nadzwyczaj krótka.

Rozprawka do prawdy zbliżona o nazwisku *Ukrainy i początku Kozaków*, tłumaczona przez Anastazewicza na język rosyjski, pełna jest erudycji, której niekiedy, dla mnóstwa cytacji i ogromu nasuwających się wiadomości, niemógł dobrze spoić w jednolitą całość i układ nieco systematyczniejszy.

Rozbióra krytycznie M. Galla i Kadłubka, kronikarzew naszych. Z tego ocenienia dziejopis, a raczej latopis, polski, Wincenty, niewyszedł zwycięzko.

Rzuty o Cyganach i Tatarach, jakkolwiek niezbyt obszerne, zawsze naukę jego i znajomość niepospolitą źródeł wykazują.

„Czy prawo rzymskie było zasadą praw polskich i litewskich? i czy z innemi narodami mieliśmy wiele wspólnych praw i zwyczajów?” Ta rozprawa ztąd powstała, iż Bandtkie w broszurce *Vindiciae juris romani Justinianei* (1808) usiłował zbijając zdanie Czackiego, wyrzeczone w dziele o litewskich i polskich prawach, że ustawodawstwo Rzymian nie wpływało na polskie i nieposiłkowało u nas postanowień prawnych. Czacki chciał obszerniej i dowodniej poprzeć swoje zdanie, a wymieniając kiedy i jak było wprowadzonym prawo rzymskie do różnych krajów, zapomina wcale o pośrednictwie praw niemieckich w nadaniu powagi kodeksowi Justyniana. Bandtkie raz jeszcze odparł twierdzenie Czackiego, w dziele pod tytułem: „Zbiór rozpraw o przedmiotach prawa polskiego.” Dzieło to ostatnie wyszło przed samą śmiercią Czackiego, więc i polemika ta skończyć się musiała.

W rozprawie czytanej przy skończeniu roku szkolnego 1817 w Krzemieńcu *O prawach mazowieckich*, po oddaniu czei należnej Kaźmirzowi Wielkiemu, przebiega rządy Mazowsza za Piastów przez trzy wieki, rozważając prawa głównejsze. Wreszcie, rozbiérając ustawodawstwo pięćdziesięcioletnie (do roku 1576), kończy poglądem krytycznym na całą politykę księstwa mazowieckiego. Bandtkie tu zarzuca, iż rozprawiając o dziele starożytném, zapomniał o jego tytule. Policzyćby to można na karb roztargnienia, którym się odznaczał

¹⁾ Tu także zdaje sprawę z ustaw dla nich na sejmie ostatnim projektowanych.

Czacki w życiu nawet powszedniém. Ileż to razy na przykład wyszedł w jednym bucie, a w drugim trzewiku na ulicę. Hoffmanowa przytacza, że zamiast na stoliczku, na głowie damy siedzącej w białym berecie, podczas wieczerzy, taléż umieścił. Będąc w Żytomiérzu na egzaminie jako wizytator, zapytał małego ucznia: „Wiele jest form przypadkowania?” Ponieważ zaś wtedy elementarna Kopczyńskiego grammatyka była zarazem polska i łacińska, rozgarniony chłopczyk, zamiast odpowiedzi, zrobił zapytanie: „W którym języku, w polskim czy w łacińskim?” Podobne roztargnienia przydawały mu się nierzadko. Ale to są małostki pospolite.

Wracając do badań Czackiego w przedmiotach prawa, mamy jeszcze jego rozprawki: *O prawie chełmińskim; O źródłach praw, które miały moc obowiązującą w Polsce i Litwie*; wreszcie Sienkiewicz ogłosił dedykacją drugiego wydania dzieła o litewskich i polskich prawach, Notatkę bibliograficzną i *Pro memoria* dla p. Biernackiego jadącego za granicę (do Szwecyi). Nadto posiadamy jeszcze rozprawę Czackiego o rzeczy mennicznej i *Statystykę Polski*, która piérwszy raz wytłoczona w trzecim tomie wydania poznańskiego, mieści w sobie zaledwo 30 stronic objętości. Jemu także niektórzy przypisują: „Refleksye nad uszkodzeniem dla krajów polskich wynikającym z zaniedbywania handlu, pochodzącego z mniej-ważenia poruczonej nad Gdańskiem opieki,” 1790 w 8 bez miejsca druku str. 30.

Gdy byłe Towarzystwo przyjaciół nauk rozdawało pomiędzy członków swoich wypracowania w przedmiocie dziejów krajowych, wtedy ówczesny prezes towarzystwa, biskup Albertrandi, ozwał się w te słowa: „Któż ciemności wieków rozproszy i tysięczne rozwikła płątaniny? Kto ma zapas potrzebny rękopisów i dawnych ksiązek? Czyja pamięć ogarnie wszystko i wystawi podług potrzeby? Kto wytrwałność pracy z gorliwością o pomnożenie nauk od piérwiastków życia połączył?” Był to zwrot najoczywistszy do Czackiego, na którego wszyscy wtedy spojrzeli. Alluzya zaś do tego ściała się, że Czacki miał po Naruszewiczu ciągnąć dalej dzieje krajowe, których zmarły biskup niedokończył. Ale Krzemieniec, i w ogóle sprawa administracyi wychowania, tak go zajmowała, iż nie był w stanie więcéj nad wstęp (przytoczony od Osińskiego) wygotować. Powiadają że w rękopisie zostawił *Historją panowania Zygmunta Augusta*; ale

to tylko monografia, podobna do tych, jakie z polecenia byłego Towarzystwa przyjaciół nauk wykończyli lub mieli wykończyć: Kwiatkowski (panowanie Władysława IV), J. U. N. (Zygmunta III), Gołębiowski (Jagiellów), Stanisław Potocki (miał pisać o Janie III), Albertrandi wreszcie (Władysława Jagielly, Stefana Batorego i Henryka Walezyusza). Tak więc ogromna historia Naruszewicza rozpadła się w dokończeniu swoim na części, skrócone różnemi rękami; z tych części zapewne dostała się jedna Czackiemu o Zigmuncie drugim, bo już o nim zarysy rzucił był w liście do A. K. C.

Zbiérając obfity gabinet medali i pieniędzy, łatwo mógł zastanawiać się nad numizmatyką i znaczenia mincarzów: to téż podobno zostawił wypracowaną *Historję mennictwa polskiego*, oraz *Prawo kryminalne dla miast*. Jednym słowem był to badacz niespracowany. Gdyby wszystkie najdrobniejsze zebrać prace, a każda najkrótsza odezwa Czackiego ma swoją wartość, byłoby ze dwadzieścia sporych tomów. Samo listowanie większąby połowę tego zbioru zajmowało, a niemasz prawie listu jego, któryby nie miał bezpośredniego, lub przynajmniej pośredniego, związku to z dziejami szkół, to z bibliografią, to ze sprawą wychowania jakiego pojedynczego człowieka (np. Witanowskiego, Biernackiego, syna własnego, lub tym podobnych), to wreszcie ze skarbem i funduszami edukacyjnymi.

Miał zwyczaj, chwytając jaką książkę, spisać jej treść i kreślić uwagi nad językiem lub niekiedy i rzeczą; czynił to zwykle na okładce z czystego papieru, znajdującej się między oprawą a tytułem drukowanym. Dzieła podobnie przejrane znajdują się do dziś dnia w rozmaitych zbiorach. Ztąd niepospolite skarby gromadził dla wiedzy i pamięci swojej; ztąd w stylu mniej dbał o formy retoryczne i potoczność. Nawał wiadomości niepozwał mu często zważać nawet na skład okresów, i dlatego lubił lakoniczność. Z myśli na myśl przeskakiwał, nie zważając na przejścia: ztąd możnaby niemal powiedzieć że u niego próżnego nie było wyrazu. Co do zasady jednak, szczególnie w pisaniu dziejów, niemożna wyrzec iżby się wznieść nad wyobrażenie wieku ówczesnego był zdolny. A jako geniusz, wznieśćby się był powinien. „Wszakże, mówi Osiński, kto się wylał na dobro społeczeństwa, kto pił spokojnie gorzki napój zgotowany od zawiści i zazdrości dla prawdy świętej; kto niczem niezgiętą i niezrażoną moc duszy i prawego sumienia wniósł do grobu, ten od samych przeciwników cześć odbiera znieważonej cnoty. Dopiero po za grobem, słaby głos zawiści dosięgnie nie zdoła; ale surowy sąd potomnych błędy ludzkie odkrywa i potępia, a zdumięwającą wytrwałość doskonałą uwielbia i za wzór do naśladowania podaje.”

H. Skimborowicz.

AMERYKAŃSKA OWCA GÓRNA.

(OVIS MONTANA.)

Owca ta jest większa od innych gatunków tego rodzaju. Rogi ma bardzo wielkie, a mianowicie téż u samców dochodzą znacznych rozmiarów, zajmują prawie całą czaszkę i tak są zbliżone, iż odstęp między niemi wynosi zaledwie $\frac{3}{4}$ cala. Są one bardzo grube i często między kątami niby nabrzmięte, ku końcom nieco spłaszczone, poprzecznie bruzdowane, na dół i na przód równolegle zagięte; końce ich na boki się rozchodzą. Uszy niedługie, zaokrąglone. Ogon krótki, z obwódką białawą.

Wzrostem wyrównywa prawie jeleniowi pospolitemu. Odzież ma blado-szaro-płową, centki śniade na twarzy, piersiach i członkach. Stare samce na wiosnę są prawie białe.

Zamieszkuje ona puste i skaliste okolice *Rocky mountains*, w północnej Ameryce. Schodzi wtenczas tylko ze skał, gdy szuka innego pastwiska. Audubon, chcąc dać pojęcie o okolicach zamieszkałych przez owcę górną powiada: „Jeżeli postawimy obok siebie kilkaset głów cukru różnej wielkości, poobtrącamy im wierzchołki i myślą powiększymy je do wysokości gór, otrzymamy widok skał zamieszkałych przez tę owcę, po których ona z łatwością łązi.”

Polowanie nanie, utrudnione skalistym położeniem ich siedziby, staje się jeszcze trudniejszym z powodu iż są bardzo ostrożne i dzikie. Pożywieniem



ich są trawy i zioła skąpo porastające na tych skałach.

Żyje towarzysko w większych lub mniejszych stadach. Zimą i wiosną samice z młodem stanowią oddzielną gromadę; samce zaś podczas téj pory żyją więcej pojedynczo; latem staczają między sobą częste walki o samice, uderzając na siebie rogami jak barany swojskie. Na rogach ich znaleźć téż można znaczne uszkodzenia, które pochodzą w części od tych walk, a w części także od stłuczenia przy spadnięciu ze stromych skał, przyczém nie-

zawodnie rogi, przy swéj obszérności i mocy, służą im za ochronę. Według Drummond'a rogi mają czasami dorastać takiej wielkości, że niedozwalają owcom zbierać pożywienia z równéj ziemi, będąc mocno naprzód wygięte.

Mięso owcy téj, za świadectwem podróżnych, ma być smaczne.

W czerwcu lub lipcu samica rodzi jedno, lub czasami dwoje, jagniąt, chroniąc je z macierzyńską troskliwością od niebezpieczeństw.

PRZYGODA NA WYSPIE CEYLON.

(OPOWIADANIE PODRÓŻNIKA FRANCUZKIEGO).

Hrabia Horacy, będąc u mnie na herbacie i paląc tureckie cygaretto, rozgadał się o swych podróżach po Europie i Azji.

— Byłem od trzech miesięcy na wyspie Ceylon, rzekł w ciągu opowiadania.

— Cóż pana tam sprowadziło? zapytałem, prze-

ejjsza o to. Przepuścimy że połów pereł, którą pan masz w krawacie, rzeczywiście t Ceylonu.

— Prawda, to najpiękniejsza perła jaką mi się widzieć zdarzyło. Jannisset otaksował ją na 30,000 franków, a Froment Meurice utrzymuje że jest nieoceniona. Przed kilką dniami służący mój zarzucił ją sprzątając. Polajalem go za to niedbalstwo, a on, zniecierpliwiony, odpowiedział: „Jeżelim ją zgubił, to niech mi pan wytrąci z zasług.”

W godzinę później służący odniósł mi perłę, znalezioną gdzieś w śmieciach. Dałem mu dziesięć luidorów. Wziął je, ale zgłupiał, i dotychczas zapewne łamie sobie głowę nad powodem mojej hojności.

Więc byłem na wyspie Ceylon, dla polowu pereł, i mieszkałem w ładnym *Mansion house*, nad samym brzegiem morza.

Pewnego poranku wszedł do mnie jeden z przyjaciół moich, sir Williams, siostrzeniec sir Roberta Peel.

— Cóż tu porabiasz tak rano? zapytałem.

— Wszak jesteś namiętym myśliwym?

— Potrosze. Polowałem w Afryce na lwy, w Indjach na tygrysy, w Norwegii na łosie, w Rossyi na czarne niedźwiedzie.

— A czy miałbyś ochotę popolować tutaj na słonie?

— I owszém. Ale mam tylko pojedynczy karabin i lekką strzelbę myśliwską.

— To mało. Potrzebujesz przynajmniej trzech dubeltowych karabinów; mogę ci nimi służyć.

— Ależ to cały arsenał! Nie udźwignę takiego ciężaru.

— O to się nie troszcz. Zapomniałeś chyba że u nas ludzie biali niczego dźwigać nie potrzebują; od tego są Indyanie.

Daliśmy sobie schadzkę nazajutrz rano o godzinie szóstéj. Na wyspie Ceylon słońce niesłychanie jest punktualne: wstaje nieodmiennie z rana o szóstéj, i o téjże godzinie wieczorem zachodzi; ani wcześniej, ani później, choćby o pół kwadransa. Niéma tam mroku rannego i wieczornego: słońce zapala się i gaśnie jak błyskawica.

Nazajutrz, dziesięć minut przed szóstą, byłem wybrany.

O piątéj zbudziłem był swych służących, którzy natychmiast zerwali się z posłania. W Indjach słudzy sypiają w ubraniu na matach; dosyć ich zawołać, a już są gotowi.

Koń mój rżał niecierpliwie, trzymany przez jednego z Indyan; dwóch innych czekało moich rozkazów.

Pojechałem przez warownią, gdzie mieszkają kupcy europejscy, wzdłuż portu, do stolicy Colombo.

Colombo zamieszkałe jest przez czarnych Syngalezów, przez Malabarczyków i Portugalczyków. Dam panu na prędce krótką charakterystykę tych narodowości.

Syngalezy są pierwotnymi wyspy mieszkańcami i składają klasę handlujących. Malabarczycy po większej części wynajmują się tu za wyrobników. Płacą im około siedmiu *sous* ¹⁾ dziennie, z których za jeden kupują sobie ryżu, a resztę odkładają, i zebrawszy tym sposobem 80 — 100 franków, wracają do kraju rodzinnego i nabywają na własność kawał gruntu, którego uprawa wystarcza im na opędzenie skromnych potrzeb. Portugalczycy nie mogą dotąd zapomnieć że byli kiedyś panami tego kraju. Tworzą oni oddzielną kastę *mestizów*, gardzącą zarówno Białymi jak Czarnymi.

Syngalezy obojęj płci noszą białe fałdziste spodnie, sięgające od bioder aż do kostek; reszta ciała naga. Bogatsi używają sandałów, biedniejsi chodzą boso. Najoryginalniejszą częścią ich ubioru jest przystrojenie głowy. Długie, na sposób chiński w tył zaczesane, włosy przytrzymują rogowe grzebienie takich rozmiarów, że nikną przy nich nawet słynne wielkością grzebienie kobiet sewilskich. Resztę ubrania stanowią kółka złote, srebrne lub miedziane, przewleczone przez chrzastkę ucha, w których Syngalezy przeróżne zawieszają ozdoby. Uszy od tych ciężarów niekiedy o parę cali się przedłużają. Pomimo skwaru słonecznego, chodzą oni z gołymi głowami, lecz używają słoncochronów z liścia palmowego.

Ubiór Malabarczyków składa się z zawoju i z opaski płócienną, trzy stopy długiej i stopę szerokiej, którą przeciągają środkiem nóg, a potem z przodu i z tyłu przywiązują sznurem. U dzieci sznur ten bywa często srebrny.

W każdym prawie domu jest sklep, magazyn albo skład towarów. Właściciele śpią w magazynach; reszta ludności przepędza noc pod werandami. Kto się spóźni, nocuje pod wielką werandą nieba.

Czynności handlowe po większej części odbywają się na ulicy, pod cieniem palm, bananów i kokosów. Rybacy i rybaczki sprzedają swoje ryby,

golarze skrobią brody, piekarze wypiekają kołaczki, wszystko pod otwartym niebem.

Zastałem Sir Williamsa w mieszkaniu, z pięcioma towarzyszami: kilku innych mieliśmy spotkać w drodze. Zapasy strzelnicze i karabiny w równych częściach rozdaliśmy między Indyan.

Droga nasza z początku szła brzegiem rzeki. Drzewa wszelkiego rodzaju: banany, palmy wachlarzowe, drzewa tulipanowe, rawenalie, olbrzymie okolic zwrotnikowych, w cieniście nad nami zesklepiały się zasłone. Pnie ich potężne gęstymi sploty obwijają powoje, o wielkich szerokich liściach, z modremi i czerwonymi kwiatami. Oko spotyka tu wszędzie ową roślinność wybujałą, właściwą tylko krajom południowym, która w Indjach krzewowi różanemu nadaje wysokość palmy.

Przybywszy do mostu, gdzie nas czekało czterech jeźdźców, mających mieć udział w polowaniu, przejechaliśmy na drugą stronę rzeki. Towarzystwo nasze składało się teraz z jedenastu myśliwych, z których każdy miał kilku służących Indyan, razem około pięćdziesięciu osób. Myśliwi wszyscy byli konno; przy każdym koniu z przodu i z tyłu po jednym Negrze. Ci co szli przodem w razie potrzeby prowadzili konie za cugle; postępujący z tyłu, umyślnie ku temu przyrządzone mi chorągiewkami odganiaли komary.

Po trzech kwadransach przybyliśmy do świątyni Buddystów, jednej z najslawniejszych tego wyznania, posiada bowiem kły ubóstwanego przez tę sektę słonia. Architektura tego gmachu bardzo jest prosta i nienależy do żadnego z oznaczonych rodzajów budownictwa.

Za zbliżeniem się naszym zjawił się w progu świątyni jeden z kapłanów, w żółtawej odzieży, bez brody, ale z ogromnymi, zaczesanymi na wysoki grzebień włosami. Przewodnicy powiedzieli nam że to człowiek niezmiernie świętobliwy, który uczynił ślub nieobcinania do śmierci paznogcia małego palca lewej ręki. Rzeczywiście paznogieć miał już około trzech cali długości i skręcał się ku końcowi ślimakowato, naksztalt grajcarka.

Kapłan przez małą furtkę wpuścił nas do świątyni, której wewnątrz znalazłem bardzo podobnym do wnętrza grobów egipskich. Posąg Buddy spoczywa na drewnianym podwyższeniu, z głową opartą na spręcie podobnym do beczki. Kapłan zapewniał nas że posąg ten jest wiernym wizerunkiem

¹⁾ Prawie tyleż kopiejek srebrem.

wielkiego założyciela ich religii. Drugi posąg, o połowę mniejszy, wyobraża małżonkę Buddy.

Obdarzywszy usłużnego kapłana rupią srebrną¹⁾, pospieszaliśmy dalej. Już odtąd droga stawała się prawie bezludną, lecz zato coraz częściej spotykaliśmy zwierzęta. Olbrzymie jaszczurki, zwane przez krajowców *guajna*, spoczywały miejscami w trawie, z głową opartą na przednich nogach, i wywieszając język na sześć cali długi, ciekawie przyglądały się karawanie. Indianie rzucali na nie kamieniami, którym te zwierzęta nadstawiały łuszczyście grzbiety i tym sposobem dość zręcznie unikały razów.

Z pod krzaków tu i owdzie wysuwały się węże. Negrowie nasi zabijali je kijami, albo chwyтали za ogony i druzgotali uderzeniem o ziemię.

Po przybyciu do Indyj, podobnie jak niemal wszyscy podróżni, bardzo się obawiałem węzów, któremi natura tak hojnie kraj ten obdarzyła. Liczą ich tu około dwudziestu gatunków, a z tych *tiepo curigo* i *cobra capella* (okularnik) należą do niebezpiecznych.

Mówię niebezpiecznych, idąc za powszechnym mniemaniem. Ale na wyspie Ceylon, jak zasięgnąć pamięcią, żaden Biały nie został ukąszony; gdy zaś Negrowi zdarzy się zetknąć z zębem jadowitego węża, wtedy natychmiast obwiązuje sobie ranę i przeżuwa jakieś ziele. Po upływie dwudziestu czterech godzin nie myśli już o tém, i całym śladem ukąszenia zostaje tylko biała plamka na skórze.

Byłem sam świadkiem jak obojętnie krajowcy, a nawet i cudzoziemcy, zachowują się względem najjadliwszych z tych zwierząt. Razu pewnego zaproszony byłem na obiad do kapitana Williams, tego samego właśnie z którym teraz wybierałem się na polowanie. Po obiedzie żona jego usiadła do fortepianu i zaśpiewała nam kawatynę Rossiniego. Po kilku taktach kapitan zawołał: „Posiedź chwilę spokojnie!” Mistress Williams przestaje śpiewać, mąż jej uderza kijem pod fortepian i wydobywa zabitego *cobra capella*.

„Te przekłete okularniki przepadają za muzyką,” rzekł najspokojniej kapitan. I żona jego skończyła kawatynę, nie zmieszana wcale zdarzeniem, któreby w Europie poruszyło całe miasto.

Okolo godziny drugiej po południu przybyliśmy do Postaye, i oddawszy konie Negrom, weszliśmy

¹⁾ Okolo sześćdziesięciu kopiejek srebrem.

do oberży dla posilenia się. Po obiedzie zwidzieliśmy miasteczko, dosyć, jak wtedy, ożywione, bośmy trafili na jarmark. Zanocowaliśmy w oberży i nazajutrz dopiero w dalszą ruszyliśmy drogę.

Wypadło nam teraz zboczyć ku zachodnim stokom górzystego łańcucha, na którego najwyższym szczycie, 8,000 stóp nad powierzchnią morza, leży miasto Nuera Ellia.

Towarzystwo nasze musiało tu postępować człowiek za człowiekiem, koń za koniem, bo droga była wązka i stroma.

Dojechaliśmy wreszcie do lasu, który właśnie, używanym w Indjach sposobem, ogień przygotowywał pod uprawę. W tym celu drzewa ścinają się o łokieć nad ziemią i wystawiają przez parę miesięcy na promienie słoneczne. Po upływie tego czasu dosyć przytknąć głowienkę do którejkolwiek gałęzi, a w oka mgnieniu pięć, sześć, dziesięć mil lasu staje w płomieniach.

Droga tu była równa i szeroka, aleśmy ją przebywali między dwiema gorejącymi ścianami, jak Hebrajczycy morze Czerwone pośrodku fal rozstąpionych. Musieliśmy dobrym ruszyć kłusem, bo gorąco dla koni i dla ludzi stawało się nieznośnym.

O kwadrans drogi za lasem, jadąc wciąż pod górę, napotkaliśmy plantancyą kawy, z okazałym domem mieszkalnym.

Przewodnik nasz klasnął w ręce; z mieszkania wyszedł Negr.

— Czyj ten dom? zapytał sir Williams.

— Sir Andrews'a.

— Czy jest u siebie?

— Niéma.

— Przygotuj nam śniadanie.

— Jakie wino panowie rozkażą?

— Szklaneczkę madeiry albo kseresu.

Rozgościliśmy się wygodnie i pozostaliśmy do następnego poranku. Podawano nam doskonale jedzenie, pościel powleczone cienutkimi poszewkami, a jednak żaden z nas nieznał właściciela domu. Takim to sposobem w Ceylonie wykonywają gościnność.

W miarę jakieśmy się zbliżali do Nuera Ellia, charakter otaczającego nas krajobrazu zaczynał się zmieniać. Nie było już drzew wysokopiennych, tylko bujne lecz krzaczyste zarośla, a powietrze stawało się tak mile orzeźwiającym i chłodnym, jak w klimacie umiarkowanym.

Niezatrzymując się w miasteczku, udaliśmy się zaraz na tak zwaną równinę słońców. Zastaliśmy

tam pięciu czy sześciu myśliwych, których widok bardzo nas ucieszył, bośmy w Nuera Ellia zapomnieli zaopatrzyć się w żywność, a liczyliśmy na to, że się z nami bratersko podzielią. Na nieszczęście jednak i ci także myśliwi wyczerpnęli swe zapasy: musieliśmy poprzestać na trosze sucharów.

Nad wieczorem odległy huk grzmotu zapowiadał zbliżanie się burzy; o godzinie jedenastej zerwał się uragan. Nie byłeś pan w krajach zwrotnikowych, więc nie masz pojęcia o srożeniu się burzy, w miejscu zwłaszcza tak wyniosłym. Myśmy przylegli do ziemi; przy nas na prawo stały konie, na lewo psy; pierwsze bezustannie rżały, rozkopując ziemię kopytami, drugie szczekały i wyły niemiłosiernie. Przez całą noc nie zmrużyliśmy oka.

Nazajutrz, znużeni bezsennością i głodem, postanowiliśmy koniecznie coś upolować, już nie dla przyjemności, tylko po prostu dla zaspokojenia fizycznej potrzeby.

Wzięliśmy strzelby, i rozpuściwszy psy, posunęliśmy się w zarośla, wszyscy pieszo, bo przebyć z koniem tę gęstwinę było niepodobieństwem.

Polowaliśmy z angielskimi i afrykańskimi chartami.

Po pięciu minutach psy angielskie zagrały, lecz zarazem stanęły w miejscu jak wryte. Wrzawa była piekielna; postąpiłem szybko kilka kroków, chcąc się przekonać o przyczynie.

— Strzeż się, zawołał sir Williams, to tygrys.

Wyznaję że ta przestroga w pierwszej chwili pospiech mój [wstrzymała. Sam kilka razy byłem świadkiem okropnych wypadków z tygrysami. Lecz kiedy ujrzałem podsuwających się z boku naszych towarzyszy, zapomniałem o wszystkim. Miałem się dać wyprzedzić i przybyć, jak to mówią, po harapie?

Rzuciłem się w zarośla, aby pierwszy stanąć na bojuisku. Sądząc po graniu psów, zdawało mi się że jestem dalej od nieprzyjaciela, niż byłem rzeczywiście.

Wtém nagle o sześć kroków od siebie ujrzałem przyczajonego tygrysa.

Tygrys drgnął, jak gdyby się rzucić chciał na mnie.

Szczęściem dwa charty afrykańskie trzymały go za szyję, a jeden za ucho, unikając zręcznie jego zębów i uderzeń ogona. Był to tygrys pierwszorzędnej wielkości.

Głowa jego, której skórę zajadłe psów targania silnie naprężyły, była ku mnie zwróconą, jak gdy-

by przeczuwał że od człowieka największe grozi mu niebezpieczeństwo.

Ślępie przerażonego zwierza czerwono-płowym zarzyły się blaskiem, a w zapienionym jego pysku świeciły dwa rzędy białych i ostrych zębów.

Wiedząc z doświadczenia że najdrapieżniejsze zwierzęta ulegają potędze śmiałego wzroku ludzkiego, zacząłem bystro wpatrywać się w tygrysa.

Mogłem zgruchotać mu czaszkę, bo pewny byłem strzału; ale pamiętałem że myśliwi na wielką skalę, gardząc zbyt łatwym zwycięstwem, lubią zabijać tygrysy po prostu pchnięciem kordelasa.

Nie spuszczając nieprzyjaciela z oka, szedłem ku niemu z podniesionym nożem, i przykląkszy o pół kroku, wbiłem mu go w łopatkę aż po rękojeść.

Zwierzę targnęło się tak gwałtownie, że musiał puścić kordelas.

Rzuciłem się na bok.

Tygrys podskoczył w górę, razem z przyczepionemi do głowy jego chartami; ale trzymany przez nie, upadł w tём samém miejscu.

Miałem od wypadku w pogotowiu dubeltówkę; lecz psy nie puszczały swego więźnia, który zresztą miał w sobie jakie dwanaście cali żelaza.

Koniec mego noża musiał dosięgnąć serca, bo walka śmiertelna była krótką.

Tygrys potarzał się kilka razy z psami i uderzeniem łapy jednemu brzuch rozplatał; ale potem wyciągnął się i skończył.

Sir Williams uderzył kilka razy batem w tę bezkształtną kupę, wyglądającą jak potwór o stu ogonach. Psy rozpierzchnęły się, zostawiając ciało tygrysa.

Skutkiem gwałtownych poruszeń, kordelas został w dwóch trzecich częściach wypchnięty z jego piersi.

— Czyj ten nóż? zapytał sir Williams, wydobywając go do reszty.

— Mój, odpowiedziałem krótko.

— Brawo, jak na początek.

Obtarłem kordelas chustką i wetknąłem go na powrót w pochwę. Zimna krew moja zyskała pochwały całego towarzystwa.

Tygrysa oddaliśmy Negrom, którzy zaraz zdjeli z niego skórę, a psy poszczuliśmy na nowo. Jakkolwiek bowiem głód nam dokuczał, nie mogliśmy przecie jeść mięsa tygrysięgo; trzeba było o lepszą postarać się zwierzynę.

Wkrótce też granie chartów, tym razem szybko

oddalające się, oznajmiło nam stropienie nowój zdobyczy.

— To łos, panowie, rzekł sir Williams, będziemy mieli pieczyste.

Pospieszając za odgłosem grania, spostrzegliśmy po jakimś czasie iż ono nie oddalało się już więcej.

— Maja go! zawołał znów sir Williams. Te nasze charty wywlekłyby w potrzebie hippopotama z Nilu. Naprzód panowie, naprzód!

Tym razem kapitan pierwszy był na miejscu, a gdyśmy zdążyli za nim, ogromny łos leżał już powalony.

Negrowie nasi wzięli się zaraz do roboty, i w oka mgnieniu zwierzę było wypatroszone i porąbane na ćwierci. Inni tymczasem zajmowali się wykopaniem dołu i znoszeniem drzewa.

Po chwili buchnęły płomienie. Udźce i łopatki pieczono na roznach, krzyżówkę zaś razem ze skórą wrzucono w dół do połowy napełniony żarzącymi węglami, i z wierzchu znów posypano węglami.

W godzinę zasiedliśmy wszyscy do uczy zaimprovizowanej. Jedzenie było wyborne. Wczoraj jeszcze powiedziałem restauratorowi w Palais Royal, u którego kiepskie podano mi pieczyste: „Poślij pan swego kucharza do Ceylonu, żeby się piec nauczył.”

Pokrzepieni siedliśmy na koń i skierowaliśmy się ku Biutenne.

Na wyspie Ceylon najczęściej słoni napotkać można właśnie między Biutenne i Badulą.

O kilka staj od miejsca naszej biesiady, droga zwraca się na prawo. Na skřęcie koń mój, będący na przodzie, stanął nagle dęba. Przewodnik utrzymywał że musiał zwietrzyć słonia.

Napróżno spinałem go ostrogami: zwierzę, choć zwykle powolne, tym razem uporczywie odmawiało mi posłuszeństwa.

Zeskoczyłem z konia, którego przewodnik ujął za cugiel, i z karabinem w ręku poszedłem naprzód.

Indyanin miał słusność. Wniewielkiej odległości ujrzałem jednego z owych słoniów oblaskawionych, których w Ceylonie używają do budowy dróg. Ciągnął on krokiem wolnym i jednostajnym ogromny cylinder żelazny, służący do ugniatania świeżo pozwirowanej ziemi. Dla poruszenia tego ciężaru potrzebaby było ośmiu do dziesięciu koni, a słon powodował nim od niechcienia, jak gdyby szedł luzem.

Na widok zbliżających się koni, pracujący olbrzym dawał oznaki niespokojności; bo trzeba wiedzieć że słonie tak samo lękają się koni, jak konie słoniów. Gdyby nie kornaki z jednej, a nasi Indyanie z drugiej strony, to niezawodnie przerażone zwierzęta byłyby się rozbiegły w kierunkach przeciwnych.

Nieraz już dawniej, a zwłaszcza w Bombay, widywałem słoni wykonywających ludzkie roboty.

W Bombaj używają ich najczęściej do układania drzewa w szychty. Słon każdy pracuje od godziny szóstej rano do szóstej wieczorem i zastępuje siłę 20—25 ludzi. Wskazaną sobie przez przewodnika kłodę chwyta trąbą jak słomkę i składa ją w miejscu oznaczonym. Dwa razy na dzień, o dwunastej i o szóstej, kornaki podają mu jedzenie. Za nadejściem też jednej z tych godzin, słon, choćby już trzymał podniesiony ciężar, rzuca go o ziemię, i niczem skłonić go nie można do dalszej roboty.

Gdy zasłabnie, przez kilka dni czasem nie stawia się do pracy; lecz jeśli nieobecność ta potrwa dłużej jak tydzień, to można być pewnym że nie powróci już wcale, bo albo zdechł, albo zdziczał.

Wiadomo jak w Indjach rekrutują słoniów. Wpędzają ich w miejsce otoczone silną palisadą i morzą głodem przez dni kilka. Potem wpuszczają do nich parę słoni oswojonych, a te uderzeniami trąby poskramiają do reszty znękaną już głodem zwierzęta.

Na tem się kończy ich oblaskawienie, i odtąd już posłuszenie nosić będą drzewo, równać drogi i stawiać bulwarki.

Słoniów napotykanym w gromadzie lękać się niema czego. Nie napastują ony człowieka; bo cóżby zresztą począć z nim miały, kiedy nie jedzą mięsa: tylko człowiek i małpa mordują dla przyjemności.

Ale strasznymi dla zwierząt i dla ludzi są słonie włóczące się pojedynczo, pariasy swojej społeczności, skazane, za jakieś przestępstwa, na zupełne odosobnienie. Powiadają że słoniów dotkniętych tym wyrokiem, choćby uciekły o mil kilkadziesiąt, bracia ich wszędzie poznają i wykluczają ze swego towarzystwa. Pariasy takie nie łączą się nawet pomiędzy sobą, i ta samotność właśnie robi ich mściwymi.

Lecz wracam do naszego polowania.

Przybywszy do Biutenne, zostawiliśmy tam konie, a sami puściliśmy się w gęstwinię, mozolnie kordelasami torując sobie drogę.

Wiedzieliśmy dokąd się udać na pewno, bo wysłani naprzód Negrowie przed dwoma jeszcze dniami o milę od tego miejsca znaleźli ślad słoniów.

W drodze po kilka razy zrywały się przed nami stada złocistych bażantów. Miałem ochotę zabić parę tych pysznych ptaków; ale mnie powstrzymano uwagą że nie należy płoszyć słoniów, których miejsce pobytu było już niedalekie.

Po dwóch godzinach prawdziwej pracy pionierskiej stanęliśmy w miejscu noszącym niezaprzeczone ślady niedawnego przejścia trzody słoniów. Jak słoma na klepisku, leżały tu podeptane młode drzewka, z których leśne te olbrzymy zrobiły sobie podściółkę.

Dwie bruzdy po 30 stóp szerokie, jak dwa tunele, wskazywały że trzoda dwoma ztąd podążała oddziałami.

Zdumiony ogromem zrządzonego spustoszenia, zapytałem sam siebie, jak człowiek, którego noga zaledwo trawę pochyli ku ziemi, zuchwale stawać może do walki z potworami zdolnymi potratować całe lasy.

Nareszcie zatrzymaliśmy się w miejscu przez Indyan oznaczonym.

Sir Williams, jako z nas wszystkich najwięcej oswojony z polowaniem na słonie, dał nam instrukcją ostateczną, której słuchałem z dziwnym jakimś szumem w uszach, świadczącym że, mimo odwagi, krew moja nie była w stanie normalnym.

— Nie tak to straszne jak się zdaje, upewniał nas sir Williams, który sam kilkudziesięciu ubił słoniów, a raz tylko uległ wypadkowi, niebardzo zresztą szkodliwemu.

Wypadek ten przed kilką laty spowodowany był nieostrożnością sir Williama, który ranił wystrzałem młodego słonia, i skutkiem tego został atakowany przez matkę. Zdażył wprawdzie odskoczyć ku miejscu gdzie zostawił służącego z drugim karabinem, ale ten uciekł i w strachu strzelbę zabrał z sobą.

Tymczasem samica zrobiła obrót, uchwyciła go trąbą i podniosła do góry. Towarzysze sir Williama korzystali z téj chwili, aby strzelić do słonicy. Ranione zwierzę z wściekłością rzuciło go w bok o jakie dwadzieścia kroków; lecz druga salwa położyła je na miejscu.

Sir Williams nietyle od upadku, jak raczej od silnego skrepowania trąbą, przez kilka miesięcy cierpiał mocny ból piersi.

Nauczony własnym doświadczeniem, przyjaciel mój zalecił mi najsilniej abym nie strzelał do młodych. Ostrzegł mnie nadto iż nie należy atakować słoniów z kłami i słoniów białych, jako zajmujących wysokie w społeczności tych olbrzymów stanowisko.

Każdy słoń z kłami, zdaniem Indyan, jest królem; każdy słoń biały bożkiem.

Na inne słonie można strzelać bez obawy: idzie tylko o to żeby trafić; bo słonia razić można tylko w ucho, w oko, albo w sam środek czoła.

Jeżeli się uda trafić go w czoło, to czasem pada od razu; jeżeli nie, to rzuca się na tego który strzelił.

Wtedy myśliwy powinien odskoczyć na bok i przebiegającemu słoniowi wypalić w ucho.

— To rzecz najprostsza w świecie,— powtórzył raz jeszcze sir Williams, i wymawiając te wyrazy, spojrział na mnie badawczo. Wargi moje drżały; ale postanowiłem nieodmiennie strzelić, chociażby na młode, na słonia z kłami albo na słonia białego.

Nagle z gęstwiny ozwały się głośnie okrzyki Negrów; potem ziemia straszliwym zatętniała łoskotem. W jednym tunelu pokazało się kilkunastu słoniów, w drugim trzech tylko: samiec, samica i młode.

— Panowie, rzekłem po angielsku, zostawcie mi te trzy sztuki; ja wam zostawiam całą trzodę.

Potem, zwracając się do Indyan swoich, zawolałem: „Zamną, kto odważny! Kto tchórz, niech ucieka zawczasu.”

Jeden tylko z Negrów pozostał. Kazałem mu mieć w pogotowiu dwa zapasowe karabiny, a sam pochwyciwszy trzeci, pospieszyłem na spotkanie słoniów.

W odległości trzydziestu kroków zacząłem mierzyć w młode, biegnące szybkim klusem pomiędzy rodzicami; na dwadzieścia kroków wystrzeliłem.

Słoniątko przystanęło, zachwiało się i upadło.

Samica wydała krzyk przeraźliwy, krzyk matki, żalony razem i groźny, i zatrzymała się, usiłując podnieść swoje młode.

Samiec rzucił się na mnie.

Dopuściłem go na sześć kroków, i wpakowawszy mu w czoło drugą kulę, odskoczyłem na bok.

Indyanin podał mi jedną ze strzelb zapasowych.

Stary słoń minął mnie w gwałtownym rozpędzie. Chciał się obrócić; ale upadł na kolana, i wydawszy ostatnie jeszcze stęknienie, całym swym ogromem powalił się na ziemię.

Na krzyk konającego towarzysza przybiegła samica.

Mogłem ją trafić w czoło; wolałem jednak innego użyć sposobu. W chwili dobiegania do mnie samicy, szybko odskoczyłem na stronę, i obie kule dwururkowego karabinu wpadły w ucho rozjuszonego zwierzęcia.

Ołów i proch zrobiły skutek należyty.

Trzy słonie na cztery strzały, przyznasz pan że to nieźle.

Siadłem na młodym słoniątku, mającym wielkość rosłego konia, dobyłem krzesiwka i zapaliłem cygaro.

Mieliśmy razem siedm ogonów słoniowych; bo tylko ogony zabiérają myśliwi; reszta na nic się nie zda.

Jeden Negr został przez słonia zdruzgotany, drugi, wyrzucony w powietrze, pokaléczył się okropnie o gałęzie poblizkiego drzewa. Z myśliwych żaden nie poniósł szwanku.

DESZCZOMIERZ (PLUWIOMETR).

Wiadomo że obłoki powstają z przetwarzania się pary wodnej w zaokrąglone, białawe pęcherzyki. Pęcherzyki te, z wyjątkiem naturalnie rozmiaru, podobne do baniek mydlanych, składają się z małej ilości wilgotnego powietrza, otoczonego cieniuchną powłoką wodną. Skoro w powietrzu następuje niżenie ciepłotanu, para zaczyna się skraplać, i spadając własnym ciężarem, tworzy dëszcz.

Są kraje w których dëszcz nigdy prawie nie pada, jak Egipt wyższy i Peru. W innych, jak w San-Carlos de Venezuela, przez dziewięć do dziesięciu miesięcy w roku niebo nieustannie zsyła potoki. Pod zwrotnikami w porze wiatrów peryodycznych dëszcze bywają rzadkie, lecz zato obfite bardzo podczas ciszy. Pora dëszczów w tych krajach gorących przypada jednocześnie z najwyższém wzniesieniem się słońca; a że tam słońce dwa razy w roku dosięga zenitu, więc téż dwukrotnie ponawiają się dëszcze. Widoczna że przyczyną tych często powtarzających się ulew jest obfitsze wywiązywanie się pary wodnej, skutkiem silniejszego działania promieni słonecznych.

W Europie ilość dëszczu zmniejsza się w stosunku prostym do oddalenia od brzegów morskich. W Anglii liczą rocznie 152 dni dëszczowych, we Francyi 147, w środkowych Niemczech 141, w Kazaniu 90, a w głębi Syberyi tylko 60.

Niedosyć jednak było dla badawczego umysłu ludzkiego zająć się samém tylko zliczeniem dni dëszczowych; nauka większej wymagała dokładności, i wkrótce téż znalazła sposób dopięcia swoich

celów. Szło o to aby zmierzyć z przybliżoną ścisłością ilość spadłego dëszczu w danym czasie i miejscu. Używane ku temu narzędzie, prostego bardzo składu i przystępne dla każdego kto przez czynienie użytecznych postrzeżeń zechce nieść pomoc nauce, nazwano pluwiometrem albo udometrem.

Jest to naczynie metalowe, z dnem stożkowatém, mającém przewiercony w środku otwór. Naczynie to stawia się na zbiorniku, z którego spodu przez jedną ze ścian bocznych wychodzi na zewnątrz rurka szklana, pionowo w górę zagięta i opatrzona podziałką. Rzecz prosta że woda ściekająca z naczynia górnego wznosi się w rurce do takiej samej wysokości jak w zbiorniku, i tym sposobem wskazuje na podziałce ilość spadłego dëszczu. Przypuśćmy na przykład że woda w pluwiometrze stojącym pod gołym niebem w przeciągu miesiąca dojdzie do 4 centymetrów, znaczyć to będzie że gdyby nie wsiąkanie i parowanie, utworzyłaby ona na ziemi okolic przyległych warstwę takiejże wysokości.

Za pomocą tego narządu obliczono że w Paryżu spada corocznie dëszczu 0,57 metra, przyczém to szczególne zrobiono spostrzeżenie, że w latach od 1817 do 1827 na podwórzu tamecznego obserwatorium spadło go 57 centymetrów, a tylko 50 centymetrów na przyległym tarasie, mającym 27 metrów wysokości. Dziwne to zjawisko starano się wytłumaczyć następującym sposobem. W czasie wilgotnym, krople dëszczu, jako zimniejsze od powietrza, spadając zgęszczają parę wodną, przez

co objętość ich, w miarę dłuższego spadku, coraz się powiększa, i tym sposobem ilość deszczu znacznie jest blisko ziemi aniżeli na znacznym wzniesieniu.

Podajemy tu obraz porównawczy ilości deszczu spadającego rocznie w miejscowościach położonych pod różnymi stopniami szerokości:

	Metrów.
Matuba (Gwadelupa).....	7,04.
Bombaj.....	2,08.
Bergen.....	2,25.
Genua.....	1,40.
Lyon.....	0,89.
Lille.....	0,76.
Rzym.....	0,70.
Strasburg.....	0,69.
Bordeaux.....	0,65.

	Metrów.
Londyn.....	0,63.
Marsylia.....	0,47.
Petersburg.....	0,46.

W Warszawie, według dostrzeżeń meteorologicznych w obserwatorium tutajszym w ostatnich latach dziesięciu, wysokość spadłej wody wynosi średnio w millimetrach 546,8, czyli 0,54 metra.

Z cyfr tych ogólny wyprowadzić można wniosek, że lubo wiele szczególnych okoliczności wpływać może na ilość deszczu spadającego w różnych miejscowościach, to jednak, przypuściwszy te same z każdą warunkami, tam będzie go więcej, gdzie parowanie jest silniejsze, czyli że najobfitsze deszcze bywają w krajach gorących i położonych blisko morza.

INSTYTUT GIMNASTYCZNY

P. TRIAT W PARYŻU.

Wół i wielbłąd odbywali z sobą drogę, prowadzone przez człowieka. Wół przeladowany, widząc wielbłąda lekkim postępującego krokiem, prosił go aby mu ulżył ciężaru.

— Niechcę, odpowiedział wielbłąd, dźwigam dosyć i bez tego.

— Niebaczny sobku, rzekł na to wół; wkrótce dźwigać ci przyjdzie cały mój ładunek, a w dodatku i mnie samego.

I rzeczywiście nazajutrz wół padł ze znużenia, a człowiek ciało jego wraz z ładunkiem włożył na grzbiet wielbłąda.

Plutarch, twórca tej przypowieści, chciał przez nią wyrazić solidarność między duszą a ciałem. Gdy pierwsza nie pomyśli o zaspokojeniu potrzeb drugiego, sama częstokroć pada ofiarą, i własną utracą swobodę, zmuszona wlec z sobą i ciało niedołączne, i wszelkie jego cierpienia. Ztąd Plutarch wnosi że człowiek powinien kształcić zarazem i ciało i duszę, doprowadzając je do takiej z sobą zgody, jaką widzimy w dwóch koniach do jednego zaprzęzonych wozu.

Zasada ta stała się początkiem wszelkich cwi-

czeń ciała, znanych w odległej już starożytności pod nazwiskiem gimnastyki.

Przypatrując się z uwagą cudnemu mechanizmowi ciała ludzkiego, niepodobna w istocie nieuznać że ono potrzebuje działania i ruchu, który zresztą jest ogólnym całej przyrody prawidłem, poczynawszy od gwiazd krążących po przestworach nieba, aż do mrówek nurtujących ziemię.

Gdy nadto w organizmie naszym życie duchowe tak ściśle zespolone jest z cielesnym, że każda czynność jednego oddziałuje i na drugie; gdy trudno zaprzeczyć, przyjąwszy nawet wyższość pierwiastku duchowego, iż ciało ciągle i przeważnie wpływa na umysł, wynika więc z tego, że ćwiczenia fizyczne działają na cały nasz organizm, zarówno na ducha jak na materię.

Z tego wychodząc stanowiska, łatwo pojąć iż racjonalne zastosowanie ćwiczeń cielesnych stało się przedmiotem oddzielnej sztuki, a sztuka ta, gimnastyka, praktycznie rozwinięta, żywotnie obchodzić musi fizyczne i moralne wychowanie człowieka, zachowanie jego zdrowia i udoskonalenie całej istoty.

Gimnastyka téż u starożytnych stanowiła połowę wychowania publicznego i prywatnego. *Palestra* była u nich szkołą normalną ćwiczeń cielesnych, w której kształcono zarówno siłę, lekkość i zręczność.

Gimnastyka wojskowa zasadzała się na skokach, walce na pięści, rzucanie dysków i dziryków, oraz gonitwach pieszo, konno i wozami. Wiadomą jest okazałość igrzysk publicznych, w których uczestniczyli wszyscy wychowawcy palestry.

Gimnastyka lekarska sięga czasów ojca medycyny, Hippokrata. Łączono z nią zimne kąpiele, obmywania i nacierania wszelkiego rodzaju.

Gimnastyka atletyczna miała na celu usposobienie szermierzów do walk cyrkowych. Sławę ich opiewali rapsodowie i uwieczniały napisy historyczne. Wybiérani z pomiędzy rodzin wolnych i uczeiwych, wychowywani pod kierunkiem ustanowionych ku temu urzędników, przysięgli ci szermierze walczyli nago; udzielano im w nagrodę zwycięstwa wieńce sosnowe, wawrzynowe lub oliwne, broń, odzież, ozdoby srebrne, konie lub niewolników, zarzucano z amfiteatru kwiatami i odwożono w pochodzie tryumfalnym przez wyłom zrobiony umyślnie w murach rodzinnego ich miasta. Tezeusz, Herkules, Jazon, Milon krotoński byli takimi atletami. Ostatni z nich zabijał rzeczywiście wołu uderzaniem pięści, chociaż nie zjadał go na obiad, jak to niektórzy utrzymują. Jak wszyscy podobni jemu szermierze, Milon utrzymywał swą siłę wstrzemięźliwością i wprawą nieustanną.

Walki starożytne na trzy dzieliły się rodzaje. Zapaśnicy uciérali się stojący ciało w ciało, z zamiarem obalenia się na ziemię; albo palcami i dłońmi, chcąc jeden drugiego popchnąć ku końcowi mety; lub wreszcie leżąc na piasku i tarzając się z sobą, dopóki jedna strona nie prosiła o łaskę. W Sparcie i w Chio mężczyźni i kobiety razem tak walczyli.

Igrzyska publiczne były jakby drugim chlebem powszednim starożytnych. *Panem et circenses!* chleb i igrzyska! wołali Rzymianie, a królowie ich, konsulowie i cesarze nie żartem się nieraz kłopotali o zaspokojenie obu tych żądań. Igrzyska zajmują nawet niepoślednie miejsce w historii greckiej i rzymskiej, uświetniając obrządki religijne i obchody znakomitych wypadków.

W wiekach średnich gimnastyka zasadzała się na turniejach, karuselach, grze w pierścienie, ćwiczeniach konnych i orężnych, tańcach i t. p.

Wynalazek prochu, kładąc po większej części koniec tym rycerskim zabawom, utworzył próżnię w wychowaniu fizycznym, która niemało zapewne się przyczyniła do zniewieścienia terażniejszych generacyj. Ćwiczenia cielesne pozostawiono wojskowym, niektórym rzemieślnikom i włościanom; przeznaczeniem zaś arystokracji, mieszczan i uczo-nych, to jest tych właśnie którym najbardziej potrzeba ruchu, była nieruchomość, z wyjątkiem może trochy pływania, konnej jazdy i fechtunku.

Dziś młodzież naszą nawet i do tańca trudno zapędzić, o czém najlepiej wiedzą gospodynie zabaw; a cóż dopiero do ćwiczeń wymagających nieco więcej wysilenia! Zaledwo że uczniowie w szkołach oddają się jeszcze grom i zabawom połączonym z bieganiem, pasowaniem się i skakaniem.

Praojcom naszym zahartowanie się i wprawa sił fizycznych nadawały zdrowie i krzepkość, dziś ledwie wyjątkowo gdzie napotykanie. Ktokolwiek bacznie okiem rzuci naokoło siebie, ten ujrzysz mnóstwo chorych chodzących, pracujących, słowem wlekących jako tako życie; chorych znoszących z rezygnacją cierpienia którym zapobiedz nie umieją, które już prawie uważają za stan swój normalny; chorych upadłych tak nisko, że zdrowie zdaje im się kłamstwem i marzeniem. Urzędnicy, artyści, pisarze stają się ofiarami tej powolnej trucizny co ją zwiemy nieruchomością, wyniszczani codziennie przez zepsute powietrze i sztuczne ciepło pokojowe, przez rozdrażnienie nerwów i zbytne natężenie mózgu. A przy tém wszystkiém *mają się dobrze*, z wyjątkiem cierpień nerwowych, gastrycznych, wątrobianych, śledziennych i mnóstwa innych chorób chronicznych które ich nurtują. Mają się dobrze! Bo rzeczywiście, nacóżby się zdało mówić ciągle o tej biedzie, która już się na zawsze wdarła w ich organizm? Piszą więc, malują, rytują, grają i komponują, i zdaje im się że są zdrowi. Wprawdzie nie takie to zdrowie jakim po większej części cieszą się włościanie; ale włościanie mają świeże powietrze i ruch, włościanie wprawiają siły udzielone im przez naturę. Po miastach, a szczególnie stołecznych, *mieć się dobrze* znaczy: *cierpieć nie leżąc w łóżku*; zdrowiem nazywają tam trzymanie się jako tako na nogach.

We Francyi podczas restauracyi i po roku 1830 pułkownik Amoros przywrócił gimnastykę w wojsku, i usiłował wprowadzić ją także w system wychowania. Pod tym ostatnim atoli względem po-

wodzenie jego ograniczyło się na kilku mało znaczących tylko próbach w Paryżu.

Zasluga prawdziwego wskrzeszenia, a raczej stworzenia, nowój gimnastyki należy się we Francji p. M. H. Triat, którego w Niemczech pod tym względem wyprzedzili Gutsmuth, Jahn i inni, lubo w sposób nietylę racjonalny.

Instytut p. Triat, położony na polach elizejskich, jest zakładem prawdziwie pomnikowym. Gdzieindziej zabawa zwykle osłabia i wyniszcza; tu przeciwnie wzmacnia ona i ukrzepia. Ociężały znajduje tam ruch zbawienny, pracowity, przyjemne wytchnienie, młodzież wszelkich stanów otwarte szranki ku rozwinięciu swój męzkości stłumionój wpływem cywilizacyi, ku zaczerpnięciu sił nowych i dotąd nieznanym sobie roskoszy.

Jest to sala ogromnych rozmiarów, okolona trzema rzędami galeryj. Jedna jej połowa opatrzona jest podłogą, druga na wysokość stopy wysłana trocinami. Wchodzącego uderza najprzód niezmiernie mnóstwo lin rozpiętych w różnych kierunkach. Jedne kołyszą się w festonach, inne okrążają galerye, inne jeszcze wyprężone są prostopadle, ukośnie i poziomo, lub wiszą swobodnie, opatrzone w dolnym końcu miedzianym pierścieniem; a każda z tych lin, których wartość sama przez się znakomity przedstawia kapitał, służy do celów gimnastycznych. Przez tę koronkę konopną widać w głębi system prostych i łukowatych drabin, do znacznej napiętrzonych wysokości i w liczbie tak wielkiej, że ktoby je przebył szczebel po szczeblu, odbyłby niezawodnie dwa razy drogę przez wieżę kościoła Notre-Dame. Nad niemi wznoszą się równoległe pręty ruchome, wynalazku p. Triat, pozwalające przeszło stu pięćdziesięciu różnorodnych ćwiczeń. W środku nakoniec stoi koń naturalnej wielkości, świadek tylu cudów siły i zręczności. Nie wspominamy o masztach, o sztabach żelaznych poziomych, ani o narządach napotykanym i w mniejszych tego rodzaju zakładach. Nie wdajemy się również w opis dowcipny maszyn pomysłu p. Triat, przeznaczonych dla osób zbyt słabych aby w zwykłych uczestniczyć mogły ćwiczeniach; opis ten bowiem bez rysunku niebyłby zrozumiałym.

Taką jest sala gimnastyki pod względem czysto mechanicznym. Lecz gdy wybije godzina ósma, gdy niezliczone płomienie gazowe oświetlą skropioną arenę, gdy przez otwarte podwoje tój prawdziwej świątyni zdrowia sypnie się tłum młodzie-

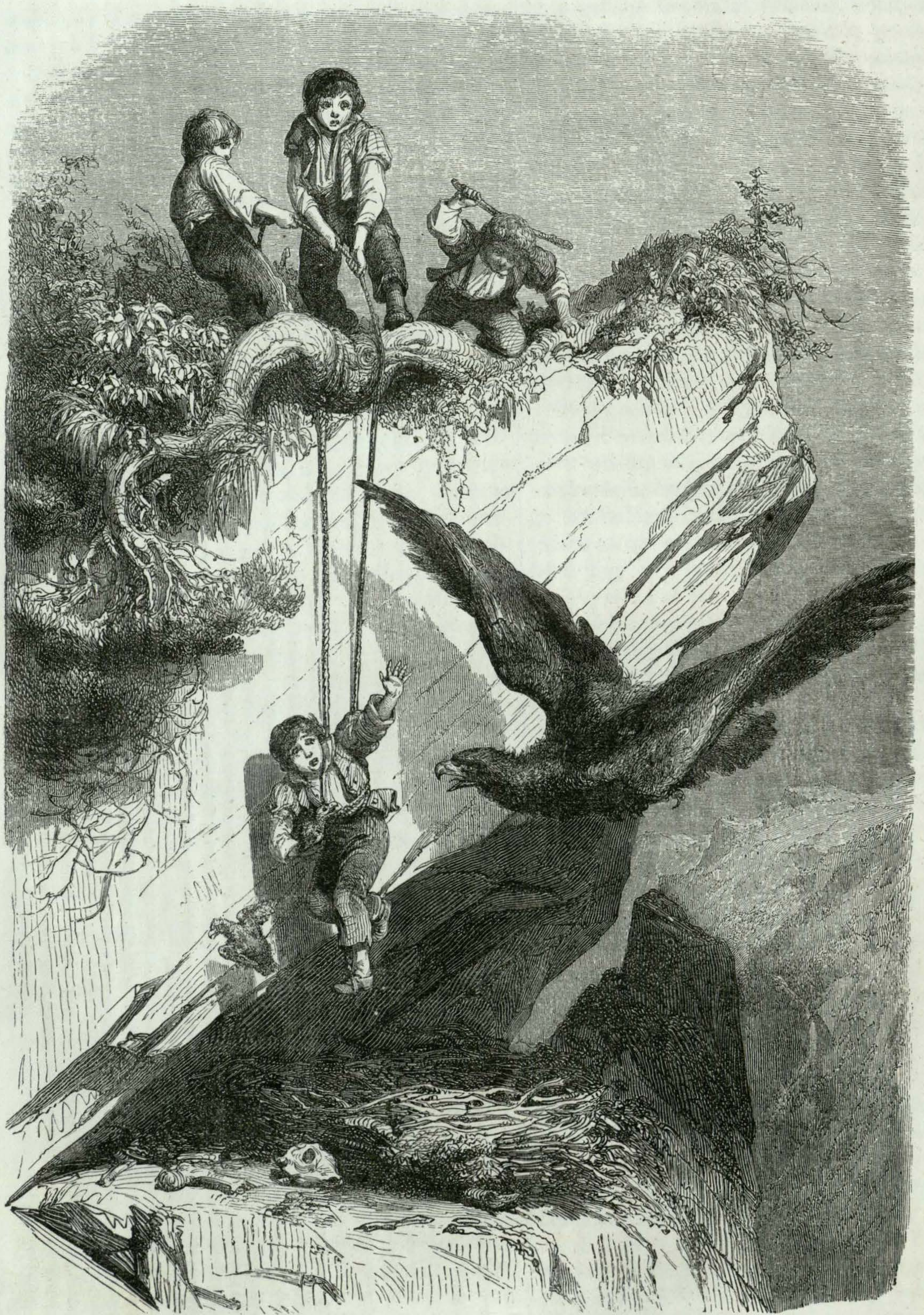
ży, a galerye zapełnią widzami, wtedy niemy dotąd przybytek nabiera ożywienia, pochopni szermierze rzucają się w zapasy, dla zdobycia sobie siły i gibkości, i zaczyna się uroczystość zdrowia.

Po linach, masztach i drabinach uwija się rzesza młodzieńców i ludzi dojrzałych, w obcisłych czerwonych trykotach, z piersią obnażoną. Pręty uginają się pod ich ciężarem, maszty trzeszczą, pierścienie się bujają. Wprawniejsi przeskakują drewnianego konia, podczas gdy inni z krzykiem i śmiechem pasują się z sobą na trocinach. Oto wesołość, oto życie prawdziwe! Dalejże, dzielni młodzianie, hartujcie ciało, zestalajcie mięśnie, rozszércie piersi, zaczerpnijcie powietrza pełnymi płucami, pracujcie, poruszajcie się, żyjcie!

Otóż i mistrz! Przypatrzcie mu się z uwielbieniem. Wszakżeż to człowiek nie różniący się w niczym od innych, a jednak siła jego przewyższa trzykrotnie, czterokrotnie siłę zwyczajną. Dlaczego muskularne i gibkie jego ciało zdaje się wykrojonem na wzór starożytnych posągów? Dlaczego hart jego przejmie podziwem w obec własnej miękczalności? Bo on wykonał na sobie wszystkie te doświadczenia które dziś na was ma powtórzyć. P. Triat, atleta niezrównany, prawdziwy Herkules nowożytny, słusznie nazwać się może synem swój własnej metody.

Najzręczniejszy pomiędzy zręcznymi, p. Triat wykonywa to czego nikt przed nim nie wykonał. Patrzcie, już podskakując jak tygrys pochwycił w pędzie koniec bujającej się liny, już wdrapał się po niej z szybkością i zwinnością kota aż pod samo sklepienie, i wysoko nad wami kołysze się w powietrzu. Széroka pierś jego przegina się z wytężeniem, głowa pochyla się na dół. Chwila jeszcze, a stopa jego dotyka już ziemi, i szermierz niezmordowany, jakby dla pokazania że to co zrobił było tylko fraszką, natychmiast jednym susem przesadza konia, przenosząc go w skoku o wysokość metra.

Lecz rozległ się głos piszczałki; igrzyska wstępne ukończone i zaczyna się kurs normalny. Podczas gdy uczniowie rzucają się z zapalem do różnych przyrządów gimnastycznych, my, choć pobieżnie, rzućmy okiem na ten nieprzebrany arsenał broni niekrwawej. Jest tam za 50,000 talarów samego żelaza: osądźcie z tego czy p. Triat potrzebuje lękać się współzawodnictwa. Ogromne mnóstwo *wywijaków* (*haltères*) czyli kul żelaznych najrozmaitszej wielkości, połączonych poprzecznicami



Polowanie na Orleta.

mi; potężne sztaby, opatrzone również w końcach kulami większego już ciężaru, wszystko to służy do ćwiczeń ręcznych. Ciekawi, z uczuciem na poły podziwu, na poły przerażenia, oglądają masę lanego żelaza, zwaną *ciężarem p. Triat*, bo on tylko jeden na świecie zdoła go unieść po nad głowę z wyprężoną ręką. Widząc go wykonywającego tę pracę Herkulesa, śledzimy z biciem serca każde natężenie atletycznych mięśni jego, i scena ta, prawdziwie dramatyczna, niezatarte niczym zostawia w nas wrażenie.

Lekcja normalna czyli *parterowa*, pod osobistym kierunkiem p. Triat, ma na celu kolejne i systematyczne wprawianie wszystkich mięśni ciała ludzkiego. Ćwiczenia te, pomijając praktyczną ich użyteczność, już jako widowisko nawet niezmiernie są zajmujące. Pięćdziesięciu razem uczniów, ustawionych we dwa szeregi, porusza się na komendę mistrza, który w fantastycznym ubraniu grzmącym głosem wydaje swe rozkazy.

Wielkie i małe wywijaki, taniec gladiatorów, gonitwy po linii węzowej, ćwiczenia na drągach, masztach i linach, walka maczugami, wszystko to następuje po sobie z zadziwiającą szybkością i dokładnością. Niejeden ustalby może, ale tam niema czasu na spoczynek; a zresztą nauczyciel umie tchnąć w swoich uczniów wpływ jakiś ożywczy. Każdego popęd czarodziejski, magnetyczny rwie ciągle naprzód, i zapał ten nie prędzej ustaje, aż w chwili gdy słudzy miejscowi, za danym znakiem, otwierają rury z zimną wodą, przeznaczone dla ochłody i obmycia spoconych zapaśników.

Nie wznawiając tu kwestyi tylokrotnie już roztrząsaną, nadmieniamy jednak iż zimne te obmywania po pracy mordującej są rzeczywiście jedną z najwymyślniejszych rozkoszy, i nietylko że dla zdrowia bynajmniej nie szkodliwe, lecz nawet do tyła ukrzepiające, że człowiek po nich czuje się

jakby odrodzonym, i mógłby na nowo rozpocząć ćwiczenia.

Takim jest zakład p. Triat, według opisu ludzi z własnego znających go doświadczenia. System jego łączy umiejętnie empiryzm dawny z wymaganiami naukowymi teraźniejszości, i odpowiada doskonale potrzebom epoki naszej. W jednej godzinie p. Triat, za pomocą systematycznie obmyślanych poruszeń, umie zjednoczyć wypadki greckiej palestry, rzymskiego cyrku, średniowiecznych turniejów, fechtunku, konnej jazdy, skoków, tańca, wszelkich słowem ćwiczeń nadających siłę i gibkość, hart i układność, zdrowie i swobodę.

Tysiące już młodzieńców i dziewic (w zakładzie bowiem p. Triat jest oddział osobny i dla kobiet) doznało na sobie zbawiennych skutków tej metody; tysiące ludzi dojrzałych, ba nawet starców, osłabionych bezczynnością, odzyskało przez nią zdrowie. Książęta, generałowie, wysocy urzędnicy, znakomici pisarze i artyści, wycieńczeni życiem siedzącym i zbyt ciężkim natężeniem mózgu, uczęszczali prywatnie na lekcje p. Triat, i jemu winni są przywrócenie utraconej krzepkości.

Moglibyśmy na poparcie tego twierdzenia liczne przytoczyć imiona; ograniczymy się wszakże na jednym tylko przykładzie. Marszałek Saint-Arnaud, gdy cesarz powierzył mu dowództwo nad armią wschodnią, śmiertelnie był osłabionym. P. Triat, trafnym zastosowaniem systemu swojego, o tyle przywrócił mu siły, że mógł się na koń i stanąć na czele armii francuskiej.

Obecnie towarzystwo złożone z osób znakomych zamierza upowszechnić po całej Francji system p. Triat i zrobić z niego instytucją narodową. Wynalazca chętną ku temu podaje rękę, i tym sposobem wkrótce zapewne gimnastyka nowożytna zaszczepi się we wszystkich warstwach społeczności francuskiej, której fizyczne odrodzenie jest właśnie celem usiłowań p. Triat.

POLOWANIE NA ORLETA.

Podróżnik jeden francuski, namiętny ornitolog, w następujący sposób opisuje wypadek, który dołączona rycina tak wyraźnie przedstawia.

Podczas niejednokrotnych wycieczek moich po

Alpach, nietylko nie zdołałem zbogacić zbioru swego egzemplarzem olbrzymiego orla brodatego, co to go Abisyńczycy zowią ojcem długo-brodym a Szwajcary Laemmergeyer (sępem jagniąt), ale

nawet nie miałem sposobności zbadania nawyknień i zwyczajów tego gatunku. Brodząc raz po stromych wzgórzach pierwszego pokładu Alp, od strony Delfinatu, i zoczywszy na prostopadłych ścianach skalistych mnóstwo białych, krédowych śladów, przekonany byłem że tylko ojciec długobrody mógł je naznaczyć i że w pobliżu gdzieś gniazdo swoje musiał zbudować. Po chwilowém oczekiwaniu usłyszałem istotnie przeraźliwy świst z bardzo wysoka, z wystającego odłamu skały. Dwa orlęta, trzepocząc skrzydłami, doczołgały się do samej krawędzi skalistej, a radośne ich krzyki zapowiadały przybywanie z żywnością ojca, który jak punkcik mały czerniejąc na ciemném tle nieba, nader szybko się zbliżał. Niebył to jednak Lämmergeyer. Potężny ptak, uczepiwszy się krawędzi, zwiesił na wpół skrzydła, jak jaskółka nad wodą. Zdawało mi się że to nowy gatunek orła, nie tak wielki jak Lämmergeyer, ale żylastszy, z potężniejszymi szponami i ciemniejszym dziobem, który przy osadzie, zamiast bukieciku z jedwabistego pierza, miał żółtawą woskówkę. Nie miał także bródki pod gardłem, a barwa cała ciemniejsza ale bogatsza jak Lämmergeyera. Natomiast orlęta, już dorosłe, miały znacznie jaśniejsze upierzenie. Gdy wysunąłem głowę, żeby im się lepiej przyjrzyć, zawisła nagle w powietrzu samica, o jedną trzecią większa od samca; przenikliwe jęć oko dostrzegło natychmiast mnie i towarzyszków moich. Z okropnym krakaniem upuściła tłustą rybę, którą w dziobie dźwigała; orlęta zniknęły natychmiast w szparze skalistej, podniósł się samiec szybując po powietrzu potężnymi skrzydłami, i rozgniewana para krążyć zaczęła nad głowami naszymi z przerażającym a groźnym krzykiem. Nazajutrz ze strzelbami, linkami, drabinkami przybyliśmy w to samo miejsce, kilku ludzi stanęło u spodu skały, inni weszli na wyższą; ale dzień cały przeszedł na niczem. Nie mogliśmy wynaléć śladu pięknych, krzepkich ptaków, na przekorę ciekawości i nadziei mojej naukowej. Korzystały widać z czasu, i uprzedzając nas, nowe mieszkanie orłom wynalazły. Tém bardziej żałowałem niepomyślnej wyprawy, że przebiegając kraj, podczas kilkoletnich wycieczek i poszukiwań ornitologicznych, nie natrafiłem już więcej na ten gatunek orła, któremu z razu postanowiłem nową dać nazwę. Przekonawszy się jednak że dotychczasowe klasyfikacye niesą dosyć jasne, z powodu różnaitości upierzenia objawiającej się u ptaków z jednego gatunku, stosownie do wieku, płci

i pór roku, sądziłem, że oddam większą przysługę nauce przez zbadanie i określenie tych odmian, niż przez dodanie nowego gatunku do zbiorów już i tak bogatych.

Zamiar ten wszakże nie łatwo było uskutecznić. Należało wynajdywać gniazda a to właśnie najtrudniejsza. Pióra samicy, przez długi czas oskrzydlając gniazdo, tak się jakoś zespalają z liściem, z gałęzią, ze skałą gdzie ono przyczepione, a prócz tego stworzenia te tak są po większej części milczące, że niejednokrotnie podczas poszukiwań moich, uwielbiając cudowny ich instynkt, wznosiłem myśl wzruszoną do Tego, co rozdaje dary stosownie do potrzeb.

Nie zaniehbując tych badań, często zwidzałem północ, z kąd owo niezliczone ryb mnóstwo płynie, a za niemi krążą szwadrony rozmaitego ptastwa. Przebiegłem i wyspy, owe stacye rozsypane po oceanie, gdzie chronią się całe armie drapieżnych i pletwonogich zwierząt. Do jednego z tych miejsc, pełnego miłych dla mnie wspomnień, myśl często zwracam. Mała i nieznaną wysepka leży przy zachodniém wybrzeżu hrabstwa Argyle; zowie się Garveloch, i nadaje to miano małej grupie wysepek, z pomiędzy których jest najrozleglejszą. Szumiące ciągle morze i niebezpieczne rafy oddzielają od lądu ten samotny zakątek. Dawno już temu zastukałem tam do drzwi jedynéj chaty rybackiej, jaką na nagiém zoczyć można wybrzeżu. Miałem rękę na chustce, i cały byłem cierpiący, z powodu upadku ze skały przy odszukiwaniu gniazd, przedmiotów ciągłego zajęcia mojego. Prosiłem o przytułek, o gościnność: znalazłem ją tam serdeczną i prawdziwą. Podczas choroby zajmowała się mną z troskliwością rozumną i łagodną zarazem córka rybaka, wysoka, chuda, opalona, męskiej budowy dziewczica, która w dwudziestym szóstym roku życia zdawała się mieć lat czterdzięści; z powabów niewieścich została jęć tylko przenikliwa słodycz wzroku i miękka dźwięczność śpiewów, przypominających świergotanie ptaka usypiającego w gnieździe pisklęta. Zwała się Ella; matka jęć nie żyła; ojciec, zgrzybiały kaléka, nie opuszczał kątka przed kominem, gdzie żarzyły się węgle torfowe; ona więc sama chodziła na połów ryb z dwoma braćmi, a wychowała ich trzech od niemowląt.

Starszy mógł mieć lat ośmnaście, młodszy, którego życie matka swoim opłacała, miał lat trzynastę, choć zaledwie na dziewięć wyglądał. Dziwne

to małe stworzeńko ulubieńcem było Elli. Niezgrabny do sieci i do roli, niezdatny nawet do zajmowania się robotami domowymi, zbierał kwiatki, strugał cacka i splatał wianuszki dla siostry, a najczęściej po całych godzinach siedząc u stóp niedostępnej skały piramidalnej zwanąj Storr, przedzielonej od wyspy wąską wydumą piaszczystą, przyglądał się prądowi, co wirując i szumiąc u skalistej ściany, okrąża ją i niknie na płaszczyźnie, jedynąj prawie w Garveloch, tuż u drzwi chaty rybackiej. Zdługą wicią w rękę, dziecię, bawiąc się, przyciągało ze wszech stron morszczyznę, mchy i rozliczne gatunki porostów wodnych, które wściekle bałwany morskie, wrywając bezprzestannie z łona oceanu, pchają ku wybrzeżom tamecznym. Ładunczek ziół morskich, którym jakby flotą *Niewinny* (tak go nazywano) dowodził, pędził biegiem prądu, okrążał skałę i dopływał aż pod drzwi chaty, gdzie Ella i bracia zbierać je tylko potrzebowali. Ale pracować usilnie na życie, zarabiać pieniądze, kupować, sprzedawać, tego wszystkiego nie zajmowała roztrzępana chłopca głowa; wolał żyć sobie w przyjaznym stosunku z ptakami, za którymi ubiegał się po skałach, i z rybami, do których nurkując docięrał.

Ale jeśli mu brak było tego duchowego zmysłu, którym się rozum pokrzepia, miał za to cudowny ów instynkt, który wielbimy nieraz u zwierząt, a który zdaje się być oddzielnym zupełnie rodzajem inteligencji. Od razu jakoś mile mu wpadłem w oko, chociaż natura jego, bojaźliwa i dzika zarazem, niechętnie obcych znosiła. Kilka pudełek z ptakami wypchanemi, które miałem z sobą, jeszcze nas bardziej zjednoczyły. Ilekroć podczas niepogody zostawał w domu, z dziecinnem uwielbieniem przyglądał się moim zbiorom; potem pomagać mi zaczął przy ich urządzaniu, a kiedy już mogłem wychodzić, nietylko został towarzyszem moim, ale nader użytecznym przewodnikiem. Odkryłem w nim bardzo szacowne zdolności: znał schronienia wszystkich prawie ptaków; po skałach prawie prostopadłych jak kot się drapał; o świcie, kiedy słońce zaczęło błyskać nad górami Lornu, Arkie już musiał się wędzić na wierzchołek Storra. Gdy się zdarzyło że wcześniej bardzo wyszedłem z chaty, spostrzegałem go na takich wierzchołkach, gdzie dojść zdawało się niepodobieństwem; czuwał tam i przyglądał się jak długim szeregiem ptastwo dąży ku południowi.

Wracał zwykle z tych wycieczek, mając w czap-

ce pełno jajek, kieszenie wypchane puchem, a często ptaki schowane pod pleciem. Skoro mnie spostrzegł u stóp olbrzymiego podnóża swojego, zaraz krzyzczyć zaczynał radośnie, ciskać czapkę w górę, a mnóstwo ptaków morskich, jaskółek, czapel, bąków, z piskiem, szelestem, krzykiem świegotaniem, trzepotało w koło, jak suche liście podczas burzy.

Niejednokrotnie w jego obecności wymówiłem się z tém, że chciałbym mieć kilka małych ptaków drapieżnych, mianowicie zaś orląt-rybaków. Arkie wtedy marszczył brwi, wlepił we mnie jakby przestraszone oczy, i znów odwracał je nagle, przybierając jakąś minkę chytrawą, którą czasem spostrzegałem u niego. Wyzdrowiałem nareszcie o tyle, że mogłem rozpocząć wycieczki po wyspie. Wyszedszy raz bardzo rano, daremnie pytałem się o małego towarzysza. Ani przy chacie, ani na skałach, ani nawet przez prespektywę na wierzchołku Storra go nie spostrzegłem. Rad nierad zmuszony do samotnej przechadzki, zawiesiłem strzelbę na ramię; ale za ledwom kilka uszedł kroków, przekonałem się jak dalece mi *Niewinnego* brak było. Wzrok mój, nawykły patrzeć nań jak ze skały na skałę przesadzał, przebiegał, wracał, daremnie wokoło go szukał. Zniechęcony, szedłem jednak dalej samotnie po smutnych, bagnistych pustkowiach, skałach i wybojach; ale rzecz dziwna, jakbym oddaliwszy się od Arkie zupełnie strony ptasie opuścił, ani jednego nie zoczyłem. Nareszcie zbliżyłem się do grupy skał nadmorskich, dziwnego kształtu, a usiłując odzyskać dawną pewność stopy strzeleckiej, zacząłem się zwolna wprawiać w łażenie po skałach, niekoniecznie z tych prób zadowolony. Nagle ciszę samotni przerwał krzyk płaczliwy, potem jakby ryk wściekły, ostry i bolesny zarazem, przypominający mi żywo owego orła alpejskiego, co to gniazda jego niedostałem. Okrążywszy szybko wystający kąt skały, zadrzałem na widok jaki się oczom moim przedstawił. Na linie dwa razy okręconej o wywrócony pień starego drzewa, wisiał nad przepaścią mały Arkie, a potężny orzeł, ze szponami wyciągniętymi, z ostrym dziobem na wpeł otwartym, ze skrzydłami rozpuszczonemi, z okiem zaiskrzonem i dzikiem, groził dziecięciu, bujającemu się u końca liny.

W pierwszej chwili nie dostrzegłem nawet trzech innych małych wyspiarzów, współników zuchwałości Arkiego, z których dwóch usiłowało wciągnąć chłopca nazad, a najśmielszy groził kijem orłowi,

ale z daleka. Strzeliwszy, można było trafić w dziecię; stanąłem więc jak wryty, nie wiedząc co tu począć. Arkie pod pachami miał dwa orlęta, których tak pragnąłem. Biedne dziecię! Już orzeł miał rzucić się nań, kiedy puścił jedno orlę. Byłem w tak przykrój i bolesnej obawie, że chwili dłużej niemógłbym wytrzymać. Orzeł cisnął się, żeby powstrzymać w upadku orlę podlatujące. Odetchnąłem: chłopcyki tymczasem ciągnęli jak mogli. Arkie już się zbliżał do brzegu; ale z szybkością błyskawicy orzeł znów się zwrócił ku niemu. Na widok straszliwego dzioba Arkie puścił drugie orlę, i wreszcie stanął na skale.

W kilka sekund potem trzymałem w objęciu śmiałego, za zbyt śmiałego chłopca. Później wróciliśmy na skałę z mocniejszym już przyrządem i lepiej uzbrojonymi sprzymierzeńcami. Sam wsze-

dłem do rozpadliny między dwiema skałami, którą odkrył Arkie, i dokładnie przyjrzałem się gniazdu. Wysłane było prawie zupełnie płasko pokładami gałązek, trzciny, krzaczków i jeszcze raz trzcina; mogło mieć od pięciu do sześciu stóp długości, i jakby kostnica jaka otoczone było bielejącymi kośćmi. Miałem do wypchania całą rodzinę tych drapieżców; badałem liczne różnice między upiérrezniem dorastających orląt, samca i samicy, między ciemnym porostem starszych i płowym puchem młodych, a co najważniejsza, w małym wytepiaczu orląt zyskałem sobie pomocnika i przyjaciela. *Niewinny* natrafił na właściwe powołanie swoje, bo Ella powierzyła mi go, pod warunkiem żebyśmy przynajmniej co dwa lata odwiedzali skały i orłów wyspy Garveloch.

PRASA STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Jeżeli to prawda co wróżą niektórzy, że dawna cywilizacja europejska ustąpić ma nowój, to przyznać należy iż *barbarzyństwo* któremu po niej przypadnie zadanie przewodniczenia ludzkości na drodze postępu łatwą mieć będzie sprawę. Rozpocznie ono swe dzieło przy pomocy potężnych środków, oparte na wypadkach materialnych nauki i przemysłu, które współczesnemu pokoleniu wydają się ostatniem słowem cywilizacji, lecz które dla naszych następców nie będą niczém inném jak punktem wyjścia ku celom nierównie wyższym. Wszystkie te dzwignie olbrzymie przemysłu, te siły zdobyte przez nas na przyrodzie, maszyny parowe, drogi żelazne, telegrafy elektryczne, znane są dziś i ludom zwykle w Europie uważanym za wpół dzikie; tylko że dla nich te zdobycze, zamiast być ostatecznym cywilizacji wypadkiem, są owszém po prostu jój narzędziem. Zapytajcie dziś pierwszego lepszego Europejczyka do czego nam posłużyło piętnaście wieków walki, do czego byt kilkunastu oświeconych społeczności, krzątających się tak zwawo około religii, polityki, filozofii, nauk ścisłych i sztuki, a można się założyć sto przeciw jednemu, że odpowie bez wahania: „Te wieki tak ożywione złożyły się na podniesienie przemysłu, na zniesienie odległości za pomocą paropływów i

parowozów.” Dla Europejczyka więc cywilizacja nowożytna przedstawia się w formie czysto mechanicznej, w formie przemysłu i nauki, zastosowanych do potrzeb materialnych ludzkości. Spytajcie przeciwnie Amerykanina jakie jest przeznaczenie szyn kolejowych i kanałów, statków parowych i maszyn wszelkiego rodzaju, a odrzeknie wam prawdopodobnie: „Są to środki do stworzenia cywilizacji.” Dążenie przeto przemysłowe dwóch wielkich lądów naszego świata jest sobie wprost przeciwne: w Europie uważają je za cel ostateczny, w Ameryce za drogę do celu.

Wypływa ztąd, że przemysł na tak olbrzymią rozrastający się skalę w społeczeństwie tylko europejskiem słuszne obudzać może obawy, gdy tymczasem, w Stanach Zjednoczonych na przykład, będących jeszcze w epoce rozwoju towarzyskiego, wpływ jego staje się prawdziwie dobroczynnym. U nas przemysł rodzi marzenia zwodnicze i zgubne, oślepia dogadzając zmysłom i prowadzi do zapoznania rzeczywistego celu życia, bo uważamy go za tryumf ostateczny historii. W Ameryce przeciwnie przygotowuje on dopięro historią, karczkuje grunta pod przyszłe wypadki i państwa, oczyszcza scenę dla przyszłych przodowników wielkiego dramatu ludzkości. Niezmierne te sawany, które

porusza motyka i przerzynają już miejscami koleje żelazne, wkrótce może staną się widownią znakomitych czynów; te lasy dziewicze, trzebione dziś siekiérą osiedleńców, pomieszczą kiedyś w sobie wspaniałe siedziby; ten port rozległy, po nad którym wznosi się dziś zaledwo skromna garstka drewnianych domków, gromadzić będzie w niedalekiej przyszłości bogactwa całej ziemi.

Nigdy, zaprawdę, społeczność żadna nie rozpoczęła pochodu cywilizacyi z takimi warunkami powodzenia. Jaka może być przyszłość narodu rozrządzającego w dzieciństwie już swoim tak olbrzymimi środkami? Myśl gubi się w przypuszczeniach, olśniona własnym polotem, i najświetniejsze marzenia wydają się jeszcze blademi.

Nadto zapominać nie należy iż Amerykanie posiadają nie same tylko siły i środki mechaniczne jakie następcza przemysł, ale siły polityczne i społeczne, na poły moralne, na poły materyalne: prasę, wychowanie pierwotne, duch stowarzyszenia w najrozmaitszych swych kształtach, meetingi, konwencye, kluby, zebrania polityczne, religijne i naukowe. A wyznać musimy że kiedy u nas instytucye te szerzą się z trudnością, kiedy ogół przyjmuje je z oporem, w Stanach Zjednoczonych tymczasem kwitną one i rozwijają się coraz swobodniej.

Ze wszystkich tych objawów życia publicznego najważniejszym bez zaprzeczenia jest prasa. W Stanach Zjednoczonych ilość arkuszy zadrukowanych jest tak ogromna, że obliczenie papiéru, farby i czcionek zużywanych corocznie na ten rodzaj przemysłu przeraziłoby musiało najodważniejszych statystyków.

Według raportów urzędowych, roku 1850 na ludność wynoszącą 23,000,000, od której potrącić trzeba przeszło 3,000,000 niewolników obcych zupełnie prasie, było w całej Unii 2,526 publikacyj wszelkiego rodzaju, dających roczny nakład 426,409,974 egzemplarzy, gdy tymczasem w Anglii, przy ludności znacznie większej, a nieskończenie oświecenijszej i bogatszej, wychodzi tylko 624 dzienników i innych pism peryodycznych. Z tych 2,526 publikacyj 254 tylko jest codziennych, 115 wydawanych trzy razy na tydzień, 41 dwa razy na tydzień, a 1,902 tygodniowych. Przewaga ta liczebna prasy tygodniowej wskazuje zarazem dowodnie na jakich głównie żywiołach polega pomyślność prasy. Widoczna że nie na ludziach rozrządzających dowolnie swoim czasem

(dla takich bowiem są publikacye codzienne, miesięczne i kwartalne), ale na tłumach pracowitych, mogących zajmować się czytaniem raz tylko na tydzień albo téż czytających tak wolno, że jeden numer dziennika na cały wystarcza im tydzień. Okoliczność ta sama przez się wyjaśnia nam dostatecznie charakter prasy amerykańskiej: gdy u nas dziennikarstwo istnieje tylko dla klasy stosunkowo oświeconej, zamożnej i swobodnej, w Ameryce przeciwnie opiera się ono na tłumie.

Głównych powodów niezmiernej mnogości pism peryodycznych w Stanach Zjednoczonych szukać naturalnie należy w instytucjach politycznych i w charakterze narodowym Amerykanów. W żadnym zapewne kraju europejskim życie polityczne w tak zmiennych i ruchliwych nie przedstawia się kształtach, i w żadnym ogół nie pragnie tak gorąco wzbogacenia zasobu swych wiadomości. Inną niemniej ważną, chociaż uboczną, przyczyną jest brak rzeczywistej stolicy. Prasa amerykańska ma charakter miejscowy, prowincjonalny; dzienniki wyłącznie prawie rozchodzą się w tej części kraju gdzie się zrodziły. Dzienniki bostońskie czytają tylko w Massachusetts, filadelfijskie w Pensylwanii, baltimorskie w Maryland. Jedna tylko prasa Nowego Yorku stanowi pod tym względem wyjątek, bo pisma jej po całej rozchodzą się Unii. Jednakże nie wywiera ona na prasę innych Stanów tak przeważnego wpływu, jak prasa paryska na departamentową, albo londyńska na prasę po hrabstwach. We Francyi i w Anglii dla całego kraju jedna tylko jest prasa, bo i rząd także jest jeden. W Ameryce przeciwnie każdy stan rządzi się oddzielnie, każdy ma swoje własne instytucye i potrzeby. Odrębności te, które, uważane z daleka, wydają się tylko odcieniami, tak znaczne przecież pod względem politycznym wywołują różnice, że żaden Stan odzywać się nie może w imieniu drugiego. Obok tej nadzwyczajnej decentralizacyi zważmy niezmierną rozległość terytorium Stanów Zjednoczonych, a łatwo będzie zrozumieć dlaczego prasa amerykańska ma ten charakter prowincjonalny, i dlaczego przewaga stolicy staje się niepodobną.

Najpotężniej jednak do rozpowszechnienia dzienników amerykańskich przyłożyła się rozpoczęta od lat dwudziestu pięciu reorganizacya prasy, skutkiem której liczba i pism i czytelników niemal się potroiła: chcemy tu mówić o zaprowadzeniu tak zwanéj *penny press*, czyli prasy taniéj. Przed dwu-

dziesiąt pięć laty dzienniki w Stanach Zjednoczonych kosztowały równie drogo jak w Europie, to jest około 30 centymów (8 kop.) za numer. Po takiej cenie sprzedaż szczegółowa szła naturalnie bardzo leniwo; nie było odbytu ani na stacyach kolei żelaznych, ani na statkach parowych, z wyjątkiem kilku może numerów zakupionych przez jakiego członka kongresu w drodze do Washingtonu, albo przez bogatego negocyanta potrzebującego znać dokładnie ceny targowe. Sprzedaż na numera po ulicach i drogach publicznych, której znaczna część prasy dzisiajszej zawdzięcza swe powodzenie, nie istniała wówczas wcale. Dzienniki utrzymywały się z samych tylko prenumeraty, prawie zawsze pobięraniej z dołu, choć i o tę jeszcze nieraz bywało trudno; Amerykanie bowiem, podobnie jak Anglicy, nie lubią płacić za rzeczy których w ręku nie mają. Inną właściwością abonentów amerykańskich jest trudność rozstawania się z pieniędzmi, a tém samym regularnego uiszczania prenumeraty. Nadaremnie dziennikarze, w najczulszych niekiedy wyrazach, błagali o swą należność: abonenci częstokroć woleli nie odbierać pisma, jak płacić drogo za podobne marność.

Dopiero około roku 1833 wszystko to się zmieniło, i dziennikarze znaleźli sposób uwolnienia się od tyraństwa publiczności. Młody uczeń medycyny, Horacyusz Davis Sheppard, powziął myśl założenia prasy taniiej. Uderzyła go szybkość z jaką przekupnie i kramarze uliczni pozbywali się swych towarów, dlatego jedynie że cena ich była przystępną. Powiedział więc sobie iż zastosowanie tej samej zasady do prasy, musiałoby ostatecznie przynieść wypadek pomyślny. Nie mając majątku wystarczającego na przedsięwzięcie w którego początkach należało być przygotowanym na straty, przelożył plan swój kilku księgarzom i drukarzom; ale wszędzie odprawiono go z niczém. Nareszcie znalazł potrzebną pomoc w pp. Franciszku Story i Horacyuszu Greeley, i z ich współdziałaniem założył dziennik *Morning Post*. Nowe to pismo wyszło po raz pierwszy w sam nowy rok 1833; lecz na nieszczęście zjawieniu się jego nieprzyjazne towarzyszyły okoliczności. Zawierucha śnieżna, trwająca przez dni ośm, zatrzymywała mieszkańców po domach, i nie było ochotników na kupno dziennika po ulicach. Traf ten fatalnym był dla *Morning Post*, założonego z małym bardzo kapitałem; ośm dni kosztów niepokrytych sprzedażą zadało mu cios śmiertelny: w trzy tygodnie po zja-

wieniu się swoim przestał wychodzić. Doktor Sheppard popełnił nadto, podług zdania ogólnego, rażący błąd, ustanawiając cenę numeru na jeden su, zamiast na dwa.

Upadł więc *Morning Post*, ale nie zaginęła z nim razem idea która dała mu życie. W dziewięć miesięcy później zjawił się *Sun*, pod kierunkiem Benjamin Day, jednego z najbogatszych dziś wydawców Nowego Yorku. Powodzenie było ogromne i dowiodło zasadności pomysłu doktora Sheppard. W ślad *Sun*'a na wiosnę 1834 r., pokazał się *Transcript*, a za nim *The Man* i *Morning Star*. Powiodło się wszystkim nieźle; najlepiej jednak *Sun*'owi, który też jeden tylko po dziś dzień jeszcze istnieje.

Wszelako i nowa ta droga na jaką weszły dzienniki amerykańskie miała swoje trudności. Trzeba było przełamać nałóg nieregularnego opłacania prenumeraty i zachęcać do kupna szczegółowego, a na to jeden tylko był sposób: zainteresować publiczność rzeczami nadzwyczajnymi. Redaktorowie więc nietyle o to się starali aby mieć artykuły dobre, jak o to żeby były zajmujące. Najstaranniej też obmyślaną część redakcyi stanowiły raporty policyjne. Co za szczęście dla wydawcy gdy mógł udzielić czytelnikom jaką zbrodnią straszliwą, lub doniesić o dramatyczném zastosowaniu prawa *lynch*'u! ¹⁾. Komiczne jakie przekroczenie, albo burda uliczna należąca do policyi poprawczej, szacowny także przedstawiały nabytek.

Lecz i zbrodniami wkrótce się przesycono; potrzeba było koniecznie od czasu do czasu nowego bodźca dla ciekawości publicznej. *Sun* uczuł tę konieczność, i w parę lat po narodzeniu się swoim ogłosił słynny pufdziennikarski, w którym jakiś p. Locke donosi ze wszelkimi szczegółami o odkryciach młodego Herschla na przylądku Dobrej Nadziei. Wrażenie było nie mierne; kilka dzienników amerykańskich powtórzyło artykuł *Sun*'a, przepowiadając Herschlowi nieśmiertelność. Inne, zazdroszcząc *Sun*'owi szczęśliwie pochwyconej wiadomości, a nie domyślając się podstępu, zapewniały że i im także doniesiono o tych świetnych zdobyczach naukowych, i że wkrótce ogłoszą nowe o nich szczegóły.

Podczas gdy *Sun* tryumfalnie kroczył obroną przez siebie drogą, zjawił się groźny dla niego współzawodnik w dzienniku *New-York-Herald*, założonym przez młodego Szkota, Jakuba Gordona

¹⁾ *Lynch law*, wymiar sprawiedliwości ludowej.

Bennett. Nowa ta publikacja, jedyna z amerykańskich która dziś powszechnie znana jest w Europie, nie posiadając znacznych funduszy zapasowych, musiała podobnie, dla uzyskania licznych klientów, uciec się do wybiegów strategicznych. I otóż *New-York-Herald* zaczął od czasu do czasu drukować fałszywe poselstwa jenerała Jackson albo p. Marcy, ówczesnego gubernatora Nowego-Yorku. Były to race kongrewskie puszczane dla podżegnięcia ciekawości publicznej: jedni śmieli się z tego, inni się gniewali, ale wszyscy kupowali i czytali. Pewnego dnia jeden z przyjaciół przemysłnego p. Bennett wyrzucił mu te wybryki zbyt rażące, napominając go aby raz przecie został poważnym. „Założyłem dziennik dla tłumu, odpowiedział Bennett, a nie dla Wall-Street (ulica gdzie drukowały się pisma poprzedzające istnienie *penny press*). Jestem zawsze poważny gdzie idzie o dopięcie celu; w środkach tylko ku temu lubię być czasem krotochwilnym.”

New-York-Herald był dziennikiem stronnictwa demokratów; stronnictwo więc whigów zapragnęło mieć także tani swój organ. PP. Horacyusz Greeley i Raymond podjęli się zapełnić tę próżnię, i za ich staraniem w r. 1841 wyszedł pierwszy numer dziennika *New-York-Tribune*, który tém został dla whigów, czém *New-York Herald* dla demokratów. Od téj chwili przewrót w prasie amerykańskiej był dopełnionym, i nowy dla niej rozpoczął się peryód.

Z używanych już dawniej środków, które *penny press* rozwinęła, wspomnimy tylko o doniesieniach. Ten sposób uzyskania rozgłosu, co tak przedziwnie posługuje szarlatanom całego świata, nigdzie zapewne z takim cynizmem nie bywa zastosowywanym jak w Ameryce. Amerykanie to podobno pierwsi użyli w reklamach dziennikarskich poezji, układając je w formie romansów do śpiewu na temata narodowe; oni to wynaleźli owe sążniste i napuszone doniesienia, których tam używają wszystkie stany, a dwa najbardziej: wydawcy i lekarze. Wybujałość i przesada doniesień księgarskich przechodzi wszelkie wyobrażenie. Wydawca nie zastawia się nawet opinią cudzą, lecz sam pod własnym imieniem w najszumniejszych wyrazach chwali swoją książkę; i to nie ogranicza się on na powiedzeniu że jest dobra, nauczająca, pełna wdzięku lub siły, ale zapewnia po prostu że takiej świat jeszcze nie widział, że stanowić będzie erę w dziejach oświaty. Takiemi są doniesienia

poważne. Doniesienia krotochwilne więcj bywają urozmaicone i napisane od niechcenia. Ewolucye dowcipu, bufonada, muzyka i poezya, wszystko tam uderza znienacka na biédnego czytelnika, aby go skusić do kupna.

Rzeczywiście jednak tym wymysłem księgarskim nic oprócz szarlataneryi zarzucić nie można. Inaczej rzecz się ma z doniesieniami lekarskimi, w których pierwszy lepszy przybysz z ulicy, byle tylko dobrze zapłacił, ma prawo ogłaszania wody zdrowia, pigulek mineralnych i tym podobnych potworności. Szczęśliwy kto natrafi przynajmniej na jaką niewinną mieszaninę, jak owo *nieporównane lekarstwo (matchless sanative)*, tak wzięte przed kilką laty w Bostonie, a które było po prostu wodą zafarbowaną, albo pigułki roślinne doktorów Moffat i Brandeth, którzy, dzięki cudownemu wynalazkowi swojemu, z holyszów zostali wkrótce milionerami. Ale zdarzają się ludzie mniej sumieni, a złe tak dalece się wkorzeniło, iż władza prawodawcza Nowego Yorku musiała wydać bil zabraniający sprzedaży leków, bez wymienienia z jakich ony składają się części. Kilkakrotnie także powstawano przeciw niedbalstwu, a raczej współnictwu, dzienników w tyle szkodliwych szarlataneryach; lecz wszystkie te wykrzykniki obala jeden argument przeważny: doniesienia przynoszą dochód. Z pół miliona dollarów wychodzi rocznie na podobne anonse, a jakiś doktor, wynalazca opasek magnetycznych, oprócz kosztu na ogłoszenia, poniósł jednego roku 30,000 dollarów wydatku za wydrukowanie almanachu stanowiącego bezpłatny dodatek do każdej opaski.

Nie mamy tu zamiaru wymieniać tytuły wszystkich dzienników amerykańskich, bo wyliczenie takie byłoby i nudnym, i bezpożytecznym. Zrobimy tylko uwagę że ogół prasy amerykańskiej składa się z żywiołów nieskończenie różnorodnych, burzących się razem w jednej kadzi demokratycznej. Każda sekta, narodowość każda posiada tu swe organa; nawet interes Indyan broniony jest przez dziennik wychodzący w języku pierwobyłców, pod kierunkiem dwóch czerwonoskórych adwokatów. Każdy wybór prezydenta daje życie pewnej liczbie publikacyj peryodycznych, przeznaczonych do podtrzymywania tego lub owego kandydata, które znikają natychmiast po ukończeniu głosowania. *Duchy pukające i stoły wirujące* mają także wyłączne swe pisma, z których przed dwoma laty, w epoce największego szalu, wymie-

niano aż 20 codziennych i 7 — 8 magazynów. Nakoniec i obłąkanym nie zbywa na oddzielnym dzienniku, zastosowanym do potrzeb tych nie-szczęśliwych.

Wzajemne pomiędzy dziennikarzami stosunki nie mają wcale charakteru rycerskiej uprzejmości; współzawodnictwo owszém do gorszących często nakłania ich wyskoków. Dla wyniesienia się na barkach współbraci nie gardzą w Ameryce ani potwarzają, ani obelgą, a zelżony przeciwnik odebrany kapitał zwraca zwykle z procentem. Niekiedy jeden z zapaśników traci cierpliwość, a wtedy zaczynają się starcia osobiste. Najgłośniejsza z podobnych burd zaszła niezbyt dawno między p. Bennett, redaktorem *New-York-Herald*, a jenerałem Webb, redaktorem *Courier and Enquirer*. P. Bennett, oskarżywszy o coś p. Webb w swym dzienniku, został przez niego przydybanym na ulicy; jenerał obala przeciwnika i gęstemi okłada go razami. Nazajutrz *New-York-Herald* zawierał następnę doniesienie: „Napadnięto mnie zdradziecko i zadano w głowę ranę półcalową. Godny mój przeciwnik miał zapewne ochotę wyrwać mi z mózgu tę trochę dowcipu i dobrego humoru, które ugruntowały pomysłość *New-York-Herald*'a, aby je sobie przywłaszczyć; lecz jeśli mu się udało otworzyć mi czaszkę, nie zdołał przecież ukraść mych idei.” Podjazd ten nie zachwiał odwagi jenerała Webb, który w kilka dni napaść swą ponowił. P. Bennett bronił się dzielnie, i rozdarł na przeciwniku swoim całkiem nowe ubranie. I znów *New-York Herald* doniósł o tém czytelnikom w słowach następujących: „Szkoda moja ogranicza się na zadraśnięciu trzeciego palca lewej ręki i obdarciu trzech guzików, które pierwszy lepszy krawiec przyszyje

mi za sześć su. On zaś utracił piękne nowe ubranie, rozdarte przezemnie od góry do dołu, a kosztujące 40 dollarów; nadto otrzymał uderzenie pięścią, które wytrąciło zapewne kilka zębów z piekielnej jego szczęki. Bilans na moję korzyść: 39 dollarów 94 centymów.”

Poprzestańmy na tym jednym z licznych przykładów koleżeńskiej uprzejmości redaktorów, i zakończmy na nim ten zarys prasy amerykańskiej, w którym główniejsze jój tylko wskazaliśmy znamiona. Widzieliśmy że, pomimo ogromnego rozgałęzienia się swojego, prasa Stanów Zjednoczonych nie wpływa przeważnie na ogólne życie polityczne, że służy tylko interesom pojedynczych stronnictw i samychże dziennikarzy. Jednakże instytucya ta zyskuje na znaczeniu społeczném to co straciła na politycznym, stanowiąc jedyną spójnią przez którą naród wielki i rozrzucony po niezmiernęj przestrzeni utrzymuje się w związku z samym sobą; słowem jest ona olbrzymiem zwierciadłem, w którém lud ten młodzieńczy uczy się poznawać sam siebie, łańcuchem elektrycznym, którego tajemnicze działanie porusza w jednej chwili wszystkie serca amerykańskie, od granic Kanady do pobrażów oceanu Spokojnego. Tegoż dnia, téjże godziny taż sama wiadomość może być czytana i roztrząsana w Nowym Yorku, Bostonie, Filadelfii i Nowym Orleanie, a mieszkańcy tych miejscowości, doznając przez nią wrażeń podobnych, czują się członkami jednego narodu. Bez prasy, a nawet przy mniejszém jój rozpowszechnieniu, Stany Zjednoczone byłyby federacją pokoleń i prowincyj, związkim kilkudziesięciu oddzielnych kolonij, ała niebyłyby narodem.

MOTYLE.

Rodzaj *Triphaena* odznacza się ubarwieniem drugiej pary skrzydeł, które są mocno żółte, z czarnym paskiem równoległym do ich brzegów. Oprócz tego gatunki tu należące cechują się tém, że mają ciało szerokie, spłaszczone, rożki nitkowate. Pierwsza para skrzydeł jest brunatnego koloru, pozioma, raz jaśniejszemi, drugi raz ciemniejszymi wzorami

porysowana i tak zbudowana, że u siedzącego motyla jedno na drugie zachodzi.

Gatunki tego rodzaju można spotykać zarówno w lasach jak i w ogrodach. We dnie siedzą spokojnie ukryte między liśćmi, kamieniami, lub trawą; spłoszone kryją się lub uciekają, przelatując małe tylko przestrzenie.



Najpospolitszy gatunek w tym rodzaju jest *Triphaena pronuba*, (Fig. 1). Cechy ma następujące: głowa i przedkarcze brunatne, skrzydła pierwszej pary wąskie, długie, czerwono-brunatne, z dwiema nerkowatymi plamami, upstrzone gdzieniegdzie żółtymi i czarno-brunatnymi plamkami, obwiedzione żółto-brunatnym paskiem; skrzydła drugiej pary mocno żółte, z wąskim, czarnym, poprzecznym paskiem; odwłok żółto-brunatny, z czarną plamą ponad kanałem odchodowym; śródkarcze, zawsze ciemniejsze od pierwszej pary skrzydeł, zmienia się od czerwono-brunatnej do czarno-brunatnej barwy. Macki samca są drobno ząbkowane, samicy nitkowate. Motyl ten daje się spotykać w czerwcu i lipcu.

Liszka jego jest gruba, walcowata, ciemno-brunatnej barwy, z trzema jaśniejszymi liniami na grzbiecie, z których dwie boczne od środka są obwiedzione pojedynczymi czarnymi plamkami, a od strony nog czerwonym paskiem; żywi się liśćmi szczawiu, kapusty, pierwiosnków, lewkonii i t. p. Żeruje tylko nocą, w czasie dnia siedzi spokojnie zwinięta pod spodem liści. Wylęga się w sierpniu, zimuje w ziemi, a następnego roku w maju zamienia się w poczwarkę.

Triphaena innuba (Fig. 2), uważana jest przez bardzo wielu entomologów za odmianę poprzedzającego gatunku. Rzeczywiście ani w liszce, ani w poczwarce, nawet w miejscu przebywania obu gatunków, nie potrafią wykryć dotąd żadnej różnicy; jednakże w ubarwieniu motyla są pewne cechy, po których daje się od innych odróżnić, i tak: głowa i przedkarcze (kołnierze) u gatunku *Innuba* mają tę samą barwę co pierwsza para skrzydeł i tułów; skrzydła te nie mają na przednim brzegu jasnego paska, który u *Pronuba* zawsze się znajduje.

Triphaena fimbria (Fig. 3) zwykle jest nieco mniejszy od poprzedzającego; głowa, przedkarcze, grzbiet żółto lub brudno-brunatne, para pierwsza skrzydeł, bardzo zmienna co do ubarwienia, przechodzi od jasno-zielonawego do ciemno-czerwono-brunatnego koloru, ma kilka ciemniejszych linii poprzecznych i dwie nerkowate plamy. Druga para skrzydeł jest pomarańczowo-żółta, z wielką, czarną, tasiemkowatą plamą; całe ciało pomarańczowo-żółte.

Liszka gruba, dobrze wyrosła ma długości 2 cale, jest jasno-brunatnego koloru, z jaśniejszym paskiem na grzbiecie; na każdym pierścieniu znajduje

się kilka czarnych kręsek lub punktów. Żyje w ukryciu, żywi się liśćmi pierwiosnków, kartofli i t. p. Poczwarka ciemno-brunatna.

Motyl ten jest rzadszym jak dwa poprzedzające, daje się widzieć w czerwcu i lipcu.

Triphaena comes (Fig. 4). Gatunek ten jest jeszcze ciemniejszy od poprzedzającego. Głowa, przedkarcze, grzbiet i skrzydła mają jednakowe ubarwienie, które zmienia się od jasno-żółto do ciemno-czerwono-brunatnego koloru. Przednie skrzydła upstrzone ciemniejszymi wzorami i dwoma jasno obwiedzionymi, nerkowatymi plamami. Druga para skrzydeł mocno żółta, z czarnym paskiem i czarną półksiężycową plamą w środku. Tę jednakże często brakuje i dlatego nie może być uważaną za stanowczą cechę przy rozróżnianiu tego gatunku.

Odmiany jego, które mylnie były uważane za oddzielne gatunki, są następujące: *Noctua prosequa*, *Noctua adsequa*, *Noctua connuba*.

Liszka tego motyla dorasta 2½ cali długości i jest koloru czerwono-żółtego. Na grzbiecie każdego pierścienia znajduje się ciemniejsza, jasno obwiedziona plamka, wyraźniejsza na tylnych, mniej wyraźna na przednich pierścieniach.

Żyje na różnych gatunkach koniczyny. Zimuje w ziemi, a w maju zamienia się na czerwono-brunatną poczwarkę.

Motyl ten jest dosyć rzadkim.

Triphaena janthina (Fig. 5) jest nieco mniejszy od *Comes*; z oddalenia uważana ma podobieństwo do *Fimbria*. Głowa i przedkarcze są brudno-zielonawo-białego koloru, grzbiet i skrzydła przednie ciemno-czerwono-brunatnego z przednim brzegiem szaro opylonym i z dwoma jaśniejszymi obwiedzionymi, nerkowatymi plamkami. Tylnie skrzydła mocno żółte, z czarnym, szerokim paskiem.

Liszka jasno-szara, z niewyraźnymi ciemnymi paskami i brunatną głową.

Poczwarka czerwono-brunatna żyje na roślinie *Arum maculatum* i t. p.

Motyl ten znajduje się szczególnie w południowych Niemczech, Szwajcaryi, Francji, Włoszech, a i w tych krajach nawet jest dość rzadkim.

Triphaena linogrisea (Fig. 6). Wielkością wyrównywa poprzedzającemu gatunkowi.

Głowa i przedkarcze ciemno-brunatne, odwłok żółto-szary, skrzydła przednie białoszare, z dwiema

brunatnymi, nerkowatymi plamkami, tudzież ciemno-szarymi i brunatnymi wzorami. Skrzydła tylne mocno żółte, z wązkim, czarnym paskiem.

Liszka czerwona, z białawymi liniami poprzecznymi i kilką rzędami ukośnie położonych czarnych krések i plamek.

Żyje pod liśćmi pierwiosnków, a w kwietniu lub maju zamienia się na czerwono-brunatną poczwarkę, z której w czerwcu wychodzi motyl.

Gatunek ten, podobnie jak poprzedzający, zamieszkuje cieplejsze kraje Europy.

PRZETWARZANIE SIĘ ISTOT ORGANICZNYCH

POD WPŁYWEM DZIAŁACZÓW PRZYRODZONYCH.

Czy fizjologia doświadczalna zdoła nam rozwiązać problemat przekształcania się istot organicznych pod wpływem działaczy zewnętrznych? Czy można przez sztuczne powietrze, ciepło i światło zmienić do tego stopnia zasadnicze warunki istnienia roślin albo zwierząt, by nowe otrzymać z nich gatunki? Czy przez działanie na nasiona, jajka, ikrę i zarodki (embryony) udać się może przeistoczenie ich fizyczne? Ważne te pytania naukowe p. Babinet, członek instytutu francuzkiego, rozbióra w jednym z ostatnich zeszytów tegorocznej „Revue des deux mondes”, opierając się na czynionych w tym względzie doświadczeniach p. Ville, znanego z licznych i gruntownych badań w przedmiocie fizjologii roślinnej. Zajmujący ten artykuł podajemy czytelnikom naszym w skróceniu, przytaczając, gdzie to uznamy za potrzebne, własne słowa p. Babinet.

„Kilkakrotnie już wspominałem w tém piśmie, mówi uczonego akademik, o pracach p. Ville dotyczących fizjologii roślinnej, które przez ustanowioną w tym celu kommissyą najpochlebniej zostały ocenione. P. Ville używa przyrządów takiego rozmiaru, że może w nich hodować rośliny sztucznym sposobem, dostarczając im powietrza nasyconego gazami w tym samym zawsze stosunku, a doświadczenia jego, o ile mnie się zdaje, rozwiązać z czasem powinny kwestyą czy przez użycie odpowiednich środków nauka wywalczyć sobie może jakąś część twórczości, przekształcając istniejące rodzaje roślin lub zwierząt i nowe z nich otrzymując gatunki. Ciekawe próby wykonywane przez p. Ville w cieplarniach, gdzie rośliny, wystawiane na

działanie kwasu węglowego i amoniaku, niesłychanego dochodziły rozwinięcia, wytrwałość jego w pracy i zasadność postępowania na licznych opartego spostrzeżeniach, wszystko to razem spodziewać się dozwala że czytelnicy tego „Przeglądu” znajdą w p. Ville przewodnika, który lepiej od kosztownych podróży i mozolnych poszukiwań objaśni im tajniki przyrody.

„Pomimo że badacz ten, młody lecz poważny, nie lubi w przedwczesne wdawać się przypuszczenia i rozprawiać o rzeczach niedostatecznie jeszcze zgłębionych, zdołałem jednak nakłonić go do objawienia mi w tym przedmiocie swego zdania, w rozmowie której treść będę się starał zapisać tu z pamięci. Dzięki doświadczeniom i pracy niezmordowanej p. Ville, zadanie uważane dotąd za nieprzystępne na zawsze dla geniuszu ludzkiego, z *niepodobnego do poznania* staje się już tylko *nieznaném*. Mały to wprawdzie postęp i niewielka pociecha dowiedzieć się że się nic nie wie; ale zawsze, choć zdaleka, z poza téj niewiadomości przegląda już możliwość dojścia kiedyś do celu.

„Uprzedzić jeszcze powinienem że między badaniem zjawisk życia zwierzęcego lub roślinnego, a badaniem materji różnica jest ogromna. Materja posłuszną jest prawom mechaniki, fizyki i chemii, i to bezwarunkowo, bo prawa te są niecofnione. W istotach żyjących przeciwnie widziemy ciągle od nich zbaczanie. Wola i organizm tworzą ruch, pod którego działaniem wyrabiają się w ciałach substancje, jakich najuczeńszy z chemików w laboratorium swoim otrzymać nie zdoła. Nadto ka-



żda istota żyjąca jest sama w sobie niejako odbiciem całości wszech-stworzenia, i, podług pięknego biblij wyrażenia, *ziarnem odrodzenia*. Otóż w tém właśnie odrodzeniu leży różnica najważniejsza. Pokazując pewnego razu jednemu z naszych myślicieli doskonale wyrobioną lokomotywę nowego pomysłu, rzekłem do niego, puszczając w ruch maszynę: „Nie jestże to prawdziwe zwierzę pracujące za człowieka i przez niego stworzone?” „Tak, odpowiedział zagadniony, tylko że do tworzenia, brakuje wam abyście lokomotywom nadali siłę rozplodu.”

W tém miejscu p. Babinet przystępuje do przytoczenia ważniejszych ustępów swój rozmowy z p. Ville, dzieląc ją, dla większej zrozumiałości, na pytania i odpowiedzi, które i my tu w streszczeniu powtarzamy.

Pytanie. Czy można przypuścić związek nieprzerwany pomiędzy obecnie istniejącymi a pierwotnymi gatunkami?

Odpowiedź. Trzymając się samych tylko faktów, widziemy że gatunki terażniejsze, w epoce rozwijania się swego, zbliżone są bardzo do gatunków kopalnych. Wnosić ztąd można iż gatunki pierwotne wstrzymane zostały w swym rozwoju przez jakieś wpływy zewnętrzne, i że gatunki obecne różnią się od tamtych wyższym tylko stopniem udoskonalenia. Potwierdzają to słowa Ludwika Agassiz, pisane niedawno do p. de Beaumont: „Jest to pewnik ogólny, że zarodki i młodzież wszystkich istot żyjących wiernym w miniaturze są odbiciem reprezentantów kopalnych tychże samych gatunków pierwotnych.”

P. Przypuszczenie to zgadza się zupełnie z najnowszymi doświadczeniami pp. Geoffroy Saint-Hilaire i Williama Edwards, z których ostatni, pozbawiając kijanki, czyli świeżo wylęgłe żabki, powietrza i światła, przeszkodził przeobrażeniu się ich w żaby. Kijanki jednak rosły, i nawet ogromnych dochodziły rozmiarów, nie przestając żyć życiem ryb, i gdyby im zdołano nadać zdolność rozplodu, byłyby rzeczywiście nowy utworzyły gatunek. Zdaje się więc że przekształcenie istniejących gatunków za pomocą działaczy zewnętrznych jest możliwem.

O. Pytanie to zbyt jest ogólne abym mógł na nie odpowiedzieć, nie wychodząc z obrębu swoich

badania, których celem dotychczas było tylko królestwo roślinne.

P. Jakież więc mamy domniemania, mniej więcej prawdopodobne, o życiu roślinnym w pierwotnych epokach świata?

O. Zapewne powietrzna (atmosfera) innego wtedy była składu jak dzisiaj. Kwas węglowy znajdować się w niej musiał w daleko większej obfitości, czego dowodem niezmierne pokłady węgla ziemnego i lignitu na obu półsferach naszej ziemi, których ciała roślinne w dzisiejszych warunkach powietrznych utworzyćby nie zdołały. Jednakże sama obfitość kwasu węglowego nie tłumaczy nam dostatecznie nadzwyczajnej bujności tamtoczesnej wegetacyi. Przypuścić jeszcze należy bytność w powietrzu części azotowych, odmiennych od dzisiejszego saletrorodu i nierównie łatwiejszych do przyswojenia. Nie podlega z resztą wątpliwości że rośliny pierwiastkowe nie czerpały pożywienia z ziemi, nieużyźnionej jeszcze szczątkami dawniejszych pokoleń. Twierdzenie to popiera między innymi ważna ta okoliczność, iż krzewy pierwiastkowe, przy ogromnym rozwinięciu liściowem, mają korzenie stosunkowo małe i słabo tylko wykształcone.

Z innej znów strony wiemy z doświadczenia że w piasku pozbawionym wszelkich szczątków roślinnych, ale pomieszczanym z wapnem, możemy, za nasyceniem powietrza częściami azotowemi, jak amoniak, i nadmiarem kwasu węglowego, bujną otrzymywać wegetacyą. Udawało mi się tym sposobem powiększać rozmiary niektórych roślin w sposób zadziwiający. Niema więc wątpliwości że rozwijanie się roślin pierwiastkowych odbywało się wyłącznie prawie kosztem powietrzni, oraz że skład jej całkiem był różny od terażniejszego.

P. Lecz jeśli z taką pewnością oznaczyć można warunki żywotne wegetacyi pierwotnej, czyż nie zdołanoby odtworzyć florę przedpotopową, działając na paprocie, skrzypy, widlaki i innych skarłowaciałych przedstawicieli olbrzymich roślin pierwiastkowych?

O. Nie widzę w tém nic niepodobnego, szczególniej jeśli do sztucznej atmosfery, złożonej podług warunków wymienionych, dołączymy działanie ciepła i wilgoci. Dotychczasowe wypadki doświadczeń moich, przedsiębranych w cieplarniach, pod

wplywem kwasu węglowego i amoniaku, zdają się nawet poniekąd usprawiedliwiać to przypuszczenie.

P. Powracam do zwierząt, i zapytuję czy nie zdołanoby na nich osiągnąć rezultatów podobnych jak na roślinach?

O. Nie mogę na to stanowczo udzielić odpowiedzi. Sprawy żywotne zwierząt niższego rzędu, w pojęciu pierwszego ich rozwoju, nie zostały jeszcze dość dokładnie poznane, aby w tej mierze przedsięwziąć można doświadczenia z nadzieją pomyślnego skutku. W ogólności nierównie jest łatwiej działać na rośliny jak na zwierzęta. Żywienie się zwierząt w ścisłym wprawdzie zostaje związku z oddychaniem, lecz dla nich powietrze jest samo pokarmem, tylko środkiem przyswajania pokarmów. U roślin przeciwnie oddychanie i żywienie się stanowią prawie jedno: każda komórka jest żołądkiem na który działać możemy, i czynności wewnętrzne rozwijania się ich i wzrostu daleko są prostsze. Roślina żywi się wodą, kwasem węglowym, amoniakiem, saletrorodem, kwasorodem i t. p. pierwiastkami nieorganicznymi; zwierzę zaś potrzebuje materij organicznych, podlegających w jego wnętrzu licznym przekształceniom, których nauka dostatecznie jeszcze nie zbadała. Samo na przykład podwyższenie temperatury żadnego prawie wpływu nie wywiera na zwierzęta, gdy tymczasem życie roślinne podnieca w sposób zadziwiający.

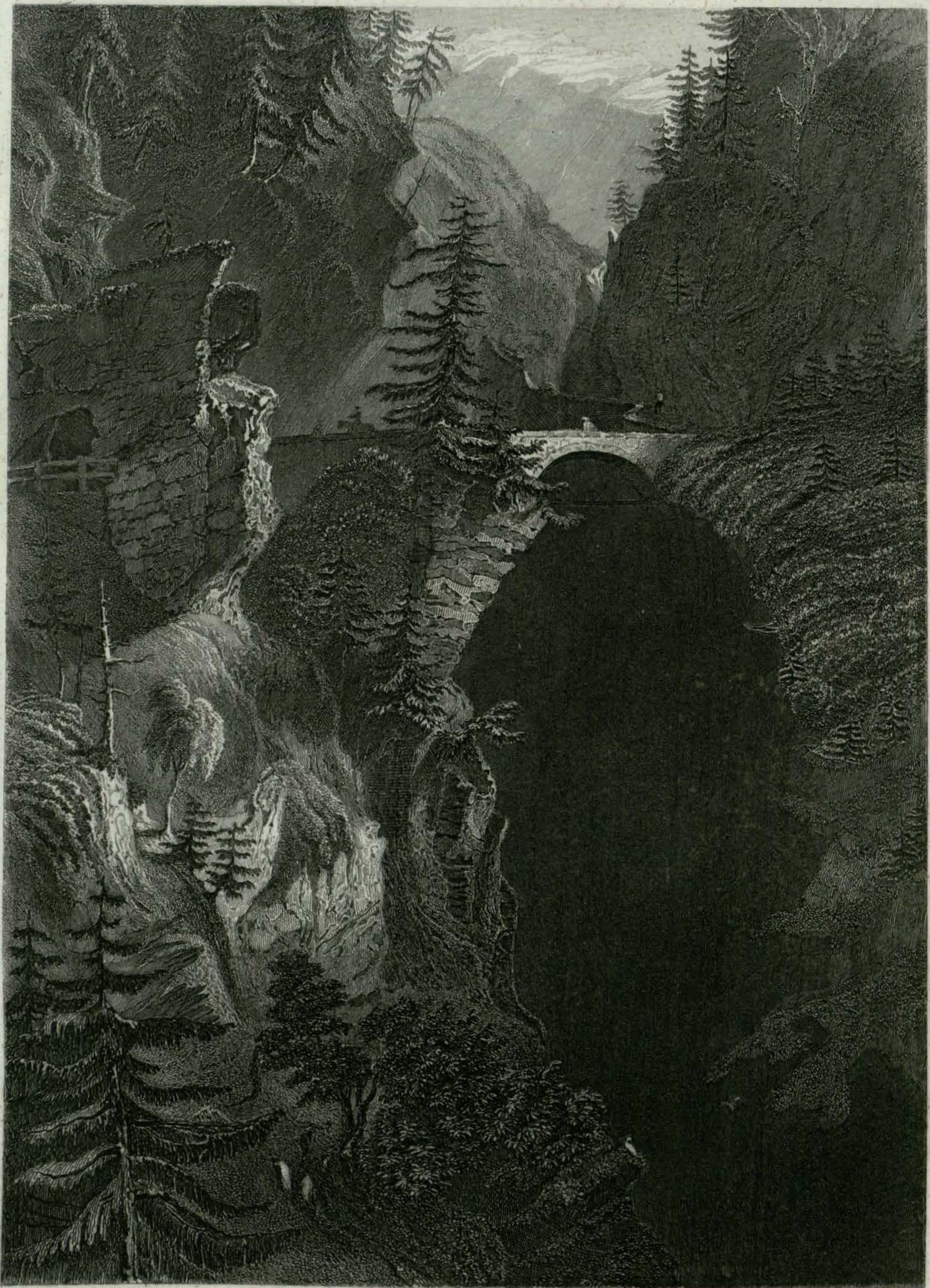
W obec tych faktów zdaje mi się że niepodobna nie oddać pierwszeństwa roślinom pod względem wymaganych przez pana doświadczeń. Do rozpraw o tym przedmiocie niedawno p. Agassiz wprowadził nowy żywioł, rzucając pomysł że gatunki zwierząt nie przechodzą wprawdzie jeden w drugi, ale że z dwóch jednakowych zarodków, przez samo działanie wpływów zewnętrznych, powstać mogą istoty bardzo rozmaicie rozwinięte. W takim więc razie szłoby już tylko o szersze zastosowanie doświadczeń poczynionych przez p. Wil-

liama Edwards na kijankach, to jest o zatrzymanie zarodków w rozmaitych fazach naturalnego ich rozwoju.

W odnoszeniu do roślin zadanie całkiem jest inne; bo tu nietyle już idzie o przemienienie jednej rośliny w drugą, jak raczej o wzbudzenie w roślinach dzisiajszych, odpowiednich gatunkom pierwotnym, nadmiaru rozwinięcia, by tym sposobem, przez analogią, ze wspólności skutków wyprowadzać wnioski o wspólności przyczyn. Niezmiernie ważnym tej metody następstwem będzie stworzenie za pomocą doświadczeń fizyologicznych nowej zupełnie nauki, ustalić z czasem mogącej zasady pierwotnej meteorologii naszej ziemi."

Na tém autor artykułu w *Revue des deux mondes* zakończy rozmowę swoją z p. Ville, z której ostatecznie wypływa przekonanie iż, dotąd przynajmniej, niepodobna ludzi się nadzieją dowolnego przeistaczania gatunków zwierzęcych, i że wypadnie podobno pod tym względem poprzestać na możliwości zatrzymywania ich w różnych peryodach rozwoju; istoty bowiem organiczne, jeżeli zasłużyć mają na zaliczenie do oddzielnych gatunków, powinny nietylko różnić się cechami zewnętrznymi, lecz nadto posiadać zdolność odradzania się czyli siłę reprodukcyjną.

Niestety! wypadki naukowe zbyt często są w sprzeczności z urojeniami wyobraźni naszej. A szkoda, wielka szkoda! Bo jakby to pięknie było gdyby człowiek, pan samowładny stworzenia, przeistaczać mógł według woli nietylko martwą, lecz i żyjącą przyrodę! Może szczęśliwsza od nas potomność doczeka się kiedyś urzeczywistnienia dumnych tych marzeń. Dla nas tymczasem doświadczenia p. Ville wykonywane na roślinach ten ważny obiecują skutek, że w niedalekiej przyszłości, z dokładnością mniej więcej przybliżoną, poznamy skład pierwotnej atmosfery ziemskiej, co samo już przez się byłoby niepospolitym tryumfem rozumu ludzkiego i jedną z najpiękniejszych zdobyczy nowożytniej nauki.



Druck v. A. Schuler in Stuttgart.

P. Wurster sc.

WĄWÓZ VIA MALA

W SZWAJCARYI.

Znaczącą tę nazwę nadano drodze prowadzącej przez otchłań głęboką w kantonie gryzońskim, pomiędzy dolinami Schams i Domleschg. Graniczy ona z jednej strony z drogą prowadzącą do wioski Splügen, z drugiej z przesmykiem Bernardina, stanowiącym w wysokości 7,000 stóp komunikacją z miasteczkiem Bellinzoną.

Budowa téj drogi została rozpoczęta jeszcze w wieku XV. Zasłynęła ona wkrótce, a raczej głośniejszą się stała, z licznych wypadków spowodowanych przez śniegozwały i obrywanie się skał. Rzut oka na otaczający ją krajobraz tłumaczy rzeczywistość i niebezpieczeństwa grożące wędrowcowi w jéj przebyciu, i miano złowróźbne *Via Mala* (zła droga). Dokoła skały ponure i urwiste, a na dnie przepaści w ścieśnioném łożysku huczy Ren, w bystrym przebiegu wstrząsający granitowe ich posady.

Trzy mosty, (z których jeden przedstawia załączony staloryt), rzucone w różnych punktach przez wąwóz, powiększają malowniczość widoku. Przebywa się po nich, idąc od Domleschg, najprzód z lewego brzegu rzeki na prawy, potem z prawego na lewy, a w końcu znów wraca się na prawy. Głębokość przepaści pod mostami wynosi od stu pięćdziesięciu do czterystu stóp.

Wyszędlszy z téj niebezpiecznej przeprawy, podróżnik spotyka się z rozkoszą z czarującym widokiem na dolinę Schams, rozciągającą się po obu brzegach Renu. Pola pokryte zbożem i jarzynami różnego rodzaju, prześliczne łąki poprzerzynane strumykami, rozległe lasy i pastwiska, tworzą obraz pełen sielskiego uroku i działają uspakajająco na umysł wędrowca, niedawno jeszcze otoczonego chaotycznym bezładem.

Z przeciwnéj strony Via Mala wybiega ku dolinie Domleschg. W téj właśnie części znajduje się słynne przejście *Trou perdu*, długa galerya wykuta w skale w epoce przebudowania drogi z Coire do Belinzony. Galerya ta, ciągnąca się wzdłuż przepaści na trzysta stóp głębokiej, ma 216 stóp długości, 10 do 14 wysokości, a 15 do 18 szerokości.

I tu podobnie, po przebyciu ciemnego przełomu, zachwycająca otwiera się panorama. Na prawo stara dzwonnica klasztoru św. Jana wystrzela wśród skał nieprzystępnych z pozoru, podczas gdy z lewej strony bujne pastwiska zielonym kobiercem zaścielają zaokrąglone grzbiety Heinzenbergu. W środku widać miasteczko Thusis i dolinę Domleschg. Dwa razy miasto całkowicie prawie spłonęło; szczęściem jednak ocalono archiwa, i dziś są one złożone pod bezpiecznym od ognia sklepieniem tamecznego kościoła.

Dolina Domleschg jest niezawodnie jedną z najpowabniejszych w Alpach; szkoda tylko że niemal corocznie wystawiana bywa na wylewy Renu, Albuli i Nolli. Wino udaje się tu przewybornie, a ponad brzegiem Nolli znajdują się kąpiele podsypane źródłem siarczystém. Piękność téj doliny tak silne niegdyś wywarła wrażenie na umyśle generała francuzkiego księcia de Rohan, dowodzącego tu za czasów Ludwika XIII, że kazal ją przenieść na płótno i obraz posłał do Wersalu.

W roku 1821 droga Via Mala została ostatecznie rozprzestrzenioną i wyrównaną. Na najwyższym jéj punkcie postawiono gospodę dla noclegu podróżnych, i w kilku jeszcze miejscach urządzono schronienia dla zaskoczonych śnieżną zawieruchą.

BRAMINOWIE I KASTA KSIĄŻĘCA

W INDYACH WSCHODNICH.

Żeglarz jakiś arabski opowiada że płynąc z Basory do Chin napotkał na pobrzeżu malabarskiem pokutnika indyjskiego siedzącego w postawie zadumanej, z twarzą obróconą ku słońcu i bez innego ubrania prócz skóry pantery opasującej mu biodra. „W szesnaście lat później, dodaje tenże podróżnik, zwidzałem znów to pobrzeże, i zastałem pokutnika w tój samej jeszcze postawie. Zdziwiło mnie to najwięcej że człowiek ten nie spalił się na słońcu.”

Pokutnik ów nieruchomy, pogrążony w głuchém dumaniu przez przeciąg lat wielu, doskonałym jest podobieństwem Indyj, które od trzydziestu wieków rozpatrują się wistocie bóstw swoich i w przeznaczeniu człowieka. Kraj ten wygłaszał przez usta swych kapłanów dogmata religijne i pieśni sławiące czyny bohaterów; lecz w czasie gdy wszystko dokoła ulegało zmianie, tu wieczna panować się zdawała nieruchomość. A jednak Indye w tym stanie przetrwały wiele innych narodów, na pozór nierównie silniej i żywotniej uorganizowanych. Tajemnicy więc tój trwałości szukać należy w odwiecznych prawach i instytucjach tego kraju, a z tych najdosadniej charakteryzuje go ta właśnie, której istnienie tamowało wszelki postęp, instytucya kastowa.

Jakim sposobem potworzyły się pierwiastkowo kasty indyjskie? w której mianowicie epoce powstało to dowolne na pozór rozczłonkowanie społeczeństwa? są to pytania niepodobne do rozwiązania w sposób ściśle naukowy, dla braku zupełnego dokumentów historycznych. Jedynym w tój mierze źródłem, z którego zgadywać nam wolno przeszłość, są podania rozsiane w obfitości po epopejach i *puranach* indyjskich, po pieśniach rzucanych przez braminów na liście palmowe piórem z bambusowej trzciny.

Pierwsi teologowie indyjscy uznawali jednego boga, Bramę, od którego wyszedł świat cały i wszystkie istoty. Inni potem myśliciele poczęli zastanawiać się nad zachowaniem stworzenia i przewidywać jego koniec: i pierwiastek zachowawczy wcielił się w osobie Wisznu, a pierwiastek niszczący w osobie Ciwy. Idea czuwającej nad czło-

wiekiem opatrności, stanęła w walce z ideą ostatecznego zniszczenia; Brama zaś z wysokości nieba bezczynnym był świadkiem tój walki. W następstwie wieków Wisznu i Ciwa zostali w wyobrażeniu Indyan oddzielnymi bożkami, mającemi osobne świątynie czci swojej poświęcone, i kapłanami ich, równie jak Bramy, zostali braminowie, których zadaniem był wykład tajemnic i podań religijnych.

Całość tych podań, złożona w zbiorze *Rig-Weda*, tworzyła jakby arkę przymierza narodowości aryas'ów¹⁾. W miarę atoli jak! aryasy, usadowiwszy się na ziemi indyjskiej, szczyli swe zdobycze, podbijając mieszkańców pierwotnych, niosąc im cywilizacyą swoją i zwyczaje,—wypadki historyczne coraz większego nabięrały znaczenia. Znakomite czyny i słynne imiona zaczęły w różnych epokach domagać się swoich piewców. Ztąd dwa powstały rodzaje pomników piśmienniczych: *purany* czyli poematy religijne w liczbie ośmnastu, opisujące stworzenie świata, życie pierwszych ludzi, genealogią patryarchów i królów, i epopeje, jak *Mahabarata*, *Ramajana*, *Raguwansa* i t. p., poematy historyczne, skręślone wszakże pod wpływem idei bramińskiej. W obu tych rodzajach poezyi główną osobą jest zawsze jaki bramin albo *kszatriya*, wojownik z plemienia aryas'ów, wyniesiony na króla przez namaszczenie. I nie mogło być inaczej: każde albowiem społeczeństwo uosabia się w tych co działają i w tych co działanie wywołują. Otóż jeżeli braminów uważać należy za duszę i rozum narodu indyjskiego, wojownicy-księżęta są jego sercem i ramieniem. Badać więc powstanie i rozwijanie się kast bramińskiej i księżęcej, jest to obeznać się z całością narodu indyjskiego, i śledzić treść zasadniczą jego żywota społecznego.

I.

Braminowie, z powodu swój znajomości pism świętych, nazywani są u Indyan *widzącemi* (po sanskrycku *widwas*); pod niemi stopniują się trzy pozostałe kategorie: książąt, mieszczan i niewol-

¹⁾ Przodkowie Indyan sami się nazywali *aryas'*ami, to jest ludźmi godnymi poszanowania.

ników. Tym sposobem całość organizmu społecznego na cztery rozpada się kasty, nieprzebytą od siebie przedzielone zaporą. Znajomość języka i skręślonych nim pism religijnych, uważanych za objawione, studyowanie tych pism i wykład ich profanom stanowi przywilej kasty braminów, tłumaczący zarazem niezmierną ich przewagę polityczną i towarzyską. By nie dozwolić innym kastom podniesienia się do własnej ich wysokości, braminowie postawili aksyomat, że nauka może być udziałem ludzi tylko w miarę wyższego lub niższego szczebla jaki zajmują w społeczeństwie. Kodeks religijny Indyan, przypisywany pierwszemu Manu, synowi tego *który istnieje sam przez się*, orzeka obowiązki czterech kast wymienionych w słowach następujących: „Brama dał w udziale kapłanom (braminom) naukę i wykład pisma, odbywanie ofiar i przyjmowanie ich od drugich, prawo rozdawnictwa i poboru; na wojownika (kszatriya) włożył obowiązek opiekowania się ludem, świadczenia uczynków litościwych, czytania ksiąg świętych i wstrzymywania się od rozkoszy zmysłowych. Staranie około trzód, udzielanie jałmużn, handel i uprawa gruntu są zatrudnieniem właściwem rolnikom i kupcom (waisya). Lecz niewolnikom (kudra) istota najwyższa zakreśliła jeden tylko obowiązek, służenia bez oporu klassom poprzedzającym. Braminowie bowiem wyszli z ust Boga, wojownicy z jego ramienia, mieszczanie z uda, a niewolnicy z jego nogi.”

Panowanie przeto kast na niewzruszonej, bo religijnej, spoczywa w Indjach podstawie. Braminowie, uznani nietylko za wynik bezpośredni myśli Najwyższego Bóstwa, ale nadto za pierworodnych jego synów, dzierżą berło społeczne. „Ponieważ wyszedł z najszlachetniejszej części ciała boskiego, mówi księga Manu, ponieważ jest pierworodnym synem ziemi, a nadto obeznanym z tajemnicami ksiąg świętych, bramin panować ma nad światem! Wszystko co ziemia obejmuje, wszystko co istnieje jego jest własnością.” Niepodobna, zaiste, prawa pierworodztwa w szerszym pojmować znaczeniu.

Jednakże w życiu praktycznym tak abstrakcyjne pojmowanie przywilejów jednej kasty długo utrzymać się nie mogło. Objawione nawet prawa i najbardziej szanowane przepisy wstrzymać nie zdołają rozwoju społeczeństw; kończy się zawsze na tym że urojenia znikają, albo przynajmniej tracą na swój mocy, a rzeczywistość występuje na jaw.

Nauczyciele całego narodu, duchowi przewodnicy ksiąząt, powoływani do spełniania obrządków religijnych w gronie rodzin, braminowie nie mogli piastować razem władzy świeckiej. Jakkolwiek ziemia należała do nich z prawa, inne przecież stany zbierały z niej kwiaty i owoce, obejmowały ją w posiadanie i ciągnęły z niej korzyści. Jakież więc w życiu rzeczywistym jest znaczenie obecne tej kasty tak licznej, która z postępem czasu coraz bardziej się rozrastając, nie mogła tym samym zachować nietkniętymi wszystkich swych przywilejów?

Indye Wschodnie podzielone są na mnóstwo krain, rządzonych przez oddzielnych władców, z których każdy ma dwór swój maleński. Przy *radżach* tych ¹⁾ braminowie wiele ważnych pełnią obowiązków, są bowiem ich kapelanami, przewodnikami duchowemi, doradcami, ministrami, nauczycielami, astrologami, sekretarzami i t. d. Wszędzie gdzie tylko pole dla myśli lub słowa, oni w pierwszym stawają rzędzie. Gdy zaś zabraknie tych wyższych dostojenstw, przystępnych naturalnie tylko dla szczupłej stosunkowo liczby, wtedy prawo starożytne otwiera im szranki szerokie zawodów podrzędnych. „Jeżeli bramin, który, mówi kodeks Manu, nie zdoła wyżyć z wyłącznego oddawania się swemu powołaniu, to może zostać żołnierzem, kupcem lub rolnikiem.” W istocie też wielu braminów zajmuje się bankierstwem, wekslarstwem i sprzedażą materij jedwabnych. Inni, przywdziawszy mundur *cypaja*, służą pod sztandarami Anglii; a że wyraz *cypaj* w języku indyjskim oznacza nietylko żołnierza, lecz i po prostu odźwiernego, przeto niektórzy pod skromnym tym tytułem przyjmują służbę bezpłatną po pałacach książęcych i domach prywatnych. Tam, zasiadając poważnie w podwojach, oznajmiają oni przybycie gości i oddają pokłony przechodzącym dostojnikom. Ale i podrzędne to stanowisko nie przeszkadza braminowi być samym sobą. Przepaska kapłańska wyglądająca z pod tuniki świadczy o jego godności, a w rannych godzinach, zanim natrętny przekupień jaki zastuka do wrót domowych, odbywa on w swój izdebce przepisane obmywania i odmawia pacierze. Potem przybięra się starannie, zakręca węża i zasiada w miejscu

¹⁾ *Radża* oznacza w Indjach księcia wyznającego religię Bramy. Wyznawców zaś islamu albo potomków Mogolów nazywają tam z arabska lub z perska: *szach*, *padiszach*, *nizam nabab* i t. d.

przeznaczoném, oparty dumnie na swym kiju, w postawie prawdziwie posagowej.

Cypaj i odźwierny przedstawiają braminów ubogich, nie posiadających dostatecznego wykształcenia dla utrzymania się z pióra. Usposobionym zaś w tym względzie kompania ofiaruje posady, częstokroć bardzo korzystne i chciwie poszukiwane. Najzdolniejsi przy bibliotekach publicznych odczytują, poprawiają i przepisują stare rękopisma. Inni, znający dobrze język angielski, a niekiedy nawet i francuzki, pracują po biurach lub kantorach negocyantów, gdzie większą część dnia trawić muszą na zajęciach świeckich; ale gdy tylko wybije godzina spoczynku, wracają natychmiast do domu, dla zatopienia się w księgach świętych.

Najszczęśliwszymi atoli z całej swój kasty, a nawet z ogółu mieszkańców téj najpiękniejszej części Azyi, są braminowie zajmujący niejako środek pomiędzy doradcami królewskimi i pisarzami biur, którzy w wiejskiem gdzieś ustroniu pełnią służbę przy pagodach i ciągną z nich dochody. Tam żaden żywioł obcy, żaden zwyczaj narzucony nie zakłóca ich spokoju. Skupieni w znacznej liczbie około swych świętości, równi pomiędzy sobą, zespoleni myślą i dążeniem, braminowie ci żyją z żonami i dziećmi w najśłodszym *far niente*. Cudnie woniejące kwiaty otaczają ich mieszkania; owoce ofiarowane codziennie bóstwom granitowym służą im za pokarm. W czasie gdy słońce, prostopadle rzucając swe promienie, ogniste na ziemię zléwa potoki, oni szukają ochłody pod cieniem szerokolistnych drzew mangowych, albo nurzają się w wodach krynicy okolonój lotusem. W używaniu tych rozkoszy marzą oni o bóstwie które to wszystko stworzyło, którego pierworodnymi czują się synami, które im dało zamiłowanie życia samotnego, obok dumy niezmiernój i próżności, stawiając ich w własném przekonaniu wysoko ponad światem. Dopiero gdy chłód wieczorny omdlałą orzeźwi przyrodę, braminowie, przy ponurym odgłosie rogów z konch morskich, rozpoczynają jedyną swą pracę: ofiary przy pagodach.

Widziemy więc że kasta braminów, jakkolwiek pomieszana ze wszystkimi niemal klassami społeczności indyjskiej, nigdy jednak nie przestaje być samą sobą. Najpotężniejsza to rzeczywiście arystokracja, której ubóstwo nawet nie ujmuje dostojenstwa, arystokracja dziedziczna, zbrojna w przywileje uświęcone prawem cywilném i religijném. Kasta ta jedyném dziś może jest ogniwem

łączącym różnorodne plemiona indyjskie; znieść ją, znaczyłoby zepchnąć nagle całą ludność od brzegów Indu do Gangesu, od Himalaji do Ceylonu, z drogi po której ona od trzech tysięcy lat jednostajnym zawsze kroczy pochodem.

II.

Jak kasta kapłańska głową i duszą, tak kasta książęca czyli wojownicza (kszatrya) jest ręką i sercem społeczności wschodnio-indyjskiej. Jednakże prawo pisane przez braminów nie przyznaje wojownikom władzy bezpośredniej; władzę tę owszém nadali im kapłani, gardzący nią jako pierworodni synowie bóstwa, którym dość aureoli świętości otaczającej ich skronie. Książęta przeto są w sprawach świeckich tylko jakby namiestnikami Boga stworzyciela. Kodeks Manu w kilku szlachetnych wyrazach określa obowiązki książąt: „Kszatrya, według woli Stwórcy, powinien opiekować się ludem, rozdawać jałmużnę, spełniać ofiary i czytać księgi święte.”

Brama więc nie na to udzielił władzę téj kascie, aby pogrążyć się mogła w gnusności i zbytku, aby o własną tylko starała się korzyść, lecz aby czuwała nad dobrem podległych sobie ludów. Pochodzenie kszatry'ów także jest boskie, ale o stopień już niższe od pochodzenia braminów. Ci, jako wyszli z ust Bramy, są bezpośrednim wynikiem ducha bożego; tamci, jako wyszli z ramienia, więcéj już zmysłowém jego narzędziem.

Mimo to wszakże atrybucye kasty książąt-wojowników bardzo są rozległe, bo kodeks religijny obdarza ich straszliwą bronią *kary*, którą Manu w następujących opisuje wyrazach: „Kara jest władczą potężnym, zręcznym administratorem, sędzią-szafarzem słuszności. Kara rządzi ludźmi, ona ich osłania, ona czuwa gdy wszyscy snem zmorzeni. Bez niej kruk dziobałby swobodnie ryż przeznaczony na ofiary, a pies¹⁾ wylizywałby masło oczyszczone; nie byłoby już prawa własności; człowiek najniżej postawiony zająłby przemocą miejsce najwyższego. Kara rządzi ludźmi, bo trudno znaleźć człowieka z natury cnotliwego. Przez bojaźń tylko kary świat może używać dozwolonych sobie przyjemności.” Widać że starożytni mędrzy indyjscy nie przypuszczali, jak niektórzy z nowo-

¹⁾ W wyobrażeniu Indyan kruk i pies są zwierzętami nieczystymi, a profanacją przez nich świętości za największe uważają nieszczęście.

czesnych filozofów, że człowiek rodzi się dobrym, a cywilizacya dopiero psuje go, zamiast poprawić.

Według kodeksu religijnego, rada, złożona po większej części z braminów, powinna czuwać nad władzą książęcą, zapobiegać jej nadużyciu i wszelkim samowolnościom. Otoczony ponętami, władca winien powściągać swe namiętności i panować nad zmysłami. Obarczony sprawami państwa, obowiązany jest znać wszystko cokolwiek odnosi się do handlu, przemysłu i uprawy roli. Prawo w sposób surowy oznacza zatrudnienia jegoienne; nakazuje aby wstawał rano, powitał braminów, pracował potem z radą, wysłuchiwał zażaleń poddanych, przeglądał wojska, aby jadał umiarkowanie i nie przebywał zbyt często w mieszkaniu żon swoich; słowem według przepisu ma to być człowiek zarazem najświetlejszy, najpobożniejszy i najumiarkowańszy w całym swym królestwie.

Tyle co do zajęć wewnętrznych; na zewnątrz przeciwnie, a zwłaszcza w czasie wojennym, życie jego przybiera świetność prawdziwie monarszą. Kszatria występuje na czele swych hufców, otoczony licznym orszakiem oficerów niosących godła władzy królewskiej, słońcochron i buńczuk do odpędzenia much. Armia jego podzielona jest na kolumny: na czele oddział tyralierów, w środku i w tyle wyborowa piechota, po bokach jazda i z obu jej krańców słonie. Tu książę-wojownik nieograniczonym jest panem i może działać zupełnie według natchnień osobistej swój odwagi. Pierwsza rzecz nie uciekać, bo śmierć na polu bitwy przysparza sławy doczesnej, a w przyszłym życiu wieczne zapewnia szczęście. Prawo stanowi że żołnierz nie dotrzymujący placu w bitwie obciąża się wszystkimi grzechami swych przywódców, a samustępuje im zasługi dobrych swych uczynków.

Jednak żaden kszatria, czy król czy prosty wojownik, pomimo obowiązkowej odwagi, nie powinien być nieczułym na względy ludzkości. Manu zaleca mu nie używać nigdy broni zdradliwej, strzał zatrutych lub wyębionych, nie uderzać na przeciwnika powolnego albo błagającego o łaskę, ani na bezbronnego, ani na uspiętego, ani wreszcie na walczącego z drugim. Co więcej, gniew jego powściągnąć się winien wobec nieprzyjaciela pochylonego smutkiem, oplakującego na przykład śmierć ojca, syna lub przyjaciela.

Wyznać należy iż pierwszy obowiązek książąt, opieka nad narodem, nie zgadza się z tym duchem wojowniczym, z tą żądzą odznaczenia się w boju.

Rzeczywiście też prawodawca indyjski uważa wojnę za klęskę i zaleca unikanie jej wszelkimi sposobami. „W sprawach ludzkich, mówi on, los zawsze ważną odgrywa rolę; a któż poszczycić się może stałą przychylnością tego bóstwa niezbadanego? Dlatego w każdym przedsięwzięciu należy być zręcznym i przewidującym.” Zapewnić pokój, ustalić władzę swą układami, przysporzyć sobie wpływu i ziemi bez dobycia oręża, taką, podług kodeksu Manu, powinna być nieustanna dążność króla. Dobrze uorganizowane i wyćwiczone wojsko zjedna mu poważanie u sąsiadów; dosyć mu będzie pogróżki, aby uzyskać to czego zapragnie, dosyć przemówienia, aby znaleźć posłuszeństwo.

III.

Rzeczywiście więc władza królewska w Indiach, pomimo absolutnej swój formy, niezmiernie jest ściśnioną ustawami narzuconemi jej przez braminów. Trudno nie podziwiać zręczności z jaką ta kasta umiała książąt swych uczynić dosyć silnemi aby sobie przez nich zapewnić przewagę i spokój, a dosyć znów słabemi by korzyć się musieli przed potęgą kapłanów. Sam postawiony ponad prawem, bramin nie lęka się gniewu swego pana, bo Manu mówi najwyraźniej że pierworodny syn Boga nie może być karany śmiercią, chociażby największą popełnił zbrodnią; co najwyżej dotknąć go może czasowe wygnanie, bez pozbawienia majątku.

Jeśli królowie-wojownicy przestrzegają prawa i pomyślności narodu, to braminowie znów strzegą niejako królów. Tak jest obecnie; lecz byłoż tak zawsze przez ciąg trzydziestu stuleciów? Na to pytanie odpowiedzieć należy przecząco. W czasie pierwszego urządzania się narodowości aryas'ów, kasty jeszcze nie istniały. Rodziny pod których przewodem napływowe to plemię Indye zagarnęło dostarczały wtedy i kapłanów i wojowników ze wspólnego wyszłych gniazda. Później kapłani-ofiarnicy przy świątyniach zaczęli wyłącznie oddawać się sprawowaniu obowiązków religijnych, a obowiązki te coraz większego nabięrały znaczenia. W miarę znów wzrostu ludności nieliczne zrazu plemiona w oddzielne rozrastały się narody, a naczelnicy ich przyjmowali tytuł królów. Odtąd więc rodziny kapłańskie i książęce wyraźnie odstrychnęły się od siebie: pierwsze uosabiały w sobie tradycje przeszłości i pierwiastki cywilizacyjne; drugie interes terażniejszości i widoki dumy oso-

bistój. która w poczuciu swój siły niewiele dbała o podania. Gdy jednak klasa wojownicza dobiła się stanowiska niezależnego, gdy ufna w liczne swe warownie nie schylała już czoła przed potęgą kapłanów, wtedy ci ostatni zaczęli przemyśliwać nad sposobami ukrócenia dumy kszatryów, i w celu tym zaprowadzili podział na kasty. Allegorya przedstawiająca cztery kasty indyjskie jako wyszłe z czterech różnych części ciała Bramy, zawierała już w sobie zaród ostatecznego wywyższenia się kapłanów, które stać się miało podstawą przyszłej budowy społecznej.

Przywłaszczając sobie miano pierworodnych synów Boga, dostojęństwo stróżów i nieomylnych tłumaczy prawa religijnego, braminowie tém samém postawili się wysoko ponad kastą książęcą. Uznawali wprawdzie potęgę władzy doczesnej wcielonej w osobie panujących, egzaltowali ją nawet wobec ludu, lecz sami odmawiali jej hołdów, zastrzegając sobie przywilej kontrolowania i w razie potrzeby unieważniania aktów królewskich. Królowie téż, zadowoleni w swój dumie, nie sprzeciwiali się wcale temu podziałowi władzy, nie pojmując zapewne że im naznaczał stanowisko dosyć podrzędne. Potomkowie pierwszych książąt czystej krwi aryas'ów zaczęli z czasem oddawać się wszelkiego rodzaju bezprawiom, co stało się powo-

dem coraz groźniejszego powstawania przeciw nim braminów, którzy głośno rzucając klątwy na odstępnym, cichaczem wpływ swój rozszerzali i dopełniali na swą korzyść prawa religijne. Tym sposobem władza najwyższa przeszła w ręce kasty przedstawiającej pierwiastek cywilizacyjny, a razem marzący i poetyczny, narodowości indyjskiej. Była to era prawodawcza, i braminowie dzisiaj, wywodzący ród swój od mędrców tamtoczesnych, mogą rzeczywiście szczycić się starożytnością swój kasty, bo epoka ta odpowiada mniej więcej XII i XIII stuleciu przed narodzeniem Chrystusa.

Obalenie więc przewagi kszatryów czyli książąt-wojowników i podstawienie w jej miejsce władzy braminów jest w Indjach od trzydziestu wieków faktem dopełnionym. Rzeczywiście téż można powiedzieć że do czasu obecnego właściwie dwie tylko dotrwały kasty: kasta kapłanów czyli Braminów, i kasta kupców-rolników (waisya); niewolników bowiem, pod względem praw politycznych, uważać należy za nieistniejących. Kasta zaś kszatryów czyli wojowników, przetrwawszy epokę swój świetności w czasach podboju, dziś niemal zupełnie zespoliła się z klasą spokojnych mieszkańców wsi, żyjących z płodów ziemi.

PAŻ KRÓLOWY I ŻEGLARZ.

Każdemu przeglądającemu zbiory motylów krajowych, w padną w oczy dwa te gatunki, uderzające oko swym szczególnym kształtem i żywym ubarwieniem. Dla chłopców nawet poczynających zbierać motyle, nazwy ich mają coś czarodziejskiego w sobie, może i dlatego że trudne są do złapania, chronią się bowiem szybkim wzlatywaniem w górę.

Należą ony do rodziny motylów właściwych, *Papilio*. Druga para skrzydeł tego oddziału kończy się przedłużeniem wązkiem, dość długim; pomiędzy niemi a wewnętrznym brzegiem skrzydła znajdują się pstre, oczkowate plamki. Macki mają zakończenia pałeczkowate.

Liszki są dosyć grube i krótkie, gładkie i pstro ubarwione. Za głową mają wyciągalne, żółte, mięsiste widelki, których przeznaczenie dotąd nie jest znane. Wydają z siebie mocną woń, co im służy za obronę przeciw nieprzyjaciolom. Poczwar-ka wisi na nitce wychodzącej na obie strony z grzbietu, jako téż i na oprzędzie przytwierdzającym część tylną.

Fig. 1 a—d przedstawia Pazię królowego *Papilio Machaon*. Tło skrzydeł jego jest żółte, jednakże zmienne w odcieniach. Egzemplarze wyhodowane z liszek po większej części są blado-siarkowego koloru, gdy tymczasem, na wolności z poczwarek

wyszłe, są zazwyczaj odcienia ciemnego. Różne zaś czarne wzory na tém tle lepiej przedstawia obok umieszczona rycina, aniżeli wszelkie opisy. Tylne skrzydła kończą się ogonkiem, jednak nie tak długim jak u Żeglarza; przy nim znajduje się oczkowata plamka, pięknego cynamonowego koloru.

Liszka początkowo czarna, z małemi kolcami i białą plamką na grzbiecie, w dorosłym stanie i po dojściu do $\frac{3}{4}$ cala długości ma tło zielone, a na niem czarne obrączki z czerwonymi kropkami. Znajdować ją można dwa razy w roku, na wiosnę i latem; żywi się liśćmi rozmaitych gatunków roślin baldaszkowych, mianowicie karolku, kopru pospolitego i włoskiego. Liszka przemienia się w zieloną, wzdłuż żółto prążkowaną poczwarkę, z wysokim grzbietem. Po 14 dniach wychodzi z niej motyl. Motyle latające na wiosnę pochodzą z liszek które się w późnej jesieni zamieniły w poczwarki.

Paź królowy, upowszechniony prawie po całej Europie, tak w górzystych okolicach jak i na płaszczynach; najpospolitszy jednak bywa w gajkach obfitujących w kwiaty, na brzegach lasów i na łąkach górnych.

Żeglarz fig. 2 a—d *Papilio podalirius*, wyrównywa wielkością Paziowi królowemu; tło ma wprawdzie także żółte, ale daleko jaśniejsze, a wzory na niem stanowią podłużne tasiemki, gdy u Pazi królowego są więcej kształtu plamistego. Oprócz tego oczkowata plamka na dolnych skrzydłach inaczéj ubarwiona, a trzonkowaty ogonek jest dłuższym. Liszka żółtawo-zielona, czerwono kropkowana, z podłużnemi, białawo-żółtymi liniami i podobnie ubarwionemi paskami poprzecznymi.

Żyje na jabłoniach, gruszach, śliwach, dębach, i zamienia się w poczwarkę brunatną, od tyłu żółtą, brunatno paskowaną. Motyl lata w maju i sierpniu i znajduje się w tych samych miejscowościach gdzie i Paź królowy.

Fig. 3 przedstawia gatunek żeglarza *Papilio Alexanor*, znajdujący się we Włoszech. Motyl ten na pozór możnaby uważać za pośredni pomiędzy Paziem królowym i Żeglarzem, łączy bowiem w sobie cechy jednego i drugiego gatunku. Uznany jednak został za oddzielny gatunek, i słusznie, gdyż po bliższém rozpatrzeniu się w jego charakterach znacznie od tamtych się różni.

PAN SOŁŁOHUB.

Pan Jan Solłohub herbu Prawdzie, który z niczego wyszedł potem na wielkiego człowieka, urodził się z ojca niewielkiego wcale majątku, ale szlachcica osiadłego na Żmudzi. W naukach nie był biegły, jak wszyscy w okół jego sąsiedzi; ale miał, czego znowu inni niemają, rozum naturalny, i odznaczał się męstwem, dwie zalety które mu potem sprowadziły w dom fortunę i poważanie u ludzi. Wszedł bardzo wczesnie do służby rzeczypolitéj; był w dragonach litewskich, nareszcie dorwał się dowództwa chorągwi, której jakiś czas porucznikował. W ziemstwie wysłużył téż sobie cześnikostwo żmudzkie. Trafił właśnie na czasy Karola XII. Więc nic dziwnego że po różnych kątach świata uciérał się ze swoją chorągwią, że wszérz i wzdłuż całą Polskę przeszedł, że odbywał różne marsze i konno i pieszo, i goniąc i ucie-

kając, że, jakto mówią, na wozie był i pod wozem. I cóż dziwnego że się różnych wojsk napatrzył, że dużo wiadomości nabył, które rozwinęły potem jego rozum naturalny? Przyszło do tego szczęście, a ze szczęściem już reszta, i niebyło o co więcej się starać; zaszczyty same się znalazły.

Było to w naszych stronach, w Gostyńskim na Mazowszu. Pan cześnik stał z regimentem na kwaterach gdzieś w okolicy. Raz wypadło mu jakoś jechać za prowiantem po szlachcie, z czém go wysyłali starsi. Czy umyślnie, czy po drodze, wstąpił Solłohub do pana Szamowskiego, który miał kilka córek na wydaniu. Pan Szamowski był to z dziada pradziada dobrze osiadły, bardzo poważany i zamożny obywatel, kość z kości gostyńskiej ziemi, bo przodkowie jego ciągle kasztelanowali w Konarach, w Sochaczewie, w Gostyniu i Brze-

zinach. Gość w dom, Bóg w dom; więc naszego cześnika po staropolsku przyjął pan Szamowski. Gadu, gadu, a tymczasem wino przelęwało się tylko po kieliszkach i językach, czas schodził, wreszcie i gospodarzowi i gościowi mocno się zakurzyło w czuprynach. Przyszła Sołłohubowi pora odjazdu, ale ochoczy szlachcic gostyński ani dał sobie o tém z początku mówić; kiedy wyrwał się przecie nasz cześnik z tych gorących uścisków i już na konia wsiadł, mając wracać do chorągwi, gospodarz raz jeszcze z kielichem w ręku wychodzi na ganek i wnosi strzemienne. Sołłohub pić niechciał, boć trudno z zapruszoną głową wracać do komendy; ale kto się wyprosi przed gościnnością łęczycką lub gostyńską? Rad nie rad, może chcąc się zbyć Szamowskiego, przystaje Sołłohub jeszcze na kielich niby ostatni, ale pod warunkiem żeby która z córek gospodarza wyszła na podwórze i wypila do niego na pożegnanie. Stały już nawet podobno wszystkie panny Szamowskie na ganku, w duchu żegnając odjeżdżającego porucznika, który może im się i podobał, bo kto tam wie o tém? Usłyszawszy o warunku Sołłohuba, wychodzi zaraz pierwsza panna Helena, i choć się jój o to ojciec wcale nie prosił, bierze kielich do ręki, chcąc przepić. Nalano po same brzegi wina, panna bardzo naturalnie ledwie ładne usteczka w niém umoczyła, i zaraz ładną rączką pełny kielich podała gościowi. Sołłohub znowu bardzo naturalnie spełnił zdrowie sobie podane duszkiem, a na głowie końskiej postawiwszy kielich, wydobyl pistoletu z zapasa, strzelił do niego i roztrzaskał w drobne kawałki. Poczém po rycersku zwał się z konia i pannie przypadł do nóg, wyznał jój ni ztąd ni zowąd swoją miłość gorącą, a potém uklęknął przed ojcem i prosił go o deklaracyę czy na ślub pozwala, i kiedy ojciec napiły, sam niewiedząc co robi, biorąc to wszystko za żart, bo i w połowie było żartu w tych komedyach, (z resztą kto tam wie co pan Sołłohub na prawdę myślał), dał cześnikowi naszemu pewnie na żarty słowo, panna serdecznie to jakoś od razu przyjęła i w myśli już swojej poślubiła dozgonną wiare i miłość mężowi, który się jój tak nagle nawinał, a po rycersku zdobył serduszko. Mieli potém wszyscy za to dosyć kłopotu, kiedy Sołłohub przyjechał powtórnie w gościnę do Szamowskiego, i już nie na żarty ale na prawdę przypominał ojcu dane o pannę szlacheckie słowo. Sodoma działa się u Szamowskich: krzyki, groźby, wrzaski i płacze, jedno po drugim

następowało z kolei. Ojciec dąsał się i niechciał wydać za mąż córki, bo niewiedział za kogo ją wydaje. Jużci Sołłohub był szlachcic, tak mówił sam i tak musiało być, ale gdzie i jaki jego majątek? kto go rodzi? kto go zna w tych stronach? jedném słowem czy można się było z pewnością na niego spuścić że, *bene natus et possessionatus*. Przecie za byle kogo córki by nie oddał Szamowski. Do Żmudzi strasznie daleko. Co za potrzeba Mazurowi aż tam córkę za mąż wydawać; nibyto pod bokiem kawalerów i lepszych nie było? A potém cóż za los dla panny, żeby aż na Żmudź ją gdzieś wysyłać w kął świata? Jest majątna, więc znajdzie łatwo męża, a może kogoś z możnych obywateli dostanie: na Mazowszu dużo kasztelanów, dużo wysokich ziemskich dostojestw. Kto ręczył z resztą że Sołłohub jest cześnikiem żmudzkiem? A choćby tak było, bez stosunków i bez związków na cześnikostwie tém może zakończyć cały swój zawód, kiedy chorągiew porzuci. W istocie niezawistny los dla Heleny, która dziś pomiędzy swojemi blizkiemi nawet krewnemi liczyła kilku senatorów, nie mówiąc już o dawnych zaszczytach rodzinnych. Wprawdzie i o Sołłohubach nie głucho w historii: pochodzili z wielkiego na Litwie rodu Dowojnów, z których jeden przed Jagiellą, zakochawszy się w Polce, przyjął wiare chrześcijańską; potém na sejmie horodelskim jeden z Sołłohubów brał herby polskie, drugi bronił Smoleńska za Aleksandra, trzeci w lat kilkadziesiąt potém dobrze się popisał pod Ulą, bo wpływ przebył rzekę w oczach nieprzyjaciela, żeby swoim nieść pomoc. Ale dawne przysłowie mówi: „co było a nie jest, nie pisze się w rejestr”. Cóż Szamowskiemu po owych Sołłohubach, kiedy oto jeden z nich stoi jak kolek bez nikogo, biędny, a widocznie konkuruje o posag bogdanki. Zły był tóż pan Szamowski że wlażł w taką brzydką kabałę. Ale Sołłohub nic na to niezważał, i tymczasem żwawo docięrał, przypominając ojcu wciąż to nieszczęsne słowo szlacheckie, które tak okropnie tętniało mu w uszach, a które w większym zostawało wtedy uszanowaniu jakdziś dług kartowy: jak dzisiaj dług się płaci, tak wtedy słowa należało wiernie dotrzymać. Prośbę i groźbę nasz cześnik umiał w porę nadstawiać; to uniżał się, to z ferworem dowodził że dobrowolnie sromu nie zniesie. A dobrze wyrachował, bo przykrzyły mu się już te wojenne pielgrzymki po świecie i chciał sobie gdzie osiąść spokojnie na wsi i rej wodzić pomiędzy szlachtą, i posłować na sejmy;

chciało się panu Sołłohubowi porosnąć w piérze przy bogatj żonie i widać nie bardzo rachował na swoje żmudzkie majątki i urzędy, kiedy krainę swoją rodzinną chciał porzucić dla mazowieckich piasków. A już téż w kraju robiło się cicho, Szwed przepadł pod Połtawą; rycerskiemu człowiekowi kiedy jeżeli nie w czasie pokoju się żenić.

Ha! co robić, słowo się rzekło, rad nierad Szamowski oddał córkę panu Sołłohubowi i pobłogosławił nowe małżeństwo. Ale nieprzewidywał długo uparty ojciec, jaki sobie skarb kupił w tym niespodzianym zięciu, jakie zaszczyty spadły przez to na Szamowskich. Z początku wprawdzie musiał go jakby swoim kosztem utrzymywać, bo dał mu posag, dobra w Gostyńskim i z bogacił pana Sołłohuba, co to się nazywa. Za teścia pieniądze, a raczej za posag żony, kupił sobie pan cześnik brygadierstwo w swoim regimencie, i już wybił się przez to samo na nieco świetniejsze stanowisko. Osiadł stale na Mazurach, a zgrabny, zręczny, zapobiegliwy, umiał tak jakoś zawinąć się około szlachty, że niedługo nabył i w Gostyńskim wziętości, której widać nie posiadał na Żmudzi, kiedy ją tak lekko porzucił. Jużto fraszka była dla niego być deputatem i posłem, stawał albowiem i jednym i drugim na wszystkie sejmy i trybunały. Tak się szlachcie narzucił, że dosyć mu było zachcieć, a niezawodnie obrany zawsze został. Mówiono téż o nim sobie pocichu że pan Sołłohub zwykle sam się obiéra, nie zaś szlachta jego, deputatem i posłem. Mogła to być prawda w istocie, bo też rozwielił się nadzwyczaj na Mazowszu pan Sołłohub. Skupował w około dobra i własne i królewskie. Krajewscy, kasztelaństwo bydgoscy, sprzedali mu swoje prawa do starostwa strzeleckiego w ziemi gostyńskiej, a raczej do kilku wiosek, z których wieś Strzelce miała swój kościółek parafialny, Mysłowice zaś i Luboń, czy Łoweń, do parafii gostyńskiej należały (konsens królewski Krajewskim na to ustąpienie dla obojga małżeństwa Sołłohubów z dnia 4 kwietnia 1713 r. Sygill. ks. 18 str. 39). Potém Jerzy z Podhajec Potocki starosta tłumacki sprzedał mustarostwo sannickie (6 lutego 1720 Sygill. 19, 220). Kochał żonę Sołłohub, bo i jedną i drugą królewszczyznę nabył nietylko na swoje, ale i na żony imię; kupił téż na własność już oporowskie dobra, podobno nawet jeszcze przed weselem z Szamowską. Miejsce to historyczne, po sławnej niegdyś w Polsce rodzinie Oporowskich osierociałe, miało kościółksięży pa-

ulinów i wspaniały zamek, który się wznosił na wzgórzu, a do którego przystępu broniły fossy, okopy i mosty zwodzone. Kościół w Oporowie Sołłohub z żoną byli szczególni dobroczyńcami, a nawet podobno go odbudowali kiedy się spalił, może za czasów wojny szwedzkiej.

Wszystko szło dobrze, ale ta pomyślność niedawała jeszcze spokojności Sołłohubowi; co miał, to jeszcze wszystko było za mało; majątkowi nieodpowiadało znaczenie urzędowe, a cześnikostwo żmudzkie już mu się znudziło. Wyrobił się wtedy na wielkiego w Polsce pana Stanisław Poniatowski, zięć Czartoryskich, ojciec późniejszego króla. Nasz cześnik wolał jemu tymczasowo bakę świecić jak komu innemu, i doświadczenie pokazało że lepiej na tém wychodził. Dorabiając się sam jakiego takiego stanowiska, szukał może najstosowniej wsparcia u tego, co sam pracą i trudem wyszedł na człowieka z tego co bolało, jak mawiał Czarniecki, i kiedy pany możeby na Sołłohuba nie spoglądali, Poniatowski mile przyjmował to pochlebianie się szlachcica, bo sam téż chciał coś znaczyć pomiędzy szlachtą. Za pośrednictwem Poniatowskiego postanowił starać się Sołłohub o podkomorstwo gostyńskie, które właśnie świeżo co zawakowało po Janie Żółtowskim. Gdyby mu się to udało, byłby pierwszym szlachcicem w swojej ziemi, jakim był każdy marszałek powiatowy na Litwie; niechętnym nawet ręką ustaby zamknął. Bo miał pan Sołłohub i niechętnych. Jedni patrzyli na niego z gniewem, jako na intruza, który ich kosztem wzmaga się i żyje; drudzy obawiali się w nim znaleźć kiedyś magnata. Wpływ Sołłohuba sięgał już i po za rawskie województwo. Oto niedawno Łęczycanie obrali go nawet na deputata trybunalskiego (1718) i Sołłohub sądził w ich imieniu. Trzeba było go skarcić, żeby się za bardzo znowu nie rozpościérał Litwin po Mazurach. Jednakże opór ten spalił na panewce, a kiedy sejmiki przyszły, w liczbie czterech kandydatów do podkomorstwa i Sołłohuba podano królowi. Naturalnie tam gdzie czterech się razem obiéra, jednomyślności być nie może; to téż niemiał jój za sobą i pan Sołłohub, ale o to mniejsza, kiedy był na liście. Królowi służyło prawo wybierać z pomiędzy kandydatów szlachty jednego, a tutaj już rzecz jego była, żeby się utrzymać przy swoim. Jakoż w istocie kazał mu król, za sprawą Poniatowskiego, pieczętować przywilej na podkomorstwo gostyńskie, (28 września 1722 Sygill. ks. 20 str. 39). Szlachta, której Sołłohub był solą w oku,

uciekła się do ostatecznego środka, i kiedy podług prawa nowy dygnitarz ziemski chciał złożyć na swój urząd przysięgę, rzuciła się hurmem do miasta, bo postanowiła niedopuszczać Solłohuba do przysięgi. Ale przepadła i ta nadzieja, bo jeżeli szlachta była rezolutna, rezolutny był także i Solłohub; jeżeli szlachta dobyła szabli, to i pan podkomorzy, już się nie zaś cześnik żmudzki, dobywał szabli, a postawa jego mówiła że niebędzie przebiérał w środkach tam, gdzie chodziło o własną osobę i obronę prawa. Jako brygadier, Solłohub miał na swoje zawołanie oficerów i cały regiment, i swoich ludzi moc zbrojnych, do tego miał serce mężne i odwagę; to też kiedy pokazał co umie szlachcie, co dokaże w razie oporu, radzi nie radzi umilkli wszyscy, uniżyli się i weszli w układy z podkomorzym, z czego zaraz Solłohubowi urosła większa jeszcze fortuna i konsyderacye. Już się podpisywał i nazywać kazał z Dowojnów Solłohubem; przyswoił też sobie nazwę rzymską, i pisał się z Ursynów. Czasami też tytułował się hrabią, i na uniwersałach wyliczał szeroko dobra swoje i starostwa. Przez Poniatowskiego wszedł w bliższe stosunki z Czartoryskimi. Przebojem pchał się do dygnitarstw. Niedługo, w lat kilka po podkomorstwie, został łowczym wielkim litewskim, choć nieporzucał jeszcze pierwszego urzędu ziemi gostyńskiej.

Wśród tych powodzeń, które mu oddaniem ręki swojej otwarła, umiera sama pani podkomorzyna gostyńska w Oporowie (11 marca 1727 roku). Mąż sprawił jej pogrzeb w Oporowie, i kazał tam przy wielkiem nabożeństwie pochować jej ciało w kościele. Jest z tego [powodu w druku mowa żałobna ks. Idziego Madejskiego pijara ¹⁾. Prawdziwa opatrność męża, pani Solłohubowa przez ćwierć wieku blisko była dla niego wierną towarzyszką pożycia. Osoba nadzwyczaj pobożna, jak wiek cały w którym żyła, zapisała się pani Solłohubowa do zakonu księży paulinów i wiele świadczyła klasztorowi oporowskiemu: znała osobiście księdza Innocentego Pokorskiego, który ją też wielce poważał. Umiérając, czworo pozostawiła nieletnich dzieci, dwóch synów, z których jeden tylko dorastał syn najstarszy Józef, ten co to był później za Stanisława Augusta wojewodą witebskim i zakończył w Polsce rodzinę Solłohubów,

¹⁾ Data śmierci Łowczyny z akt bractwa 5ciu rańskiego przy kościele po-paulińskim w Warszawie. O kazaniu Madejskiego patrz *vitae et scripta* Bielskiego str. 42.

jako potomek [jej po mieczu ostatni. Józef, który miał lat blisko ośmnaście przy śmierci matki, myślał już o rzeczypospolitej i chciał jej swoje zasługi poświęcić. Ojciec też, spuszczając mu podówczas Sanniki, usamowałniał go niejako, robiąc go starostą sannickim (konsens król. 24 kw. 1727 r. Syg. 21, 149). Młodszy syn Heleny, Antoni, był później generałem artylerji litewskiej. Córki zaś dwie były także, Anna i Katarzyna. Na drugą matkę tym dzieciom najdziwaczniejszą w życiu dobrał sobie Solłohub kobiétę. Ród jej wprawdzie był znakomity, ale humor bardzo niestateczny. Ojciec jej, Kryszpin kasztelan trocki, pochodził z rodziny która miała swoje chwile świetne, i nazbyt świetne, w dziejach już za króla Jana i jeszcze nawet za panowania Augusta Sasa, matka zaś jej była podobno księżniczką Sanguszkówną z domu. Ale kasztelan trocki umarł i kilka córek po nim zostało siérotami; poszły więc na opiekę wielu krewnych, do których liczył się wujich rodzony, Krzysztof Zawisza starosta miński. Dużo to już lat od tego czasu upłynęło. Kasztelanki, już panny na wydaniu, za wojny szwedzkiej przytułiła do swego domu wdowa po drugim Kryszpinie, wojewodzie trockim, dziedziczka Rawdań na Żmudzi, pani dumna i bogata, która wielki dwór prowadziła i zawsze miała naokoło siebie kobiéty. Wojewodzina nigdy prawie kąta niezagrzała w domu, i jeżeli sama nie przyjmowała gości u siebie, jeździła przynajmniej ze swojemipannami w odwiedzinypo różnych domach i bawiła się wesoło. Całą tę stronę, od Królewca i Memla aż po Troki znała wojewodzina wieś za wsią, dwór za dworem. Nawet wojna szwedzka nie zmieniła w niczém dawnego trybu życia wojewodziny; w czasie nieprzyjacielskiej pożogi tak swobodnie przejeżdżała się z miejsca na miejsce, jak i w czasie pokoju, z tą może różnicą, że unikając zgiełku braci, lubiła bawić za granicą w roku po kilka miesięcy. Na ten cel sobie wybrała Tylżę, która podówczas niezmiernie wiele miała polskiego żywiołu, jeżeli nie w towarzystwie miejscowém, to w napływowém. Tylża, blisko granic Litwy, zawsze widziała w murach swoich dużo gości z rzeczypospolitej, bo leżała na trasce handlowym; ale w owych czasach stała się prawie osadą polską. Co bogatsza z okolic szlachta wszystka się tutaj zbierała, unikając tak samo wojny jak wojewodzina, a do tego nieraz i droga leżała niejednemu przez Prusy z Warszawy do Litwy, zwłaszcza jeżeli trzeba było unikać Szwedów, albo jeżeli po-

prostu umknęło się przed niemi do Prus po bitwie, lub bez bitwy: porażony tonął wtedy w Prusiech, i dopiero po chwili głowę w Litwie wynurzał. Tak nieraz i hetmani i nie hetmani, różnego rodzaju regimentarze przez Prusy odbywali tam i nazad wędrówki, a zawsze zawadzali o Tylżę. Kasztelanki trockie więc wesołe prowadziły życie, ale jednostajne; lata upływały tymczasem i skwasiły się biedne panny. Dlatego potem, kiedy się zdarzyło, szły za mąż byle iść, nie tak jakby się chciało. Zły humor był więc dawniej, a teraz nibyto cokolwiek lepszy; ale to polepszenie małe, nie nadługo: kwasy zostawały z lat niepożytecznie strawionej młodości. I tak jeszcze nie wszystkie kasztelanki wyszły za mąż, a jedna później bardzo nawet starą panną umarła. Jedna z siostr, Konstancya, oddała swoją rękę p. Kaźmirzowi Pakoszowi, który się pisał z Ullaszewic, starościem rzeczyckiemu i pułkownikowi J. K. Mości. Najprędzej te związki starosty były powodem, że po wielu latach spędzonych na posłudze publicznej, dochrapał się przecie do małego dygnitarstwa na Litwie, do chorągwa nadwornego. Otóż z wdową po tym Pakoszu, a matką trojga córek i jednego syna, ożenił się powtórnie nasz Solłohub. Inni powiadają że Konstancya chowała się tylko razem z kasztelankami trockiem, i że nie była ich siostrą rodzoną, ale stryjeczną, że ojcem jej był wojewoda witebski Kryszpin, a matką Rachelą Brzostowska, owa dziedziczka Rawdań, mieszkająca w Tylży; mówią że była jedynaczką u rodziców¹⁾: wszystko to zresztą dla nas jedno, ale to nieobojętne, że poszła za mąż pani Konstancya raz za Pakosza, drugi raz za Solłohuba, i że była nadzwyczaj dziwnego humoru.

Przez to małżeństwo zbliżył się Solłohub do swoich stron rodzinnych, do Żmudzi, w posagu albowiem za żoną, oprócz innych dóbr, wziął i Rawdanie. Jak dla pierwszej małżonki zasiadł na piaskach mazowieckich, tak dla drugiej, chociaż już może nie bogdanki, powrócił na Żmudź.

Osiadłszy znowu na Litwie, został Solłohub marszałkiem trybunału wileńskiego (1729 — 30). Ta godność nadawała mu prawo do wyższych zaszczytów, a że miał już pieniądze i mógł zapłacić za urząd, dał trzysta tysięcy swojemu protektorowi Poniatowskiemu, który się wówczas przenosił do

korony na województwo mazowieckie, i otrzymał po nim wysoką dostojność ministeryalną, to jest podskarbstwo wielkie litewskie. Przysiągł na ten urząd przed królem dnia 17 grudnia 1731 r.¹⁾

Pilnie dosiadywał Solłohub trybunałów i skarbowych urzędów podskarbińskich, po kolei to w Mińsku, to w Wilnie, to w Grodnie. Często dawał głosy, wyrokował i przejeżdżał się często po Litwie i po Żmudzi. Pod samém Grodnem miał wieś swoją Sidereę, w której często przesiadywał. Z żoną było długo jako tako. Poniosła ona wtedy nienagrodzoną stratę, umarł jej albowiem na zamku rawdańskim syn jedyny z pierwszego małżeństwa, Antoni po imieniu²⁾. Było to przed samém bezkrólewem.

Podskarbi siedział w Grodnie podczas zimy, gdzie i żona do niego, nieco już uspokojona, przyjechała. Był tam zjazd wielki panów litewskich, na czele których znajdował się książę kanclerz i regimentarz Wiśniowiecki. Zdawało się że Solłohub nakłaniał się cokolwiek ku księciu, którego potem upór głównie obalił nadzieje Leszczyńskiego. Jednakże jak w Grodnie tak i w Warszawie nienależał do żadnych intryg, usunął się na wieś przed regimentarzem, a potem, kiedy się z nim zobaczył w stolicy nakonwokacyi, za wiele wypadków już ich rozdzielało. Solłohub przysiągł że obierze Piasta, potem na elekcyi za Leszczyńskim głosował i udał się za królem do Gdańska. Odstąpił Stanisława wtenczas, kiedy już go samo szczęście opuściło. Dał tedy dowód stałości i zacności charakteru.

Łowiectwo litewskie pogodziło się z podkomorstwem gostyńskim, ale podkomorstwo nie pogodziło się już z podskarbstwem. Od czasu więc jak Solłohub został ministrem litewskim, wakował jego urząd ziemski przez lat kilka. I dopiero teraz, kiedy się uspokoiło w kraju, szlachta na podkomorstwo prowadziła Tomasza Szczawińskiego, który był dotąd starostą gabińskim, a zięciem Solłohuba. Teraz już szlachcie pochlebiali stosunki z możnym panem. Szczawiński miał jego córkę Annę za sobą; może go i dlatego obierali, lubo i to prawda, że zacna rodzina Szczawińskich, od bardzo dawnych lat zasłużona w Łeczyckim, do szacunku u spółziemian wszelkie miała prawo. Objąwszy podkomorstwo, już go do śmierci Szcza-

¹⁾ Ksiądz Karpowicz w kazaniach swoich VIII, 45 tak jej rodowód podaje. Takich zeznań genealogicznych moc znajduje się u Karpowicza.

¹⁾ Kuryer Polski.

²⁾ Ciało pochowane u bernardynów kowieńskich, w sierpniu 1732, Kur. Pol. 140.

wiński nie puszczał. Rzadko kto tak długo jak on siedział na jakimś urzędzie, bo blisko pół wieku. Ale król zawsze w przywileju wyrażał, że urząd Szczawiński bierze po Solłohubie podskarbinem litewskim¹⁾.

Teraz na dobre rozpoczęły się kwasy z żoną. Złe panu z nią było. Dokuczała mu w różny sposób swojemi przywidzeniami i fantazyami. Cierpiał długo podskarbi, ale wreszcie miarki się przebrało, a że to u nas niewiele w bezrządzie kraju było skrupułu z sakramentem, Solłohub zaraz począł chodzić o rozwód w konsystorzu. Dogryzała mężowi podskarbiną, ale jednak do takiej ostateczności dojść nie chciała. Cóż przecie mogła zrobić przeciwko temu? Najprzód дума kazala i to upokorzenie ze strony męża znosić. Rozwód dano im na zasadzie że nie było właściwego proboszcza przy ślubie. Kiedy już wszystko się skończyło i wyrok podpisany leżał, wdał się pomiędzy zwaśnione małżeństwo sam ksiądz Zienkowiec biskup wileński, i dopóty z ręcznie około sprawy chodził, że zgodę świętą pomiędzy nimi przywrócił, i dlatego też sam nawet dawał im ślub powtórny. Zdawało się że po takiej próbie, kiedy się obiedwie strony doskonale poznały czego im nawzajem potrzeba, powinien był powrócić pokój do zamku rawdańskiego, ale gdzie tam. Podskarbiną znowu swoje, fantazyja za fantazyją, a mąż się niecierpliwi i zżyma. Niedługo obiedwie strony znowu z zaciętością przemówiły do siebie o drugim rozwodzie. Pani zmiarkowała się i cofnęła po chwili, ale podskarbi postanowił wygrać bitwę, chociażby ostatniego żołnierza stracić. Konsystorz wileński za skarbem pociągnął i drugi raz unieważnił małżeństwo Solłohuba, który domyślając się że żona nieda mu nigdy spokoju i teraz więcej jeszcze dokuczać będzie, że rozdrażniona, myślał krokiem energicznym uwolnić się raz na zawsze od jej napaści, i dlatego postanowił się trzeci raz ożenić. Wistocie pani Solłohubowa, jakby wyczekiwała tego, z początku umilkła z apellacją od wyroku konsystorza wileńskiego, ale teraz wystąpiła z nią, i rzuciła zapozew na dawnego męża. Poszła sprawa aż do Rzymu. Zdarzyło się że wtedy jedna z jej córek pierwszego małżeństwa, bo z Solłohubem żadnych dzieci nie miała, pobożna wielce osoba, poczuła w sobie skłonność do zakonu i chciała zostać sakramentką. Zjechała więc do Warszawy, sama podobno, i przy-

jechała oblóczyny, do których jej za matkę służyła pani Siedlnicka, podskarbiną nadworna koronna, w towarzystwie męża swojego i najstarszego z wojewodzieców mazowieckich, Kaźmirza Poniatońskiego (1 marca 1738 r.) W rok później, kiedy już profesją miała wykonać, przyjechała matka do Warszawy, a obrządek odbył się bardzo uroczyście. Celebrował sam biskup kamieniecki, a same królowy wkładały na profeskę zasłonę zakonną i ubierały ją w habit (11 marca 1739 r.) Nazajutrz młoda sakramentka miała posłuchanie u królowej, na którym jej dziękowała za wszystkie dobro¹⁾. Bogiem a prawdą powiedziawszy, nie było w tym nic tak bardzo nadzwyczajnego: królowa lubiła się modlić, królowy lubiły bywać na takich obrzędach i usługiwać nowicyuszkom; ale pani podskarbinie podobało się to niezmiernie i umiała z ręcznie korzystać z okoliczności że się zbliżyła do królowej, bo mężowi lepiej teraz w jego zamysłach przeszkadzać mogła.

Trzeciego zaś ożenienia się Solłohuba była taka historia. Kaźmirz Ogiński wojewoda wileński umierając (w październiku 1733 r.) zostawił wielki majątek, cztery córki, syna i żonę, z którą ułożył się na przeżycie i która naturalnie, przeżywszy męża, zagarnęła wszystkie jego dobra. Pani wojewodzina, Wojnianka z domu, była to kobieta również wyniosła, dziwaczna, jak już znajoma nam wdowa po Pakoszu. Córkom chybaby z samego nieba sprowadziła mężów, tak dla niej wszystko co się trafiało było za małe, tak ująć sobie ludzi nie potrafiła. Skończyło się natém że jedną tylko najstarszą, Marcybellę, wydała za mąż jeszcze za życia ojca za pana Ignacego Zawiszę, syna owego krewnego przyjaciela Kryszpinów, Krzysztofa (1726); inne zaś wojewodzina wędziła tak długo, że pozostały staremi pannami, gdy kawalerowie od nich uciekli. Nie pomogło i to nic, że w wielkiej przyjaźni była z temi wojewodziankami owdowiała Anna księżna kurlandzka, przed którą potém tak wielka otwarła się przyszłość w Rossyi. Zostawszy cesarzową, Anna zaprosiła natychmiast do siebie na *stolicę* (tak dawni Polacy nazywali miasto Moskwę) w której koronować się miała, jedną z wojewodzianek wileńskich, do której najwięcej czuła przywiązania. Kazala ją po drodze spotykać z największemi jakie tylko być mogą honorami, większemi jak dla posła zagranicznego, większemi jak nawet dla

¹⁾ Mianowany Szczawiński 12 marca 1736 r. Sygill. ks. 25.

¹⁾ Kurjer Polski 1738 Nr. 60, a z r. 1739 Nr. 113—114.

członka rodziny jakiej panującej, który zwyczajną podróż odbywa. Po drodze przyjmowały ją wszędzie władze, towarzyszyły jej liczne orszaki dworzan i wojskowych. Anna przechwalała się swojemi stosunkami ze szlachtą polską; przez Sołtyków krewną była Potockim, a gościł wtedy w jej domu posłem od rzeczypospolitej jeden z tych blizkich nawet krewnych, Potocki wojewoda bełzki. Kilka miesięcy spędziła na stolicy nasza wojewodzianka (1730), a matkę naturalnie musiało to wszystko jeszcze wprowadzać w dumę. Tymczasem po ojcu i syn, Józef wojewoda trocki, opuścił matkę (w r. 1737), a nieletni syn jego Michał, późniejszy hetman litewski za Stanisława Augusta i zięć Czartoryskich, chował się przy dziadku swoim po kądzieli, księciu Michale Wiśniowieckim na Wołyniu. Pani Ogińskiej została zatem wszelka wolność robić co chcieć z dobrami, a to tém bardziej, że stary poważny dziadek jedyne go męzkiego dziedzica tej linii Ogińskich, znając uparty charakter wojewodziny wileńskiej, że chce być panią u siebie i że ma niby jakieś do tego prawa, ani słówkiem nigdy się nie przypominał o dobra wnuka, wiedząc że po nim, jako bezdzietnym, miliony odziedziczy, a pojmując że i majątek ojcowski go w swoim czasie nie minie. Pani wojewodzina jednak, do śmierci rządząc się jedynie fantazją, całą swoją miłość zlała na jedną z trzech pozostałych w domu córek, Teresę, bodaj na tę samą, która do Moskwy jeździła, i takim samym prawem jakim miała dobra Ogińskich od męża, przelała je teraz na pannę Teresę, po długim swoim i najdłuższym życiu. Umarła wreszcie, i wtedy to dopiero odetchnęły biedne niewolnice macierzyńskiego przywiązania. Przyjechał zaraz do siórot brat stryjeczny ich ojca, Marcin Ogiński, wojewoda witebski, i rozpoczął swaty dla dwóch swoich synów: Helenę ożenił z Ignacym, który był później marszałkiem wielkim litewskim (w Świsłoczy w początkach stycznia 1739); Maryannę ze Stanisławem, który umarł kasztelanem witebskim. Naturalnie Marcin uderzył w słabą stronę i popierał wydzielone ofiary matki, było albowiem spisek przeciwko spokojności panny Teresy. Nabywszy teraz prawa do opieki nad majątkiem swoich synowych, wojewoda witebski zajechał wszystkie dobra pannie Teresie, której teraz było tak źle jak nigdy, bo nic swego własnego nie miała i została nagle na łasce mocniejszego; wreszcie roztyła się tak ogromnie, że już nikogo do siebie zwa-

bić nie mogła: sama jedna z sióstr została panną. Otóż zaradzić temu postanowił Massalski wojewoda mściłowski, nietyle jako przyjaciel Teresy, ale jako człowiek który doskonale umiał chodzić około spraw swoich. Miał z resztą Massalski jakieś względy dla tej rodziny, bo i sam miał za żonę Ogińską. Podsiadł zaraz naszego Sołłohuba, żeby się żenił z Teresą, i to natychmiast, bo trzeba korzystać z czasu; rozwód jest, ale mimo to sprawę można przegrać w Rzymie, lubo i tam była nadzieja. Wypadało zatem uwinąć się conajprędzej, żeby wykonaniu wyroku, jeżeliby padł niepomysłny, nową przeszkodę podstawić. Sołłohub posłuchał się doświadczonego a przebiegłego rajcy; nieczekając dalszych zapozwów i wyroków, postarał się o indult u swego dobrego przyjaciela, biskupa wileńskiego, i prywatnie zaślubił sobie pannę Teresę w Nowym Dworze w Grodzieńskim (w lipcu 1739 r.) Towarzyszyli mu przy sakramencie tylko sam wojewoda mściłowski i Michał Sapięha, młody starosta gulbiński. Druga żona wniebogłose protestowała, ale nikt jej z osób interesowanych nie słuchał.

Odetchnął, ale nie nadługo, Sołłohub. Żona jego, osoba niegdyś bardzo piękna, zachowała jeszcze w twarzy swojej ślady tych wdzięków, które już bezpowrotnie znikły. Ale nieszkodziło to nic w jej związku małżeńskim, bo i pan podskarbi był już niepiętszej młodości i pewno nie szukał tyle wdzięków ciała, co większych jeszcze bogactw i świetniejszych stosunków. Znalazł w żonie i jedno i drugie, ale przy tém wszystkiém znalazł i trzecie, czego się może najmniej spodziewał: dobre serce i szczere przywiązanie. Trudno sobie wystawić jak była szczęśliwą pani Teresa, kiedy się ujrziała w domu własnym, swobodną, spokojną i pod opieką męża, kiedy się pozbyła rządu i kłopotów męzkich, starań i zabiegów, do których nie szło jej serce. Gdyby nie poszła za męża, otwarłoby się teraz dopiero przed nią całe morze nieszczęść domowych i sporów familijnych, do których wstępem było owo zajechanie dóbr przez Marcina Ogińskiego. Teraz już mąż nad nią i nad jej dobrem czuwał; była mu téż za wszystko niezmiernie wdzięczną i uniozoną, słuchała jego woli, stosowała się do jego życzeń. Ale to szczęście nie dłuugo wcale trwało.

Wdowa po Pakoszu, korzystając z chwilowego swego położenia, w jakim ją postawiły stosunki z królową związane w kościele u sakramentki

udała się zaraz w opiekę Maryi Józefy i w niebogłosy krzyczała na męża, że świętokradca, że ją skrzywdził i t. d. Musiała naturalnie dobiierać słów malowniczych. Królowa zaś była to osoba niezmiernie, ale to niezmiernie, pobożna, przestrzegająca wszelkich ustaw kościoła, nie lubiąca zgorszeń; dwór jej i wszystko co królowę otaczało, musiało być wzorem przyzwoitości. Łatwo pojąć jakie wrażenie na nią wywarły opowiadania drugiej pani Sołłohubowej, tém bardziej że w istocie podskarbi litewski uchybił tutaj powinnościom jakie miał względem kościoła i wiary; bądź co bądź, sprawa jego zawsze była jeszcze nierozstrzygnięta. Wiedział to dobrze sam Sołłohub, lecz cóż miał robić, kiedy Massalski spieszyć mu się kazał ze ślubem? Ale ściągając burzę tylko na swoją głowę, na cudzą ściągnął Sołłohub pioruny: jemu osobiście zakazano, aż do ukończenia sprawy, mieszkać z Ogińską, ale biskupowi Zienkowiczowi przysłano zawieszenie od obowiązków duchownych, czyli, jak mówią w urzędowym języku, został biskup *in suspensione a divinis*, za to że dał indult podskarbiemu do trzeciego ślubu. Niezmierny był żal staruszka, który już blisko siedmdziesiąt lat liczył sobie życia, a nigdy nie był jeszcze w podobnych opalach; żal było że na grobowcu prawie stojąc stawał się winnym takiej surowej kary kościoła. Ale przetrwali burzę Sołłohub i biskup, rozwód w Rzymie zapadł, kary cofnięto. Nim jednakże przyszło do tego, zaczął podskarbi pozywać obu szwagrów swoich o ekspulsyę z dóbr żony; wszyscy oni albowiem razem mieli równe prawo do posagów, i dwóch w żaden sposób nie mogło krzywdzić trzeciego. Sprawa była jasna, więc łatwo Sołłohub otrzymał na Ogińskich kondemnatę; niezwołując dobra żony wszystkie pozajeżdżał, a pomiędzy niemi i Bulków, opierając się na układzie familijnym, że miała do niego prawo. Wojna pomiędzy familią coraz się więcej rozszerzała, a okoliczności dziwnie ku temu przyczyniały się. Stary książę hetman Wiśniowiecki umarł, a więc i opieka nad małoletnim Michałem Ogińskim była do wzięcia (1744). Myślał że tym środkiem dopomocze co synowi do wygranęj stary wojewoda witebski, a że był w istocie najbliższym krewnym małoletniego, przejął po Wiśniowieckich opiekę i gotował nowy zajazd na dobra pani Sołłohubowej. Tylko trudno już było poradzić co wtedy podskarbiemu, który z chudego pacholka wyrosł na tak po-

tężnego pana w Litwie, że był jako cedr Libanu niepożyty i dumnie podnosił głowę ponad szalejące wichry. Sołłohub miał stanowisko polityczne w rzeczypospolitej, był jedną z kolumn przyszłego porządku rzeczy, który stawiał sławny książę kanclerz, wolno ale dosyć oględnie. Przez Poniatowskiego Sołłohub wcisnął się powoli do wszystkich tajemnic stanu familii, która go dlatego całym wpływem swoim podtrzymywać musiała. Tak było i tą razą: żeby wojewodzie witebskiemu odjąć ostatnią nadzieję szczęśliwszych losów, książę Fryderyk potrafił tak się postawić, że opiekę nad małoletnim Michałem, usuwając wszystkich Ogińskich, oddał mu król, poczem zaraz nowy opiekun rozpoczął z tego tytułu sprawę z wojewodą witebskim, pragnąc go nauczyć rozumu i tej prawdy, że stosować się trzeba do okoliczności. Pojął wojewoda ostrzeżenie, a widząc że niewydola stawić burzy pogodnego oka, cofnął się i oddał małoletniego, który już wtedy miał lat do osmnastu, straszemu księciu Fryderykowi. I stało się że dopóki żył, utrzymał aż do swojej śmierci Sołłohub całość majątków żoninych tak, jak pani Teresie przekazała je matka, a nikt go o to pozywać nie śmiał. Dopiero nad grobem Sołłohuba zawrzała walka.

Nudzić sobie wreszcie zaczął podskarbi klucze ministryalne. Pracował dużo całe życie, pragnął teraz odpocząć. Ale jak widzimy pracował głównie dla siebie i wyniósł też wysoko dom swój w rzeczypospolitej. Zarządu jego skarbem litewskim jedna tylko mała pamiątka została w Litwie. Sołłohub wystawił tam albowiem na rzecę Wilii most nazwany zielonym, od pierwotnego wymalowania w jakie go przystrojono. Przedtem przewóz był tylko na Wilii a most upadł, podskarbi temu zaradzić postanowił przez zbudowanie mostu. W tym celu wszedł w układy z proboszczem św. Trójcy, któremu prawo wszelkie dochody z mostu brać pozwalało na utrzymanie szpitala. Podskarbi obiecał wystawić most z własnych funduszków, ale z warunkiem żeby wybierał dochody, aż póki zupełnie nakładu niewyberze: pragnąc jednak żeby szpital na tém nie szkodował, obiecał co rok płacić na jego utrzymanie z wpływów po 560 złp. i gr. 22. Było to bardzo nędznie, bo jak z tej szczupłej kwoty utrzymać ubogich i proboszcza szpitalnego? Ale stało się, podskarbi most budował, a tak jakoś nieszło mu sporo, tak długo nakładu

swego dobrać się niemógł, że jeszcze w roku 1779 most wileński trzymał na swój rachunek ¹⁾).

Miał jeszcze Solłohub chorągiew petyhorską, którą wziął po śmierci marszałka nadwornego litewskiego, Scypiona. Od kasztelanowej wileńskiej, księżny Czartoryskiej wdowy, kupił też na pograniczu braclawskim bogate starostwo jezierzyckie.

Sejmowych jego czynności nieznamy. Raz przyjechał na sejm do Grodna (12 października 1744), ale za późno i już niewotował z senatorami. Kiedy znudził sobie, jak powiadamy, podskarbstwo, złożył klucze, które wziął po nim Niemiec Jerzy Fleming, naturalnie za porządną opłatą, a sam się przesiadł na województwo brzesko-litewskie po śmierci Chodkiewicza. W grudniu 1746 roku przysiągł na to województwo przed królem ²⁾. W roku zaraz następnym przyjął raz jeszcze łaskę trybunalską na Litwie (1747—8), ale tutaj już koniec ziemskiego zawodu Solłohuba.

Kiedy umierał, już syn jego starszy, Józef, był kasztelanem żmudzkiem, młodszy, Antoni, jenerałem artylerji litewskiej. Obadwaj byli już żonaci: starszy z Ogińską starościanką dorsuniską, młodszy z księżniczką Radziwiłłówną. Obadwaj tak już żyli w pańskim świecie rzeczypospolitój, jakby we swoim własnym.

I tak ten pierwszy hrabia, Jan Michał z Ursynów Dowojno Solłohub, pan na Ilii, Iwieńcu, Turowie i Horyhorkach, był człowiekiem zawsze niepospolitych zdolności, kiedy tak świetnie pokierować się umiał. Umarł 5 maja 1748, podobno w podróży, o mil dwie od swoich dóbr Horyhorek. Synowie sprawili mu egzekwie w kościele u bernardynów w Dąbrowie (28 sierpnia t. r.), gdzie spoczywało ciało jego aż do jesieni, mając być eksportowane do Mińska; tego sobie albowiem stary Solłohub życzył ¹⁾.

Julian Bartoszewicz.

KORSARZE MALAJSCY.

(OPOWIADANIE MARYNARZA FRANCUZKIEGO).

Miasto Singapore jest ogniskiem obszernego handlu bronią. Wejdźmy do jednego z tych ogromnych bazarów, gdzie kupcy Angielscy gromadzą najrozmaitsze plody przemysłu europejskiego, a z podziwem ujrzymy obok sukna i perkalików, wystawione na sprzedaż lance, karabiny, armaty, proch, kule, lawety, słowem prawdziwy arsenał, w którym każdy może się uzbroić za *cenę stałą*. Handel ten, poddawany zwykle, i nie bez słuszności, przez państwa europejskie bardzo ścisłej kontroli, zupełnie jest swobodny w wolnym porcie Singapory. Rząd angielski o tyle się tylko nim zajmuje, że zaciąga w registra komory ilość wychodzącej i wchodzącej broni i amunicji. Spytacie kto tę wszystką broń zakupuje, a odpowiedzą wam że główny jój odbył jest na wyspach malajskich i na pokładzie tysięcy łodzi zwanych *pros'*ami, zawijających do przystani Singapory. Dlatego też w opisach wypraw przedsiębranych przez

okręty królewsko-brytyjskie przeciwko rozbójnikom morskim czytamy, że karabiny i armaty zdobyte na nieprzyjacielu mają stemple angielskie. Byłaby Singapora arsenałem zaopatrywającym rozbójników? Tak jest rzeczywiście. Wprawdzie i niektórzy Europejscy dowódcy okrętowi, przed wpłynięciem na niezdrowe wody archipelagu, uważają za właściwe uzupełnić tu swe środki obrony; częstokroć także władcy Siamu, Kochinchiny i Borneo zakupują ogromne transporty karabinów, aby sobie sprawić niewinną uciechę, uzbrajając swe wojska na sposób europejski; ale to niezawodna, że rozbójnicy morscy są na bazarach singaporskich najlepszymi kupcami, i że handlarze Angielscy, zbyt delikatni aby wchodzić w zamiary kupujących, bez wyrzutów sumienia zatrzymują tak bogatą klientelę. Co się zaś tyczy rządu, wiadomo że zasadą jego jest nie mieszać się w czynności osób prywatnych; zamyka więc na to oczy. A jednak Wielka Brytania bez litości prześladowuje roz-

¹⁾ Dzieje dobroczynności t. 2, 170. Ugoda podskarbiego z proboszczem św. Trójcy 28 maja 1739 r.

²⁾ Kuryer Polski Nr. 522.

¹⁾ Kuryer Polski Nr. 600, 601 i 603.

bójników morskich, atakuje ich na morzu i lądzie, w cieśninach archipelagu, a nawet na brzegach samego Borneo od czasu do czasu jój waleczni oficerowie morscy wyruszają, dla odebrania od nich broni pochodzącej z bazarów Singapory.

Byłoby wprawdzie nierównie łatwiej odmówić pokoleniom malajskim zapasów wojennych, które bez żadnej trudności zakupują w arsenale angielskim, i rozciągnąć nad tą częścią handlu czynny nadzór; ale przez to handel doznałby straty, a co by na to powiedzieli stronnicy *free trade*? Jakiemże prawem pozbawiać warstwy birminghamskie tytułu obstalunków, a Malajczyków żądanych przez nich towarów? Każdy więc pilnuje swego interesu; bo jeśli rozbójnicy morscy istnieją, to na to są okręty Jój Królewskiej Mości.

Trzeba tu nadmienić, że w Anglii i w Indyach znajduje się pewna liczba niewierzących w istnienie rozbójników. P. Hume w parlamencie najmniej raz na rok oskarża radzę Brooke'a o to, że ten wymyśla sobie rozbójników morskich z Borneo, dla usprawiedliwienia się z zajęcia okręgu Sarawak i staczania bitew z sąsiednimi pokoleniami; nawet w Singaporze kupcy każdej chwili gotowi są zaręczyć za uczciwość swych malajskich klientów, płacących za wszystko gotówką. Cokolwiek bądź jednak, to jest rzeczą niezawodną, że tak dawniej jak i teraz morze i cieśniny malajskie bywają niepokojone przez rozbójników, nad którymi nieustanną rozciągać trzeba baczość i karać ich nadużycia.

Nie jest że to zadziwiającym, ażeby w połowie 19 wieku, w którym cywilizacja ma tyle do rozrządzenia środków, i dzięki parze, z taką łatwością włada wszystkimi częściami kuli ziemskiej, na krańcu Azji istniały jeszcze gromady łotrów zuchwale panujących nad morzem? Zdaje się że te ślady barbarzyństwa dawno powinny były zniknąć przed flagą europejską, która bezustannie krąży po wszystkich drogach archipelagu azjatyckiego. Już Anglia, Hollandya, Hiszpania, a nawet Francya pokilkakroć dawały Malajczykom surową naukę. A jednak rozbój opiera się; za ledwie wygnany z jednego miejsca, ukazuje się na drugim, mnoży się, dzięki nadzwyczajnej zwinności swoich eskadr, blokuje cieśniny, przenika w głąb zatok, w górę rzek się posuwa; ma swoje statki oddzielne, ma miejsca schadzek i zaopatrywania się w żywność, ma wreszcie targi, ku sprzedaży łupów. Malajczycy, co się tak łatwo przyzwyczajają do rzemiosła

rozbójników i którzy od dzieciństwa nabierają ochoty do tego życia pełnego przygód, niełatwo sobie dadzą wytłómaczyć że powinni wyżej cenić spokojną uprawę ryżu. Umrą jak żyli, a wojna wydana im obecnie przez cywilizacją skończy się chyba zniszczeniem. Przypomnijmy sobie ile to eskadr wysyłano na brzegi Afryki dla ukarania korsarzów barbarzyjskich; a za ledwie trzydzieści lat upływa jak morze Śródziemne jest wolne. W r. 1816 lord Exmouth znalazł w Algierze więcej jak tysiąc chrześcijan w niewoli, a rozboje morskie ustały zupełnie dopiero od r. 1830. Malajczykowie prawdopodobnie będą niemniej uparci i nie złożą broni, dopóki flaga europejska, pływająca wzdłuż całego ich wybrzeża, nie wypędzi ich z tamtąd ostatecznie.

Okręty europejskie rzadko doznają napadu od korsarzów; jednakże muszą się mieć na baczości, bo Malajczycy są nader biegli w wdzięczeniu się na okręty nieprzyjacielskie, i dostawszy się raz na pokład, wkrótce zostają panami statku. Co się zaś tyczy okrętów osiadłych lub rozbitych na wybrzeżu, to łatwa dla nich zdobycz, i rabunek odbywa się z zadziwiającą zręcznością. Szczęściem że smutne te wypadki są nieczęste, i głównie tylko łodzie malajskie i dżonki chińskie obudzają chciwość korsarzów.

Gdy żegluga mało jest ożywiona, wylądowują oni i udają się w głąb kraju, dla napaści na pokolenia oddające się rolnictwu, pustoszą plantacje, rabują chaty, uprowadzają ludność w niewolę, a potem, wsiadłszy na pros'y, płyną do innej wyspy i tam sprzedają zdobycz na korzyść całej bandy. Łatwo pojąć że podobne wypadki są przeszkodą do regularnego rozwijania się handlu zamiennego, a tém samym cierpi na tém i handel europejski. Niezależnie więc od interesu cywilizacji i moralności, interes handlu skłonił rozmaite rządy do utworzenia w tych okolicach zakładów opiekuńczych.

Wypadek który nadał Francji zupełnie nieprzewidzianą rolę w historii malajskich rozbojów morskich, łączy się z działaniem eskadry wysłanej na morza chińskie dla poparcia ambasady P. Lagrené (1843—46). Pragnąc zapewnić schronienie dla okrętów w przypadku wojny i ufundować zakład odpowiedni założonemu już poprzednio na wyspach Markizach, rząd lipcowy powziął myśl nabycia wyspy Bassilan, należącej do gromady wysp Sulu i leżącej naprzeciw kolonii hiszpańskiej w Samboa-

gan na wyspie Mindanao. Korweta *Sabina* została wysłaną do Bassilanu, w celu poznania wybrzeża i dokonania prac hydrograficznych. Malajczycy nie zdawali się niepokoić obecnością okrętu wojennego, którego flaga była im prawie nieznaną; kilka pirog zbliżyło się do korwety, i zawarto z niemi dosyć przyjazne stosunki. Wreszcie, dla uniknienia wszelkiej sposobności do kłótni, dowódzca zabronił stosunków z wyspą, i łódki zostały wyłącznie poświęcone dokonaniu robót inżynierskich. Jednakże jeden z oficerów, p. Maynard, otrzymał pozwolenie rozpoznania ujścia małej rzeki, wpadającej niedaleko miejsca gdzie okręt zarzucił kotwicę. Wsiadł więc do *you-you* (tak się nazywa najłżejsza łódka), zabrał z sobą sternika, dwóch chłopców okrętowych i młodego Holendra, który służył za tłumacza, i otrzymawszy szczególne zalecenie by nie zapuszczać się w górę rzeki i nie tracić z widoku korwety, odpłynął. Nieszczęściem, pociągnięty ciekawością, która w tym razie była aż nadto naturalną, i chęcią osiągnięcia jakiej korzyści zeswój wycieczki, p. de Maynard puścił się rzeką trochę za daleko, a gromada Malajczyków okazujących najprzychylniejsze usposobienie skłoniła go do dalszej jeszcze drogi. Naczelnik bandy żądał aby go z dwoma ludźmi wzięto na łódkę: pozwolono mu wsiąść bez żadnej nieufności. Zajął więc miejsce obok oficera, prosząc go aby popłynął aż do wioski, gdzie, jak zapewniał, Francuzi dobrze zostaną przyjęci. Palasz p. de Maynard i fuzya myśliwska znajdujące się w łódce obudziły podziw a następnie chciwość Malajczyka, który z początku bardzo pokornie, a później z miną rozkazującą, żądał aby mu strzelbę darowano. P. de Maynard stanowczo odmówił. Położenie stawało się bardzo krytycznym, i tłumacz radził powrócić do korwety; lecz było już zapóźno: rozdrażniony Malajczyk rzucił się na nieszczęsnego oficera i zatopił mu *kris* w serce. Jednocześnie dwaj jego towarzysze zabili sternika. Chłopcy okrętowi i tłumacz rzucili się w wodę i starali się dostać do brzegu, lecz pochwyceni przez innych Malajczyków, którzy na znak dany przez swoich nadbiegli, zostali pod strażą zaprowadzeni do wsi.

Tymczasem żywa niespokojność panowała na pokładzie *Sabiny*; łódka, którą widziano wpływającą na rzekę, nie wracała. Napróżno tłumaczono sobie rozmaicie to opóźnienie; nie można się było obronić smutnym przecuciom. Gdy Malajczycy należący do innego pokolenia przynieśli

wieść o tak zdradzieckim napadzie, cała osada wybuchnęła oburzeniem i boleścią. Najprzód trzeba było uwolnić jeńców. Gubernator Samboanganu użytym został za pośrednika, i za cenę tysiąca piastrow Malajczykowie wydali tłumacza i dwóch chłopców; wtedy można było pomścić ofiary. Korweta *Zwycięzka*, połączywszy się z *Sabiną*, odpłynęła do Sulu, celem zapytania sultana o przyczynę występku popełnionego przez mieszkańców Bassilanu, uważanych jako jego hołdowników. Sultana uchylił się od wszelkiej odpowiedzialności; oświadczył że Bassilańczykowie zawsze okazywali się nieposłusznymi jego władzy, i bez wahania wydał ich słusznemu gniewowi Francuzów. Korwety zarzuciły więc znowu kotwicę na przeciw Bassilanu, a łodzie ich, z trudnością płynąc pod wodę rzeki na której dopełnione było morderstwo, zaatakowały palisadę bardzo silnie zbudowaną, za którą zaczął się nieprzyjaciel. Starcie było nader żywe: łodzie cofnęły się dopiero przy nastąpieniu odpływu, i po zabiciu lub zranieniu jakich dwudziestu Malajczyków. Ze swój strony Francuzi mieli dwóch majtków zabitych i dosyć rannych. Rozprawa jednak nie była jeszcze skończoną: komendant *Sabiny*, p. Guérin, wysłał *Zwycięzką* do Manilli, z raportem o zaszłych wypadkach do dowódcy eskadry, kontr-admirała Cecille.

Tylko co właśnie *Kleopatra* i *Archimedes* przybyły do Manilli. Na pokładzie ich znajdował się p. Lagrené i wielu członków poselstwa do Chin, mającego zwidzieć kolonie holendersko-malajskie. Jak tylko doszły wieści z Bassilanu, admirał i minister francuzki postanowili bez zwłoki udać się na archipelag Sulu, i połączywszy się z *Sabiną*, postanowić co wypadało przedsięwziąć dla honoru flagi. Wypłynęli z Manilli 8 stycznia 1845, i po czwórnodniowej żegludze stanęli naprzeciw Bassilanu, gdzie ich oczekiwała *Sabina*.

Położenie było bardzo zawikłane. P. Guérin sądził że wypadało ogłosić blokadę wyspy, chociaż gubernator Samboanganu powoływał się na prawa korony hiszpańskiej do Bassilanu i na pewnego rodzaju poddanie się głównych naczelników tej wyspy w lutym 1844 roku. Pretensye te gubernatora poparte zostały przez brygadyera Bocalan, komendanta fregaty hiszpańskiej *Esperanza*, która krążyła w okolicach Mindanao: pretensye dziwne, bo wiadomo że nigdy Bassilan nie podlegał Hiszpanii, i zresztą jakże pogodzić prawo władzy z poczynionymi poprzednio krokami przez guber-

natora Samboanganu, w celu uwolnienia za okupem jeńców z *Sabiny*? Reklamacye zatém oficerów hiszpańskich nie były uzasadnione ani na prawie, ani na czynie; dlatego téż gdy jedna *falua* chciała naruszyć blokadę, komendant Guérin bez wahania spotkał ją kulami. Przybyli nareszcie do Basillanu admirał Cecille i p. Langrené; lecz zanimby spór o własność tego zakątka ziemi został rozstrzygnięty w Europie przez wyjaśnienia obustronne właściwych rządów, przykre nieporozumienia które wynikły na gruncie nie mogły żadnym sposobem paraliżować wolności działania eskadry francuskiej, skoro szło o pomszczenie współziomków i wymierzenie przykładowej kary na gromadę lotrów.

Okrety francuskie zarzuciły kotwice bardzo blisko lądu, w zasłoniętej od wiatrów zatoce. Brzeg cały zakryty był jakby zieloną kotarą z drzew, a gałęzie, nachylając się ku morzu, zdawały się spoczywać na wodzie. Nie spostrzegano żadnego śladu mieszkań lub uprawy gruntu: wszystko było puste i dzikie. W głębi zatoki, pomiędzy Bassilanem a wysepką Malamawi, otwierała się łacha mająca trzy mile długości, którą *Archimedes* przebiegł zaraz w pierwszym dniu po przybyciu. Znajdowałem się wówczas na parowcu i doskonale pamiętam prawdziwie cudowny widok jaki się przedstawił naszym oczom. Wystawcie sobie kanał zupełnie prosty, objęty z obu stron dziewiczym lasem, odbijający w czystej i cichej wodzie świeżą zieloność swych brzegów; gromady ptaków różnobarwnych przelatywały z jednego brzegu na drugi. *Archimedes*, silnie popychany przez parę, sam tylko zakłócał tę zachwycającą samotność. Kanał cudowną tworzył przystań, a nasze niecierpliwe wyobraźnie karczowały już lasy, zakładały miasta, budowały fortyfikacye i liczyły w tym wspaniałym porcie tysiące okrętów. Piękne marzenia, które wkrótce miały zniknąć! Dziś jeszcze port Malamawi przeryniają tylko nieliczne pirogi krajowców Bassillanu.

Kraik ten zajęty jest przez wiele pokoleń, których naczelnicy częste z sobą toczą walki. Za zamordowanie p. de Maynard mieliśmy się zemścić na pokoleniu będącym pod wodzą *Jussuka*, weszliśmy więc w układy z naczelnikami innego pokolenia. Stosunki z obu stron były nader przyjazne, i gdyby powzięto zamiar natychmiast osiedlić się na wyspie, Malajczycy z największą ochotą na to by przystali. W każdym razie, zanim przedsięwzięto wyprawę przeciw *Jussukowi*, osądzono za

stosowne porozumieć się z sułtanem. Dnia 4 lutego *Kleopatra*, *Zwycięzka* i *Archimedes* opuściły wybrzeże Bassillanu, a nazajutrz wszystkie te okręty zarzuciły kotwice przed miastem stołecznym archipelagu.

Przybycie trzech okrętów wojennych sprawiło w mieście wielkie wrażenie. Wybrzeża pokryły się tłumami mieszkańców, i mogliśmy spostrzedz oznaki żywego poruszenia. Domy, albo raczej chatki, miasta Sulu dochodzą aż do morza i są zbudowane na palach; na drugim planie widać warownią uzbrojoną kilką działami; w około płaszczyna wznosząca się naksztalt amfiteatru, która zdaje się dość dobrze być uprawną. Obraz więc daleko był weselszy i więcej ożywiony jak brzeg Bassillanu, i mieliśmy przynajmniej nadzieję niezbyt przykrego postoju. Jednakże musieliśmy pozostać ciągle na pokładzie: niebyłoby roztropnym zapuszczać się w pośród ludu, którego poprzednie czyny najmniejszą niemogły natchnąć ufnością. Zresztą mieszkańcy Sulu nie wiedzieli czyśmy przybyli jako przyjaciele, czy jako nieprzyjaciele, i mieli się na baczności. Widzieliśmy na płaszczynie harcujący tłum Malajczyków zbrojnych kris'ami i długimi lancami, jednych konno, drugich na bawołach, zmierzający ku miastu, które bez wątpienia sądzili zagrożonym. Jednocześnie mnóstwo pirog, rozrzuconych wzdłuż wybrzeża, z pośpiechem powracała do portu. Gdy pierwsze wzruszenie minęło, kilka czólen odbiło od wybrzeża i zbliżyło się do eskadry; powoli każdy okręt został otoczony flotyllą pirog napełnionych zapasami, kurami, owocami, jarzynami, które nam przywozili Chińczycy i Malajczycy. Jak tylko kotły napełniły się niem, dostarczycieli żywności zastąpili handlarze broni, muszli, papugi i t. p. przedmiotów. Chińczycy wymagali zapłaty piastrami, lecz Malajczycy brali puste butelki, potłuczone lusterka, noże, chustki, guziki, tak że osada małym kosztem mogła się oddać na miejscu przemysłowi spekulacyjnemu. Przez cały czas naszego pobytu handel ten bardzo był czynny.

W pirogach stojących wzdłuż wybrzeża zauważyliśmy mnóstwo Tagalów, (krajowców z Luçon). Większa ich część pochwyconą została przez korsarzów z Borneo, którzy ich przedali na targu Sulu. Panowie ich zakazali im zbliżać się do osady okrętów. Jednej nocy szyldwach na *Archimedesie* ujrzał nagle ukazującego się na pomoście człowieka, który dostał się wpływ do okrętu i rzucił na

kolana, czyniąc znaki krzyża. Był to Tagal: uciekł z łądu i błagał o schronienie i opiekę. Oznajmił że w Sulu jest wielka liczba niewolników chrześcian. Malajczycy, jak tylko ukazała się nasza eskadra, odesłali wprawdzie większą część niewolników w głąb wyspy; lecz wielu z nich zdołało umknąć, i admirał wydał rozkaz aby ich przyjęto na pokład. Malajczycy, nie śmiejąc żądać wydania swoich niewolników, podwoili strażę, urządzili kordon z pirog które krążyły w około eskadry, zapalili na brzegu ognie i rozciągnęli najczynniejszą baczność. Czasami słyhać było wystrzały z ręcznej broni, zapewne skierowane do nieszczęśliwych którzy do nas uciekali. Mieliśmy przynajmniej pociechę ocalenia kilkunastu Tagalów, których następnie odwieziono do Manilli.

Tymczasem minister francuzki wszedł w układy z sułtanem, a ten za głównego pośrednika obrał sobie pewnego Anglika, nazwiskiem Wyndham, który od dawna już mieszkał w Sulu. Anglicy wszędzie się wkręca. Gdziekolwiek przybijesz, możesz być pewnym spotkania się z synem Albionu, poświęcającym się handlowi i przygotowującym drogi do napływu wyrobów brytyjskich. Nawet w pośród najdzikszych pokoleń czuje on że nad nim, z tytułu poddaństwa angielskiego, rozciąga się opieka; wie że za najmniejszą obrazę znajdzie się okręt wojenny, aby go obronić lub pomścić. Właśnie w téj chwili gdy eskadra francuzka stała pod Sulu, fregata angielska *Samarang* rzuciła obok niej kotwicę, i ów Wyndham naturalnie popieszył z doniesieniem kapitanowi sir Edwardowi Belcher o negocyacyach w sprawie bassilańskiej. Zresztą bardzoby trudno było zapewnić tajemnicę tym negocyacyom, gdyż odwiedziny ambassadora i admirała u sułtana miały miejsce w wielkiej szopie, gdzie zasiadali *datu* (główniejsi naczelnicy wyspy) i w obec ludu który przypuszczono do obrad z bronią w ręku. Rozprawy były nader ozywione. Po każdej mowie lud swobodnie wynurzał swoje zdanie przez oklaski lub obelgi; często na głos popularnego mówcy, który wymownie zbijał propozycye cudzoziemców, błyszczały kris'y i lance. Raz rozprawy o mało nie skończyły się tragicznie. Ławka obciążona kilką ludźmi pęka, i Malajczycy upadają na ziemię. Lud zgromadzony w około miejsca posiedzeń, nie wiedząc przyczyny zamieszania, słyzy je wszakże, wystawia sobie że zawrzała walka i chce się wędzić do szopy. Naprózno *datu*, mający bronić nietylko swéj własnej

godności, ale i charakteru a może nawet życia swych gości, starają się uśmierzyć zajadłość tłumu; niepodobna dać się słyzyć wśród takiej wrzawy, pomieszanej z niepokojącym szczękiem broni. My pozostali na pokładzie nie wiedzieliśmy co myśleć o tém niezwykłym poruszeniu, które się rozszerzyło na całe miasto, i z najżywszą niespokojnością patrzyliśmy na niezwykle pęd ludu od brzegów do pałacu. Zupełna niewiadomość o zaszłym wypadku jeszcze powiększała nasz niepokój i z przestachem wspomnieliśmy zdradziecki napad w Bassilanie. A teraz dwóch naczelników wyprawy było wystawionych na wściekłość całego pokolenia korsarzów. Szczęściem wszystko się uspokoiło; sułtanowi, chociaż nie bez trudności, udało się jednak uspokoić swych poddanych, i rozprawy dalej się pociągnęły.

Żądanie będące przedmiotem narady spotkało wielkie trudności; sądzę jednak że gdyby rząd francuzki był się uparł w chęci nabycia Bassilanu, łatwoby mu było to uskutecznić, za pomocą piastrow, argumentu któremu Malajczycy oprzeć się nie umieją.

Po ukończeniu układów nie nas już nie zatrzymywało w Sulu, i 22 lutego eskadra rozwinęła żagle do Bassilanu. Kleopatra, Zwycięzka, Sabina i Archimedes znowu rzuciły kotwice naprost okręgu należącego do pokolenia Jussuka. Osady okrętowe, którym niezbyt się podobała powolność dyplomacyi, niecierpliwie pragnęły pomścić na téj zgrai łotrów śmierć dwóch swoich towarzyszków. Środki przedsiębrane z rozkazu admirała na każdym z okrętów oznajmiały o blizkiej wyprawie. Nakoniec 27 lutego, ze wschodem słońca, wszystkie łodzie zostały uzbrojone: jedna ich część, pod wodzą kapitana okrętu de Candé, skierowała się ku ujściu rzeki Maloso, gdzie, jak wspomnieliśmy, Malajczycy usadowili się za silną palisadą, a tymczasem reszta łodzi miała wysadzić oddział, którego zamiarem było dostać się w głąb wyspy i zająć nieprzyjacielowi z tyłu. Środki te zdawały się dobrze obmyślonemi: nieszczęściem las był za gęsty, aby oddział który wylądował, obciążony artyleryą polową, mógł sobie przezeń utorować drogę, i cały ciężar walki spadł na oddział, który wpłynął na rzekę. Po przybyciu przed palisadę, łodzie zostały spotkane ogniem kartaczowym i straciły dwóch ludzi. Odpowiedziały z koronad; lecz kule bezskutecznie uderzały w ogromne kłody, za któremi się ukrywali Malajczycy, i zanosilo się

na walkę dość długą, gdy kapitan Candé powziął myśl wysadzić część oddziału na brzeg i obejść fortyfikacją lądem. To poruszenie zupełnie się powiodło. Malajczycy, niespodzianie napadnięci, natychmiast się rozpięchli, pozostawiając w ręku Francuzów armatę i cztery espingole ¹⁾, które następnie zawieszone zostały do Paryża, jako trofea tej małej wyprawy. Nazajutrz osady okrętów powróciły na miejsce walki. Malajczycy wszystko opuścili; wioska ich, leżąca w bliskości palisady, była najzupełniej pusta. Majtkowie, podzieleni na oddziały, zapuścili się w głąb doliny; pod wszystkie domy i spichrze z ryżem podłożono ogień, pościnano drzewa kokosowe i bananowe, wydano wojnę bawołom, kurom i t. p. W kilka godzin wieś Jussuka była zamienioną w garść popiołu, a ludność zupełnie zniszczoną. Bez wątpienia oświecony naród nie powinien się szczycić podobnemi czynami: rozebrawszy z rozwagą dzieło, w którym człowiek niszczy, jakby dla zabawki, ogromne bogactwa ziemi, pomyślawszy nad nędzą jaką po sobie zostawia tak zawzięta *razzia*, potępiłibyśmy zwycięzcę i zaprzeczyli mu słusności. A jednak przyznać trzeba że niema innego środka ukarania tych niepoprawnych łotrów. Podobne postąpienie jest koniecznym, aby powściągnąć te pokolenia rozbójników i korsarzów; oni rozumieją takie tylko argumenta, takię tylko obawiają się zemsty, a cywilizacya musi używać przeciw nim ich własnej broni. Drugiego marca odpłynęliśmy od wybrzeżów Bassilanu, celem dokonania spokojnej misyi na archipelagu malajskim, jaka nam była poruczona.

Podobnych wypadków doświadczały okręty wszystkich narodów mających w tej stronie swe posiadłości, i zawsze ciężko się mściły na winowajcach. Lecz czy te kary tak liczne Malajczyków zatrwożą? Wątpię o tém. Żeglarze angielscy, holenderscy i hiszpańscy długo jeszcze będą musieli

utrzymywać na archipelagu baczną policyą. Od razu nie można wykorzenić tak zastarzałych narowów. Sprobuj nauczyć moralności i poszanowania własności tych, co od wieków żyli z rabunków i rozboju: jedna tylko siła utrzyma ich w klubach. Tylko przez zdobycie, przez nieograniczone panowanie, narody europejskie przetną złe wsamym korzeniu i zatrą ostatnie ślady barbarzyństwa azjatyckiego. Zawarto mnóstwo układów z głównemi naczelnikami pokoleń, którzy pod paszczami armat wyrzekli się rozboju i przyjęli propozycyę pokoju; lecz zaledwie okręty wojenne znikły z horyzontu, już Malajczycy znowu wsiadają na łódki, i dalej na wyprawę. Prędzj lub późnjej, a lepiej będzie gdy prędzj, sprzykrzy się to ciągle polowanie na nieprzyjaciół, których nie można pochwycić, i zamiast wysyłania niedostatecznych i kosztownych wypraw, ostatecznie zajęte zostaną ziemie malajskie. Anglia jest już na tej drodze. Czyż kolonia Sarawak nie jest początkiem zajęcia brytyjskiego na wybrzeżach Borneo, a sir James Brooke, ukryty pod tytułem radzy, nie przedstawia raczj emissaryusza królowej Wiktoryi, niż władzcę malajskiego? Hollendrzy również zajmują się utrwaleniem i rozszerzeniem swego panowania na wyspach sundzkich; posiadają oni w Batawii silną marynarkę parową i waleczne wojsko, które niejednokrotnie już dawało dowody swojej odwagi przeciw mieszkańców Bali. Hiszpanie także atakowali raz Sulu, i gdyby Francya opanowała Bassilan, byłaby także odegrała rolę w walce z korsarzami.

Dziś Zachód niepowstrzymanem poruszeniem ciągniony jest ku Wschodowi. Borneo, Sumatra, Mindanao, wielkie, jeszcze dzikie wyspy, są powołane do przemiany na wspaniałe kolonie. Jeszcze lat kilka, a Europa przeniknie we wszystkie ich części, a rozboje malajskie, pogrążone w falach podnoszącej się coraz wyżj cywilizacyi, znikną na zawsze.

LODY PODBIEGUNOWE.

Zimowa ziemi sukienka, utkana z lodu i śniegu, dla nas dobroczynnym jest zjawiskiem, bo w niej

¹⁾ Krótkie strzelby, z szerokim otworem.

przyroda czasowo tylko spoczywa po letniem wysileniu, aby z wiosną na nowo rozwinąć czarujące swe powaby. Ale w stronach podbiegunowych lód ten i śnieg wyglądają wcale inaczej; tam ony stają

się odwiecznym tworzywem, z którego natura kształtuje zadziwiające ogromem i straszne działaniem formacje lodowe, istne zamki czarodziejskie, zamykające nieraz, jak w bajce, przybysza w kryształowe swe ściany. Przyroda podbiegunowa również jest twórczą i wspaniałą jak przyroda krajów zwrotnikowych, tylko że ta się objawia pełnią życia, tamta obrazem śmierci i zniszczenia.

Na morzach podbiegunowych widziemy lód w kształtach przeróżnych, to polem obszernym zalegający kilkunasto-milowe przestrzenie, to słupem lub arkadą sterczący po nad poziom, to wreszcie płynący bryłą lub odłamem mniej więcej potężnych rozmiarów; a wszystkie te olbrzymy lodowe nieustannie z sobą staczają walkę, potracają o siebie, i w potraceniu tym piętrzą się jedne na drugie albo druzgocą się w kawałki. Zgubiony, ktoby śmiały wkroczyć w tę chaotyczną krainę śmierci! A jednak nieustraszeni żeglarze, bez innych nawet pobudek prócz chęci przysłużenia się nauce, narażają się dobrowolnie na niebezpieczeństwo zgniecenia lub zamknięcia przez lody. Wielkimi pilami przerzynają sobie drogę lub usuwają zawady przez wysadzanie ich prochem, i wydobywszy się tym sposobem na miejsce wolniejsze, płyną dalej i coraz dalej, dopóki silniejsza od ludzkiej woli i ludzkiego przemysłu natura nieprzebytych nie położy im zapór.

Takim to śmiałym, aż do pogardy śmierci posuniętym, przedsięwzięciom zawdzięczamy możność utworzenia sobie ze szkiców pojedynczych ogólnego obrazu stron podbiegunowych, którego bliższe zbadanie wyjaśni nam może tajemnicę powstania olbrzymich owych formacyj północy.

Że w klimacie, którego średnia temperatura roczna wynosi około 10° zimna, ruchomy żywioł oceanu ścina się i krzepnie, to nas zadziwiać nie może, bo wiemy że woda słona marznie już na 2° niżżej zera. Bryły lodowe powstałe z wody morskiej są dziurkowane, nieprzezroczyste, w powietrzu białawe lub szare, w wodzie zwykle ciemne. Tworzenie się lodu następuje, podobnie jak w rzekach, od brzegów, tak iż w obszernych wodozbiorach, nawet wśród najcięższej zimy, zostaje częstokroć miejsce otwarte dla żeglugi. Od lądu zrazu wysuwają się strzałki, które szybko się skupiając, tworzą płatkowate bryły, a te z postępem czasu łącząc się w jedną masę, tworzą nieprzejrzaną okiem i daleko w morze sięgającą płaszczyznę lodową. Działanie słońca w porze letniej albo burze jesienne

odrywają niekiedy od tych płaszczyzn, stale zbrzegiem połączonych, pojedyncze części, które potem pędzone po wodzie najrozmaitszym ulegają przekształceniom.

Niezmierna grubość tych mass lodowych, przenosząca często kilkaset stóp, byłaby trudną do wytłumaczenia, gdybyśmy ją przypisali samemu tylko marznięciu wody morskiej; boć lody, jakkolwiek od dołu przyrastają, od góry zato ciąglemu i szybkiemu ulegają parowaniu. Inny więc czynnik wpływać musi na wzrost ten nadzwyczajny, a tym czynnikiem jest atmosfera, która mgłą, deszczem i śniegiem ogromne tam wznosić może budowy, gdzie praca jej tajemnicza liczy się nie jak u nas na miesiące, ale na wieki.

Na gładkiej powierzchni lodu morskiego osiadają najprzód małe, gwiazdziste kryształki śniegowe, jako podstawanowo utworzyć się mającej warstwy. Po nich, przy zniżającej się coraz temperaturze, następuje zwykle śnieg drobny, pylasty, przymarzający silnie do schropowaciałej już przez kryształki powierzchni lodu. Następnie mgły i deszcze rozpuszczają tę warstwę śniegową, a mróz ją zamienia w przezroczyste bryłki lodowe, na których znów dalsza osiada warstwa, i tym sposobem do nieskończoności powiększałaby się objętość lodu, gdyby go w chwili największego przyrostu nie rozrywał własny ciężar, siła burzy i ruch fali morskich.

Z łoskotem wreszcie od lądu stałego odłącza się nieprzejrzana okiem wyspa pływająca. Własnym już ruchem posuwa się ona teraz po głębiach oceanu, łudząc nieraz pozorem nieruchomości najdoswiadczeńszych żeglarzów, którzy dnia całe okrążają jej brzegi, a nocą wbijają w nią kotwicę, aż wreszcie spostrzegą z zadziwieniem że nie ruszyli się z miejsca; bo wyspa posuwała się ku południowi, podczas gdy okręt płynął ku północy.

Częstokroć te massy lodowe w tysiączne znowu rozpryskują się bryły, skutkiem uderzenia jedna o drugą, albo też z przyczyny nierównego obciążenia swjej powierzchni, w miejscach gdzie więcej nagromadza się śniegu i lodu. Takie bryły niejednostajnej grubości mają w wodzie położenie ukośne; jeden ich koniec zanurza się na jakie 100 stóp głębokości, a drugi do tej samej mniej więcej wysokości wybiega ukośnie nad powierzchnią morza. Gdy bryła taka pędem fali zostanie przypartą do innej, wtedy koniec jej wystający nad wodę podnosi się niekiedy na kilkaset stóp i pochyła nad

bryłą podważającą jęj podstawę, a w końcu kruszy się własnym ciężarem i spada w odłamach różnego kształtu i różnej wielkości na powierzchnię bryły-sąsiady, tworząc tym sposobem cudowne owe formacje kryształowych kolumn, arkad i filarów pływających, których piękność majestatyczną żeglarze podbiegunowi opisują z zachwyceciem, pomimo grożącego im ciągle ze strony tych olbrzymów niebezpieczeństwa.

Lecz zgubniejszemi jeszcze dla żeglarza, z powodu swęj mnogości, są drobne w porównaniu z tamtemi, ale wiecznie ruchome bryły, które niemniej przeto zdruzgotać mogą okręt albo lodowem otoczyć go więzieniem. Zwykle nawet żeglarze, dla obrony od tych natarczywych i żadną przezornością nie dających się uniknąć nieprzyjaciół, udają się pod osłonę wielkiej jakiej bryły, wbijając w nią kotwicę i z jęj pomocą torując sobie drogę w pośród kry. I taka jednak żegluga pełną jest niebezpieczeństw, których powodem staje się niekiedy sama właśnie bryła opiekuńcza. Kapitanowi Mac-Clure, odkrywcy przepływu północno-zachodniego, zdarzyło się na przykład że chroniąca okręt jego bryła rozpekła się uderzeniem o mieliznę, z hukiem podobnym do grzmotu. Szczęśliwym trafem mała tylko cząstka rozprysniętej masy trafiła w nieosłonięty tył okrętu, oderwała go od lodu siłą nieprzepartą i odepchnęła na wodę.

Innym razem ten sam okręt (*Investigator*) w groźniejszym jeszcze znalazł się niebezpieczeństwie, skutkiem silnego kołysania się bryły do której był przyczepiony: ukryta bowiem pod spodem okrętu odnoga lodowa podniosła go do wysokości 6 stóp. Następnie cała bryła, przez parcie podpływających lodów, została wzniesioną pionowo na jakie 30 stóp, przedstawiając w tém położeniu przerażający dla osady widok. Co chwila trzeba było oczekiwać obalenia i zdruzgotania okrętu. Szczęściem że bryła podważająca wkrótce się strzaskała, a bryła chroniąca, po gwałtowném przez parę minut chybotańiu się, powróciła do dawnego położenia.

Nie zawsze jednak ta walka ludzkich usiłowań z potęgą żywiołu kończy się szczęśliwie. Przedsięwzięte w ostatnich latach wyprawy celem odszukania kapitana Franklin i jego towarzyszków, smutne nastęrczają nam tego przykłady. Dwie straszne katastrofy, rozbicie okrętu *Breadalbane* i śmierć porucznika *Bellot* w kanale *Wellingtona* niech nam posłużą do uzupełnienia obrazu grozy podbiegunowej.

Wystawmy sobie burzę na morzu lodowatém, burzę w której lodobryły, jak ruchome skały granitowe, szalonym pędem uderzają o siebie. Wystawmy sobie te skały kruszące się wzajemnie z łoskotem grzmotu, piętrzące się jedne na drugie, i znów z wysokości spadające w syczącą otchłań. Taka to burza w miesiącu sierpniu 1853 r. schwyła dwa okręty kapitana *Inglefield* w cieśninie *Barrowa*. Ogromna wyspa lodowa dopędza wreszcie okręty i uderza w nie z siłą przerażającą. Jeden z nich, paropływ, wytrzymuje uderzenie; ale *Breadalbane*, okręt żaglowy, tonie po kilku minutach, w oczach ocalonej z trudnością osady.

Ta sama burza stała się powodem śmierci porucznika *Bellot*. Nieustraszony ten marynarz, w zleceniu *Inglefielda*, puścił się pieszo przez lody kanału *Wellingtona* i usiłował właśnie za pomocą przenośnej łodzi dostać się do brzegu, dokąd już go poprzedziło kilku towarzyszków, gdy nagle bryła lodu na której stał *Bellot* z dwoma jeszcze majtkami oderwała się gnana wichrem daleko wkrótce została poniesioną. Całą noc nieszczęśliwi przepędzili na tym statku niebezpiecznym, nie mając innej ochrony od zimna, jak doły nożami w lodzie wydrążone. Z rana porucznik *Bellot* wdrapał się na szczyt bryły, aby zobaczyć gdzie się znajdują, i tu niestety, nie mogąc na ślizkim gruncie oprzeć się sile wichru, zsunął się w przepaść wzburzonego morza. Towarzysze jego kilką godzinami później zdołali dostać się na sąsiednie pole lodowe, a z tamtąd szczęśliwie dosięgnęli brzegu.

*

W tych strasznych scenach zniszczenia nie widzieliśmy jeszcze dotąd najgroźniejszych, a razem najbardziej majestatycznych, kolosów, owych lodogór pływających, których blask migotliwy rozświeca nawet pomrokę mgły arktycznej. Dumni ci mocarze mórz podbiegunowych nie na nich przecież wzięły swój początek: kolóbką ich jest ląd stały, a narodzeniu się zajmujące towarzyszą okoliczności.

W średnich szerokościach oceanu atlantyckiego, szczególniej w miesiącach maju i czerwcu, żeglarze doświadczają niekiedy nagłego znizienia temperatury, którego wytłumaczyć nie można na zasadzie zwykłych praw atmosferycznych. Lecz niezadługo objawia się przyczyna téj zmiany niespodzianej. Z pod widokręgu północnego wynurza się punkcik białawy, świecący, i coraz większego sto-

pniowo nabierając blasku, przedstawia się wreszcie zdumionemu oku jako olbrzymia pływająca lodogóra, z wyzębionymi szczytami, jaśniejąca całym przepychem barw tęczy, niby diament przepyszny na ciemnym tle oceanu i nieba.

Ten kolos ruchomy i przezroczystry niepodobny jest wcale do owych brył lodu któreśmy dotąd poznali. Tak masa czysta, białoniebieskawa, z delikatnych złożona kryształów nie mogła powstać z wody morskiej: to lód wody słodkiej, zrodzony na dalekim gdzieś lądzie i siłą prądu uniesiony aż tutaj; co więcej, to tylko ułamek masy nierównie jeszcze potężniejszej rozmiarami. Ta góra ogromna mająca kilka tysięcy łokci obwodu, stercząca na 200 stóp nad powierzchnią morza, a sięgająca na tysiąc kilkaset w jego głębi, ten kolos obejmujący 20—30 milionów łokci kubicznych, który postawiony na lądzie dorównałby wysokością naszej Łysiej górze, a który nie należy nawet do rzadkości, bo zdarzają się inne nierównie go przenoszące rozmiarem, — jest tylko okruchą masy lodowej, co go zrodziła w odległej krainie północy! Zaprawdę, najbujniejsza wyobraźnia korzyć się musi przed takimi cudami, najpotężniejszy rozum uderzyć czołem w obec tak niepojętych tajemnic przyrody!

Rzućmy jednak okiem na czarodziejską ową pracownią świata polarnego, i starajmy się wytłumaczyć jej działania, według zasad naukowych.

Jakkolwiek ostrą bywa zima wkrajach podbiegunowych, to przecież i tam uczuć się daje wpływ pory letniej, i promienie słoneczne co rok niweczą powłokę śniegu i lodu, wywołując skromną wprawdzie lecz bujną vegetacją trawy, mchów, wrzosów i wierzb karłowatych. Równiny te przeto pokryte zielenią, gdzie latem nie napotyka się i śladów lodu, prócz chyba brył przypadkowo z morza wyrzuconych na brzegi, nie mogą być miejscem urodzenia owych mass niewyczerpanych, których odłamy w dalekich jeszcze morzach zadziwiają żeglarzów.

Ale przenieśmy się myślą na szczyty skaliste półbrzeża grenlandzkiego. Tu, w wysokości 6,000 stóp nad powierzchnią morza, znajdujemy głębokie wądoły, znajdujemy rozległe doliny wiecznym wypełnione lodem, w pokładach których grubość wynosi kilkaset, a niekiedy i parę tysięcy stóp. Cała Grenlandya, z wyjątkiem pasa nadbrzeżnego kilkunastu mil szerokości, pokryta jest skrzepłą tą masą. A nie są to, jak w Alpach lub

Islandyi, gleczerzy zwolna zsuwające się z pochyłości: to jakby morze śródlądowe, które zalawszy wnętrze kraju do pewnej wysokości, na wpół potem zmarzło, i z tamtąd siłą ciężenia stopniowo zniża się ku brzegom.

Ruch postępowy tej masy niezmierniej, jakkolwiek wszędzie widoczny, koncentruje się głównie w kilku sięgających aż do morza odnogach, które podróżnik duński Rink nazwał trafnie strumieniami lodowymi. Badacz ten na zachodnim brzegu Grenlandyi, pomiędzy 69 i 73° szer. półn., odkrył do trzydziestu takich strumieni, z których pięć mianowicie zdaje się dostarczać owych potwornej wielkości gór lodowych, bo każdy z nich, według przybliżonego obliczenia, sprowadza do morza rocznie przeszło tysiąc milionów łokci sześciennych lodu.

Zbliżamy się do chwili urodzenia niezmiernych owych gór pływających! Masa lodowa mająca przeszło 1,000 stóp grubości, poruszana przez wielki strumień lodowy, dotyka końcem swym zewnętrznym dna morskiego i sunie po nim coraz dalej, aż wreszcie dojdzie do głębokości w której woda zaczyna ją unosić. Jeszcze koniec jej przeciwny łączy się z brzegiem; lecz w tym zewnętrzna jakaś przyczyna, może silniejszy ruch fali albo tchnienie wiatru północnego, znosi istniejącą dotąd równowagę, i z hukiem podobnym do grzmotu następuje, jak mówią Grenlandczycy, „ocielenie się lodu.” Do lata straszliwe te odłamy zapełniają zatoki; dopiero w lipcu lub sierpniu, kiedy promienie słońca kruszą lodową skorupę oceanu, prądy unoszą je na morze, w daleką ku południowi wędrówkę.

Lecz skąd się biorą potworne te masy wiecznego lodu i śniegu, pokrywające całą niemal wewnętrzną powierzchnią Grenlandyi? Widocznie źródłem ich jest atmosfera. W pasie nadbrzeżnym spadające corocznie deszcze i śniegi bywają odprowadzane w stanie płynnym; bo tam są potoki i strumienie. Ale obszary śródlądowe nie posiadają strumieni, gdyż w nich odwieczne pokłady lodu zrównały się już z wierzchołkami gór i zniosły wszelkie ich spadki. W pojedynczych tylko lecz potężnych odnogach nadmiar nagromadzonych lodów toruje sobie drogę ku morzu, stawiając tym sposobem zapórę zbyt czynnemu z czasem przepelnieniu przestrzeni wewnętrznych.

Ł Y S Z C Z A K

(AURYKIEL).

Każdemu zapewne z czytelników znany jest piękny kwiatek oddawna w ogrodach naszych hodowany, noszący miano botaniczne *Lyszczak* (*Primula Auricula* v. *Primula lutea*), a w mowie potocznej zwany pospolicie auryklem, który, oprócz miłego zapachu, odznacza się przepychem i różnorodnością ubarwienia. Dwie te zalety zjednały lyszczakom prawo obywatelstwa w najwykwintniejszych nawet ogrodach, a łatwość przyswajania ich i tworzenia coraz nowych odmian stawia je niemal na równi z różą i goździkiem.

Pomimo więc powodzi coraz nowych gatunków kwiatowych, jakimi w ostatnich czasach wszystkie części świata zalały ogrody europejskie, aurykle długo jeszcze zaszczytne zachowają w nich miejsce, i dlatego miłośnicy ogrodnictwa z przyjemnością zapewne znajdą tu niektóre przepisy dotyczące hodowania wdzięcznych tych kwiateczków.

Pierwszym warunkiem ku otrzymaniu pięknych auryklów jest naturalnie dobroć nasienia. Postarawszy się o takowe, trzeba je przez dni kilka moczyć w wodzie, a potem w końcu lutego lub na początku marca zasiać w doniczki albo skrzynie sposobem następującym. Na dnie naczynia usypuje się najprzód na cal wysokości warstwę żwiru, o którejj najwłaściwszych przymiotach niżej będzie mowa. Następnie rozrzuca się nasienie ile możliwości równo, i lekko wcisnąwszy je w ziemię, poléwa się ostrożnie przez gęste sitko, aby uniknąć splukania delikatnych ziareczek. Tak przygotowaną skrzynkę stawia się w cieplarni, jaknajbliżej okna, utrzymując ją w mierniej, jednostajnej temperaturze i wilgoci, a strzegąc od przystępu powietrza zewnętrznego i silnych promieni słonecznych, aż do wzejścia nasienia, które następuje po dniach dwunastu do czternastu, poczem młode roślinki stopniowo przyzwyczajając należy do powietrza i słońca. Po czterech lub pięciutygodniach, gdy już listeczki znacznie się rozwiną, trzeba je

rozsadzać w naczynia podobnie jak do siewu przyrządzone, w odległości cala jedną od drugiej. Po jakimś czasie, w miarę rozrastania się roślin, przesadza się je w naczynia obszerniejsze, powtarzając to trzy do czterech razy, aż póki nie dojdą do takiej już wielkości, że można je pojedynczo rozsadzać w doniczki lub zagony.

Po ustaleniu się ciepłej pory, można zdjąć okna inspektowe, chroniąc wszakże roślinki od ulew i skwaru słonecznego. Co dni czternaście dobrze poléwać je lekkim nawozem, ku czemu najstosowniejszym będzie odwar słodowy. Przy takim postępowaniu silniejsze okazy już w końcu lipca, a inne w sierpniu wypuszczą kwiaty. Aurykle, nawet w czasie kwitnienia, doskonale znoszą przesadzanie, (rozumie się że z odpowiedniej wielkości bryłkami ziemi); najlepiej więc wcześniej wybierać co lepsze kwiaty i sadzić je na zagonach wyborowych, gorsze zaś od nich oddalać; bo tylko zupełnie doskonale kwiaty obiecują dobre nasienie, a tém samym piękne potomstwo.

Ogólne cechy piękności tego kwiatu są następujące:

1. Łodyga stojąca prosto, niezbyt wysoka i w miarę liśćmi pokryta.
2. Baldaszek czyli pęk kwiatów pełny, a pojedyncze kielichy obrócone ku górze, aby je oko wszystkie jednocześnie objąć mogło.
3. Kwiaty czystej, podobnej do aksamitu barwy, dość duże, okrągłe i płasko rozpościérające się, tak aby brzegi listków ani się w tył odwijały, ani lejkowato ku sobie pochylały.
4. Barwa naokoło wewnętrznego oka jakby ucięta, a ku brzegowi łagodnie rozprowadzona.
5. Samo oko, bądź białe, bądź żółte, zupełnie czyste i wielkości mniej więcej jednej trzeciej części całego kwiatu.
6. Główki pyłkowe widoczne w samym środku



i dokładnie go zapelniające; w przeciwnym razie aurykiel od zwolenników hodowania kwiatów otrzymuje miano *dziurawego*, i jako taki, pomimo największej zkadinał piękności, nie zasługuje już u nich na względy.

Aurykle lubią ziemię nasyconą pierwiastkami roślinnymi w pomieszaniu z piaskiem. Wilgoci w czasie rozwijania się potrzebują dosyć; ciągła jednak mokrość sprawia w nich gnicie, i z tego też powodu podkład kamienny, jako najlepiej odciągający zbytę wodę, tak w skrzyniach i doniczkach, jak w zagonach pod otwartę niebem, jest dla nich koniecznym.

Łodygi starszych kwiatów rozrastają się zwykle w kilka odnóg, które łatwo puszczaają korzonki i mogą być użyte do rozmnażania pojedynczych odmian. W tym celu na wiosnę, w samym początku we-

getacyi, należy je obcinać i osobno zasadzać. Ktoby zaś niedbał o rozmnażanie, a chciał wyhodować bujne i szeroko rozpostarte krzewy, ten naturalnie powinien zaniechać obcinania; lecz za to w takim razie trzeba od czasu do czasu głębiej je zakopywać, lub z wierzchu w około łodygi nagromadzać więcej ziemi. Odnogi bowiem wyrastające od spodu bywają kruche, obnażone z liści, przez co całość krzewu niemięłego nabiera pozoru, a w każdym razie odnogi takie, bez użycia powyższego sposobu, nie miałyby dosyć pożywienia, aby wydać kwiaty równie pełne i doskonałe, jak pojedynczo rozsadszone, młodsze i silniejsze okazy, które bezpośrednio z ziemi obfite ciągną soki. Hodowane podług tych zasad, aurykle wydają kwiaty tak piękne, okazałe i różnobarwne, jak przedstawione na obocznej litografii.

NUSSIR-U-DEEN,

O S T A T N I K R Ó L U D Y.

Jeżeli nasi następcy doznają jakiej trudności, opisując historię XIX wieku, to pewnie nie z braku dokumentów. Żadna epoka nie nagromadziła takiej massy dobrych lub złych materyałów. I to nietylko nasza mała Europa ma przywilej zajmowania zbieraczy faktów; toż samo prawo mają kraje najmniej znane, najdalej położone na kuli ziemskiej. Dziś mamy dokładniejsze wiadomości o powstaniu chińskiem, niż nasi ojcowie mieli przed dwoma wiekami o zaburzeniach w niezbyt odległych od siebie krajach. Królestwo Dahomej jest nam stosunkowo więcej znane, niż dawniej było które z państw północnych; wiemy o wszystkich intrygach dworu Kamehamehy IV, a nawet żadna z wyseppek Oceanii niema dla nas tajemnic. Takie poznawanie pod każdym względem świata jest nawet jedną z rzeczy niezaprzeczenie dobrych, które wiek nasz wydał. A jednak to światło, rzucone na całą kulę ziemską, winniśmy jednemu tylko narodowi, Anglikom. Inne narody stosunkowo mało zrobiły dla odkrycia tajemnic życia ludzkiego pod wszystkimi formami jakie ono przybrać może; same nawet Niemcy, uczone i metodyczne Niemcy, zale-

dwie zaczynają wchodzić na tę drogę poszukiwań, i wątpić należy aby im się powiodło tak dobrze jak Anglikom.

Jest przyczyna dla której Anglik lepiej niż ktobądź inny, chociażby należący do najwięcej oświeconego narodu, może oddać ludzkości przysługę w poznawaniu świata. Być może że on jest pełnym przesądów, egoistą i niezdolnym do zgodzenia się z obcemi żywiołami, lecz ma jedną znakomitą wyższość nad Francuzami i Niemcami: niczemu się nie dziwi. Wyjeżdżając do antypodów, z góry już nie obiecuje sobie żadnej nowej rozrywki, i nie przestrasza się zbytę czekającemi go nudami; tém lepiej dla niego, jeśli się znudzi mniej niż przypuszczał, tém gorzej, jeśli nie znajdzie tego, czego się spodziwał. Nie doznaje więc ani złudzenia ani rozczarowania. Zwidza Indye lub Australię, tak jakby zwidzał jaką wioskę pod Londynem, postępuje w najdalszych stronach ziemi tak, jakby był u siebie w domu, to jest jada śniadanie, obiada i sypia w zwykłej porze. Tak więc, chociażby się gdzie zatrzymał najkrótszą chwilę, już uważać go można nie jakby był w przejeździe, lecz jakby

stale tam przebywał. Wreszcie ostatnim jego przymiotem jest to, że niema skłonności do naśladownictwa i że wszędzie zachowuje swoją indywidualność. Francuz łatwo przybięra obyczaje i zwyczaje obcych narodów, które go z początku raziły. Zaczyna od wyszydzenia dzikich, a w tydzień potem sam zostaje dzikim; jest to dowód wrodzonej dobroci, lecz zarazem i wielkiej słabości. Dla téj więc zalety lub wady, jakkolwiek ją nazwać zechcemy, Francuz zdolnym jest długo nawet przebywać pośród jakiego narodu, pędzić z nim życie, stać się uczestnikiem jego obyczajów, nie umiając sobie zdać w końcu sprawy z tego co widział. Przeciwnie Anglik nigdy nie traci swojej indywidualności, która jest wybornym przymiotem dla chcącego dobrze widzieć; słowem stosunek pomiędzy przedmiotem a podmiotem lepiej i roztropniej bywa zachowywanym przez Anglika niż przez Francuza, który zbyt łatwo łączy się z przedmiotem, i lepiej niż przez Niemca, który wszystko zewnętrzne zanadto stosuje do swojego ja.

Dowód téj zdolności postrzegania, właściwej Anglikom, mamy w ciekawém dziełku pod tytułem: „*Życie domowe króla wschodniego.*” Autor jego, dawny oficer w służbie jego królewskiej mości Nussir-u-deen’a, drugiego króla Udy, nie trzyma się stałego systematu; nie jest on głębokim orientalistą, i sam się przyznaje że nigdy nie umiał więcej po indostańsku tylko tyle, ile mu było potrzeba do porozumienia się z krajowcami, ażeby nie doświadczać między nimi kłopotu. Niema on żadnej idei przewodniczącej; rządowi swemu niedaje żadnych rad politycznych, lecz za to rzeczy które podlegały jego rozbiorowi zbadał głęboko, nie stracił żadnego słowa, żadnego gestu. Jego opis królestwa Udy jest jakby obrazem szkoły holenderskiej. Mamy w nim gospodarstwo i sprawy domowe wspomnionego króla, jego kuchnię, stajnie, wizerunki sług, żon i samego Nussir-u-deen’a, w rozmaitych ubiorach i postawach: u stołu, konno, przy wyjściu z kąpieli, w czarnym kapeluszu i fraku, w stroju wschodnim i z koroną na czole. Lecz nie zapominajmy iż rzecz téj seryi obrazów dzieje się na Wschodzie, a zatem że i najdrobniejsze nawet szczegóły zadziwiają przepychem, że sprzęty gospodarskie są ze złota, sługi ubrane w tkaniny przetykane złotem i srebrem, że miejsce kotów zastępują tygrysy, a miejsce bydła domowych słoń.

Królestwo Udy, albo Audy, leżące w Indyach

północnych pomiędzy Pendżabem, Nepalem i Delhi, jest jak wiadomo pod opieką kompanii indyjskiej. Niegdyś prowincya wielkiego państwa Mogołów, zrabowane w przeszłym stuleciu przez Warren Hastings’a, zmniejszone o połowę przez lorda Wellingtona, który połączył znakomitą część jego z posiadłościami angielskimi, zostało ono urządzone na istniejących zasadach w roku 1819 przez margrabiego Hastings, który przyłączył do tego co pozostało z kwitnącego niegdyś państwa kilka pustych obszarów zdobytych na Nepalu, i w imieniu potężnej kompanii indyjskiej mianował królem nababa Gazi-u-deena, który był ojcem bohaterą naszego opowiadania. Jakkolwiek te fakta są naturalnym rozwojem zdobyczy i nie w tém niema dziwnego, można jednakże powiedzieć, bez narazenia się na pozór źle skierowanej sentymentalności filantropijnej, że rzadko zdarza się coś niesprawiedliwszego jak traktaty łączące państwo Udy z kompanią indyjską. Niepodległość kraju istnieje tylko z nazwiska, bo ceną protektoratu angielskiego bywa zawsze ofiara z niepodległości. Kompania proteguje króla dla własnego bezpieczeństwa, to jest dla zapobieżenia ażeby nie użył swych sił przeciwko panowaniu angielskiemu. Król ten, bezsilny gdy idzie o dobro poddanych, w złem za to jest bardzo potężny. Traktaty zapewniają mu koronę i posiadłości od nieprzyjaciół zewnętrznych i wewnętrznych, to znaczy że gdyby jego ludy powstały przeciw niemu, straszliwa kompania powiada *velo* i obowiązuje się wydać mu buntowników ze związanymi rękami i nogami. Kompania daje mu władzę czynienia jaknajwięcej złego wszystkim oprócz niej samej, a on bez skrupułu korzysta z tego pozwolenia.

W tym stanie anarchicznym poddani czują potrzebę powierzania się własnej sile, i nigdy też nie wychodzą bez broni. Luknow, stolica tego państwa, jest niezaprzeczenie najdziwniejszym z miast na całym świecie. Widząc mieszkańców uzbrojonych w pistolety i kindzały, w naramienniki i puklerze ze skóry bawolój, sądzićby można że wybierają się na wojnę, lub przynajmniej na jaką paradę wojskową. Lecz nie, oni idą tylko załatwiać swoje interesa, sprzedawać lub kupować. Co się zaś tyczy króla pod którego rządem istnieje taki stan rzeczy, ten żyje jaknajpyszniej. Rezydencją jego stanowi szereg pałaców, rozciągający się na jednym brzegu rzeki Goomty, a na drugim leży jego menażerya, ogromny park w którym, powiada

nasz autor, stada słoni, nosorożców, tygrysów, lampartów, antylop, ostrowidzów i kotów perskich igrają na słońcu, jak barany i krowy w parku angielskim. Naturalnie że położenie ludu nie odpowiada wcale takiemu przepychowi, a ulice Luknow'a pełne są żebraków, proszących jak Gil Blas o jałmużnę z bronią w ręku.

Fakt to ciekawy że w głębi Azji znajdujemy typ *lazzarona* włoskiego, z jego obyczajami, hyperbolicznemi pochwałami i obelgami. Jest to jeden dowód więcej że z tych samych przyczyn wszędzie też same powstają skutki. „Światło słoneczne zabłysło nad niewolnikiem twoim, potężny panie, i biedny niewolnik będzie pozywiony,” powiada do ciebie, wyciągając rękę, ogromny chłop, z wielkimi wąsami, z potężnym szabliskiem i puklerzem w ręku. Jesteś, powiada, światłem słonecznym, a ten komplement, według jego zdania, wart hojnej jałmużny. Odwracasz głowę z niesmakiem, a żebrak wtedy z równą spokojnością jak przed chwilą prawił ci komplementa, objawia ci swoją opinią o członkach żeńskich twojej rodziny, (szczególniej o matce i siostrach) w wyrazach zbyt nagich i energicznych, ażeby wypisać je tu można.

Zbrojni mieszkańcy i żebracy przedstawiają najciekawszy widok w Luknowie i zajmują uwagę podróżnika na równi z wielbłędami i słoniami, które sobie chodzą po ulicach tak pospolicie jak muły w Hiszpanii, woły i krowy po naszych wsiach a konie po miastach.

Gdy nasz podróżnik przedstawił się na dworze luknowskim, panował wówczas Nussir-u-deen, jeden z dwóch synów pierwszego przez kompanią na tron wyniesionego monarchy. Nie bez trudności objął on panowanie po swoim ojcu Gazi-u-deen'ie, który go wydziedziczył, i jak się zdaje powziął zamiar raczej zabicia go, niż pozostawienia mu możności osiągnięcia tronu. Wyniesienie na tron winien on być energii swojej matki *padshah begum* (sułtanki faworytki), która uzbroiła kobiety swojego haremu, i po krwawej walce wewnątrz pałacu, zdołała zmienić zamiary króla. Nussir-u-deen objął rządy, a pierwszy jego czyn był wstąpieniem w ślady ojca. Jak ojciec chciał jego wydziedziczyć, tak on chciał postąpić ze swoim synem. Matka króla spięrała się o wnuczka i wzięła go pod swą opiekę. Niewdzięczny Nussir, zapomniawszy o przeszłości, rozkazuje matce opuścić pałac; lecz ta usłuchać nie chciała. Król wysłał prze-

ciw niej swoich cypajów kobiecych (straż złożoną z amazonak mieszkających w pałacu), i znowu zawrzała bitwa, w której piętnaście czy szesnaście kobiet sułtanki utraciło życie. Nareszcie król przyrzekł rezydentowi angielskiemu, pułkownikowi Lowe, nie dręczyć więcej matki ani dotknąć syna, jeśli ona zgodzi się przenieść do wyznaczonego sobie pałacu. Rezydent zapewnił życie dziećciu, i wtedy dopiero *begum* zadowolona przystała na wszystko, bo więcej wierzyła słowu *gentleman'a* angielskiego, niż najsolenniejszym przysięgom króla i jego ministrów.

Ta dzielna i odważna matka Nussira jest osobą najwięcej zajmującą w naszej książce, jedyną która zachowała wrodzone uczucia i coś ludzkiego. Powiodło jej się z Gazi-u-deen'em, lecz niepowiodło z niewdzięcznym synem, którego ochroniła od niełaski, a może nawet i od śmierci. Po oddaleniu się matki, Nussir rozkazał publicznie ogłosić swego syna nieprawym. Tak raz napiętowane dziecko nie mogło już odziedziczyć korony. Jednakże, po nastąpieniu później otruciu Nussira, *begum* jednego jeszcze sprobowała sposobu, tym razem rzeczywiście bohaterskiego, gdyż nie obawiała się rozpocząć walki ze straszliwą potęgą angielską. Kazała wojskom otoczyć pałac gdzie mieszkał rezydent angielski, który się wzbraniał uznać młodego księcia za monarchę; lecz nadeszły wojska kompanii indyjskiej, wymieniono kilka strzałów, i król wybrany przez kompanią, stryj Nussira, wstąpił na tron.

Jeżeli Nussir tak się obchodził z matką i synem, nie więc dziwnego że się dopuszczał najostatniejszych zniewag przeciw innym członkom swjej rodziny. Rodzina! co za wyraz? W kraju Udy król tylko jest wszystkiem, najbliżsi nawet jego krewni nie mają żadnego udziału w jego wielkości, i ich znaczenie jest mniejsze niż ulubionego eunucha lub tancerki, która na tydzień zajęła zbyt wrażliwe zmysły króla. Jeśli zasłużyli na gniew monarchy, ostatni niewolnik pałacu może ich zdeptać z pogardą, i to najzupełniej bezkarnie. Wszyscy są tu równi w obec gwałtowności i okrucieństwa, tak książę krwi, jak żebrak. Zresztą ofiary bywają i niegodne nawet pożałowania: jeśli znoszą prześladowania, to tylko w oczekiwaniu na chwilę w której sami będą mogli prześladować drugich.

Nussir miał kilku stryjów, starych, niedołężnych, których lubił znieważać i krzywdzić. Nie byli oni zapewne więcej wari od synowca, lecz zawsze

sam wiek ich nakazywał uszanowanie. Otóż gdy tancerki lub maryonетки już Nussira znudziły, gdy nie znajdował już przyjemności w walkach dzikich zwierząt, gdy czuł że potrzebuje silnego bodźca dla wyrwania się z ocieężałości, której nie zaradzały już uciechy zmysłowe, kuchnia indyjska i wina europejskie, wtedy zapraszał do stołu jednego ze stryjów, a zwykli towarzysze biesiad królewskich pewni byli że będą mieć jakieś szczególne widowisko, dzięki duchowi wynalazczemu cyrulika królewskiego. Człowiek ten, Anglik z pochodzenia, chytry i okrutny, tak zawładnął umysłem swego pana, że był prawdziwym królem Udy, i że Nussir upadł, gdy tylko cyrulik został wypędzony przez kompanię. Szkoda że autor sądził iż mu wypada zamilczyć nazwisko tego łotra, który dziś żyje może otoczony zbytkiem, będącym owocem zdzierstwa i występków. Czytelnik poweźmie wyobrażenie o żartobliwym geniuszu tego ulubieńca, oraz o przychylności Nussira do swych stryjów, z dwóch następujących anegdot.

Król zaprosił na obiad jednego ze swych stryjów, zwanego Saadut. Po obiedzie współbiesiadnicy, zagrzani winem, przygotowywali się do widzenia zwykłych rozrywek wieczornych w pałacu. „Tańczymy taniec szkocki, zawołał cyrulik, w którego głowie nowy nagle zabłysnął pomysł, ja tańczyć będę z Saadutem.” „Wyborna myśl, wybor-na! odpowie król, tańcz ze stryjem.” Cyrulik porywa Saaduta, i biędny starzec, na pół pijany, kręcić się musi zapamiętałe. Wśród tego wiru cyrulik uderzeniem ręki zrzucił mu turban, co ciężką jest zniewagą u Indyan Udy, i co starzec uczuł tak mocno, że pomimo stanu opilstwa w jakim się znajdował, poniósł rękę do kindżału. Lecz zręczny balwierz szybko wrywa mu kindżał, następnie odpina pas starca, odwija okręcający go szal, zdejmując zeń haftowany złotem kaftan i tak sztuka po sztuce rozbiéرابiędnego księcia. Niektórzy z obecnych oficerów angielskich, rozgniewani taką zachwałością, zbliżają się by zasłonić starca. „Panie, oddalcie się! zawołał król, ja chcę aby się dalej bawiono; a nie, to przez Bóg żywy każę was aresztować.” Nieszczęśliwy starzec stał pośród sali królewskiej, nagi jak w dzień przyjścia na świat, igraszką niewolników i hałustry pałacowej, potracany a nawet bity, i wyléwając łzy, zasłaniał sobie twarz rękoma. W tym stanie król zmusił go jednak do tańczenia, dopóki się nie nasycił tym haniebnym widokiem.

Drugi stryj Nussira, jeszcze starszy od tamtego, nazwiskiem Asof, otrzymał podobne zaproszenie na obiad. Udał się nań nie bez wahania, przeczuwając jaką zniewagę lub okrucieństwo. „Czy wiesz czego król chce odemnie?” zapytał podróżnika angielskiego, którego przytaczamy opowiadanie. „Sądzę że chce tylko obiadować z tobą.” „Niestety, jestem stary, głowa moja siwa, a oko przygasłe, nie mogę więc być towarzyszem dla swego synowca, młodego, chciwego uciech.” „W tych słowach, powiada autor, wyrażała się boleść niezmysłona, i starzec wymówił je z całą harmonią języka indyjskiego. Byłem wzruszony jego zmartwieniem.”

Obiad rozpoczął się pod bardzo dobrą wróżbą: król wszedłszy, pozdrowił wszystkich z wdziękiem i godnością, (jak Neron i Heliogabal, tak i Nussir nie był pozbawiony pewnej wykwińności w ułożeniu) i okazał się dla stryja pełnym obludnych grzeczności. Przed Asofem postawiono pełną butelkę madery, a toasty następowały po sobie tak szybko, że starzec, czując iż trunek zaczyna mu uderzać do głowy, nie mógł dotrzymać królowi towarzystwa i postawił szklanę do połowy wypróżnioną. Tu ustała uprzejmość i obluda. Król utkwiał spojrzenie w stryju. „Czy wino u mego stołu nie jest dobre?” zapytał sucho. Asof tłumaczył się, lecz w końcu, widząc że niéma innéj rady, przywołał na pomoc silną wolę i dotrzymał placu do końca obiadu. W chwili rozpoczęcia tańców, butelka postawiona przed Asofem była prawie pusta. „Czy niewidzisz że Asof niéma już wina?” rzekł król obracając się do cyrulika. Ruszaj po drugą butelkę.” Napój który postawiono teraz przed nieszczęśliwym składał się z madery i wódki. Ta okropna mieszanka spowodowała wkrótce zupełny stan opilstwa, i głowa starcowi opadła na piersi. „Trzeba mu uczesać wasy,” rzekł cyrulik wstając, i z wielkim oburzeniem obecnych téj scenie Europejczyków zaczął po grubiańsku szarpać staruszka za wasy. Lecz było to tylko przegrywką do innéj, bardziej jeszcze odrażającéj sceny. Głowa starca ciągle była pochyloną, częścią przez sen, częścią przez opilstwo. „Trzeba mu podnieść głowę,” rzekł król. Posłuszny cyrulik nie dał sobie tego mówić dwa razy, i biorąc dwie mocne nici, zręcznie przywiązał, jako człowiek doświadczony w swém rzemiośle, dwa końce wąsów księcia do poręczy fotelu w którym tenże siedział. Król klasnął w ręce i poszeptował coś z ulubieńcem, który wyszedł, a powróci-

wszy wkrótce z kilką raketami, zapalił je pod fotelem starca. Przebudzony hukiem, książę zadrzął i usiłował powstać. Poruszenie to pozbawiło go części wąsów. Ból rozproszył zupełnie upojenie; Asof wstał, i jako doświadczony dworak, uklonił się synowcowi, dziękując mu za sprawioną przyjemność i prosząc aby go miał za wytłumaczonego, ponieważ krew płynąca z rany nie pozwala mu dłużej używać jego królewskiego towarzystwa.

Niech jednak czytelnik sobie niewyobraża że Nussir-u-deen był jednym z owych potworów okrucieństwa, z owych fenomenów zbrodni, przestraszających świat cały. Nie, Nussir-u-deen nie był ani Atyllą, ani Dżengis-Chanem, ani Tamerlanem, ani Selimem. Nie miał dość silnej duszy, aby stać się w czém do nich podobnym. Nussir daleko był niższym od tych wszystkich osławionych potworów. Z natury ani okrutny, ani łagodny, miał umysł prawdziwie wschodni, miękki, nieoporny, kapryśny. Tylko że ten umysł, podobny do umysłów jego współziomków, był pospolity i słaby. Jak ludy podległe mu, właściwie i on nie miał charakteru ludzkiego: był niewolnikiem natury.

Spróbujmy wytłumaczyć się z tych wyrazów. Tylko człowiek ucywilizowany ma charakter *ludzki*, to znaczy że on tylko działa na mocy złego lub dobrego postanowienia, będącego wpływem jego woli. Natura zewnętrzna, że tak powiemy, niema nań wpływu; jego zmysły zostają z naturą w związkach utrzymywanych w sposób regularny i jakby za wspólną umowę. Możliwość powiedzieć że w rasach europejskich człowiek i natura zawarli z sobą umowę, celem zachowania wzajemnych praw. Wypada ztąd że u nas są dwa pierwiastki dobrze ustalone: z jednej strony człowiek, z drugiej natura, i każda z tych dwóch części istnieje niezawisłe od drugiej. Przeciwnie na Wschodzie natura ludzka nie oddziela się od natury zewnętrznej; człowiek jest tam utworem przyrody, jak drzewo bananowe, tygrys lub słoń, i niczém prawie nie różni się od nich. Na Wschodzie lub w Afryce są ludzie, lecz niema natury ludzkiej. Tutaj człowiek posiada tylko naturę dzikiego zwierza, jego zwinne i wdzięczne ruchy, jego nagłe i niewytłumaczone porywy okrucieństwa, lekkomyślność i bojaźliwość. Ten sam podróżnik co nas wprowadza na dwór króla Udy, opisuje nam tygrysów i słoni, które doprawdy postępują zupełnie tak jak Nussir. Król Udy w swoich okrucień-

stwach i żalach podobny jest całkiem do słonia Malleera, który zabija swego *mahuta*, a potem pozwala się prowadzić dziecku. Pytamy się gdzie tu są ludzie, i bierze nieraz ochota uważać za nich zwierzęta wchodzące do naszego opowiadania. Nie byłibyśmy wcale zdziwieni, gdyby tygrys Kagra zajął miejsce Nussira, a Nussir miejsce tygrysa, tak wielkie ich charaktery mają z sobą powinowactwo.

Taka to jest natura tych przechwalonych mieszkańców Wschodu. Nussir-u-deen był zupełnym wschodniowcem. Trudno wytłumaczyć sobie przyczynę jego postępów i pochwycić rzeczywisty grunt jego charakteru. Był okrutnym, dlaczego? Spytajcie tygrysa dlaczego on okrutny. Czasami przebaczał: byłże łaskawym? Spytajcie zwierza, który niewiedząc dlaczego, odwraca się od zdobyczy, czy on to robi z łaskawości? Poruszenie krwi, swędzenie skóry, promień słońca gorętszy, były powodami jego czynów. Żle brzmiący wyraz mógł kogo pozbawić głowy lub stać się przyczyną zamknięcia gona całe życie w żelaznej klatce. A więc, powiecie, przystępowano do niego na kolanach i zapewne niemówiono doń inaczej tylko z poza kotary, jak u starożytnych Persów? Przeciwnie, był on przystępny i lubił zabawy w gronie swych dworzan. Niekiedy bawił się z niemi w barana lub nadstawiał do skoku grzbiet własny; to znów usłyszawszy że jedną z zabaw zimowych w Europie jest bitwa w śnieżki, chciał użyć tego widoku, i w jednej chwili ogród został obrany z pewnego rodzaju kwiatów, mających podobieństwo do galek ze śniegu, i te służyły wesołemu towarzystwu za pociski. Nussir nawet jeszcze dalej posuwał poufalskość; lubił pić i upijać się, i niewahał się pokazać dworowi w tym poniżającym stanie. Jednakże i w opilstwie nawet umiał on zachować pewną godność, i autor nasz przyznaje że miał coś w sobie prawdziwie królewskiego. Takim był Nussir: najzawikłańszą i trudną do rozwiązania zagadką; lecz właśnie z powodu téj jego zagadkowości bliższe z nim obcowanie było nader niebezpieczne.

Raz po powrocie z przechadzki, król, który lubił nosić suknie europejskie, bawił się swoim kapeluszem, obracając go na palcu. Kapelusz był lichego gatunku, i skutkiem téj igraszki zrobiła się w nim dziura. Wtedy król z głośnym śmiechem odwrócił się ku obecnym, jakby zachęcając ich do podzielenia swój wesołości. Jeden z ministrów Nussira, radża Buktar Sing, sądził że to chwila stosowna do popisania się z dowcipem. „Oto dziura w ko-

ronie waszój królewskiej mości” zawołał. Król nagle zbladł. „Słyszałeś zdrajcę? zapytał w pobliżu stojącego oficera. Wziąć go pod straż. No, Rooshun, (był to jego pierwszy minister), każ mu uciąć głowę.”

Zdawało się że radża Buktar zgubiony. Nie był on w służbie kompanii, tylko po prostu urzędnikiem i obywatelem Udy; król więc miał nad nim zupełne prawo życia i śmierci, jak nad każdym krajowcem. Nagle przez głowę Nussira przeszła myśl niby sprawiedliwości. „Jakby postąpił król wasz z poddanym któryby go tak znieważył?” zapytał obecnych Anglików. „Kazałby go aresztować, podobnie jak to wasza królewska mość uczyniłeś, odpowiedział jeden z oficerów, a potem osądzić.” „A więc i ja tak zrobię,” rzekł na to król. W sprawę tę wdał się rezydent, i zaczęto naradę: wszystkie głosy były za przebaczeniem; postanowiono więc darować radży życie, poprzestając na zamknięciu go w żelaznej klatce.

Traf obalił Buktara, i traf go też podniósł. W rok po tém zdarzeniu w Luknow powstały zaburzenia, z powodu drożyzny artykułów żywności. Król nader był zdziwiony zuchwałością swych poddanych. „Niezawodnie, rzekł, coś się w tém ukrywa; nigdy niewidziałem ażeby w Luknow zaburzenia trwały tak długo.” Minister nadmienił że żniwo było skąpe. „Cichobys był, Rooshun, odpowie król, jesteś starym gadulą. Żniwo było wyborne.” Drugi ulubieniec, professor języka angielskiego przy królu, powiedział że policya bazarowa źle jest uorganizowana. „Być może, odrzekł Nussir. Przebierzmy się i pójdźmy przekonać się o tém naocznie, jak niegdyś kalif Bagdadu.” Co powiedziano to i zrobiono. Król, w towarzystwie kilku ulubieńców, wyszedł na ulicę swojego miasta stołecznego. Weszli do sklepu wekslarza, który rozmawiał z sąsiadem o nowym napadzie na magazyn ryżu. „Ciężkie czasy, ciężkie czasy, Baboo! Za ministerstwa radży Buktar Sing’a tego nie było. Umiał on utrzymać bazy w porządku.” „Prawdę mówisz, Madhubie, radża utrzymywał porządek; ciężkie czasy, ciężkie czasy!” W dwa miesiące potem radża Buktar powrócił do pałacu, w większych jeszcze łaskach niż był niegdyś. Anegdota ta dosyć objaśnia charakter Nussir’a, mieszaninę kapryśnego okrucieństwa, samowolnej dzikości i powagi królewskiej. Rezydent angielski wyjednał później niejaki złagodzenie losu i dla rodziny radży Buktara. „W ciągu życia dosyć awanturniczego, widziałem niejedną

scenę rozdziérającą, żadna z nich jednak niezrobiła na mnie tak przykrego wrażenia, jak widok téj nieszczęśliwej gromady kobiet i dzieci, mówi autor o rodzinie Buktara. Doznali oni tego samego obejścia co i Buktar. Obdarci ze świetnych szat i ozdób, okryci nędznymi łachmanami które im wydzielono, przyciskali się jedni do drugich z niema bojaźnią, jak barany na rzeź przeznaczone. Między niemi znajdował się także ojciec Buktara, starzec z twarzą pomarszczoną, z ciałem wychudłym, płaczący nie nad własnymi cierpieniami i hańbą, lecz nad nieszczęściem swego syna i żon jego. Kobiety delikatne, wychowane w najwytworniejszym zbytku, których twarz dotychczas nigdy nie była wystawioną na wzrok mężczyzn, siedziały skulone na ziemi, narażone na spojrzenia i brutalskie żarty żołdactwa tu i owdzie rozpięchniętego po dziedzińcu pałacowym. Jedna z tych kobiet przyciskała dziecię do łona i zdawała się znajdować niejaką pociechę w pełnieniu obowiązków macierzyńskich; druga siedziała w postawie niemój rozpacz, z pochyloném ciałem i oczami utkwionemi w ziemię, jak Niobe indyjska. Żaden rzeźbiarz niebyłby w stanie wynaléć form powabniejszych jak kształty tych dwóch kobiet.”

Jednakże kaprysy króla bywały niekiedy i dosyć krotochwilne. Raz nowa niewolnica z Kaszmiru znajdowała się pośród tancerek, których obowiązkiem było rozweselać po obiedzie króla. Nazywała się ona Nuna i była nadzwyczaj piękna. Doskonałość jój ciała, którą łatwo można było rozpoznać przez zasłony, zwróciła uwagę Nussira. Śpiewała, a dźwięk jój głosu przeniknął do duszy monarchy; tańczyła, i zwinne poruszenia jój członków wzburzyły jego zmysły. „Dać jój sto rupij w nagrodę śpiewu,” rzekł król, a wstawszy, nie chciał innój podpory idąc do haremu, tylko ramienia Nuny. Nuna była w wielkich łaskach. „Doprawdy Nuno, każę ci zbudować dom ze złota,” rzekł król, i będziesz moją *padshah begum*.” Względy te trwały przez tydzień. „Eh! zawołał król jednego wieczora, patrząc na jój taniec, ona mnie nudzi. Chciałbym widzieć jakby téż wyglądała w ubiorze dam europejskich.” „Nic łatwiejszego,” odrzekł piekielny golibroda, zawsze gotów do udziału w złośliwych figlach swego pana. Kazano wyjść Nunie, która wkrótce wróciła w ubiorze europejskim, lecz w tym nowym dla siebie stroju była niezgrabna i zakłopotana; cała jój piękność znikła. Biedna dziewczyna czuła że jest śmieszna i zaczę-

ła płakać gorącemi łzami. Król śmiał się z całego serca. Od tego dnia niechciał jęj widzieć inaczej jak po europejsku.

Bezpiecznemi od kaprysów Nussira byli tylko jego ulubieńcy europejscy, może dlatego że się niemi opiekowała kompania. W czasie gdy nasz autor wstąpił w służbę Nussira, przy dworze było czterech Europejczyków, którzy dzielili między sobą względy królewskie. Najpotężniejszym z nich był cyrulik. Znał on, jak to widzieliśmy wyżej, naturę swego pana na wylot, a umiał pochlebiać wszystkim jego wadom i złym skłonnościom. Przybył do Indyj jako chłopiec okrętowy, osiadł w Kalkucie, gdzie zebrał niewielki mająteczek, i pogonił za większym do Luknow. Dziwny traf nastąpił mu to czego szukał. Ówczesny generał gubernator Indyj odznaczał się gęstemi, kędziorstwami włosami, a ponieważ generał gubernator jest zwierciadłem mody dla całych Indyj, naturalnie więc każdy chciał go naśladować, i szalano za kręcącymi się włosami, z wielką rozpaczą rezydenta angielskiego w Luknow, który miał włosy gładkie. W takim stanie rzeczy zjawia się cyrulik, i dzięki zręczności jego, rezydent wkrótce mógł się pokazać z głową ustrojoną w pyszne kędziory. Naśladowanie jest zaraźliwe; król pozazdrościł rezydentowi kędziorów, a ten mu odstąpił swego faworyta. Od téj chwili honory, łaski, pensye, spadały jak grad na szczęśliwego golibrodę, który w krótkim czasie dorobił się znacznego majątku. Obowiązkiem jego było dostarczać wino do stołu swego pana i wszystkie przedmioty europejskie potrzebne w pałacu. Co miesiąc przedstawiał jego królewskiej mości rachunek wydatków, długi na kilka łokci, który Nussir zawsze płacił, nie pisnąwszy ani słowa. Król wiedział o zdzierstwach swego ulubieńca i śmiał się z nich. „Co ci to szkodzi, rzekł raz do kogoś co mu donosił o łupieztwach cyrulika, ja chcę aby został bogatym.” I rzeczywiście z bogacił się, gdyż opuszczając służbę króla, wyniósł z sobą 240,000 funtów szterlingów majątku.

Zabawy pałacowe godne były tego dziwacznego dworu. W istocie musiał to być piękny widok, gdy tygrys Teraï-Wallah powalił tygrysa Kagra. Ten ostatni był ulubieńcem króla, i Nussir trzymał za nim z rezydentem zakład o sto *mohurów* złotych. Kagra był to olbrzymi tygrys, pycha Luknowa; pokazywano go podróżnym jak jaki cud krajowy, a jednak Kagra został zwyciężony przez Teraï-Wallah'a (to jest *cudzoziemca z Teraï*) tak

zwanego z przyczyny że był złowiony w okręgu Teraï.

Lecz jeszcze cudowniejszą była bitwa tygrysa Burrhea z dzikiem koniem, utrzymywanym w menażeryi królewskiej, którego dla okrucieństwa nazywano w Luknow *pożeraczem ludzi*. Wyrwawszy się pewnego razu, zwiędz ten roztratował kilkudziesięciu ludzi. Król, gdy mu o tém doniesiono, roześmiał się i rzekł: „Kiedy on taki straszny, to go puścić w zapasy z Burrheą, on go nauczy rozumu.” Wprowadzono obydwóch zapaśników do szranek. Jak tylko się spostrzegli, odgadując czego od nich wymagają, zaczęli gotować się do walki. Koń, spuściwszy głowę, utkwiał nieruchomie wzrok w przeciwnika, prowadząc okiem za wszystkimi jego ruchami i starając się zawsze być obróconym doń tyłem. Tygrys kręcił się zaczajony po cyrku, jak gdyby nie nie przedsiębrał przeciwko życiu nieprzyjaciela, ale czekając sposobnej chwili. Tym sposobem upłynęło kilka minut. Nagle tygrys, szybkim jak błyskawica skokiem, rzucił się na swą zdobycz. Koń mu nadstawił grzbietu, i wierzgnąwszy, rzucił go na ziemię. „Nic nie szkodzi, Burrhea zwycięży!” rzekł król, tygrys wstał, i zapaśnicy znów rozpoczęli swe obroty. Po chwili Burrhea skoczył powtórnie, ale tym razem potoczył się, straszliwie rycząc i szukając miejsca do ucieczki. Wierzgnięcie konia strzasnęło mu szczękę. „Ależ, rzekł król, ten *pożeracz ludzi*, to jakiś chwyt. Wypuścić na niego dzikich bawołów.” Wprowadzono do cyrku trzy ogromne bawoły, które z miną zdziwioną i głupowatą zdawały się niepojmować czego od nich wymagano. Pojętniejszy od nich koń, chciał widać poznać naturę tych nowych nieprzyjaciół. Podszedł więc bliżej i odważył się oprzeć swoją długą szyję na grzbiecie jednego z bawołów; lecz ogromne te zwierzęta nie zwracały nań uwagi, i zdawało się że wcale ich nieobchodzi. Z poufałości rodzi się zuchwalstwo, powiada autor. Koń, ośmielony tą bierną postawą przeciwnika, uderza go kopytem. Zdziwiony taką śmiałością, bawół podnosi głowę, jakby starając się zrozumieć przyczynę tego niespodzianego napadu. „Ależ to zuch z tego konia, zawołał król, chcę aby miał życie ocalone.” Wprowadzono z cyrku *pożeracza ludzi*, który się okazał tak przemyślnym, i który przytomnością swoją umiał zwyciężko wycofać się z walki.

„Wyznaję, mówi autor, że walka nosorożców ze słoniami którą tu widziałem, nie wzbudza takie-

go zajęcia, jakiego by się można spodziéwać. Za to walka samych słońi przedstawia widok jeszcze niezwyčajniejszy niż sobie wyobrażałem. Bitwa słońiów miała miejsce w obszérnym ogrodzeniu, na brzegu Goomty, a widzowie patrzyli na nią bezpiecznie z przeciwnego brzegu. Na każdym słońiu siedział *mahu*, który kierował tym olbrzymim zwierzem za pomocą sznura założonego na jego kły i ogon. Dwa słońie zbliżają się ku sobie z trąbą wzniesioną do góry, uderzają się czołami, a powstający ztąd łoskot jest tak silny, że słycać go na pół mili (angielskiéj) i że częstokroć strzaskane kły lecą w powietrze.”

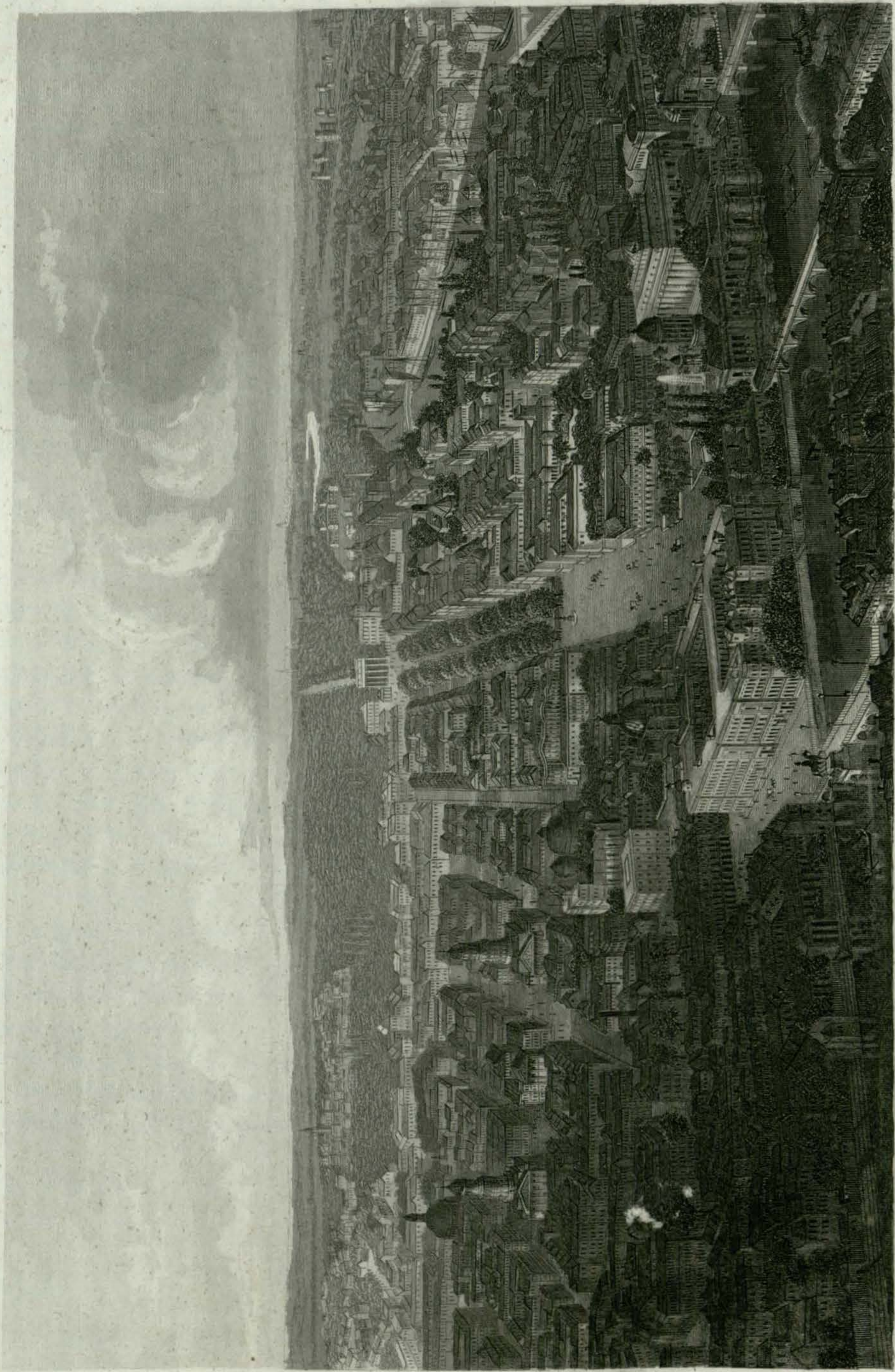
W bitwie opisanéj przez byłego sługę króla Nussira, słoń Malleer został zwycięzcą. Jego przeciwnik, cofając się ciągle przed nim, został przyparty do Goomty i rzucił się w wodę. Malleer chciał go ścigać, czemu się *mahu* sprzeciwiał. Malleer upiera się przy swoim, a *mahu* podwaja usiłowania aby powściągnąć jego zapał. Słoń, utraciwszy cierpliwość, w chwili wściekłości zrzuca swego przewodnika, który spadając z wysokości téj żyjącej wieży, rani się i niemoże podnieść. Malleer podnosi wtedy swoją ogromną łapę, stawia ją na piersiach nieszczęśliwego i gruchocze mu klatkę piersiową z taką siłą, że chrzęst kości daje się słycać aż na drugim brzegu; potém porywa trąbę trupa za ramię, wylamuje je i rzuca w powietrze. Widzowie z niemém przerażeniem patrzyli na tę scenę, nieśmiejąc jednak jéj przerywać. Lecz wkrótce nowy wypadek powiększa jeszcze wzruszenie. Kobiéta jakaś, niosąc dziecię na ręku, biegnie do słońia: była to żona mahuta. „O Malleer, Malleer! zwierzu okrutny! widzisz coś zrobił! Otóż nasz dom zburzony. Zniszczyłeś dach, zgruchocze i mury. Zabijeś mi męża, któregom tak kochała, zabijże teraz i mnie i naszego syna.”

Może sądzicie że Malleer zaczął ryczyć i grozić? Nie, Malleer był bohaterem, i jak każdy bohater miał swoje chwile wściekłości, podczas któ-

rych niebezpiecznie było zbliżyć się do niego, ale miał także wspaniałe i rycerskie instynkta. Wściekłość jego ustąpiła, gdy usłyszał wyrzuty wdowy. Cofnął łapę gniotącą trupa, i spuściwszy głowę patrzył na boleść biédnej kobiety, słycał cierpliwie jéj wyrzutów i narzekań. Tymczasem dziecię mahut'a bawiło się pod nogami olbrzyma i igrało z jego straszliwą trąbą.

Zdawało się że napad gniéwu Malleera przeminął. Jeźdźcy uzbrojeni lancami, których obowiązkiem jest wypędzać słońiów z cyrku, sądzili, widząc bohatera pogrążonego w boleści, że nadeszła chwila w którój, nieobawiając się niebezpieczeństwa, mogą dopełnić swego obowiązku; lecz byli w błędzie. Malleer odwrócił się, potrząsnął uszama i mruknął, jakby chcąc im powiedzieć: Żłem zrobił, i to mi jest przykro; lecz nie wam winienem zdać rachunek, tylko téj biédnej kobiecie i temu słabemu dziecięciu. Wy, jeśli niechcecie ścigać na siebie jakiego nieszczęścia, szybko uciekajcie. Nie zważali jednak na tę niemą wymowę i chcieli go ukłuć. Malleer wściekły odwraca się, ryczy, podnosi trąbę i biegnie ku napastnikom, a jeźdźcy i konie uciekają przed nim co tchu. I nie obesłoby się znowu bez jakiej ofiary, gdyby nie roztropność króla. „Niech nań zawoła żona mahut'a, on jéj posłucha.” Kobiéta zawołała, i wściekły Malleer przybiega jak wyżeł na głos swego pana. „Niech ta kobiéta wsiądzie na niego z dzieckiem, i niech go wyprowadzi!” rzece król. Na rozkaz wdowy słoń ukląkł i pozwolił jéj wsiąść na siebie, poczem jéj podał trupa męża i następnie dziecię. Od téj chwili niechciał już innego przewodnika.

„Takie było życie Nussir-u-deen'a, mówi nasz autor w zakończeniu swéj ciekawéj opowieści, i takim będzie życie każdego króla Udy, dopóki Anglia pozwalać będzie aby miliony ludzi w jéj oczach były ciemnione, niszczone, obdzierane i oddawane na łup niewiadości i zbrodni.”



Berlin.

BERLIN.

Zanim przystąpimy do opisu teraźniejszego Berlina, wypada nam powiedzieć słów kilka o przeszłości tej świetnej dziś stolicy monarchii pruskiej, a mianowicie o pierwszych jej początkach.

Nie ulega już dziś wątpliwości, bo sami pisarze niemieccy to przyznają, że Berlin pierwotnie był miastem słowiańskim. Dowodzi tego sama jego nazwa, której źródłosłowu Niemcy napróżno starali się odszukać w dawnych narzeczach germańskich. Klöden ¹⁾ nazwisko Berlina wywodzi od osady słowiańskiej *Borolina*, i dodaje że za Bolesława Wielkiego, aż do roku 1025, należała do Polski. Wywód ten jednak zdaje się naciągany, i prawdopodobniej miano Berlin pochodzić może od *berla*. W gubernii podolskiej powiecie latyczowskim znajdują się dwie wsie podobnego nazwiska, *Berlince Polowe* i *Berlince Lasowe* ²⁾, z których pierwsza przywilejem Stanisława Augusta z dnia 7 grudnia 1767 została podniesioną do godności miasta i obdarzoną prawem magdeburskiem.

Uczony nasz badacz, Dominik Szulca, w osobnym artykule rozświetlił historią początku tego miasta ³⁾. Według niego „gdy Henryk Brodaty, władca Szląska, idąc za radą żony swojej, pobożnej Jadwigi, uczynił przedsięwzięcie zupełnego poświęcenia się służbie Bożej i podzielił kraj między trzech synów, natenczas najstarszy z nich, Bolesław, otrzymawszy w udziale księstwo lubuskie rozciągające się do Sprowy (Sprei), sprzedał powiat zachodni z zamkiem w roku 1213 margrabiemu brandeburskiemu.

„W części kupionej przez margrabię, nad samą Sprową, było miasteczko posiadające 42 włóki gruntu, które się trudniło uprawą roli, połowem ryb, a od czasu do czasu miéwało targi. Grunta obywateli miejskich rozciągały się na południe do wsi Strzałowa (Stralau), będącej własnością ziemianina Strzałowskiego. Za miastem stał dworzec okolony ogrodem i gruntami. Miasteczko to, na prawym brzegu Sprowy, nazywało się *Kolno* (Köln).”

¹⁾ „Ueber die Entstehung, das Alter und die frühere Geschichte der Städte Berlin und Köln.”

²⁾ Starożytna Polska Bal. i Lip. T. II, str. 1051.

³⁾ Gaz. Warsz. r. 1852 N. 325.

Według przypuszczenia p. Szulca, opartego na dowodach historycznych, Kolno dało początek Berlinowi na lewym brzegu Sprowy, który następnie, dla powodów politycznych, stał się stolicą całego margrabstwa, a później królestwa. Założenie jego przypada około roku 1240, a w czterdzięci lat później, to jest 1280 roku, odbył się tu sejm walny, z panami rad, urzędnikami ziemskimi i biskupem.

Pod książętami z domu Hohenzollern Berlin i Kolno, stanowiące dwa osobne jeszcze miasta pod jednym magistratem, szybko się wzmagaly. Elektor Fryderyk II około roku 1442 wznosił tu warownią, którą później przerobiono na dzisiejszy zamek królewski. Po nim Jan Cicero obrał Berlin za stolicę książęcą, co naturalnie do wzrostu miasta wiele się przyczyniło.

Władysław IV, wstąpiwszy na tron polski po ojcu, wysłał z doniesieniem o tém postronnym monarchom Jana Zawadzkiego, starostę świeckiego, (później kasztelana gdańskiego, a w końcu wojewodę parnawskiego), który o stanie ówczesnym (1633) stolicy elektorskiej tak się wyraża: „Widok z zamku na miasto Berlin dosyć przyjemny. Leży ono nad rzeką Sprą, dzielącą miasto na dwie części, z których jedna zowie się Kolonia, druga Berlin. Połącza je most. Obszerne dosyć gospody i sklepy towarów pełne, wałą się okolne mury; rowy w około podwójne, mogą być napełnione wodą.” ¹⁾

Najwięcej jednak do przyozdobienia i rozszerzenia Berlina przyczynił się elektor Fryderyk Wilhelm, nazwany przez Prusaków Wielkim, który założył w nim bibliotekę publiczną, galeryę obrazów i gimnazyum. Pod tego też władzcy panowaniem Prusy książęce traktatem welawskim (19 września 1657) zyskały niezależność od korony polskiej, której dotychczas podlegały prawem lennym. Syn i następca jego, elektor Fryderyk III (od roku 1701 pierwszy król pruski, pod imieniem Fryderyka I), rozpoczął budowę dzielnicy Friedrichstadt, i miasto pod koniec jego rządów liczyło już 50,000 mieszkańców. Pod Fryderykiem

¹⁾ Zbiór Pamiętn. o dawniej Polsce, wyd. Bobr. T. III, str. 100.

Wilhelmem I liczba ta wzrosła do 90,000, a pod Fryderykiem Wielkim, który wzbogacił Berlin wielą okazałymi gmachami i zakładami, ludność stolicy pruskiej wynosiła 145,000. Przyrost ten niesłychanie szybki, obok sprzyjających stosunków politycznych, przypisać w części należy i napływowi wychodźców francuzkich i czeskich. Fryderyk Wilhelm II i III zwrócili głównie uwagę na podniesienie przemysłu, oświaty i sztuki, oraz polepszenie instytucyj miejskich, i w duchu tym roku 1809, pośród burzy wojennej, wstrząsającej posady monarchii pruskiej, założony został uniwersytet berliński, który wkrótce, za współdziałaniem znakomitych professorów, został ogniskiem naukowości niemieckiej.

Dzisiajszy Berlin liczy około 13,000 domów i 450,000 mieszkańców, a wspaniałością swych budowli, regularnością ulic, wielkością zakładów naukowych, artystycznych i dobroczynnych, a nade wszystko ruchem i życiem przemysłowem, zaliczonym być może do najpiérwszych stolic Europy. Zakres artykułu tego nie pozwala nam wdawać się w szczegółowy opis miasta, w wyliczanie jego ulic, placów, i gmachów co z resztą dla czytelników byłoby nużącym: damy jednak ogólną charakterystykę zewnętrzną i społeczną fizyognomii Berlina, oraz wspomnimy o ważniejszych jego zakładach i dziełach sztuki.

Berlin, w dzisiajszej swój postaci, jest miastem przeważnie nowożytnem, jakkolwiek w dawniejszych dzielnicach nie brak ciasnych i krętych zaułków, z domami i kościołami noszącymi na sobie cechy dość sędziwej starości. Jednakże główny interes Berlina stanowią nie starożytne pamiątki, nie romantyczne podania przywiązane do jego pałaców, nie wielkie wypadki historyczne, lub sięgające odległej przeszłości dzieje artystyczne, — owszem uderza w nim fizygnomia całkiem nowoczesna i ślady szybkiego rozwijania się za naszej już pamięci. Rzeczywiście żadne może z miast, nietylko niemieckich, ale całej Europy, nie wzmo-gło się tak nagle i tak wszechwzględnie jak Berlin, który słusznie nazwać się może stolicą europejską, podczas gdy Monachium na przykład, pomimo niesłychanego rozwoju swojego w kierunku jednostronnym, zasługuje tylko na miano siedliska sztuk pięknych.

Charakter Berlińczyków tyle ma w sobie odrębności, i różni tak różne o nim ogłaszali zdania, że warto w kilku słowach określić główne jego

cechy. Berlińczyk niższych stanów jest żywy wielomówny, dowcipkujący i skłonny do wybryków (tém bardziej że licznystosunkowo proletaryat miejski częstszą ku temu nastęrcza mu sposobność), lecz przytém dobroduszny i usłużny. Wyższym klassom, nie bez powodu, zarzucają obojętność, ironią i sobkostwo. Najbardziej odróżniającym znamieniem prawdziwego Berlińczyka jest chęćka popisywania się z dowcipem, istotnie dosyć oryginalnym i trafnym, lubo zwykle osnowanym na stosunkach miejscowych, a więc nie dla wszystkich zrozumiałym. Dla cudzoziemców Berlińczyk jest grzecznym i uprzedzającym, a jeśli przybysz zręczną pochwałą „pięknego Berlina” umie trafić w słabą jego stronę, to już go kupił, jak to mówią, ciałem i duszą. Przeciwnie żadnych przygan lub docinków wymierzonych przeciw miejscowości Berlińczyk bezkarnie nie przepuszcza, gdyż prawo dowcipkowania w tym względzie przyznaje on tylko sobie. Każdy tóż cudzoziemiec, wdający się w podobną szermierkę, niezawodnie zostanie pobitym, a przynajmniej przegadany.

Z zakładów naukowych i artystycznych Berlin, oprócz uniwersytetu posiada sześć gimnazyów, szkoły: górniczą, artylerji i inżynieryi, budownictwa i weterynaryi, korpus kadetów, instytut głuchoniemych i ociemniałych, seminaryum nauczycieli rządowych, słynną akademią sztuk pięknych i przeszło 300 szkół niższych. Odznacza się również wielością i wybornem urządzeniem zakładów dobroczynnych, w liczbie których piérwsze miejsce zajmuje główny szpital (Charité), mogący pomieścić 9,000 chorych.

Pod względem przemysłowym Berlin jest ogniskiem industrii całego państwa. Liczne i rozległe fabryki wyrobów jedwabnych i bawełnianych, sukna, płótna, kobierców, obić papierowych, papieru, porcelany, wyrobów żelaznych, złotniczych i bronzowniczych, narzędzi chirurgicznych, optycznych, matematycznych i muzycznych po całych Niemczech rozsyłają swoje płody. Godnym szczególniej uwagi jest olbrzymi zakład budowy maszyn Borsig'a, jeden z największych w całym świecie, oraz królewska odlewnia przedmiotów żelaznych i fabryka porcelany.

Z gmachów publicznych i pomników sztuki wymienimy tylko ważniejsze, jak: kościół katolicki, zamek królewski, z szacowną galeryą obrazów i innymi zbiorami; arsenał przeslicznej architektury; dalej mennicę, uniwersytet, pałac radziwiłłow-

ski, pałac królewski Monbijou, gmach opery i wystawiona na wzór *propylaeum* ateńskiego, bramę brandenburską, ze słynnym posągiem bogini zwycięstwa, który w roku 1807 wywieziony przez Francuzów do Paryża, od roku 1814 zdobi znów jej wierzchołek. Z dzieł sztuki wspomnieć jeszcze należy głowy umiérających wojowników, wyrobione w wypukło-rzeźbie na ścianach podwórza arsenału; posągi Scharnhorst'a, Bülow'a i Blücher'a, dłuta znakomitego rzeźbiarza Rauch'a, tudzież spi-

żowy posąg konny elektora Fryderyka Wilhelma, podług modelu Schlüter'a odlany przez Jacobi'ego. Okolice miasta, jednostajne, piaszczyste i skąpo od natury obdarzone, zdołała jednak sztuka uczynić dosyć powabnymi. Oprócz znanego *Thiergarten* za bramą brandenburską, ulubionymi miejscami wycieczek Berlińczyków są: zamek Bellevue, góra zwana *Kreuzberg* za bramą halską i Potsdam, druga rezydencya królewska.

L. J.

LIST P. BARTHELEMY SAINT-HILARE,

CZŁONKA INSTYTUTU FRANCUZKIEGO,

do p. Bertin redaktora dziennika *Débats*.

Z pustyni między Suez i Peluzyum
... 1856.

Mam zaszczyt przesłać panu w tym liście opis cudownego zwierza, który bardzo nam był pożyteczny w czasie naszej podróży, i któremu dlatego winniśmy oddać hołd należnej wdzięczności.

Przez dni jednaście posługiwaliśmy się dromaderami, tak dla przebieżenia pustyni która się rozciąga od Suez aż do Peluzyum, jak dla uskutecznienia niektórych wycieczek naukowych, w celu poznania słynnego między-morza.

Jednakże doświadczenie moje nie trwało zapewne dosyć długo, aby należycie ocenić tę jazdę nadzwyczaj wygodną, o której nie można mieć dokładnego wyobrażenia bez poprzedniej próby.

Gdyśmy wyjechali, i gdy na widok karawany każdy z nas musiał się decydować albo za dromaderem albo za osłem, wybrałem bez wahania się dromadera, choćby z tego powodu że to była jazda miejscowa, i wyznam szczerze że przez cały czas podróży nie miałem bynajmniej powodu żałować tego wyboru. Konie od razu zostały wykluczone, ponieważ za wiele piją i prędko się męczą w piaskach. Osioł, chociaż nietyle wstrzemięźliwy jak wielbłąd, wytrzymałszy jest jednak od konia, ale ma nogi za krótkie na te niezmierne przestrzenie, nie może nastarczyć w chodzie swoim ogromnym towarzyszom, i pomimo całej cierpliwości, jest za słaby do tak dalekich podróży, a zwłaszcza

do dźwigania wielkich ciężarów. Niechęć jednak ujmować i osłom, które nam także oddały znakomite usługi, i które w tej okoliczności znalazły kilku zwolenników między naszymi towarzyszami.

Z resztą, mój panie, nie znają tu w Egipcie różnicy którą Buffon uczynił sławną, chociaż może nie z zupełną słusnością. Wielbłąd i dromader toż samo tu znaczy, a jeżeli je rozróżniają, to bynajmniej nie dlatego że pierwszy ma jeden garb, jak to utrzymuje wielki naturalista, a że drugi ma ich dwa; tylko dlatego że jeden dźwiga ciężary, a drugi nie służy pod swém siodłem jak tylko dla jeźdźców. W Egipcie, i zapewne także w Arabii, nazywają je wszystkie bez różnicy wielbłądami.

Ma się więc rozumieć raz na zawsze, że gdy będę mówił o wielbłądzie, to będzie oznaczało zwierzę o jednym garbie, które raz służy pod juki, a drugi raz człowiek go dosiada, kiedy się chce przenosić z jednego miejsca na drugie. Zwierz o dwóch garbach, któremu Buffon nadaje wyłączone nazwisko wielbłąda, nieznajduje się w tych klimatach; patrzano by tu na niego jak na osobliwość, i według wszelkiego do prawdy podobieństwa z trudnością by mu przyszło wytrzymać okropne upały jakie tu panują. Potrzebuje on klimatu cokolwiek chłodniejszego i pochodzi zapewne z Baktryany, jak to mówi Arystoteles, którego nieraz

będę miał sposobność cytować, gdyż jego uwagi są nadzwyczaj sprawiedliwe, aczkolwiek krótkie. Nazywa on te drugie wielbładami arabskimi, i co do mnie, te tylko jedne widziałem. Tak więc dromader będzie oznaczał, jak to wskazuje etymologia jego nazwy, bieguna, wielbłąda który skutecznia pod jeźdźcami kursa szybkie i mordujące; wielbłąd, po prostu nazwany, będzie oznaczał zwierza pod jukami.

To powiedziawszy, wracam do swoich wrażeń osobistych, które panu przesyłam bez żadnych upiększeń, ale po prostu tak jak ich doznałem.

Widok wielbłąda niema nic powabnego, i nie tylko pierwszy rzut oka jest mu nieprzyjazny. Chociaż mu się człowiek długo przypatruje, nie może się z nim oswoić. Nowość tego zjawiska nie jest bynajmniej przyczyną podziwienia jakiego się doznaje.

Pierwszy co wielbłąda zoczył,
Ze strachu aż w tył odskoczył.

mówi Lafontaine, ale prawda że spieszy się dodać:

Drugi się zbliżył; a trzeci już śmiało
Zarzucił powróż na zwierzęcia ciało.

Ten długi kark, prawie wyleniały, ta mała głowa wązka i splaszczona która się ciągle dosyć niezgrabnie kołysze, to znaczne wyniesienie które ma na grzbiecie, nie mówiąc już o tém które ma pod brzuchem, ten kościoskład wystający, te stawy grube i potężne, te guzy które jego przód pokrywają, te nogi szerokie i prawie okrągłe, ta głupiej powagi powolność ruchów, ten brzuch niekształtny, to częste ruszanie wargami które opadają, bo mu braknie przednich zębów u szczęki górnej, jak to już spostrzegł Arystoteles, te dziwaczne pozycje jakie przybięra kiedy się zatrzymuje i stoi z nogami rozkraczonemi, ten ogon goły, wyjąwszy na końcu, tak jak u osła: wszystko to stanowi razem całość niezbyt powabną, daleką od wzbudzenia najmniejszej sympatyj i która już nieraz otwierała pole sarkazmom mnogich dowcipnisiów.

Zgadza się na to że wielbłąd może uchodzić za zwierzę zupełnie niekształtne, lubo nie on jeden tylko jest takim między stworzeniami, gdyż słonia, girafę i parę innych w tym samym postawić można rzędzie; ale na czém mu szczególniej zbywa, to na proporcji, której niema zupełnie między różnemi częściami z jakich się składa, a chociaż wszystkie te części mają swój cel i dosięgają go przewybornie, wzięte odrębnie mieszczą w sobie

coś odrażającego, czego dziwaczne ich spojenie bynajmniej nie łagodzi. Niema doskonalszego zwierza, pod względem zalet praktycznych, jak wielbłąd, ale niema i brzydszego. Przemawiają za nim ze strony estetycznej jedne chyba oczy, które są dosyć łagodne; słowem, możnaby wyrzec że wielbłąd jest jednem z tych stworzeń, że tak powiem niekompletnych, które żyły w innym świecie jak ten w którym my żyjemy i które należały do innego systemu. Przechowały się z tych czasów niektóre gatunki, błakające się jeszcze pomiędzy gatunkami nowemi, lecz te w widocznej są sprzeczności z dzisiajszemi kształtami, i zdają się istnieć na naszej sferze jakby dlatego tylko, by świadczyć o stanie rzeczy który rewolucje wieków przewróciły.

Dodaj pan do tego że wielbłąd nieustannie jęczy; niech co bądź robi jego właściciel, dla którego z resztą nie jest bez pewnego przywiązania i wdzięczności, ciągle się skarży. Czy to każe mu przykłęknąć, czy powstać, czy go ładuje, czy z niego zdejmuje ciężary, jęczy i prowadzi po wszystkiém co go otacza spojrzenia żalodne. Kiedy go się przeladuje, podwaja skargi, i wtenczas staje się on niejako rozumny: są to jakby wymówki i proźby zanoszone do pana, którego zapewne nienawidzi w téj chwili jak swego kata; chciałby zmiękczyć jego surowość, przedstawiając mu że go przeciąża, i dosyćbym uwierzył temu co mówi Buffon o wytrwałym uporze jakiego dają dowód wielbłądy, nie przyjmując za wielkich ciężarów i nie podnosząc się aż wtenczas gdy im się ulży. Widziałem jednego pod moimi oknami w Kairze, który odgrywał rzeczywiście tę małą komedyjkę ze swoim panem; ale i to dodać muszę, że pan jego łagodny nie dał się długo prosić: odrzucił trzecią część ciężaru, i zwierzę, okazując wzajemną grzeczność, powstało bez wielkiej trudu i bez zbytnich tym razem jęków.

Opowiem teraz jak się ładuje wielbłąda.

Każe mu się nasamprzód zniżyc, a on przylega brzuchem do ziemi, podkurczywszy pod siebie tylne swe nogi. Na grzbiecie, ma kulbakę, zwykle trójkątną, dosyć niezgrabnie zrobioną, ale mocną i silnie popręgami ściągniętą. Z tyłu i z przodu kulbaki wystają dwie kule, a do nich przywiązują się sieci, w których się ciężary mieszczą. Sieci te, wyrabiane z prostych aloesowych albo palmowych sznurów, dosyć są mocne by wytrzymać znaczne ciężary. Kiedy wielbłąd się położy, sieć ta spada na zie-

mię, gdzie się ją układa z pewną starannością. W tę sieć wkładają się towary, poczem człowiek stojący z jednej strony, podaje końce sieci swemu towarzyszowi, który w tym samym czasie z drugiej strony wykonał podobną czynność. Gdy obaj już przymocowali i wyrównali paki, wiążą się sznury z sobą i całe ładowanie skończone. Ciężar jest wówczas zrównoważony, a gdyby to przypadkiem nie zupełnie się udało, to się przywraca równowagę, podnosząc cokolwiek pakunek przeważający, który leżąc wyżej na boku wielbłąda, będzie tém samém cokolwiek mniej ważył.

Przewodnicy wielbłądów wykonywają tę czynność z nadzwyczajną zręcznością, siłą i szybkością, i niezawodnie mniej im potrzeba czasu do naładowania wielbłąda, jak nam do opisu. Jest to z resztą rzecz wielkiej wagi, gdyż złe rozłożenie ciężaru i złe onego naładowanie męczy nadzwyczaj biędne zwierzę, odparza je i zmusza do zatrzymywania się w drodze. Przeciwnie dobrze naładowany wielbłąd idzie lżej, jeżeli nie prędzej, a gdy przytém podłoży się pod kulbakę wojłok albo grube płótno, zabezpiecza go się zupełnie przeciw odparzeniu. Raz naładowany wielbłąd, powstaje z siłą prawdziwie zadziwiającą. Ciężar który ma na grzbiecie nie zdaje się bynajmniej go obchodzić, chociaż zwykle waży od czterystu do czterech set pięćdziesięciu funtów, a muskularne jego nogi prostują się pod ciężarem, bez najmniejszej trudności lub oznaki wysilenia.

Sądzę że Buffon przesadza, gdy mówi że wielkie wielbłądy są w stanie dźwigać ciężary od 1000 do 1200 funtów, a małe dźwigają od 600 do 700 funtów. Ze wszystkich wiadomości które w tym względzie pozbiérałem, przekonałem się że siła ich zaledwie do połowy tych cyfr dochodzi i że zwykle ładunek średni wielbłąda liczy się 500 funtów. Naturalnie że ładunki bywają rozmaite, ale wątpię by kiedykolwiek dochodziły do maximum Buffona. Nieraz przechodziły koło mnie wielbłądy największych gatunków; paki wiszące po ich bokach zdawały się być ogromne, ale nigdy ciężar jednego nie wynosił więcej jak liczba którą wskazałem. Buffon nie podróżował po Wschodzie, i nie mógł sprawdzić cyfr które mu przesłano. Zresztą uwielbiał on nadzwyczaj wielbłąda, jak i ja to czynię za jego przykładem; być więc może że z tego powodu dodał mu jeszcze siły, której i tak ma dosyć. Ci którzy w czasie swych podróży po pustyniach długo się wielbłądami posługiwali, jak n. p.

p. Wellstedt, oficer marynarki wschodnio-indyjskiej, znają całą ich wartość i nie mogą się dosyć ich nachwalić (Travels in Arabia, tom 1-y str. 300.)

Przypatrzmy się teraz wielbłądowi naładowanemu w pochodzie; tu się dopiero rozwijają w całej pożyteczności, i rzec można w całej wielkości, przymioty jakimi go natura obdarzyła. Tak jest posłuszny, że zaledwie potrzeba go prowadzić; sznur wiąże go do towarzysza który go poprzedza. Postępuje on za nim najregularniej, nie zwracając się ani na chwilę, nie zwalniając ani przyspieszając kroku, bez narowów, lenistwa, bez najmniejszej złośliwości. Czasami idzie rzędem trzydziści, pięćdziesiąt wielbłądów, a dosyć jednego człowieka, jednego dziecka na czele, by kierować całym tym rzędem.

Ale posłusznosc jest najmniejszym z przymiotów wielbłąda, chociaż przy nadzwyczajnej jego sile bardzo już znaczącym; wielbłąd posiada jeszcze inny, daleko ważniejszy, stanowiący niejako wyłączny jego przywilej między zwierzętami. Tym przywilejem jest możność obejścia się bez napoju przez długi przeciąg czasu.

Buffon mówi że w napadach rozbójniczych Beduinów, wielbłądy których oni używają zostają dziewięć i dziesięć dni bez picia, i to robiąc dziennie od dwudziestu do dwudziestu pięciu mil. Zupełna to prawda, i nasze wielbłądy, o których mieliśmy dostateczne staranie, z wielką łatwością obywaty się dziesięć dni bez napoju. Wyszły z Kairu 16 grudnia, obładowane naszymi pakunkami a szczególnie woda, której same nie miały skosztować. Czwartego dnia stanęliśmy w Suez, miejscu równie bezwodnem jak cała otaczająca to miasto pustynia, i dopiero 25, kiedyśmy się znaleźli dosyć blisko wód Nilu, w Uade-Tomila, wynagrodziliśmy je o kilkanaście wiorst dalej za całe ich pragnienie przeszłe i przyszłe.

Pewien wojskowy francuzki, który zostawał dosyć długo w służbie beja tunetańskiego, opowiadał mi że podczas jednej wyprawy wielbłądy jego nie piły przez dwadzieścia trzy dni zrzędu. Wielu ludzi z oddziału którym on dowodził umarło z pragnienia, pomimo wszelkich środków ostrożności jakie w tym względzie przedsięwzięto. Wielbłądy schudły, ale ani jeden nie zachorował. Nie ręczę za prawdziwość tego faktu, gdyż niebyłem jego osobistym świadkiem, ale mam całe zaufanie w rzetelności oficera który mi go opowiadał, i co do mnie nie waham się zupełnie przyznać

mu słusność, sądząc po tém co sam mogłem uważać. Pan Wellstedt, którego opowiadania nie są podejrzane wspomina, o wielbłądach które nie piły przez dni dwadzieścia pięć i niewiele z tego braku ucierpiały. (Tom 1 str. 298.)

Ten przymiot nieoceniony w pustyniach które karawany zmuszone są przebywać, pochodzi z wyłącznej organizacyi, jaką jedentylko wielbłąd przedstawia między wszystkimi zwierzętami odzuwającymi. Oprócz czterech wspólnych im wszystkim żołądków, o których już wspomina Arystoteles, ma on jeszcze i piąty, służący wu wyłącznie dla przechowania wody, której umie używać z przezorną wstrzeźliwością. Kiedy może pić dowolnie, nagromadza on w téj torbie znakomity zapas wody, i gdy mu pragnienie dokucza, może się bez innej zewnętrznej obejść, dzięki téj jaką potrafił wewnątrz nagromadzić i która mu na długo wystarcza. Nie miesza się ona bynajmniej z innymi płynami wewnętrznymi ani z sokami trawiącymi. Dostyc mu lekkiego ściągnięcia mięśni, by popchnąć tę wodę aż do gardła, i tak sam się napawa za pomocą téj irygacyi wewnętrznej i ukrytej.

Częstokroć, kiedy przechodziliśmy koło naszych wielbłądów w czasie kiedy ony spoczywały i przeżuwały spokojnie, słyszeliśmy w ich gardłach i jakby w głębi ich żołądków głos osobliwy, który nas zastanowił. Jednego nawet z naszych towarzyszy bardzo to bawiło, i starał się naśladować to huczenie niby podziemnej kaskady. Był to odgłos głuchy téj wewnętrznej fontanny, za pomocą której biedne zwierzęta napawały się, nie ruszając się z miejsca i nie sprawiając nam najmniejszego kłopotu.

Wstrzeźliwość wielbłąda nie dotyczy się jedynie napoju. Pożywienie jakiego potrzebuje również jest nieznaczne; dosyć dlań niewielkiej gałki ciasta na całodzienną strawę. Najczęściej i bez tego się obchodzi, przestając na spaszaniu krzewów suchych lub zielonych, które natrafia w pochodzie, a które zrywa bez zatrzymania się. Wieczorem dostaje garść bobu, którą mu kładą na rozciągniętym płótnie i którą kruszy zwolna pod swoją silną szczęką. Często widziałem trzech lub czterech wielbłądów w okolo płaszcza na którym posypano skromną ich strawę. Siedziały na brzuchach, a kładąc swe głowy na tym improwizowanym stole, brały następnie po trosze bobu, każdy ze swój kupki, nie mieszając ich razem, nie kłócąc się z sobą, lecz zgodnie jak bracia. Zdaje się jednak że nie

wszystkie wielbłądy są tak spokojne. Pan Wellstedt utrzymuje że wielbłądy z Yemen bywają bardzo złośliwe i że częste staczają z sobą utarczki. (Tom 1 str. 299.)

Ostatnią nareszcie zaletą wielbłąda jest pewność jego kroku. Nogi ma bardzo szerokie i stawia je na piasku z pewnością jakiej nigdy konie, nawet najlepsze, nieposiadają. Rozdwojone, jak u wszystkich zwierząt odzuwających, nogi te mają organizacją zupełnie wyłączną, którą się anatomici wiele zajmowali. Są ony mięsiste i dosyć czule, i dlatego w długich pochodach wojska miano je niegdyś starannie obwijać szmatami, jak nam to powiada Arystoteles, który zwraca jeszcze i na to uwagę, że wielbłąd jest jedynym, oprócz człowieka, zwierzem, mającym nogę tyle mięsistą. Nieuważałem aby nasze cierpiały choćby najmniej z powodu, który zresztą nie był zbyt wielki. Lecz ta szerokość nogi prawie okrągłej i ta pewność stąpania, dają człowiekowi siedzącemu na dromaderze nieporównane bezpieczeństwo. Nigdy się wielbłąd nie potknie, a nawet nigdy nie zachwieje. Chód jego jest tylko pozornie powolny, z powodu bowiem że jego nogi są bardzo długie, krok tém samym jest szeroki, i wielbłąd nie spiesząc się robi milę na godzinę; gdy się zaś puści kłusem, łatwo ich zrobi dwie, trzy, i wytrzyma ten marsz bez przerwy przez dwadzieścia cztery godzin. Arystoteles, utrzymując że są dromadery które wyścigają w biegu najszybsze konie, a mianowicie sławne konie z Nissy, daje za przyczynę toż samo co już nadmienilem: długość ich kroku. Nie przeczę temu twierdzeniu, które może być prawdziwe co do niektórych wyborowych dromaderów, ale zawsze ma się to tylko rozumieć o kłusie.

W jeździe konnej galop bywa zwykle łagodniejszy i wygodniejszy od kłusa; na wielbłądzie przeciwnie jest nie do wytrzymania. Prawda że wielbłądy niepozwalają go sobie jak tylko w pewnych chwilach; ale wtenczas niemasz jeźdźca któryby dosiedział na siodle, jakkolwiek posiadałby siłę i zręczność. Czy chcecie, czy nie chcecie, trzeba zlecić, z większym lub mniejszym niebezpieczeństwem i stłuczeniem. Aby poskromić te niebezpieczne szaly, przewłóczy się igłą nitkę przez jego nozdrza, i to wędzidło, jakkolwiek subtelne, dostatecznym jest do wstrzymania go, a przynajmniej do przywrócenia mu jego zwykłej łagodności. Beduin téż, wsiadając na dromadera, ma zawsze w kieszeni igłę i nici; a jeżeli zostanie zrzuconym,

robi tę małą operacją swemu wielbładowi jak go tylko złapie.

Jednakże i bez tego szalu wyłącznego, który go unosi galopem, wielbłąd przebiega nie do uwierzenia znaczne przestrzenie jedynie kłusem. Mehmed-Ali, za powrotem z jednej ze swoich wypraw do Arabii, dowiedział się w Suez że bunt niechybnie ma wybuchnąć w Kairze. Ruszył on natychmiast w drogę, i w dziewięć godzin przebiegł szesnaście mil bez odpoczynku. Lecz co dziwniejsza, wierny jego Sais przebiegł te szesnaście mil tak prędko jak i wielbłąd, trzymając się jedynie sznurów które wiszą zwykle u siodeł bogato przystrojonych. Czyn ten jest doskonale wiadomym w Egipcie, i Sais żył jeszcze długie lata po tym wyścigu bajecznym i szalonym.

Porucznik Wellstedt widział kursa wielbłądów, które ścigały się jak nasze rasowe konie. Miało to miejsce w pokoleniu Geneba, jedném z najznakomitszych prowincyi Hedjaz (*Travels in Arabia*, tom I str. 71. Pomimo całej swojej sympatyi dla wielbłąda, niechętnie on go widział w tak niestosownych szrankach. Wielbłądy ubiegające się o nagrodę szybkości! Była to śmieszna myśl, która bynajmniej niezgadzała się z powagą tego stworzenia. Nie jego to przeznaczenie tracić podobnie czas i siły; nieposiada bowiem ani lekkości, ani elegancyi potrzebnej do podobnych popisów. Kłusem możeby jeszcze rzecz była interesująca: galopem zupełnie się nie udała. Wielbłądy po krótkiej chwili wpadły w szal, i gdyby nie przerwano tej dziwnej rozrywki, byłby się przytrafił niejeden wypadek. Daleki od utrzymywania z Aristolesem że wielbłąd może rywalizować z koniem, pan Wellstedt mniema że galop jego wyrównywa za ledwie w trzeciej części galopowi dzielnego konia. Przeznaczeniem téż wielbłądów są tylko długie pochody, podczas których padłby wkrótce najlepszy koń; lecz nie są ony wcale stworzone do szalonych wyścigów, trwających za ledwie parę minut. Wielbłądy z Omanu, najmocniejsze a zarazem i najłagodniejsze, jak się zdaje mogą iść kłusem trzydziści sześć godzin ciągiem i odbyć pochód sześćdziesięciu mil i więcej bez odpoczynku, lecz nie zdołałyby przebiec czterech wiorst w pięciu minutach, jak to wykonał niejeden koń kursowy.

Wiadomo wszystkim że używanie wielbłądów jest jedynym środkiem podróżowania i przenoszenia towarów w palących klimatach w których on żyje, i że on jeden tylko może wytrzymać tyle

trudów i tyle niewygód. Bez niego człowiek nie byłby w stanie przebyć pustyni, i większa część ziemi została by niedostępna. Byłoby to rzeczą dosyć obojętną dla nas, ludzi cywilizowanego świata, którzy niedbamy o te straszne i nieurodzajne płaszczyzny. Ale gdyby Nieba niebyły stworzyły wielbłąda, Afryka prawie cała i czwarta część Azji zostałyby niezamieszkałe; a wątpię żeby ludzie tamtych stron tak łatwo na to przystali jak my sami. Lubią oni nadzwyczaj swoje pocziwe wielbłądy, szanują je wielce i mają o nich największe staranie, a gdy przyjdzie z powodu słabości porzucić którego w pustyni, gdzie go czeka żelazny dziób sokoła, nie czynią tego jak ze smutkiem, który i zwierzę podziela, jakby przewidywał śmierć straszną i męki okropne jakie mu zwiastują drapieżne ptaki krążące natychmiast ponad jego głową, gdy tylko od karawany zostanie oddzielonym.

Mówiłem dotychczas tylko o wielbłądzie który dźwiga towary, namioty i prowianty, a jednak szczególnie dromadera chciałem panu dać opis dokładny. Potrzeba wybierać sztuki silne pod ciężkie ładunki, tak towarów jak innych zapasów potrzebnych dla życia karawany, ale trzeba także i takich na którychby człowiek mógł jeździć, puszczając się w podróż przez puszcze, czy to w celu jakiego handlu korzystnego, czy dla nauki, ciekawości lub dla innej jakiej potrzeby.

Przyznaję że kiedy się pierwszy raz patrzy na tę wysokość na której trzeba się będzie umieścić, uczucie jakiego się doznaje jest rodzajem przestachu, a przynajmniej wstrętu. Widziałem dromaderów których grzbiet wraz ze siodłem miał blisko dziesięć stóp wysokości. Usadowić się na takim wyniesieniu nad poziom, w położeniu niezwykłym, na siodle nieosobliwie sporządzonem, nie jest rzeczą zbyt zachęcającą, i znalazło się téż kilku z naszych towarzyszy, którzy się oparli tej próbie aż do końca podróży. Ale raz wdrapawszy się na tę górę, jest się tam bardzo bezpiecznym, i wkrótce się człowiek z tém położeniem zupełnie oswaja.

Samo nawet konieczne kołysanie się całego ciała, które idzie za przechyleniem się wielbłąda, a do którego się wkrótce nawyknie, nie jest bez przyjemności. To chybotanie się nie sprawia bynajmniej choroby tak zwanéj morskiej, jak to wszyscy powtarzają i czemu wszyscy wierzą. Ja na przykład okropnie choruję na morzu, a jednakże niecierpiałem nawet przez pół sekundy z chy-

botania się wielbłąda. Ta więc obawa jest tylko przesadą, i dosyć przypatrzeć się jakie jest położenie jeźdźca na dromaderze, by zrozumieć że nie ma tu nawet powodu do owych strasznych nudności których się doznaje na okręcie. Ale prawdziwa trudność polega na dosiadanu wielbłąda, bo chociaż ją się przy wprawie zwycięża, jest zawsze dosyć znaczną, nawet gdy się ma do czynienia z wielbłędami łagodnymi i posłusznymi. Pozwól mi pan opisać jakim sposobem do tego się przystępuje.

Potrzeba kazać przysiąść wielbładowi; w tym celu ciągnie się go za uździennicę aby zniżył głowę, i żeby wiedział czego się po nim wymaga, wydaje się pewien głos gardłowy, który on zna doskonale. Kiedy się dromader położy, jest i tak jeszcze bardzo wysoki, i byłoby niepodobieństwem dostać się na siodło, a przynajmniej należałoby nań wskoczyć zręcznością którą nie każdy posiada. Do ułatwienia więc tego służy strzemień przymocowane do przedniej kuli siodła.

W to strzemień wkłada się lewą nogę, i wtedy dopiero zaczyna się niebezpieczeństwo, jeżeli tu o niem może być mowa. Jak tylko wielbłąd poczuje że się ma nogę w strzemieniu, natychmiast stara się podnieść, i im zwierz jest szlachetniejszy, tém ten ruch bywa szybszy. Gdyby wielbłąd powstał nagle, znalazłbyś się w bardzo krytycznym położeniu, w chwili kiedy lewa noga uwięziona jest w strzemieniu, a ręce nie miały jeszcze czasu uchwycić za kule. By uniknąć tej niedogodności, zazwyczaj ktoś trzyma za uździennicę gdy się wsiada, a przytrzymując ją nisko przy ziemi, żeby wielbłąd nie mógł podnieść głowy, naciska mu przytém nogą kolano, żeby go za prędko niewyprostował. Nie mając pomocy, należy albo szybko wskoczyć, albo samemu naciskać lewą ręką szyję zwierzęcia, o ile można najmocniej.

Skoro się już dostanie na siodło, jest znowu nowa próba do przebycia. Dromader powstaje. Ponieważ podnosi najprzód nogi tylne, i to jedną po drugiej, rzuca cię tém poruszeniem zupełnie na przód siodła, tak że jesteś jak przewrócony grzbietem do góry; poczem podnosząc swój przód, równie gwałtownie przerzuca cię w tył. Po tych dwóch dosyć silnych wstrząśnieniach, siedzisz nareszcie spokojnie na siodle, i odtąd niepozostaje ci jak cieszyć się łagodnością, pewnością i niezwykłą siłą swojego rumaka.

Należy dodać że w czasie tego windowania się,

czy je człowiek sam jeden wykonywa, czy téż towarzyszy go wspiera, nie jest się zupełnie bez pomocy. Kule siodła z przodu i z tyłu są dosyć duże; chwyta się za nie silnie rękami, i to pomaga znakomicie do wsiadania lub przytrzymania się, ile razy tego zachodzi potrzeba.

Raz będąc na siodle, można zmieniać swoje położenie jak się tylko podoba. Zwykle siedzi się jak siedzą kobiety na koniach: prawą nogą okracza się kulę przednią i kładzie się ją na szyi wielbłąda; lewa noga spoczywa w strzemieniu, a całe ciało zwrócone jest cokolwiek na lewo. Można jednak przybrać i położenie odwrotne, to jest założyć lewą nogę za kulę, prawą w strzemień, które się zakłada na przeciwniej stronie siodła, a górną część ciała zwrócić na prawo w tył; można i zwieść nogi na dwie strony, tak jakby się siedziało na koniu, a nareszcie można je zgromadzić i obydwie założyć przed siebie w około kuli; będą one wtenczas spoczywały na szyi wielbłąda.

Daleko jest łatwiej kierować wielbłądem jak wsiąść na niego. Ma się w tym celu rodzaj laski u góry zakrzywionej, za pomocą której podnosi się postronek z ziemi, jeżeli przypadkiem wysunie on się z ręki. Kiedy się chce jechać na lewo, dotyka go się laską w prawą stronę szyi, gdy przeciwnie na prawo, dotyka go się w lewą stronę. Dla popędzenia, uderza go się piętą nogi która jest w strzemieniu, a która leży prawie na wysokości jego łopatki. Wielbłąd dotknięty w to miejsce, porywa się natychmiast klusem, a przynajmniej przyspiesza kroku. Dla zatrzymania go, ściąga się silnie postronkiem w tył, i wielbłąd zatrzymuje się dosyć prędko, nieosadzając jednak w miejscu.

Ale niedosyć wsiąść na wielbłąda, i utrzymać się na nim; należy jeszcze umieć i zléć z niego, a i tu wchodzi teoria którą trzeba poznać. Uprzedza się nasamprzód wielbłąda, dotykając jego łopatki i wydobywając ten sam głos osobliwszy z gardła, podobny do wysilenia jakie czynimy dla wyrzucenia z niego czegoś co tam zawadza. Dromader zatrzymuje się, i po kilku rykach żalonych decyduje się nareszcie nagiąć jedną nogę i nachylić jedno przednie kolano. Po chwili nagina drugie, a że w tém położeniu przód jego o wiele jest niższy od tyłu, należy silnie uchwycić się za kule, aby uniknąć upadku. Nagina potém i nogi tylne i znowu zostajesz przerzucony w tył, tak jak niedawno na przód. Opiéra nakoniec brzuch na ziemi, i po dwóch albo trzech kołysaniach, które go sadowią

możesz zsiąść z pomocą albo bez pomocy strzemi-
nia.

Jest jeszcze inny sposób zsiadania, daleko pręd-
szy, ale go nie radzę używać jak tylko osobom pe-
wnym swojej siły i zręczności. Przekłada się nogę
prawą przez szyję wielbłąda i sprowadza się ją do
lewój nogi, która opuszcza strzemień. Jest się wten-
czas na lewym boku zwierza, obydwie nogi mając
zwieszane: w tém położeniu chwytą się prawą rę-
ką za kulę przednią i zwolna spuszcza się ciało.
Będąc już zawieszonym na jednej tylko ręce, pu-
szcza się kulę i skacze dwie albo trzy stopy
na dół. Ten drugi sposób jest prędszy i prostszy,
lecz tylko silni i zręczni mogą z niego korzystać.

Wszystko razem zważywszy, twierdzą że jazda
na wielbłądzie jest wyborna, pomimo małych nie-
przyjemności które wskazałem. Siedzi się na nim
arcy-wygodnie, i nie przesadzam zapewniając że
można na nim spać, jeść, a nawet i pisać, bez wiel-
kiej trudności. W ogromnych torbach, które po
każdój stronie pod nogami wiszą, ma się zazwyczaj
wszystko co może być w drodze potrzebném; a że
nigdy podczas moich wycieczek nieuczulem naj-
mniejszego zmordowania, wnoszę więc że można
bardzo długo tym sposobem podróżować bez znu-
żenia.

Jeżeli kto przypadkiem zachoruje, wielbłądy,
połączone dwa po dwa, przenoszą lektykę w któ-
rą chory leży na łóżku. Ten który idzie na przod-
zie, trzyma głowę wysoko i nosze przywiązane
są poprzęgami do jego grzbietu. Idący z tyłu ma
położenie bardzo niewygodne, bo musi schylić gło-
wę pod lektyką którą dźwiga. Lecz ani cierpli-
wość, ani siła szlachetnego zwierza nie wyczerpu-
ją się w tym przykrym pochodzie, i chory nie-
spozstrzega nawet przez dzień cały że biędne stwo-
rzenie ciągle jest skurczone pod okropnym cięża-
rem, który tamuje wszystkie jego ruchy.

Widziałem często na ulicach Kairu i na brze-
gach Nilu wielbłądów dźwigających aż po cztery
naraz kobiety. Te panie, bardzo wygodnie umie-
szczone w rodzaju palankinu, przejeżdżały się
zasłonięte od skwaru i kurzawy. Były to haremy
zmieniające miejsce pobytu. Obraz p. Horacego
Vernet, „Wzięcie Smali” daje dokładne o takich
pochodach wyobrażenie. Cała rodzina może po-
dróżować na grzbiecie jednego wielbłąda.

Wyznam więc panu że znajduję wcale nieuspra-
wiedliwionemi żarciki jakimi niektórym podró-
żnym europejskim podobało się prześladować bię-

dnego wielbłąda. Pewien autor angielski, którego
nazwisko wolę zamilczeć, wymierzył prawdziwą
przeciw niemu diatribę. „To najszkaradniejsze
zwierzę, mówi on, jakie można widzieć pod słoń-
cem, nieznośne, a przytém niecierpliwe bez miary,
bo ciągle się skarży. Wielbłąd ma postać złośliwą;
powiedziećby można że to jakieś stworzenie potę-
pione, i dziwię się malarzom że w swych obrazach
nie mieszczą ich w piekle, gdzieby bardzo dobrze
wyglądały”. Nareszcie ten sam autor, przyznając
że wielbłąd, który prawie nigdy nie pije, jest nad-
zwyczaj pożyteczny w krajach gdzie niema wody,
twierdzi jednak że nieznałaby się ani jeden *gen-
tleman-rider*, coby chciał zamienić swego konia na
to obrzydłe stworzenie. Pomijam wiele innych do-
wcipków, które zapewne zdają się być bardzo tra-
fne tym którzy ich sobie pozwalają, ale dla każde-
go człowieka rozsądnego są ony godne litości, i
jestem pewny że każdy *gentleman-rider*, ceniący
własne bezpieczeństwo, rad będzie porzucić swe-
go konia na granicy pustyni, a dosiąść niezmor-
dowanego wielbłąda.

Co do mnie, zupełnie innego jestem przekonania
jak ten humorysta angielski, który zanadto liczył
na tolerancją swoich czytelników, prawiąc im po-
dobne baśnie. Trzymam się zdania Buffona, który
długo zastanawiając się nad zaletami wielbłąda,
uznał go „najużyteczniejszém i najszacowniejszém
ze wszystkich stworzeń które sobie człowiek przy-
swoił.” Nazywa on go dalej „prawdziwém bogac-
twem Wschodu, skarbem Azyi” i kończy ten
hymn pochwalny, twierdząc że wielbłąd nietylko
jest więcej wart od słonia, ale sam jeden tyle zna-
czy, co koń, osioł i wół wzięte razem. Niepotrze-
ba długo mieszkać w klimatach gdzie żyje wiel-
błąd, by pojąć całą słusność i prawdę tego sądu.

Lituję się nad umysłami skrzywionemi, które dla
zabawienia się przez chwilę i świecenia talentem
satyry w oczach nieuków, niechęcią uznać i w brzy-
docie szacownych przymiotów. Zdaje mi się że
dosyć jest zauważyć wstrzemięźliwość wielbłąda
w klimatach w których żyje i porównać kształt
jego nogi z ziemią jaką *depce*, by uczuć od razu
niezmierną jego użyteczność w podróży. Człowiek
zmienił zapewne cokolwiek naturę tego cudowne-
go stworzenia, przyswajając je do swojego użytku,
choć mało jest podobném do prawdy że czło-
wiek, jak twierdzi Buffon, wyrobił mu piąty żołą-
dek, garby i guzy. Ale jeżeli zdołaliśmy przeisto-
czyć wielbłąda, czyniąc go zwierzęciem tak zupeł-

nie domowém, że nigdzie już znaleźć go niemożna w stanie dzikim, to bez wątpienia Opatrzność stworzyła go w celu ułatwienia mieszkańcom stref

gorących przebywania pustyni. Jest to prawda równie widoczna jak pocieszająca.

OLBRZYMIEC.

Olbrzymiec (Goliathus) należy do rodziny cetoniadów; cechą tego rodzaju jest że ma widełkowatą narośl przedczołową. Wszystkie gatunki tu należące odznaczają się niezwykłą wielkością; mają postać zaokrągloną, ciało mocno zbudowane, silnymi pokrywami od uszkodzeń zabezpieczone, często żywymi kolorami i metalowym połyskiem ozdobione; boczna jego część po za skrzydła mniej lub więcej wystaje. Szczęka górna jest na brzegu skórkowata, dolna opatrzona zakończeniem penszowatym, przeznaczonym do lizania. Macki są 8 lub 10-cio dzielne, i kończą się wachlarzowatą pałeczką. Pomimo silnych nóg nie są w stanie biegać szybko, za to dobrze i chętnie latają.

Żywią się roślinami; liszki ich mało są jeszcze zbadane, a wielu gatunków wcale nieznanie; wiadomym jest tylko że prawie wszystkie żyją przez kilka lat w ziemi, i zapewne w tym stanie niszczą korzenie roślin. Niektóre z nich przebywają we-

wnątrz wypróchniałych pni, mianowicie drzew palmowych.

Trzy gatunki tego rodzaju są najwięcej znane:

Goliathus giganteus, który na białawo-szarém tle tarczy ma 6 czarnych, nieregularnych, podłużnych pasków, pokrywy zaś obwiedzione czarnym ząbkowanym brzegiem. Długość jego wynosi 4 cale, znajduje się na zachodnim brzegu Afryki.

Goliathus polyphemus, również w Afryce zamieszkały, jest zielony, porysowany białymi linijkami.

Goliathus Drurii, którego samca i samicę przedstawia obok załączona tablica, jest zielonawo-biały, błyszczący, środkowe i tylne nogi ma opatrzone żółtymi włoskami, tułów i głowa biała, przedkrocze białe, z sześcią czarnymi plamami, pokrywy błyszczące, brunatno-błękitno-czarne, na brzegu białe.

Samiec dorasta 4 cali, samica mało co mniejsza. Mieszka ten gatunek w Górnej Gwinei.

MECHANIKA POPULARNA.

PRZEZ

J. Kr. Pietraszka.

II. *Jakim sposobem para wywołuje mechaniczny skutek. Co to jest para i jakie jęj własności. Jak się woda na parę, a para na wodę zamienia.*

Para (Dampf, vapeur) objawia zawsze swe działanie za pomocą tłoka, poruszającego się we walcu parowym.

Walec (Cylinder, cylindre), jest to rura, w stosunku do swojej długości daleko większej średnicy od rur zwyczajnych. Stosunek jęj średnicy do długości jest zwykle jak 3 do 4 lub 4½ stóp, który jednakże wedle okoliczności zmieniać się może.

Tłok (Kolben, piston) jest niejako czopem, tak szczelnie do boków walca przystającym, że para z jednej jego strony na drugą przedrzeć się nie może; ale znów z tęg przyczyny tłok nie powinien się z trudnością wzdłuż walca poruszać.

Końce walca zamykają się szczelnie *pokrywaniami* (Deckel, couvercle). Jedna z nich, zwykle dolna, odlęwa się razem z walcem, tworząc z nim nierozdzielną całość; druga zaś przytwierdza się szczelnie śrubami do walca, aby para około nięj uchodzić nie mogła.



Na obu końcach walca są małe otwory, opatrzone klapkami, któremi się parę wedle potrzeby wpuszcza lub wypuszcza. Można sobie zatem łatwo wyobrazić, że jednym końcem wpuszczona para do walca, popycha tłok ku drugiemu końcowi, a następnie wpuszczona drugim, popycha tłok ku pierwszemu, gdy jednocześnie w obu razach para przeciwna uchodzi.

Jeżeli przeto para naprzemian wchodzi do walca i uchodzi z niego będzie, to tłok odbywać musi ruch tam i nazad; a siła lub moc owego działania zawisła jest od siły pary.

Ruch tłoka tam i nazad, czyli od jednego końca walca do drugiego, niebyłby wcale pożyteczny, gdyby się go tylko na samym ograniczyło walcu; ruch ten przeto należy jakiemś przedmiotowi udzielić na zewnątrz, co osiągamy za pomocą, tak zwanego *trzona tłokowego* (Kolbenstange, tige de piston).

Trzon tłokowy, jest to drąg okrągły, w środku tłoka stale utwierdzony i przechodzący przez otwór środkiem pokrywy walcowej, która, jakieśmy wyżej nadmienili, do walca szczelnie śrubami jest przy mocowana. Trzon rzeczony powinien tak dokładnie chodzić w swym otworze, jak tłok we walcu, aby najmniejsza ilość pary nie wychodziła na zewnątrz, a przecież aby ta szczelność nie przeszkadzała wolnemu jego ruchowi. Dla dopięcia tego celu, wewnętrzna powierzchnia walca i trzon tłokowy winny być jaknajlepiej wytoczone. Walec odléwa się z żelaza, na tokarni usuwają się wszelkie nierówności, aby każde przecięcie, płaszczyzną prostopadłą do osi walca, było doskonałym kołem i téjże saméj średnicy.

Tłok z góry i z dołu płaski, z boków zaś kołowo-walcowy, przylega parotrwale do boków walca; co znowu osiąga się za pomocą różnych przyrządów, o których później mówić będziemy.

Trzon tłoka robi się z żelaza kutego, a na tokarni daje mu się w całej długości jednakową grubość czyli średnicę. Otwór w pokrywie walca, w którym tenże chodzi, opatrzone jest *oblogą* (pakunkiem) konopną lub bawełnianą, w roztopionym łożu umaczaną, otaczającą szczelnie trzon tłoka, przez co zapobiega się uchodzeniu pary i tarcia. Tym sposobem trzon bierze udział w ruchu tłoka tam i nazad, oddając znów takowy innemu przedmiotowi zewnątrz będącemu, a ściśle z sobą związanemu.

Ruch siłą pary pierwsiastkowo wywołany jest, jak widziemy, ruchem prostoliniowym, *naprzód* i

w tył, lub *w górę* i *na dół*. Za pomocą rozlicznych a dobrze znajomych nam mechanicznych środków, ruchem rzeczonym osiągnąć można inny ruch potrzebny, to jest: koło wprawić w ruch obrotowy, ciężary w prostym kierunku podnosić i t. p. O tém jednakże później bliżej pomówimy.

Powiedzieliśmy więc że para cisnąc, sprawia poruszanie się tłoka we walcu. To wyrażenie wskazuje nam podobieństwo *pary do powietrza*. Para posiada rzeczywiście pewien szereg podobnych własności z powietrzem. Ogrzane powietrze mogłoby również jak para służyć za siłę poruszającą, i gdyby tylko jego zachowanie się pod innemi względami nie było trudniejszym od pary, nie mielibyśmy przyczyny używać maszyn parowych, mogąc mieć maszyny powietrzne. Będzie tu stosowną rzeczą powiedzieć nieco o wspólnych własnościach powietrza i pary.

Powietrze jest płynem sprężystym, podobnież i para. Płynem sprężystym nazywamy taki, który przez uciskanie zająć może mniejszą przestrzeń, i który sam przez się większą przestrzeń wypełnia, jeżeli tylko ma po temu odpowiednie miejsce.

Nie wszystkie płyny posiadają tę własność; woda np., uciskana i największą siłą, największym ciężarem, nie zmniejsza (widocznie) swéj objętości i nie powiększa jéj, choć ma po temu dostateczną przestrzeń. Jeżeli powietrze zamkniemy w naczyniu, to ono samo przez się wywierać będzie ciśnienie z pewną siłą na każdą cząstkę otaczających go boków, usiłując je niejako rozsadzić. Jest to jego własność, zwana *siłą sprężystości*, a właściwiej jeszcze *siłą rozprężliwości*. Tłocząc je w naczynie połowę pierwotnéj objętości mające, wywierać będzie na każdą wspomnianą cząstkę wewnętrznej powierzchni podwójne ciśnienie; jeżeli zaś przeléwać je będziemy do naczynia dwa razy większej objętości, wypełni ono wprawdzie całą jego przestrzeń, lecz wtedy działać będzie na boki z siłą dwa razy mniejszą. Słowem, zmniejszając objętość dwa, trzy, cztery, dziesięć razy, siła sprężystości powietrza powiększać się będzie w tymże samym stosunku; i przeciwnie, jeżeli objętość powiększać będziemy, zmniejszy się moc prężenia powietrza.

Te same własności posiada i para; lecz uciskanie jéj nie powinno przekraczać pewnych zakreślonych granic, które później podamy.

Powietrze jest płynem niewidzialnym, również i para. Wielkim jest błędem gdy gęste chmury pa-

rowe (Dunstwolken), podobne do białego dymu, z kotłów parowych uchodzące, za właściwą parę bierzemy; bo w tej samej chwili gdy para staje się białą, gdy postać i barwę chmur przybiera, już przestaje być parą.

Te mgliste chmury składają się z cząstek wody, lecz nie pary; bo czysta para, w szklanym naczyniu zamknięta, byłaby tak niewidzialną dla naszego oka, jak jest niewidzialnym powietrze. Para jest niczym innym, tylko wodą zamienioną w powietrze.

Powietrze posiada różne stopnie gęstości, podobnie i para. Siła prężenia obydwóch (pod równymi warunkami), ma się w stosunku do ich gęstości.

Gdy powietrze za darmo mieć można, należałoby się pytać dlaczego nieużywamy go jako siły poruszającej, gdy przeciwnie siła pary z tak wielkimi kosztami i trudnościami jest połączoną. Aby na to pytanie odpowiedzieć, musimy wykazać własności jakie parę od powietrza różnią.

Wystawiając wodę na działanie ciepła, takowa coraz więcej ogrzewać się będzie. Ogrzewanie się to wkrótce jednak ustaje, jeżeli woda przyjdzie do takiego stanu, za który jej stopień ciepłoty przechodzić nie może; ogrzewana dalej, powoli zniknie, a gdy działanie ciepła nie ustaje, uchodzi zupełnie z przed oka, co znaczy że woda zamienia się w parę i łączy się z otaczającym ją powietrzem.

Można jednak przeszkodzić uchodzeniu pary, łącząc inne jakie naczynie z pierwszym, do którego by para wytworzona zamiast w powietrze uchodzić mogła. Para w owym naczyniu zebrana, okazuje wszystkie mechaniczne własności powietrza. Najwięcej uwagi godną jest rzeczą że woda, przechodząc w stan pary, powiększa nadzwyczajnie swoją objętość. Doświadczono że jedna kwarta wody wydaje około 1,700 kwart pary. Ten jednak stosunek zmienia się wedle okoliczności, jak to zaraz obaczymy.

Wystawmy sobie na dnie rury, jeden cal kwadratowy przekroju mającej, małą ilość wody, np. jeden cal sześcienny, po nad którą umieszczony jest tłok, szczelnie do boków tejże rury przystający. Tłok ten może być tak urządzony, aby swoją dolną powierzchnią, również jeden cal kwadratowy mającą, cisnął na wodę z siłą 15 funtów. W tym przypadku używamy ciśnienia powietrza zewnętrznego, które właśnie 15 funtów na jeden cal kwadratowy wynosi. Wystawmy sobie teraz pod dnem tejże rury palącą się lampę, to ogrzewana w ten

sposób woda po pewnym przeciągu czasu podniesie swój stan *ciepłoty* (temperatury) do 100 stopni według stustopniowego *cieplomierza* (termometru) ¹⁾, i w tej samej chwili tłok w rurze (lub we walcu) poczyna się wznosić, zostawiając *pozornie próżną przestrzeń* między sobą a wodą. Objętość wody zmniejszać się zaczyna, a jeżeli działanie ciepła nie ustaje, tłok postępuje wolno coraz wyżej; objętość wody również wolno się zmniejsza, aż w końcu zupełnie zniknie.

Tłok podniesie się do takiej wysokości, że przestrzeń pod nim zostawiona będzie 1,700 razy większą od tej jaką woda zajmowała pierwotnie. Gdyby można przez szklaną ścianę zajrzeć do owej przestrzeni, ukazałaby nam się próżną, chociaż w istocie napełniona jest parą wodną, bo ta ostatnia, jak powietrze, jest niewidzialną. W tym przypadku otrzymalibyśmy parę pod ciśnieniem 15 funtów. Wróćmy znów wszystko do dawnego stanu i obciążmy tłok 30 funtami, (lub 15 funtami oprócz ciśnienia powietrza, co również 30 funtów uczyni) a podstawivszy zapaloną lampę, przekonamy się iż aby woda zaczęła parować, musi być nie do 100° jak wprzód (pod ciśnieniem 15 funtów), lecz do 121° ogrzana; poczem tłok podnosić się będzie, póki woda we walcu będąca zupełnie nie zniknie. Nie podniesie się dobrze tak wysoko, aby przestrzeń pod

¹⁾ Stopień ciepła mierzy się pospolicie rozszerzeniem jakim niektóre ciała przez rozgrzanie ulegają, do czego używa się najpowszechniej *rtęci* (merkuryusza), z kąd też nazwisko *cieplomierza rtęciowego* pochodzi. Narzędzie to składa się z rurki szklanej, na jednym końcu w kulkę wydętą, która, jak również i część rurki, napełnia się rtęcią, poczem zatapia się w ogniu otwarty koniec tejże. Następnie zanurza się ten przyrząd w topniejącym śniegu i znaczy się przez 0 punkt do którego rtęć przez zgęszczenie (czyli zmniejszenie objętości) opadła: punkt ten zowie się *punktem marznięcia*. Dalej wpuszczamy rurkę do wody wrzącej; rtęć podniesie się do pewnego punktu, skutkiem rozszerzenia (czyli powiększenia objętości), przy którym zatrzymuje się stale, i ten *punkt wrzenia* znaczy się liczbą 100 albo 80; w pierwszym razie podział nazywać się będzie 100 stopniowym albo *Celsyusza*, w drugim zaś 80-stopniowym albo *Réaumur'a*. Odległość zawartą między zerem i punktem wrzenia dzieli się na 100 lub 80 części równych, a podziały znaczą się krótkimi poprzecznymi wprost na rurce, na przyklepionym pasku papieru, lub też na drewnianej albo metalowej tabliczce. Liczba przy której zatrzymuje się górny koniec słupka rtęciowego, w czasie zanurzenia kulistego końca w płynie pewnej ciepłoty, daje nam stopień jego ciepła. Trzymając np. kulkę cieplomierza w ręku przez pewien przeciąg czasu, to rtęć na cieplomierzu 100 stopniowym zatrzyma się koło liczby 37, a na 80 stopniowym koło liczby 30 nad zerem. Mówi się zatem że ciepło krwi człowieka jest 37° C. (37 stopni Celsyusza), lub 30° R. (30 stopni Réaumur'a). W zimie ściąga się rtęć i często niżej zera opada; dla odróżnienia zatem stopni zimna od ciepła, przed pierwszymi daje się znak — (mniej), przed drugimi + (więcej).

nim będąca równała się poprzedniej, albowiem para w tym razie zajmie zaledwie 850 razy większą przestrzeń niż ta jaką woda zajmowała. Słowem, tłok może być większym lub mniejszym ciężarem, jak wyżej wspomnieliśmy, uciskany: pod mniejszym ciężarem wydobyta para z wody zajmie większą, pod większym zaś stosunkowo mniejszą przestrzeń. To samo dzieje się i z ciepłem pod wpływem którego wytwarza się para; ciepło będzie wyższe przy większym, mniejsze zaś przy mniejszym ciśnieniu.

Jeżeli obciążenie tłoka podwajamy, gęstość pary wytworzonej nie zupełnie się podwaja, a przyczyna tego zboczenia ma w tém swoje źródło, że pod większym ciśnieniem podnosi się także i stan ciepła pary, z czego wypływa że gęstość pary przy podwojoném ciśnieniu jest nieco mniejsza od pierwotnej dwa razy wziętej; ale ta różnica jest tak nieznaczna, że zwykle na nią nie zwracamy uwagi i przyjmujemy ogólną zasadę: że gęstość pary wodnej jest w prostym stosunku do obciążenia pod jakim się wytwarza, t. j. pod potrójnym, poczwórnym lub 10-ciornym ciśnieniem, gęstość pary jest: 3, 4 lub 10 razy większą.

Ponieważ woda, zamieniona w parę pod ciśnieniem 15 funtów na cal kwadratowy, powiększa swoją objętość 1,700 razy, a stopa sześcienna zawiera w sobie 1,728 cali sześciennych, nie popełnimy więc w praktyce znacznego błędu, przyjmując że: jeden cal sześcienny wody (pod ciśnieniem 15 funtów na cal kwadratowy), wydaje jedną stopę sześcienną pary. Stosunek ten, jako prosty i pewny, należy w pamięci zachować.

Znając objętość wytworzonej pary pod danym ciśnieniem, z pewnej danej ilości wody, z dostateczną pewnością praktyczną, wedle podanego powyżej stosunku, obliczyć można objętość pary pod większym lub mniejszym ciśnieniem; i tak: pod podwójnym, będzie dwa razy mniejsza, gęstość zaś i prężenie dwa razy większe; a pod połowicznym, objętość dwa razy większa, lecz gęstość i prężenie dwa razy mniejsze. Jeżeli tedy woda zagotuje się pod ciśnieniem 30 funtów, to z każdego cala sześciennego tejże, otrzyma się tylko pół stopy sześcienną parę; gdy zaś zawre pod ciśnieniem 45 funtów na jeden cal kwadratowy, to jeden cal sześcienny wody wyda tylko $\frac{1}{3}$ stopy sześcienną parę. I na odwrót: jeżeli jeden cal sześcienny wody zagotuje się pod ciśnieniem $7\frac{1}{2}$ funtów, wytworzy się pary 2 stopy; zaś pod ciśnieniem 5 funtów, 3 stopy sześcienne i t. d.

Stosunek ten byłby aż nadto dokładny, gdyby nie różność ciepłoty pod wpływem której gotuje się woda; wszakże na ten błąd możemy śmiało nie zważać.

Jeszcze raz wypada nadmienić, że jeśli zewnętrzne powietrze wywiera swój wpływ na gotującą się wodę, to należy jego ciśnienie, około 15 funtów na cal kwadratowy wynoszące, do powyżej przytoczonych obciążeń tłoka doliczyć. Mówiąc np. że woda wre pod ciśnieniem $7\frac{1}{2}$ lub 5 funtów na cal kwadratowy, to się rozumie że tłok jest obciążony $7\frac{1}{2}$ lub 5 funtami na cal kwadratowy, usuwając ciśnienie zewnętrznego powietrza; albo, co na jedno wychodzi, że umieszczamy na tłoku przeciw-ciężar, znoszący w pierwszym razie $7\frac{1}{2}$, w drugim 10 funtów ciśnienia powietrza zewnętrznego na cal kwadratowy.

Opisawszy jakim sposobem woda zamienia się w parę, obaczmy teraz jak naodwrot para zamienia się w wodę. Para wytworzona z wody w opisany sposób, posiada tę samą ciepłotę co i woda z której powstała. Ta ciepłota jest jej koniecznie potrzebną, bo gdybyśmy jeszcze pewną jej część odebrali, to natychmiast odpowiednia ilość pary zamieniłaby się w wodę, a posuwając coraz dalej oziębianie, cała nakoniec para zamieni się w wodę.

Wyobraźmy sobie że w rurze eksperymentalnej wszystka woda zamieniła się w parę, a tłok podniósł się do samego wierzchu; jeżeli teraz rurę otoczymy jakim zimnym środkiem (medium), np. zimnym powietrzem lub wodą, po usunięciu z pod spodu lampy, to natychmiast na wewnętrznej powierzchni rury pocznie osiadać rosa, a tłok będzie się oniział. Tą rosą albo wilgocią jest woda, wytworzona z pary i w małych kropelkach osiadła. Tłok opadając, popycha przed sobą rzeczony kropelki, a gdy przy ciągłym oziębianiu znów do pierwotnego stanowiska wróci, wszystka woda znajdzie się na dnie w mowie będącej rury. Para więc zamieniła się znowu na wodę.

Jak woda przez podwyższanie ciepłoty zamienia się w parę, tak samo para przez jej onizanie albo oziębianie zamienia się w wodę, i to jest jedna z najważniejszych własności odróżniających parę od powietrza, żaden bowiem naturalny, a nawet sztuczny, stopień zimna nie jest w stanie powietrza atmosferycznego w kroplisty płyn zamienić, gdy tymczasem doświadczenia robione z niektórymi innymi gazami dały pożądane wypadki.

Można także parę przez uciskanie na wodę zamienić, gdy tymczasem powietrze niedaje nigdy takich rezultatów.

Wystawmy sobie że 1,700 cali sześciennych pary, o 15 funtach prężenia, uciskamy ciężarem 30 funtów na cal kwadratowy, to z powyżej przytoczonych zasad para ta zajmie przestrzeń 850 cali sześciennych, to jest połowę pierwotnej, ale jej ciepłota podniesie się zarazem do 121°. W przypadku zaś gdy przez ściany naczynia ujdzie tyle ciepłota, że ciepłota pary do 100° opadnie, to połowa pary co do ilości zamieni się w wodę, a pozostała druga połowa wywierając będzie ciśnienie 15 funtów na

1 cal kwadratowy. Jeżeli następnie uciskać będziemy tłok 30 funtami, to znów część pary przejdzie na wodę, i tak dalej, dopóki zupełnie nie zniknie, t. j. nie zamieni się zupełnie na wodę, gdyż para posiadająca tylko 100° ciepłoty, pod ciśnieniem większym nad 15 funtów na jeden cal kwadratowy nie może się tworzyć, a zatem i ostać.

I ten właśnie przymiot pary, mogącej się wedle upodobania na wodę zamieniać, jest przyczyną że jej do różnych mechanicznych celów daleko korzystniej używamy aniżeli powietrza, nie posiadającego rzeczonych własności.

JASKINIE I GROTY

W PAŚMIE JURAICZNEGO WAPIENIA W POLSCE.

Od stóp jasnogórskiej świątyni, do bram starego Krakowa, postępując nieprzerwanym pasmem wzgórz i skał piętrzących się coraz to wyżej, coraz to groźniej, na każdym kroku spotykamy cuda, niezwykle okolice i obrazy, zdolne zająć najbardziej zużyty umysł, rozgrzać najzimniejsze serce. Tu natura roztoczyła swe blaski w najładniejszej formie, i jeżeli Karpaty olbrzymiością, sandomierskie góry nieopisanym wdziękiem przewyższają okolice Krakowskiego, te jednak łączą w sobie obydwa powyższe piętna, nosząc przytém oryginalny charakter jaki okolicy udziela występująca tu poorana, sina skała juraskiego wapienia. Lecz my opuścimy na chwilę powierzchnię okolicy uroczej i drgającej życiem, a wstąpmy w inny świat podziemny, wykuty w łonie tych mass skalistych wszechwładną dłonią natury.

Oto stoimy u wstępu sławnej groty olsztyńskiej: powietrze wilgotne i zimne owiewa nas, przygotowując do tajemniczej wędrówki po krętych kruzgankach podziemnego zamku.

Poprzedzani od przewodników, przechodzimy wąskie gardło przysionkowe: czerwone światełko kaganka rzuca bladawy odblask, ukazując zdumiałym oczom widok niespodziany, a przytém wspanialszy nad wszelki wyraz. Stajemy u stóp olbrzymich *organów*, ulanych ręką potężnej natury, na których chyba geniusz jaki w dzień tryumfu lub gniewu przyrody zagra pieśń odrodzenia albo śmierci.

Po obu stronach tego przepysznego dzieła natury ciągną się kręte, esowate kruzganki, podparte stalaktytowemi kolumnami.

Półkuliste sklepienie dwóch następnych salek, do których wchodzi się przez wąskie wrota, podparte w wielu miejscach kolumnadą, zwiesza się w przepyszne, jakby gotyckie kluczniki, spływające na ściany udrapowane i ufalowane wężykowatemi wstęgami.

Minawszy znów ciasne i strome przejście, znajdziemy się w obszernej komnacie, w środku której powalony stalagmit tworzy rodzaj nagrobkowego pomnika w kształcie trumny. Kto powalił tę skałę, czyli wszechładna natura, czyli człowiek który tę pieczarę zamieszkiwał?

I nasycając się cudownym widokiem, raz jeszcze rzucamy niepewne spojrzenie po tém wytwornym dziele natury, gdy nagle zagasły światła, i zimna, głucha cisza ujęła nas w swe straszne objęcia.

Staliśmy jak skamieniali.

Wtém, jakby za dotknięciem magicznej ruszeczki, wznosi się łagodna gaza światła białego, która przechodzi w niebieski, różowy, purpurowy, i znów jaśnieje białym kolorem, przelévającym się w tysiące spadków i tonów.

Podziw nasz coraz bardziej wzrastał; te kształty ostre, groźne, w półświecie bengalskich ogni olbrzymiały, łączyły się w jeden akord, w jedno tło widome, na którym rysowało się tysiące widm zmiennych,

drżących, jakby głązy groziły zawaleniem, i gdy w końcu, wyrzuciwszy miryady brylantowych iskier, pękła w tym celu przygotowana petarda, zdało nam się iż skała zadrżała w posadach i wielki ten gmach podziemny wali swoje szczyty, by zagrzebać śmiałków w olbrzymich szczątkach olbrzymiego ciała. Huk dudniał nam echem nieprzestannie, a chociaż odetchnęliśmy świeżem powietrzem, i luby błękit nieba, zieloność pól obudziła nasze oko, zostawaliśmy jednak ciągle pod wpływem téj straszliwej chwili, którą dopiero następne wrażenia zatrzeć i z pamięci wygluzować miały. Grota której zarysy tak słabo oddaliśmy, leży w jedném ze skalistych skupień na południo-wschód sławnego olsztyńskiego zamku; śmiało może ona walczyć o palmę pierwszeństwa z jaskiniami Ojcowa, jeżeli nie co do wielkości, to przynajmniej co do osobliwości. Przytém nagie groty ojcowskie nie czynią takiego wrażenia co olsztyńska, bogato udrapowana stalaktytami.

Wnętrze jaskini jest tak ciemne, iż niepodobna go zwidzać bez światła, sposób jednak oświetlenia za pomocą luczywa, pomimo całej swój poetycznej strony i historyczności, przy postępie dzisiejszej sztuki oświetlania mógłby być zmieniony, dla wielu powodów, a mianowicie dla zdrowia zwidzających i czystości samej groty, dym bowiem ze spalonego luczywa niepozwała długo przebywać w tém przepyszném ustroniu, osiadając zaś na ścianach, brudzi je tak, że dziś cała grota przywdziała grobową sukienkę, i w niektórych tylko bardziej oddalonych zakątkach zachowała pierwotną czystość i białość marmurową, tak dla oka przyjemną. Może być że posępna barwa ścian, ufalowanych w cudne kolumny lub alhambryjskie wieżyczki, dodaje uroku, jednakże białość marmurowa stokroć więcej przyczyniłaby wdzięku temu i tak już prześlicznemu siedlisku echa.

Tworzenie się stalaktytów u powały i stalagmitów u podstawy groty, które, zrosłszy się niekiedy w samorodne kolumny, cudny przedstawiają widok, dostatecznie jest objaśnione; woda bowiem, nasycona kwasem węglanym, pochodzącym z rozkładu liści i części organicznych ziemię rodną stanowiących, przesiąkając przez rozpadliny, rozpuszcza wapien, i następnie, po wyparowaniu, osadza w rozmaite, często nader dziwaczne kształtu, sople.

Jest to więc zjawisko będące obrazem, tylko na małą skalę, owego ógólnego osiadania z wód wa-

pieni juraicznych, które właśnie stanowią pasmo fantastycznych skał ciągnących się od Częstochowy ku południowi przez Olsztyn, Złoty Potok, Żarki, Ogrodzieniec, Smoleń, Pieskową Skalę, Grodzisk, Ojców ku staremu Krakowowi, a od północo-wschodu ginące po za Wieluniem w równinach Wielkopolski.

W Olsztynie, oprócz groty zwykle przez podróżników zwidzanej, znajduje się w stronie południowo-zachodniej druga grota, idąca pionowo w głąb skupienia, tak iż niepodobna jój zwidzić bez liny. Nieposiadając takowej, w głębi groty nie byliśmy; umieszczamy jednak opis jój, podany przez naoczego świadka, Wilkoszewskiego, strzelca rządowego w leśnictwie Olsztyn, straży Zrębice.

„Grota do której spuszczałyśmy się z podlesnym P . . . w 1845 r., w miesiącu maju, położona jest w straży Zrębice, w obrębie niskopiennym Zrębice, oddziale Sokole. Nazwisko pospolite nosi od dawnych czasów *Studnisko*. Wysokość jój stóp 114 (z długości liny wiadoma), szerokość około stóp 100. Kształt jest więcej podobny do okrągłego, jednakowoż okrągłość jest nieregularną, gdyż są tam różne zakątki i wystające murki. Wpuszczaliśmy się otworem podobnym do okna, którego długość może być 6 1/2, szerokość 5 stóp; lecz zaraz po dwóch stopach wpuszczania się na dół rozprzestrzenia się grota do stóp 40, i stopniowo powiększa się ku spodowi do rozległości jak wyżej oznaczono. Zakątki są różne i w różnych kierunkach, rozpadliny znajdują się w spodzie i w ścianie od wschodu, lecz człowiek niemi przechodzić nie może. Po ziemi w niektórych miejscach się znajdującą szlakować można kuny i lisy, więc temi otworami ony tam przechodzą. Z pierwszej groty przechodzi się do drugiej, bardzo niskim przechodem ku północy. Podobnej jest ona wielkości do pierwszej, lecz wysokość jój mniejsza, bo stóp 40 do 50. Kształt jój jest kopułowy, bardzo nieregularny, tak z boków, jako téż i od spodu. W téj grocie bardzo jest wiele stalaktyków, różnej wielkości i kształtów, tak od góry jako téż i od dołu. Te stalaktyty wyobrażają laski, cybuchy (bo w nich są dziurki na wylot) chmury, różne figury i t. p. rzeczy do podziwienia ludzkiego.

Jest także w pierwszej grocie kamień, na który w znacznej ilości woda z góry spada; na tym to kamieniu uformował się stół okrągły, gładki, na jednej niby nodze stojący, mogący mieć średnicy 1 1/2 stopy. Ściany grot są koloru białego, także

są i stalaktyty; lecz te, wyniesione na świeże powietrze, sinieją. W kilku miejscach w kamieniu całkowitej ściany znajdowałem wrosnięte krzemienie i skamieniałe muszle. W drugiej grocie, pomiędzy północą a wschodem, jest rozpadlina od góry, którą się wysypała ziemi z drobnym kamieniem dość znaczna ilość. Tą rozpadliną dochodzą korzenie od drzewa, więc podług podobieństwa musi być niedaleko ściany grotę powierzchnia ziemi obrosła drzewem. Tamtędy zatem możnaby łatwo zrobić wnijście, odwalwszy ziemię. Osobliwości żadnych innych prócz pięknych stalaktytów niema. W pierwszej grocie znaleźliśmy kości wołu, który czy wpadł, czy też umyślnie był wrzucony, trudno odgadnąć. Znajdują się tamże kości psów, strącanych przez gospodarzy, gdy ich służba im się niepodoba. O tej grocie jest podanie ludu, że tam przed parąset laty mieli mieć schronienie zbójcy, i że miało być przejście pod ziemią do zamku olsztyńskiego. Od roku 1845 nikt się już do tej grotę niepuszczał.”

Oprócz Studniska, znajduje się jeszcze nieopodal trzecia grotę, zwana *Rejtarnią*, nie godnego uwagi nieprzedstawiająca, jak również grotę we wsi *Kusięta* leżąca.

Opuściwszy Olsztyn zdążamy w dolinę *Złotego Potoku*. Idąc piękną drożyną wijącą się po brzegu strumyka, dochodzimy niebawem do jednej ze skalistych mass, otulonych bukowym i świerkowym lasem, mieszcząccej największą i najpiękniejszą grotę, w której ostatnimi czasy odkryto szczątki przedpotopowych mieszkańców. Przed niewielką laty jaskinia ta zupełnie była nieznaną, i dopiero terazniejszy światły dziedzie Potoka, po nabyciu tego majątku bawiąc w nim podczas lata, spostrzegł u spodu jednej odwiecznymi bukami porosłej skały łukowatą szczyrbę, nasuwającą myśl że ona może być wstępem do obszernego wydrążenia wewnątrz skały. W rzeczy samej przekonano się że otwór ten tak szczupły, iż za ledwie przychylnemu człowiekowi przejść dozwalał, jest przysionkiem obszernej jaskini, do której wstęp wyłamano, a spodem ziemię pagórka na którym wznosi się skała rozkopywać zaczęto. Tu więc odkrył się ów tajemniczy, już przedtem w wielu krajach znajdowany, skład kości, zwykle przedpotopowymi zwanymi.

Obecnie jaskinia przedstawia obszernie wydrążenie, na kilkadziesiąt stóp szerokie, a na 16 stóp wysokie; otwór wchodowy, z początku tylko na 8

stóp przestrony, rozszerza się następnie w śmiały łuk, który z samorodnych brył juraicznego wapienia złożony, rozpoczyna półkuliste, regularne sklepienie, podparte w końcu samorodnym filarem, po za którym wydrążenie przechodzi w coraz ciśniejsze przesmyki, kształtu czeluści o licznych i rozmaitych załamaniach, zwążających się a zarazem na dół zstępujących.

Obecnie masę niegdyś zatykającą jamistość grotę wybrano, wraz ze szczątkami kości, i tylko, jakby na pamiątkę i wiadomość, znaleziony jeden piszczel mamuta, odsłonięty dla oka zwiedzających, pozostawiono w ścianie jaskini, korzystając z położenia w którym go przypadek umieścił.

Nasi tuzeni naturaliści, zbadawszy całą przyrodę miejscowości, uznali grotę jako meat, którym gwałtowny wód potok szorując dla dojścia i wylania się do innych wodozbiorów, w szalonym swym pędzie niósł co zdołał porwać, muł, złomy skał, połamane gałęzie drzew, porozrywane trupy zwierząt, a najwięcej jaskiniowego niedźwiedzia (*Ursus spelaeus*), i te tłoczył do koryta, ścianami ścisniętego, dopóki go gwałtownie nie zatkał.

Znajdując się na miejscu, trudno nieprzyznać trafności powyższego zdania. Naukowem samych szczątków przedpotopowych zbadaniem zajął się professor Antoni Waga, a zebrane nad tym przedmiotem spostrzeżenia wkrótce ma w obszernym artykule ogłosić. Wyznać należy że nigdy praca naukowa w godniejsze ręce nie dostała się; dlatego też z niecierpliwością oczekujemy podania do wiadomości powszechniej wypadków jego badań.

Skały Potoka obfitują w liczne dziuple, które niekiedy zamieszkałe są przez ciekawe zwierzątko błono-skrzydłe, zwane *podkowcem* (*Rhinolophus biiastatus*).

Nieopodal od pięknego źródła Zygmunta w Potoku leży ciekawe skupienie, zwane *Ostrzeżnik*. Jest to piękna grupa skał, dźwigająca resztki stariej bazyli, służąccej podobno w dawnych czasach walk, łupieztw i rozbojów do ostrzegania mieszkańców o zbliżaniu się nieprzyjaciela.

Skała ta mieści widną i obszerną grotę. Zbliżywszy się do jaskini, znaleźliśmy jej otwór malowniczo ustrojony i opięty pięknymi gałązkami mchu *Neckera viticulosa*, które, jakby stroniąc od światła, w głębi jaskini kryją swe powaby, czepiając się sklepienia i ścian, co tym ostatnim szczególnie nadaje powab.

Wnętrze jaskini jest nader rozgałęzione; z razu jest to, jak powiedzieliśmy, obszerna komnata, następnie jednak ścieśnia się w mnóstwo najrozmaitszych wązkich korytarzów, których końca, dla braku przewodników ze światłem, niezwidzaliśmy. Przytém od téj wędrówki odstraszyła nas następująca powiastka, którą nam opowiadano z zaręczeniem prawdy. Przed laty na tutajszej łączce, koło źródła bijącego nieopodal, trzej weseli pastuszkowie, zabawiając się [to figlami, to wygrywaniem skocznych piosenek na swych multankach, paśli swobodnie graniate jałoszki i wełniaste, proste ale pożyteczne owieczki.

Jednego dnia, gdy nasi młodzi wieśniacy, po chwilach wesołości, zabiérali się do spędzania powierzonej im trzody, spostrzegli z niemałym kłopotem iż brak jednej z najpiękniejszych owiec, jedynego dobytku ubogiej rodziny Piotrka, (takie było miano poszkodowanego pastuszka.) Rozpacz jego nie miała granic i zwiększała się co chwila; wszelkie bowiem poszukiwania były bezskuteczne. Już dwóch towarzyszów opuściło nieszczęśliwego Piotrka, już i słońce nachyliło swe czoło ku zachodowi, a nasz pasterz jeszcze, niezמודowany w swych poszukiwaniach, przepatrywał krzaki w okolicy jaskini, gdy nagle, o cudo! słyszy z jéj głębi dobrze znane beczenie swéj owcy.

Radość z odzyskanéj zguby, bojaźń kary, która by go nie minęła gdyby powrócił bez owcy, dodały śmiałości zabobonnemu wieśniakowi, tak że na nic nie zważając zapuścił się śmiało w wązkie korytarze jaskini, idąc za głosem ciągle odzywającéj się owcy. Jak szedł długo, Bóg to raczy wiedzieć, dość tylko, mówi powieść, iż nakoniec zatrzymał się przy okutych ciężkich drzwiach, z poza których dochodził go wyraźny bek owcy; z radością uchyła podwoi, i nagle jawi się przed nim przepyszna komnata, w rogu której stała beczka pełna jasnego, pięknie błyszczącego złota. W środku pokoju siedziała bogato przybrana, cudnéj urody zaklęta królewna, czesząc sobie złotym, perłami sadzonym grzebieniem gęste i krucze włosy.

Chłopek nasz stanął skamieniały.

Wtedy rogaty gospodarz tego podziemia, z wcale niedzisiajszą gościnnością i grzecznością zaprosił gościa by zaczerpnął szeroką dłońią z pełno naładowanéj beczki złota, pozwalając zabrać i wynalezioną zgubę, ostrzegając jednak ośmielonego dobrém przyjęciem chłopka, aby wychodząc nieoglądał się za siebie.

Wieśniak zagarnąwszy, w pole ćwierć czerwonców i zabrawszy zgubioną owcę, wychodził już z podwoi, już tylko piętą był w progu, gdy przyszła mu myśl obejrzyć się; nim jednak zamiar ten zdołał wykonać, silne zatrzaśnięcie drzwi, pozbawiło go téj części ciała, która tak zgubną stała się dla greckiego bohatera pod Troją.

Pastuch jednak powrócił zdrowo do domu, rodzina jego, dawniej uboga, stała się obecnie bogatą i mieszka w jednéj z sąsiednich wsi, a zowie się *Piętaki*.

W jednym z folwarków do Potoka należących, *Siedlec* zwanym, wśród juraicznego skupienia nieopodal od zabudowań folwarcznych położonego, mieliśmy sposobność obejrzyć meat, będący niegdyś ujściem potoku. Głęboka ta jama jest z razu szerokim, nienakrytym dołem, prawie prostopadłe obniżającym się, na dno którego zstąpiwszy po kilku schodkach, znaleźliśmy się na niezbyt obszernym tarasie, ocienionym skalistém sklepieniem. Taras z jednéj strony okrąża otwór przepaści idącej ukośnie w głąb, najeżonej sękami i ułamkami skał, czyniącemi niepodobném przejście w téj ciemnicy. Na dnie tego ciekawego dołu, który przed kilką laty zawalony był odłamami skał, dziś z polecenia dziedzica w części już usuniętymi, spotkaliśmy wiele ciekawych roślin, których, z powodu pobieżności tego artykułu, niewymieniamy.

Teraz, na prawach służących podróżnikom, prowadzę was, szanowni czytelnicy, w lube okolice Smolenia. Po drodze minęliśmy mnóstwo grot i jaskiń, jak w Trzebniowie około Ludwinowa dwie, w Mirowie jednę dziuplę szczególnego kształtu, w Ogrodzieńcu niezbyt obszerną ale piękną grotkę i mnóstwo innych dziupli, charakterystycznych to kształtem, to innemi jakimi przymiotami.

W Smoleniu znajduje się owa sławna grota *Zégar*, o której mówi podanie ludu iż w niej jest zakopany zégar wydzwanający północ w dniu Bożego ciała i w wigilią święgo Jana.

Lecz nad wszystkie grotty, które dotychczas zwidziliśmy najpiękniejsze są ojcowskie, i tylko jedna olsztyńska grota fantastycznością swego wnętrza iść może z niemi o lepsze. Jeżeli jaskinie, któreśmy dotąd zwidzili przyrównać można do kapliczek i skromnych miejsc pokuty, to grotty ojcowskie są wspaniałemi świątyniami, niewypowiedziane czyniącemi wrażenie.

Spuszczając się zachodnią pochyłością góry Chełm, lesistą drożyną dążymy do ponurego schronienia króla-tulacza, do groty Łokietka.

Nieznam, zaprawdę, miejsca dzikszego między skałami Ojcowa nad wstęp do groty Łokietka, i nie mogę się wydziwić że nie znalazł się u nas artysta malarz, któryby poświęcił swój penzel wydarciu z zapomnienia tego uroczego zakątka.

Przewodnicy, rozpaliwszy nieznosnie dymiące łuczywo w kagankach, wprowadzają nas najprzód długim korytarzem do obszernej sali, *królewską* zwaną, długiej stóp dwieście, a szerokiej na stóp 60. Z pierwszej téj sali wązkim przesmykiem dostajemy się do innych, niemniej wspaniałych, coraz to niżej położonych kaplic. Do jednej z takich komor spuszczamy się po niepewnych szczeblach drabiny, przy bladawém świetle kaganka, a jednakże, o ciekawości! widziałem kobiety niewahające się odbyć téj drogi, aby tylko zwidzieć osobliwości tego sklepu podziemnego i doznać wrażeń jakie uczuwamy w tych tajemniczych siedliskach echa.

Stanąwszy na dnie pieczary, co krok zawadzamy o spruchniałe kości, osobliwie jaskiniowego niedźwiedzia (*Ursus spelaeus, varietas aretoideus*)⁽¹⁾, którego szczątki, już to przemienione w masę wapnistą rozsypały się w proch, już wrosłe w stalaktyt, zadziwiająco zachowały świeżość. Widocznie to ślady dawnego potoku, co niegdyś tędy swe gwałtowne toczył prądy.

Tutaj pokazywano nam skały rozmaitego kształtu, które miały niby służyć do użytku dostojnemu mieszkańcowi tego miejsca, królowi Łokietkowi.

Jama ta, całkowicie wilgotna i brudna, nie przedstawia wiele efektu, gdyż oprócz ułamków stalagmitów powalonych na dnie w bezładzie, ściany są literalnie zrabowane przez podróżnych to miejsce zwiedzających.

Wracając tąż samą drogą co poprzednio, przewodnicy w pierwszej komnacie wskazali nam miejsce, gdzie za uderzeniem w podłogę rozlegał się odgłos, jak gdyby pod nią znajdowało się drugie podziemie.

Brak funduszków niepozwoilił nam zapewnić się

(1) Niedźwiedź jaskiniowy, według wszelkiego prawdopodobieństwa był o jedną czwartą część większy od najsporszych dziś żyjących. Według Cuviera, zęby tego gatunku ścięrały się dopiero w bardzo późnym wieku; ztąd wnosić należy iż musiał być drapieżniejszy od dzisiajszych.

o prawdziwości tego przypuszczenia. Kto wie, może znaleźlibyśmy nowy, ciekawe fakta kryjący me- at. Spodziéwać się jednak należy iż zasobniejsi naturaliści uskutecznią tego niezaniebają.

Obok groty Łokietka, w téj saméj górze, znajduje się druga mniejsza i mniej osobliwa, służąca niegdyś, według podania, rozbójnikom za kryjówkę, a ztąd miano *zbójckiej* nosząca.

Od strony Janaszówki przebywszy na drugi brzeg doliny, po nader przykrych wyniosłościach pniemy się w górę do drugiej groty ojcowskiej, od czasów Staszica zwanéj *ciemną*, pod którem to mianem znaną jest u tutajszego ludu. Grota ciemna jest nią rzeczywiście w całym znaczeniu tego wyrazu. Pusto, cicho, tylko echo po obszernych salach i krużgankach tego podziemnego gmachu przedróżnia tysiącem dźwięków każdy krok, każdy szelest twych słów. Zdała dolatuje cię miarowy odgłos kropel wody padających na kamienną podstavę. Rzeczywiście, o ile zdumieniem i uwielbieniem zostajemy przejęci na widok olsztyńskich pieczar, o tyle tutaj więcej smutnych wrażeń i uczuć doświadczamy.

Nakoniec zwidziemy jeszcze jermanowicką jaskinią. O pół mili od Ojcowa, wśród obszernego pola, wyrzyna się z ponad glebnych gruntów dziwne skupienie skał, w łonie którego natura wydrążyła ogromną jaskinią, może największą w naszym kraju, ciekawą z wielu względów, którą lepiej poznamy stanąwszy wewnątrz. Nieświadomi miejsca, bez przewodnika nie mogą się puścić w tę wycieczkę, nietylko bowiem bez światła niepodobna zwidzieć jaskini, ale wchodowy otwór téjże tak jest nieznacznym i w krzakach ukrytym, że nawet najwprawniejsze oko odkryćby go niezdolało.

Jaskinia ta długo była nieznaną jak tylko okolicznym wieśniakom i pasterzom, i dopiero od roku 1848 podróżni odwizać ją zaczęli, przerwawszy błogi spokój jakiego doznawali mieszkańcy tego podziemia. Wdrapawszy się pod górę, stajemy u otworu krzakami zacienionego i pięć stóp obszernego. Po kilkunastu krokach wydrążenie, zrazu szyjowate, dzieli się na dwa wązkie korytarze, wyprowadzające do obszernéj sali, około 15 stóp wysokiej.

Podstawa téj sali, zawalona ułamkami stalagmitów, pokryta jest kupami gęstego i cuchnącego błota. Przymiędzy ściany wilgotne, słabe światło kagańców, a szczególniej pisk i szum jaki za wej-



OLIWIER GOLDSMITH.

ściami do groty sprawiają niedopérze, dziwne na widzu czynią wrażenie.

Z sali piérwszój przechodzi się do następnych przez korytarze utworzone kolumnami stalaktytowemi, które się tak wązko zestąpiły, iż zaledwie czołgając się można przebyć do innych krętych lochów.

Przyzwyczajwszy nieco oko do ciemności, a słuch do nieznośnego pisku, rzućmy wzrokiem na sklepienie, które w pewnych miejscach pokryte jest czarnemi, kilka stóp średnicy mającemi plamami. Plamom tym odpowiadają kupy błota na podstawie zgromadzonego.

Rzuciwszy odłamkiem kamienia na jedną z tych plam, natychmiast odrywa się od niej jedno stworzonko, dalej drugie, trzecie i tak następnie; plama coraz bardziej maleje, pisk zaś i szum latających niedopérzów coraz bardziej wzrasta.

Zwierzątkiem tém jest tak nazwany *niedopérz myszak* (*Vespertilio murinus*).

* * *

Uczeni wielorakie kładą przyczyny powstawania jaskiń. Znakomity geolog Pusch przyznaje wapieniowi juraskiemu budowę komórkowatą, od wpływów wody i powietrza rozsypaniu ulegającą. Inni, zważając na kształt tych grot zbliżonych do komór solnych w Wieliczce, powiadają że niegdyś były napelnione materyałami sypkimi lub rozpuszczalnemi w wodzie, które potoki, przepływając tamtędy, uniosły lub rozpuściły.

Są także hipotezy o kurczeniu się skał z łona wód wynurzonych, a ztąd powstania w ich wnętrzu otworów, tudzież wiele innych zdań, których rozbiierać niebędziemy, przyjmując iż mechaniczne i chemiczne działanie wody, dające początek do linom, są dostatecznemi przyczynami tworzenia się jaskiń.

Adam Wiślicki.

OLIWER GOLDSMITH.

Oliwer Goldsmith urodził się 29 listopada 1728 r., prawdopodobnie w hrabstwie irlandzkim Roscommon, gdzie ojciec jego ubogim był proboszczem. Przeznaczony do stanu kupieckiego, pobierał piérwsze nauki w szkółce miejscowój parafialnej. Trudno było rodzicomłożyć na staranniejsze wychowanie syna; ale gdy młody Oliwer szybko rozwijać zaczął znakomite zdolności, a mianowicie talent wybitny do poezyi, ojciec, z namowy kilku krewnych i wsparty piéniężnemi ich datkami, wyprawił go do *Trinity college* w Dublinie. Zostawiony sam sobie w stolicy Irlandyi, młodzieniec trwonil czas i piéniądze w sposób najlekko-myślniejszy. Sprzedawał na przykład książki do nauki przepisane i z uzyskanego ztąd funduszu wyprawiał w salach kollegium ucztę i zabawy tańcowe.

W tym czasie umarł jego ojciec, i matka została bez żadnego prawie utrzymania. Oliwer opuścił kollegium, nienauczywszy się niczego, coby w przyszłości zapewnić mu mogło sposób do życia, czém oburzeni krewni, odmówili mu dalszój

pomocy. Radzono mu żeby się poświęcił stanowi duchownemu; ale młodzieniec odpowiedział żartobliwie: „Niechciałbym mieć długiej peruki, kiedy wolę krótką, ani sukni czarnej, kiedy przywykłem do kolorowój.” Jednakże, mimo wstępu do czarnej sukni i peruki, zaczął uczęszczać na odczyty teologii w Lissoy i Goblinhouse, i ukończywszy przepisane kursa, zgłosił się do biskupa dla odebrania święceń. Przy prezentacyi kandydat wystąpił w szkarłatnych szarawarach, a ekscentryczność ta naturalnie zraziła prałata, który, pod pozorem zbyt młodości, odmówił jego żądaniu. Staraniem wuja otrzymał wreszcie miejsce nauczyciela prywatnego, z wynagrodzeniem tak znaczném, że mimo zwykłej rozrzutności, zdołał jeszcze oszczędzić sobie 30 funtów sterlingów.

Ale i ten zawód po roku sprzykrzył się młodzieńcowi. Niespokojny, poetyczny jego umysł rwał się do nadzwyczajnych przedsięwzięć, do szukania przygód awanturniczych. Postanowił udać się do Ameryki; lecz po upływie już sześciu tygodni, ogołcony ze wszystkiego, powrócił do ma-

tki. Z kolei przerzucił się na medycynę, i wyjechał w tym celu do Edynburga, a w roku 1752 do Lejdy, gdzie na nieszczęście, zamiast gorliwie oddawać się naukom, wszedł w towarzystwa szulerskie. Przegrawszy znaczną sumę, zaciągnął pożyczkę u jednego z przyjaciół i opuścił Hollandyę; wprzód jednak za pożyczone na drogę pieniądze nakupił cebuli kwiatowych i posłał je w podarunku wujowi. Mimo to udał się w podróż, z zamiarem przebieżenia pieszo całej Europy. Mówią że w dziwnej tej wycieczce, z jedną koszulą na grzbiecie, z jedną gwineą i fletem w kieszeni, utrzymywał się częścią dysputowaniem w klasztorach, częścią przygrywaniem na flecie po wioskach, i zapewniają że pisząc później Wikarego wekfeldzkiego, sam siebie wystawił w osobie Jerzego Primrose.

Tym sposobem przeszedł Flandryę, część Francyi, Niemcy, i przybył do Szwajcaryi, gdzie pobudzony pięknoscia przyrody, napisał część poematu „*The traveller*” (wędrowiec). W Genewie został na krótko przewodnikiem młodego podróżującego Anglika; lecz zniechęcony skąpstwem wyspiarza, porzucił go, poszedł do Padwy, i pobytwszy tam sześć miesięcy, uzyskał stopień doktora medycyny.

W roku 1756 powrócił do Anglii, zupełnie ogołocony z funduszów, a nawet obarczony długami. Potrzeba zmusiła go do przyjęcia, pod zmyślonem nazwiskiem, posady nauczyciela w instytucie prywatnym. Jednakże i tu, jak wszędzie, nie statkował. Zachęcony i wsparty przez przyjaciół, zaczął nakoniec praktykować jako lekarz, po trosze zajmując się piśmiennictwem, i umiał zapewnić sobie byt wprawdzie skromny, lecz niezawisły. Roku 1758 kompania wschodnio-indyjska mianowała go lekarzem jednej z faktoryj na wybrzeżu Koromandel; ale już wtedy umysł młodego Oliwera zaprzątnęło pragnienie sławy literackiej, i dlatego nie przyjął wezwania.

Niezadługo poznał się z Griffithem, wydawcą pisma „*Monthly review*”. Griffith w tym czasie rozwijania się piśmiennictwa peryodycznego potrzebował zdolnych belletrystów, a szczególnie zręcznych opponentów. Oliwer, za stół, pomieszkanie i małą płacę pieniężną, zobowiązał się dostarczać mu artykułów. Po ośmiu jednak miesiącach trwania tego związku burzliwy współpracownik poróżnił się z Griffithem, i w roku 1759 wystąpił jako pisarz samodzielny w rozprawie „*Enquiry of the present state of taste and literature in Europe*”

(Badania nad stanem terażniejszym smaku i literatury w Europie).

Odtąd Goldsmith z zapalem rzucił się w zawód literacki. Ulotne jego artykuły zjawily się we wszystkich pismach peryodycznych, i w téjże drodze wychodziły jego listy o Chinach, które później zebrano pod tytułem: „*The citizen of the world*” (obywatel świata). W roku 1761 poznał się ze słynnym wówczas krytykiem, dr. Johnson, którego wytrawna znajomość świata i ludzi wielką stała się dlań pomocą. Nie możemy tu pominąć sposobności przytoczenia wyjątku z pamiętników Johnsona dotyczącego Goldsmitha:

„Pewnego poranku, opowiada on, odebrałem list od Goldsmitha, w którym mi donosił że w wielkiej jest biedzie, i nie mogąc sam do mnie się wybrać, prosił abym go odwiedził. Posłałem mu gwineę i przyrzekłem stawić się natychmiast. Ubrawszy się pobiegłem do niego i dowiedziałem się że gospodyni domu w którym mieszkał zamknęła go w pokoju, z powodu że nie zapłacił komornego, z czego naturalnie w najwyższym stopniu był oburzonym. Gwinea już była rozmienioną i zastałem go przy butelce madery. Odsunąłem wino i zacząłem z nim rozmawiać o sposobach wydobycia go z kłopotu. Powiedział mi wtedy że ma przygotowaną do druku nowellę i dał mi rękopis. Zacząłem go przerzucać i poznałem się zaraz na wielkiej jego wartości; obiecałem więc gospodyni że ją zaspokoje, wziąłem z sobą rękopis, i otrzymawszy zań od księgarza sześćdziesiąt funtów, przyniosłem Goldsmithowi pieniądze. Zapłacił komorne, i nie omieszkał złożyć porządnie gospodyni że śmiała tak się z nim obchodzić.”

Nowellą tą był „*Wikary wekfeldzki*” (*The vicar of Wakefield*), dzieło które po wszystkie czasy i we wszystkich krajach wzbudzało i wzbudza uwielbienie. Jakkolwiek głównym jego przedmiotem jest określenie stosunków wyłącznie angielskich, wdzięk jednak, prawda i prostota w niem rozlane, naiwna humorystyka, lekkość stylu i czystość wyśłowienia zjednały mu wszędzie zwolenników, zarówno w salonach wielkiego świata, jak przy skromnym ogniu kominkowym klasś średnich, a nawet najniższych. Żaden téż z nowellistów angielskich nie uzyskał takiego rozgłosu. *Wikary wekfeldzki* przełożony został na wszystkie języki europejskie, i dziś jeszcze coraz nowe zjawiają się tłumaczenia téj ślicznej sielanki życia angielskiego.

Ogłosiwszy w roku 1765 „*Wędrowca*”, a w 1766

„Wikarego”, Goldsmith wydał: „*Lettres on english history*”. (Listy o historii angielskiej), przypisywane początkowo lordowi Lyttleton. Zapał z jakim przyjmowano te jego prace zachęcił go do probowania sił i w komedyi; napisał: „*The good natured man*”, (Dobroduszny człowiek) i kilka innych sztuczek, które na scenie przyjęto z oklaskami. Roku 1769 zjawił się jego poemat „*The deserted village*” (Opuszczona wioska), a nieco później „*History of England*” (Historia Anglii) i „*Roman history*” (Historia rzymska). Czy wydana po śmierci Goldsmitha „*History of Greece*” (Historia grecka) jego jest dziełem, dotychczas nie rozstrzygnięto.

Za wstawieniem się przyjaciół, Goldsmith mianowany został profesorem historii starożytnej przy angielskiej akademii malarstwa. Roku 1770 zrobił wycieczkę do Paryża, a 1773 odegrano z powodzeniem komedya jego „*She stoops to conquer*” (Korzy się aby zwyciężyć). Jedną z ostatnich prac jego była „*History of the earth and animated nature*” (Historia ziemi i ożywionej przyrody) podług Buffona, (6 tomów, Lond. 1774; nowe wyd. Turtona, Lond. 1818). Do tego również czasu należą żartobliwe poemata jego „*The haunch of venison*” (Udo zwierzyny) i „*Retaliation*” (Odwet). Zajmował się także planem wydania ogólnego słownika sztuk pięknych i nauk, ale śmierć przedwczesna nie pozwoliła dojrzeć temu zamiarowi.

Dwudziestego piątego marca 1774 roku miał być obecnym na posiedzeniu klubu którego był członkiem. Po obiedzie jednak uczuł się tak słabym,

że musiał się położyć. Wywiązała się nerwowa gorączka, i mimo najtroskliwszych starań lekarzy i przyjaciół zgasł w sile wieku, bo w 46 roku życia, dnia 4 kwietnia 1774 roku.

Goldsmith obok bystrego rozumu posiadał żywą i twórczą wyobraźnię, umysł niezmiernie wrażliwy, uczucie głębokie a łagodne; łączył więc w sobie wszystkie przymioty dobrego poety lirycznego. W pracach naukowych pogląd jego na całość był zawsze jasny i przystępny, ale nie wnikał dość głęboko w szczegóły obrabianego przedmiotu; obejmował strony najważniejsze, ale nieumiał wyczerpywać wszystkich. Lekkie jednak i powabne przedstawianie tego co widział lekko i powabnie; w poezyi prawda, żywość i humor; w życiu światowym szlachetna duma, oparta na uczuciu swęj wartości i gotowość do poświęceń dla tych których kochał, jednały mu powszechne współczucie. Szkoła tylko że z drugiej strony zasmucający brak zasad praktycznych, a ztąd wahanie się w postanowieniach, niepewność i lekkomyślność w czynach przez całe towarzyszyły mu życie, i stały się dlań powodem niejednej przykrości, niejednego błędu, a wreszcie śmierci zawczesnej.

Przyjaciele postawili mu pomnik w opactwie Westminster, z napisem ułożonym przez Johnsona. Wspaniałe wydanie dzieł Goldsmitha wyszło roku 1801 w Edyburgu w czterech tomach. Jego „*Miscellaneous works*” (Dzieła treści mieszanej) ogłosił Washington Irving w Paryżu 1825 r., także w czterech tomach.

L. J.

HISTORIA NATURALNA SŁONIÓW

W OBRAZACH ¹⁾.

I. Uraza słonia.

Pyrrhus, król Epiru, w walkach swych z Rzymianami używał kawaleryi na słoniach. Gdy stra-

¹⁾ Dowcipny ten i malowniczy opis p. Méry, publicysty francuzkiego, podajemy czytelnikom Księgi Świata w tłumaczeniu. Przedstawia on w rzutach śmiałych i jaskrawych kilka wybitniejszych rysów charakteru tych zwierząt słynnych z roztropności, i uważanym być może za obrazowe, a nader zajmująco skrócone, dopełnienie ich historii naturalnej. (Przyp. red.)

zne te zastępy przypuścili szarżę, ziemia zadrżała, jak w czasie wybuchu wulkanicznego.

W cyrkach Tytusa utrzymywano całe stado tych olbrzymów królestwa zwierzęcego, których Rzym po kilkaset rocznie zużywał dla swojej przyjemności. Gdy zapas się wyczerpywał, edylowie czuwający nad igrzyskami przesyłali prefektowi Afryki te lakoniczne wyrazy: „Lud potrzebuje słoniów”. I zaraz prefekt zarządzał oblawy, zastawiał sidła

i w przeciągu miesiąca Rzym był na nowo zaopatrzony.

Dziś czasy się zmieniły. Szlachetna ta rasa staje się coraz rzadszą, i niezadługo może przejdzie w krainę baśni. Dziś już ciekawi płacić muszą za oglądanie słonia, i gdyby prefekt departamentu Sekwany zażądał ich choćby trzy od gubernatora Algierji, to pewnie odsądzonoby go od zmysłów.

Niechże nowożytna cywilizacya pary i dróg żelaznych zagarnie do reszty lasy i płaszczyny dziewiczne, a słonie znikną z powierzchni ziemi, jak mastodonty, ich przodkowie. Wtedy pra-prawnukowie nasi z podziwem oglądać będą ciała tych zwierząt wspaniałych po gabinetach zoologicznych; lecz ciała te będą nieruchome i wypchane.

Najstosowniejsza to pora do pomówienia o tych istotach, których nieśmiem, zaprawdę, nazywać zwierzętami. „*O człowieku można ostatnie powiedzieć słowo*, rzekł jakiś mędrzec indyjski, *o słoniu nigdy*”. Powiédzmy więc chociaż przedostatnie.

Naturalistom z professyi zdaje się że zrobili już wszystko, napisawszy takie na przykład zdanie: „*Słoń jest zwierzęciem olbrzymiém, a nawet największém na świecie. Postać jego jest potworna i odrażająca, skóra pomarszczona. Uszy ma szerokie, oczy małe i trąbę zamiast nosa. Żywi się owocami, łagodny jest z natury i da się nałożyć do prac różnego rodzaju.*”

W chwili więc gdy ród słoniów ma się ku wygaśnięciu, trzeba raz przecie o nich pomówić jak należy: nie godziłoby się potomność w błąd wprowadzać, albo fałszywe jój pozostawić wskazówki.

Słonie były dla mnie zawsze przedmiotem studyów szczególnych; miałem nawet w téj rasie szlachetnej kilku dobrych przyjaciół, i dawniej w czasie wolniejszym spędzałem z nimi codziennie po kilka godzin w Jardin des plantes.

W lecie 1832 r. o mało żem drogo nie okupił przyjaźni jednego słonia. Wspaniały ten zwierz nazywał się Jemidar; bywałem u niego często, i dodać muszę że, w celu zjednania sobie jego względów, wydawałem codzien po parę franków na ciastka i owoce. Jemidar z daleka rozróżniał odgłos moich kroków, a za zbliżeniem się mojem porzucał zaraz gapiów podających mu liście kasztanowe, przekładał trąbę za palisadę i czekał na ulubione przysmaki. Po wyczerpaniu zapasów dawałem mu poznać gestami że nié mam nic więcej. Wtedy słoń z rezygnacyą spuszczał trąbę, i wzięwszy mój kapelusz, moję chustkę albo trzcinę, ra-

czył przez czas jakiś zabawiać się temi przedmiotami. Nic nie zmąciło naszej przyjaźni od 15 maja do 26 sierpnia: był to czas dostateczny na pokłócenie się z dziesięcią kolegami.

Dwudziestego siódmego sierpnia czas był przesłiczny, i słońce prawdziwie afrykańskie wprawilo w ruch niezwykły cały ród koci w Jardin des plantes. Jeden z dozorców dał mi znak, i otworzywszy furtkę zamkniętą dla ogółu publiczności, wpuścił mnie wewnątrz menażeryi.

— Pójdź pan zobaczyć tygrysa Żaka, rzekł dozorca, on dziś w wybornym jest humorze.

Żak, pyszny tygrys bengalski, należał także do rzędu mych przyjaciół; przynosiłem mu niekiedy króliki lub kurczęta, i wielkie z tego powodu miałem u niego łaski. Na ten raz przyjął mnie z przymleniem prawdziwie kociém; pozwalał się głaskać, skubać i klepać. Po kwadransie tych pieszczoł niewinnych, opuściłem menażeryą kocią, wynagrodziłem dozorcę i udałem się do przekupniów miejscowych, w celu nabycia zwykłych zapasów dla słonia Jemidara.

Najlepszy przyjaciel niezawsze jednakowo nas przyjmie: zastaniemy go raz posepnym, drugi raz niespokojnym, trzeci stroskanym; a jeśli go zapytamy co mu jest, odpowie najczęściej: „Nic mi nie jest”. I może być nawet że ta odpowiedź będzie prawdziwą, bo ludzie, zwyczajnie jak ludzie, mają swoje przywidzenia.

Tym razem Żak przyjął mnie bardzo kwaśno. Wziął pierwsze ciastko które mu podałem i rzucił je w błoto. Ten sam los spotkał jabłko, owoc dla słoniów tak ulubiony. Małe jego oczy z dziwnym na mnie zwracały się wyrazem; szerokie uszy kołysały się jak wachlarze, a trąba przybrała ruch wahadłowy. Dałem mu inne jabłko... Jemidar wydał ryk ponury, i spojrzawszy na mnie wzrokiem zaiskrzonym, zdawał się chcieć powiedzieć: — Jak śmiesz pokazać mi się na oczy, i jeszcze przynosić podarunki?

Widocznie w rozumieniu jego musiałem popełnić jaką zbrodnią, nie przypuszczałem bowiem żeby zwierzę rządzić się mogło kaprysem. Lecz jaką była ta zbrodnia? oto pytanie które odchodząc naprózno sobie zadawałem.

Nielaska każda ma zawsze swoje gorycze. Dotknięty nią, błąkałem się do wieczora po gajach okolicznych. Powróciwszy do siebie, zasnąłem późno, a we śnie zdawało mi się że jestem nieustraszoną podróżnikiem Levillant, szukającym na

pustyni ptaka *Turracus albus*, i że, podobnie jak on, spotykam się nagle sam na sam ze słoniem. Uczulem dreszcz gorączkowy, i zerwałem się z łóżka, w mniemaniu że już mnie dusi jego trąba.

Wyobraźnia ludzka niewyczerpaną jest w zarządzaniu wszelkiego rodzaju utrapieniom: postanowiłem raz jeszcze pokusić się o odzyskanie straconej łaski. Niestety! nie znałem jeszcze słoniów! Kładąc te istoty niezachwiane w uczuciach na równi z ludźmi, przypuszczałem że mój przyjaciel się rozmyśli. Mędrzec indyjski Pan-o-pei powiada że słonie są bóstwami, które zjednać sobie można za pomocą darów, a szczególnie trzciny cukrowej. W niedostatku jednak tej ostatniej, umyśliłem zastąpić ją pasztetem. Gdyby Indyanie, (tak dowodziłem sam sobie) mieli w lasach Bengalu pasztetnika Feliksa, to chcąc ulagodzić slonia, woleliby pewnie użyć smacznego pasztetu paryzkiego, jak niepokaznej trzciny. Niestety! człowiek bezustannie myli się w wyborze środków, mając do czynienia ze słoniem.

Szedłem do Jemidara, obciążony przepyszny podarunkiem, dumny jak posłaniec Artaxerksesa mający przekupić Hippokrata, i mimochodem wstąpiłem znów do tygrysa, aby mu rzucić kawał surowej cielęciny.

Kiedym się zbliżył do słonia, zwierzę wydało krzyk głuchy lecz wściekły. Napróżno pokazywałem mu pasztet: Jemidar dał mi poznać że lęka się mych darów; *timeo Danaos et dona ferentes*, i chcąc uniknąć widoku nienawistnego sobie karła, wszedł w ogrodzenie swoje i już nie pokazał się więcej.

Zmartwiony tym nowym zawodem, poszedłem do jamy niedźwiedziej i wrzuciłem w nią pasztet, który żarłoczne zwierzęta w oka mgnieniu rozszarpały.

W ośm dni później byłem na operze włoskiej w loży księcia de Choiseul. Grano Semiramidę Rossiniego. W między-akcie książę raczył mnie poznać z sir Williamem Bentinck, gubernatorem Indyj. Sir William oddawna był moim ideałem; odbyłem z nim wszystkie wyprawy wojenne, wszystkie polowania na tygrysy i słonie, rozumię się że w myśli, czytając ich opisy w Kuryerze bombajskim. Rozmawiałem z nim o faunie indyjskiej, i niewiem jakim trafem, przyszło mi opowiedzieć zdarzenie ze słoniem Jemidarem. Dostojny Anglik zamyslił się, a potem rzekł z powagą:

— Przybyłem z Kalkuty dla dania swego głosu lordowi Bathurst w kwestyi gabinetowej; prze-

jeżdżam więc tylko przez Paryż. Lecz jutro będę na śniadaniu u księcia de Choiseul w Luwrze; spodziewam się pana tam zastać.

O słoniu nie wspomniał ani słowa, co z resztą nie dziwiło mnie wcale. Wiedziałem że Anglik nie odpowiada nigdy pospiesznie, z obawy skompromitowania się w czémkolwiek; czekałem więc cierpliwie jutra.

Śniadanie u księcia de Choiseul zaczynało się zawsze najregularniej o godzinie jedenastej, ani minutę wcześniej lub później. Wiedząc o tym zwyczaju, przybyłem o trzy kwadransy; sir William był już obecny.

Gdyśmy zasiedli do stołu, szanowny gubernator raczył, dla miłości mego słonia, zapomnieć na chwilę o bilu swego przyjaciela, lorda Bathurst.

— Musiałeś pan, rzekł do mnie z uprzejmością, pominąć w opowiadaniu swoim ważną jaką okoliczność.

— Przeciwnie, odparłem, opowiadanie moje było najzupełniej dokładne; a jeślim zgrzeszył, to chyba zbyt dużą obfitością szczegółów.

— Rzecz dziwna! odezwał się znów Anglik, przepędziłem połowę swego życia pośród słoniów; polowałem z niemi na tygrysy; badałem ich obyczaje w stanie dzikim i domowym, a tego wypadku nie pojmuję. Jednakże, ponieważ nielaska zbyt jest widoczną, idę w zakład o tysiąc funtów że słon ma słuszność, jak zawsze w zajściach z człowiekiem.

Po śniadaniu, o samej dwunastej, przeszliśmy do sali bilardowej, i tam w jednej z framug okiennych sir William zszedł się z p. de Jouy, wtedy konserwatorem biblioteki Luwru, który niegdyś służył w Indjach. Słuchałem zawsze z najwyższym zajęciem opowiadań podróżników azyatyckich; nie dziwnego więc że przystanął blisko, jako niemy początkowo świadek rozmowy znakomitych tych mężów. Wkrótce atoli jedno zdanie p. de Jouy zwróciło całą moją uwagę. Autor Westalki wymówił te słowa:

— Słoń posiada prawie wszystkie skłonności psa; mianowicie przywiązuje się do człowieka, a nienawidzi tygrysa. Jestto ogromny pies, nieprzyjaciel ogromnego kota.

Byłto dla mnie jakby błysk światła.

— Słoń, pomyślałem sobie, ma węch nierównie delikatniejszy od psa; więc Jemidar poczuł zapewne że przed chwilą głaskał tygrysa, i na zasadzie: *Powiedz mi z kim przestajesz, a powiem ci kto*

jesteś, wzgardził moją przyjaźnią. Tak, niezawodnie; ręka moja, trącają jeszcze świeżym dotknięciem tygrysa, śmiała wyciągnąć się do słonia i zdradliwe ofiarować mu dary; ztąd słuszna nieufność olbrzyma, któremu grzeczność moja wydała się podejściem. Gdybym podobne wiarołomstwo popełnił w pustyni afrykańskiej, Jemidar byłby mnie niezawodnie roztratował. Szczęściem że w Jardin des plantes cywilizacja i prawo broniły mnie od sroższego obejścia. Roztropny zwierz wiedział że człekobójstwo, uchodzące śród pustyni, w Paryżu byłoby zbrodnią; ograniczył się przeto na rzucaniu mi spojrzeń piorunujących i cofnięciu swój przyjaźni.

Powtórzyłem sir Williamowi swoje myśli i przytoczyłem bytność u tygrysa.

— Widzisz pan, rzekł dostojny gubernator, wszak mówiłem że musiałeś coś zapomnieć. Tak, to prawdziwa przyczyna niełaski, od której bądź pan pewnym że nigdy się nie uwolnisz, bo słonie wyborną mają pamięć.

Rozmowa zwróciła się na słonie i trwała do godziny piątej. Książę de Choiseul nie był dnia tego na posiedzeniu izby parów, dla przysłuchania się rozmowie dwóch znakomych podróżników, a ja, com z niej spamiętał, opowiem tu wiernie, chociaż bez tego uroku jaki prawda nadaje opowiadaniom świadków naocznych.

I. *Dyplomatyka słonia.*

Przemysłowiec jakiś angielski, nazwiskiem Harrisson, założył r. 1802 w Afryce towarzystwo dla handlu kością słoniową, którego główny kantor był w Surabaji. Staraniem przedsiębiorcy stu celnych strzelców zostało przewiezionych okrętem do zatoki Agoa, z rozkazem posuwania się w głąb kraju i otoczenia słoniów od strony puszczy graniczących z jeziorem Makidas, najeżonych dziką trzcina cukrową, którą tam natura, jakby umyślnie dla słoniów, obficie rozrzuciła.

Harrisson osobiście miał dowodzić tej wyprawie. Urodzony w Indjach angielskich, i łącząc w sobie instynkt dziecięca natury z wyższością cywilizacji, dzielny ten człowiek posiadał całe zaufanie towarzyszących mu myśliwców. Rzucano się za nim wszędzie z ślepym zapalem, w przekonaniu że każde przedsięwzięcie jego skończyć się musi pomyslnie.

Jednego dnia, gdy wiatr zawiął od góry Lupata, myśliwi nasi, upewnieni że słonie zawczasie ich nie zwietrzają, postanowili zapuścić się w las, które-

go drzewa dość rzadkie, okręcone lianami, tworząc w różnych kierunkach jakby sklezione korytarze, dowodziły częstego tamtędy przechodu owych olbrzymów przyrody.

Po przebyciu dość znacznej przestrzeni ujrzano trzech słoniów stojących nieruchomie na czatach. Najbliższy z nich, spostrzegłszy napastników, wydał krzyk głuchy lecz przeciągły, i na to hasło zwierzęta rozpoczęły odwrót.

— To będzie prawdziwa kopalnia kości słoniowej, zawołał nieustraszony Harrisson, i wszyscy ostrożnie puścili się w trop za słoniami.

Skutkiem jednego z tych szybkich przeskoków, tak częstych w przyrodzie afrykańskiej, myśliwcy z najbujniejszej roślinności weszli nagle w kotlinę skalistą, której nagie i potargane ściany z ciemnego granitu zdawały się być czeluścią niedawno wygasłego wulkanu. U wniścia ciasnego wąwozu widać było z daleka jakieś masy szarawe, podobne do urwisk rozrzuconych u podnóża skały; ale gdy słońce wychyliło się z za obłoków, złudzenie ustąpiło: mniemane te głazy granitowe były przednią strażą kolonii słoniów z Willakarmy.

Harrisson, który się miał za biegłego generała, dlatego że był odważnym, popełnił wtedy rażący błąd strategiczny. Złudzony pozorami i nie znając dostatecznie właściwości geologicznych Afryki środkowej, mniemał że stado słoniów schroniło się nieroztropnie w wąwóz nie mający wyjścia, i że łatwo będzie zebrać obfite żniwo kości słoniowej, zagnawszy je wystrzałami karabinowemi w głąb labiryntu skalnego. Była to rachuba oparta na mylném ocenieniu inteligencji tych olbrzymów. Rzymianie, pod wodzą konsula Poncyusza, dali się kiedyś zamknąć tym sposobem w przesmyku Caudium; lecz słonie bardziej są przewidujący od ludzi. Wąwóz miał wyjście szerokie, komunikujące z łańcuchem gór Lupata.

— Zacznijmy od przedniej straży, pomyślał Harrisson, a potem uderzymy na całe stado, postępując dwiema kolumnami.

I dając znak towarzyszącom, wystrzelił, a za nim jednocześnie zagrzmiało sto karabinów.

Po raz pierwszy odgłos zabójczej mieszanki, którą człowiek nazwał prochem, rozległ się w tej samotni; echa skał okolicznych powtórzyły go stokrotnie, a wrzawa chaotyczna najróżniejszych ryków, pisków i skomleń towarzyszyła hukowi broni.

Po dziwnym tym zgielku rozbudzonej pustyni nastąpił wkrótce uragan straszliwy gniewu obra-

zonych w swém prawie mieszkańców tego miejsca ustronnego. Oburzenie tych kolosów wstrząsnęło powietrze i oddziało na nerwy przerażonych myśliwców jak prąd elektryczny. Najśmielszych ogarnęła trwoga, i żaden nieśmiało powtórnie nabić broni; jeden tylko Harrisson zachował krew zimną, usiłując rozpoznać nieprzyjaciół po za tumanami dymu prochowego. Jakoż ujrzano wkrótce sześciu słoniów przypuszczających szarżę do napastników. Na widok ten ucieczka stała się powszechną; na próżno Harrisson usiłował powstrzymać pierzchających: przestraszony głuchemi ich czynił na jego nalegania, i w jednej chwili armia cała, opuszczając swego wodza, zniknęła w gęstwinie lasu.

Słonie, jakkolwiek zwinniejsze od ludzi, a nawet od koni, nie uznali godnym siebie puszczać się w pogoń za tak tchórzliwym nieprzyjacielem; otoczyli tylko Harrissona groźnym trąb czworobokiem, aby ucieczkę jego uczynić niepodobną. Jeden z nich był raniony w ucho, a słoń, podobnie jak lew, nie myli się nigdy w rozróżnieniu ręki która go dosięgła. Harrisson sam jeden był winnym; karabiny innych narobiły tylko dużo huk i dymu.

Raniony słoń krokiem poważnym zbliżał się ku swemu prześladowcy, lecz z oczu jego błyszczała chęć zemsty. W téj strasznej chwili Harrisson, pomimo zwykłego męstwa, padł instynktowo na kolana, i wznosząc ręce w postawie błagalnej, zdawał się prosić o przebaczenie. Mówią że lwy przystępnymi są uczuciom wspaniałomyślności, nie powinno więc zadziwić nikogo jeśli i słoniom to się przytrafia. Słoń mściciel stanął przed Harrissonem i zdawał się zastanawiać przez chwilę. Inne patrzyły na tę scenę z daleka, a biedny Harrisson odmawiał modlitwę konających. Jedynym świadkiem téj sceny uroczystej, odegranej na pustyni, było słońce, którego opowiadanie złożyłoby niezawodnie najciekawszą księgę, gdyby słońce mogło być historykiem.

Słoń podjął delikatnie Harrissona końcem trąby, i opisawszy nim w powietrzu półkole, posadził go okrakiem na swym grzbiecie; poczem olbrzymi czworonóg wydał głos jakiś przeciągły i zwrócił się ku wąwozowi.

Stado całe, jakby zgadując myśl towarzysza, udało się za nim.

Harrisson, z karabinem przewieszonym przez plecy, pochylony na grzbiecie olbrzymiego wierzchowca swojego, nie przestawał modlić się gorąco; mniemał bowiem że zemsta została tylko odłożoną,

i że egzekucya jego nastąpi w obec całej kolonii. I rzeczywiście obawa Harrissona bardzo była naturalną. Trudno aby w chwili tak strasznej przypomniał sobie traktat Buffona o wspaniałomyślności słoniów; bo nie siedział, jak ten uczony, w sukni obszytej koronkami, na wygodnym fotelu mahoniowym, mając przed sobą rycinę Lejay'a, wyobrażającą słonia i jego przewodnika, lecz klusował oklep na grzbiecie obrażonego nieprzyjaciela; trzeba mu więc wybaczyć ten chwilowy upadek na duchu.

Słoń przebiegł wąwóz i zapuścił się w las dziewiczy, poprzerzynany szerokimi tunelami, który zdawał się być głównym kolonii siedliskiem. Gdyby myśliwy nasz nie był pod wrażeniem śmiertelnej trwogi, to niewątpliwie byłby się zachwycił pięknnością téj natury pierwotnej, otaczającej go swemi cudami. Odwieczne drzewa tworzyły nad jego głową nieprzebyte okiem sklepienie, w którym roje wesołego ptastwa igrały świegotając; tysiące kwiatów nieznanych strefy afrykańskiej w przepysznych arabeskach obwijały pnie i gałęzie, rozlewając w powietrzu miły swój aromat; rozkoszny chłód lasu orzeźwiał ciało i duszę. Ale niestety! zbrodzień, prowadzony na miejsce kary, nie mógł się cieszyć wspaniałością przyrody!

Karawana przybyła wkrótce na ogromną płaszczynę leśną, gdzie liczne rodziny słoniów zdawały się pędzić życie w prawdziwie sielskim spokoju. Samice z żywym zajęciem przypatrywały się igraszkom swych dzieci na miękkiej murawie, albo w falach małego jeziora, którego brzegi emaliowym rąbkiem okalały lilie wodne. Samce, poważniejsze z natury, zaprzętały się czynnościami domowemi, znosząc owoce i trzcinę cukrową do wspólnego składu. Najzupełniejsza zgoda panowała w tém małym państwie zwierzęcym, którego każdy członek był razem władcą i niewolnikiem własnego obowiązku.

Raniony słoń, złożywszy swego więźnia na murawie, przyjęty był przez swych braci z oznakami najżywszej radości. Olbrzymy te niezdawały się nawet spostrzegać obecności karła przybyłego do ich kolonii, co, mówiąc nawiasem, mało w téj chwili obeszło miłość własną Harrissona. Myśliwiec, zostawiony sam sobie, zaczął się rozglądać, myśląc naturalnie o ucieczce; ale postrzegł niebawem że pilnie był strzeżony: cztery słonie z podniesionemi trąbami czuwały nad każdym jego ruchem.

Murawa, na której więzień nasz usiadł z rezy-

gnacją, zasłaną była owocami drzewa chlebowego, trzcina cukrową i innymi płodami bojnój szafarki natury, o kilka zaś kroków od niego płynął strumyk czysty i szemrzący. Nie lękał się więc Harrisson głodu lub pragnienia; lecz inny rodzaj niebezpieczeństwa ciągle mu zagrażał: lada chwila któremu ze strażujących kolosów mogła przyjść chętka krotochwilna pogłaskania go końcem trąby, a takie pogłaskanie, jak wiadomo, gruchocze zwykle kości.

Długo więc Harrisson w śmiertelnój był obawie, lecz zwolna, widząc przychylnie dla siebie usposobienie stada, uspokoił się nieco i pomyślał o zaspokojeniu żołądka. Skromnój biesiadzie jego, na zielonym obrusie, słonie nietylko że nie przeszkadzały, ale przeciwnie cieszyć się zdawały że gość ich dobry ma apetyt. Było to więcj łaski jak więzien nasz mógł się spodziewać; ale że człowiek, od czasów raj, nie bywa nigdy zadowolonym z swego losu, Harrisson począł suszyć sobie głowę nad dalszemi zamiarami słoniów co do jego osoby; widocznie bowiem te zwierzęta nie dla igraszki tak starannie go strzegły.

Niezadługo ruch jakiś szczególny objawił się w stadzie i ziemia zadrżała pod ciężkimi stapaniami. Kilku słoniów, jak się zdawało dostojników kolonii, potrząsnęło trąbami, wydając ryk ponury. Młode nieprzerywały zabaw swych na murawie; lecz starsze okazywały niespokojne jakies zaprzątanie.

Cały ten ruch jednakże na nowo przeraził Harrissona. Niepodobna, pomyślał, aby te kolosy do skruszenia takiego jak ja prochu z taką zabięrały się wrzawą; idzie więc o coś ważnego: może ospodziejwaną napaść dzikich jakich zwierząt, które słonie zwietrzyły z daleka delikatnym swoim węchem. I otóż, chcąc niechcąc, będę świadkiem walki lwów lub tygrysów ze słoniami, a w zamieszaniu bitwy niezawodnie i mnieby się dostało uderzenie pazurami albo trąbą. Wolę więc korzystać ze sposobności i drapnąć niepostrzeżony.

Pomyślawszy tak, Harrisson począł nieznacznie cołgać się ku gęstwinie: ale za ledwo posunął się kilka kroków, gdy stróże jego, z uprzejmie podniesionemi trąbami, dali mu grzecznie poznać że na ten raz wyrzec się powinien ucieczki, pod karą nieochybnój śmierci.

— Rzecz dziwna! pomyślał znów myśliwy. Dlaczego w chwili tak uroczystej, w chwili zbliżania się walki straszniejszej od wszystkich bitew któ-

rych opisy przechowały nam roczniki wojen, olbrzymy te raczą się jeszcze mną zajmować?

Przybrał wtedy postawę pełną pokory, i starał się wyrazić gestami że nie myśli już o ucieczce.

Mając do czynienia ze słoniami, można od biędy uciec się do gestów, i kto wie czy te olbrzymy nie lepiej je rozumieją od ludzi. Możeby nawet dokładniej umiały sobie wytłumaczyć treść jakiego baletu, niż publiczność opery paryzkiej.

Ziemia wciąż jeszcze drżała pod stapaniami nóg niewidzialnych; postawa jednak słoniów, zwróconych ku stronie zbliżającego się odgłosu, bardziej była niespokojną jak groźną.

Nareszcie z jednego z tunelów wybiegł słoń, za nim drugi i trzeci, i jednocześnie prawie przenikliwe krzyki, podobne do śmiechu piekielnego, rozległy się po drzewach. Teraz dopiero Harrisson zrozumiał jakiego to najścia obawiały się słonie: ogromne stado małp zwinnymi skokami przedierało się przez gęstwinę gałęzi, i wkrótce obmierzłe te zwierzęta zaczęły zrywać orzechy kokosowe i ciskać niemi w słoniów z celnością strzelców winceńskich, przyczem na całej linii ponawiały się bezustannie wybuchy szyderczego śmiechu.

— Otóż to szczęście ziemskie! rzekł sobie w duszy nasz myśliwy. Zdawałoby się że los tych szlachetnych zwierząt prawdziwie godnym jest zazdrości, że ony w swém ustroniu zupełnej używają swobody; a tu obrzydła rzesza nikczemnego rodu małpiego zakłóca niespodzianie spokój poważnych filozofów leśnych. Widać że natura te bezużyteczne zkadinał poczwary dlatego tylko stworzyła, aby dręczyły słoniów.

Niezmierna wrzawa krzyków i śmiechów rozdzierających nie dosięgła jeszcze swego szczytu: zgraja papug wszelkiego kształtu, wszelkich barw i odmian, jakby w pomoc pospieszyła małpom, zaczęła uczestniczyć w strasliwym ich koncercie.

Zarłoczne te ptaki pospieszały za małpami dla zbierania resztek orzechów kokosowych i oplacenia się za biesiadę przedrzężnianiem wszystkiego co żyło w tój samotni. Straszliwa ta nawałnica, złożona z krzyków małpich i przedrzężniań papuzich, nie mogła nieobrażać delikatnego słuchu słoniów, zmuszając nawet młode do zaprzestania niewinnych swych igrań. Podobny zamęt w miniaturze sprawićby chyba mogło nagle wkroczenie do sali konserwatorium muzycznego wrzaskliwej rzeszy agentów giełdowych, obwołujących osta-

tnie kursa, podczas gdy orkiestra wykonywa symfonią z *ut minor*.

W téj chwili słon raniony przez Harrissona zbliżył się do myśliwca i spojrzał na niego z trudnym do opisania wyrazem.

Zwyczajnie jak człowiek, Harrisson nie pojął z razu znaczenia téj nieméj prośby; zastanowił się trochę, spojrzał po wierzchołkach drzew, po murawie, lecz niczego się niedomyślił, co widocznie niecierpliwilo słonia. „Jaki téż człowiek jest głupi!” byłby rzekł niezawodnie, gdyby umiał mówić po naszymu.

A gdyby, prócz daru mowy, posiadał jeszcze znajomość historyi starożytnéj, to byłby dodał zapewne: Roku 281 p. n. Chr. Pyrrhus, król Epiru, nie uważając się dosyć silnym dla pokonania Rzymian, użył pomocy słoniów, i dzięki sile olbrzymiej tych naszych praszczurów, pobił nieprzyjaciół na głowę. Otóż, krótkowidzący człowiecze, jeżeli ci przebaczył tę swoją ranę, jeżeli cię za nią nie zgruchotał uderzeniem trąby, jeżeli cię zaniósł w to miejsce, to pewno nie na pokaz, dla zaspokojenia ciekawości mych współbraci. Czyż nie domyślasz się mych zamiarów? Potrzebujemy twéj pomocy dla odpędzenia tych małp obrzydłych, które nam zatruwają życie. Dalejże więc, ty śmiałku, coś tyle okazał zręczności w ranieniu niewinnego słonia, użyj teraz swéj broni, która dalej sięga od trąby, w celu szlachtniejszym, w celu uwolnienia poczciwych stworzeń od niegodnéj napaści!

Nagle szczęśliwa myśl zabłysła w mózgownicy Harrissona; zrozumiał wreszcie żądanie olbrzyma, i wyraz zadowolenia twarz jego ożywił; powołany był do wyświadczenia słoniom, swym przyjaciółom, przysługi niezmiernie ważnéj.

Nawzajem teraz myśliwiec nasz starał się wytłumaczyć słoniowi, że obawiając się gniewu małp, potrzebuje bezpiecznego schronienia, któreby mu dozwalało zwalczać bezkarnie tych maroderów. Słon pojął natychmiast żądanie i usadowił go przed sobą, pod zasłoną swych klów potężnych i trąby podniesionéj. Harrisson wziął na cel dwie, jak się zdawało, starsze małpy, kołyszące się na gałęziach drzewa kokosowego z prawdziwie demonicznymi wykrzywieniami, i dwa razy raz po raz wystrzelił z dubeltówki.

Rozległ się krzyk straszliwy, po którym głuche nastąpiło milczenie. Nieprzeliczona chmara papug, nakształt sklepienia różnobarwnego, wzbila się ponad wierzchołki drzew, a potem szybko na

wszystkie rozpierzchła się strony. Był to jeden z tych cudownych widoków Afryki środkowéj, przystępnych tylko dla niewielu bohatérskich wybrańców, którzy śmiały wydrzeć z jéj łona najskrytsze i straszne często tajemnice.

Niewyczerpane echa gór Lupata powtórzyły do nieskończoności huk podwójnego wystrzału, a w oddaleniu lwy rykiem przeciągłym odpowiedziały na pierwszy ten odgłos zdobywczéj cywilizacji naszéj.

Dobrze wymierzone strzały Harrissona nie chybiły swego celu: obie małpy ubite padły na murawę. Dwa słonie zgrabnie podjęły trupy i rzuciły je napowrót w gałęzie, jakby dla powiększenia tym sposobem rozpaczony ich przyjaciół. Nastąpił wtedy wybuch żalonych, ludzkich prawie, kwileń. Myśliwiec nasz jednak, nierozczulony bynajmniej tym powszechnym lamentem, nabił znów karabin i powtórzył dzieło zniszczenia, wybierając ile możności zawsze dowódców. Po każdym podwójnym wystrzale słonie rzucały zabitych w objęcia małp przerażonych, które całkiem już zapomniały o złośliwych swoich psotach. Wkrótce pozostała starszyzna dała hasło odwrotu: zaszumiały gałęzie, jak gdyby burzą wstrząśnione, i pisk żalobny uciekających poczwarał, coraz bardziej się oddalając, ucichł w końcu zupełnie.

Harrisson, dumny z odniesionego zwycięstwa, przybrał postawę tryumfatora i gotował się przyjmując dziękczynienia oswobodzonych od napaści olbrzymów. Lecz słonie, skromne z natury, nie zdawały się wcale spostrzegać bytności swojego zbawcy, a cała ich wdzięczność ograniczyła się na zniesieniu mu co najlepszych owoców.

Po krótkim tym epizodzie dawna wesołość kolonii powróciła. Matki czule pieściły swoje dzieci, samce, odetchnawszy swobodnie, przechadzały się poważnie, a młodzież zwykłym oddawała się igraszkom, zrywając kwiatki, sprzeciwiając się starym, i wyrzucając trąbami strumienie wody zaczerpniętój w jeziorze.

W pierwszych chwilach zadowolonéj dumy Harrisson zapomniał o swym losie; wkrótce jednak upojenie przeminęło, i smutne myśli więźnia w następującym wylały się monologu.

— Aż dotąd, przyznaję, wszystko poszło jaknajlepiej; jestem jakby władczą potężnego królestwa słoniów, wdzięcznych poddanych moich, którzy z serdecznój miłości zapewne odtąd gorliwiej jeszcze strzedz mnie będą. Ale co dalej? Jeść tylko

owoce i pić wodę, to rzecz nieznośna dla Anglika; pozostać do śmierci w tém milczącym towarzystwie najzacniejszych zresztą czworonogów, także niepodobna. A potem radbym przecie udzielić komukolwiek szczegóły téj cudownej przygody, a jeśli umrzeć mi tu przyjdzie, nie będę jój mógł spisać i przesłać sir Williamowi Bentinck. Trzeba więc przezornie pomyśleć o ucieczce; dla prawdziwego jak ja gentlemana nie przystoi żyć ze słoniami i bronić ich przeciw małpom. Upatrzmy tedy chwilę stosowną, a nadewszystko wiatr pomyślny i noc jaknajciemniejszą.

Słonie, jak gdyby przeniknęły zamiary swego więźnia, podwoiły środki ostrożności, z zachowaniem wszelako względów najwymyślniejszój delikatności. Niby z przypadku, kilku z nich przechadzało się zawsze koło ujścia tunelów, i tylko miejsca w których zarosła leśna nieprzebytą tworzyły gęstwinię pozostały bez straży.

Chwilami zmysł kupiectwa odzywał się w Harrissonie, przynosząc mu zbawienną w nieszczęściu rozrywkę. Miał przed oczami źródło znakomitego majątku, prawdziwą kopalnię kości słoniowój, której wartość oceniał na szesnaście tysięcy funtów sterlingów. Nigdy zapewne myśliwiec żaden nie widział tyle drogocennój zwierzyny przechadzając się tuż pod swoim bokiem. Kły tych kolosów były rzadkiej białości i nadzwyczajnych rozmiarów; w *National-gallery* lub na targach Batawii płacono by je na wagę złota; lecz wydrzeć je prawym ich posiadaczom, było to zadanie wobec którego wyprawa Argonautów po złote runo zdawała się igraszką.

Słoń czuwający w stronie wschodniej wydał krzyk głuchy i strzygnął uszami, co zdawało się niepokoić innych jego współbraci. Starcy, odpoczywający w cienistej jakiejś rotundzie, wyszli, i nadstawili ucha w kierunku gór, złożyli krótką naradę. Myśliwiec nasz spostrzegł to poruszenie, a przekonany o nieomyślności instynktu tych olbrzymów, mniemał z razu że stado małp powraca z posiłkami, i że przyjdzie mu nowe swym przyjaciółom wyświadczyć dobrodzieństwo.

Niepewność tym razem była krótką, przygotowania bowiem słoniów najmniejszój nie zostawiały wątpliwości co do rodzaju grożącego im niebezpieczeństwa.

Młodsze i silniejsze, niewylączając samice, stanęły szykiem bojowym w części lasu zagrożonój przez niewidzialnego jeszcze napastnika; starców i

dzieci usunięto. Harrisson, korzystając z téj okoliczności, usadowił się w szykach inwalidów, tak przecież aby mógł widzieć dokładnie plac spodziewanej bitwy.

Chrapliwy szmer obiegnął szeregi słoniów, i wszystkie trąby, podobne do maczug szermierzy, jak na komendę wzniosły się w górę, wszystkie kły wyciągnęły się poziomo ku jednemu punktowi.

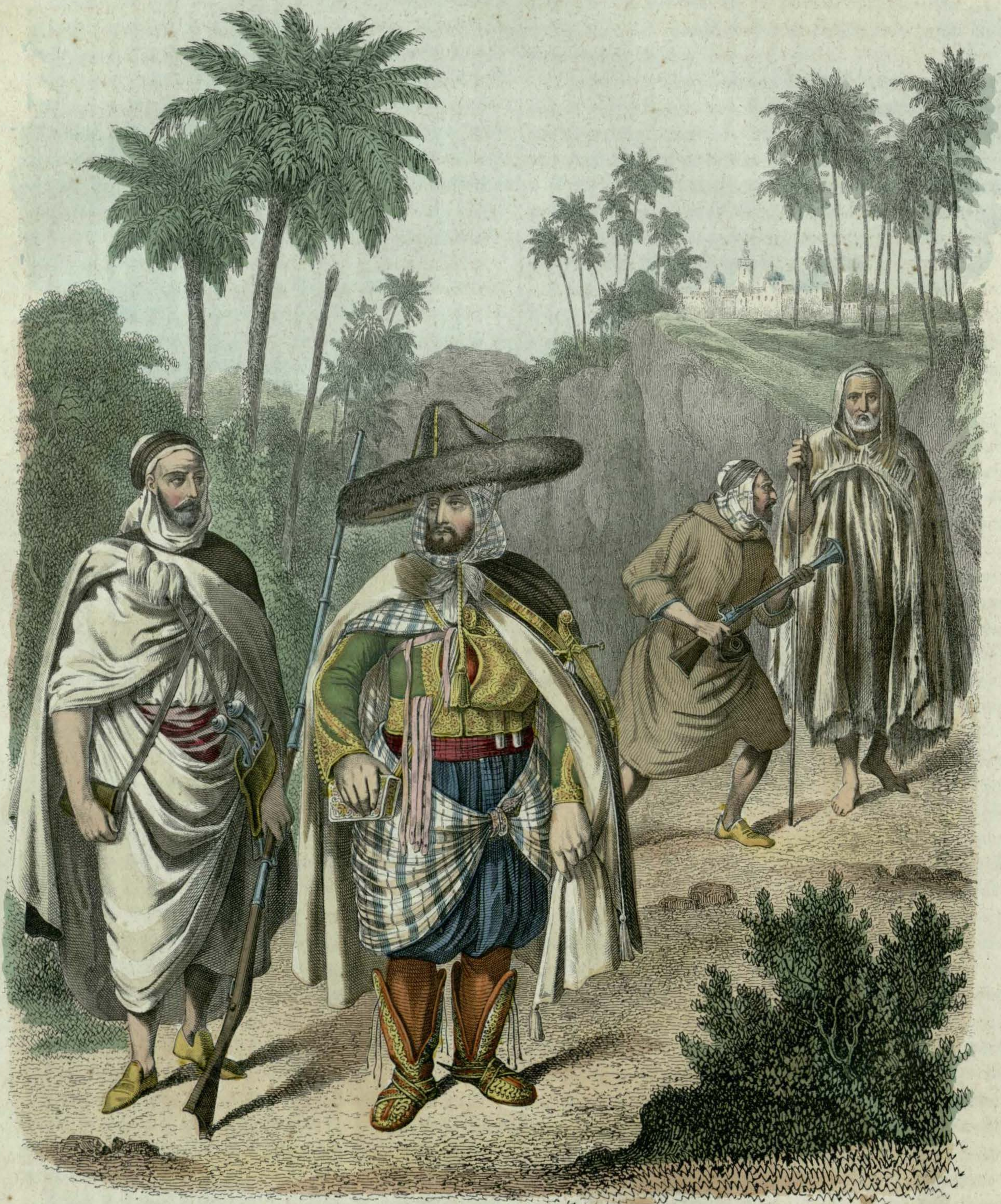
Trzy lwy ogromne, otoczone falistemi kudłami, pokazały się między drzewami; były to lwy wysłane zapewne na zwiady, dla dowiedzenia się o przyczynie tak niezwykłego hałasu.

Lwy obdarzone są od natury ową odwagą roztropną, którą człowiek gardzi, dlatego zapewne że nie zgadza się z junakieryą i zuchwalstwem. Nie ma téż między lwami bohaterów, bo wszystkie w jednym stopniu są waleczne.

Słoń nienawidzi tygrysa, ale poważa lwa, którego zna mądrość i szlachetne przymioty. Lew ze swój strony, nie czując się na siłach żeby walczyć z tym kolosem, woli go unikać; a jeśli przypadkiem dwa indywidua obu ras się spotkają, to przechodzą koło siebie jakby się nieznali albo niewidzieli. Żadne z nich nie okazuje najmniejszój chęci wywyższenia się lub pogardy; żadne nie przyspiesza kroku, z obawy skompromitowania swój godności osobistój; każde, jak gdyby nigdy nic, idzie w swoją stronę, nie naruszywszy w niczém wzajemnego szacunku, jak czynią zwykle ludzie honorowi, rozdzieleni przypadkową różnicą opinij.

Lwy nie spodziewały się zapewne spotkać w tém miejscu stada słoniów; pomimo wszakże niekoniecznie miłej niespodzianki honor uciekać im nie pozwalał: pozostały więc czas jakiś nieruchome, aby pokazać że cała kolonia olbrzymich przeciwników zastraszyć ich nie zdołała. Dopiero spławiwszy dług ten uczuciu swój godności osobistój, wolnym krokiem zawróciły się napowrót ku jaskiniom gór Lupata.

Słonie przez kwadrans jeszcze po odejściu lwów pozostały w szyku bojowym. Co się zaś tyczy Harrissona, ten uczuł owo drzenie nerwowe, jaką widok lwa w stanie wolności sprawia nawet na najodważniejszych. Przez chwilę oddech zatamował mu się w piersiach, a gdy ochłonął z wrażenia, stanęło mu na myśli niebezpieczeństwo którym zerowanie lwów po okolicy zagrażało jego ucieczce. Wewnątrz pilnowany przez słonie, zewnątrz przez lwy; niechże kto ujść spróbuje z pod straży tak przyjemnej!



Rezygnacya i nadzieja, są to dary najdroższe jakie Bóg zsyła wszystkim cierpiącym. I nasz myśliwiec doznał wpływu zbawiennego tych niebiańskich pocieszycielek. Postanowił starać się pozyskać zaufanie słoniów, z zamiarem naturalnie zdradzenia go przy pierwszej sposobności. Zdrada ta, owoc przebiegłości ludzkiej, zapewne nieznaną zwierzętom, zdawała mu się jedynym sposobem ocalenia, i wszystkie jego myśli zwróciły się od-tąd ku wykonaniu zamierzonego planu, bardzo zresztą godziwego w podobnym położeniu. Na pozor więc oddał się całkiem usługom swych olbrzymich przyjaciół: pielęgnował chorych, bawił dzieci, pływał z niemi po jeziorze, obdzielał im z kory trzcinę cukrową, i mocząc ją w pobliskim strumyku, nadawał przez to wodzie słodycz bardzo lubianą od słoniów. Jaką też za to wdzięczność okazywały mu te poczciwe stworzenia! Otaczano go najczulszemi staraniami, wielbiono jako dobroczyńcę, a to uczucie tak było powszechnem i głębokim, że biorąc rzeczy moralnie, powinno było zbudować naszego samotnika.

Nieszczęściem jednak potrzeby jego cielesne nie były zaspakajane na równi z duchowemi. Harrison, nie mający natury anachoretów Tebaidy, schudł niezmiernie przy skromnej strawie owocowej i czuł że codziennie sił mu ubywa. Należało więc pospieszyć z ucieczką, póki ciało zdolne jeszcze było znieść nierozłączne z nią trudy.

Oddawna słonie przywykły widzieć Harrissona łążącego po drzewach, w których ciemnej gęstwinie nieraz godziny całe przepędzał, zbierając owo-

ce lub wyszukując gniazda papuzie. Z nawyknięcia tylko zachowywano dawne środki ostrożności, bo więzień uważanym był przez wszystkich za rzeczywistego członka kolonii, którego nie śmiano już podejrzewać o zdradę. Instynkt zresztą, czy rozum, tych zwierząt nie przypuszczał nawet możliwości, aby człowiek ku ucieczce obrał drogę napowietrzną. Szcęściem że Harrisson, jako biegły myśliwiec, znał sposób indyjski przebywania lasów bez dotknięcia ziemi. Jednego przeto wieczoru, przed samym zachodem słońca, po biesiadzie ile możliwości posilnej, wdrapał się, jak zwykle, na drzewa, i przygotowany tym razem zginąć albo umknąć, z siłą i zręcznością rozpaczy zaczął torować sobie przejście przez gałęzie, ocienione gęstym spletem lianów i powojów. Przemykając się jaknajciszej, dosięgnął tym sposobem granicy lasu; tu chwilę tylko zatrzymał się, dla obmycia w strumieniu rąk i nóg pokalęczonych, i zaraz, kierując się gwiazdami, pobiegł dalej. Doszedłszy do zatoki Agoa, zastał tam okręt angielski płynący do Suraty, który zatrzymał się w tém miejscu celem nabrania wody. Rozumié się że rodacy z radością go przyjęli i udzielili mu wszelkich starań jakich stan jego wymagał.

Z Suraty Harrisson, o którego cudownych przygodach wieść szybko się rozeszła, przyzwany został do Kalkuty, gdzie gubernator Indyj angielskich, sir William Bentinck, mianował go łowczym, z pensją roczną pięciuset funtów sterlingów. Była to niezła nagroda za trudy przeminione.

ARABOWIE PUSTYNI.

Arabowie czyli Beduini, zamieszkujący równiny Algiiery, są szczepem liczego plemienia, rozszerzonego od stepów Persyi aż do Marokko. Prowadzą oni życie koczujące w obozowiskach (duarach), i zmieniają miejsce pobytu stosownie do potrzeb chwilowych. Niepodobna oznaczyć z pewnością epoki w której obcy ten naród zalał starożytną Numidią i Maurytanią; wiadomo tylko że przesiedlenie się jego w te strony odległych sięga wieków. Beduini mówią nieco zepsutym językiem arabskim, i należą, podobnie jak ich protoplaści, do sekty Malecha; jednakże do pierwotnych tej sekty pojęć religijnych wmięszało się między nie-

mi mnóstwo zabobonów. Liczbie na przykład pięć przypisują tajemniczą jakąś władzę, a wyrażenie: „Pięć w twoje oczy” największém u nich jest przekleństwem. Jako lud koczujący, nie zostali dotychczas podciągnięci pod dokładną kontrolę statystyczną, po większej części bowiem zamieszkują okolice niepodległe jeszcze panowaniu Francyi. Głównemi pokoleniami Arabów w regencyi Algieru są: Ben-Ammer w sąsiedztwie Telemsanu, Ben-Terisci w Titteri, tudzież Ben-Abbas i Kuko w okolicach Budszi.

Beduini odznaczają się postawą smagłą, jakby wysuszoną od skwaru słonecznego, lecz pełną

szlachetności, muskularną i zgrabną. Cera ich oliwkowo-brunatna, jak u Mulatów, a rysy wyraziste, choć nie piękne. Znaną jest nadzwyczajna bystrość ich zmysłów: Beduin jednym rzutem oka na ziemię rozróżnia miejsce pod którym ukrywa się źródło; słyszy szum wody w ogromnej odległości, a szukając zbląkanego wielbłąda, kieruje się węchem, jak wyżeł. Obyczaje ich dziwną są mieszaniną nieokrzesania i oglady, dzikości i dobroci. Pozdrawiając się wzajemnie, kładą rękę na piersi i wymawiają pełne uroczystej prostoty wyrazy: „Salum aleikum” (pokój niech będzie z tobą), na co strona przeciwna odpowiada z równą powagą: „Aleikum essutum” (i z tobą także pokój.) Witając niewiernych, używają formuły: „Sahheb Salamet” (jak się masz przyjacielu). Równi całują się przytęm w czoło i w ramiona, niżsi zaś wyższych w kolana. Starcy podają niekiedy do ucałowania końce palców, a w czasie bajramu i innych uroczystości religijnych niewiasty, posługując swym mężom, całują ich w ręce.

W stosunkach życia codziennego Beduin bywa pracowity, wytrwały i wstrzemięźliwy, i to do tego stopnia, że w potrzebie przez trzy dni obejść się może bez pokarmu. Nie szuka on kłótni, lecz w razie zdarzonej niesnaski skorym jest do użycia sztyletu; ale w największym nawet gniewie wyrazy: «Pomnij na Boga i jego proroka» natychmiast go rozbrajają. Obrażona duma łatwo u niego wyradza się w żądę zemsty, którą krew tylko nasycić zdoła. Cały też sposób życia i wychowania Beduinów sprzyja rozwijaniu się tych dzikich nałogów: ojcowie mało się troszczą o złe lub dobre skłonności swych synów, a każdy młodzian, wczesnie zostawszy samodzielnym, wczesnie się też hartuje i nabiera nieugiętości.

Strój Beduinów bardzo jest malowniczy. Włosy noszą krótko przystrzyżone, głowę gołą lub lekko płótnem obwiązaną; właściwych turbanów wschodnich nie widać u nich wcale, i tylko bogaci noszą małe fałdziste czapeczki ponsowe, w których ilość fałdów oznacza stopień właściciela. Podobnie sandały, a nawet kłapcie, należą do rzeczy zwykłych, i tylko możniejsi do jazdy konnej używają bótów przypasanych rzemieniami. Główną częścią ich odzieży jest *hail* czyli *haik*, rodzaj opończy ujętej nad biodrami pasem, przypominający nieraz smakownym udrapowaniem starożytne togi rzymskie. Na *haik* zarzucają *burnus*, wykrojony z jednej sztuki, obcisły koło szyi i opatrzony w ty-

le kapturem. Płaszcz ten, sięgający u szeików (naczelników pokoleń) aż poniżej kolan, przedstawia starożytne *pallium*. Dopelniają ubrania sztylet lub pistolety, szabla i nieodstępna nigdy fuzya.

Kobięty pod *haikiem* noszą koszule i majtki, a górną część jego zamieniają w worek do przenoszenia małych dzieci. Głowę zdobi *sawna*, rodzaj chustki przerabianej złotem i srebrem. Włosy Beduinek, zwykle gęste i długie, ujęte w siatkę jedwabną, spadają w lokach na ramiona; brakowi zaś tej ozdoby naturalnej i tameczne już piękności umieją zręcznie zaradzić przyprawami warkoczami. Namiętnie zamięłwane w perłach i koralach, które noszą na szyi i na rękach, Beduinki w ich niedostatku obywają się muszlami. Rzęsy i brwi farbują na czarno prochem lub antymonem, a około oczu malują sobie kręgi. W ogólności powiedzić można że o ile mężczyźni odznaczają się prostotą w ubraniu, o tyle kobiety pewną kokieteryą, nie opuszczającą ich i w podróży, ani nawet przy najcięższych robotach domowych.

W społecznym życiu Beduinów kobiety mają nieco więcej swobody jak u Maurów, chociaż i tu przy spotkaniu cudzoziemca spuszcza zasłonę i siadają na ziemi, póki obcy nie przejdzie. Wbrew także zwyczajowi Maurów, mężczyźni u Beduinów osobiście przed ślubem poznają swe wybrane. Oświadczyzny następują przez pośrednictwo ojca panny, który, jeśli się zgadza na zamierzony związek, przyjmuje grzecznie konkurenta, zachwala mu przymioty swjej córki, a w końcu oznacza liczbę bydła jakiej żąda od przyszłego zięcia. Starający się pospiesza przyprowadzić je przed namiot ojca swjej ukochanej, a ten rozkazuje córce powitać narzeczonego. Schodzą się krewni i przyjaciele i zapytują pana młodego ile dał za dziewczynę, na co ten odpowiada że roztropna i pracowita żona jest dobrem nieopłaconym żadną ceną. Wkrótce zjawiają się dziewice z sąsiednich namiotów, sadzają narzeczoną na konia i w uroczystym pochodzie sprowadzają do mieszkania narzeczonego. Tu jej podają napój z mleka i miodu, co ma być godłem jedności i słodczy stanu małżeńskiego. Podczas gdy panna młoda wychyla naczynie z napojem, przyjaciółki jej śpiewają pieśni weselne, a po ukończeniu takowych podają jej kół zaostrozony, który ona silnie wbija w ziemię, mówiąc: «Jak kół ten nie zmieni położenia, dopóki go kto nie wyciągnie, tak i ja nie opuszczę męża, chyba że sam mnie oddali.» Następnie pokazują jej trzody, których pie-

cza ma do niej należeć, po powrocie zaś z pastwisk znów wypić musi mléko nalane na kawałek namiotu swego męża. Obecni śpiewają kilka zwrotek na cześć nowożeńców, i opuszczając ich życzą im błogosławieństwa nieba, licznych trzód i dzieci. Do obowiązków żon beduińskich, oprócz chodzenia koło trzody, należy jeszcze hodowla jedwabników i pszczoł, wyrabianie przędzy z włosia wielbłądiego i koziego, przykrawanie i szycie sukien dla całej rodziny, tudzież noszenie wody na potrzebę domową.

Podobnie jak u bohaterów Homera i Ossyana, wspólna biesiada jest u tych synów pustyni rękomią wiernej przyjaźni. Kto choćby chléb i sól tylko pożył z Beduinem, ten z całą już ufnością poledz na nim może. W każdym duarze obok namiotu szejka znajduje się meczet, gdzie codzién z rana wykładają dzieciom nauki koranu, a zaraz przy nim namiot dla gości. Każdy prócz tego Arab uważa sobie za zaszczyt świadczyć gościnność we własnym swym namiocie i usługiwać przestępującemu jego progi. Zwyczaj jednakże wymaga po przybyciu, aby z téj grzeczności nie korzystał dłużej jak dobę, a opuszczając gospodarza, podarował jego żonie i córkom kilka drobiazgów gospodarskich lub toaletowych, jak: igły, nożyczki, antymon do farbowania brwi i t. p.

Instytucye obywatelskie Beduinów bardzo są proste i naturalne. Pomimo życia swobodnego, nie zamarzyli oni nigdy o formach republikańskich. Każde pokolenie, pod zwierzchnictwem szejka, tworzy całość niezależną. Szeik posiada władzę niemal monarchiczną, i zwykle syn po ojcu godność tę obejmuje. W ważniejszych wszakże wypadkach zasięga rady starszyny, a w razie popełnionych nadużyć może być z urzędu złożonym. W sprawach dotyczących kilku pokoleń, naczelnicy rodzin, na ogólném zebraniu, wybierają szejka el kebir (głównego zwierzchnika), którego rozkazom podlegają inni szejkowie, więcej jednak w charakterze sprzymierzonych jak poddanych. W ogólności u Beduinów stosunek podwładnych do przełożonych nie jest niewolniczy, chociaż pełen uległości i szacunku. Wieczorami ojcowie rodzin zbierają się w namiocie szejka, i tam poufała toczy się gawęda o koniach, broni i dokonanych lub zamierzonych czynach wojennych.

Załączona litografia przedstawia mieszkańców regencyi Algieru: na lewo Arab z okolic Telemsanu; obok niego zwierzchnik, czyli szeik el kebir, pokoleń pustyni, w malowniczym swym stroju; dalej Arab z równiny Budszi, uzbrojony do walki; na prawo stary Beduin, w zwykłym ubiorze pasterkim.

CIEKAWOŚCI ZOOLOGICZNE

AUSTRALII I INDYJ.

Australia, niezmierna owa siedziba naszych antypodów, jest zarazem pod wielą względami przeciwnością naszego życia i naszej przyrody. Gdy u nas lato, Australczycy mają zimę; gdy u nas słońce zapada, u nich świta poranek; zwierzęta w Europie czarne, bywają tam białe, i na odwrót, jak np. czarne łabędzie australskie. Bujne nasze drzewa liściowe karłowacieją tam na posępne, jednostajne krzewy iglaste. Praca duchowa, z małymi wyjątkami wieńczona dotąd w starym świecie uznaniem i powodzeniem, w tym kraju żąd niepohamowanych wcale nie popłaca; wysokie nawet urodzenie nie zaważy w nim tyle co garść złotego proszku. Powiedzieć owszém można że im kto uczeń-

szy lub zbyt kowniej wychowany, tém mniej ma widoku dobiecia się w Australii dobrego bytu. Professor i wygodniś niepraktyczny nie zostaliby tam nawet użyci do czyszczenia butów wzbogaconemu płukaczowi złota, chyba w braku grubszej lecz wprawniejszej ręki. Dziwna to ziemia w istocie, ta Australia, która bodaj czy wkrótce ważnej w dziejach ludzkości nie odegra roli. Dotychczas wszakże, pomimo nieprzebranych jój zapasów złota, a raczej właśnie może z powodu tego złota, znamy ją prawie tylko anegdotycznie. Uczeni nie mają tam powodzenia, więc mało téż Australią zwidzają. Pobiéramy wprawdzie ztamtąd coroczny kontyngens rzadkości przyrodzonych, lecz oprócz ba-

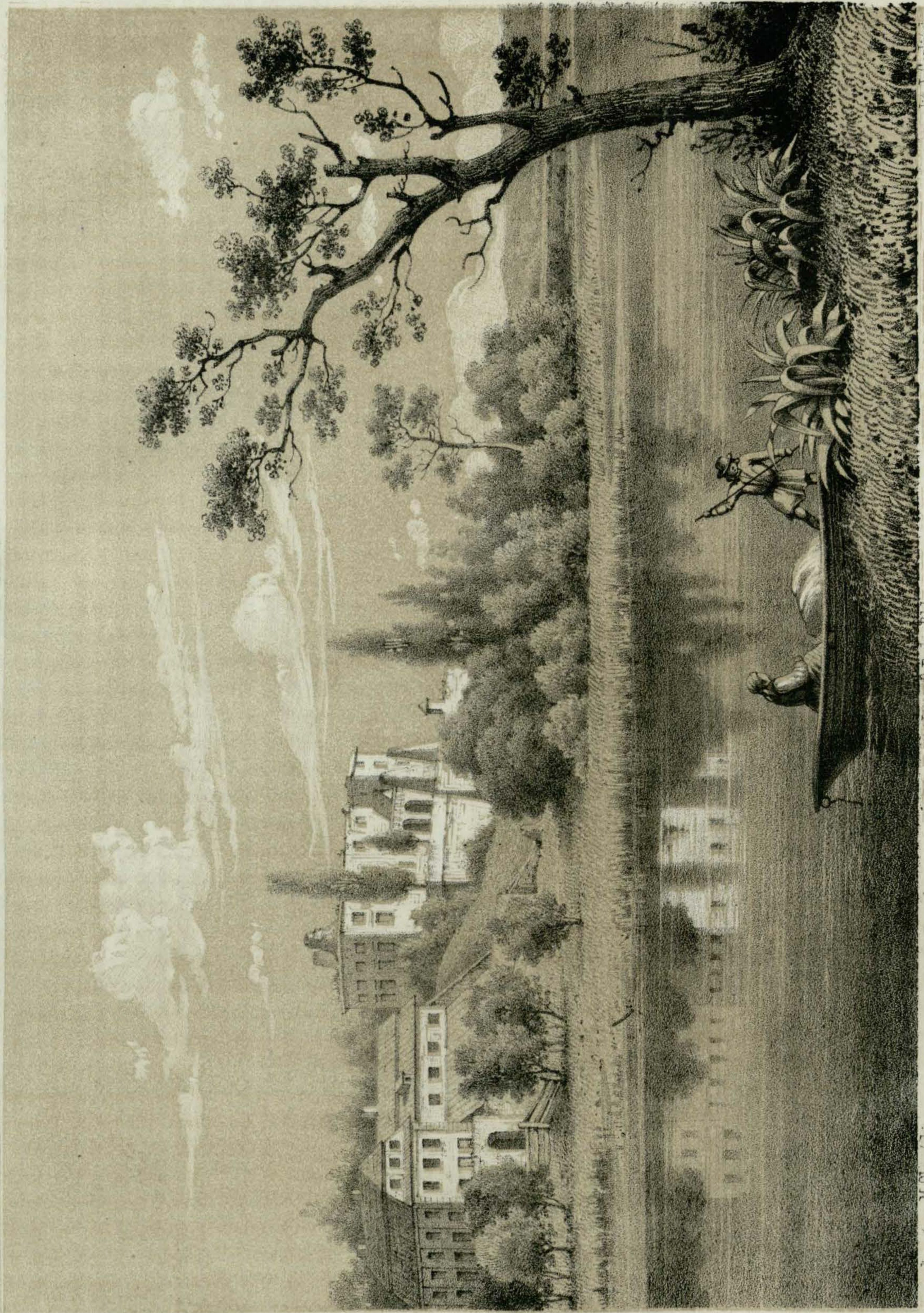
dań meteorologicznych młodszego Schomburgk'a, nie posiadamy o tym kraju żadnej pracy systematycznej. Wydano o Australii stopy książek, mianowicie angielskich; ale te zawierają zwykle powierzchniowe tylko spostrzeżenia, opisy przygód, wiadomości statystyczne i społeczne, mało Europę obchodzące. Zamierzamy więc zwrócić uwagę naszych czytelników na niektóre ciekawości zoologiczne Australii, a porównawczo i Indyj.

Nasamprzód nasuwa nam się tu najbardziej charakterystyczne zwierzę Australii, okrzyczany z dziwotworności *Kenguru*. Jestto stworzenie bardzo różnej wielkości, coś pośredniego między zajęcem, królikiem, szczurem i sarną, a przytém odrębnych zupełnie obyczajów. Kenguru leśny, zwany przez krajowców *Staruszkim*, wyprostowany dorównywa rosłemu mężczyźnie. Skacząc na tylnych łapach i podpierając się ogonem, robi susy po 20 stóp i więcej, przesadzając zarośla i przepaście, tak iż nawet konno niepodobna go dopędzić. Lękliwy zwykle i łagodny, umie jednak w potrzebie bronić się zręcznie i odważnie. Ścigające go psy zwabia nieraz w wodę, a patém zanurza je i dusi. W braku wody, chroni się w zarośla i pazurami przednich łap rozszarpuje docierających napastników; zwykle atoli w końcu pada ofiarą liczebnej przewagi. Oprócz polujących na nie tuziemców, którzy często pożerają je surowo, groźnemi ich prześladowcami są gady, płazy i ptaki drapieżne. Widziano je opasane przez węzów, pędzące w trwodze szalonej, dopóki niepadały wreszcie, zmożone śmiertelnym uściskiem. Orły i sępy w kilku zwykle na kenguru nacierają: jeden odurza go uderzeniami skrzydeł w głowę; a inne tymczasem dobijają go dziobem i szponami. Krajowcy narodowe swe płasy nazwali od tego zwierzęcia „tańcem kengurów”. Jedyny ten obrządek, mający niby coś wspólnego ze sztukami pięknymi, zastępuje im teatry, bale i wszelkiego rodzaju widowiska oświeconych narodów. Najzręczniejszy z pokolenia staje pośród zgromadzonych pobratymców z długim, przyprawnym ogonem, skacze na kolanach, pożera trawę,

ogląda się w około, jakby przeczuwając niebezpieczeństwo, słowem naśladuje kenguru w sposób zadziwiająco dokładny. Inni w rolach psów i myśliwych niemniejszy rozwijają talent, a zabawa wtedy dopiero się kończy, gdy siły fizyczne debiutantów zupełnie zostaną wyczerpane.

Innym mieszkańcem Australii jest *Ornithorrhynchus paradoxus*, tak fantastycznie łączący w sobie cechy ptaka i zwierzęcia ssącego, że pierwsze jego okazy przesłane do Europy uważano za fabrykaty Barnuma. Ale wkrótce uczeni anatomowie i zoologowie przekonali się że w tém stworzeniu przyroda sama odegrała rolę Barnuma. Z dzioba i nóg podobny do kaczki, z kadłuba do kreta, *Ornithorrhynchus* jest razem ptakiem, czworonogiem i płazem, żyje w wodzie i nad wodą, na ziemi i pod ziemią, a szczególnie w jamach urwistych brzegów rzecznych. Egzemplarze przywiezione przed kilką laty do Regents-parku w Londynie, są, ile nam wiadomo, jedynemi dotąd przedstawicielami tego rodzaju w starym świecie. Były one długo przedmiotem ciekawości zwiedzających, dopóki nadesłane z Indyj „latające lisy” wyłącznej na siebie nie ściągnęły uwagi; o nich więc jeszcze kilka słów tu powiemy.

Lisy latające należą do rodzaju *Pteropus*, obejmującego wszystkie gatunki wielkich niedopérzów żywiące się roślinami. Trzy żywe okazy tych zwierząt znajdujące się w Londynie zostały świeżo podarowane tamecznemu ogrodowi zoologicznemu przez kapitana Nesbit, który sam je przywiózł z Indyj. Ulubieńce te publiczności londyńskiej tak są łaskawe, że biorą z ręki podany sobie pokarm. Głowa ich ma zupełnie kształt lisięj. Z rozpostartemi skrzydłami, a raczej nogami, opatrzonemi w błony bardzo rozciągliwe, mierzą przeszło trzy stopy. Nóg tych rzadko używają do chodzenia, lecz za to całemi godzinami wiszą głowami na dół, czepiając się pazurami sękatych gałęzi, i dopiero wieczorem latać zaczynają. W ojczyźnie swój krążą one zwykle nad rzekami i jeziorami, jedząc i pijąc w locie, jak jaskółki.



rysował z natury M. Olszyski

w Intograti Barnsi Bósk

lit. J. Leghinski

ZAWIEPRZYCE

WSPOMNIENIA

Z PRZEJAZDŹKI W LUBELSKIE I PODLASKIE.

WYJĄTEK Z NOTATEK PODRÓŻNYCH

Oskara Flatt.

JAKUBOWICE, ZAWIEPRZYCE, LUBARTÓW.

Byliście w Lublinie? znacie Lublin? Każdy z was był tam, każdy go zna, przynajmniej z myślowej podróży, przynajmniej z bogatego albumu dziejowej jego przeszłości. Jak Jasna Góra jest ogniskiem religijną dla Polaków pielgrzymki, tak znowu są na ziemi naszej inne, wydatne szczególną światłością faktów punkta, cele dziejowych pielgrzymek. Takimi punktami są: Kraków, Lublin, Piotrków.... Na mnie Lublin ogromne sprawił wrażenie kiedym go widział po raz pierwszy; on jeden może ze wszystkich dawnych miast polskich zachował fizyognomią poważną, on jeden umiał pogodzić wielką, znakomitą, dziejową swoją przeszłość z teraźniejszością, umiał wsiąknąć pożywne soki z postępowości dzisiajszej, nie tracąc, nie marnując, nie plamiąc drogiego swój przeszłości klejnotu. Czy to zwidzając 19 stojących i kilka w gruzy rozsypanych kościołów lubelskich, począwszy od mieczysławowskiej jeszcze świątyni św. Mikołaja, do przesłicznego kościoła dominikanów; czy przesuwając w myśli kolej wypadków przez trzy wspaniałe pamiątki dawnych lat, przez bramy: krakowską, grodzką, trynitarą, niby trzy łuki tryumfalne; czy oddając hold artystycznemu poczuciu piękna niewiadomego założyciela Lublina, gdy powiedziesz okiem po wężownicach Bystrzycy, ze szczytu baszty daniłowego zamku, jedno zawsze wzbudzi w tobie Lublin wrażenie: cześć dla przeszłości, szacunek dla tego co jest. Boć też głęboko wszczepił się on we wszystkie nerwy publicznego żywota w Polsce: unia, trybunał... i nie dość jeszcze, Lublin zamyka oczy dwom najznakomitszym piewcom naszym w XVI wieku, jednemu wśród sejmu w obliczu najdzielniejszego monarchy, drugiemu na osamotnioném szpitalném łożu.

Piotrków i Lublin, dwa jedyne w koronie trybunalskie grody, a jakaż między nimi różnica! Od wieków Lublin prześcigał Piotrków bogactwem i

światłością, a i w teraźniejszości miasto Dunina w tyle pozostało. Kiedy w pięknym Lublinie co krok napotykasz zabytek przeszłości, jakby w dziejowém wykopalisku, tymczasem w Piotrkowie pomniki te coraz bardziej rzednieją i starożytne lice grubą warstwą wstrętnego pokrywa się bielidła. Lublin od 13 lat posiada szczegółowy, choć już dziś niezupełnie dokładny, historyczny swój obraz Sierpińskiego, dopełniany w ostatnich czasach licznymi opisami i artykułami dziennikarskimi. Do monografii Piotrkowa ogłaszać zaczęło źródłowe materiały dopiero przed 6 laty grono młodszych pracowników w literaturze. Rzecz zaś o trybunalach piotrkowskich ani tknięta od Lisieckiego czasów, gdy tymczasem o trybunale lubelskim z powszechném zajęciem czytano przed dwoma laty wymowne i serdeczne wspomnienie ostatniego jego mecenasa, autora *Ziemiaństwa*, w roku zaś zeszłym pełne ciekawości i prawdy ustępy w *Pamiętnikach Jana Duklana Ochockiego*.

Po takim wyczerpaniu monograficznych zasobów Lublina, zbyt wyczerpaniem uważam rozszerzać się nad szczegółowym tego miasta opisem; wszak niedawno dopiero w saméjże *Księdze Świata* czytaliście starannie w téj mierze napisany artykuł autora *Obrazków lubelskich*. Moje więc uwagi i notaty o Lublinie zebrane, jako pamiątka mile spędzonych tam chwil, nateraz w méj tece pozostaną, a wątek moich wspomnień zespolę z pożegnaniem Lublina i wysnuję go lśniaco-błękitną ku północy wartką wstęgą Bystrzycy.

Nie chciałem opuszczać jéj brzegów, boć ony mnie z pamięcią lubego Lublina wiązały. Dość szybko toczył się podróżny wózek, ale oczy moje stale zwrócone były w jeden punkt, gdzie w szarej oddali coraz lżej odkręślały się wieże trybunalskiego grodu. W miarę znikania widomych kształtów, rosła w potęgę bujność wyobraźni i odtwarzała cały dramat przeszłości ukochanego przezemnie miasta.

— Ot i *Jakubowice* już, panie—zabrział mi nagle głos mego woźnicy.

— *Jakubowice*?... ależ *Lublin*?... zawołałem półgłosem, budząc się ze słodkich marzeń.

— Sześć wiorst ztąd do *Lublina*, odparł dobrodusznie *Jędrus*—a tam *Bystrzyca*.

— *Bystrzyca*! i odetchnąłem swobodniej, zataczając ciekawém do koła okiem.

O paręset kroków przedemną rozłożyły się *Jakubowice*, przytulone skromnie do wysokiego dworu, noszącego nazwę pałacu. Zewnętrzne jego kształty, oprócz wielkich rozmiarów, nie zdradzają nietylko estetycznego pojęcia, ale nawet architektonicznego gustu. Jedna tylko połowa tego domu jest zamieszkała, druga pustką stoi; cały zaś tak ciężki gmach ten zupełnie do wiejskiej nie przypada ustroni. Stałem przed dworem. *Jakubowice*, własność zmarłej w roku zeszłym generałowej *Szeptyckiej*, przeszły dziś w ręce rodziny *Czapskich*. Uprzejmiej gościnności dzierżawcy tych dóbr zawdzięczam kilka szczegółów dziejowych o *Jakubowicach*.

W czasie drugiego najazdu szwedzkiego, gdy dzielny i szczęśliwy *Karol XII* stanął pod zubożalym i podupadłym *Lublinem*, dobywając jego murów, by zwyciężkie wojsko swe podzielić ostatkiem nędzy z mieszkańcami bogatego niegdyś *Lublina*, wtedy to ten pałac *Jakubowicki* był przez czas pewien główną szwedzkiego monarchy kwaterą. Smutna to pamięć téj gościny.

Minęło lat 80. *Jakubowice* były własnością pana *Pocieja*, gdy w pierwszych dniach listopada 1782 roku zaszczycił pałac tutajszy odwiedzinami swemi wielki książę *Paweł*, w powrocie z zagranicy pod nazwiskiem hrabiego *du Nord*. Pamięć tego pobytu zapisuje się także do księgi losowych dni jego.

Poza pałacem dość obszerny roztacza się ogród, lecz nietylko obszerność, ile staranne zaleca go utrzymanie: widać wszędzie ślad troskliwej ręki, czuwającej nad szpalerami i klombami, by upleść z nich harmonijną i wdzięczną całość. Z wystawki, wychodzącej z pałacu do ogrodu, staranna opiekunka tych miejsc roztoczyła przedemną maleńki, a tak uroczy krajobraz, że mógłby stanowić perełkę w albumie którego z młodych naszych artystów.

Zamieściwszy w notatkach ślad miłej o *Jakubowicach* pamięci, najbliższą drogą, znów w kierunku *Bystrzycy*, po zieleniejących wzgórzach i rozdołach, szybko puściłem się w dalszą drogę, i

przed wieczorem jeszcze w promieniach zachodzącego słońca, ukazały mi się w dali świecące nagiem kości ruiny zamku, to *Zawieprzyce*.

Z rozrzewnieniem, z pałającym okiem witałem ten nowy krajobraz, do którego już oddawna tęskniąca wydziérała się wyobraźnia! Wy pojmiecie gorączkowy mój niepokój, bo i wyście zapewne czytali rozgłosną swego czasu powieść *Bronikowskiego*, i wam może ten urok cudowności zwiął nieraz sen z oczu. Ale to było przed kilkunastą laty, jeszcze przed świtem powieściowego naszego słońca: może więc dziś już tylko mało kto z czytelników tych wspomnień czytał głośne kiedyś, a dziś przebrzmiałe *Zawieprzyce*.

Gdybyście jednak zupełnie nawet obcemi pozostali temu romantycznemu urokowi, w jaki upoetyzowana legenda zamek tutajszy stroi, to i wtedy nawet, przez samo poczucie piękna, przez miłość ojczystych stron nie będziecie obojętni w *Zawieprzycach*.

Zamek tutajszy, na wyniosłym rozsiadłym się wzgórzu, dumnie i wspaniale, chociaż ruiną, dworuje jeszcze dzisiaj całej okolicy. Ze szczytów jego jeden z najpiękniejszych na całe *lubelskie* strony roztacza się krajobrazów; szeroką wstęgą faluje u stóp jego błękitny *Wieprz*, co za *Zamościem* wzmógłszy się w siły, obmywszy *Krasnystaw* i *zręczną Łęczną*, przeszywa wdzięcznie tutajsze pola, by dalej potem, dotknąwszy *Kocka*, poniżej *Stężycy*, pod warownemi murami *Dęblina*, w wiślane przelać się łoże. Swobodnie i rozkosznie buja oko w nieścignioną dal hożo zieleniejących, a nieraz falą naniesionych łąk *zawieprzańskich*. Tu zaś na lewo zaraz, ten smug srebrzysty, jakby błyskawicą tonący w rozdartych piersiach *Wieprza*, to *Bystrzyca*. Krótki jój żywot: w ustroniu wiejskim *Blinowa* zrodzona, prześni piękny dzień jeden w *Lublinie*, i siedm mil ledwie przebiegłszy, idzie w służbę do bogatszego *Wieprza*. Ale korzysta z tych krótkich chwil *Bystrzyca*: jój fale tak czyste jak łza dziewicza, nurt tak bystry jak lot dziewiczej myśli, a lekki most na niej tak drży jak pierwiosnki uczucia w sercu hożego dziewczęcia. Na lewo, przy ujściu jój do *Wieprza*, piękne rozsiadły się *Kijany*, na prawo skromny, miluchny *Jawidz*.

Dziwnie to piękny i świeży krajobraz. *Bronikowski*, pragnąc go uwydatnić niemieckim swoim czytelnikom, porównał go do pięknych nizin nad brzegami *Muldy*: my powtórzmy że jest jednym

z najpiękniejszych na lubelskiej ziemi, godnym zaszczytnego miejsca w albumie piękności krajowych, i pewni jesteście że czytelnicy nasi ze szczególnym upodobaniem spojrzą na dołączony tu widok, zdjęty z natury przez jednego ze zdolnych młodych naszych artystów.

Dobra zawieprzycie, piękna majątność z pięciu złożona folwarków, są dziś własnością rodziny Ostrowskich; dotąd jednak bywały ciągle wydzierżawiane, i przez długie pasmo lat zostawały w jednych rękach starannego i postępowego dzierżawcy. Zamek zawieprzyci, nie celujący bynajmniej kolosalnością rozmiarów, w dobrym zupełnie stanie przetrwał do ostatnich czasów. Nie ręka go czasu zniszczyła, ni burze minionych wieków: spłonął on pożarem w 1842 roku. Jednakże mury zamku wcale są jeszcze zdrowe i silne, i mimo niszczącego wpływu żywiołów, długo jeszcze sterczyć mogą, jeśli nie błysnie dla nich zmartwychwstania chwila; co zresztą nie jest niepodobnym, ile że wkrótce podobno samiz dziedzice obejmą zarząd Zawieprzyc, a to co jest niemożliwym dla dzierżawcy, ziścić może dobra chęć dziedzica, funduszową wsparta zamożnością.

Z jednej strony dotyka ruin zamku rozległy ogród, żywo i dziś jeszcze przypominający czém był niegdyś; ale by powrócił do pierwotnego stanu, trzeba na to zamilowanój w pięknie natury ręki hojnego dziedzica. I dziś malownicze, wyniosłe położenie tego ogrodu i niezatarty jeszcze ślad gustownej a starannej regulacyi, czynią go miłym prawdziwie ustroniem; urok zaś tém wyższy będzie dla tych, którym miłsze są, choćby zaniedbane, ale dzikością nęcące widoki, niż systematyczne, liniowane i strzyżone szpalery. Wśród ogrodu, w pobliżu zamku, wznosi się w kształcie rotundy kamienna kaplica, ocalona w czasie ostatniego pożaru. Ładna to kapliczka, oświetlona z góry, zapełniona mnóstwem obrazów religijnych małej wartości, a sklepienie, stanowiące kopułę rotundy, pokryte jest wewnątrz malowidłem, przedstawiającem w znanėj straszliwej allegoryi wyobrażenia podaniowe o sądzie ostatecznym.

Spuściwszy się do stóp zamku, przeszedłem po nad brzegiem Wieprza, wzdłuż milczącej ruiny kwiecistą niziną, i aż na moście stanąłem. Ztąd najpiękniej da się ogarnąć całość zawieprzyciego krajobrazu. Ale czémże są dzisiajsze Zawieprzyc z całą krasą swoją, w obec tego czarownego uroku, jakim odziała je przed młodzieńczą myślą au-

reola poetycznego podania. O! cudnaż to potęga podania!

Lud nasz kolosy zbudował olbrzymie,
W których myśl jego uwieziona drzymie;
Zbudźcie ją, niechaj zabłyśnie przed światem,
Wśród kwiatów ziemskich, najpiękniejszym kwiatem.
A znacie ludu naszego dzieje?
Nie te, co w księgach spisane,
Ale te, które on codzień sieje?....

Cichy był żywot Zawieprzyc; ich rozgłos nie wychodził za promień kilkomiłowej okolicy, aż gdy niespodzianie przed 35 laty Aleksander Bronikowski obrał to miejsce za widownię jedną z znanych swoich powieści, która w r. 1827 ukazała się w Dreźnie w języku niemieckim, pod tytułem: *Das Schloss am Eberfluss*, a niebawem przeszła i w ręce polskich czytelników, pod właściwym napisem *Zawieprzyc*. Nie była wprawdzie wówczas powieść nasza jeszcze tém, czém dziś się stała, nie liczyła tak wielkiego czytelników koła jak ma w czasach dzisiajszych naszych koryfeuszów powieściowych; ale już wtedy weszła gwiazda odrodzenia, już wtedy wrzał bój nowych pojęć z przeszłością, budzić się zaczęła cześć dla swojskości i z zamiłowaniem rzucono się do czytania pism Bronikowskiego, który nietylko obznajmił cudzoziemców z ustępami dziejów polskich, ale ma zasługę za stworzenie masy czytelników polskich książek. Tęj zasługi żadne zarzuty nie zmniejszą. Gdy więc tylko ukazała się nowa powieść pisarza, któremu *Hipolit Boratyński* tak świetny i sympatyczny otworzył wstęp do zawodu literackiego, powszechne zajęcie i ciekawość zwróciły się do Zawieprzyc. Każdy pragnął coś bliższego dowiedzieć się o miejscu, gdzie jeszcze przed 100 laty żył groźny bohater powieści, Jan Nepomucen Granowski, kasztelan lubelski.

Ile to młodych myśli biegło tu nad brzegi Wieprza, by ujrzeć zamek, wzniesiony krwią, potem i jękiem 2,000 jeńców tureckich z pod Wiednia, drgający od dzikich przekleństw i krwawych morderstw pana kasztelana! U stóp jego w namiętnej rozpaczy piękna Teofania błaga o wolność dla siebie i wybrańca swego serca, Andronika Laskaris, a szalejący z zawiedzionych nadziei Granowski w jednym grobie łączy oblubieńców. Pod postacią Andrea di Pella jawi się mściciel Herakliusz Darukas. I on wprawdzie ginie w grobie oblubieńców, ale sztuka mści się za swego kapłana; obraz Herakliusza staje się strasznym dla zbrodniarza wyrzutem sumienia, i jego przekleństwo się speł-

nia: Granowski jest ostatnim swego domu. Aż do drobiazgów szczegółowym jest Bronikowski w opisie miejscowości i okolicy, ale co większa, jest wiernym malarzem. Do dziś dnia jeszcze ten opis nie stracił na prawdzie, i malowniczy krajobraz nad Wieprzem i Bystrycą jakby fotografowany w jego powieści. Zamek w ruinie jeszcze przedstawia jak najwyraźniej kształty owęj pamiętnej prostokątnej sali na drugiem piętrze, połączonej z galerią frontową od strony Wieprza, a nawet osławiona winda Granowskiego istniała rzeczywiście przed spaleniem zamku. Dzisiajsze zabudowanie folwarczne, mieszkanie dzierżawcy dóbr zawieprzyckich, jest właśnie owym domem, w którym Bronikowski umieszcza swoją Teofanią przed ukończeniem budowy zamku. Pokazują nawet kurhany mogilne, a przede wszystkim odznacza się kurhan z kamiennym pomnikiem i utkwionym na jego szczycie pozłocistym krzyżem, uszkodzonym nieco przed 25 laty; ma to być grobowiec trzech ofiar lubelskiego kasztelana.

Na tym wiernym konturze miejscowości, tém wydatniej odkręśla się bujność wyobraźni i wędzidłem dziejowej prawdy niekrepowana, swobodna pomysłowość Bronikowskiego w osnuciu i przeprowadzeniu planu całej powieści.

Że zamek zawieprzycki nie sięga odległej przeszłości i że budowa jego przypomina architekturę ze schyłku XVII wieku, o tém dowodnie i teraz jeszcze przekonać się może każdy, kto tylko z jakimkolwiek pojęciem architektonicznych kształtów na dzisiajsze spojrzy ruiny. Że jeńcy tureccy mogli być w jakiejś liczbie użyci do téj budowy, bardzo jest prawdopodobnym, i wspomina nawet o tém miejscowe podanie. Wszak w tymże czasie podobnymże sposobem powstał pałac w Wilanowie, a później pałac błękitny. Ale téz dotąd tylko bez rozdzielenia za Bronikowskim pójść możemy.

Nie znaleźliśmy nigdzie śladu, aby Zawieprzyce w XVII wieku były w ręku Granowskich, ani téz Jan Nepomucen Granowski nie był za czasów Sobieskiego lubelskim kasztelanem. Do roku 1695 dzierżył tę kasztelanią Feliks Parys, herbu Prawdzic, a po nim Aleksander Drzewiecki, herbu Ciołek, który w roku 1705 przeszedł na województwo lubelskie, Adam Szaniawski, herbu Junosza, Franciszek Tarło, herbu Topór i t. d. W żadnym téz opisie wiedeńskiej wyprawy nie spotykamy się z zaszczytną wzmianką nazwiska Granowskich. Za czasów jeszcze Ludwika Węgierskiego wspo-

minają dzieje znaną postać Wincentego Granowskiego, późniejszego kasztelana nakielskiego, męża owęj Elżbiety, co w brew woli narodu zasiadła potém na polskim tronie obok Władysława Jagielly i dała początek nowęj linii Pileckich-Leliwczyków. Ani Wincenty Granowski, ani brat jego Dymitr nie pozostawili męzkiego potomstwa; jedyną więc zieleniejącą odroślą tego domu był trzeci brat Rafał. Od niego to pochodzili późniejsi Granowscy: Jan Prokop, starosta żytomirski, znany ze sejmu 1683 roku, jako kommissarz dla ubezpieczenia Elbląga, dalej Franciszek, generał w wojsku polskim, wreszcie współczesny powieści Bronikowskiego Antoni Granowski, starosta tarnogórski z województwa belzkiego. Z żony Antoniny hrabianki Waldstein miał syna Michała, sekretarza wielkiego koronnego; jedyny zaś tego potomek męzki, z Radziwiłłównęj zrodzony, zginął młodzieńcem przy szturmie na Pragę w 1794 roku, jako adjutant generała Jasińskiego. Na nim już wygasł ród Granowskich.

W połowie zeszłego wieku znajdowały się Zawieprzyce w posiadaniu rodziny Miączyńskich, i pamięć tego domu trwa dotąd żywo w miejscowej tradycyi. Ród Miączyńskich, herbu SucheKomnaty, osiedlony był na Wołyniu i głośnych w odległej przeszłości nie liczył antenatów; piérwszy dopiero zdobył świetne imię Atanazy Miączyński, półkownik wojsk koronnych za Jana III, chlubnemi okryty blizny pod murami Chocimia, następnie podskarbi wielki koronny, wojewoda wołyński, a starosta łucki, łosicki i krzepicki. Trzej jego synowie zaszczytnie takżerzeczypospolitéj służyli; i tak: Piotr był wojewodą czernihowskim, Franciszek starostą łuckim, a najmłodszy, Antoni, kasztelanem podlaskim.

Jeden z Miączyńskich około roku 1760 ozdobił i wewnątrz udogodnił zamek zawieprzycki, i dla niego to dopiero urządzoną została owa winda, komunikująca dolne pokoje zamku z górnemi komnatami, o której tylokrotnie Bronikowski w powieści swojej wspomina. Nawet stary lamus, w dziedzińcu naprzeciw zamku rozsiadły, nie jest wolny od gawęd ludowych. Podanie niesie że przed kilkudziesięcią laty pokazywał się tu nocną porą pokutujący duch jednego z dziedziców Zawieprzyc, usilnie z zaklęciem błagający swego następcę o zaspokojenie pozostałych po nim długów, które mu spokój duszy i sumienia zatrwały, i nie wpród zaniechał swoich odwiedzin, aż jego prośbom stało

się zadosyć. Co to za radość dla wszystkich wierzycieli, kiedy nawet po śmierci dłużnik staje się nieodstępny egzekutorem splacalnego rewersu!

Dziś już tu znikły wszelkie czary i strachy: poezja ludowa umilkła w obec materyalizmu wieku, spokój i cisza zaległy nad Zawieprzycami. Albo chwile pokuty minęły, albo źrenice ócz naszych niedość rozwarte, by objąć widzenie zaświatowego ducha, lub mowę jego zrozumieć.

Choć istnieje jeszcze w niezłym wcale stanie kaplica miejscowa, o której wyżej kilka słów wspomniałem, niema jednak dziś w Zawieprzycach oddzielnego kapelana, jak to bywało niegdyś, za czasów zamkowych panów. Najbliższy ztąd i parafialny zarazem kościół jest w *Kijanach*, téj pełnej uroku wiosce, położonej przy samém ujściu Bystrzycy do Wieprza. I w dziejach piśmiennictwa krajowego znajdziemy wzmiankę o Kijanach: rodził się tu przy końcu XVI wieku Jan z Kijan, autor *Fraszek nowych sowizrrzałowych*. Więrsze te, bez wyższej wartości, są treści satyrycznej, języka gminnego i pełne zbyt wolnych żartów: to spowodowało nawet wzbronienie ich przez cenzurę duchowną w r. 1617. W dzisiajszych czasach żywo objawił się tu ruch przemysłowy. Pod zagraniczną firmą Jacobs'a powstała na wielką skalę cukrownia, urządzona według wszelkich ulepszeń nowoczesnych, a jeżeli brak odpowiednich w okolicy zapasów buraków nie dozwolił jeszcze téj cukrowni rozwinąć w całej pełni działania, to z drugiej strony wyborna tutajsza rafinerya szybko zjednała sobie chlubny rozgłos i niewiele w kraju naszym znajdzie współzawodniczek.

Gdyby mi kiedy przyjazne losy dozwoliły powitać jeszcze Zawieprzycę, gdyby obowiązek nie wydzielał tak skąpo chwil mego pobytu jak pierwszym razem, radbym z duszy rozpocząć tu szczegółowe studyum przeszłości, wspierając się nie tylko na podaniach miejscowych, ale i na źródłach piśmiennych, jakie niewątpliwie wykryłyby się dały w aktach kościoła kijanckiego, a może nawet w Lubartowie i Firleju. W krótkiej obecnej wycieczce na tych tylko notatach poprzestać musiałem.

Nikt z was bracia i siostry, młodej myśli i młodego serca, niezdolen bez żywego wzruszenia i tkliwej pamiątki pożegnać Zawieprzycę, téj żyjącej legendy ludowej. Choć więc już przejechałem most na Wieprzu i z bacznym zajęciem wpatrzyłem się w cichy dworek na Jawidzu, z utęsknie-

niem jednak zwracało się oko na krzyż mogilny, złoćący się w oddali, a gdy on zniknął, na sterczące starego zamku ruiny. I ten ostatni widomy punkcik znikł już: pozostałem sam z wyobraźnią, ochoczo rwącą się do tworzenia bujnych widziadeł... I zdało mi się że widział otwierający się kurhan mogilny, i z pod stóp krzyża wypłynęły dwie młodzięcze postacie, z męczeńskim wieńcem, niby Teofania, niby Andronikos, i z dziękczynnym na ustach hymnem uleciały ku niebu, po łuku jasnej siedmiobarwnej tęczy. Tymczasem zwolna na tęczowy most wstępowała z mogiły inna postać, czarną obwita szatą: to duch zemsty w postaci Andrea di Pella. Ot stanął na szczycie łuku, roziskrzoną błysnął źrenicą, odrzucił tajemniczą zasłonę i groźnie, a jednak ze łzą, wionął ku północy białą, śmiertelną chustą... Zerwałem się z żywym wzruszeniem, otrząsałem z marzeń, przetarłem oczy i lżej odetchnąłem; jak mgła rozwiało się senne marzenie, a przedemną świeciło wieżami i grupą białych domków dość porządne miasteczko, to *Lubartów*.

Z dobrém uprzedzeniem wjeżdżałem do tego miasta, w pobliżu Wieprza rozłożonego. Wiedziałem że należy ono do porządniejszych w gubernii lubelskiej, bo liczy dwa kościoły, sąd pokoju, około 170 domów i przeszło 3,500 mieszkańców, w téj liczbie do 2,000 Żydów. Jakież więc było moje zdziwienie, gdym zamiast wrzawy i ruchu, zastał tu ciszę, martwość... Widzenie moje ziszczone: biała chusta moru wionęła nad Lubartowem, „ulice puste, a pełne mogiły.” Cholera strasznie srożyła się w mieście, i co żyło tylko zbiegło się do kościoła. I ja tam pospieszyłem. Straszny to był widok tych krwawych modłów, tych łez, które wydzięrały się ze wszystkich ust i ócz wszystkich, jakby błyskały z serca jednego człowieka. Tu radbym sprowadzić obojętnych, co zapomnieli się już modlić od dziecinnych chwil, tu każda modlitwa odżyłaby im w pamięci. „Święty Boże! święty, mocny!” najuroczystsza, najwznioślejsza z ludowych religijnych pieśni, rozległa się po murach świątyni. Było to krwawe, serdeczne błaganie, które dostąpiło niezawodnie miłosierdzia Bożego. O kościołach tutajszych to wam tylko chyba powiem, że obydwa są późnej już wcale fundacyi, że istnieją zaledwie lat 110, i że ich założycielem był Paweł Karól Sanguszko. Fara wspanialszego i gustowniejszego jest wnętrza, a kościół kapucynów wiernym typem wszystkich kościołów téj reguły. Wy-

baczcie że w takiej chwili do szczegółowych notat nie miałem myśli.

Pod wpływem jeszcze smutnych wrażeń, wyszedłem obejrzeć pałac i ogród, po za miastem rozłożone. Sam jeden odbyłem tę wycieczkę, nie miał mi kto towarzyszyć. Zniszczonych murów pałacu zwidzieć mi nie dozwolono, bo dawna siedziba Firlejów i Sanguszków przeistoczona była właśnie w lazaret choleryczny. Zewnętrzne tylko kształty dobitnie przemawiały tą wytworną lekkością i pretensją, jaka cechuje architekturę wieku Ludwika XIV. Ogród, kiedyś słynny w kraju, założony ogromnym kosztem przez Mikołaja Firleja, wojewodę lubelskiego, w drugiej połowie XVI wieku, nową przybrał postać w połowie zeszłego stulecia, pod reformatorskim gustem księcia Pawła Karola Sanguszki. Samotny dziś tylko przechadzałem się po widowni tylu pamiątek i odtwarzałem w myśli złotą epokę życia tego pałacu i jego świetnych panów.

Duchu przeszłości, skrzydeł twoich szum
Słyszę od strony cmentarzy,
A pogrzebowych myśli i serc tłum
W koło mnie jęczy i gwarzy.

I białych cieniów srebrno-pióry wał,
Na szarym niebios błękicie,
Po nad głowami tylu martwych ciał
Bój zaczął o śmierć lub życie.

O śmierć i życie ostatni wre bój,
Bój myśli w krainie ducha!
Słyszę w powietrzu mar brzęczących rój,
A ziemia niema i głucha.

A nad drzemiącym milionem głów
I serc z maluczkim zapalem,
Czas się dopełnia, wedle pisma słów—
A słowo stanie się ciałem!

Ponuro, jakby grobowo, wybija zegar farny szóstą godzinę; powstałem w milczeniu i zwolna przez ogród wracałem do miasta.

Nie, tu dłużej zabawić nie podobna w tym grodzie śmierci: tu nietylko przeszłość szkieletem, ale i terażniejszość trumną, pomyślałem, dążąc na pocztę, by spieszniej, dziś jeszcze, dostać się do Kocka. Ale cóż za straszny czekał mnie tam widok! Dom pocztowy zamienił się w trupiarnię. Pocztaliter, familia jego, służba, wymarli. Przerażony, cofnąłem się z tych złowrogich progów, i właśnie spieszyć chciałem do koni swoich, gdy w sieni spotkałem wchodzącego młodego, przystojnego mężczyznę, ogorzałej twarzy, czysto słowiańskich rysów, w okrągłym, szerokoskrzydłym

kapeluszu, z pod którego wyziérały pełne prawdy i zapалу rozumne szare oczy.

— Jeśli pan szukasz koni pocztowych, rzekłem, równego ze mną doznasz zawodu.

— Jaktó, zawoła z uprzejmym skinieniem, ale zdziwiony, przybylec, czyżby koni zabraknąć miało?

— Nie, ale ludzi zabrakło: ubiegłe kilka dni wyłudniły ten domek pocztowy.

Po chwili milczenia, zapytałem dokąd wyjeżdżać chce mój towarzysz.

— Mnie pilno bardzo do Kocka, odparł żywo, dziś przed wieczorem stanąć tam powinienem.

— W takim razie łatwo rzecz pogodzić, rzekłem; i ja jadę do Kocka, i ja dziś tam stanąć pragnę, może więc pan zechcesz przyjąć miejsce na moim wózku i ofiarować mi swoje towarzystwo.

— Z miłą chęcią, odparł towarzysz z wypogodzonym czołem, podając mi serdecznie rękę.

Nastąpiły wzajemne przedstawienia i wnet byliśmy dawnymi przyjaciółmi. Karol T. był obywatelem z Radzyńskiego; chlubnie skończył szkoły w Lublinie, i dziś gospodarował na wiosce ojcowskiej, utrzymując przy sobie matkę wdowę i dwoje młodszego rodzeństwa. Było około czego chodzić, mając tak szczupłą chudobę, a tak liczne i święte obowiązki. Ale Karol wszystkiemu podolał, znajdując w młodzieńczej energii i szczęśliwym podziale czasu ów talizman, niepodobieństwa nawet urzeczywistniający. Był pan Karol zamiłowanym z duszy całej gospodarzem, oddawał się z zapalem roli ojcowskiej, ale dlatego nie zasklepił się bezwiednie w wiejskim swoim ustroniu, bo w programie młodego gospodarza między godzinami wytchnienia pomieszczone były chwile umysłowych zajęć. Pan Karol czytywał *Gazetę, Bibliotekę Warszawską* i wszystko co znakomitszego pojawiło się w naszej literaturze, wyrobił sobie sąd zdrowy, własny i na przetrawionych wiadomościach oparty. Że towarzystwo takie musiało mi najwyższą sprawić przyjemność, to wcale naturalne. Przyłgnęliśmy wnet do siebie, a wsiadając na bryczkę, już w najlepsze toczyła się ożywiona między nami gawędka.

— Oddalmy od siebie te smutne obrazy śmierci do koła nas ścigające, przerwał mi nagle Karol, wycieczka twoja ma na celu zwidzenie nieznanych ci okolic kraju naszego; pogawędźmy więc raczej o Lubartowie, który wnet z oczu stracimy, ty na długo, może nawet na zawsze. Dziś Lubartów, po różnych zmiennych kolejach, stanowi własność Ban-

ku polskiego. Obszerne i glosnej piekności dobra lubartowskie przez czas niejaki administrowane byly na rzecz Banku, dzis zaś wypuszczone są na czastkowe dzierzawy. Stan dóbr pod kazdym wzgledem jest požądany, Bank odnosi wymagalne korzyści, a dzierzawcy téz, przy dobrém gospodarstwie i błogosławionój ziemi, nie darmo pracują w pocie czoła, bo słodką w pocziwym zysku znajdują nagrodę. Teraźniejszość Lubartowa skromnie pisze się w krajowym pamiećniku: tysz może ciekawo już wejrzyć na dziejową przeszłości kartę. Więć przedewszystkiém pomówić nam wypadnie o *Lewartowie*.

— O Lewartowie? przerwałem zdziwiony; już kilkakrotnie slyszalem w ten sposób nazwane miasto; ja przeciez nazywam je Lubartowem, i pod tą nazwą powszechnie jest znane; boć ona wywodzi się od Lubarta, syna Gedymina, który po kądzieli był protoplastą księżęcego domu Sanguszków, dziedziców Lubartowa. Zkądże tu Lewartów?

— Zwolna, zwolna, przerwie mi z uśmiechem Karol: *audiatur et altera pars*. Twój Lubartów, to późniejsza już, nowoczesna kreacya. Lewartów o 200 lat od niej starszy.

— Jaktó?

— Początek miasta odnosi się do czasów Zygmunta Starego. Ulubieniec Bony, Piotr z Dąbrowicy Firlej, wojewoda bełzki, podpisał 1543 roku akt erekcyi, nadawszy miastu nazwę Lewartów, od herbu Firlejów, *Lewart*. Nazwa zaś Lubartowa datuje już z czasów drugiego Sasa, który w roku 1744 dozwolił ówczesnemu dziedzicowi miasta, Pawłowi Karolowi księciu Sanguszcze, marszałkowi wielkiemu litewskiemu, przeistoczyć nazwę na Lubartów, z wiadomój ci już przyczyny.

— Wszak to ten sam Sanguszek, którego go-tów byłbym nazwać odnowicielem dawnego Lewartowa: boć to on wznosił oba dzisiajsze kościoły, dźwignął z upadku pałac i ogród i nowe wlaścicie w spróchniały organizm miasta.

— Tak, odparł Karól, ale nigdy już miasto nie wróciło do téj sławy światła i zamożności, jakiej pod Firlejami używało. Przechodząc z kolei w ręce książąt Korybutów Luboimirskich, nim do Sanguszków doszło, utonęło w zupełnej podrzędności. Mikołaj Firlej, wiając po ojcu Piotrze nowo erygowane miasto, skierował wszelkie swoje starania ku bystremu i wszechstronnemu wzrostowi Lewartowa. I trzeba przyznać że umiejętnie wiać się do dzieła: nietylko piękny dźwignął pałac i

rozkosznymi otoczył go ogrody, ale jakby czaro-dziejskiém zaklęciem stworzył tu przemysł, handel i popęd do postępów krajowego rolnictwa. Holendrzy i Flamandzycy, wiodący wówczas rej na widowni handlu i przemysłu, wnet pojawili się w Lewartowie i glosne temu miastu zapewnili imię.

— Nic coś nie wspominasz o szkołach lewartowskich, wtrąciłem; a toż ony, choć krótko trwały, rozgłosną przeciez szczyciły się sławą, skoro aż z akademii krakowskiej licznie napływała tu najznakomitsza młodzież kraju, by slychać biegłych w nauce mistrzów, aż z Wittenbergi i Lipska sprowadzonych.

— Milczę o tych szkołach, jakkolwiek sławnych powiadasz, bo widzę w nich tylko jeden z tych obłędów rozumowych, które tylu nieszczęść stały się powodem. Dlatego wyżej nad wojewodę lubelskiego, nad sławę glosną Mikołaja Firleja, nie już zwolennika, ale obrońcę i apostoła arianizmu polskiego w Lewartowie, wyżej stawiam pamieć skromnych i cichych zasług córki jego Elżbiety, wojskiej radomskiej, która tu ziarno dyssydentyzmu wyplenila.

— Czy nie zbyt gorąco, nie zbyt pochopnie otwierasz swoje zdanie Karolu, zapytałem z uśmiechem, spoglądając na ściągnięte brwi towarzysza. Czyż w istocie ów socynianizm (bo już wcale arianizmem nie był) jest tylko kłakolem w dziejach naszych. Czy stuletni jego rozrost żadnych zdrowych nie wydał na ziemi naszej owoców? Czyż takie punkta jak Pinczów, Raków, jak nasz Lewartów nawet, pozostały bez błogiego wpływu na ogólny rozwój cywilizacyi?

— O tak, miały wpływ, zawołał żywo pan Karol, ale zgubny dla religii, dla oświaty, dla obyczajów. Za najpromienistszy téz wypadek panowania Jana Kaźmirza uważam wydalenie z kraju arianów.

— Wybacz Karolu, ale mnie się zdaje że jeden dzień szczęśliwej energii Jana Kaźmirza w wewnętrznym zarządzie kraju, byłby obfitszym w błogie skutki niż wygnanie arianów. Wystąpienie Socyna, Stankara, Piotra z Goniądza nie było jakąś wyjątkową dla Polski fazą; to było tylko odbicie powszechnego ducha religijnej reformy, jaki w całej objawiał się Europie. Jak inne narody, tak i Polska tę fazę przejść musiała, a w niebezpieczeństwa grożące od téj reformy niechciałbym wierzyć. Wszak wśród największej swobody religijnej, najbujniejszego rozwoju dyssydentów, najbujniej téz kwitła pomyslnosc i sława Zygmunto-

skiej Polski, a rozpoczęcie walki z dyssydentami dało pierwsze hasło do niezliczonego szeregu nieszczęść naszego kraju.

— Jednakże sejm 1658 roku przeważnie miał pobudki, by zadekretować wydalenie socynianów: zarzucano im bezbożność, zawziętość przeciw katolicyzmowi, wreszcie zdradę stanu w nieszczęsnej wojnie z Szwedami.

— Żaden z tych zarzutów w obec światłej krytyki się nie ostoi: *bezbożni* Socynianie wznosili Bogu świątynie w Krakowie, Lublinie, Wilnie, Nowogródku; szkoły *zawziętych przeciw katolicyzmowi* sektarzy napelnione były kwiatem młodzieży katolickiej, którą uczono języków: hebrajskiego, greckiego, łacińskiego, prawa rzymskiego, filozofii i literatury starożytnej. W takich ramach kwitnęła lat 10 i lewartowska szkoła. Wreszcie co się tyczy *zdrady stanu*, jest to niczém nie udowodniony zarzut, mogący stać na równi z zarzutem czynionym szlachcie polskiej przez stronników socynianizmu, jakoby wydalenia ich powodem była chęć zagarnięcia ogromnych majątków, jakimi szafowali zwolennicy sekty Socyna. Oba te zarzuty płonne. O prawności zresztą uchwały sejmowej 1658 roku, wydalającej socynianów, zaraz w owym czasie bardzo wątpliwe chodziły wieści, zwłaszcza też gdy trzechletni termin do wyniesienia się ich o rok jeszcze skrócono. W zamian za to Jan Kaźmirz zyskał dla siebie i następców tytuł *Orthodoxus*, a kraj stracił na oświacie, zamożności i wybornych szkołach, wreszcie na zupełnym upadku kilku kwitnących miast.

— Ale i ty może niesprawiedliwy jesteś dla nieszczęśliwego Jana Kaźmirza, zawołał Karol. Zrozumiejmy jego położenie: wewnątrz kraju rozterki, zamieszki, stronnice walki, i nadto bój z potężnym, zwyciężkim nieprzyjacielem; zewsząd dochodzą go wieści o zdradzie socynianów, a żaden pod chorągwią jego, jak niegdyś przeciw Turkom i Kozakom nie walczył, tak i teraz przeciw Szwedom nie staje; bo zabijać nie wolno, według dogmatów ich wiary. Radziejowski spiskuje z Szwedami, Lubomirski z Rakoczem: głód i mór niszczą Polskę. W tedy jój król w Tyszowcach, w kole wiernych synów ojczyzny, wykonywa uroczysty ślub, oddając królestwo swoje w opiekę Najświętszej Maryi Panny. A gdy święta orędowniczka, zahartowawszy miecz Stefana, wyzwoliła kraj od najezdника, nie byłże to popęd religijnej wdzięczności, albo, jeśli zechcesz, nie byłże to krok do-

brze zrozumianej polityki narodowej, wydalić z kraju opiekowanego przez Boga Rodzicę tych, którzy jój Synowi bóstwa zaprzeczali?...

— Że to był wynik popędu religijnej wdzięczności, na to zgoda, odparłem, ale, cechy dobrze zrozumianej polityki narodowej dopatrzeć w tém nie mogę. Socynianizm, zewnątrz stosunków, pojęć, usposobień i ducha polskiego wylęgły i tylko sztucznie na ziemię naszą przeszczepiony, nie byłby się nigdy żywotnie zespolił z ciałem narodu, i po przejściu fazy nowości i czyszczącego ognia dogmatycznych sporów, albo sam z siebie by zniknął, albo też z pożytkiem dla kraju przelałby się w odpowiednie jego duchowi i sumieniu formy. Socynianizm był u nas wyłącznie tylko sektą stanów wyższych; lud nieznał tych nowych pojęć, co biorąc rozbrat zupełny z ziemią, dążyły do coraz wyższego uduchowienia, wyzwalając się z więzów ciała i ulatując na skrzydłach abstrakcyi w coraz wyższe powietrzne sfery. Nieprzyjaciele nawet nie zaprzeczają socynianom naszym wysokiej skromności, hojności dla biędnych, pobłażania dla bliźnich, a w obcowaniu słodkiej łagodności i uprzejmości; ale z drugiej strony energia ich i tęgość charakteru, w dogmatycznych mrzonkach przechodziła w dumę, pychę i lekceważenie: trudno im było ugiąć dumnego karku, czego najlepszym dowodem dobrowolne to burzliwe wychodźstwo polskiego arianizmu, po zburzeniu Rakowa 1633 roku. Czy przeciw sekcje z takich żywiołów złożonej potrzeba było w 25 lat potem uciekać się do dekretu wydalającego?

— Ej, dajmy pokój, przerwał Karol, i arianizmowi i polskim arianom; za daleko nas zawiodły dyalektyczne spory. Ot, obejrzyj się w około siebie: czy w okolicach Warszawy wiele macie takich lasów, jak nasze lubartowskie. Przez ośm wiorst jednym jedziesz borem, gęstym, starym, w którym zarówno łatwo o grubego zwierza, jak o hultaja, co na tve mienie czyha. Na obu skuteczne mam zawsze z sobą lekarstwo, dodał Karol z uśmiechem, wskazując na sterczącą za nami gwintówkę.

— Oj te lasy, te lasy... to jedna ze strasznie bolejących ran naszego kraju. Takie ogromne bogactwo leśne rozszałowaliśmy w krótkim czasie, i dopiero żelazna konieczność przypomniła potrzebę oszczędności i systematycznego gospodarstwa. A mimo to, jakże mało jeszcze porządných gospodarstw leśnych w naszym kraju! Wyjąwszy lasów rządowych, jedna gubernia warszawska może wykazać pewną ilość należycie urządzonych lasów,

gdzieindziej wszystko idzie po dawnemu, patryarchalnym trybem: przerzuc tylko obraz naszego lesnictwa, skręslony przez Połujańskiego, a z boleścią spojrzysz na przyszłość naszych lasów.

— Już to braciszku, Bogiem a prawdą, powiędzmy sobie, westchnął Karol, że do przerzedzenia lasów naszych niemało, a bodaj czy nie głównie, przyczynił się obcy nam dawniej duch przemysłowych przedsięwzięstw. Słyszę że teraz przy kolei żelaznej i w niektórych zakładach fabrycznych w miejsce drzewa używają już i unas węgla kamiennego. Szczęść Boże tej próbie: oby ona w kopalniach naszych otworzyła nowe źródła krajowego bogactwa!

— A cóż dopiero powiedzieć o higienicznym i klimatycznym wpływie lasów: ta świeżość powietrza, to wsiąkanie w drzewo masy pary wodnej, ta osłona od szkodliwych wiatrów, burz, nawałnic i klęsk epidemicznych, wszystkie te dobrodziejstwa tracimy z wytępieniem lasów.

— Możeby nawet cholera mniej była straszną w lesistych krajach, zagadnął Karol.

— Nie wątpię o tém, odparłem żywo. Znam osobiście jedno ustronie wiejskie w Stanisławowskich okolicach, nadbrzegami Kostrzyni: zdala od świata i ludzi, wśród lasów i wód, w ciągu wszystkich klęsk epidemicznych jakie tylokrotnie w ostatnich czasach kraj nasz nawidzały, wioska ta, jakby szczególną Opatrzności łaską, zawsze oszczędzana była. Zda się że i cholera nie mogła czy nie chciała przedziierać się przez lesne gęstwiny; lubi ona utorowane drogi.

Po chwili milczenia, towarzysz, nagle zwracając się do mnie, wskazał na skromną, roztaczającą się przed nami osadę i rzekł:

— Patrz, to Firlej, cicha, pod lubartowskim lasem wegetująca mięscina, o której mało, albo też i nic, nie zasłyszales, boć to mięscina bez przeszłości, terażniejszości a pono i przyszłości. Cały skarb jego wspomnień zawarty w nazwie. Fundatorem miasta jest założyciel Lubartowa, Mikołaj Firlej, a dalsze już koleje razem z Lubartowem przechodziło. Biędne to miasteczko!

I tu popłoch z powodu epidemii, i tu zaraz na wstępie do miasta pogrzebny powitał nas orszak. Szybko minęliśmy miasto, ale choć nam już dawno z oczu znikło, nikt się z nas do gawędki nie kwa-

pił: słowa zamięrały na ustach, w smętném byliśmy rozstrojeniu.

— Cholera! cholera! straszne słowo, szeptał jakby do siebie Karol, czy to jest choroba, czy klątwa gnięwnego Boga; jeśli choroba, czemuż jęj nie leczy? a jeśli klątwa, czyż mogłaby dotykać cały ród ludzki? Wszak Bóg jest miłością!... Co to jest cholera? zapytał nagle, zwracając się do mnie.

— Na to pytanie nieodpowiedziałby ci nawet najśmielszy z warszawskich medyków. Największa ich część, wzorem Sokratesa, z tajemniczą miną szepczą ci: *nic nie wiem*, i to są właśnie najuczciwsi, najrozsądniejsi z medyków. Bo w istocie cholera jest dotąd sfinksem, a pewniki w czasie jednego jęj objawu ustalone, obala zaraz następne jęj przejście, jakby dla rozmyślnego skołowacenia wiedzy ludzkiej. Przy jednym tylko, nader szczęśliwym pewniku utrzymała się medycyna: że cholera nie jest zaraźliwą, a w ten pewnik wierzę całą siłą przekonania, jakiego nabyłem zwidzając szpitale choleryczne w Warszawie i na prowincyi. Gdyby nie ten pewnik, stokroć straszniejszą byłaby cholera.

— U mnie na wsi, odezwał się smętnie Karol, do dziś dnia jeszcze niezabliźnione rany, jakie cholera 1852 roku zadała.... i ja wtedy straciłem siostrę... W tym roku Bóg oszczędził zacisze nasze od swego gniewu.

— W ogóle, zauważyłem, cholera 1852 r. była powszechniejszą, to jest na szerszej przestrzeni (bo w całym prawie kraju) roztoczyła niszczący swój zagon: ale cholera 1855 roku jest srozsza, zjadliwsza, gwałtowniejsza, choć węższymi pasami po kraju przeciąga. Niczem jest jeszcze śmiertelność Lubartowa, w porównaniu z tym strasznym obrazem zniszczenia, jaki przedstawił mi się w okolicach Opatowa; zwłaszcza też oba brzegi powiśla, które zwidziłem po drodze od Staszowa do Lublina. Tych przykrych wrażeń póki życia mego nie zapomnę.

I znowu obydwu wpadliśmy w zadumę: on myślał naprzód wybieżał do cichego dworku swęj matki, a jam mu zazdrościł, bo myślowa moja podróż do Piotrkowa znacznie była dłuższą.

(Dokończenie w następnym zeszytcie).

ŚWIĘTO KWIATÓW W KOUN-BOUM

(W MONGOLII).

W roku 1846 dwaj misyjonarze francuzcy, pp. Huc i Gabet, dokładnie umiejący po chińsku i mandżursku, zdołali dostać się do środka Mongolii, a przepędziwszy tamże kilka miesięcy, udali się z liczną karawaną przez góry tybetańskie do Lha-ssa, stolicy Tybetu.

Opis téj podróży, równie trudnej jak obfitój w najciekawsze spostrzeżenia, niesłychanie jest zajmującej. Dokładna znajomość języka i zwyczajów miejscowych ułatwiła p. Huc zbadanie szczegółów dotąd niedostępnych dla innych podróżników, i nadała jego opowiadaniu wybitny charakter prawdy i jasności.

Przygotowując się do téj podróży, nasi misyjonarze spędzili kilka miesięcy w Koun-boum, największej i najważniejszej lamaserii w całej Mongolii. Miejsce to, słynne urodzeniem Tsu-Kaby, reformatora religii Buddy, uchodzi między wyznawcami téj wiary jako cudowne, i jest celem pielgrzymki odległych nawet pokoleń Tatarów, Tybetanów i Mongołów.

Podajemy tu wyjątek z opisu tego miejsca i uroczystości jakiej p. Huc był świadkiem w czasie swego pobytu w Koun-boum.

„Lamaseria, czyli klasztor lamański, w Koun-boum liczy do czterech tysięcy lamów, to jest duchownych. Widok ogólny tego zakładu prawdziwie jest czarujący. Wystawmy sobie ogromną górę, rozciętą głębokim i szerokim parowem, w głębi którego piętrzą się wielkie drzewa, bezustannie ożywione stadami kruków, srok i wron z żółtymi dziobami. Po obu stronach wąwozu i po bokach góry wznoszą się amfiteatralnie mieszkania lamów, w rozlicznych rozmiarach, otoczone okalającymi murami i uwieńczone na szczycie małym belwederem. Z pośród tych skromnych domków, zalecających się tylko śnieżną białością i czystością, wyskakują gdzieś złocone szczyty licznych świątyń buddyjskich, otoczonych ślicznymi perystylami. Mieszkania przelożonych odróżniają się chorągiewkami zatkniętymi na wierzchu małych sześciokątnych wieżyczek; wszędzie gdzie oko dojrzy widać napisy mistyczne, kręślone wielkimi tybetańskimi głoskami, w czarnym lub czerwonym

kolorze. Umieszczają je ponad drzwiami, na murach, na kamieniach i na małych banderach płóciennych, które powiewają na wierzchołkach mostów ustawionych po tarasach domów. Prawie co krok spotkać można framugi w kształcie głów cukrowych, w których bezustannie palą się kadzidła z drzew pachnących i liści cyprysu. Najbardziej przecież uderza widok tłumu lamów, snujących się po licznych ulicach lamaserii, w sukniach czerwonych i z żółtymi mitrami na głowach. Ruch największy panuje tylko w chwilach gdy opuszczają miejsca przeznaczone na wykład nauk lub odmawianie paciérzy; przez resztę dnia lamowie spokojnie siedzą w mieszkaniach. Czasem tylko można dostrzedz jak niektórzy schodzą po stromych ścieżkach w głąb jaru i wracają ztamtąd, dźwigając na plecach długie baryłki wody, potrzebnej do domowego użytku.

„Lamaseria w Koun-boum używa takiej wziętości, że czciciele Buddy ze wszystkich krańców Tartaryi i Tybetu udają się do niej w pielgrzymkę; niema prawie dnia jednego w którymby nie przybywali lub nie odchodzili liczni podróżnicy. Wszakże są pewne uroczystości, w czasie których napływ pielgrzymów o wiele jest większy niż zwykle. Liczą ich cztery w ciągu roku, a najsłynniejszą jest uroczystość obchodzona piętnastego dnia od pierwszego księżyca, zwana *świętem kwiatów*.

„Zamieszkaliśmy w Koun-boum szóstego po pierwszym księżycu, a już liczne karawany pielgrzymów ciągnęły po wszystkich ścieżkach wiodących do lamaserii. Wszystko zajęte było spodziewaną uroczystością i wszyscy unosili się nad pięknoscią *kwiatów*. Rada sztuk pięknych, której te kwiaty do oceny przedstawiono, uznała je za przewyższające wszystkie wyroby z lat poprzednich. Skoro więc tylko posłyszeliśmy o tych cudownych wyrobach, łatwo pojąć jak skwapliwie staraliśmy się powziąć objaśnienia o całej uroczystości, dotąd nam nieznanej. Oto są szczegóły nam udzielone i nie bez podziwu przyjęte:

„*Kwiaty* z dnia piętnastego pierwszego księżyca składają się z ciągu przedstawień świeckich i religijnych, w których występują wszystkie ludy azya-

tyckie, z właściwą sobie fizygnomią i odznaczającym je ubiorem. Osoby, ubrania, krajowidy, dekoracje, wszystko to wyrobione jest... ze świeżego masła. Przez trzy miesiące robione są przygotowania do tego osobliwego widowiska. Dwudziestu lamów, wybranych z pomiędzy najcelniejszych artystów lamaserii, codziennie pracuje nad wyrobami z masła, trzymając ciągle ręce w zimnej wodzie, aby naturalne ciepło ręki nie psuło obrobionych kształtów; ponieważ zaś roboty te odbywają się po największej części wśród najcieńszej zimy, pracujący więc artyści na liczne cierpienia bywają wystawieni. Zaczynają oni pracę od dokładnego wygniecenia i wyplukania masła w wodzie, celem nadania mu potrzebnej ścisłości, a następnie każdy zajmuje się wykończeniem powierzonych mu części wyrobu. Wszyscy robotnicy pracują pod przewodnictwem układającego ogólny plan kwiatów na rok bieżący, który zarazem dyryguje artystami wyznaczonemi do nakładania kolorów. To muzeum z masła żywą naturalnie obudzało w nas ciekawość, i niecierpliwie oczekiwaliśmy nadejścia dnia 15.

„Już w wigilią uroczystości napływ przybyszów był niewypowiedzianie liczny. Koun-boum stracił charakter cichej i spokojnej lamaserii, zamieniając się w miasto światowe, pełne ruchu i wrzawy. Po wszystkich zakątach rozlegał się przenikliwy ryk wielbłądów i głuche mruczenie wołów z długą sierścią, na których przyjechali pielgrzymi. Na wierzchołkach góry panującej nad lamaserią rozwijały się liczne namioty tych podróżnych, którzy nie zdołali się pomieścić w mieszkaniach lamów. Przez cały dzień czternasty, liczba pątników wzrastała niesłychanie. Dla nas widok tej cizby, co krok padającej twarzą na ziemię i odmawiającej po cichu paciérze, był zarazem dziwny i przykry. Pośród tych gorliwych wyznawców Buddy znajdowało się bardzo wielu Tatarów i Mongołów, przybyłych z niezmiernie dalekich okolic; odznaczali się oni postawą posępną i niezgrabną, a bardziej jeszcze fanatycznym zachowywaniem przepisów do tego rodzaju nabożeństwa przywiązanych. Byli tam także Hung-Mao-Éul, czyli ludzie długowłosi, których dzika dewocja dziwnie odbijała od mistycyzmu Mongołów. Przechodzili się zuchwale, z głową zadartą do góry, prawe ramię mając obnażone z rękawa, uzbrojeni wielką szablą i karabinem. Krajowcy z Amdo, zwani Si-Fan, największą część pielgrzymów stanowili. Fizygnomia ich nie wyrażała ani dzikości długowłosych, ani

spokojnej dobrotności Tatarów; odbywali pielgrzymkę od niechcenia, jak gdyby powiedzieć chcieli: „my jesteśmy z tej samej parafii, i doskonale z tém wszystkiém oswojeni”.

„Pokrycie głowy kobiet z Amdo przyjemnie sprawiło nam złudzenie, noszą bowiem kapelusiki z czarnego lub szarego filcu, zupełnie kształtem podobne do używanych we Francji; jedyna różnica na tém polega, iż wstążka spód ich opasująca nie jest czarną, ale żółtą lub czerwoną. Włosy rozpuszczają na ramiona, ozdabiając je kawałkami perłowej macicy i czerwonym koralem.

„Zdziwiliśmy się niezmiernie, dostrzegłszy wśród tłumu pobożnych kilku Chińczyków, z różańcem w ręku i oddających pokłony wedle zwyczaju. Brodaty Sandara, lama miejscowy a nasz przewodnik, objaśnił nas że to są kupcy sprzedający *khata*, to jest chusteczki nabywane na prezenta przez Tatarów i Mongołów. Kupcy ci, wcale nie wierząc w Budę, udawali dewocją, dla przyciągnięcia kupujących i lepszej sprzedaży towarów. Niewiem czy to była potwarz Sandary lub istotna prawda, ale to pewna że taki pomysł najdokładniej odpowiada usposobieniu i geniuszowi Chińczyków.

„Piętnastego pielgrzymi jeszcze okrążali lamaserią, wszakże już w mniejszej liczbie niż dni poprzednich, gdyż cały tłum skierował się ku miejscom gdzie robiono przysposobienia do wystawy kwiatów. Za nadejściem nocy Sandara zawezwał nas abyśmy poszli oglądać te cuda maślane, o których tyle musieliśmy się nasłuchać. Kwiaty były wystawione na dworze, przed rozmaitemi świątyniami buddyjskimi, i oświecone w czarujący sposób. Nieobliczona mnogość wazonów z żółtej lub czerwonej miedzi, na lekkich fantastycznych rusztowaniach, wypełnioną była skrzepniętym masłem, z pośród którego wznosił się knot gruby, z bawełny skręcony. Układ całej iluminacji był tak pełen smaku, że nawet w Paryżu zrobiłby wrażenie.

„Widok samych kwiatów wprowadził nas w podziw niesłychany. Nigdyśmy przypuszczać nie mogli, aby wśród owej pustyni, wśród ludów na wpół-dzikich, znaleźć się mogli artyści tak znakomici. Dzieła malarzów i snycerzów poznane przez nas w licznych lamaseriach nie mogły wytrzymać żadnego porównania z wykończeniem i sztuką, z jaką były traktowane te wyroby z masła świeżego. Owe kwiaty były płaskorzeźbami olbrzymich rozmiarów i przedstawiały rozliczne przedmioty z historyi buddyzmu. Wszystkie figury miały wyraz zadziwiająco prawdziwy,

a taki pozór życia, ruchu i naturalności w postawie, ubiory tak odpowiednie i dobrze naśladowane, że za pierwszym rzutem oka łatwo było rozpoznać nawet gatunek udanej materii. Szczególniej odznaczały się naśladowania futer: skóry baranie, tygrysie, wilcze, lisie i innych zwierząt tak doskonale były udane, że prawie ręką trzeba się było dotknąć, by się przekonać iż nie były prawdziwe. We wszystkich płaskorzeźbach łatwo było rozpoznać Buddę. Twarz jego, pełna szlachetności i majestatu, widocznie należała do typu kaukazkiego. Jest to zgodne z tradycją buddyzmu, która przywodzi że Budda pochodził z Zachodu, że miał twarz białą z lekkim rumieńcem, oczy otwarte szeroko, nos duży i włosy długie, miękkie w dotknięciu. Wszystkie inne osoby nosiły wybitny typ mongolski, z odcieniami Tybetanów, Chińczyków, Tatarów i Si-fan. Różnice te tak były dokładnie odznaczone, że nie patrząc na ubiór, rozpoznać było łatwo którą z figur do jakiego należała plemienia. Zauważyliśmy nawet kilka głów Murzynów i Indyan, doskonale oddanych, na które cała ciekawość widzów była zwróconą. Wszystkie te wspańskie płaskorzeźby miały ramy dekoracyjne, w których także z masła wyrobione liczne zwierzęta, ptaki i kwiaty w godny podziwu sposób ułożono.

„Przy drodze prowadzącej z jednej świątyni do drugiej, w pewnych odstępach ustawione były mniejsze płaskorzeźby, przedstawiające w miniaturze bitwy, łowy, sceny z życia koczującego i widoki słynniejszych lamaserij Tybetu i Tartaryi. Nareszcie przed główną świątynią wystawiono teatr, również z osobami i dekoracjami wyrobionymi z masła. Osóbki były na stopę wysokie i przedstawiały zgromadzenie lamów udających się do chóru na modlitwę. Z początku teatr był pusty; dopiero za odezwaniem się konchy morskiej rozwarły się drzwiczki po obu stronach i wystąpiły dwa szeregi lamów, za którymi postępowali przełożeni, w pontyfikalnych ubiorach; figurki zatrzymywały się jakiś czas nieruchomie na scenie, i znów znikaly za kulisami. Widok ten obudzał niesłychany zapal w tłumie; dla nas, cośmy nie takie rzeczy widzieli pod względem mechanizmu, owe marynetki rzucające się na sztywnych nogach były raczej płochą śmiesznością. Popatrzawszy więc przez chwilę, wróciliśmy dla podziwiania raczej płaskorzeźb.

„W chwili gdyśmy się zastanawiali nad grupą diabełków, przynajmniej równie pociesznych jak pomysły Callot'a, usłyszeliśmy rozlegający się na-

gle ogromny wrzask trąb i konch morskich. Uwiadomiono nas że wielki lama w tej chwili wychodzi ze swego *sanctuarium*, celem zwidzenia kwiatów. Właśnie nam tego było potrzeba; wielki lama z Koun-boum był dla nas najciekawszą rzeczą. Wkrótce też zbliżył się do nas, poprzedzany przez drabantów rozpędzających tłumy biczami. Szedł pieszo, otoczony dygnitarzami lamaserii. Jak nam się zdawało, ów Budda żywy mógł mieć lat około 40 najwięcej, wzrost miał średni, fizygnomią pospolitą i płaską, cerę silnie ogorzałą. Przechodząc, rzucał chmurne spojrzenia na płaskorzeźby i kwiaty. Spoglądając na piękną twarz Buddy, musiał sobie pomyśleć iż skutkiem długich transmigracyj dziwnie się ona wyrodziła od pierwiastkowego typu. Jeżeli twarz i postać wielkiego lamy wcale nas nie uderzyła, to za to ubiór jego wprowadził nas w zdumienie. Na głowie miał żółtą mitrę, w rękę trzymał kij zakrzywiony; okryty był płaszczem z materii fijołkowej, spiętym na piersiach klamrą, kroju tegoż samego co u nas kapy.

„Tłumy widzów bardzo mało zajmowały się ukazaniem się Buddy żywego, i chętniej przyglądały się Buddom maślanym, wrzeczy samój daleko piękniejszemu. Jedni tylko Tatarzy okazywali jakąś dewocją, przez składanie rąk i nachylenie głowy na znak uszanowania, jakby żalowali że zbyt ścisł nie dozwalał im paść twarzą na ziemię.

„Jak tylko wielki lama ukończył swój przegląd i wszedł do swojego *sanctuarium*, nastąpiła chwila oddawania się wesołości bez miary i wędzidla. Śpiewano, tańczono do upadłego, popychano się, przewracano, wśród wrzasków i wycia rozlegających się w pustyni, tak iż zdawało się jakby te wszystkie rozliczne ludy razem popadły w szaleństwo. Żeby zaś ten bezład przerażający nie pociągnął za sobą zniszczenia iluminacji i płaskorzeźb maślanych, lamowie, uzbrojeni zapalonemi pochodniami, mieli obowiązek powstrzymywać rozhukane fale ludu, które wrzały jak morze wśród burzy. Nie mogliśmy długo opierać się rozszalałemu tłumom, i dlatego, korzystając z zaproszenia *kitas-lamy*, udaliśmy się na spoczynek.

„Nazajutrz wschodzące słońce nie zastało już ani śladu z wielkiego święta owych kwiatów. Wszystko znikło, płaskorzeźby zniszczono, i całą tę ogromną bryłę masła, wrzucono w głąb wąwozu, na pastwę kruków. Owe olbrzymie wyroby, które kosztowały tyle trudów i czasu, tyle wysień, można powiedzieć geniuszu, służyły tylko na widowi-



sko jednej nocy. Corocznie robią nowe kwiaty, i zupełnie podług nowego planu.

„Z kwiatami znikli także i podróżni. Już od samego rana widać ich było zwolna wstępujących na góry po krętych i skalistych ścieżkach; wszyscy

szli w milczeniu, ze smutnie pochyloną głową. Ten rys charakteru krajowców nie dziwił nas wcale; wszędzie serce człowieka jednakie, wszędzie wigilia uczyty czy radości jest świetniejsza jak jój jutro, wszędzie nadzieja miłsza jak... wspomnienie.

OBŁAWA NA WILKI

W INDYACH WSCHODNICH.

Wytepienie wilków w Indiach odbywa się sposobem prostym, o którym załączona litografia dokładnie daje wyobrażenie. Mieszkańcy wsi sąsiednich nagromadzają w jaskiniach służących wilkom za kryjówek mnóstwo materiału palnego. Otwory zewnętrzne zatykają się w ten sposób, aby zwierzętom zatamować wyjście, nie przecinając jednak przystępu powietrza. Czynność ta odbywać się powinna w największej cichości; bo w razie przeciwnym przebiegłe wilki, słysząc głosy ludzkie, uciekają przed czasem. Ogień ze słomy, gałęzi i wilgotnego drzewa, z dodaniem kilku funtów siarki, roznieca się w najniżej położonych otworach, aby dym, ciągnąc ku górze, przeniknął całą jaskinią. Tym sposobem osiąga się dwoisty cel uduszenia lub wypędzenia wilków i tak przykrego uwędzenia ich kryjówek, że pozostałe przy życiu zmuszone są innego szukać sobie schronienia.

„W pobliżu wsi Quoilah, opowiada kapitan Williamson, byłem świadkiem bardzo zajmującej tego rodzaju obławy. Kilka dni temu, w nocy, wilki porwały z wioski Nabob Gunge dwoje dzieci. Według zapewnienia krajowców siedliskiem tych drapieżców była jaskinia odległa tylko o ćwierć mili od naszego obozu; postanowiliśmy więc wziąć udział w zamierzonej przez mieszkańców wyprawie. Posłano do jemmadara (sołtysa) wioski, który oświadczył gotowość dostarczenia kilkudziesięciu ludzi i materiałów palnych, jeżeli tylko przyczynić się zechcemy do wytepienia niebezpiecznych sąsiadów. W umówionym więc czasie udali-

śmy się na miejsce, uzbrojeni od stóp do głowy i pełni nateżonego oczekiwania tej całkiem nowej dla nas sceny.

„Po krótkich przygotowaniach rozniecono ogień w dolnych otworach, i niezadługo też odezwały się wycia niepokojonych dymem wilków. Nie będąc jeszcze doświadczeni w tego rodzaju polowaniach, nie zatkaliśmy kilku ukrytych otworów, tak iż dwa wilki zdołały ująć bezkarnie. Wtedy dopiero zagrodziliśmy je lancami, a lubo i przez tę zapórę zwierzęta z wielkim trudem mogły się przecisnąć, pozostawało nam jednak dość czasu, aby je powitać wystrzałami. Tym sposobem ubiliśmy trzy stare wilki, z których dwa legły od naszych karabinów, a trzeci w odległości pięćdziesięciu kroków ugodzony został dzirytem przez jednego z Indyan.

„Po całonocnym podniecaniu ognia, krajowcy weszli do jaskini, gdzie ku powszechnej radości znaleźli mnóstwo jeszcze poduszonych starych i młodych wilków, a w głębi, niestety, kości porwanych dzieci, obok ozdób srebrnych i złotych które one nigdy nosiły.

„Później kilkakrotnie jeszcze mieliśmy sposobność przewodniczenia podobnym wyprawom, i osiągnęliśmy nawet w tym względzie pewien rodzaj sławy. Zewsząd też skutkiem tego zapraszano nas na obławy, w których jednak, z powodu zbyt odległej często miejscowości, nie zawsze mogliśmy brać udział.”

ATMOSFERA KSIĘŻYCA.

Od najdawniejszych czasów księżyc i jego odmiany zwracały na siebie uwagę mieszkańców ziemi. Fazy jego najnaturalniejszy dawały pochoop do podziału czasu, jako łatwo podpadające pod zmysły i w krótkich powracające peryodach. To téż i teraz jeszcze narody na niskim szczeblu oświaty zostające zmian księżycowych w tym celu używają.

Nic dziwnego także iż w wiekach ciemnoty do zjawisk tych wiązały się wyobrażenia przesądne, które i dziś jeszcze po części się utrzymują. Nie umiano wyobrazić sobie inaczej, tylko że ciało tak blizkie nas pozornie i w tak regularnych wracające przestankach, przeważny wpływ wywierać musi i na ziemskie stosunki. Doświadczenie nawet poniekąd za tém przemawiało; tak np. choroby pewne zdają się być zależne od faz księżycowych, a życie roślinne i zwierzęce w wielu względach niezaprzeczenie wpływowi ich podlega.

Ale powrót peryodyczny tego ciała niebieskiego, różne jego względem słońca położenia, zaćmienia wreszcie i samego księżyca i słońca, wczesnie téż zwrócić musiały uwagę ludzi skłonnych do badania, musiały obudzić w nich chęć nieprzepartą docieczenia przyczyny tych zjawisk niebieskich, tém bardziej że ostatnie z nich następowały najczęściej niespodzianie, rzucając postrach i trwogę na tłumy nieświadome. Starano się przewidywać i ściślej oznaczyć te straszne fenomeny, a gdy to się powiodło, zaczęto powoli otrząsać się z przesądów. Wprawdzie ogół nie umiał jeszcze zdać sobie sprawy dokładnej z przebiegu zaćmień i ich przyczyny, lecz przekonano się przynajmniej że te zjawiska nie są przypadkowe, że ony następują takim samym prawem konieczności, jak zmiany pór roku, jak następstwo dnia i nocy.

Już wtedy uczeni nie wątpili iż księżyc jest ciałem stałym, o kształcie zaś jego kulistym łatwiej nawet było przekonać się jak o kulistości ziemi. Gdy później, skutkiem wynalazku teleskopów, zdołano przyjrzyć się bliżej księżycowi i spostrzeżono że powierzchnia jego pełną jest nierówności, niepodobna było niewpaść na domysł iż wierny ten planety naszej towarzysz musi być w kształtach swoich zbliżony do ziemi; skutkiem przyszłego zaś udoskonalenia narzędzi optycznych spodziewano

się dostrzedz nanim morza, rzeki, góry, wulkany, a nawet ślady życia zwierzęcego i roślinnego.

Jakkolwiek badania ówczasowe nie dały jeszcze tak świetnych rezultatów, to przecież duch ludzki przeczuciem nakłaniał się ku wierze, że jako wszędy w przyrodzie jest życie, tak ono znajdować się musi i na sąsiedniem nam ciełe niebieskiem. Wynikiem nieodzownym téj wiary było przypuszczenie na niem istot myślących, co naturalnie do wysokiego stopnia zapalało wyobraźnię myślicieli, tém bardziej gdy wynalazek żeglugi napowietrznej dawał nadzieję jeśli nie bezpośredniego osiągnięcia księżyca, to przynajmniej zbliżenia się doń o tyle, aby dokładniejsze poznanie jego stanu fizycznego stało się możliwém.

Częste nakoniec spadki meteorolitów dawały pole domysłowi że ony pochodzą z kraterów księżycowych, których silniejsze wybuchy wyrzucają niekiedy pojedyncze bryły aż poza atmosferę księżyca, przenosząc je tym sposobem w sferę działania siły przyciągającej naszej ziemi.

Tak tedy zdawało się niezawodnym że skład materjalny księżyca podobny jest do składu naszej planety; albowiem i rozbiór chemiczny spadłych meteorolitów same tylko ziemskie wykrywał w nich pierwiastki. Pozostawało tylko przekonać się czy księżyc ma atmosferę, a rozstrzygnięcie téj wątpliwości miało zarazem rozstrzygnąć pytanie, czy można tam przypuszczać zbliżony do naszego byt organiczny. Wszakżeż fizyka uczynas że bez powietrza niema życia, że gdzie są ciała płynne, tam, skutkiem samego parowania, musi być i powietrze. Gdyby więc księżyc nie był otoczony atmosferą, to odsądziłibyśmy go tém samym od posiadania płynu, to znaczy brakby mu było drugiego już z trzech nieodzownych warunków wszelkiego życia organicznego.

Po otrzymanie stanowczej w téj mierze odpowiedzi udano się do astronomów; ale odpowiedź, wbrew ogólnemu życzeniu i oczekiwaniu, wypadła przecząco. Nielitościwy ten wyrok nauki zburzył więc najmilsze rozkołysanej wyobraźni rojenia. Miano się wyrzec niepowrotnie ponętnych owych marzeń o sąsiadach księżycowych, z którymi najzapaleńsi zamierzali już nawet na prawdę w przy-

jazne wchodzić porozumienie, a to za pomocą olbrzymich figur geometrycznych, widzialnych w takiej odległości; spodziewaliśmy się bowiem że pojętni nasi na firmamencie sąsiedzi znaki te powtórzą, co pierwszym byłoby krokiem do zawiązania poufnej korespondencji.

Lecz na czémże astronomowie oparli swoje zdanie o nieistnieniu atmosfery księżycowej? Oto na zdarzającym się często zjawisku przejścia gwiazd przez tarczę księżycową, czyli pokrycia ich przez księżyc. Gdyby to ciało niebieskie, tak rozumują uczeni, miało atmosferę, wtedy światło bijące od gwiazdy musiałoby za dojściem do kręgu tej atmosfery załamać się i osłabnąć; co przecież nie miało miejsca w żadnym z uważanych dotąd zjawisk tego rodzaju.

Bacząc jednakże na to że średnia odległość księżyca od globu naszego wynosi 50,000 mil, że w takim oddaleniu rozległość 6,000 stóp widzimy pod kątem tylko jednej sekundy; że przeto ziemscy spozstrzegacze mogą niedojrzeć żadnego załamania się światła, chociażby księżyc posiadał atmosferę na 6,000 stóp wysoką; że według ogólnego prawa natury wyższe warstwy kręgu powietrznego rzadsze są zawsze od niższych, a więc mniej silnie wpływają na zboczenie światła:—możemy przypuścić że księżyc otoczony jest atmosferą znacznie nawet wyższą nad 6,000 stóp, jakkolwiek obserwacje ziemskie nie wykrywają nam dotykalnie jej bytności.

Tym przeto sposobem upada najważniejszy zarzut astronomów przeciwko istnieniu atmosfery księżycowej, i jej możliwość przynajmniej staje się przypuszczalną. Ale badacze przyrody nie poprzestają na podobieństwie do prawdy; wymagają oni faktów. Dla utrzymania więc wystawionej przez nas hipotezy innych nam trzeba na to dowodów. I otóż zjawisko towarzyszące zaćmieniom słońca, uważane po raz pierwszy w r. 1842, a znane w astronomii pod nazwiskiem *korony* czyli światłokręgu, może nam ich dostarczy.

W dawniejszych czasach badano zaćmienia pod względem li tylko astronomicznym, a pomijano zdarzające się w ich przebiegu zjawiska fizyczne. Dopiero w roku 1842, a zwłaszcza 1851, zaczęto pilniejszą na te ostatnie zwracać uwagę. Roku 1851

p. Döller w Puławie wezwał wszystkich przyjaciół astronomii do czynienia spostrzeżeń w czasie zbliżającego się zaćmienia całkowitego, szczególniej nad koroną, jej powstaniem i zniknięciem, jej szerokością, światłem i ubarwieniem w różnych miejscach, jej ruchem wirowym lub falującym i kierunkiem bijących z niej promieni. Do takich obserwacji dosyć gołego oka i dobrych chęci. Ale p. Döller od wprawniejszych dostrzegaczy zażądał nadto zmierzenia siły światła i, jeśliby się dało, ciepła korony, a nareszcie fotograficznego jej zdjęcia.

Odezwa uczonego puławskiego nie pozostała bez skutku, a z licznie nadesłanych spostrzeżeń zdaje się wypływać przekonanie, że korona powstaje skutkiem załamania i rozstrzelenia się promieni słonecznych dotykających atmosfery księżyca. Zdołano nawet wywołać to zjawisko sposobem sztucznym, przez ustawienie lampy Drummond'a za ciałem ciemnym, umieszczonem w bani szklanej. Lampa w tém doświadczeniu przedstawiała słońce, ciało ciemne księżyc, a otaczająca je bania szklana przypuszczalną atmosferę księżycową.

Możemy zresztą za istnieniem tej atmosfery przytoczyć dotykalszy jeszcze dowód. Posiadamy oddawna dokładne mappy księżyca, przedstawiające najwierniej formacje jego góryste. Geologia uczy nas ze kształtu i kierunku gór poznawać wulkaniczne (ogniowe) lub neptuniczne (wodne) ich pochodzenie. Otóż, stosując zasady tej nauki do pasm księżycowych, spostrzegamy w niektórych wyraźne ślady powstania neptunicznego. Ztąd wniosek oczywisty że na powierzchni księżyca istniała kiedyś lub istnieje woda, a tém samem istnieć musi i atmosfera.

Nakoniec, czyż każde ciało, stałej albo płynnej natury, nie posiada atmosfery, przez to samo że ulega parowaniu? Czyż eter przynajmniej otaczający ciała niebieskie nie musi zgęszczać się naokoło krążącego w nim księżyca.

Zaćmienia słońca, w ostatnich dopiero czasach badane pod względem fizycznym, wkrótce zapewne potwierdzą nam stanowczo bytność atmosfery księżycowej, albo też w inny sposób wytłumaczą zjawisko korony.

PODZAMCZE, PILICA I SMOLEŃ

POD WZGLĘDEM PRZYRODY I FABRYCZNEGO RUCHU.

(Z NOTAT PODRÓŻNYCH).

Śród pól i wzgórz, do których tulą się liche wioski z bielejącymi dworami, dążymy przez Ogrodzieniec do *Podzamcza*, osady o ćwierć mili od miasta odległej i posiadającej starożytne mury zamkiem *ogrodzienieckim* zwane.

Rzeczywiście miano Ogrodzienca dość trafnie maluje okolice, skały tu bowiem w tak dziwacznych skupiły się postaciach, iż tworzą ogrodzenie naturalne.

Tu przychodzi uwielbiać nam nietylko przyrodę, ale i pracę, która w tak zadziwiający sposób umiała korzystać z położenia miejsca. Zamek tutajszczy nie sięga zbyt dawnych czasów, albowiem bogaty Bonar, starosta rabsztyński i biecki, wznosił go ogromnym kosztem, jak świadczy napis nad bramą wchodową umieszczony,

Ubodzy mieszkańcy tutajszej osady opowiadali nam niemało fantastycznych powieści o owym Bonarze, który miał być okrutnym rozpustnikiem, ukrywając się przed prawem, jak jastrząb w gnieździe, w swym obronnym zamku.

Lud tutajszy do dziś dnia przechował te podania, jak również niektóre zwyczaje tchnące czasami feudalizmu, ciekawe dla historyka, nas jednak mniej obchodzące.

Zamek, zrabowany przez Szwedów w roku 1655, nie znalazłszy ręki któraby go podźwignęła, nachylił się ku upadkowi. Obecnie, po tylu wiekach, po tylu szczerbach jakie murom zadała samowolnie grabiąca ręka okolicznych mieszkańców, znajdują się jeszcze w takim stanie, że z łatwością możnaby je doprowadzić do mieszkalnego stanu.

Szczerbą w okalającym murze wchodzimy w obszerny zamkowy dziedziniec, na którym obecny właściciel dziki ogród założyć zamysła; ztąd waziutką ścieżką pniemy się do wnętrza starożytnej ruiny. Wchodowa brama w jednej z dotąd zachowanych wieżyc, osnuta siatką pajęczą, prowadzi nas w obręb zamku. Tu chętny dziedzic Podzamcza pokazywał nam z niezmordowaną uprzejmością to ciekawe dolne pokoje i lochy, to śmiało wypro-

wadzone mury, oparte na kraju litłej skały, której jeden bok stanowił ścianę komnaty.

Zamek ten, jak powiedzieliśmy, najwięcej ucierpiał od chciwości spekulacyjnej i grubej niewiedomości okolicznych mieszkańców. Tak np. przeszły właściciel tego miejsca rozkazał rozebrać jeden z najpiękniejszych bastyonów, a z materiału ztąd otrzymanego wystawił owczarnią!... Niestety, przykłady podobnego barbarzyństwa niejednokrotnie u nas napotkać można. Przymiemy chciwość Żydków i mieszkańców okolicznych miast niesumienną ręką ograbiła zamek z wszelkich ozdób sztuki; szczególniejsze pysznie rzeźbione sztufy kamienia ciosowego widzieć jeszcze dziś można w ręku mieszkańców Ogrodzienca i Pilicy. Badanie jednak tych zabytków zostawiamy archeologom, sami zaś powracamy w mury zamku.

Skały tutajsze niemało nas objaśniają o sposobie w jaki utworzyła się owa głośna *Sokola pałka* w Pieskowej Skale. Już na podwórzu zamkowym, wprost rozwalin, widziemy niewielką odosobnioną maczugę, a przy niej bryły skaliste tak odpowiednich kształtów, iż dowodzić nie potrzeba że od skały oderwane zostały. Podobny przykład na większą skalę mamy w południowej części zamku.

Błądząc po tych skałach, już to przy murach zamku, już po okolicznych skupieniach, spotykamy przeróżne rośliny, których bytności w tym miejscu ledwie uwierzyłoby można, a cała ta roślinność tak cudna, tak żywa, daje przytułek mnóstwu ciekawych owadów. Tu spotykaliśmy na każdym kroku niespodzianki, jak ciekawe rośliny: *Cerintho minor*, *Lathyrus sylvaticus*, *Asplenium viride*, *Theucrium botrys* i *Actaë spicata*, której czarne owoce, nieszkodliwe dla ludzi, są tak gwałtowną trucizną dla drobiu; przymiemy ziele jej na ciało przyłożone sprawia podobny jak wezykatorya skutek. Oddzierając miękki kobierzec murawy, spotykamy się z obfitymi gatunkami wielu rzadkich ślimaków. Tutaj to pośród wiecznej wilgoci żyje zatoczony *Helix lapicida* i nieco do niego podobny *Helix faustina*, z jedną ciemniejszą pręgą na grzbiecie. Dalej

na każdym kroku znajdujemy pięknie prążkowanego *Helix hortensis*, obok rzadkiej żółtej odmiany tegoż samego ślimaka. I tu znów rozliczne gatunki *Helix austriaca*, *H. fruticum*, *H. nemoralis* i obfite *Clausilia plicatula*, że już nie wspominam o pospolitym jadalnym ślimaku, *Helix pomaria*.

Jednakże okolica ta pod względem naukowym mało jest poznana, gdyż ogół naszych naturalistów zwrócił więcej swą badawczą uwagę na cudną Ojcowa dolinę.

Ogrodzieniec wraz z Podzamczem obecnie należy do światłego obywatela, pana Kozłowskiego, który z niezmordowaną gorliwością oprowadzał nas po okolicy, pokazując co najciekawsze miejsca. W jednym z okolicznych skupień, zwaném *Mirów*, znajdują się dość obszerne groty, tylko wejście do nich jest tak ciasne, iż broni zupełnie przystępu. Ze szczytu tego skupienia roztacza się przed cudny widok na okolicę. Nieopodal Ogrodzieńca, w *Ryczowie*, na niewielkiej skale znajdują się ślady istniejących niegdyś murów. Mieszkańcy dziwnymi o nich powiadali powieść. Zamek ten miał zbudować głośny i nienawistny okolicy Bonar; atoli bies, zazdrosny jego dostatkom, zamiarowi się temu sprzeciwił, rozwalając rozpoczętą budowę. Na dowód prawdy tej opowieści pokazują w przyległym lesie olbrzymie dąb, pomiędzy konary którego znajduje się wtłoczony znaczny kawał muru, aż tutaj wyrzuconego przy rozwalaniu owego zamku przez biesa.

Okolice Podzamcza przedstawiają mnóstwo szczegółów nader ciekawych. Tak np. na jednej z obszernych piaszczystych powierzchni w stronie północnej zbierają w niezbyt wielkiej obfitości krusz ołowiany, pomieszany z ołowiem metalicznym. Już w roku zeszłym fakt ten zwrócił naszą uwagę; niepogody jednak nie pozwoliły sprawdzić szczegółów.

Tą razą byliśmy nieco szczęśliwsi co do pogody; pomimo jednak szczerzej naszej chęci, nie jesteśmy w stanie kwestyi tej rozstrzygnąć w zadowalniający sposób. Znajdowanie kawałków kruszu, niejednokrotnie przeszło parę łutów ważących, naprowadziłoby na myśl bytności tego metalu w głębi w daleko znaczniejszej obfitości. Zważając jednak wszystkie okoliczności, a mianowicie to iż między znalezionym kruszem spotyka się ołów czysty w postaci soplawatęj, niepodobna powyższego przypuszczenia uważać za słuszne, i nawet prędzej zgodzilibyśmy się na to, iż w miejscu gdzie dziś

piaszczysta rozciąga się łacha, dawniej znajdowała się płuczka ołowiana. Bytność ołowiu rodzimego wtedy zostałaby wytłumaczoną; zapewniał nas bowiem jeden z doświadczonych górników, sztygar kopalni Józef pod Olkuszem, iż niejednokrotnie przy odkrywaniu dawnych robót napotykają się szychty drzewa, które zapalano w celu skruszenia skały. Przy takich więc okolicznościach niedziw iż krusz przechodził w ołów rodzimy stopiony, ten zaś, spadając kroplami, przybięrał kształt soplowaty, w jakim właśnie spotykamy go na łasze pod Ogrodzieńcem. Wspomniawszy nadto iż ziemia ta należała do Bonarów, rodziny górniczej, tudzież na jej niewielką odległość od Olkusza, tłumaczenie to nie zdaje się nam naciągniętem, lubo zdania swego nikomu nie narzucamy; kwestyą tę bowiem rozwiązać mogą tylko akta lub pogłębienia świdrowe, a my ani jednych ani drugich nie posiadaliśmy.

Dobra tutajsze posiadają liczne gatunki wapieni rozmaitej dobroci, wszystkie jednak naieżą do formacyi juraskiej. W łomach leżących na drodze z Podzamcza do Ogrodzieńca znaleźliśmy kilka pięknych skamieniałości, a między innymi *Ammonites triplicatus*. Drugim przepyszny materiałem budowlanym w tych dobrach znajdującym się jest piaskowiec drobnoziarnisty biały; z niego to stawiany jest kościół w Gieble. Są ślady znakomitej dawności tych łomów; do jakiej zaś formacyi tutajszy piaskowiec należy, powiedzieć nieumiem. Z Podzamcza do *Pilicy* prowadzi wyborna droga zwirowa. Nieopodal od miasta ciągną się wzgórza ku zachodowi; z jednego wytryskają trzy strumienie czystej wody, złączone w małe potoki tonące w obszerным stawie, z którego znowu wychodzi inny silniejszy, lecz jeszcze cichy, spokojny strumień. Strumień ten nosi nazwę *Pilicy*, zasilany zaś okolicznymi wodami, pod Przedborzem staje się splawną rzeką, a pod Mniszowem wpada do Wisły.

Pilica, lubo starożytne i niegdyś lepszą dolą cieszące się miasteczko, jak wszystkie prywatne własności podupadła, i biędna przedstawia okropny obraz nieporządku i brudu, niestety, tak zwykły w naszych miasteczkach. Obecnie jednakże, gdy majątek do którego *Pilica* należy przeszedł w ręce zabiegliwego przemysłowca, pana Moes, spodziewać się należy iż dla miasta lepsze dni zaświtają; nie bowiem tak nie wpływa na losy siedzib miejskich, jak rozwój przemysłu fabrycznego. Do-

wiedziona jest niemal rzeczą iż upadek miast w Polsce nie innéj przyczynie jak tylko brakowi przemysłu przypisać należy. Dzięki więc panu Moes, który kapitałami własnymi wznosi pożyteczne dla okolicy zakłady.

Lecz oto, zanim opuścimy brzegi Pilicy, zanim ten wartki strumień ujdzie naszego wzroku, zaprowadzi nas wprzód do nowo wzniesionéj papiérni, która po zupełném rozwinięciu ma stanąć na równi z Jeziorną i Soczewką.

Fabryka o którój mówimy położona jest rzeczywiście nie w samym obrebie miasta, lecz we wsi *Wierbki*, o pięć wiorst od niego odległej. Lubo papiérnia ta nie jest, jak powiedzieliśmy, w pełném rozwinięciu do jakiego ją właściciel doprowadzić zamysła, to jednakże zasługuje już na szczególny opis, zakłady bowiem tego rodzaju nieczęsto w kraju naszym napotkać można. Uprzejmości administracyi tamtejszój winienem kilka szczegółów o nowych ulepszeniach jakie w urządzeniu fabryki na sposób zagraniczny poczyniono.

Niéma może fabrykacyi któraby w zasadach, jak również w wyborze środków i przyrządów, była prostszą od fabrykacyi papiéru. Nawet nie technicy, zwidziwszy fabrykę, powezmą dokładne wyobrażenie o całym procesie wyrabiania tego tak ważnego materiału.

Bez wątpienia każdemu z czytelników jest wiadomém iż papier wyrabiają z gałganów, które mogą być najrozmaitsze; piérwszą więc czynnością jaka w papiérni ma miejsce jest rozsortowanie szmat według gatunku i koloru, od ich gatunku bowiem zależy dobroć wyrabianego papiéru.

W osobnych salach szmaty rozdzielone między robotników (kobiéty i dzieci do téj czynności powszechnie się używają) rozgatunkowują się na 8 odmian, z których każda rozdziela się znów na 32, co czyni razem 256 gatunków papiéru, nie licząc odmian zależących od koloru i cienkości samego wyrobu. Już przy samém sortowaniu większe kawałki bywają rozcinane na kosach pochyło do płaszczyzny stołu przymocowanych, następnie zaś sieką się maszyną ręczną i otrzepują z kurzu i pyłu na osobnej maszynie bardzo prostego składu. Jestto walec pionowy druciany, rozpięty na drewnianym skielecie; w walcu tym umieszczony jest drugi pełny, drewniany, w piérwszym obracać się mogący. Na wewnętrznej powierzchni skieletu i zewnętrznej walca pełnego powbijane są naprzemian gwoździe, tworzące rodzaj palców mijających

się przy obrocie. Szmaty, wpadając między walce z góry, przechodzą przez palce, trzepią się i kurzą, a pył przytém powstający unoszony jest wewnątrz ciągiem powietrza jaki się tworzy przy obrocie wewnętrznego walca. Okurzanie oszczędza wiele czasu i wody potrzebnej do płukania gałganów w holendrach. Rozsortowane, posiekane i wykurzone szmaty idą do prania, które odbywa się w kotłach ogrzewanych za pomocą pary. Kotłów ku temu służących znajduje się dwa. Ztąd szmaty po oplukaniu postępują do tak zwanych *holendrów*. Tutajsze holendry są to poprostu walce, opatrzone nożami i umieszczone poziomo w kadziach, do których woda, ten drugi nieodzowny materiał przy fabrykacyi papiéru, ma przystęp dowolny. Puszczać wyprane szmaty w holendry, gałgany zostają potargane, pokrajane i w jednolitą papkę zmienione. Papka, podobnie, jak i szmaty, ulega myciu, co odbywa się znowu w holendrach, w których jednak noże stalowe zastąpione są drewnianymi. Do wymycia masy niemało przyczynia się wirowy obrót téjże, jaki w skutek ruchu walca w kadzi ma miejsce.

Papka dostatecznie rozrobiona miesza się z podchloranem wapna, (chlórek wapna handlowy; materiał ten w fabryce jest przygotowywany), rozpuszczonym w wodzie, który odbarwia żółtą lub pobrudzoną masę.

Holendrów ze stalowemi nożami, w powyższy, jak opisaliśmy, sposób urządzonych znajduje się dziesięć, holendrów zaś do prania dwa.

Wybielona papka wraca znów do holendrów, gdzie miesza się z klejem, do gotowania którego w obocznej izbie znajdują się drewniane naczynia, ogrzewane parą wodną. Klój wyrabia się z mieszaniny żywicy czyli kalafonii, sody, alunu, krochmalu i wody; w téj więc mieszaninie powstają mydła sodowe i glinkowe, czyniące papier trudno przesiąkliwym.

Farbowanie papiéru odbywa się w kadzi opatrzonej miészadłem, z kąd masa płynna przechodzi na tak zwaną maszynę *bez końca*.

Nie jest moim zamiarem opisywać szczegółowo tę maszynę, śmiało jednak powiedzieć mogę iż jeżeli słuszny dajemy poklask pięknym i prostym pomysłom, to bez wątpienia wynalazcy maszyny bez końca takowy się należy; szczególniej zaś wdzięczni być mu winni drukarze i księgarze, albowiem obniżona obecnie cena papiéru pozwala im ciągnąć znaczniejsze z nakładów korzyści.

Oglądający fabrykę niepomalu zostanie zdziwiony prostém a dowcipném urządzeniem maszyny bez końca; można tu bowiem widzieć jak w jednym końcu leje się płynna masa papierowa, gdy w drugim końcu wychodzi pocięty już papier. Cała więc fabrykacja papieru rzecz można ogranicza się w niewielkim obrębie maszyny, do której dozowania wystarcza dwóch ludzi, a czynność jej odbywa się z całą dokładnością, z całą ścisłością matematyczną.

Przy maszynie w téjże samej sali znajduje się przyrząd do krajania w arkusze, a obok niego waga, na której oznacza się ciężar jednego arkusza, z kąd łatwo jest obliczyć ciężar całej ryzy; papier bowiem w fabryce sprzedaje się hurtowo na wagę.

Motorem poruszającym maszynę i wszystkie przyrządy są koła wodne, zwane *turbinami*. W tém prostém urządzeniu ze szczególną zręcznością umiano korzystać z położenia; woda bowiem z wysoko położonego stawu, zasilanego Pilicą, spada dwiema obszernymi, około 30 stóp długimi rurami, nadającymi ruch kołom. Motor ten posiada siłę 50 koni parowych i jest dostatecznym do uskutecznienia wszelkich wymaganych czynności mechanicznych.

W górnych częściach budynku znajdują się sale do sortowania i glansowania papieru przeznaczone. Do wykonywania tych czynności używa się dzieci i kobiet.

Z téj okoliczności zwrócić winienem uwagę, iż użycie krajowych robotników do wykonywania wszelkich robót w fabryce policzyć należy za zasługę p. Moes. Zagraniczni bowiem rękodzielnicy, posiadający w kraju naszym fabryki, z niechęcią zwykle używają obcych im mową i nieuzdatnionych jeszcze robotników, i przenoszą nad takowych cudzoziemców, którzy, z bogaciwszy się na naszym chlebie, nietylko że nie poczuwają się do jakiegokolwiek wdzięczności, lecz wróciwszy do swego kraju, zanoszą tam o nas fałszywe i niegodne pojęcia. Jakkolwiek przenoszenie zagranicznego już uzdatnionego robotnika, nad krajowców dopiero nauki wymagających, jest poniekąd usprawiedliwioném, to jednak dodać należy iż swojski robotnik, wymagający z początku nieco mozołu, prędko i z pojętnością wyucza się swego rzemiosła i mniej kosztuje aniżeli sprowadzeni i drogo płatni robotnicy cudzoziemscy.

Papiernia pilecka, jak już wzmiankowaliśmy, nie jest w pełnym rozwoju, gdyż właściciel ma

zamiar postawić ją na stopie pierwszych w kraju. W tym celu liczba holendrów ma być podwojoną, i druga maszyna bez końca dodaną.

Cieszymy się prawdziwie z zamiaru p. Moes'a, gdyż tylko konkurencya wpłynąć może na dobroć i cenę wyrobu, a papier u nas jest w nader lichych gatunkach i okropnie drogi.

Oprócz fabryki papieru, p. Moes ma zamiar urządzić nieopodal od miasta hartownią, z tym samym rozwojem co i fabryki przez niego w Chorzelu posiadane. Widzieliśmy już wznoszące się mury tego zakładu, który, jako bliżej miasta położony, silniej téż zapewne wpłynie na jego losy.

Nie żałując trudów, po skalistej drodze wstępujemy na szczyt opoki, dźwigającej rozwaliny starego zamczyska: to *Smoleń*.

Wdarłszy się na zrab starego muru, uzbrojeni polową lunetą, spoglądamy po okolicy. Cóż za cudowny przed nami rozwija się krajobraz! Tuszérokie niwy, pokryte różnobarwną szatą, nęcą złotego plonu nadzieją; owdzie błyszczący krzyż wychylił się z poza drzew otaczających sielską osadę; tam szare skały najeżyły grzbiety; na jednych zasiadł ciemny bór, na drugich zamki, co już rozwalinami tylko bieleją z daleka; wszystko to ujęte w wyniosłe ramy mgłą osnutych Karpat, między którymi Babia góra śnieżne swe czoło wychyla.

Stare rozwaliny smoleńskiego zamku, jak również i siwe jego skały, odziały swą nagość kobiercem świeżego życia, pełnego wdzięków i różnobarwności. Śmiało powiedzieć mogę iż większa część krzewów krajowych na tutajszych pagórkach zarasta. Modrzew, świerk, jodła i sosna cieniują się na przemiany z krzewami i drzewem liściastém, co na widzu przywykłym do jednostajnych sosnowych lasów Mazowsza, nader silne czyni wrażenie. Stare złomy skał pokrywa miękki kobierzec mchów, uwzorowany to rozlicznymi gatunkami paproci, to kwieciami żywszej barwy.

Na każdym kroku towarzyszą nam: skromny goździk (*Dianthus armeria*) lub modry kwiat przetaicznika (*Veronica longifolia*). Przy ścieżkach wijących się po wzgórzach spotykasz: *Geranium phenum* i wiele innych, jak: *Salvia verticillata*, *Mentha silvestris*, *Campanula liliifolia*, *Melampyrum vulgatum*, *Achillea nobilis*, *Polypodium vulgare* i t. p.

Wśród zwalisk zamku godną jest zwidzenia nadzwyczaj głęboka w skale wykuta studnia, trud olbrzymi naszych praojców. Obecnie przemysł, umiejący ze wszystkiego korzystać, studnię tę za-

stosował do fabrykacyi szrutu, który przez przedsięwzięcie prywatnego wyrabiany jest w dość znacznej ilości.

W okolicznych skupieniach znajduje się pieczara zwana *Zégar*, w której, według podania, dwa razy do roku, w dzień Bożego Ciała i w mytyczną wigilią ś. Jana, zégar północ ogłasza.

Przedsionek groty stanowi dziupla w kształcie litery *A*, kopuła zaś nader wysoko wznosi się. W środku groty pokazują dół, który ma być zawaloną studnią, ukrywającą ów tajemniczy zégar.

W zachodnio-północnej stronie Smolenia, na drodze ku Pilicy, znaleźliśmy sposobność widzieć łomy wapienia. Tutajszy wapień po wypaleniu wydaje wapno tak rażącej białości, iż bez wątpienia jest on niemal czystym chemicznie.

Wapień o którym mowa nie śmiem twierdzić do jakiej należy formacyi; jest pionowo uławicony, biały, z odłamem żółtawym, od części gliniastych pochodzącym, miękki jak opoka krédowa, do której jest nadzwyczaj podobny co do swego mechanicznego złozenia. Skamieniałości zawiera bardzo mało, lubo nie jest ich zupełnie pozbawionym. Wapień ten, jak powiedzieliśmy, wypalony wydaje wapno białe, tłuste, łatwo lasujące się. Gdyby za granicą posiadano podobny gatunek kamienia, wnetby się potworzyły towarzystwa celem jego eksploatacyi i zamiany na wyborne wapno: u nas nikt nawet o tém nie pomyśli, a tak spoczywają dary natury, oczekując lepszych czasów.

Adam Wiślicki.

JAN SEBASTYAN BACH.

PRZEZ

Józefa Sikorskiego.

Niéma w dziejach sztuki nazwiska któreby przez tyle pokoleń, w tylu krajach i z taką siłą świetniało jak Bachów nazwisko; więc niéma nazwiska któreby przypominało tylu ludzi pełnych zasługi. Szczegóły ich zasług mało komu są dziś wiadome, ani opowiadać ich tutaj przystoi, jako należących do historyi muzyki drobiazgowo rozglądanej, specjalnym nawet ludziom niebardzo znaniej. Tém mniej mogłoby to obchodzić ogółczytelników, dla których dosyć nadmienić że Bachów było kilkunastu, wszystko bardzo muzyce zasłużonych. Kilku z nich nawet znakomity wpływ wywarło na bieg rzeczy muzycznych w pewnym czasie i miejscu. Że jednak i to jeszcze nie daje prawa do rozgłośnej po wszystkie czasy i miejsca sławy, dowodem zapomnienie jakimubycy uległo było nazwisko Bachów, gdyby nie jeden z nich, o którym mówić mamy. Dziś, gdy się nazwisko to wspomina bez imienia chrzestnego, niéma wątpliwości nawet o kim mowa, bo świat wie o jednym tylko Bachu. Na horyzoncie muzycznym istotnie gwiazda to piérwszej wielkości; ona głównie wpłynęła na zaszczytne całego rodu odznaczenie, tak samo jak

blask słoneczny obdarza promieniejącém światłem inne ciała niebieskie. Słońcem owém w rodzinie Bachów, można powiedzieć w nierównie liczniejszej rodzinie muzyków ośmnastego wieku, jest Jan Sebastyan Bach, którego tu przelotny żywot ziemski i nigdy niezapomniane zasługi dla sztuki zamierzając opowiedzieć, mamy na względzie głuchy odgłos jakim brzmi jego sława u nas, by go wydać cokolwiek. Nietyle więc w specyjalne szczegóły wchodzić będziemy, ile streszczać się w ogólniki, w krótkie zamknięte orzeczenia, z którychby każdy mógł sobie wynikłość ich odgadnąć.

Powszechne jest mniemanie że każdy wielki człowiek od siebie samego datuje. Zastanawiając się jednak nad okolicznościami które się na jego wielkość złożyły, dojrzyć łatwo ich wpływ przeważny na taki a nie inny wielkości rozwój, dający jej taką a nie inną oprawę, w której tylko samej postać we właściwém pokazuje się świetle. Do takichto okoliczności należy głównie ród człowieka i jego wychowanie, a nadto duchowa epoki dążność, wedle której i sam stan towarzyski się składa. To też niedarmo świat zwykł się pytać o pochodzenie



Jan Sebastyan Bach.

człowieka, o szczegóły jego osobistego żywota o barwę tego życia społecznego, w którym człowiek pojedynczy przeważnie zajął stanowisko.

Pierwszy z Bachów o którym świat wie cokolwiek, w skutek poszukiwań nad rodem wielkiego Sebastjana, był Veit czyli Wit Bach, piekarz w Presburgu w Węgrzech. Być może iż zwyczajem, niegdyś bardzo upowszechnionym, którego i dziś, lubo mniej często, napotkać można przykłady, zawód ojca przechodził w rodzinie Bachów na syna, i że, jak później muzyka, tak pierwój piekarstwo głównym w tej rodzinie było zatrudnieniem, jakby przeznaczeniem ich było żywić ludzi to materyalnym, to duchowym chlebem. Według zwyczaju przed trzema wiekami w rodzinach mieszczańskich wziętego, mogło ztąd pójść nazwisko rodowe. Podanie rodzinne przechowało jego odmianę Bach, co także zdaje się wskazywać na niemieckie pochodzenie rodziny tej, w Węgrzech osiadłej¹⁾. Z Węgrów, zajętych w połowie przez Turków, a w połowie rozdzielanymi klótniami możnych, wygoniły Wita Bacha prześladowania religijne, które z osiedleniem się w Presburgu jezuitów w 1561 r. po częły ścigać protestantów i rozpędzały pracowitych mieszczan w strony jednowiercami ich licznie zapełnione. Wit osiadł w Turynii blisko Gotha, a przyniósł z sobą prócz swego rzemiosła i narzędzie muzyczne cytrę zwane²⁾, na którym wygrywać lubił i umiał.

Z tych kilku biograficznych rysów, dotyczących wiadomego przodka rodziny Bachów, widać wytrwałość w niedawno zapewne przyjętym protestantyzmie i zamiłowanie w muzyce. Oba te rysy jakby się im w spuściźnie dostawały, nacechowały życie wszystkich Bachów aż do naszych czasów i mogą być przyjęte jako zasadnicze do poglądu na całą rodzinę. W życiu i pracach najwydatniejszego jej członka widziemy je do wysokięj potęgi podniesione. Dodawszy do nich skromny mieszczański obyczaj, prostotę stanu i wieku, barwę charakteru niemieckiego, lubiącego się w szperania z ciekawością, pracowitość niezmordowaną, a wszystko owiane genialnością, będziemy mieli przybliżone pojęcie tego, czém być musiał Sebastjan Bach dla muzyki ówczesnej i niewielkiego jeszcze wtedy

¹⁾ *Backen* niemieckie znaczy piec, wypiekać; prowincjonalizm dziś jeszcze nazywa piekarza: *Back*, zamiast poprawniejszego *Bäcker*.

²⁾ Narzędzie w rodzaju (dzisiajszej) gitary, o czterech lub sześciu strunach metalowych, tak dawniej upowszechnione, jak dziś flecik lub harmonijka.

publicznego koła, w którym jako artysta był znany i ceniony.

Pomijamy tu mniej ciekawe dla nas dzieje rodziny całej, by się coprędzej do Sebastjana dostać. Wspomniemy jednak tę okoliczność, że dwaj synowie Wita Bacha, Hans i Jan¹⁾, dzielniemi byli muzykami, chociaż każdy z nich miał własne rzemiosło z którego żył. Starszy Hans, równie jak i jego ojciec, był piekarzem, i od niego to poszła linia Bachów, której każdy członek był muzykiem, najczęściej znakomitym, a której czwarte pokolenie Sebastjan uświetnił w tak niezrównany sposób, że o innych, jakkolwiek zasłużonych, prawie zapomniano.

Jan Sebastjan Bach urodził się w Eisenach, w marcu 1685 r., z ojca Jana Ambrożego, przydwornego i miejskiego muzyka, który w niespełna dzieśięć lat potęm umarł. Małego Sebastjana przyjął do siebie o czternaście lat starszy od niego brat Jan Krzysztof, organista pod Wejmarem. Tu dopiero rozwinęła się skłonność Sebastjana do muzyki; wspierana nauką przez brata mu udzielaną, wiodła go szybko przez mechaniczne trudności i do walki z trudnościami innego rodzaju pobudzała. Jak pragnął i umiał je pokonywać, niech następująca uczy opowieść, tém godniejsza uwagi, że się odnosi do lat bardzo jeszcze młodych, a więc wskazuje na powołanie stanowczo zbudzone. Gdy już Sebastjan wszelkie przegrał i przepracował ćwiczenia jakie mu brat poddawał i na pamięć je umiał, zapragnął jeszcze poznać się z księgą pełną dzieł najznakomitszych ówczesnych organistów, (znaczyło to tyle co mistrzów w muzyce). Brat uporczywie mu ję odmawiał, i chował księgę do szafy drzwiami w kratę zamykanęj. Młody Sebastjan tajemnie ją ztamtąd nocą przez kratę wydobywał i przez jakie pół roku przepisywał sobie przy świetle księżyca, oczywiście nie zawsze równo jasnym, nigdy podobno wygodnym. Dosyć szczęśliwy by tajemne swe przedsięwzięcie przywieść do końca, nie umiał się widać ukryć z jego owocem; pozbawiony tak pracowicie sformowanego odpisu, odzyskał go dopiero po śmierci twardego brata, która niedługo nastąpiła. Nie jeden ten szczegół dowodzi wytrwałości Sebastjana w pracy: obfituje w nie całe jego życie. Ale młodość szczególniej poświęceń wymagała, by osiérociały

¹⁾ Dwa te imiona, Hans i Jan, zdają się do jednęj osoby należeć. Jednak badacze dziejów rodziny Bachów wyraźnie ich odróżniają i ostrzegają by jednego za drugiego niebrać.

powtórnie młodzieniec i zostawiony własnym siłom, znalazłszy szczupłe utrzymanie jako dyszkantysta przy gimnazjum w Lüneburgu, mógł pracować sam nad własnym w muzyce kształceniem się, oraz odbywać niejednokrotnie dosyć odległe podróże, dla słyszenia słynnych organistów i zgromadzeń muzycznych.

Po trzechletnim w Lüneburgu pobycie dostał się do książęco-wejmarskiego dworu jako skrzypek, ale go zdolności i umiejętność zrobiły wkrótce organistą w Arnstadt. Odtąd datuje głównie oddanie się jego organom i kompozycyi. Dla posunięcia się naukowego w swym zawodzie, opuścił Arnstadt na kwartał, udając się pieszo, niby wędrowny czeladnik, do Lubeki, by tam korzystać z wykładu słynnego organisty i kompozytora Burlelude ¹⁾. Wkrótce po powrocie do Arnstadt przeniósł się do Mühlhausen (1707), a w rok potem do Wejmaru, jako organista nadworny. Tamto mistrzostwo jego w zażywaniu najpotężniejszego z narzędzi muzycznych uznane zostało, a niedługo potem i genialność w kompozycyi, gdy mianowany koncertmistrzem dworu wejmarskiego, z obowiązku musiał dostarczać utworów oryginalnych, głównie kościelnych. Tam także wielu wykształcił uczniów, z których najznakomitszym sam nazywał Voglera, mającego z czasem w osobie swój połączyć dwa główne w ówczesnych niemieckich miastach urzędy, burmistrza i organisty. Wsławionego już Bacha ciągniono tu i owdzie na odpowiednie posady, choć daremnie. Z Wejmaru byłby się oddalił, ale dla jednej tylko posady organisty w Hamburgu, o którą się sam nawet ubiegał, tak dla znakomitości miejsca, jako i przepysznych organów. Posady tej jednak nie dostał, mimo złożonych tamże dowodów mistrzostwa, które wszystkich współubiegających się zawstydzily. Jedyne też to było niepowodzenie Bacha w tym rodzaju. Wynagradzały mu je uwielbienia i hołdy wszystkich którzy jego wyższość pojmowali, równie jak zaszczytne tytuły i względy, któremi go koronowane osoby obdarzały. Został nakoniec w 1723 r. kantorem i dyrektorem przy wsławionej przez siebie szkole Tomasza (Thomas-Schule) w Lipsku, a w skutek wyrosłych ztąd z dworem stosunków, mianowany nadwornym króla polskiego i elektora saskiego kompozyto-

1) Z tej to podróży Bacha do Lubeki zrobiono legendę napechaną różnemi poetycznościami, jak to się zwykle dzieje z drobnym faktem rozwałkowanym na szeroką opowieść. Znaleźć ją można przełożoną na język polski w 22 tomie wizerunków naukowych krakowskich.

rem w 1736 r. Obowiązki swoje i tytuły zatrzymał aż do śmierci, która w połowie roku 1750 nastąpiła. Na jakie pół roku piérwój zagasło już było światło słoneczne dla oczu biédnego kantora; a lubo na kilka dni przed zgonem ujrzał je znowu, jakby cudem, był to tylko znak ostatnich prac natury w jego organizmie i przepowiednią że wkrótce pójdzie wiekuiste światło oglądać. Tyle co do osobistych losów Bacha.

Charakter jego pięknie się przedstawia ze wszystkich szczegółów jego życia, których tu mnóstwo godnych wspomnienia opuściłem. Pracowitość, porządek, zgodność, religijność, sprawiedliwość w ocenianiu zasług rywali lub hołdujących innemu kierunkowi w sztuce, skromność, przy pojmowaniu swój wartości, miłość rodzinna rozsądna, oto przymioty Bacha jako człowieka i artysty.

Znaczenie różnych w jego życiu wypadków, wpływ ich na artystyczne jego działanie, wieleby zyskały na zgłębieniu natury społeczeństwa ówczesnego. Że to szeroki musiałby być rysunek, a miejsce tu nań za szczupłe, więc za ledwie sobie pozwolić można kilku słów, kilku ogólników ściągających się wprost do stanu Bacha i jego sztuki. Bez tego, postać człowieka byłaby samotną, oderwaną od życia, albo co gorsza może, domysliwością czytelnika w położenie muzyków dzisiajsze i w dzisiajsze pojęcia muzyczne wtłoczoną.

Jak w życiu politycznym krajów za czasów Bacha panowała cisza zakrawająca na nieruchomość i obojętność w porównaniu z czynnością dzisiajszą w między-narodowych stosunkach, tak i w życiu prywatnym i w życiu artystycznym przeważała cisza mieszczńska, upodobanie w prostych przyjemnościach życia rodzinnego, zadowolenie z uznania swój działalności w małym kółku znajomych i powinowatych zdobytego. Szczególniej też w Niemczech, zdawna na małe państewka rozprysniętych, więc do inicjatywy politycznej mniej zdolnych i bierne raczej niż czynne wiodących życie, spokój, domatorstwo, główną były cechą wszelkiego działania. Czynność umysłowa ograniczała się na marzeniu i szperaniu. Raczej niż tworzyć fakta, wolano się zastanawiać nad temi które już minęły, a mianowicie nad reformacją religijną, ostatnim wielkim faktem, który wprawdzie całą Europę poruszył, ale głównie Niemcami wstrząsnął tak potężnie, że wywrócone stosunki i kierunki myśli potrzebowaly długiego czasu i spokoju, by się ułożyć do nowój równowagi w myśli i w życiu. W tym spokoju wypoczywał świat nieja-

ko po dawniejszej burzy i zbierał siły do wytrwania w nowej, mającej się nań zwalić niedługo. Ale jeszcze za czasów Bacha pół wieku brakowało, zanim pisma myślicieli i nowatorów francuzkich jęły się wciskać do reszty Europy. Wszystko spało na wulkanie; każdy spokojny i zadowolony był z dnia na dzień; pewny że nic trybu zwykłego nie zmieni, nie widział coby go zmienić mogło.

To samo było z literaturą i sztukami, a szczególnie z muzyką, która, jako z religijności wyrosła i jeszcze wówczas głównie się na niej wspierająca, nawet igraszkę obłóczyła w powagę, a przez złe zrozumienie powagi, sztuczność wciskała w to nawet, co tylko prostotą oddychać było powinno. Myślący i szperający kontrapunkt wszystkie muzyki niemieckiej sfery objął w swe chłodne uściski; narzędziom muzycznym za wzór do naśladowania w stylu narzucił organy, instrument arcy-religijny, a chorał zrobił głównym zadaniem kompozytora. ¹⁾ Wprawdzie światowość zdobywała sobie tu i owdzie nowe maniery i ozdoby; uważane to jednak było jako wyjątek, nie jako zwyczaj, jako przypadłość, nie jako rodzaj. Taki był duch sztuki ówczesnej. Zmuszał on artystów do prac długoletnich i twardych, co przy niezręczności metody i zagmatwaniu teorii przeprowadzającej właśnie wówczas muzykę z tonacyj kościelnych do dzisiejszego systemu, opóźniało bardzo epokę twórczości, ale plody jej tém dojrzalszemi czyniło. To téż kto wówczas chciał zasłużyć na miano artysty, musiał być w każdej gałęzi muzykalności biegły, a umiejętność jego częstoby dzisiaj na kilku artystów starczyła.

Położenie osobiste muzyków wynikało z układu towarzyskiego. Kto był biegłym w swym zawodzie, znajdował chleb w domu i nie potrzebował włóczyć się po świecie, jak dzisiejsi koczujący wirtuozi. Ztąd podróże artystyczne do rzadkości należały; a gdy je kto przedsiębrał, to chyba dla poznania się z jakim znakomitym członkiem tegoż samego zawodu i dla korzystania od niego, albo téż wyjątkowemi okolicznościami wyruszony ze swego gniazda, ze

¹⁾ Tak dalece to jest prawdą, że nawet w gronie artystów chwile zabawy muzycznej poświęcone chętnie chorałowi oddawano. Ulubioną była wówczas improwizacja harmoniczna, to jest zbiorowa. Każdy z mających udział w zabawie, miał się pieśnią jakiej, najczęściej chorału, i wszyscy razem śpiewali, naginając swe harmonie i rytmy do chorału jako *tenor* (głos niezmienny w niczym) przyjętego. Przypuszczając nawet niezmierną kontrapunktyczną wprawę, łatwo odgadnąć się musiało. W najszcześniejszym zdarzeniu nie znakomitego z tego powstać nie mogło.

swych okolic; a wtenczas, byle dał dowód dzielności w swoim powołaniu, to i znalazł miejsce przy jakim dworze panującego lub magnackim, przy jakim kościele lub szkole jakiej miejskiej albo książęcej. Podobać się swemu protektorowi i jego dworzanom, zachwycić improwizacją na organach gminę na nabożeństwo zebraną, zadziwić kolegów w sztuce mistrzostwem w kontrapunkcie, oto szczęście za jakim się ubiegał ówczesny artysta muzyczny. Był materyalny, skromny zwykle, wystarczał skromnym potrzebom, i zostawało jeszcze na jakiś wybryk od czasu do czasu, dla uprzyjemnienia życia. Takie jest stanowisko z którego zapatrywać się należy ogólnie na położenie muzyków ówczesnych, a więc i Bacha.

By pojąć czemu imię tego mistrza miało już za życia jego tyle rozgłosu i coraz go więcej nabiera, trzeba go badać w każdej oddzielnej gałęzi zasługi muzycznej. Wtedy się pokaże ile w każdej był wyższym, nie tylko nad współczesnych, ale i nad dzisiejszych, którzy mu jeszcze pod niektórymi względami sprostać dotąd niezdolali. Nie można tu w obszernie wchodzić wywody, choć się przez to przyjdzie pozbawić niejednego dowodu genialności Bacha, utrudnić sobie niezmiernie przedstawienie go we właściwym świetle, pokazanie go tak wielkim, jak był w istocie. Robiąc co można, zacznijmy od zasługi wirtuoza na klawikordzie, które to narzędzie wiele mu winno.

Za czasów Bacha dziecinny to był instrument, w porównaniu z tém czém jest dzisiaj, a przecież ówczesny świat muzykalny często go używał. Ubóstwo jego pochodziło z wielu przyczyn. Najprzód z prostoty kompozycji na klawikord układanych. Kilka tańców, z których wziętsze bywały: *Allemande*, *Sarabanda*, *Miusetta* i *Giga*, oto już wszystko czego od zwykłego gracza żądano. *Toccaty*, preludye, fantazyowanie w postaci waryacji, a nawet fugi pełne sztuczności, wszystko na dany temat, stanowiły wydział znakomitego artysty. Pod mechanicznym względem wszystko to bywało łatwe i tak proste najczęściej, że lewa ręka grającego na klawikordzie zajmowała się tylko pojedynczemi tonami basu, niekiedy oktawami je wzmacniając. Duch gry ówczesnych wirtuozów skłaniał się do wyszukanego cieniowania i ozdobności, polegającej na drobiazgowym wyminiaturowaniu śpiewu, rozplywającego się ustawicznie w różne pasażyki i figurki. Melodya więc wyglądała jak poobwieszana cackami, mającemi dowodzić jej smaku i żywotno-

ści. Szczególniej Francuzi odznaczali się tą wykwiśniętą maniernością, którą dzisiaj przeładowaniem by nazwano. Bach zrobił tu krok pierwszy, uproszczając zbytek, lubo i u niego jeszcze nieco zarazy pozostało w drobniejszych pracach, jak niektóre taneczne albo i większe, umyślnie styl francuzki naśladowujące. Ale Bach posiadał tak niewypowiedziany wdzięk i elegancją wykonania, mimo przeważającej powagi, że wszystkich współczesnych pod tym względem przewyższał, a więcej jeszcze łatwością z jaką niesłychane i niewidziane do jego czasów trudności mechaniczne pokonywał. Obie te strony gry swojej winien był metodzie własnej dotknięcia i ułożenia palców. Kto zna fortepian, wie ile to oboje jest ważnym. Pierwsze wpływa na styl (by nie mówić o piękności tonu, najmniej zależnego od fabrykanta, piękności którą wielu samemu tylko dotknięciu przypisuje); a znów dobry układ palców pomaga do łatwego pokonania trudności mechanicznych i już prawie połowę ich usuwa. Pod tym względem dosyć powiedzieć że do czasów Bacha trzech tylko używano palców, obywając się ile można bez innych. On dopiero wszystkich pięciu zapotrzebował do swoich kompozycji, obmyślił stosowne ćwiczenia i położył podstawę dzisiejszej gry na fortepianie co do strony mechanicznej, a osobistą pracą i wykonaniem rzeczy dotąd niepodobnych dowiódł dobroci swój metody. Ile zaś wpływał na ducha narzędzi i wzrost kompozycji na nie przeznaczonych, domyśleć się można. Dodajmy że fabryczną stronę instrumentu także poprawił, ¹⁾ co więcej, nawet do wzrostu ogólnej muzyki się przyłożył samem strojeniem swego klawikordu, wypędzając na zawsze z muzyki tak zwanego wilka i sprowadzając wszelkie tonacje instrumentu do temperatury równobrzmiennej ²⁾, co stanowczo zdjęło z muzyki przymus jaki ją gniótł dotąd w używaniu modulacji, czyli w wyborze i zmianie stanowiska z jakiego muzyka zpatruje się na swój przedmiot. Było to więc niejako podbiciem nowych dla muzyki światów, i o drugie tyle przynajmniej pomnożyło środki określania uczuć, ile ich dotąd posiadała ze względu na harmonię. Gdyby tu można opowiedzieć zasadę według której strojono klawi-

kordy i organy do czasów Bacha, wykazać ciasnotę w której kurczyła się muzyka dlatego tylko, że teoretycy nieśmieli wyjść za obręb liczbą wskazany, (kanonika, matematyczna część muzyki) i porównać z tém przemianę jaką Bach za pomocą temperatury równobrzmiennej wprowadził do muzyki, toby się łatwo dostrzegło że w piersi tego człowieka było więcej czucia niż go mógł pomieścić w ówczesnej sztuce, i że party koniecznością wypowiedzenia co pragnął, musiał wejść na drogę którą już liczba iść nie może, opuścić naukę, by się do sztuki dostać, realność idealnością rozprzestrzenić.

Jakkolwiek niezmiernie były zasługi Bacha dla klawikordu, a więc i dzisiejszego fortepianu ¹⁾, przyznać jednak należy że go potomni przeszli w sztuce traktowania tego narzędzia muzycznego i doprowadzili ją do tak wysokiego stopnia, iż tylko śledzenie historycznego jej rozwoju okazać zdoła że to istotnie Bachowi, a nie komu innemu, wdzięczność się należy za pierwsze i do dziś dnia utrzymane nowości. Wielkim był Bach wirtuozem na klawikordzie, ale dzisiejsi wyglądają przy nim jak olbrzymy, jakkolwiek jest pewien rodzaj trudności, z właściwego ducha kompozycji wynikający, w którym go nikt nie przejdzie, rodzaj mało dziś uprawiany w wykonaniu, mniej jeszcze w kompozycji ²⁾. Inaczej z organami. Co tam Bach wprowadził, pozostało w sercu, co na nich zrobić umiał, pozostało niedoścignionem, czy to jako styl i fantazyja, czy jako wykonanie uważać je będziemy. Trafność metody w układzie palców (aplikatura), wyrobienie ich niezmiernie i wszechstronne, jakie sobie zdobył z żelazną wytrwałością, pracując w duchu owój metody, niezrównana zręczność nóg w użyciu pedału, są to mechaniczne środki, któremi przewyższył wszystkich poprzednich organistów, a jak widać z jego dzieł, i późniejszym tak trudne zostawił zadanie, że go podobno nikt w zupełności nie rozwiązał. Wszystko to znalazło się w Bachu nie gwoli sobie samemu, ale gwoli muzyce, której duch zolbrzymiały potrzebował środków nie lada by uwidomionym został. Wzniosłość organowego stylu Bacha, bogactwo myśli, niezwykły a logiczny ich rozwój, pełność brzmienia wielogłosowością

¹⁾ Silbermann, pierwszy fabrykant fortepianów nieco do dzisiejszych podobnych, z powodu tożsamości metody wydobywania tonu, szedł za radami Bacha w urządzeniu niektórych szczegółów.

²⁾ O *wilku* w muzyce i temperaturze równobrzmiennej objaśni bliżej mój „Doręcznik muzyczny.”

¹⁾ Najlepiej przekonać się o tém można z dzieła jednego z synów Bacha, Emanuela, pod tytułem: Versuch über die wahre Art das Clavier zu spielen. Druga jego edycja, którą mam przed sobą, jest berlińska 1759 r.

²⁾ Rodzaj polifoniczny czyli wielogłosowy, którego wyłącznie Bach używał.

wywołana, pojęcie ważności każdego głosu w przedstawieniu ogólnego chóru ludzkości organami się tłumaczącej, ztąd śmiało i niepodległe prowadzenie każdego, stosowność do miejsca, zrozumienie instrumentu i wyczerpięcie jego zasobów niezmiernych, a w tém wszystkiém ciągle nowość i świeżość, ciągle siła i prawda, oto cechy duchowej strony działalności Bacha jako organisty. Przez nią i dla niej wszystko rozwinął lub stworzył, co dotąd za wielkość organistowską jest uważane, a czego się jął, doprowadził tak daleko, że już po nim nic do zrobienia nie zostało. Registratura np. organów ¹⁾, dotąd jako ustalona doświadczeniem uważana i spisana przez dawniejszych organistów, jako szemat wiernie zastosowany i zawsze jednostajnie obowiązujący, stała się u Bacha przemianą wedle celu i ducha kompozycji, i rzecz można instrumentacją z estetycznego poglądu na sztukę wynikającą. W tém już samém jest dowód szerokiego i artystycznego poglądu Bacha na organy i muzykę, a nadto pewność że nie tylko wewnętrzną kompozycji stronę pielęgnował, ale umiał téż i ocenić niezmierny wpływ materialnego brzmienia na słuchacza. Różnorodność tego brzmienia widocznie miała u niego wielkie znaczenie, kiedy osobistą pracą przyswoił sobie kilka narzędzi smyczkowych, a widząc brak instrumentów i możność stworzenia nowych muzyce tłumaczy, wynalazł parę narzędzi, które, jakkolwiek tylko odmianą były już znanych, przekonywają o potrzebie ducha wynalazcy wypowiedzania myśli niebywałych dotąd, niebywałemi środkami ²⁾.

Bach wszystkiego osobiście dotykał, ciągle myślał o rozszerzeniu granic w których zakresie rozwijały się dotąd czynności muzyczne, i wszędzie dał dowód wynalazczego ducha, tém trafniej dążącego, że mniej na rozumie, więcej na natchnieniu się wspierał. To osobiste dotyknięcie wszystkiego, ta walka z formą by ją dla objęcia treści wykształcić, same już zabierały Bachowi wiele czasu, którego każda czynność człowieka potrzebuje tém więcej, im ma być dokładniejsza, im radykalniejszą

¹⁾ Regestra organów, są to niejako pojedyncze instrumenta, z których się jeden zbiorowy instrument składa. Kombinacja zręczna w zażyciu tych a nie innych w danym razie, jest jedną z ważniejszych czynności organisty.

²⁾ Narzędzia te wyszły z użycia. Jedno z nich, *viola pomposa*, była to altówka większego rozmiaru i o 5 strunach; drugie było złożeniem lutni i klawikordu, miało zwińnięte i metalowe struny. Zastosowaniem klawiatury chciał pewnie Bach ułatwić stwarzanie efektu lubego, jaki miała także zaniedbana już dzisiaj *amorka* (*viola d'amore*).

przemianę zaprowadza w istniejącem dotąd. Jakaż więc musiała być pracowitość Bacha, gdy oprócz przeprowadzenia swych myśli artystycznych, sprostał jeszcze licznym obowiązkom swego położenia urzędowego i towarzyskiego. Komponować, uczyć, dyrygować, grać osobiście u dworu i w kościołach, odbywać skrupulatne rewizye organów, uczynić zadosyć wymaganiom towarzyskim które nań spadły z powodu mistrzostwa jego i rozgłosu imienia, a nadto pielęgnować jeszcze sztukę w domowém zaciszu, zaznajamiać się z ludźmi i ich dziełami, niezaniebierać przytém licznój rodziny troskliwie wychowywanój, było to tyle, że tylko namiętność do sztuki, genialnością poparta, wszystko ułatwiać mogła, na wszystko sił ciała i duszy dostarczyć.

Czém był Bach dla współczesnych jako wirtuoz na klawikordzie i organach, jako człowiek urzędowy o wysoko cenionym artyzmie i zdaniu, jako człowiek prywatny, jako nauczyciel wreszcie, stracone dla nas zostało poniekąd, o ile żywym było czynem, niedającym się uwiecznić, by téż i w najwierniejszém podaniu. Podanie bowiem ducha rzeczy, nie jój ciało, przechować może, z tego ducha tylko o żywotności działania można robić wnioski. Zaiste, duch czynności Bacha musiał być olbrzymi, skoro tyle czasu przetrwał, wyrabiając człowiekowi nigdy już niemający przebrzmieć rozgłos, rzecz dziwna, rozgłos coraz silniejszy, w miarę jak coraz głębiej w krainę przeszłości ucieka chwila, w której śmiertelna jego powłoka w proch się rozsypała. Był czas że nietyle się zajmowano Bachem jak dzisiaj, nietyle ile na to zasłużył. Powody tego łatwe bardzo do zrozumienia. Chociaż Bach żył w czasie słabnącego już uczucia religijnego, jednak dosyć ono jeszcze mocne było, aby wszystkie główne kierunki ludzkich czynności zmusić do służenia sobie. Stan taki rzeczy, najdłużej się przechowujący w Niemczech protestanckich, podbił sobie muzykę tameczną tak dalece, że za ledwie się ważyła zrobić krok jakiś zewnątrz kościoła. To téż najznakomitsze ówczesnych muzyków dzieła, a mianowicie i Bacha, w ogóle religijne były, a przynajmniej nacechowane powagą w jaką religijność wszystko oblekała. Gdy z czasem coraz większe oświecenie w zapale religijnym, przedświłt nowszej filozofii, większy ku światowości stworzył popęd, wówczas lekka muzyka włoska i zbliżona do niej pod wielą względami francuzka, w samychże Niemczech górę nad muzyką niemiecką wzięła na czas niejaki. Dzieła Bacha zaniedbane zostały, (choć

nigdy zapomniane zupełnie) jakby Niemcy zaparli się swego charakteru i sposobu widzenia, szukając tego, co nietylko im samym dogodniejsze i lepsze się zdawało, a co na chwilę było ogólną wszystkich ludów dążnością: zjednoczenia się myślą, mimo rozdziału narodowości. Więc i wówczas błąd długo trwać niemógł nigdzie, a gdy narody powoli do samoistności wracać poczęły, dostrzegły jak daleko zeszły z drogi najnaturalniejszej dla nich. By na nią znów trafić, wrócono do tego co było niegdyś niezaprzeczoną wynikłością domowego żywota. Niemcy rzucili się z podwójną gorliwością do Bacha, jako najgodniejszego w dziale muzyki, i pociągnęli za sobą świat cały głębszych myślicieli wszystkich narodów. Bo wszędzie uznawano tę wielką prawdę, że geniusz wspólną wszystkich jest własnością i reprezentantem jakiejś idei do ludzkości całej należąc. Im się więc więcej ludzie rozpatrują w genialnym człowieku, tym więcej go pojmują i kochają. Dziś więc sypią się coraz nowe wydania, a coraz kompletniejsze, dzieł mistrza, dla którego cześć już obecna równa się tej prawie, jaką starożytność dla swoich półbogów przechowywała.

Głównie w Niemczech górująca do czasów Bacha muzyka niemiecka tym się różniła od włoskiej i zapatrując się na nią francuzkiej, że gdy te na melodyjnym opierały się żywiole, głos ludzki brały za punkt oparcia, a więc głównie na wdzięk, lekkość i uczucie się oglądały, to tamta żywioł harmoniczny coraz kunsztowniej wykształcała sobie, sadziła się na głębokość i siłę; żywotności zaś tym więcej w sobie miała niż tamte. Właściwie mówiąc tu i tam grzeszono; tu wpadano w oschłość i sztuczność, tam w bladeść i wycieńczenie. A że dla rozrosłych pojęć i wybujałych uczuć obojga żywiołów muzyki było potrzeba, więc się stało powoli że Włosi od Niemców, a ci od Włochów, uczyć się zaczęli. Zmieszanie dwóch tych rodzajów, uprzedzające splot późniejszy idei, dokonane pierwój w sztuce niż w polityce, było dla muzyki błogosławieństwem. Żaden z narodów owych nie zrzekł się tego do czego miał naturalny popęd, ale też i wyłączność dawniejsza zginęła. Dziś nietylko szanują we Włoszech muzykę instrumentalną, ale ją i naśladować umieją, choć to pole głównie muzyki niemieckiej. W Niemczech znów muzyka włoska dzisiaj daleko szerzej rozwinięta niż ojczy- sta, a sami kompozytorowie niemieccy są radzi ile razy się im uda naśladować włoskich, w pracach szczególnie dla śpiewu obmyślonych. Pierwszym

tu był Hasse, ¹⁾ który długo we Włoszech przebywając, pokochał się w tamecznym stylu i maniere, a tak wybornie odtwarzać je umiał, że oczarowani Włosi sami go nazywali *il caro Sassone*. Do takiego poddania się obcemu widzeniu Bach nie był zdolny; jako geniusz samoistny podbił je raczej i przyswoił sobie, a pierwszym był między Niemcami który oba żywioły połączyć pragnął, co mu się do pewnego stopnia przewybornie udało. Jakie walki sam z sobą zwodził, jak się ciągle wyrabiał, znać w jego kompozycjach. A jak powziętą myśl długo pielęgnował, zanim z cechą pewnej dojrzałości na świat ją wypuścił, dowód w tym, że dopiero około 40 roku swego życia coś wydał, choć dawno sławy rozległej biegłego wirtuoza i wielkiego kompozytora używał. Nauka dla nowożytnych, co to ledwie z pieluch wyjęci, ledwie z paska spuszczeni, piszą duby smalone i uchodzić za kompozytorów nieudaną pretensją mają.

Sposób w jaki Bach owe dwa muzyki rodzaje jednoczyć lubił, sposób w najznakomitszych jego dziełach widoczny, polega na tym, że melodia przyjęta przezeń jako temat, jasno i stanowczo przedstawiona, ciągle mu jest zasadą. Ztąd cecha jedności, którą za najważniejszy, ostateczny przymiot dzieła sztuki uważał. Rozwijając się coraz szerzej, w liczne kontrapunktyczne kombinacje myśl główną wikłając, dawał jej tym towarzystwo z niej samej zrodzone i tworzące harmonią, która nigdy nie była szeregiem prostych akordów, jak inni robili, a Włosi szczególnie, ale składem kilku warstw melodyjnych współcześnie i samoistnie, a jednak względnie na siebie, się układających. Taką też została istotna cecha muzyki niemieckiej. Bach ją postawił od razu na tak szczytném stanowisku, że już po nim nikt nad główną rzeczą pracować nie potrzebował, nie mógł nawet, o ile metodzie Bacha wiernym zostać pragnął. Swoboda niezachwiana tych różnych warstw melodyjnych czyli *głosów*, śmiałość nieobrażająca nigdy przepisów dobrego smaku, niewyczerpana rozmaitość

¹⁾ Urodzony 1696 roku pod Hamburgiem, zmarły 1783 r. w Wenecyi, znaczną część swego życia spędził we Włoszech. Za czasów Bacha głośny już był i w Dreźnie, a potem w Londynie, gdzie przedstawieniem swój opery *Artaserse* przyłożył się wiele do pokonania partyi Haendla. Dzieła jego spłonęły w Dreźnie, podczas bombardowania tego miasta przez Prusaków. Podając go tutaj jako pierwszego z Niemców oddającego się muzyce włoskiej, niemożna przemilczeć jego pierwszego (po ojcu organście) w Niemczech jeszcze nauczyciela, Kajsera, którego melodyjne opery silnie na kierunek smaku Hasse'go, tenorzysty wówczas, wpłynęły, jak to sam do końca życia wyznawał.

wynikająca z prawdy, której prowadzenie myśli swój powierzał, szlachetność i poprawność techniki, głębokość i siła, artyzm z uczucia i wiedzy płynący razem, oto przymioty dzieł Bacha. Niemięć poprzedników, a stać się od razu wzorowym, niezrównanym dotąd w pewnym względzie, mógł tylko geniusz. Geniusz Bacha nie był z rodzaju tych pochopnych do prędkiego rzucania na papier myśli, do których kompozytor nigdy już nie zajrzy, ani z rodzaju tych szczęśliwych, którzy od pierwszego zbudzenia się w nich zmysłu do sztuki na utorowaną już przez wielu poprzedników wstępują drogą, stając się od razu posiadaczami wielkiego majątku. Z Bachem było inaczej. Przekonany o niedostateczności ówczesnych muzyki środków do wypowiedzenia głębi myśli ludzkiej, widząc jednostronne ich zażywanie, a więc względną słabość skutku, postanowił zjednoczyć władze swój sztuki w taki sposób, by jedna drugiej nie szkodziła, i owszém popierała ją ile można. By tak niemi rozporządzać, musiał je najprzód ovladnąć, owoić się z każdą, jakby wrodzoną sobie i wykształconą zupełnie. Więc pilnie studyował włoskich kompozytorów, których żywość uczucia, płynność i wdzięk podziwiał. Dla wzorów formy i szczegółów rytmu szukał Francuzów, których żywość charakteru i bystry rozum najwięcej się tej stronie sztuki poświęcały. Z domowym swoim żywiołem stanowiącą walkę stoczyć musiał, przerobić go niemal, dając mu nową teoretyczną zasadę, której nigdzie wprawdzie nie spisał wyrazami (syn jego Emanuel i inni uczniowie dopięro ją światu odkryli), ale ją przeprowadził w swych dziełach. Zasada ta tchnie niezwykłą śmiałością, w porównaniu do zawilego splątania reguł i wyjątków dawniejszych, z których się tak śmiało natrzęsa, że dzisiajsza nawet teoria nie śmie jęj prawie jeszcze inaczej do swych nabytków wcielić, jak pod kategorią wyjątku. Nie były to zuchwalstwa takiego późniój Beethovena, goniącego za wymarzonym ideałem jemu samemu tylko widomym, odziewającym się w kaprys albo niepodobieństwo; nie było to głębokie uczucie Mozarta, który mu się cały oddając, zadziwiał niezrównaną prawdą w wyrażaniu uczuć ludzkim pojęciu dostępnych. U Bacha było to silne przekonanie, z trafnego widzenia wysnute, wytrwałą pracą zrealizowane. A jednak błędem było mniemać że w dziełach Bacha rozum, wypracowanie góruje. Zaiste, widać je wszędzie, ale jako owoc szlachetnej o doskonałość troskliwości,

jako dowód baczości artysty na siebie, któremu i prawdziwej myśli, i silnej woli, i wytrwałej pracy trzeba było, by to co stworzył własnymi siłami mistrzowskim było. Bach był jak ów pionier-kolonista, który ściągniętymi z różnych stron pracownikami zaludniając osadę nowozakładaną, musi różne pierwiastki do wspólnego ponaginać celu, rząd obmyśleć jeden dla wszystkich, stosownie do swych widoków, i dzielną dłonią stér prowadzić. W nowym muzycznym świecie, który Bach stworzył, tyle okazał ducha wynalazczego i organizacyjnego niejako, że już dla tego samego znakomitym mógłby być nazwany. Te jednak przymioty przeszły nadto w artyzm szlachetny, wzorowy. Co chciał, umiał powiedzieć czuciem, jak tego dowodzą jego melodye, i rozumem, jak to widać z opracowania.

U nas, za ledwie raz na lat kilka słyszających jakiś utwór Bacha, i to tylko na fortepian, a rzadziej i dla wybrańszych na organy, u nas nie można nabrać pojęcia o jego wielkości. Tysiące jego szlachetnych melodyj długo jeszcze dla nas zostaną nieznane, równie jak potęga religijnych jego kantat. Jakież szlachetny wypełniać je musi liryzm, jaka prawda uczucia, gdy mu nasunęły melodye i dziś jeszcze nowe, po stu latach istnienia, i dziś jeszcze oryginalne, po tysiącu kompozytorach! Znamy może jego koncerta w stylu francuzkim, oddychającym lekkością i zalotnością, słyszeliśmy może parę fug, zajęci osobliwością zjawiska i niezdolni go zrozumieć, jako nieoswojeni z rodzajem, niewprawni do słuchania muzyki mówiącej każdą nutą, których tysiące się sypie; jakże nam Bacha zrozumieć? Przodkowie nasi, współcześni Bacha, także niewiele więcej go znali, mimo licznych z Saksonią, a raczej z dworem saskim, stosunków. Za królem i dworzanami jego przybywali wprawdzie i muzycy z Saksonii do Polski, ale zastawali już muzykę włoską osiedloną u nas na piękne; smak dworu ją także protegował, gdyby tego jęj wdzięk, łatwość i europejski rozgłos potrzebowały, a muzycy królewscy, czasowo z panem swoim w Warszawie przebywający i w jego usługach dosyć mający do czynienia, nie mogli nam wszczepić smaku do muzyki Bacha, ledwie co zrodzonej, że tak powiem, i niedającej się pokochać za pierwszém posłyszeniem. Znakomitsi tylko dworzanie i ministrowie, którzy, choć Niemcy rodem, zajmowali urzędy rplitęj polskiej, a otaczali się żywiołem swym rodzinnym, by się samotni nie czuli, to oso-

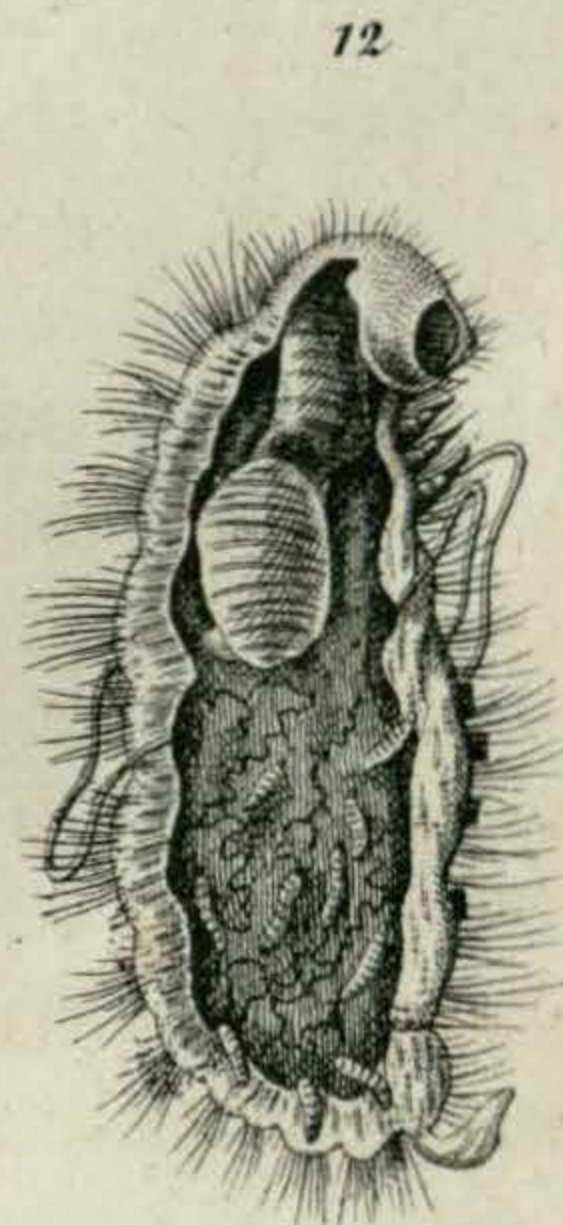
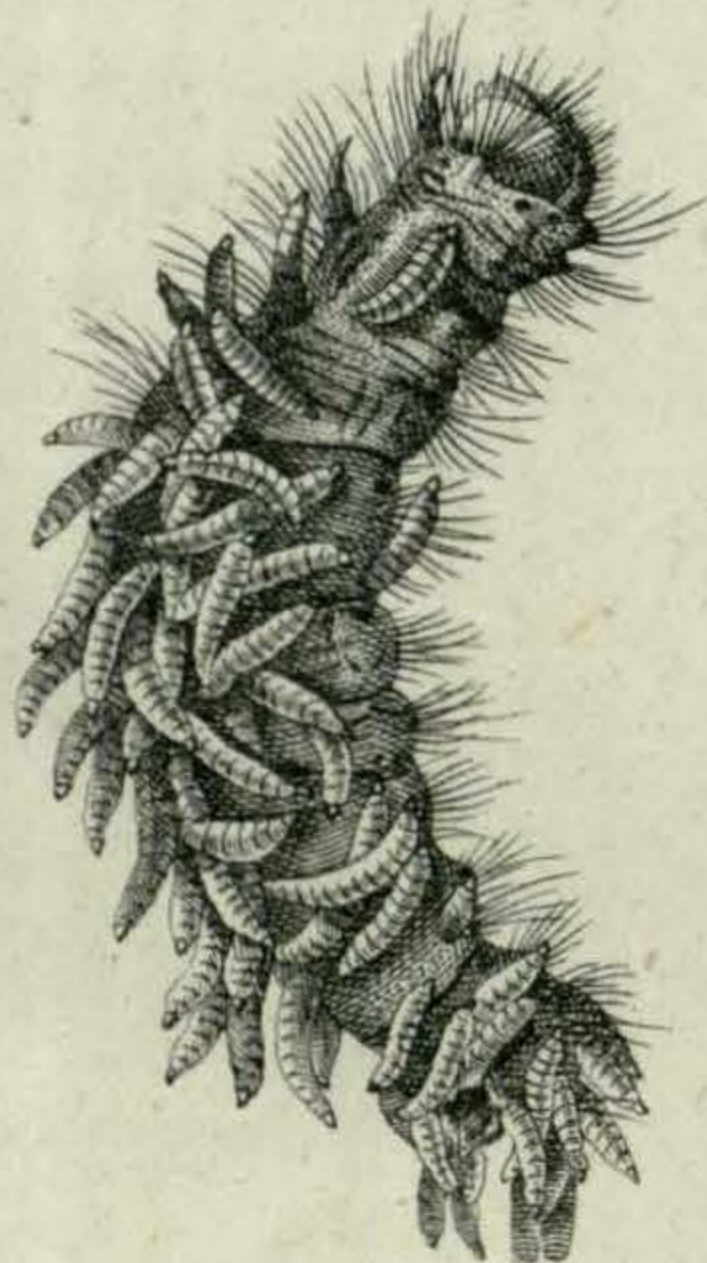
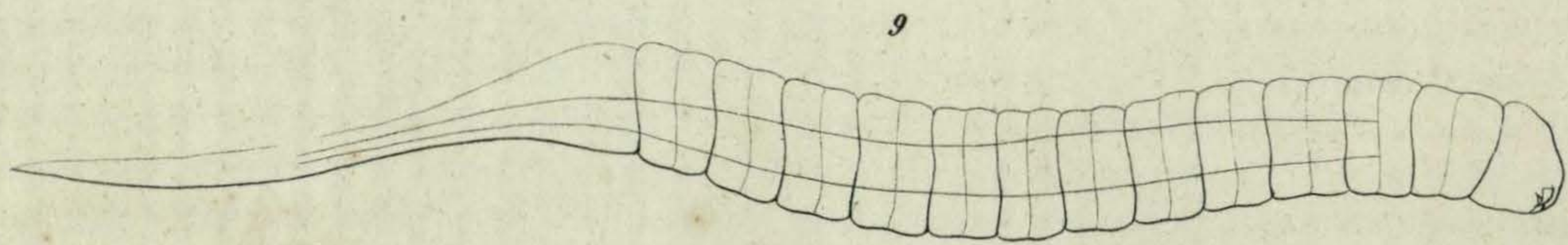
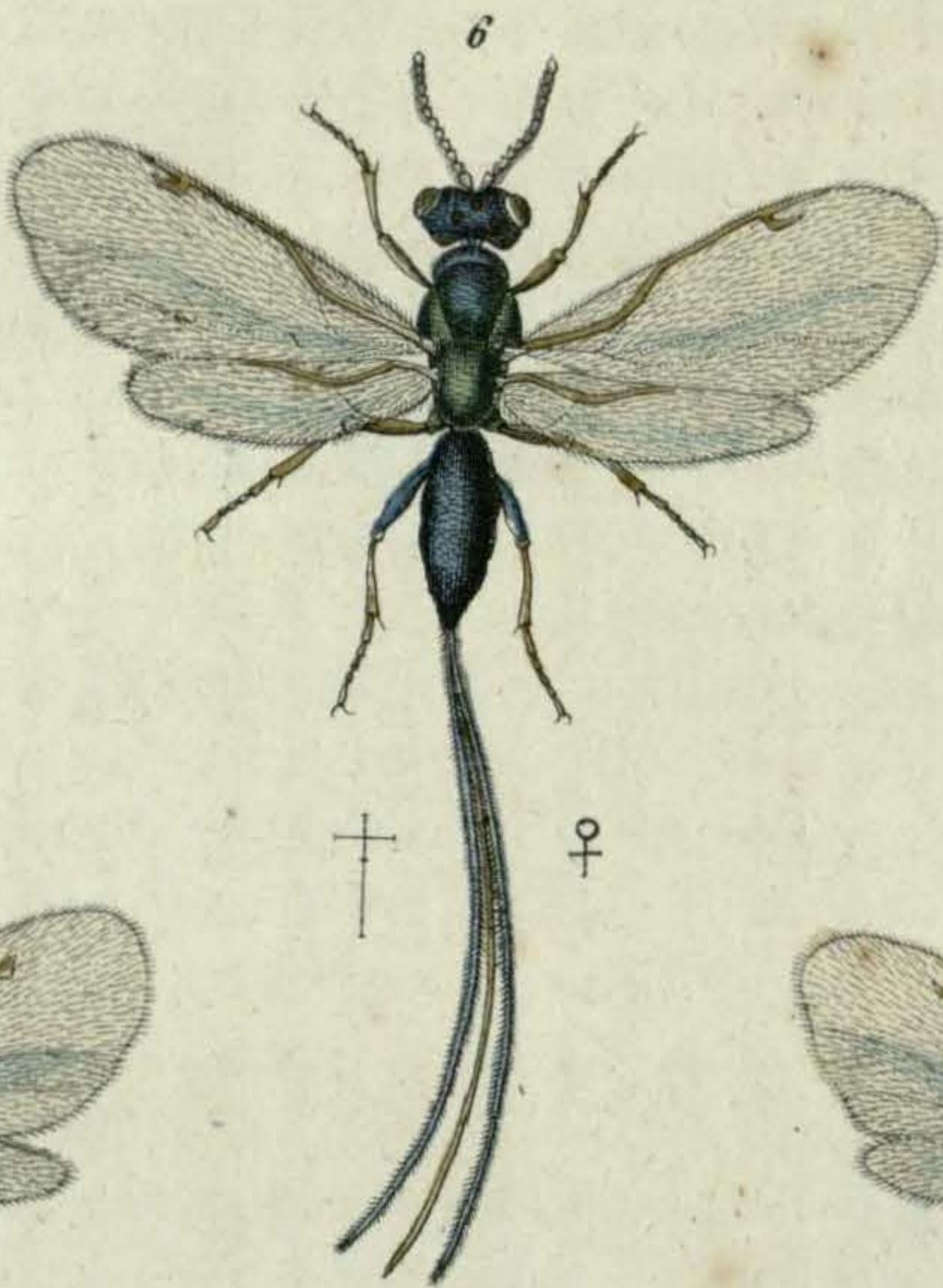
bistém zamilowaniem, to wpływem przydwornych swych muzyków, ile tyle miejsca zrobili u nas muzyce niemieckiej. Dlatego, gdzie się składy starych muzykaliów przechowały u nas (co już dziś rzadko się trafia), spotkać można dzieła Sebastjana Bacha, najwięcej przepisywaniem jeszcze się upowszechniające wówczas, i te tylko które do muzyki salonowej należą, a na klawikord są ułożone, niekiedy z towarzyszeniem innych narzędzi muzycznych¹⁾. Więc to tylko drobna cząstka tego co Bach zrobił, i zapewne najmniej dająca zrozumieć jego odrębność i wielkość. Sam Sebastjan nigdy w Polsce nie był, więc osobistym u nas wpływem drogi dziełom swoim nie torował, zostawiając to licznym uczniom, z których wprawdzie podobno jeden tylko Kirnberger przez dziesięć lat około w Polsce przebywał, ale którzy wszyscy ducha i metodę Bacha po całej Europie północnej i środkowej roznosząc, i Polsce poznać je dali. Opowiadane wyżej losy wpływu Bacha na muzykalność powszechną działały naturalnie i u nas, żyjących zawsze popędem z zagranicy narzuconym. Bach zatem, mało nam znany, zupełnie przez jakie pół wieku zaniedbany był u nas, a położenie dzisiejsze rzeczy muzycznych takie jest u nas, że niewieleśmy go sobie jeszcze przypomnieli. Inie prędzej do tego przyjdzie, aż będziemy mieli dobrze uorganizowaną instrukcyę muzyczno-naukową, której obowiązkiem będzie cały sztuki ogrom i wszystkie jej rodzaje pielegnować. A i wtenczas Bach będzie ostatni podobno, który zrozumiany i uczczony zostanie, jako najgłębszy i najwięcej potrzebujący przygotowania by był pojęty. Popularnym nigdy i nigdzie nie będzie; zbyt głęboki jest, i co tu ważniejsze, pierwszy w swoim rodzaju.

Pobieżny ten szkic, w którym co chwila kurczyć się należało, co krok unikać szczegółów i na ogólnikach przestawać, dopełnijmy wymienieniem dzieł wielkiego człowieka który nas zajmuje. Może tym sposobem ktoś dojrzy kilkanaście foliałów, w których każda nuta, choć uczuciem stworzona, uprawniona jeszcze została w swym bycie wiedzą, długoletnią uznana rozważą, i przyzna że te foliały dowodzą co najmniej niestrudzonej pracowitości. Możnaż ją przypuścić, nie wierząc w przekonanie

1) Być może że tu gdzie między nami tuła się jaki ulamek dzieł Sebastjana Bacha, jaka okruszyna, za którąby Niemcy Bóg wie co dali... słów i rozumowań. Każde nowe dzieło tego mistrza wydanie należy u nich do narodowych spraw niemal, i każde się pyszni gdy mu się uda nieznaną listek do wienca wielkiej chwały Bacha dołożyć.

człowieka i zamilowanie jego w rzeczy, a więc w wyższość, która sama tylko oboje stworzyć zdoła?

Kościelne kompozycje stanowią największą część dzieł Bacha; samych kantat, motetów, mszy, oratoryów istnieje dwieście kilkadziesiąt, a wszystko większego rozmiaru, na sola, chóry (niekiedy podwójne) i z towarzyszeniem większej lub mniejszej orkiestry. Najpiękniejsza jest muzyka pasyjna, podług ewangelisty Mateusza, i jedna ze mszy katolickich, zwana powszechnie: *die hohe Messe*. Duch pobożności i powagi tak przenikał całą kompozytora istotę, że nawet jego kantaty okolicznościowe, wprawdzie już z tekstu barwę biorące, brzmią poważnie i głęboko kroją. Nie mogło więc być inaczej z duetami na organy ułożonemi, jak mnogie preludye, fugi, tercety, fantazyje, przegrywki z tematów choralnych, sonety, organowe tria i także koncerty, wszystko naczelne w tym rodzaju. Na fortepian, a raczej klawikord, solo pozostało po Bachu także mnóstwo preludyj, fug, tak zwanych inwencyj, suitów, waryacyj i t. p. w różnym stylu, różnego rozmiaru, na jeden, dwa i więcej głosów. Najgłośniejszym w swoim czasie było dzieło: utemperowany klawikord (*das wohl temperirte Klavier*), w dwóch częściach zawierające czterdzieści ośm preludyj i fug, ze wszystkich tonów miękkich i twardych (major i minor), i drugie: sztuka fugi (*Kunst der Fuge*), ostatnie dzieło mistrza, w większej części przez niego samego i jego synów na miedzi wyryte, ale dopiero w siedm lat po jego śmierci wydane. Z towarzyszeniem innych narzędzi, jak skrzypce, flet i orkiestra, popisał Bach na klawikord sonety, tria, koncerty, a między temi ostatniemi dwa na dwa i tyleż na trzy fortepiany, jeden nawet na cztery, zawsze z towarzyszeniem kwartetu smyczkowego. Ostatni ten koncert był przerobieniem kompozycyi słynnego wówczas skrzypka Vivaldego, ułożony na dwoje skrzypiec, tyleż altówek, wiolonczelę i kontrabas (na taki komplet nikt dziś nie układa). W tém nawet aranżowaniu zachował Bach swoją samoistność, zmieniając to i owo, a zawsze na korzyść dzieła i myśli. Na skrzypce zostawił sześć solów tak ułożonych, że żadnej przegrywki nie potrzebują, i tyleż tak samo urządzonych na wiolonczelę. Na większą liczbę instrumentów, bez klawikordu, ułożył: jeden koncert skrzypcowy i jeden podwójny koncert na dwoje skrzypiec; pięć duetów; kilka tryj na flet, skrzypce i bas; kwartet na obój, skrzypce, altówkę



i basetle; symfonią na jedenastcie instrumentów i trzy uwertur. Dalej.....

Ale na co wymieniać więcej, kiedy i tego stanie by się zdziwić ogromem pracy, zrozumieć łatwość z jaką mu płynęła, i to szczęśliwe usposobienie artystyczne, które go w ciągłej utrzymując pracy, nigdy mu téj saméj myśli, tego samego sposobu prowadzenia nie podsunęło. Ale niż to wszystko godniejszy podziwu sam duch prac jego. Utwory Bacha przejęły od tego ducha cechę jego nieśmiertelności. Cecha to prawej sztuki, w której Bach na zawsze zostanie jednym z największych mistrzów i najgodniejszych wzorów.

W licznej Sebastjana Bacha rodzinie muzykalność dodatnia nie byłaby dziwném zjawiskiem. Lecz jeszcze więcej znalazło się w kilku z jego synów, którzy dlatego tylko mało są znani, że zbyt wielkiego ojca są dziećmi. Jeden z nich, Friedemann, genialnością dorównał mu bez mała, ale jego

chmurne duszy usposobienie, nieporządne życie, gwałtowność niepowściągliwa, przeszkodziły mu do zajęcia takiego towarzyskiego położenia, w którymby mógł dojrzyć na czynnego i silnego wpływowym artystę. Inny syn Sebastjana, Filip Emanuel, zupełnie z tamym tworzył przeciwieństwo; to też był ukochany, czczony i wzięty powszechnie. On to postawił najpiękniejszy swemu ojcu pomnik w wydaném przez siebie dziele „Versuch über die wahre Art Klavier zu spielen,” składając w niém nietylko dowód mechanicznych przysług Sebastjana dla ówczesnego klawikordu, ale i treść estetycznych jego o sztuce w ogóle, a w szczególności o muzyce, pojęć. Przykłady do objaśnienia téj teoryi przez Emanuela ułożone, same już godne mu miejsce w rzędzie artystów zapewniają, gdyby nie było tyle innych dowodów że część geniuszu niezrównanego ojca dostała się synowi w spuściznie.

GĄSIENICZNIKI.

(ICHNEUMONIDES).

Bez wątpienia żaden rząd owadów nie przedstawia tak wiele ważnych żyjątek, i pod względem naukowym i w życiu codzienném, jak rząd błonkoskrzydłych (Hymenoptera) czyli owadów pszczołowatych. Na dowód przytoczymy czytelnikowi pszczoły, osy, szerszenie, mrówki, których sposób życia i zajęcia zwróciły na siebie oddawna uwagę ludzi nauki i czynu.

Obecnie mamy zamiar obeznać czytelników Księgi Świata z jednym poddziałem téj klasy, oddawna będącym przedmiotem głębokich badań naukowych, które rzuciły wiele światła na wzajemny stosunek zwierząt między sobą: chcemy mówić o gąsienicznikach (Schlupfwespen; Ichneumonides).

Najcharakterystyczniejszą cechą tych żyjątek jest ich sposób rozmnażania się. Polega on na tém, że samica składa swoje jaja na ciałach innych żyjątek, a wylęgła gąsienica jako pasożyt utrzymuje się na nich i najczęściej ich śmierci staje się przyczyną.

Ta właściwość gąsieniczników spowodowała ich nazwę; starożytni bowiem Grecy utrzymywali że

zwierzątko zwane Ichneumonem, dostając się do otwartéj paszczy krokodyla i żyjąc w jego ciele, zabijało ten szkodliwy potwór.

Wszakże ten sposób rozmnażania się gąsieniczników nie może służyć za stanowczą cechę odróżniającą je od innych owadów pszczołowatych, gdyż i pomiędzy temi ostatnimi trafiają się pojedyncze przykłady życia pasożytnego.

Naukowo odróżniają się gąsieniczniki od innych pszczołowatych budową swoich nóg i skrzydeł. Mają ony pomiędzy biodrem i udem jeszcze dwa małe, połączone ze sobą stawy, skrzydła zaś opatrzone pojedynczą obwódka i żyłkami.

Samice téj rodziny są opatrzone kolcem, umieszczonym w tylnej części ciała, służącym do składania jaj. Ten bywa rozmaitéj wielkości, niekiedy dość długi i jak ogonek widoczny, niekiedy krótki i zupełnie ukryty. Długość ta zależy od grubości pokrycia żyjątek na których swoje jaja składają; w ogólności zauważyć można że te rodzaje w których kolec jest niewidzialnym, składają jaja

bezpośrednio na żyjątkach na których mają się wykształcać.

Gąsienice gąsienicznika są bardzo prostej budowy, walcowate, przy obu końcach zwężone, bardzo miękkie, beznożne, koloru blado-żółtawego. Ciało ich składa się z 12 pierścieni i głowy; są bardzo małe i prawie wszystkie należą do żyjatek pyłkowatej wielkości; oprzędzają się przed zamienieniem w poczwarkę, w której można dopatrzeć wszystkie części dojrzałego zwierzęcia.

Ponieważ rozmnażanie się tych żyjatek wiele osobliwości przedstawia, należy więc dać o nim dokładniejsze wyobrażenie.

Skoro samica gąsienicznika zapłodnioną została, wtenczas cała jej uwaga zwróconą jest na wynalezienie dogodnego miejsca do złożenia jaj. Wprawdzie niektóre rodzaje, jak np. *Tryphon*, noszą przez długi czas swoje jaja przyczepione na szypułce do tylnej części ciała, a później dopiero je porzucają; w ogóle jednak składają ony swój płód od razu na miejscu gdzie mają się rozwinąć młode.

Sposób składania tych jaj jest trojaki: albo przy mocowują je do skóry żyjotka obranego na mieszkanie, albo lekko tylko przyklęją je do téjże lub w pobliżności tego żyjotka składają, albo nakoniec zapuszczają je w jego ciało, za pomocą przeznaczonego ku temu kolca.

Trudno niezmiernie widzieć jak się ten ważny akt odbywa, i nieraz, chcąc go dostrzedz, cały dzień trzeba przesiedzieć w jednym miejscu. Przy składaniu jaj najzabawniejsze widowisko przedstawia gatunek *Aphidius*, który robi zakłucia na mszycy. Z pełną tajemniczości miną obchodzi on ją do koła, jak gdyby miał do czynienia z bardzo niebezpiecznym nieprzyjacielem. Następnie przysiąda mocno na nogach, tylną część ciała przesuwając pomiędzy niemi, tak iż niekiedy poza głowę wystaje, i w téj postawie oczekuje dogodnej chwili do uderzenia na nieprzyjaciela. Niekiedy, zwłaszcza jeżeli mszyca znajduje się z nim na jednym poziomie, tylna część ciała bywa pionowo wysuniętą. Innym znowu razem, jeżeli uznaje za właściwe zrobić zasadzkę, przegina się na fałdzie liścia lub téż na jego krawędzi, tak iż przyjmuje postać litery S. Następnie wysuwa naprzód kolec i w mgnieniu oka ukłuwa nim jedną mszycę. Raniona wpada w przestach, kręci tyłem do góry, na dół, na prawo i lewo, ocięra się tylnemi łapkami, chcąc zrzucić obce ciało; ale po kilku dopiero sekundach gąsienicznik wyciąga kolec i przyjmuje zno-

wu dawne obserwacyjne stanowisko, ażeby po upływie jakiej pół godziny znieść drugie jaje podobnym sposobem. Jednakże niekiedy manewr się nie udaje, i często można widzieć że gąsienicznik, przestraszony nagłym poruszeniem mszycy, cofa się, albo nawet zostaje przez nią z liścia zepchniętym.

Gatunki gąsienicznika *zwodziciela* (*pimpla persuasoria*) robią zakłucia w poczwarki, i widać że są obdarzone bardzo silnym powonieniem, gdyż nieraz zauważano iż zwodziciel siadł na liściu i przekłuł go, a po odwróceniu przekonano się że na przeciwnej jego stronie znajdowała się oprzędnięta poczwarka.

Rodzaj *Torysmus* prześladuje galasówkę. Ma on kolec tak długi, żeby nim mógł przekłuć całą część miękką żołądki.

Rodzaj *Pteromalus*, podobnie jak gąsienicznik zwodziciel, robi zakłucia tylko w poczwarki; różni się jednak od tego ostatniego powolnością z jaką tę czynność odbywa. Jego zakłucia tak są małe, że je za ledwie za pomocą podwójnej soczewki dojrzeć można.

Inne rodzaje gąsieniczników robią zakłucia w wykształcone już owady, a niektóre nawet do wody zanurzają się za żyjącymi tamże gąsienicami.

Gąsieniczniki jedne żyją na powierzchni innych owadów, drugie wykształcają się w ich wnętrzu. Owady, w miarę tego jak przez pierwsze lub drugie są dotknięte, inaczej się zachowują.

Jeżeli owad na swój powierzchni utrzymuje gąsienicznika, z razu trudno jest na nim dopatrzeć jakiegokolwiek zmiany; jest tylko nieco ociężalszym, i na powierzchni ciała ma niewyraźne plamki. Pomimo pasożytów które go zamieszkują, pospolicie jest on jeszcze w stanie oprząść się, a niekiedy nawet dojść całkowitego wykształcenia. Jednakże rzadko się to przytrafia, a przynajmniej w takim razie będzie on karłowatym, pospolicie zaś ginie w stanie poczwarki. Gąsienice które bardzo młodo zostały ukłute nawet i tego stanu nie dosięgają.

Ale daleko gorzej rzecz się ma z owadami wewnątrz zamieszkałymi przez gąsieniczniki. Gąsienica tego owadu pływa zrazu wolno w ich tkance wodnistej i żywi się sokami jakie tam znajduje. Następnie tworzy się naokoło niej rodzaj woreczka, podobnie jak u wielu robaków wewnętrznych.

W tym stanie gąsienica musi poprzestawać na tych pokarmach, jakie przez ścianę woreczka przesią-

knąć mogą; pomimo to coraz bardziej wzrasta, wypełnia worek i nakoniec go rozrywa.

Teraz następuje czas oprzędu, który może mieć miejsce albo wewnątrz, albo zewnątrz zamieszkałej gąsienicy; pospolicie jednak ta ostatnia zdycha przed nadejściem téj pory. Przemiana gąsienicy na poczwarkę trwa bardzo krótko; po jój skutecznieniu, liszka, jeżeli oprzędła się wewnątrz owadu na którym żyła, wywierca się na jego powierzchnię. Niektóre gatunki, jak powiedzieliśmy, czynią to przed oprzędem, a przemiany dopełniają na powierzchni owadu, który w takim razie dłużej żyć może i niekiedy nawet wraz ze swoim pasożytem otoczyć się gęstą pajęczyną.

Przemiany jakim podlegają gąsieniczniki od wylęgnięcia się aż do oprzędu nie są jeszcze dokładnie poznane. Wiadomém jest tylko że po większej części mają w młodości ogonek, który następnie znika, i że u tych które przed oprzędem na wierzch się wydostają, wkrótce potem pokazują się silne żuwaczki. Czastrwania tych przemian jest bardzo krótki, wynosi od 4 — 6 tygodni, niektóre jednak indywidua prezimowują w stanie gąsienicy.

Liczba pasożytów utrzymujących się na jedném żyjątku jest bardzo rozmaita: niekiedy jeden tylko na niém zamieszkuje, niekiedy do 100 naliczyć ich można. Często się zdarza że jeden owad od wielu różnych gatunków jest napastowany. Czasem znowu widzieć można że gąsienica, która już długi czas żyła na jakimś owadzie, nawzajem zostaje zakłutą i jajem obdarzoną od innego gąsienicznika, tak iż wtedy pasożyt żyje na pasożycie.

Prace i zachowanie się gąsieniczników po wyjściu z poczwarki są zupełnie nieznanne; widziano tylko że skoro wyjdzie z oprzędu, układa równo skrzydła, czyści macki przednimi nogami i następnie szybko ulatuje, zwłaszcza przy ciepłym powietrzu, które czyni go ruchliwszym. Co dalej robi, niewiadomo, bo lot ma tak szybki, że niepodobna go dogonić i pierwsze jego czynności obserwować. Nawet o pokarmie którego w stanie dojrzałym używa nic pewnego powiedzieć nie można. Pospolicie przy pięknej pogodzie roją się ony na kwiatach roślin baldaszkowych, ale co jedzą, co piją, tego nikt jeszcze nie widział.

Niekiedy gąsieniczniki zmuszone są zimować, a to prawdopodobnie wtenczas, kiedy tak późno się wylęgły że nie mogły już znaleźć ani jednego owadu właściwego do złożenia jaj. W zimie można je widzieć tuzinami siedzące w szparach i szczelinach,

a gdy je ztamtąd wyjmemy i przez chwilę potrzymamy na ciepłej dłoni, natychmiast odzyskują życie i ruchawość.

Dla leśnika ważną jest rzeczą umieć poznać czy owad jest dotknięty przez pasożyty, lub przeciwnie. Niekiedy daje się to dostrzedz z powierzchowności owadu, lecz w największej liczbie przypadków potrzeba go anatomicznie rozebrać.

Chwywanie gąsieniczników jest bardzo trudném, z powodu ich małych rozmiarów i szybkości poruszeń. Samą ręką bardzo mało, i to tylko większych gatunków, można zebrać. Za pomocą siatki i otrzepywania krzaków daleko łatwiej daje się to osiągnąć. I ten sposób jednakże połączony jest z wielą niedogodnościami, po złapaniu bowiem za pomocą niego okazu, nie wiemy na jakim owadzie takowy się wykształcił, a to niezmiernie utrudnia jego zdeterminowanie.

Najdogodniejszym będzie hodowanie gąsienic w pudełkach. Zbiera się je przed samym oprzędem i postępuje się tak jakbyśmy z nich motyle otrzymać chcieli. Za pudełeczko do owadów w tym razie może służyć szklanka ze szczelném pokryciem. Utrzymując w niej gąsieniczniki, więcej starać się trzeba o światło aniżeli o powietrze; jednakże i powietrze należy niekiedy odświeżać, ażeby pleśń się w szklance nie tworzyła. Szczelne zamknięcie dlatego jest potrzebném, iż niektóre gatunki gąsieniczników tak są małe, że przez otworek zrobiony grubą igłą w papierze przejść mogą. Po wyjściu owadów z poczwarek potrzeba czekać spokojnie aż takowe pozdychają, gdyż w przeciwnym razie wiele z nich mogłoby uciec. Należy być baczny ażeby do szklanki nie zakradły się z liśćmi pająki, gdyż rozbójniki te wielkoby tam trzebież sprawiły.

Teraz przychodzimy do zapytania jakie mają znaczenie gąsieniczniki w całym porządku natury, a mianowicie jakie ony w lasach przynoszą korzyści. Dla oceny ich ważności pod tym względem przebieżmy w krótkości zakres trwania jednego tylko szkodliwego owadu, *Mniszki*: (*Nonnenraupe*).

W pierwszym roku, który bezpośrednio następuje po silnym polocie motylów, widziemy mało jeszcze gąsienic. W pierwszej za to połowie następującego lata widziemy ich już mnóstwo, a w drugiej równie wiele latających motyli, które jak płatki śniegu unoszą się w powietrzu. A nie zostają ony w okolicy w której żyły gąsienice, ale przenoszą się i w sąsiednie poręby. W trzecim ro-

ku liczba jaj i gąsienic jest już niesłychanie wielka, lecz im bardziej zbliża się czas oprzędu, tém więcej gąsienic zdycha. Pozostałe niespokojnie wchodzą na drzewa, schodzą z nich i łażą po płotach, chociaż nie było wiatru któryby je mógł z drzew pozrzucić. Widocznie są one dotknięte jakąś chorobą. Badamy przyczynę téj śmiertelności i przekonujemy się że każdorocznie, w miarę powiększania się liczby motyli, wzrastała także i liczba gąsieniczników, tak iż kiedy w pierwszym roku bardzo mało gąsienic zostało napastowanych przez gąsienicznika, w drugim już nierównie więcej można było ich widzieć, choć zawsze liczba motyli mniszki była przeważającą nad gąsienicznikami; lecz w trzecim roku liczba gąsieniczników wyrównała już liczbie motyli, do tego stopnia że te ostatnie prawie wszystkie zakłutemi zostały, i z tego powodu nie wykształciwszy się, po większej części w stanie gąsienicy wyzdychały. Widziemy tu jak natura mądrze gospodarzy i zapobiega zbyt szernemu rozszerzeniu się jednej jakiegó klasy zwierząt, już to przez szybkie rozmnożenie ich naturalnych nieprzyjaciół, już téż przez nagromadzenie innych jakichś wpływów niekorzystnych dla ich dalszego rozwijania się. Zauważyć bowiem można iż wiele gąsienic zdycha bez żadnej widocznej przyczyny, i jeżeli schwytamy pewną ich liczbę do pudełka, połowa, a niekiedy $\frac{1}{5}$, wyzdycha, nie będąc nawet przez gąsieniczniki zakłutemi. Dostrzeżono także iż w trzecim roku od zjawienia się motyli w większej jak zwyczajnie liczbie, z wylęgłych poczwarek same prawie płci męskiej owady wychodzą. Być więc może iż natura i tego środka używa, aby zapobiedz dalszemu ich szerniu się. Wyszukując w jesieni gniazd mniszek, widziemy że tych jest bardzo mało, że jaj w nich jest nierównie mniej niż lat poprzednich (5—20 sztuk najwyżej), że jaja te, lubo mają zarodek, są przecieź czerwone, zakłębione, a po ściśnieniu mało płynu wydają; jedném słowem przekonujemy się że już peryód trwania tych owadów przeminął.

Teraz pozostaje rozwiązać pytanie, co się dzieć będzie z gąsienicznikami, które się tak bardzo rozmnożyły, wtedy gdy zabraknie gąsienic na których się one utrzymywały. Za odpowiedź może tu służyć wyżej wzmiankowane spostrzeżenie, że jeśli

jaki rodzaj zbyt szernie się rozmnożył, a takie powiększenie liczby jego indywidualów dla innych stworzeń jest szkodliwém, sama natura używa sposobów ku jego zniszczeniu. Między gąsienicznikami najwidoczniejszym z tych środków jest nagłe zniknięcie samic, a to do tego stopnia, że w niektórych pomiędzy niemi gatunkach przez długi czas samce tylko znano. Prosta rzecz że tak nienormalne i jednostronne rozwijanie się jakiegó rodzaju, sprawić musi w krótkim czasie zmniejszenie się jego liczebne.

Dla łatwiejszego rozróżnienia, naturalisci podzielili pokrewieństwo gąsieniczników na 3 podfamilie:

I. Gąsieniczniki (*Ichneumonides*) w ścisłym znaczeniu. Na obok załączonej tablicy są przedstawione z tego oddziału: *Anomalon circumflexum*, fig. 1; *Ichneumon pisorius*, fig. 2, którego gąsienica żyje w poczwarkach *Sphinx pinastri*; *Mesostenus gladiator*, fig. 3.

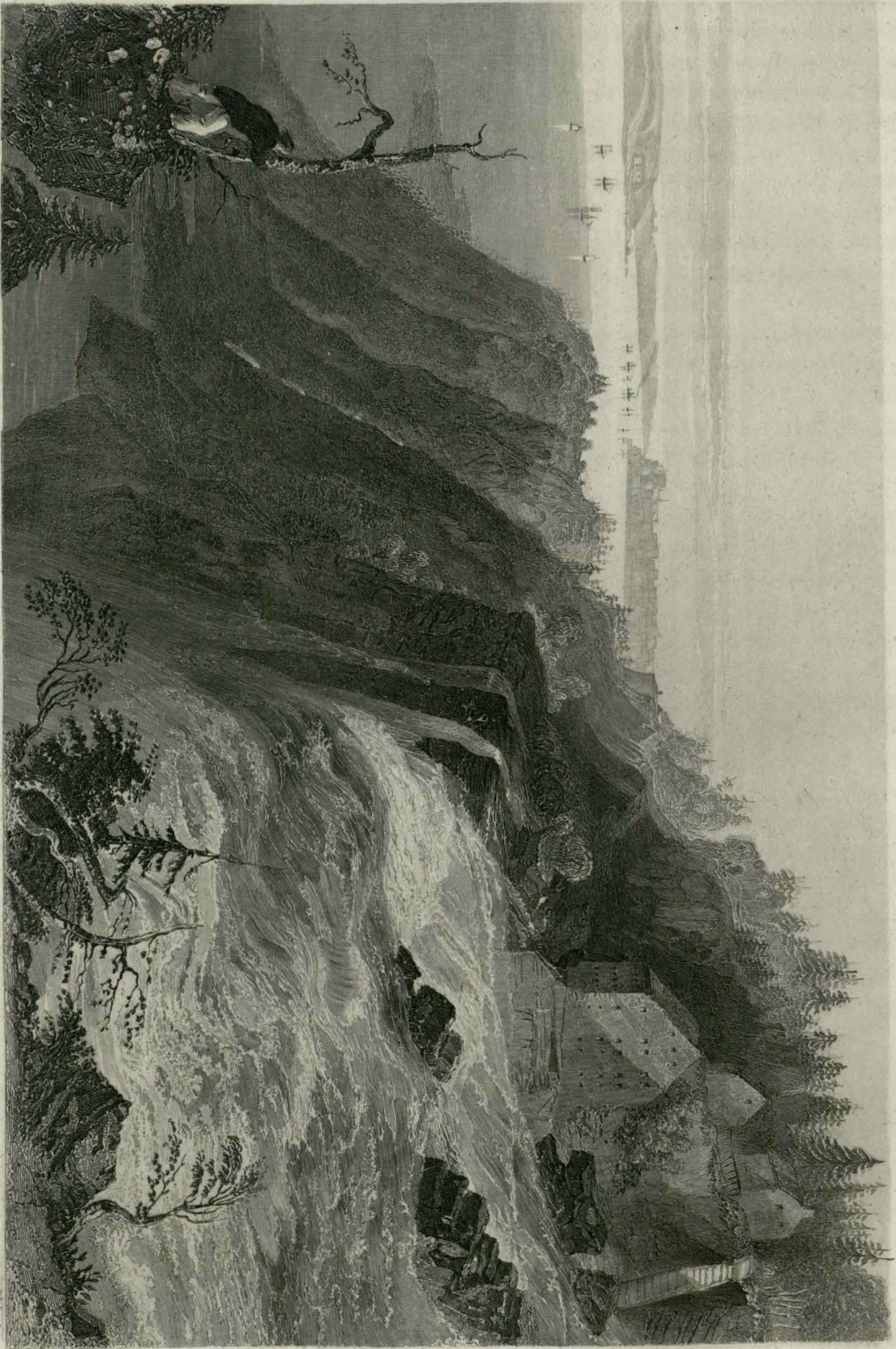
II. *Braconides*, różnią się od poprzednich tém, że skrzydła przednie jedne tylko, nie dwie jak u tamtych, mają żyłki; do nich należą: *Microgaster nemorum*, fig. 4; *Bracon palpebrator*, fig. 5; żyje na owadzie zwanym *Curculio notatus*, zamieszkującym wypróchniałe drzewa.

III. *Pteromalini*, nie mają zupełnie żyłek na skrzydłach i są w ogóle bardzo małe. Tu należą: *Torymus chalybaeus*, fig. 6; *Eurytoma Abrotani*, fig. 7; samiec, fig. 8. Samica żyje na gatunku *Microgaster*, który znów jest pasożytem owadu *Bombyx dispar*.

Fig. 9—11 okazują rozmaite stopnie wykształcenia gąsieniczników; fig. 9 świeżo wylęglą gąsienicę, znacznie powiększoną; fig. 10 gąsienicę znajdującą się już w samym woreczku, w naturalnej wielkości; fig. 11 poczwarkę, znacznie powiększoną.

Fig. 12 wyobraża przerziętą gąsienicę, w której wnętrzu gąsienicznik się znajduje, a fig. 13 tęż gąsienicę po wydobyciu się na wierzch gąsienicznika.

Fig. 14 przedstawia gąsienicznika z rodzaju *Teles*, znacznie powiększonego, w chwili gdy usiłuje zakłuć jaja *Bombyx neustria*.



Druck v. A. Schuler i. Stuttgart.

P. Wacker

WODOSPAD MONTMORENCY.

Niższa Kanada, jedna z najpiękniejszych prowincyj Ameryki północnej, rozciągająca się po obu stronach rzeki św. Wawrzyńca, tworzy głęboką dolinę, odgraniczoną dwoma łańcuchami gór, z których północny dotyka terytoryum zatoki hudsonskiej, południowy zaś Stanu Maine. Cała ta przestrzeń, urozmaicona wzgórzami, zachwycające w wielu punktach przedstawia widoki. Oko podróżnika z rozkoszą zatrzymuje się na tych ogromnych pasmach górzystych, na rzekach wspaniałych, na niezmiernych jeziorach i lasach dziewiczych, noszących jeszcze na sobie piętno pierwotnej dzikości. Pomimo bowiem niezaprzeczonych i w tym kraju postępów cywilizacyi, nieliczne stosunkowo miasta i siedziby osadników uważać tylko można za oazy rozrzucone wśród nietkniętych jeszcze ręką człowieka obszarów.

Środkiem jej płynie rzeka św. Wawrzyńca, zasilana pomniejszych, jak: Montmorency, Great River, du Gouffre, Black i t. p., które kraj cały dzielą na sześć sekcyj, trzy północne i trzy południowe. Z północnych środkowa zawartą jest między rzekami Saguenay i św. Maurycego, i ta mieści w sobie kanton Montmorency, na wschód od miasta Quebec, które widać w głębi naszej ryciny. Cały prawie kanton ma grunt opoczysty, naprzemian jednak uprawny, a nawet bardzo żyzny. Przerzynają go rzeki: Montmorency, św. Anny i Lombrrette. Jeden z najpiękniejszych pomiędzy widokami miejscowemi stanowi wyobrażony na załączonej tablicy wodospad Montmorency, licznie w każdej porze zwidzany przez chciwych wra-

żeń podróżników, a latem będący głównym punktem wycieczek mieszkańców Quebecu.

Rzeka Montmorency, wypływająca z tak zwanego jeziora Śnieżnego i wpadająca ośm mil angielskich poniżej Quebecu do św. Wawrzyńca, od źródła swego aż nieopodal słynnej katarakty jest mało znaczącym strumieniem, wzbierającym tylko na wiosnę podczas topnienia śniegów. O milę dopiero od Quebecu rozszerza się skaliste jego łóżce do stóp sześćdziesięciu, i takim już płynąc dalej korytem, natrafia wkrótce na prostopadłą prawie ścianę skalną, z której zrzuca się z łoskotem. Wysokość spadku Montmorency wynosi 250 stóp, to jest o 100 stóp więcej od spadku Niagary. Małe pochylenie łożyska nadaje spadającej wodzie taką siłę i gwałtowność, że uderzając o skały rozpryskuje się w milionowe śnieżnej białości kryształki. U spodu nagromadzone urwiska tworzą naturalną kotlinę, z której kipiąca i huczająca masa, wyszalawszy się, wypływa jako cichy, łagodny już strumień.

Przy samym wodospadzie stoi dom z zabudowaniami gospodarskimi, niegdyś mieszkanie księcia Kent, a dalej zwracają uwagę ogromne tartaki p. Patterson, w których poblizu generał angielski James Wolfe 22 września 1759 r. zwyciężył Francuzów pod dowództwem markiza Montcalm, lecz sam śmiertelnie został ranionym. Skutkiem tego zwycięstwa było zajęcia Quebecu, a następnie zdobycie przez Anglików całej Kanady, którą pokój paryzki zostawił w ich posiadaniu.

WSPOMNIENIA

Z PRZEJAZDŹKI W LUBELSKIE I PODLASKIE.

WYJĄTEK Z NOTATEK PODRÓŻNYCH

Oskara Flatt.

(Dokończenie).

KOCK, RADZYŃ, HUSZLEW.

— Otóż i zbliża się chwila naszego rozstania, zawołał nagle Karol, a bryczka wjeżdżała właśnie na

giętki pokład promów stanowiących most na Wieprzu. Tu oto Czarna wpada do Wieprza, a wnet poza osłoną drzew odkryje ci się upragniony Kock.

Po kilku chwilach wjeżdżałem już istotnie do miasteczka, bacznie wpatrując się w jego fizyognomię. Jedyne żydowski zajazd w rynku przyjął nas z gościnnością, dla której wypadło mi zapomnieć o wszelkich już wygodach. Szczérze pożegnałem Karola, spieszącego pocztowemi końmi do rodzinnej swojej zagrody, a sam wyszedłem dla zwidzenia miasta. O! biédnyżto i smutny obraz tego Kocka, z wyrazistym, czysto-żydowskim typem. System porządkowy miasta zaginął gdzieś w samowolności, a regulacyjne linie planu (jeśli kiedy jaki istniał) najdziwaczniej połamane od niepamiętnych czasów. Z pośród 270 domów, załedwie 16 muryowanych się doliczysz; rynek jest niby ozdobą miasta, zwłaszcza téż dawny ratusz, z wysoką i wcale nieźle utrzymaną wieżą. O bruk tu nie pytaj, ani téż o przechadzki w jesiennój i wiosennój porze, a jednak mimo to wszystko Kock rozległością swoją i ludnością 1,800 głów dochodzącą prześcignął moje o nim wyobrażenie, tak dobrze uprzedzony wjeżdżałem w jego ulice.

Na miejscu dawniej firlejowskiéj świątyni, która przez czas pewien była kalwińskim zborem, wznosi się od 80 lat kościół fundacyi Anny z Sapiehów księżnej Jabłonowskiej, wojewodziny braclawskiej, szczególniej Kocka dobrodziejki. Na frontowej fasadzie, ponad głównemi drzwiami, wpadają zaraz w oko trzy czarne marmurowe tablice, ze złoconemi napisami, wyświécające szczegółowy rozwój erekcyjny tego kościoła. Itak, na piérwszej po lewéj stronie tablicy czytamy:

D. O. M.

„Anno MDCCLXXIX die 27 Julii Anna de Sapiehy Principissa Jabłonowska, Palatina Braclaviensis, bonorum Kocko, Semiatycze, Berezdow haeredissa, hanc Ecclesiam novam a fundamento aedificavit, fundum dedit a 4-or Mansionarios simul Vicarios fundavit, summam duorum millium et ducentorum flor. poln. in bonis assignavit, simulq. per illustro Vincentio Jezierski Offi. Lublin. Praep. vasa argentea et ex compositione facta. Ostensorium, Calices, Casulas, supellectitem et omnem ornatum dedit Esiae. Peractis vitae suae annis 74 finivit vitam in Berezdow A. D. 1800. Piis orationibus parochianorum et sacerdotum recommendatur.”

Druga tablica mieści taki napis:

D. O. M.

„Anno MDCCLXXIX die 26 Julii festo S-ae

Annae, Vincentius Jezierski, Praepositus in Kock, primum lapidum hujus Ecclesiae ritu solemni posuit. Illustrissimus ac Rdmus Dnus Adalbertus Skarszewski, Eppus Lublin. et Helmen., hanc Ecclesiam consecravit die 19 Mai Dominica V post festa paschae 1805 anno, et diem anniversarium dedicationis V-am Dominicam post pascha assignavit.”

Trzeciego wreszcie napisu po prawéj stronie takie jest brzmienie:

D. O. M.

„Anno MDCCXC die 1 Octobris in hanc Ecclesiam sub titulo assumptae B. V. M. aedificatam, introducta est devotio per missionem factam a Missionariis Domus Lublin. Anno 1790. Esiam in honorem S. Michaelis Arch. aedificatam a Cels. principissa Anna de Sapiehy Jabłonowska, ubi fidelium cadavera sepeliuntur benedixit per-Illus Rdmus Vincens Jezierski Can. Hel. Off. et praep. Lublin et Kocensis et ibi primum lapidem imposuit. Anno 1785 die 1 Septembris.”

Trzy te tablice obejmują szczegółowy zarys erekcyjny tego powtórnego kościoła w Kocku. W czasie mojej tam bytności w sierpniu r. z. mogłem jeszcze zwidzić jego wnętrze, dziś już nieprzystępne. W kilka bowiem tygodni potém zapieczętowano grożący zawaleniem się kościół, i z powodu niedopelnionój jeszcze reperacyi, do dzisiaj nabożeństwo odprawia się poza miastem w kaplicy cmentarzowej, o fundacyi której trzeci z powyższych napisów wspomina. W wielkim ołtarzu godny jest widzenia obraz Wniebowzięcia, a zdobiące boczne ołtarze obrazy: ŚŚ. Kajetana, Michała, Konstantego i Anny są to ze wszech miar szacowne i prawdziwie artystycznego penzla utwory.

Na prawo obok wielkiego ołtarza umieszczony jest w murze okazały grobowiec z czarnego marmuru, poświęcony pamięci ministra Anstett, niegdysdziedzica dóbr kockich, którego wdowa dotąd jest ich właścicielką. Grobowy napis znanego w swoim czasie ministra i dyplomaty jest następujący

Joanni Libero baroni

ab Anstett,

Qui Argentorati natus MDCLXVII

primum Catharinae II auspiciis

terra marique militavit,

Post maximis Curiae negotiis deditus

Quatuor Russiae Caesarum a consiliis intimis

Plus quam XL annos

Berolini, Varsoviae, Viennae, Stutgardae,

Vratislaviae, Pragae, Francoforti ad M.

Alioque legatus,
Praesertim giganteo certamine annis
MDCCCXII ad MDCCCXV
Imperatori Alexandri a latere
Expectationem de se superavit.
Torque Ordin. S. Alexandri Nev.
Aliorumque decoratus.
Supremam diem anno MDCCCXXIV obiit.
Carissimo conjugii
Maesta Alexandra de Meisner
hoc monumentum posuit.

Pałac i ogród, są to dwie osobliwości które mi szczególnie szczyli się Kock i pyszni przed każdym zwiedzającym. I wistocie szczególna, uderzająca też to antyteza, ujrzyć na tak brudnym i nędznym tle żydowskiego Kocka, tyle świeżości, wytworności, woni i wdzięku. Tutajszymi ogrodami pałacowymi wydać się może zaczarowanym ogrodem Armidy, tak niespodziewany przedstawia widok. I pałac i ogród zawdzięczają byt swój Annie z Sapiechów księżnej Jabłonowskiej, wojewodzynie braclawskiej, dziedziczce Kocka w drugiej połowie zeszłego wieku. Wojewodzina braclawska była jedną z najświetlejszych i najznakomitszych gwiazd niewieścich swego czasu, ale też właśnie ta gwiazda gardziła pożyczanym blaskiem, uważając za najchlubniejsze zadanie jaśnieć własnym, swojskim światłem. Czyż ta jedna cecha nie odkreśla już wydatnie postaci księżnej Jabłonowskiej na jedwabnym wprawdzie, ale wypłowiałym francuzkiem tle stanisławowskiej Polski? A jeśli dodamy że ta pani, upiększając dobra swoje, podnosiła zarazem byt i ulepszała stan swoich poddanych; że dążyła do zaszczepienia w narodzie chlubnego zamilowania do postępów gospodarstwa krajowego; że założyła fabryki, muzea, gabinety historii naturalnej, szkołę położniczą w Siemiatyczach; że nawet myśl jej sięgała do utworzenia na Podlasiu ogniska zbożowego handlu: to godzi się tylko czołem uderzyć przed tym arcywzorem polskiej obywatelki. Krasicki odwiedzał wojewodzinę braclawską w przejeździe swoim do Galicyi w ówczesnym miasteczku Wysokie, i w liście swoim do księcia Stanisława Poniatowskiego, z ironicznym zastosowaniem do ówczesnych obyczajów, wspomina o miejscu,

Gdzie wdowa, a niemodna, z zgorzeniem Warszawy,
Zamiast gotowalnianej istotnej zabawy,
Podłą się pracą bawić, śmie myśleć o roli,
I w pośród kmieci swoich bardziej mieszkać woli
Niż błyszczyć w wielkim świecie.....

Więc też z zapalem dodaje w innym miejscu:

Wszystkim chłopom, mieszczanom tego losu życzę,
Jaki mają Wysokie, Kock i Siemiatycze.

Stanisław August często w tym pałacu przebywał, ale jaka szkoda że przykład pani braclawskiej nie wszczepił się przynajmniej w nadworny orszak króla, jaka szkoda że ta pani wielkich cnót wyjątkiem swojej epoki pozostać miała.

W r. 1782 bawił tu przez dwa dni w powrocie z zagranicy hrabia du Nord, t. j. Wielki Książę Paweł.

Dzisiejsza dziedziczka Kocka, pani ministrowa Anstett, jaknajstaranniej utrzymuje pałac i ogród; wszędzie na każdym tu niemal kroku widać dotknięcie zamilowanej w estetycznym pięknie niewieściej ręki.

Cicho i skromnie w uroczym nad Wieprzem położeniu rozsiadł się pałac dziedziców Kocka, nie dziwiący olbrzymiością rozmiarów, lecz lekką, gustowną strukturą i wzorowym utrzymaniem. Dokoła otacza go obszerny, prześliczny, starannie wypieszczony, starodrzewny, cienisty ogród, pełen urozmaicenia w widokach i szpalerach. Sztuka przecież do tych uroków najcelniejszą dodała ozdobę: rozległą, ze znacznym nakładem urządzoną cieplarnię, którą bez zaprzeczenia do najpiękniejszych w kraju policzyć należy. Artystyczny to i widzenia godzin układ tej cieplarni, prawdziwe studium sztuki ogrodniczej; co się zaś tyczy ananarsarni tutajszej, wątpię czy ma sobie równą w Polsce co do bogactwa i rzadkości egzemplarzy.

Rozkoszowałem się w tém lubém ustroniu i pragnąłem niemal stracić pamięć biegnących chwil, tak mi tu było dobrze i błogo; ale wiele zostawało mi jeszcze wywieźć się i usłyszeć o Kocku, a nie opuściłbym jego murów, nie dosłuchawszy choćby jednej zwrotki w uroczystej pieśni przeszłości.

Za miasto teraz powiodą mnie kroki. W północnej stronie, tam gdzie aleja białobrzaska krzyżuje się z traktem do Serokomli wiodącym, nieopodal drogi wznosi się w polu półkulisto zatoczony wał. To mogilny kurhan, w którym izraelski Kock przechowuje pamiątkę rycerskiej swojej przeszłości, to grobowiec pułkownika Berka, poległego tu w r. 1809.

Licząc godziny dziejowego żywota biednego dziś Kocka i zamieściwszy w notatkach cisnące się do myśli uwagi, wpatrzyłem się z zajęciem we

wcale zresztą jednostajny krajobraz, roztaczający się przedemną. Na płaskiej piaszczystej równinie rozrzucona uboga drewniana miejscina, zbyt to niewdzięczny dla artystycznego płótna przedmiot. Ja przecież ciekawie śledziłem te objawy ruchu dostrzegane na trakcie do miasta wiodącym. Wyłącznie prawie zapełniała go ludność żydowska obojga płci, to w bryczkach wielkich, to na wózkach, to pieszo kijem wsparta; jedna wszystkich poruszała dźwignia — interes, ku jednemu celowi handlowej spekulacji. Ale jedna postać na tém różnorodném tle zwróciła szczególną moją uwagę odmienną i właściwą charakterystyką. Poważnym, wolnym krokiem zbliżał się ku mnie sędziwy już człowiek, w zupełnym stroju dawnych Izraelitów: więc był tam i czarny atlasowy chałat, aksamitem wykładany, i kosztowna sobolowa czapka, i wszystkie te cechy wyłączne, tak dobrze nam znane przed 10 laty, a dziś coraz bardziej rozplywające się w dążności emancypacyjnej. Był to obrazek jakby żywcem wycięty z *Kramu* Piwarskiego, ale na téj twarzy spokojnej, zadumaniej, nie dostrzegłem bynajmniej téj ruchliwości i tego sprytnego przebiegu, jakim piętnuje się oblicze izraelskiego handlarza. Wielka księga w jego ręku wskazywała mi w nim miłośnika książkowej wiedzy. Postanowiłem korzystać z téj sposobności, i gdy poważny Izraelita przechodził nieopodal mego postrzegawczego kopca, powitałem go uprzejmém „Dobry wieczór” i zapytałem czyby nie chciał poświęcić dalekiemu przybyszowi chwilę przyjaznej pogawędki.

— Pan z Warszawy przybywa, odpowie wolno Izraelita, uchylając sobolowej czapki i wlepiając we mnie badawcze spojrzenie, a cóż ubogi mieszkaniec biédnego Kocka powie panu potrafi? Ot biéda i wszystko, jak pan widziałeś w mieście.

— To nie wszystko jeszcze, przerwałem — nie wszystko, nie zawsze tak było; ja chciałbym poznać Kock bliżej, dokładniej niż z lichych jego lepierek, ja chciałbym uznać i oddać hołd zasłudze wszędzie, gdziekolwiek ją znajdę, bez względu na demarkacye socyalne i religijne, w jednéj tylko rodzinie, ludzkości. Ludność izraelska jest dziś reprezentacją Kocka, nie chciéj więc mi pan odbierać możności duchowego zaprzyjaźnienia się z tém miastem.

— Zostaje, odparł wyznawca Mojżesza i podał mi rękę. Jestem jeden z duchownych tutajszej gminy; Kock jest gniazdem całej mojej rodziny.

Prawdę pan powiedziałeś: nie zawsze tu tak było jak dziś; ale dla Żydów nigdy lepiej nie bywało.

— Jakto? zawołałem zdumiony, a czasy wojewody lubelskiego, a dobrodziejstwa wojewodziny braclawskiej nicze nie znaczą?

— Pan wojewoda lubelski szafował łaski dla Kalwinów, odparł poważnie duchowny, a najlepsze chęci pani wojewodziny wnet wojna zniszczyła, i zostało wszystko po dawnemu. Ale choć zapomnieni wtedy, odwetowali to Żydzi koccy późniejszym czasem. *Waszą* sławą brzmi Kock w epokach przed 200 i 100 laty, a już Kock ostatniego stulecia jest *nasz*. W wielkiej rodzinie miast polskich, Kock jest ulubieńcem ludu Izraela, tułaczego dziś wprawdzie, ale któremu zabłyśnie kiedyś nowa Palestyna i narodzi się Messyas, mimo waszój niewiary.

— I cóż tak podniosło Kock w oczach waszych?

— Widome oznaki łaski Bożej: jedna żyje wśród nas w pamiętce, w tym oto kurhanie Berka, druga tkwi w nas żywą jeszcze tradycją, to dzisiajszy nasz rabin. O, panowie nie wiecie czém taki rabin jest dla Izraela, zawołał z płonącym okiem, to ojciec, to sędzia, to kapłan, to mistrz. W tułactwie naszym Bóg zsyłał nam takich mistrzów, jakby przewodnie gwiazdy, jakby głos przeciw nieprawościom. Od wielkiego Akiby długie było pasmo mądrych rabinów, a Żydzi polscy, po niezapomnianych rabinach w Lesznie, Poznaniu i Pinczowie, mają dziś swoją gwiazdę w naszym Morgensternie.

— I na czémże polega ta sława kockiego rabina? zagadnałem.

— Na czém? odeprze zwolna, po dość długim milczeniu mieszkaniec Kocka; w tym tajemniczym uroku, którego byś pan nigdy nie zrozumiał, nie pojął: my mamy dla niego więcej niż szacunek, bo mamy cześć i uwielbienie. Panowie myślicie, dodał z gorzkim uśmiechem, że cała nauka naszych rabinów zamyka się w talmudycznej uczoneści; gdybyś pan znał naszego rabina, zmienilbyś to zdanie. Nie, żadne szkoły, żadna praca nie dadzą téj głębokiej mądrości życia jaką on posiada, to już szczególne błogosławieństwo Boże. Rzadko on jest widzialny, nigdzie się z domu nie wydała i zawsze jest z Bogiem i ze słowem jego. To téż jest on opiekuńczym aniołem Kocka. Bez niego ileby tu było nędzy i cierpień! Niewidzialny żadnemu prawie oku, jest jednak dobroczynnemi dziełami wsze-

dzie, gdzie tylko los uciśnionych współwyznawców pomocy potrzebuje.

— Musi to więc być człowiek niepospolitąj zamocności, kiedy tak opiekuńcze rozciąga skrzydła, wtrąciłem z zajęciem.

— Tak panie, bogaty, bardzo bogaty, — w lzy wdzięczności i w modły Izraela.

— Ale z kądże fundusze na świadczenie tylu dobrodziejstw?

— Izrael w tułactwie rozmnożył się jak piasek w morzu; są miejsca, gdzie ludowi naszemu szczęści się w pracy. Wiedzą zamożniejsi bracia, że nikt trafniej i szczęśliwiej ofiary ich nie rozdzieli między cierpiące ubóstwo jak Morgenstern, mający głośną sławę mądrości i dobroczynności. Z różnych więc stron nadsyłają zasiłki, których on jest sprawiedliwym szafarzem. Najważniejszą jednak w tej mierze dla Kocka epoką jest miesiąc wrzesień: zbliżka i zdala ściągają tu wtedy na religijną pielgrzymkę wyznawcy starozakonni, i ciasne miasto pomieścić nie może gości. Ten więc czas przesuwających się karawan, jest wyrocznią dla ubogiej klasy mieszkańców, która w napływowej ludności czerpie żywotne źródła na przetrwanie z biedą ciężkiego roku.

— I jakież cel sprowadza do Kocka tyle żydowskich pielgrzymów? zapytałem zdziwiony.

— Chęć wspólnej modlitwy i pragnienie błogosławieństwa od uczonego rabina. Tylko deputacja każdej karawany przypuszczana jest do niego, masę zaś ludu błogosławi z okna. Sprawiedliwy jest Pan, zawołał mój towarzysz, powstając z mogilnego kurhanu, czémże byłby biedny Kock, gdyby nań Bóg promienia swojej łaski nie zesłał? Ale dziś nie ludź się pan naszym ubóstwem, nie myśl pan aby w tych zapadłych i biednych domkach nędza tylko i nieszczęście gościły: Żydzi koczy, choć nędzni pozorem, nie mienialiby się na inną siedzibę, choćby złocistszą, bo tu świeci im łaska Boża, a do niej tak wzdycha tułaczy Izrael..... Żegnaj, jedź pan z Bogiem, dodał mój towarzysz, i poważnie skłoniwszy się sobolową czapką, zwrócił się ku miastu.

Ja długo jeszcze spoglądałem za znikającą w oddali postacią, zdając sobie sprawę z otrzymanych wrażeń, a gdy mrok wieczorny zapadł, utonąłem myślą w ubiegłych dziejach Kocka, które żywymi obrazami jawiły się przed okiem mego ducha. Więc najprzód tu przy ujściu Czarnej do Wieprza widzę herbowne znaki plockich biskupów. W pierwszych

latach XVI wieku przesuwa się tu wyniosła biskupia postać, surowego lica, głębokiej myśli na czole, ale usta bez słodyczy i jakimś jadem żółci czy zawiści zatrute; wydziéra on z ziemi proporzec z godłami biskupów plockiej stolicy, i przenosi go daleko za Wisłę, aż pod mury Raciąża. To Erazm Ciołek, sławnej ale smutnej zarazem pamięci, mąż któremu do prawdziwej, jasnej, czystej sławy, nie nauki, nie zręczności, nie władzy, nie łaski monarszej, ale tylko wielkiego serca i obywatelskich uczuć i siły poświęcającej brakowało. Na jego więc żądanie odpadł Kock od plockiej stolicy biskupiej, która natomiast otrzymała Raciąż. Dzierżawił następnie kockie dobra znakomity Mikołaj Firlej, kasztelan krakowski i hetman wielki koronny. W kilka lat potem 1520 r. Zygmunt Stary nadał mu Kock w dożywocie, a młody Zygmunt August, oceniając wielkie usługi okazane przez hetmana w wojennych chwilach, zamienił dożywocie w dziedziczną posiadłość. Darowizna ta, przeciwna statutowi Aleksandra, żywą wywołała opozycją na sejmie 1562 roku, i dopiero ówczesny posiadacz Kocka, Jan Firlej, wojewoda lubelski i marszałek wielki koronny, załagodził rzecz, ofiarując rzeczpospolitąj w zamian za kockie dobra własne dziedziczne swoje majątności, Zawadę i Rogalów. Wybitnie wydatnie postać lubelskiego wojewody w ojczystych dziejach, zwłaszcza też w historii kościoła. Był on nietylko zwolennikiem, ale żarliwym rozkrzewicielem zasad Kalwina. Nowa nauka, mająca za sobą urok światła, szerokim gościńcem lała się do Polski, zwłaszcza że takich jak Firlej miała orędowników. Otworzony przez niego w Kocku zbór kalwiński głośną miał sławę, a szkoły kalwińskie w Kocku, świetną szczyjąc się wziętością, przetrwały aż do roku 1648. Zwinął je zaś nie rozkaz królewski, ni wola stanów, ni też zwolenników brak, ale burza kozackiego najazdu pod Bohdanem. Straszna to była dla Kocka chwila, istny dzień sądu: rozjuszony kozactwo zrabowało do szczytu miasto, a pozostałych mieszkańców wymordowało. Wśród powszechnego zniszczenia nie ocalała i szkoła, ani też szacowny przy niej zbiór ksiąg i rękopismów; sam nawet przełożony ówczesny szkoły kalwińskiej, zaszczytnie w świecie naukowym znany filolog i teolog Czaplinski, padł ofiarą wyuzdanego kozactwa.

Do dźwigającego się z upadku miasta już potem nie trafili kalwini, a znajdujący się w ich posiadaniu kościół farny, z grobowcami Jana Firleja i

dzielonego Stanisława Zbąskiego, zaraz w następnym 1649 roku zwrócono katolikom.

Po stuletnim głuchym milczeniu, Anna z Sapiehów księżna Jabłonowska, wojewodzina bracławska, pani wielkiego umysłu i serca, stworzyła nową epokę odrodzenia dla Kocka. O tej szczęśliwej fazie w życiu miasta wspomnieliśmy już wyżej. Ale krótkotrwałe były te chwile odrodzenia, choć nadzieje świetne. Kościół, pałac, ogród zostały wprawdzie, ale inne ślady opiekuńczej ręki wojewodziny, które już tak widocznie objawiały się w całym mieście, zawiął niszczący huragan losowych wypadków wojennych. I bezpowrotnie minęły złote czasy Kocka. Jednakże nie godzi się powiedzieć aby miasto wypruło żywotne z siebie siły, bo i dziś, ani pod względem liczby mieszkańców, ani też ich bytu, nie należy do rzędu upadłych miast kraju. Tylko już pulsów życia towarzyskiego nie domacasz się ani śladu: mimo dwutysięcznej niemal ludności, nie masz tu prawie średniej klasy mieszkańców, która stanowi przecież rdzeń każdej organizacyi społecznej, i wątpię czyby się tu zebrało towarzyskie ogniwko, choćby ze trzech rodzin średniej sfery.

Zatopiwszy się w tych myślach, wolnym krokiem wracałem do miasta, a nie spiesząc się wcale do mało ponętne, zgiełkliwego żydowskiego swego ustronia w *Warszawskim zajezdzie*, pragnąłem jeszcze korzystać z niewielu chwil dziennej światłości i przy pogodnym słońca zachodzie zawróciłem ku pałacowi. W alei od miasta wiodącej ujrzałem nagle przed sobą dwie młode kobiety z ukwiecionym włosiem, używające przechadzki. Z żywym zajęciem wpatrzyłem się w te dwa kwiatki, i wydały mi się dziwnie woniejące w atmosferze kockiej.

Więc widać sąd mój o braku towarzyskiego życia Kocka był zawczesny, pomyślałem. Kobięta jest perłą towarzyskiego życia, jest jego ogniskiem, więc to życie i w Kocku tętnić musi. I coraz uważniej przyglądałem się dwom kobietom, z których jedna zdała mi się być młodą mężatką, druga zaś jeszcze dziewicą.

Ani pomyślałem w tę chwilę że tenże sam wieczór jeszcze z prawdziwą przyjemnością w ich towarzystwie spędzę, a jednakże tak stało się. Czarująca nie wspólnych warszawskich stosunków zbliżyła nas i sprzyjała, przedłużywszy nad zakres mój pobyt w Kocku.

Tu miałem sposobność poznać wewnętrzne ży-

cie miasta, warunki jego żywotności i kaléctwa. W tém kole znalazłem zasilek i odświeżenie dla ducha i serca; tu znalazłem światłą rozmowę, naukowe źródła i wesołą pogadankę, na serdeczném tle rodzinnego życia. Powitały mnie tu nawet czyste, niebiańskie rozkosze artystycznego świata: pieściłem ucho arcydziełami Chopina, Thalberga, słowem odetchnąłem w Kocku atmosferą, o której nawet myśl nie marzyła.

Z pogawędki o dzisiajszym stanie miasta powziąłem przekonanie, że przy całej nędzy zewnętrznej, przy rzetelnym ubóstwie wiele rodzin trapiącym, nie jest przecież Kock z natury swojej ubogim miastem: niejeden może nawet znaleźć się tu kapitalista, a handel zbożem i drzewem najwięcej tu ruchowi kapitałom nadają; bo summy piérwszej ręki centralizują się w samymże Kocku przez zakupy obszerne, dopełniane przez handlarzów i przedsiębiorców miejscowych.

Piękne dobra kockie wieńcem otaczają miasto w dwumilowym niemal promieniu, od strony Lubartowa, Radzyna i Moszczanki. Egipskiej to prawie rodzajności grunta i hojnie wynagradzają pracę dzierżawców, z których wielu pięknej tu już dorobiło się fortuny.

Sam Kock ma lekarza, aptekę i pocztę, a zamierzone wzniesienie w rynku porządnej austeryi, nie mało też przyczyni się do ozdoby miasta, a głównie do wygody przejeżdżających.

Co się tyczy położenia Kocka, bez zaprzeczenia dodatnie należy mu się miejsce wśród okolic dzisiajszego Podlasia. Nie jest ubogim w dary natury miasto, co oprócz uroczonego ogrodu pałacowego, może przed gościem swoim roztoczyć takie widoki, jak łąki nadwieprzańskie i śliczny sielski krajobraz ku Białobrzegom.

Z pobliskich okolic nie mogę pominąć milój *Serokomli*, z jej ogrodem, rozłożonym wdzięcznie wśród świeżej i prostotą piękniejącej natury.

Prawdziwie przykro mi było opuszczać Kock, bo zostawiałem tam niedawnych, a przecież szczególnych przyjaciół; ale moje turystowskie: *naprzód!* pędziło mnie do Radzyna. Więc tylko okiem, myślą już zegnałem Kock, szybko znikający w mglistej oddali.

Tymczasem coraz bardziej sinięc zaczął jasny błękit nieba, i ciężki skwar sierpniowy ochłódł nagle w gwałtownych powiewach wiatru, wzbijających w powietrze fale piasku i kurzu. Niepokojony temi meteorologicznymi zwiastunami, nagliłem

woźnicę do pośpiechu; ale cóż z tego, kiedyśmy jeszcze mili od Kocka nie ujechali... Rozległ się ponuro pierwszy odgłos dalekiego gromu, błysnęło raz, drugi, i jakby niebo rozwarło się do nowego potopu, lunęły strumienie deszczu. Wyjeżdżałem właśnie z lasu przed Borkami: nie czekając więc, pędzić kazałem woźnicy do pierwszej karczmy, a sam, otuliwszy się przed natarczywością deszczu, zbroilem się w rezygnacją, inną całkiem niż była Szyllerowska i Wasilewskiego.

Dopadamy karczmy. Nie widząc bożego świata i brnąc w szeroko rozlaną kalużę, wśród gromu i błyskawic, wbiegam do karczemnej izby, jak do portu ocalenia, zziębły i przemokły niepoczciwie. Zrzucam przemokłe okrycie, i właśnie z wszelką wygodą na ławie wypocząć zamierzałem, gdy wtém spostrzegam z zdziwieniem że nie sam jeden jestem gościem tej izby.

Pani gospodyni krzątała się właśnie około nakrycia stołu i zastawienia posiłku, a za stołem dostrzegłem średniego wieku kobietę, pełną jeszcze życia i zdrowia, szlachetnych prawdziwie rysów, budzących szacunek dla zaćnej obywatelki, której całe otoczenie, w tém nawet zaimprovizowanym schronieniu przed burzą, dowodziło wyraźnie dobrego gustu i znacznego stopnia zamożności.

— Jedną nas widzę dola pod ten dach zapędziła, odezwała się z uśmiechem nieznaną damą, spoglądając na moje przemokłe okrycie, chyba tylko jakiemu flisowi posłużyć mogące.

— Tak pani, odparłem, i nie mogę dość wydziwić się twórczej pomysłowości dobroczyńcy, któremu błysnęła myśl wybudowania tej karczmy; u mnie zasłużyłby on stokroć więcej na panegiryk niż bardzo wielu innych.

— Wszak pan jesteś mieszkańcem miasta? zapytała wesoło towarzysza mojej doli.

— Tak pani, wracam do Warszawy.

— Domyślałam się tego. Dla panów miejskich w ogóle, a tém bardziej Warszawian, w jedną chyba noc, i to niezawsze, bezkarnie deszczowi padać wolno; w każdą inną godzinę dnia przychodzi on nie w porę i jest przeszkodą dla programu miejskich urozmaiceń. U nas wieśniaków inaczej: dla nas deszcz jest dobrodziejstwem, i nie masz roku abyśmy o niego gorąco Boga nie prosili. To też my oswoiliśmy się z jego natarczywością i wytrwali jesteśmy w tej mierze od Warszawian.

Jeszcze coś dalej rozprawiać zamierzała moja sąsiadka, ale w tej chwili szybko otwarły się drzwi

bocznej komory i leciuchno wbiegło młode, hoże dziewczę. Jednym spojrzeniem objąłem tę wiotką postać. Nie powiem wcale w poetycznym zachwycie aby to miała być Fornarina lub sykstyńska madonna, ale było to urocze i niespodziane widzenie, na brudnym tle odludnej podlaskiej karczmy. Gładkie, śniadawe liczko przeświecało siatką błękitnych żyłek, nabiegając lekkim rumieńcem za każdym silniejszym wrażeniem, o które tak łatwo dla 18 letniej główki i serca. Różowe usta tak szczery krasił uśmiech, a modre oczy taką promieniały prawdą, tak łzawym wilgotniały uczuciem, że nieskończenie rad byłem tu ją powitać. Po nad wysokim czołem z wdziękiem prostoty spoczął bogaty wieniec lśniaco-kruczego warkocza, a jakby na straży dziewiczych myśli, tkwiło w nim wdzięcznie kilka modraków.

— Ot widzisz, Maryniu, zawoła moja towarzysza do wchodzącego dziewczęcia, widzisz jaki deszcz dla nas grzeczny: nie chce byśmy się w tej karczmie zanudziły i zesłał nam towarzysza, co choćby zapewne wołał teraz być w Warszawie, jednak rad nierad dołą Podlasianek na dzisiaj podzielić musi... A potem, nie dopuszczając odpowiedzi, zwróciła się nagle do mnie, kończąc:

— Moja córka!

— Co do znudzenia, zawoła żywo panna Marya, to wszak wiiesz, droga mamó, że nigdy go nie znamy. Żałuję tylko pana Warszawianina, któremu nasze zakątki w bardzo niekorzystnym przedstawiają się świetle.

— Wybacz pani że współczucia tego przyjąć nie mogę, odparłem z całą szczerością. Jedynym i wyłącznym celem mojej podróży jest bliższe poznanie lubelskich i podlaskich okolic i sprzyjanie się z pamiątkami ich przeszłości; smutno więc i nudno mogłoby mi być tam tylko, gdzie bezmyślny dzisiejszy żywot, i gdzie nie dadzą się odszukać w popiele przeszłości żadne wydatne momenta dziejowego życia, lub gdzie duch i serca ludzi milczą jak malowane groby. Takich okolic chyba niewiele na naszej ziemi, a tém mniej na Podlasiu!

— Jako Podlasianka duszą i ciałem, rzecze panna Marya, dziękuję panu za tę dobrą o Podlasiu opinią, a jeśli jest szczerą, tém więcej cenić ją potrafię, że biedna ziemia nasza, niewiem dlaczego, ale wcale niema jakoś łaski! u warszawskich panów.

— Istniało wprawdzie to uprzedzenie, ale dziś coraz więcej znika, im bardziej stolica uczy się cenić swoich podlaskich braci. Niedziw zresztą że Podlasie było zapoznane przez czas tak długi; wszak tenże sam przesąd żywiła niegdyś Korona do Litwy, a Litwa do świętej Żmudzi. Że zaś moja sympatya dla Podlasia jest szczera, uwierzysz pani, boć to i mój także rodzinny zakątek. Krótkie wprawdzie tylko lata przeżyłem w Siedlcach, ale ony wplotły się w serce potężną siłą pierwszych wrażeń.

— Nasze okolice są międzyrzeckie, wtrąciła matka, a, o ile sobie przypominam, Siedlce nie należały do właściwego Podlasia.

— I nie myli pani pamięć; dawne Podlasie rozciągało się po obu stronach Bugu i sięgało za Narew aż do Augustowa, obejmując trzy ziemie: drohicką, mielnicką i bielską. Późniejsze dopiero województwo podlaskie utraciło ziemię bielską, a natomiast przybrało w skład swój ziemię łukowską dawnego województwa lubelskiego, w której właśnie położone są główne punkta nowego Podlasia: Siedlce, Łuków, Radzyń i Kock.

— Wiész pan, przerwie z smętnym wejrzeniem panna Marya, to niesłuszne uprzedzenie Warszawy żywo mnie zawsze boli, i długo zastanawiałam się jaki mógłby być powód tego upośledzenia, ale żadnego nie wykryłam, chyba pychę Warszawian, a pycha to grzech, za który Bóg ciężko karze. Bo i proszę pana, czémże uboższe nasze Podlasie, kiedyż się zawstydzilo w gronie starszych i możniejszych braci? Jeżeli nieszczęście obudza szacunek, a obrońcę wdzięcznością się darzy, to i do szacunku i do wdzięczności współbraci ukochane moje Podlasie święte ma prawa. Któraż ziemia, w ciągu tylu wieków dziejowego życia Polski, przesiąkła tyłą krwi co Podlasie? Czyż żywa pierś jego nie była puklerzem dla kraju przeciw Tatarom, Litwie i Kozakom? czy jego przeszłość, mało świetnych obejmuje kart? Nie mamy wprawdzie złotodajnych kopalni, ale nasze złoto faluje po bujnych polach, których plonem nietylko siebie żywimy, ale i Warszawę: toż to ona dotkliwie czuje, ilekroć gwałtowniejszy wylew Wisły odeśnie ją od naszych spichlerzy. Myślałam więc sobie że może ludzie winni temu upośledzeniu Podlasia. Ale w czémże te grzechy? czy w starodawniej gościnności, czy w szczerości uczuć, czy w pocziwój a usilnej pracy dla siebie i drugich?.. Nie! nie! Więc gubię się w daremnych domysłach.

— A jednak domysły pani na dobrej były drodze, bo powodem do uprzedzeń Warszawy jest właśnie ta różność i charakterystyczna odrębność Podlasia. Wszczerości serca i pocziwój pracy zasklepiony w swoim zaciszu Podlasianin, może się czasem dziwnym, oryginalnym wydać eleganckiemu bywalcowi salonów warszawskich, bo nie przystaje do jego wyobrażeń o koniecznych warunkach postępowego życia towarzyskiego. Dodajmy do tego że ruch umysłowy na Podlasiu, jakkolwiek bez zaprzeczenia istniejący, rzadziej przecież objawia się na zewnątrz niż w innych kraju naszego okolicach, i że z tego powodu, choć najniesłuszniej, stosowano częstokroć do Podlasia alluzye Ciemnogrodu.

— Więc koniec końcem, przerwała z uśmiechem matka Maryi, brak nam oglady, brak okraszania towarzyskiego życia. Otóż jabym tu rzuciła dopiero trudne pytanie: czy też ten brak jest rzeczywiście, dla nas szkodą, stratą, lub też może i zyskiem, korzyścią. Przed niewielką laty kilku młodych synów znacznieszych naszych obywateli wiejskich, postanowiło za jakąbądź cenę zetrzeć z siebie tę rdzę parafianstwa, jaką ich pochodzenie podlaskie napiętnowało. Jadały więc do Warszawy, wpisując się czynnie w grono postępowej tamecznej młodzieży i wracają potem w koło nasze skończonymi salonowcami stolicy. Ale niestety, polor zbyt wytarł naszych młodzieńców, i przyznam się panu że ze względu na wewnętrzną, obywatelską wartość, Podlasie najmniej temi właśnie chlubić się mogło synami. O potrzebie wykształcenia szeroko dziś wszyscy rozprawiają, ale jakże trudną jest sztuka szczęśliwego zastosowania stopnia tego wykształcenia do prawdziwej potrzeby społecznej!

— Dlatego też zapewne, wtrąciła z figlarnym uśmiechem Marya, nie pozwoliła mi mama korzystać z obietnicy wuja, który mi przyrzekł przysłać cały prawie księgozbiór najnowszej literatury francuzkiej.

— Tak, moja Maryniu, odpowię poważnie matka. Mojem zdaniem młoda Polka, dla zdrowia swego serca i duszy, powinna ssać tylko słodycz ze swojskich kwiatków, bo rodzinna zagroda, to jej świat cały. A jeśli wykształconej na wzorach Tańskiej i Nakwaskiej dziewczynie zostanie wolna chwila od najważniejszych obowiązków żony, matki i obywatelki, niech wtedy wytchnienie dla ducha szuka w utworach zacnych pisarzy naszych, jak Kraszewski, Korzeniowski, Kaczkowski lub w poezjach wzniosłych, czystych i pocziwych

takiego Pola, Syrokomli, Lenartowicza, lub takiej Gabryeli.

Milcząc zwiesiła się Marya na szyję swojej matki, a dwie łzy, czyste jak źródło z którego tryskały, zwilżyły modrą źrenicę. Z rozrzewnieniem na tę piękną spoglądałem grupę, i po chwili dopiero spytałem młodej dziewczycy:

— Którego też z wymienionych przez mamę trzech znakomitych naszych powieściopisarzy stawiasz pani najwyżej, to jest najsympatyczniej, w swoim uznaniu?

— Wyższości oznaczaćbym nie śmiała pomiędzy tak znakomitemi mistrzami, bo na to za słabe me siły; ale skoro pan odwołujesz się do sądu mojej sympaty, mogę bez ubliżenia komubądź wyznać że ma je przed innymi nieoszacowany nasz Kraszewski. Nie wiem czy to dlatego że wśród nas żyje jego zacna rodzina, że on sam w radziwiłłowskięj Białej pobięrał nauki, że więc tak jak my kochać musi Podlasie: dość że ja w jego powieściach znajduję najwięcej ciepła, najwięcej kolorytu, najwięcej wyobraźni, choć jako kobięta, na jego typy niewieście, tak nieraz czarne, gnięwałbym się powinna. Gdy czytam Kaczkowskiego, najżywiej zawsze drga we mnie struna obywatelki, a przy czytaniu mistrzowskich powieści Korzeniowskiego, jasno spoglądam na prawdę życia i mimowolnie budzi się we mnie praktyczne zastosowanie. Tak np. gdym czytała *Garbatego*, świetny, choć w końcu za słaby cokolwiek, obraz Urszuli silne uczynił na mnie wrażenie: schwyciłem ołówkę, i korzystając z rysunkowych moich początków, przy usilnej pracy doszłem przynajmniej do tego, że dziś rysunek w wolnych chwilach sprawia mi rzetelną przyjemność.

— Wielką pani masz słuszość co do tęg wpływowęj praktyczności utworów Korzeniowskiego, wtrąciłem z cicha, w mimowolną wpadając zadumę. Czy znasz pani króciuchne opowiadanie Korzeniowskiego: *Scena na balu*?

— Czy znam? zawołała z zapalem Marya. *Scena na balu!* to zdaniem mojem tak cudna perełka, że gdyby oprócz nięj nic innego Korzeniowski nie był napisał, już kochałabym go z całej duszy. Mój Boże, ta biędna Brygida!...

Mimo wiedzy prawie wydarłomi się westchnienie.

— Jakże to mało takich Brygid na świecie!

— Mało? zawoła żywo Marya, z płonącym z poza łzy okiem. O nie panie, takich Brygid nie bra-

kuje dziś, a byłoby ich wiele, daleko więcej, gdyby takich panów Cezarów mniej było na świecie.

Przez chwilę ogólne było milczenie; dopiero matka Maryi inny, swobodniejszy nadała kierunek rozmowie, rozpowiadając mi szczegóły o swoich sąsiedztwach, o towarzyskiem kółku, o przyjemnościach wiejskiego życia, i zakończyła uwagą:

— Otóż tyle naszych podlaskich rozrywek; w sam raz ile ich potrzeba na odświeżenie myśli po znużeniu i nabranie nowych sił do pracy; bo trudy obszernego gospodarstwa, kierunek ważnego zarządu niewieściego, opieka nad włościaninem nietylko przy pracy, ale i w chatce i w szpitalu, w ochronie i szkółce nad jego dziećmi: wierzaj mi pan że te obowiązki tyle zajmują czasu i tak zaprzętają myśl, iż najczęściej i rozrywkę zastępią.

— Ale też za to, jak się to skwapliwie korzysta z kaźdęj wolniejszęg, swobodniejszęg chwili, zawołała żywo Marya. Książki i fortepian są dla mnie prawdziwą nagrodą po całodziennym ruchu i zajęciach: jest to poezya mojego ducha, bo praktyczną poezyą czynu stwarza mi zbliżenie się z naszym ludem wiejskim, z którym tyle zrobić można. Gdybyś pan widział i słyszał ten chór wiejskich dzieci, który w kościółku naszym co niedziela przy organach wykonywa religijne śpiewy, musiałoby to pana rozrzewnić. A jakby się to cieszył z tego Sikorski, który tak serdecznie i wymownie popiera myśl kościelnych chórów. Nie uwierzysz pan jak dumna jestem z dyrekcyi nad tēm kołem wiejskich śpiewaków, czystym śpiewem i szczerém sercem chwalących Boga. A jakie to ja mam zamiary na przyszłość!...

W tēm drzwi się otworzyły i wsunął się mój woźnica z milczącym ukłonem.

— A cóż tam nowego? spytałem niechętny niewczesnemu przerwaniu gawędki.

— Burza już przeszła, dęszcz ustał dawno, proszę pana...

Zerwaliśmy się wszyscy z miejsc i pięrsze spojrzenie w okno przekonało nas o prawdzie słów pana Macieja: niebo wyjaśnione i najpiękniejsza weszła pogoda po palącym skwarze. Wnet gotowi byliśmy do dalszęg drogi, ale przyznam szczerze iż nie bez żalu przyszło mi pożegnanie z osobami z którymi mnie parogodzinna zaledwie, ale sympatyczna prawdziwie łączyła znajomość. Przyrzekłem matce przed opuszczeniem Podlasia odwiedzić wiejskie ich ustronie, a pannie Maryi oświadczyłem gotowość kruszyć kopie za honor Podlasia

i Podlasiemek, w jakichkolwiek bądź szrankach, pod hasłem: „dzisiejszego dnia.”

I wszystko przeszło i wszystko przewiało,
Jak widmo sennego marzenia;
Lecz w duszy, w pamięci na wieki zostało...

I znów sam jeden na podróznym moim wózku pędzę żywo w dal, a wątku miłych wspomnień uniesionych z lichéj karczmy nie mieniałbym nawet z Siemińskim na uroczę wrazenia jego „Naddnie-strzańskiej nocy.”

Mniej uważnie zachowałem w pamięci przesuwający się wtedy przed oczami memi krajobraz. Wskrzesałem sobie w myśli dzieje krwawe Podlasia, i dopiero witające zdala wieże *Radzyna* zwróciły na zewnątrz zatopioną w głębi ducha uwagę.

Nie bez szczęrego zajęcia wpatrzyłem się zdala w wieże *Radzyna*, nie bez ciekawości wjeżdżałem w jego mury, bo oddawna już nasłuchiłem się opowieści o tém mieście i znałem mnóstwo epizodów z wewnętrznego jego życia, a przyznać muszę że fizyognomią miasta mile wpadała mi w oko. Nie utrzymał przecież *Radzyń* téj opinii po bliższém z nim zapoznaniu się. Sam tylko rynek nieźle zabudowany, długa zaś pryncypalna ulica wiodąca do pałacu, przy której znajduje się poczta, apteka i cukiernia, kulminacyjne punkta ruchu miejskiego, i ta nawet ubogo zabudowana w drewniane, parterowe po większej części domki, które pozorem swoim bynajmniej nie dają świadectwa o dobrym bycie obywateli miejskich. Wyraźnie przebija się tu wszędzie ta prawda, że *Radzyń* jest cichém, ubogim, ze swojej natury rolniczém miasteczkiem, bez żywotnych dźwigni rozległej spekulacji handlowo-przemysłowej, miasteczkiem, co z tytułu że jest siedliskiem władzy powiatowej, dostąpiło godności, powagi i znaczenia, którym wewnętrzna wartość jego bynajmniej nie odpowiada i podoląć nie może. Mimowolnie zwraca się tu uwaga na Międzyrzec, i ludnością, i zamożnością, i ruchem handlowym, i samą powierzchnością przodujący całemu powiatowi; jest to jakby naturalna stolica *radzyńskiego* powiatu, w dogodniejszym nawet położeniu; a jednak *Radzyń* ma zaszczyt rezydencji władz administracyjnych.

Parafialny kościół tutajsz, obok rynku, ze strony wjazdu do *Kocka*, wcale dobrze utrzymany, jest fundacyi *Mniszchów* około 1641 r. Poprzednio był tu drewniany, nieistniejący już zupełnie kościółek, a znajdujące się dziś w kościele grobowce rodziny

Mniszchów, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przeniesione tu zostały z dawnego kościółka.

Podaniowe ślady wspominają wprawdzie o zamku, jaki w XV wieku istnieć miał w *Radzynie*, ale ciemne to tylko wspominki. Dziś najcelniejszą ozdobą miasta i najważniejszym zarazem jego punktem jest wspaniały pałac *Szlubowskich*, dziedziców *Radzyna*. Obszérny to i okazały gmach, w kwadrat, z rozległym wewnątrz dziedzińcem, wybudowany. Jakkolwiek nie promienieje dziś dawną świetnością, jakkolwiek widoczne są na nim ślady opuszczenia, poważnie jednak króluje całej okolicy dwiema wyniosłemi wieżami i tém nieobumarłém jeszcze życiem, jakie się w pałacowych murach kołacze; bo gmach ten mieści nietylko mieszkanie dziedzica i administracyą rozległych dóbr jego, ale i biuro powiatu, kasę powiatową, mieszkanie naczelnika, kilku urzędników i t. d.

Poza pałacem, obszérny, pelen uroczego cienia i według gustownego planu założony rozstacza się ogród. Błogo zadumany, spocząłem w cieniu tych drzew, świętując wzniosłą uroczystość pożegnania, jakie mi słały ostatnie w tym dniu promienie zachodzącego słońca.

Pod tym cienistym, zielonym starych drzew namiotem, cała przeszłość *Radzyna* tłumem widziadły cisnęła się do pamięci, przed oko ducha. Więc najprzód w pomroce czterech wieków widzę powstającą tu ubożuchną osadę miejską, *Kozirynek*, na gruntach wsi królewskiej *Biała*, a jest jój założycielem podkomorzy *lubelski Groth* z *Ostrowa*. W 68 lat potem *Zygmunt Stary* w 1534 r. nadał to miasto prawem dożywocia *Mikołajowi* z *Wielkich Kończyc Mniszchowi*, łóźniczemu królewskiemu, staroście *łukowskiemu* i *sokalskiemu*. Naprzemian w owe czasy nazywają to miasto już to *Kozimrynkiem*, już téż *Radzynie*: albo więc nowa nazwa *Radzyna* nie wtarła się jeszcze wtedy w powszechne użycie, albo téż, co najwiarogodniejsze, każda z tych nomenklatur osobną oznaczała miasta dzielnicę. Zyskawszy przywilej ordynacyi od *Zygmunta Augusta*, *Mniszchowie* przez 100 lat przeszło dzierżyli *Radzyń*. Ale wśród zmiennej wypadków kolei dom *Mniszchów* za *Jana Kazimirza* utrzymał się wprawdzie przy własności części dóbr *radzyńskich*, ale samo miasto przeszło w posiadanie pólkownika *Henryka Denhof*. Po 50 latach nowych już miał *Radzyń* dziedziców, przeszedłszy w ręce znakomitej rodziny *Szczuków*, która wydała tu takiego *Stanisława*, niegdys kan-

clerza mniejszej litewskiej pieczęci, słynnego z nauki i wymowy męża stanu rzeczypospolitej, i takiego Antoniego, co pięknie zdobył imię na stanowisku podkanclerzego w. ks. litewskiego. Na nim wygasł po mieczu ród Szczuków. Radzyń i inne obszerne włości spadły w drodze sukcesyi na Maryą Kącką, miecznikównę koronną. Bogata w urok młodości, wdzięków i znakomitą fortunę, panna miecznikówna prawdziwie świetną nadto pochłubić się mogła parentellą; po matce była ona wnuczką owego Stanisława, a siostrzenicą Antoniego Szczuki; po mieczu zaś wnuczką sławnego generała artylerji Kąckiego, kasztelana krakowskiego, którego imię nierozdzielnie spojone jest ze sławą oswobodziciela Wiednia. Młoda więc dziedziczka Radzynia łączyła w sobie ostatnie odrośle dwóch znakomitych domów polskich. Marya wychowywała się w domu ojczyzna swego, Jana Cetnera, starosty kamionackiego: tam poznał ją i żywem dla niej zapłonął uczuciem Eustachy Potocki, w ówczas starosta tłomacki i dziedzic dóbr Dębno, Dziwidzianki i Dankowce. Marya oddaje mu rękę; Radzyń przechodzi do rodziny Potockich. Ale pan Eustachy aż w 19 lat dopiero potem, zostawszy generałem artylerji litewskiej, przenosi rezydencją swoją z Lublina do Radzynia. Zabłysła wtedy miastu gwiazda nowego życia, Radzyń stał się ogniskiem łukowskiej ziemi. Smutnie z razu przedstawiła się panu generałowi artylerji nowa jego siedziba, kiedy ją zwiłdził w końcu 1759 r. Przez kilkadziesiąt lat, od czasów Antoniego Szczuki, opuszczone mury pałacu niszczały i blizkie już były rudery. Nowy dygnitarz rzeczypospolitej i dla imienia, i dla stanowiska, i dla fortuny swojej inną potrzebował stolicy. Obudził się więc z długiego letargu, i pełnym ruchem zawrzał cichy dotąd Radzyń. Już w rok niespełna inny zupełnie przedstawiał widok: pałac odmłodził, rozszerzył, rozwiłdził swe mury, zajaśniał wewnątrz wytwornością i bogactwem; stanęły liczne oficyny, dokoła wspaniały zazieleniał ogród, ożywczeni przecięty kanałami. Dźwignęło się i miasteczko, a w zamku ruch ciągły; bo nietylko z łukowskiej ziemi, ale i z dalszych stron Korony i Litwy zjeżdżali się ciągle goście i klienci do radzyńskiego dworu¹⁾. Trwało to aż do elekcyi Stanisława Augusta. Była to nowa faza dla rzeczypospolitej, pamiętna w dzie-

¹⁾ Ob. Życiorys Eustachego Potockiego, generała artylerji litewskiej, przez Juliana Bartoszewicza.

jach rodziny Potockich, która oko w oko stanęła z Czartoryskimi. Ale pan Eustachy nie dzielił, a przynajmniej nie objawiał, rodzinnej nienawiści przeciw panu stolnikowi litewskiemu; więc tylko usunął się z widowni publicznego życia, przestał marzyć o hetmańskiej buławie i spokojnie osiadł w swoim Radzynie, który, choć mniej zgiełkliwy, nie przestał przecież być stolicą łukowskiej ziemi, i zasłynął tam zamożnością, wytwornym gustem i prawdziwie dygnitarskim taktem.

Ostatni raz całą świetnością zabłysnął pałac radzyński w lecie r. 1767. Wydawał wtedy pan generał najstarszą córkę swoją, Urszulę, za księcia Sanguszkę, starostę czerkaskiego. Wśród uczt i biesiad grzmiały działa na dziedzińcu zamkowym, a młodą parę błogosławił Krasicki, książę biskup warmiński. Tegoż roku jeszcze umarła w Warszawie Marya Potocka, a w następnym i mąż jej; oboje pochowani w Warszawie, gdzie po generałe artylerji litewskiej został w żywej pamięci Maryensztad, dziś ulica, niegdyś miasteczko nad Wisłą, założone przez niego na uczczenie pamiętki żony. Z pięciu synów Eustachego Potockiego dwaj głośne w dziejach krajowych zyskali imię: jednym z nich był Ignacy, drugim Stanisław, znany minister oświecenia.

I tu już urywa się historyczny wątek Radzynia. Głośne, jasne jego chwile minęły, a choć i dzisiaj dwór radzyński pięknie ma imię na Podlasiu, nie wystrzela tak przecież nad całą łukowską ziemię, jak za czasów Eustachego Potockiego; owe zjazdy wielkie i klientela cała, pamiętką tylko zostały. Do pięknej jednak pełności rozwinęło to miasteczko wewnętrzny towarzyski żywot, i takim urokiem opleść umiało tych co w jego murach na dłużej zagościli, że niczem niezagładzona pamięć i tęsknota prawie towarzyszyły im potem w oddaleniu. I chyba też świat radyński, jak go poznałem w wielu przedstawicielach, mógł tak przylegać do serca; bo samo miasto, sumiennie wyznam, niewiele ma estetyki ani w położeniu swoim, ani w systemacie urządzenia wewnętrznego.

Bytność moja w Radzynie przypadła już w drugiej połowie sierpnia, a jednak ze zdumieniem poglądałem na głęboką ciszę, panującą na okolicznych polach, bujnym falującym kłosem. Ani jednego żniwiarza, choć żyto prosi się dawno do sierpa, a pszenica już i porosła. Brak rąk, brak najemnika, choć Bóg poszczęścił plonem radzyńskiej ziemi; ten brak rąk, to ostatnia pamiętką srożąc się

tu cholery. Ze ściśnioném sercem spoglądałem na te marnujące się skarby ziemi naszej i zdumiony pytałem: co się stało z mojem zbożodajnym Podlasiem? Jeszcze wtenczas żniwiarka Rolbieckiego nie rozwiązała praktycznie wielkiego problemu, a niezmordowane, pełne poświęceń, najwyższego uznania godne usiłowania zacnego Tymienieckiego, mimo szczęśliwych niektórych prób, do stanowczego nie doprowadziły jeszcze rezultatu. Z jakąż to lichwą opłaciłaby się wtedy dziedzicowi Radzyna szybka praca żniwiarki!

Z drugą, groźniejszą jeszcze dla gospodarza, klęską spotykałem się w tych okolicach: to klęska księgosuszu, który kilkakrotnie objawiał się w kraju naszym w bieżącym stuleciu. Najtroskliwsze próby i doświadczenia, czynione u nas, w Austryi, Prusach i Francyi, nie mogły wyświecić natury téj choroby, ani wykryć leczącego środka; co większa, doświadczenia wszelkie w téj mierze szkodliwemi się nawet okazały przy nadzwyczajnej zaraźliwości téj choroby. W Prusach więc stanowczo i jak najmocniej wzbroniono leczyć księgosusz, pod surową karą za szarlatanizm. Wszelkie doświadczenia odbywać się tam mogą tylko pod okiem władzy i przez korporacye naukowe. Zbyt świeży i w teoryi dopióro nam znany jest wynaleziony przez Dra Willems sposób szczepienia księgosuszu; czy wytrzyma ognistą próbę doświadczenia, trudno jeszcze odgadnąć. Dotąd zaś jedynym, skutecznym i radykalnym środkiem przeciw księgosuszowi okazało się natychmiastowe wybijanie chorego bydła i odosobnienie zdrowego, oraz ścisła kwarantanna dotkniętej zarazą okolicy. Ten środek w roku bieżącym i do kraju naszego w całej rozciągłości zastosowany został. Wymagał on u nas z razu znakomitych wprawdzie ofiar, ale światłe pojęcie naszych obywateli ziemskich, sięgając dalej, do rezultatów ostatecznych, błogosławić powinno temu środkowi, ze wszech sił współdziałać z chęciami Rządu i oświecać włościan o zbawiennych tego zarządzenia celach. Wtedy tylko, przy pożądanéj energii policyi wiejskiej i obywatelskich chęciach służby weterynaryjnej, możemy się spodziewać zabezpieczenia od klęski księgosuszu.

Pożegnawszy Radzyń, przez kościelną wieś Kąkolewnicę, niegdyś starostwo niegrodowe, puściłem się do *Międzyrzecza*, w miłym bardzo położeniu, między ramionami Tłusca i Wielkiej Krzyny. Innym razem obszerniej może rozpiszę się nad kolejami tego podlaskiego Lipska, na którego tle

przesuwają się rodziny: Chamców, Wyszyńskich, Zabrzezińskich, a potem takich Tęczyńskich, Czartoryskich i Potockich, gdzie probostwo biskupie, niegdyś przez uczonego Piramowicza dzierżone, czyniło około 50,000 złp. dochodu. Dziś puszczam się ztąd w górę ku Łosicom i wstępuję do *Huszlewa*. Ktokolwiek z braci po duchu i sercu puści się na wycieczkę po naszym Podlasiu, literat, artysta, czy swojskich rzeczy miłośnik, niechajże nigdy Huszlewa nie mija, bo tam duchowego życia téj okolicy biją pulsa, tam można silnie pokrzepić się duchem na dalszą po Podlasiu wycieczkę. Nizki tutajszy, słomą kryty kościółek, starannie utrzymany i dobrze znany w okolicy z jesiennych odpustów. Światły i pełen obywatelskich uczuć dziedzic Huszlewa ozdobił ustronie swoje skarbami nauki i sztuki, które czynią je skromnym muzeum narodowym podlaskiej ziemi. Znajdziecie tu bibliotekę, mieszczącą najcelniejsze rodzinnych talentów utwory, obok szacownych dzieł minionej epoki. Archeolog ma tu koleczugi, misiurki, rzędy, buławy, karabele, rogi myśliwskie, ostrogi i t. d., same prawie familijne pamiątki. Przed artystą penzla jednak najbogatszy tu otworzy się zasób, i niedziw, bo sam właściciel zbiorów nietylko jest wielbicielem i znawcą sztuki, ale i amatorem w jej tajniki wnikającym. Wśród szczupłej tutajszej ale szacownej artystycznej wartości, galeryjki obrazów, odznaczają się mistrzostwem penzla portrety: Barbary Radziwiłłówny, Karola Chodkiewicza, Piotra Skargi, Jana Kaźmirza, Michała Korybuta, Jana Sobieskiego, ojca braci Puławskich, księcia jenerała ziem podolskich z małżonką Izabellą z Flemingów i wreszcie dwa studia w światłocieniu. Oglądałem nadto śliczne zbiory rycin i wykonane z natury wizerunki znakomitości ojczystych, (jakich daremniebym szukał w wizerunkach Fajansa i w życiorysach Wójcickiego) w znajdującym się tu ciekawym w swoim rodzaju zbiorze wizerunków wszystkich znakomitości dziejowego świata, poczynawszy od Adama i Ewy (?!), aż do początków XVI wieku.

Ogród Huszlewa bardzo ładny, dosyć obszerny i nader gustownie urządzony i utrzymany. Pojmuję zupełnie że może się obejść na długo bez warszawskiego zgiełku i wrzawy, kto w takie duchowe zasoby z bogacie potrafi wiejskie swoje zaciążyć. Cały Huszlew lubą utkwil mi w sercu pamiątką; z pobytu w téj stronie szczerze wdzięczne unoszę wspomnienie.



Z Huszlewa wiodła moja droga przez blizką ztamtąd *Bachorzę*, niegdyś własność gubernatora Borejszy, z pięknym pałacykiem dworskim i starannie wzniesionemi zabudowaniami folwarcznemi, przez miły dla mnie i we wspomnienia bogaty *Patków Ruski*, sąsiednie *Niemójki*, ze skromnym kościołem pod wezwaniem świętych apostołów Piotra i Pawła, gdzie wielki ołtarz miał się właśnie ozdobić pięknym obrazem Bogarodziicy, pensla naszego Lasockiego, ofiarowanym przez rodzinę Wężyków; ztamtąd przez *Mordy*, rolnicze ale niezbyt ubogie miasteczko p. Zembrzuskiego, z ładnym pałacem, pamiętne z czasów Elżbiety Sapieżyny i Ościkowiczowej, wdowy po podlaskim i trockim wojewodach, oraz z synodu 6 czerwca 1563 roku, do rodzinnych moich *Siedlec*, zaledwie zaczynających się dźwigać po ostatniej klęsce straszego pożaru. Zwidziłem z rozrzewnieniem parafialny kościół tutajszy, gdzie przed laty spłynęła na mnie chrztu łaska; z zajęciem i szczegółowo obejrzałem nowy gmach szkolny, odpowiednio wszelkim potrzebom urządzony, a co do biblioteki i muzeum zubożony pozostałością lukowskiego gimnazjum. Odetchnąwszy pełną piersią w pięknym tutajszym ogrodzie publicznym, zadumałem się głęboko u stóp kaplicy Ogińskich, z wlepioném okiem w napis: „Małych dzieci ofiarowaliśmy Tobie.” I było o czém dumać: o hetmanowej litewskiej, o jej wieczorach, gdzie bywali: Karpiński, Książnin, Kropiński, o tym uroku, jakim imię Ogińskich opromieniło Siedlee na schyłku zeszłego wieku. O pałacu tutajszym pisał wtedy Książnin te z dumą dzisiaj powtarzane słowa:

Gość się tu codziennie przemienia,
Wzgląd niechybiony nikomu,
Odjeżdża pełen wielbienia
I przykład niesie do domu.
Rodak tym wzorem szczęśliwszy,
Sobie i drugim żyć umie,
A cudzoziemiec tu bywszy,
Lepiej o Polsce rozumie.

Zwidziłem też przed wyjazdem gmach domu badań w Siedleach, który, pod względem budowy swojej i wewnętrznego urządzenia, najszcześliwiej podobno odpowiedział celowi swemu ze wszystkich nowych budowli więziennych, tak pod względem higienicznym, jako też i bezpieczeństwa.

W przelocie już tylko od Huszlewa powrotną do Warszawy odbywałem drogę; notatki tu więc tylko, nie już wykończone rzucam opisy, choć czuję to w głębi serca! że rodzinnemu memu miastu należałaby się kiedyś odemnie wyczerpująca, szczegółowa, sumienna monografia: jest to prawie dług natury, z którego wypłacić się godzi.

Iganie tylko wstrzymały na chwilę myśl moję w powrotnej drodze: tu niegdyś Klementyna, zacna przyjaciółkamłodych sióstr Polek, spoglądała z rozkoszą i tryumfem na pierwociny bitych dróg naszych, żalując że dowcipny książe biskup warmiński, autor artykułu „O drogach publicznych” nie doczekał tego widoku; jak mnie znowu żalować przychodzi że pani Hoffmanowa nie doczekała szerokiego rozplotu sieci naszych bitych gościńców.

UŻYTKI MORSKICH MIĘCZAKÓW.

Niepojętą jest w tworach swoich natura! Jak pobłażliwa matka, której całą winą jest zbytnia miłość dla wybranego dziecka, tak i ona, ukochawszy człowieka, stara się we wszystkiém mu dogadzać.

Gdziekolwiek rzucimy okiem po tym olbrzymim świecie przestworze, we wnętrze lub na powierzchni ziemi, w głębiny wreszcie oceanu, wszędzie jest jedna widoczna dążność przyrody, dogodzenia swemu ulubieńcowi. To też człowiek, jak każde dziecko zbytkiem miłości popsute, myśli tylko o

nasyceciu swojej chciwości. Używając bezkarnie tego co mu pod zmysły podpada, będąc wszechwładnym panem przyrodzenia, stara się ze wszystkiego korzystać i powiększa bezustannie liczbę swych przedmiotów zbytkowych. Pominąwszy już wyżej organizowane istoty które pod jarzmo swoje podciągnął, nawet drobnych owadów niezostawił w spokoju. Czyż nie na to sprowadził jedwabnika, ażeby z jego kokonów wyrabiać ciężkie materye? Zkąd wziął prześliczną czerwoną barwę

do farbowania swoich sukni, jeżeli nie z małego owadu na kaktusie żyjącego? Czy nie miodem pszczoł sładzi pokarmy, a ich schronieniem (woskiem) nie rozproszą ciemności? Arabowie używają szarańczy jako specyału, a muchy hiszpańskie stanowią silny środek lekarski.

Lecz nie na tém koniec działalności człowieka; badawczy swój wzrok zapuścił on w głębiny oceanu, i tam w najdrobniejszych stworzeniach znalazł przedmioty któreuczynił ważnemi dla handlu, przemysłu, medycyny i gastronomii.

Do tych ostatnich należy szczególnie *Omulek*, którego łacińskie nazwisko *Mytilus edulis* (jadalny) okazuje jaki z niego mamy użytek. Omulek jadalny ma podwójną skorupę zupełnie gładką, trójkątną, znacznie wypukłą, z wierzchu fioletowo, wewnątrz brunatno zafarbowaną, jak to na obok dołączonej tablicy fig. 1 i 2 przedstawia. Zawiaska utrzymująca obie skorupy tego mięczaka znajduje się w wązkim najbardziej ściętnym końcu muszli, do której samo stworzenie przytwierdzone jest za pomocą 4 par mięśni. Ma ono pod spodem szczególne, włókniste, szydelkowate, blisko na pół cala długie wyrostki, zwane nogami. Nogi te właściwą mają budowę, i nadzwyczaj ważną grają rolę w życiu zwierzęcia. Opatrzony są małemi bruzdami, na spodzie których znajdują się również małe gruczołowe wywyższenia. Otóż skoro zwierzę zamierzy pozostać na jakim miejscu przez pewien przeciąg czasu, wysuwa swoje nogi w ten sposób aby ich końce dotykały obranego przedmiotu, unika wszelkich ruchów i tak przez chwilę pozostaje, poczem nogi wciąga napowrót. Przez ten czas gruczołki wydzieliły szczególne, szlamiste włókienka, które, z powodu swojej kleistości, tak silnie przytwierdzają skorupę, że tylko zewnętrzne mechaniczne wpływy z miejsca ją poruszyć zdołają. Najmłodsze egzemplarze mogą się już tym sposobem przytwierdzać, i nierzadko napotykamy tysiące tych drobnych stworzeń na powierzchni jakiegokolwiek martwego ciała, między sobą nawet połączonych, tak iż przedstawiają jakby jednolitą masę (fig. 1), a odrywając jedno, podnosimy trzydzieści i więcej. Mnogość w jakiej się omulki jadalne znajdują na brzegach Francji i Holandji jest zadziwiająca; niekiedy przy odpływie morza całe skały przybiierają czarne od nich wejście.

Omulki bywają używane jako antidot w wielu przypadkach otrucia, służą za lekarstwo przeciwko

febrze i na ból głowy, przyczém jednak chorzy dostają niekiedy szczególnych nabrzmiałości ciała, które aż po kilku dniach zupełnie giną. Czy to jest skutkiem nadmiarowego użycia, czy téż od pojedynczych zatrutych egzemplarzy pochodzi, niewiadomo.

Omulki, podobnie jak wiele innych pokarmów, z medycyny zapewne weszły do powszechnego użycia. Nadbrzeżne miasta Belgii i Francji dostarczają ich w ogromnej ilości do handlu; najlepsze jednak i największe pochodzą z bagien Wenecji, gdzie zwane są: *Peochio dell' Arsenale*. W Neapolu noszą nazwę *Cozza negra*, a w Holandji *Mosset*. Amatorowie jedzą je często surowe, z sokiem cytrynowym lub octem i pieprzem, tak jak ostrygi, częścią zaś pieczone.

Figura 3 przedstawia mięczaka z rodzaju *Szynki morskiej*, w czwartej części naturalnej wielkości. Jestto gatunek który u systematyków zowie się *Pinna squamosa*, szeroki pół, a długi blisko 3 stopy, z wierzchu szaro-czerwonego koloru, ozdobiony małemi, wklęsłemi łuskami i niewyraźnie pobrudowany w kierunku długości, wewnątrz rdzawo-czerwony. Zupełnie dojrzałe egzemplarze bywają gładkie, lub pokryte skorupami pasożytów. Żyją głównie w wodach morza Śródziemnego, lecz dochodzą także do wielu brzegów Atlantyckiego oceanu i nade wszystko lubią grunt skalisto-piaskowy.

Szynki, których oprócz wymienionej znamy jeszcze kilka gatunków, jak *P. nobilis*, *P. rudis*, *P. nigrina*, i *P. saccata*, należą do mięczaków przynoszących człowiekowi korzyści. Opatrzony są szczególnym organem, złożonym z delikatnych obok siebie stojących włókien, podobnym do kiści jedwabnej, i służącym zwierzęciu prawdopodobnie do tego samego celu co omulkom, a mianowicie do przyczepiania się na obcych ciałach.

Z téj to właśnie materji, nim fabrykacya jedwabiu rozpowszechnioną została, wyrabiano rozmaite części ubioru, jak rękawiczki, pończochy i t. p. Wydobyta ze zwierzęcia materya jedwabna jest szaro-zielonego koloru, i po kilkakrotném wypraniu może być przerabiana. Jednakże zażyty wiele daje przy czesaniu odpadków, tak iż z funta zaledwo 6 łutów otrzymać można dobrego produktu, i z tego powodu żadnym sposobem nie mogła wytrzymać konkurencyi z jedwabiem. Dzisiaj więc nie istnieją już fabryki morskich tkanin, a niektóre wyroby tylko po zbiorach osobliwości zachowane zostały. W warszawskim zoologicznym gabinecie

znajduje się para rękawiczek, zrobiona z włókien tych zwierząt, którą każdy z ciekawych czytelników łatwo obejrzeć może. Drugim naturalnym produktem szynek są perły, które jednakże, z powodu swego czerwonego, żółtego lub szarego koloru, nie posiadają wysokiej wartości.

Oprócz użytków, sam sposób życia tego zwierzątka jest nadzwyczajnie ciekawy. Często w skorupie szynki napotkać można małego kraba razem z nią żyjącego, i szczególny ten fakt nawet starożytnym był znany. Rozmaicie go sobie tłumaczono. Pliniusz np. mówi że szynka żyć nie może bez swego przyjaciela, małego czerwca *pinnotheres* lub *pinnophylax* zwanego, który jej pożywienia dostarcza. Skoro mięczak otworzy skorupę i mała rybka w nią wleci, natenczas krab uszczypnięciem ma uwiadomić gospodarza o zapadłej w łapkę zdobyczy. Szynka naturalnie zamyka muszlę, i biedny jeniec staje się pastwą gospodarza i stołownika.

Rzeczywiście pięknie to ułożona bajeczka, szkoda tylko że szynka rybami nie żyje. Biedne to, pozbawione wzroku stworzenie, mimo woli i mimo chęci daje przytułek krabowi zwanemu *Strzeżnikiem*, który będąc w obawie o swoje istnienie, ucieka pod jej skorupę. Jednakże krab ten nie jest zło-

śliwy, nie dręczy napróżno gospodarza pod dachem którego żyje, a nawet ostrzega go o zbliżaniu się nieprzyjaciela, i chociaż czyni to z obawy o własną skórę, zawsze przecież oddaje mu usługę.

Na figurze 5 przedstawiony jest mięczak z rodzaju *Strzydelnika*, również znacznie zmniejszony. Zowią go *Strombus gigas*. Jest jedno-skorupowy, na wierzchu okrągłymi sęczkami pokryty i rozmaicie pobruzdowany, brudno-białej barwy. Otwór ma obszerny, od strony wewnętrznej pięknego czerwonego koloru. Cały jest przeszło stopę długi i stanowi ozdobę każdego większego zbioru muszli.

Z kolei wypada nam przypatrzeć się fig. 2. Jest to omulek jadalny, na którym szczególny mięczak z rodzaju *Pakli* (*Balanus*) obrał sobie siedlisko. Pasożyt ten wart jest uwagi dla swojej nadzwyczajnej obfitości. Skorupy wielu mięczaków, każdy spód okrętu, w ogóle przedmioty na pewien czas w morzu pograżone, są dla niego wybornym siedliskiem. Odróżnić w nim można wyraźnie podstawę, którą najprzód do przedmiotu przyczepia, składającą się z grubiej wapiennej tabliczki, dalej rurkowatą część, złożoną z 6 skorupek, i pokrywę zawierającą 4 klapy.

CUDOWNE DRZEWO W MONGOLII

I ZWIERZĘTA W TYBECIE.

W artykule o „*Święcie kwiatów w Koun-boum*” wspomnieliśmy już o nader ciekawej podróży pp. Huc i Gabet, misjonarzy francuzkich, do Tybetu. Mężowie ci, wiedzeni świętym zapałem krzewienia wiary prawdziwej, bezbronni i o szczupłych zasobach, lecz ufni w Opatrzności i pełni chrześcijańskiej odwagi, nie wahali się zapuścić w strony dotąd Europejczykom nieznanne. Przebyte trudy w ciągu dwuletniej podróży w pośród gór olbrzymich i przerażających przepaści, walki ze srogimi stron klimatem i na wpół dzikimi ludami tworzą w opowiadaniu pana Huc ciąg niesłychanie zajmujących obrazów, a dla etnografów, naturalistów i geografów dostarczają bogate źródłowe odkryć i spostrzeżeń.

Miedzy innymi pan Huc wspomina, że przez cały ciąg podróży po Chinach i Mongolii słyszał opowiadających iż w lamaserii Koun-boum, gdzie *Tsong-kaba*, reformator religii Buddy, urodził się, jest drzewo zwane „*drzewem dziesięciu tysięcy wyobrażeń*”, na którego każdym liściu mają być głoski tybetańskiego pisma, wyrażające imię *Tsong-kaba*. Drzewo to, podług legendy buddyjskiej, wyrosnąć miało z włosów które *Tsong-kaba* ostrzygł, poświęcając się na życie pustelnicze.

„Otóż, mówi pan Huc, świat ma niezaprzeczone prawo oczekiwać od nas wyjaśnienia, czyli takie drzewo istnieje, czém się odznacza i co sądzić o jego liściach cudownych?”

„Tak jest, drzewo to dotychczas istnieje. U pod-

nóza góry na której zbudowano lamaseryą, niedaleko od głównej buddyjskiej świątynicy, jest wielka przestrzeń czworosieczna, okolona murem ceglany.

Wszedłszy w owo podwórze, mieliśmy sposobność przypatrzeć się cudownemu drzewu, którego kilka gałęzi już z zewnątrz dostrzedz można było. Zwracając przedewszystkiém chęciwe spojrzenia na liście, osłupieliśmy z podziwu, dostrzegłszy na każdym z nich głoski tybetańskie, dokładnie uwydatniające imię reformatora. Są ony koloru zielonego, czasem ciemniejsze, niekiedy znów jaśniejsze od liścia.

Zrazu sądziliśmy iż w tém kryje się jakieś oszustwo lamów, lecz po bliższém wpatrzeniu się i po drobiazgowém zbadaniu niepodobna było przypuścić nawet jakiegokolwiek podstępu. Głoski te widocznie tworzą część samego liścia, jako jego żyłki i podziały; układ ich niezawsze jednaki: raz mieszczą się u wierzchołka listka, to znów w środku, lub u podstawy i po bokach; nawet listki najmłodsze mają już zarodki ukształcone na wzór liter. Kora pnia i gałęzi, odstająca w sposób jak u platanów, również jest oznaczoną temi charakterami. Oderwawszy część stariej kory, widać na nowo formującej się niewyraźne kształty głosek mających się z czasem rozrosnąć; a co dziwniejsza, że spodnie litery często są odmienne od tych jakie były na wierzchu kory. Szukaliśmy zawzięcie jakiegokolwiek śladu podstępu, ale zawsze napróżno. Bieglejsi od nas może zdołają wyjaśnić dokładnie naturę tego dziwnego drzewa; co do nas, zupełnie tego zaniechać musiemy. Niejeden uśmiechnie się może z naszego braku wiedzy; mniejsza o to, byle nie podejrzewał szczérości naszego opowiadania.

Drzewo *dziesięciu tysięcy wyobrażeń*, jak zauważyliśmy, musi być niezmiernie stare; pień, którego trzech ludzi zaledwie zdołałoby objąć, nie jest wyższym nad stóp ośm; gałęzie nie wybiegają w górę, ale tworzą sklepienie, i są nadzwyczaj gęste. Niektóre ze starości już poschły i opadają; liście zaś są wiecznie zielone. Sam rdzeń drzewa ma kolor czerwonawy i wydaje przyjemny zapach, podobny do woni cynamonu. Z opowiadania lamów dowiedzieliśmy się że drzewo to latem, około ósmego księżyca, pokrywa się kielichami kwiatów ponsowych, bardzo wielkich i cudnej piękności. Zaręczano nam także iż nigdzie na świecie nie istnieje

drugi egzemplarz drzewa tego gatunku; że w wielu lamaseriach Tartaryi i Tybetu probowano je rozkrzewić, już to z nasienia już ze szczepów, ale wszystkie te usiłowania pozostały bezskuteczne.

Cesarz *Khanghi*, przybywszy jako pielgrzym do Koun-boum, rozkazał nad tém drzewem wznieść srebrną kopułę, a nadto wielkiemu lamie darował karego konia, który ubrany był w siodło ozdobione drogiemi kamieniami, i, jak mówią, tysiąc *lis* (mil) na dzień ubiegał. Koń zdechl już oddawna, a siodło dotychczas zostaje w jednej ze świątyni buddyjskich i jest przedmiotem czci głębokiej.

W podróży do Lha-ssa, stolicy Tybetu, p. Huc spotykał wiele gatunków zwierząt, albo nieznanym naturalistom, albo przez naukę zakwestyonowanych. I tak: w pustyniach Tybetu, leżących ku północo-wschodowi, często napotkać można stada dzikiego bydła, które gromadnie przebywa na wierzchołkach gór olbrzymich. W czasie lata stada te schodzą w doliny, dla ochłodzenia się w strumieniach i stawach; w czasie zaś długotrwałej zimy przebywają w górach, żywiąc się resztkami twardych roślin i gasząc pragnienie śniegiem. Zwierzęta te, nadzwyczaj grube, okryte są długim i czarnym włosem, odznaczają się zaś szczególniej wielkością i ślicznym kształtem rogów. Łowy na nie są dosyć niebezpieczne, gdyż dzikie bydło zacięty stawia opór. Spotkawszy sztukę odosobnioną, można się odważyć na jej zabicie; ale i tak potrzeba aby myśliwi byli pewni strzału i w znacznej znajdowali się liczbie, gdyż często się zdarza że wół dziki zraniony rzuca się pędem błyskawicy na strzelców i rogami rozrywa ich w sztuki. Pewnego dnia, w czasie podróży, dostrzegliśmy że jeden z takich wołów samotny bawił się, liżąc saletrę w rozpadlinach skał osiadłą. Natychmiast ósmiu ludzi, uzbrojonych bronią palną z lontami, zrobiło nań zasadzkę. Ośm wystrzałów razem nań padło; wół podniósł głowę do góry i spojrzał rozwścieczoném okiem w stronę myśliwych; potem, puściwszy się pędem, wyskakiwał po dolinie, straszliwie rycząc. Utrzymywano że był silnie raniony, i że tylko zestraszony widokiem licznej naszej karrawany, nie śmiał rzucić się na nią.

Dzikie muły również często napotkać można w tych samych okolicach Tybetu. Przebywając górę *Muruï Ussu*, prawie codziennie widzieliśmy ich stada. Zwierz ten, nazywany od naturalistów *Cheval*

hemione (koń-osioł), jest wzrostu zwyczajnego muła, ale daleko składniejszy, zgrabniejszy i lżejszy w ruchach; grzbiet ma okryty sierścią rudawą, która stopniowo po bokach stając się jaśniejszą, kończy się zupełnie białym podbrzuszem. Hemiony mają łeb duży, niekształtny, z uszami prosto stojącymi i wcale nie odpowiedni ogólnej harmonii tułowu. Zadziera ją go zwykle w górę w galopie i zwracają do wiatru, a ogon podnoszą wysoko. Rzenie ich jest drgające, czyste i donośne, a tak są zwinne że Tatarzy lub Tybetanie na koniach doścignąć ich nie mogą. Chcąc je łowić, zasadzają się nad brzegami strumieni do których pieć przychodzą i zabijają wystrzałami z fuzyj lub z łuków. Mięso tych zwierząt ma smak wyborny, a skóry używane są na obuwie. Rodzaj ten mułów jest bardzo płodny i mnoży się, nie tracąc ani zmieniając cech ogólnych. Bardzo trudno je ułaskawić, a nawet opowiadano nam że choć schwymano bardzo młode i wychowano z innymi źrebiętami, nie chciały nigdy ani dać się dosiąść, ani dźwigać ciężarów. Jak tylko poczują że nie są strzeżone, uciekają natychmiast, wracając do pierwotnej dzikości. Nie dostrzeżliśmy przecież w nich zbyt dzikiego charakteru, owszem nieraz zdarzyło się nam widzieć jak swywołyły z końmi należącymi do karawany, które się pasły w pobliżu naszego obozowiska; za zbliżeniem się wszakże człowieka, którego z daleka zwierzyć umieją, natychmiast uciekały.

„Jeszcze jedną z osobliwości Tybetu są *woly krzakające* czyli *dlugowłose*. Głos tych bydłał rzeczywiście podobny jest do krzakania wieprzów, ale daleko silniejszy i bardziej przeciągły. Wół taki jest barczysty, krępy i mniejszy nieco od zwyczajnego wołu; włos ma długi, lśniący i miękki, pod brzuchem wiszący aż do ziemi. Nogi jego są suche i krzywe jak u kozy, jak ona lubi czepiać się po górach i wieszać się nad przepaściami. Ogon ma zakończony grubą włosistą kitą. Mięso wołów jest smaczne, a z mleka krów wyborne robią masło.

„Pomiędzy bydłem w Si-Fan znajdują się woly żółtawe, podobne do europejskich; ale nie dadzą się korzystnie mięszać z bydłem długowłosem, gdyż ciele takiego pochodzenia zwykle bywa słabe, do pracy niezdolne, a nawet rzadko bardzo wyżyć może. Woly długowłose są dla Tybetanów tém, czém dla Arabów wielbłądy a dla Laponczyków reny. Na nich wkładają ciężary, niemi odbywają najtrudniejsze podróże, żywią się ich mięsem,

odzieżają sierścią, a za to wszystko nie dają im żadnego pożywienia, zostawiając biedne zwierzęta własnemu przemysłowi.

„Wszystkie te rodzaje zwierząt nie są przecież zdolne obudzić takiego zajęcia w badaczach przyrody, jak *jednorożec* (*licorne*), gatunek antylopy. Długi czas uważano go za istotę bajeczną, a przecież istnieje on w Tybecie.

„Pan Hodgson, rezydent angielski w Nepalu, otrzymał jeden żywy okaz z tego rodzaju jednorożców, który w Tybecie nosi nazwę *cziru*. Skóra i róg, przesłane przez pana Hodgson do muzeum w Kalkucie, pochodziły z jednorożca zdechłego w menażeryi rajaha Nepalu. Według opowiadania krajowców którzy przeprowadzali jednorożce p. Hodgson, zwierzęta te lubią przebywać w pięknej dolinie Tingri, położonej na południe Tybetu i przerznietej rzeką Arroun. Dolina ta pełna jest solnych pokładów, około których *cziru* zbierają się stadami. Zwierzęta te w stanie dzikim są nadzwyczaj bojaźliwe i uciekają za najmniejszym hałasem; napadnięte wszakże, bronią się odważnie. Samiec zupełnie jest podobnym do samicy. Postać *cziru* przypomina inne gatunki antylop, szczególnie pod względem nieporównanej piękności oczu. Sierść jego, z wierzchu ruda, przechodzi w białą pod brzuchem. Cechuje go róg czarny, długi i kończaty, z trzema lekkimi zagięciami. Około podstawy tego rogu widać pierścienie, wyraźniejsze na przodzie niż od strony kadłuba. Nadto odznacza się dwiema kępkami włosów wyrastających na zewnętrznej stronie nozdrzów; reszta pyska i nos cały pokryte są obficie miękką sierścią, przez co łeb jego ciężko z pozoru wygląda. Włos ma twardy, jak wszystkie zwierzęta napotykanne na północy Himalai, długi około pięciu centymetrów, a tak nabity, że za dotknięciem zdaje się być jedną masą. Pod sierścią miękki i delikatny puch, zupełnie podobny do puchu kóz kaszmirskich, okrywa całe ciało *cziru*.

„Doktor Abel projektował aby *cziru* nazwać systematycznie *Antilopa Hodgsonii*, na cześć uczonego męża który pierwszy udowodnił rzeczywiste jego istnienie.

Jednorożec tybetański prawdopodobnie jest tém samém zwierzęciem które starożytni nazywali *oryx-capra*, i które dziś jeszcze napotykamy w wyższej Nubii pod nazwą *ariela*.

W licznych dziełach Chińczyków i Tybetanów znajdują się dokładne opisy cziru, o czém p. Klaproth ogłosił wiadomość w *Journal Asiatique*. Z dzieł tych dowiadujemy się jeszcze że w Tataryi zrogu tego zwierza wyrabiają doskonale łuki, nazywane ztąd jednorożcowemi.

POLOWANIE NA DUSICIELA.

Dzień za dniem, tydzień za tygodniem, opowiada pewien podróżnik niemiecki, przymuszeni byliśmy pędzić beczynnje u naszego gościnnego Hiszpana, gdyż skwar Manilli opierał się wszelkim postanowieniom i przedsięwzięciom. Dwa łagodniejsze powiewy od rzeki Passigo, jeden rano, drugi wieczorem, oto cała ochłoda przez kilka tygodni. O kąpeli nie można było ani pomyśleć; nie było dnia żeby żarłoczne alligatory nie porywały z brzegu kobiet lub dzieci. Tak więc całém naszym zajęciem było z rana czekać na śniadanie, potem jeść obiad, palić cygara, spać, potem znowu jeść, i znowu spać.

Jednego ranka, po śniadaniu, wpada przestraszony sługa i ledwo dysząc, woła: „*El serpiente, señor, el serpiente*” wąż, panie, wąż! straszny wąż ukazał się ztąd o dwie mile. Obwinał się około drzewa mangowego, i tak wali łbem o ziemię, że kamienie i pył lecą w górę. Potwór głodny. Mieszkańcy sąsiedniej wioski uciekli i przysłali z prośbą o obronę do don Artura, którego kula nigdy nie chybia celu.”

— *Diabolo!* rzekł don Artur, to pewno dusiciel.

Podskoczyliśmy z radości na samę myśl spodziewanej rozrywki. Ja szczególnie od dawna z niecierpliwością czekałem sposobności poznania się osobiście z tym olbrzymim płazem, w całej jego strasznej i odrażającej szpetności. Don Artur, zapaliwszy cygaro, coś pomrukiwał o lekko-myślności, niedoświadczeniu, a potem rzekł głośno:

— Nie macie się z czego tak cieszyć; sprawa z dusicielem to nie żarty. Raz z narażeniem życia byłem świadkiem jak ten potwór od razu zdusił swemi splotami konia z jeźdźcem, tak że tylko kości zachrupały.

I mimo swęj odwagi i donośności strzelby, Hiszpan nie chciał w walce z dusicielem grać roli Cyda lub Don Kiszota; w końcu jednak, rozdra-

żniony żarcikami młodziutkięj swojej żony, postanowił jechać z nami. Siadłszy na konia, rzucił żałośnie spojrzenie na swoją donnę Teresę i prawie ze łzami zawołał: „Niech się stanie na waszém! Chcecie widać abym życie męczeńską śmiercią zakończył.” Czarnooka Teresa, ukazawszy rząd ząbków białych i równych jak perły, głośno się roześmiała, uderzyła konia po grzbiecie i pobiegła ku domowi.

Upał był nieznośny, jednakże, mając dzielne bieguny, prędko dostaliśmy się na równinę gdzie dusiciel obrał sobie stanowisko i poza którą zgromadzili się zbiegli mieszkańcy wioski. Skupiwszy się w gromadkę, głośno rozprawiali o powodzie swego przerażenia, a zoczywszy nas zdaleka, wydali radosne okrzyki. Potem jeden przez drugiego zaczęli rozpowiadać straszne historye o dusicielach zabijających od razu po sześćdziesięciu ludzi i tyleż koni. Wiedząc jak opowiadania tutajsze bywają przesadzone, cieszyłem się myślą że naocznie będę się mógł przekonać o sile i drapieźności tego płaza, o grze jego świetnych kolorów i przerażającym wdzięku poruszeń. Z temi myślami zbliżałem się ku wąwozowi będącemu siedliskiem węża. Jechaliśmy bardzo przezornie; don Artur strzegł się każdego drzewa, twierdząc że dusiciel zwykł się ukrywać między gałęziami i z szybkością błyskawicy spadać na każde zbliżające się ku niemu stworzenie. Ja jednak śmiałem się z jego gadaniny, umyślnie jechałem blisko drzew i obiecywałem wieśniakom że jeszcze tego samego dnia z tułowu węża będą mogli wytopić tłustość, nieomylnie, według ich medycyny, lekarstwo od łamania w kościach. Nagle kilku wieśniaków postępujących za nami krzyknęło: „Stójcie, stójcie, dusiciel!”

Drzewa spokojnie drzymały pod palącemi promieniami słońca; ani na nich, ani w około nich nie było widać żadnego znaku życia. Krowy pasące się na łąkach gdzieś się rozbiegły. Podjechałem



John J. Audubon

jeszcze z pięćdziesiąt kroków, gdy wtém mój koń stanął dęba, najeżył grzywę i strasznie zarżawszy, z taką siłą w bok się rzucił, że ledwie utrzymał na siodle. Zwierz wprzód niż ludzie dojrzał nieprzyjaciela i pojął jego zamiary. Wreszcie i ja dostrzegłem błyszczącą skórę gadu, a nie mogąc dać sobie rady z koniem, zsiadłem i prosiłem don Artura aby zsiadł także i zbliżył się z gotową do strzału bronią. „Nigdy nie odważę się na to!” zawołał. Bez niego więc ja i mój towarzysz podróży, także Niemiec, podeszliśmy jeszcze z pięćdziesiąt kroków dalej; lecz nie dostrzegliśmy najmniejszego nawet poruszenia pomiędzy liśćmi drzewa mangowego, obsypanego złocistym owocem. Nagle dał się słyszeć szum, jakby silnego wiatru poruszającego gałęzi drzewa, i jednocześnie na słońcu błysnęła łuska potwora. Dusiciel, daleko odwinąwszy z drzewa przednią część tułowu, uważnie patrzył na nas zaiskrzonym wzrokiem, a wysunąwszy język z paszczy i rzucając się na wszystkie strony, ani na chwilę nie spuszczał nas z oka. Jakby oczarowani, staliśmy na jedném miejscu, niezdolni przemówić ani słowa.

Widok był przerażająco piękny! Skóra potwora jaśniała na słońcu kolejno rozmaitemi odmianami: to złotem, to świetną zielonością, to purpurą. Wreszcie, jak można było najciszej, rzekłem do swego towarzysza: „Strzelajmy! Dusiciel nigdy nie opuszcza swego miejsca i nie rzuca się na nieprzyjaciela który go widzi. Nie mamy się czego lękać, a chciałbym widzieć konwulsyjne poruszenia ranionego potwora.”

Towarzysz mój wypalił w podniesioną głowę dusiciela. Drzewo zaszumiało, zatrząsło się i owoce mangowe jak grad posypały się na ziemię. Niepomierne długi ogon węża odwinął się, zatrząsł i zakręcił naksztalt olbrzymiego bicia; jednocześnie potwór zaczął kiwać głowę to na tę to na ową stronę, a przykowujący wzrok jego ani na chwilę nas nie opuszczał, tak iż aby nie spuścić również z niego oczu, zmuszeni byliśmy cofać się tyłem. Doszedłszy do miejsca gdzie się znajdował don Artur i wieśniacy, zostaliśmy osypani zapytaniami, między którymi można było rozróżnić jedynie wyrazy: „A co, zabity, zabity?”

— Nie, odrzekłem, lecz znacie sposób najłatwiejszego zabicia go; trzeba tylko podpędzić pod drzewo krowy i poświęcić jedną z nich. Jak ją dusiciel połknie, to już nasz, bo kulami nic mu nie zrobimy.

Plan mój podobał się Hiszpanowi, lecz nie podobał się wieśniakom, z których każdy obawiał się o swoje bydło; jednakże, gdyśmy im obiecali stosowne wynagrodzenie, przypędzili swoje stado.

Wąż schował się tymczasem między gałęzie i przygotowywał się do działań zaczepnych, my zaś ograniczyliśmy się na obronie. Podchodząc ku drzewom, krowy węszyły naokoło siebie, lecz nie widząc nic, zbliżyły się tém chętniej, że w cieniu mogły się ukryć przed skwarem. W téj chwili pień drzewa zatrzeszczał, błysnęła zielono-pozłocista gadzina, powaliła cielę i ścisnęła je swemi kręgami, tak iż słyhać było chrzęst łamanych kości. Zaczęła się żałośna i przykra scena. Wszystkie krowy uciekły, prócz matki cielęcia, która z przestachem i zajadłością uderzając rogami o ziemię, rzuciła się ku swemu dziecku, okręconemu przez węża. Dusiciel zwolnił cielę, zamienione w bezkształtną masę, ze swoich kręgów, a matka, rycząc żałośnie, zaczęła je lizać, jakby chcąc przywrócić mu życie.

Wtéj chwili w powietrzu znów zajaśniała błyskawica; krowa, opasana ze wszech stron, powaliła się, i w jednéj chwili wydała ostatnie tchnienie. Wąż, obwinąwszy się ogonem o drzewo, przyciągnął ku sobie bezkształtny trup krowy; potem oparł się głową na grubym sęku i zaczął rozmyślać do której zdobyczy ma się wprzód zabrać, a tymczasem bezustannie machał ogonem, to przeryniając nim powietrze, to z szybkością piorunu okręcając drzewo potężnymi ciałami splotami. Straszny był widok téj dzikiéj zwinności zwrotnikowego gadu! Wreszcie spuścił się, wciągnął cielę na drzewo, obwinął się około niego i zaczął przygotowania do uczy. Z pół godziny plaz lizał bezkształtną masę swoim rozszczypanym językiem i przewracał ją na wszystkie strony.

Z bacznością śledziliśmy wszystkie poruszenia potwora, który teraz nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. Wreszcie, spojrzawszy łakomym wzrokiem na smaczny swój kąsek, wąż otworzył paszczę jak mógł najszerzej, pochwyił cielę za głowę i połknął je, bez żadnego, jak się zdawało, wysilenia. „Zwycięstwo!” krzyknął don Artur, który się nagle zamienił w rycerza bez bojaźni i zmazy, i podszedł bliżej. Dusiciel rozciągnął się na słońcu, z widocznym zamiarem spokojnego i nieprzerwanego strawienia uczy. W téj chwili z pośród gromady wieśniaków wyskoczył jeden uzbrojony w ogromną palkę i z całej siły uderzył go przez

głowę. „Pozarłeś moje najpiękniejsze cielątko!” zawołał z zajadłością, i odskoczył. Wąż spojrzawszy za uciekającym takim szatańskim wzrokiem, żem mimowolnie ze strachu się cofnął; lecz gniew jego był bezsilny; niemógł przewyciężyć senności trawienia, po długim głodzie i walce z dwojgiem zwierząt. Don Artur zmierzył i trafił go w samo oko. Po kilku konwulsyjnych podskokach i uderzeniach ogonem o ziemię, dusiciel wyciągnął się z rozwartą paszczą i zdechł.

Potwór ten, jak okazał wymiar, trzymał 35 stóp 6 1/2 cali długości, a 2 stopy i 4 cale grubości, w tém miejscu do którego nie doszło połknięte ciele. Wieśniacy z radością i tryumfem powiesili go na najwyższém drzewie, a zwinny chłopiec, wlaższy na wierzchołek, rozpruł go od góry do dołu. Don Arturowi dostała się skóra, a wieśniacy podzielili się mięsem, w celu wytopienia zeń tłuszczu, mającego być skuteczném na łamanie w kościach lekarstwem.

JAN JAKUB AUDUBON.

Nazwisko Audubon'a, wslawione w szczupłym gronie naturalistów, mało jest znane czytającej powszechności; a jednak należy ono do jednego z najznakomitszych i razem najoryginalniejszych badaczy przyrody. Pierwszy on, rzec można, w swych dziełach naukowych, poświęconych mianowicie ornitologii, umiał schwycić naturę na uczynku, umiał przedstawić i uwydatnić obyczaje i właściwości opisywanych przez siebie zwierząt. Audubon nie należał do rzędu owych uczonych pokojowych, dla których nomenklatura, klasyfikacya, systemat słowem, jest wszystkiém; przywiązywał on przeciwnie równą niemal wagę do rzeczy zewnętrznych, i dlatego w pismach jego napotykamy mnóstwo zajmujących opisów miejscowości, charakterów i zwyczajów, mnóstwo opowieści, przygód i obrazów zjawisk przyrodzonych. Wprawdzie styl jego jest niekiedy rozwlekły, lecz zawsze jasny, żywy i porywający; słowem dzieła jego nie są to suche, naszpikowane uczonością traktaty, lecz pełne ognia i zapału rapsodye poetyckie człowieka wżylego w tajemnice przyrody, kréslone z prawdą i talentem, jakich przed nim nie było przykładu w pracach naturalistów.

Jan Jakub Audubon urodził się r. 1780 w Luizyanie, nie w Pensylwanii, jak niektórzy mylnie utrzymują, z rodziców pochodzenia francuzkiego. Obdarzony od natury umysłem wrażliwym, spostrzegawczymi skłonnościami do rzeczy niezwykłych, przepędzając przytém wiek dziecienny w samotności, zwrócił się wczesnie ku badaniu wspaniałej

owej przyrody, której cuda kolébkę jego otaczały. Ojciec jego, ukształcony oficer marynarki, nie tylko że nie tłumił tych szlachetnych popędów, lecz owszém zachęcał je i rozwijał. Przedmowa wielkiego dzieła Audubon'a ¹⁾ zawiera o pierwszych latach jego życia szczegóły tyle zajmujące i z takim opowiedziane wdziękiem, że chcąc podzielić się z czytelnikami wrażeniem jakie ony sprawiają, przytoczymy tu w wyjątkach własne jego słowa.

„Zanim jeszcze z ludźmi w bliższe wszedłem stosunki, mówi znakomity ornitolog, uderzyły mą uwagę i ocknęły uczucie przedmioty przyrodzone; nie pojmowałem jeszcze stosunków społecznych, lecz przeczuwałem stosunek człowieka do natury. Pokazywano mi kwiatki, drzewa, murawę; a ja, nie tylko żem się nimi zabawiał, jak czynią inne dzieci, alem się do nich przywiązał całą duszą. W prostocie swój wyobraźni przypisywałem tym przedmiotom życie wyższe od swojego, a poszanowanie dla nich, połączone z miłością, wzrosło razem ze mną. Naiwne to pojęcie przeważny wpływ wywarło na całe moje życie, na rozwój moich myśli i uczuć.

„W niemowlęctwie już różnobarwność liścia drzew otaczających mieszkanie mego ojca i cudny błękit nieba dziecinną napawały mnie radością, i

¹⁾ Ornithological biography, or an account of the habits of the birds of the United States of America, accompanied by description of the objects represented in the work intitled: The birds of America. Edimburgh, 1831. (5 tomów, w wielkiej 8-wie).

wtedy to zaszczerpiło się w mém sercu owo gorące zamilowanie natury, którą kochałem, Kocham i Kochać będę, póki w piersiach tchu nie zabraknie, i która tę moję miłość tyłą odplaciła rozkoszami. Żadne schronienie nie wydało mi się tak miłym, po-
nętym i bezpiecznym, jak gęstwie drzew zamieszka-
ne przez ptaki, jak skały i jaskinie w których
leśne zwierzęta szukały sobie przytułku. Ojciec
częstokroć brał mnie z sobą na przechadzki, zry-
wał mi kwiatki, pokazywał ptaki, i uczył mnie
uwielbiać różnorodność ich barw i kształtów.

„Wzrastałem w siły, i żądza moja zgłębiania
tajników przyrody wzrastała razem ze mną. Com
tylko ujrzał, pragnąłem sobie przywłaszczyć.
Śmielszy i dumniejszy od wszystkich zdobywców,
marzyłem o podbiciu świata. Oburzałem się prze-
ciw śmierci, która schwyte przezemnie ptaki i
zwierzęta obdzięrała nielitościwie z powabu wła-
ściwych im barw i kształtów. Wyszukiwałem spo-
sobów zwalczania tej niszczącej potęgi, co wszel-
kie moje prace i starania czyniła daremnymi. Nie-
stety! nikłość wypchanych moich ptaków przeko-
nywała mnie codziennie że śmierć niezblągana sil-
niejszą jest od ludzi! Zwierzyłem się wreszcie ojcu,
a ten, chcąc mnie uspokoić, kupił mi książkę z ko-
lorowanymi rycinami. Z rozkoszą znalazłem w niej
dość wierne i wiecznie świeże wizerunki ukocha-
nych swoich ptaków, których martwe, niezgrabne
mumie zapelniały dotąd pulki małej mojej praco-
wni.

„Było to dla mnie jakby pobłyskiem nowego
światła: pojąłem że aby przyswoić sobie trwale
dzieła natury, trzeba ją umieć kopiować. Stałem
się odtąd zapamiętałym rysownikiem; zacząłem ko-
piować wszystko cokolwiek wpadało mi pod oczy,
chociaż, niestety, początkowo z bardzo słabym
powodzeniem.

„Przez kilka lat rysowałem i malowałem ptaki,
podobne na przemiany do ryb lub czworonogów.
Wstyd mi nareszcie było że najgorliwsze usiłowa-
nia moje tak nędzne przynosiły owoce; bo rzeczy-
wiście, za ledwo że sam mogłem poznać skopiowa-
ne przez siebie zwierzęta. Zamiast mnie jednak
zniechęcić, niepowodzenie to podrażniło owszem
moję miłość własną. Im gorsze były kopie, tem go-
ręcej przywiązywałem się do żyjących oryginałów.
Rysując po tysiąc razy i całość i pojedyncze czę-
ści ukochanych swoich ptaków, odbywałem mimo-
wiednie najdrobiazgowy kurs ornitologii poró-
wnawczej; starałem się wiernie naśladować naturę,

i tym sposobem wtajemniczałem się powoli w naj-
skrytsze jej objawy. Dziecinna ta z razu namię-
tność, tak wkrótce zrosła się z całym moim je-
stestwem, że byłbym wolał śmierć raczej ponieść,
jak stracić swoje rysunki.

„Ojciec mój w tej skłonności tak wybitnej wi-
dział talent do malarstwa. Skoro więc ukończy-
łem lat piętnaście, wysłał mnie do Paryża, dla
kształcenia się w nim pod okiem Dawida. W pra-
cowni tego mistrza kopiowałem przez czas ja-
kiś, podług popiersi starożytnych, klasyczne no-
sy i usta. Ale ta praca jednostajna wkrótce mnie
znużyła; pilno mi było do rodzinnych moich lasów,
do tej przyrody wspaniałej i uroczej, której tehnie-
niem od dzieciństwa oddychałem.”

Po upływie lat kilku Audubon wrócił rzeczywi-
ście do Ameryki, i tu z podwojonym zapalem, ale
z większym już powodzeniem, zaczął znów się od-
dawać ulubionym swym badaniom. W tym czasie
ojciec podarował mu pięknie położoną plantacyą
w Pensylwanii, nad brzegami rzeki Schuylkill.
Młody przyrodznawca ożenił się z kobietą pod
każdym względem siebie godną, i oddając się swo-
bodnie nauce, w zaciszy życia rodzinnego szczęśli-
we przepędzał chwile. Wplątany jednak mimo wo-
li w niepomyślne przedsięwzięcia przemysłowe,
zbrzydził sobie do reszty społeczeństwo w zwy-
kłych jego warunkach. Charakter jego, niepodleg-
ły i goniący za nadzwyczajnością, nie przypadł
do stosunków światowych. Wspomnienia wieku
dziecinnego niezwykłym wabiły go urokiem;
i tak się stało że młody Audubon powziął zamiar opu-
szczenia swęj plantacyi i wyszukania sobie na da-
lekim Zachodzie niezakłóconej niczym spokojno-
ści. Posłuchajmy co o tem mówi nasz autor w u-
czuciowej swęj spowiedzi:

„Do kroku tego nie skłoniła mnie próżna chęć
odznaczenia się czémś niezwykłym; pragnąłem tyl-
ko oddać się swobodnie naturze. Dziecięciem bę-
dąc, chciałem ją posiadać całą; zostawszy człowie-
kiem, wróciłem tylko do tych snów swoich poran-
nych. Jeszcze wtedy nie myślałem nawet o tem
żeby praca moja mogła być światu pożyteczną.
Dopiero ksiązę Musignano (Lucyan Bonaparte),
którego spotkałem w Filadelfii, zachęcił mnie do
ogłoszenia wypadków moich badań, i nadał tym
sposobem inny zwrot moim myślom. Była to pier-
wsza zachęta na drodze pełnej trudów.

„Puściłem się biegiem rzeki Hudson; łódź moja
mknęła znów po tych jeziorach podobnych do

oceanów; oddawałem się coraz bardziej samotnym poszukiwaniom. Liczba rysunków moich wzrastała, zbiory znakomicie się powiększały: zaczynałem marzyć o sławie. Czyż rylec europejskiego artysty nie mógł uwiecznić dzieła méj młodości, owocu tylu starań i zabiegów? Marzenia te pochlebiały mojej dumie; uczulem zapał podwojony, i przyszłość w coraz świetniejszych przedstawiała mi się barwach.

„Przemieszkawszy lat kilka w wiosce Henderson, w Stanie Kentucky, nad brzegiem rzeki Ohio, wypadło mi udać się do Filadelfii. Skarb mój najdroższy, rysunki, starannie w skrzynkę upakowane, powierzyłem tymczasowo do schowania jednemu z krewnych, z usilną prośbą aby z całą pieczołowitością czuwać chciał nad tym nieocenionym dla mnie zbiorem. Nieobecność moja trwała sześć tygodni. Zaledwie powróciwszy do domu, natychmiast posłałem po skrzynkę. Odebrałem ją, ale w jakimż stanie! Rodzina szczurów norweskich miękkie i wygodne obrała sobie w niej siedlisko, a z moich rysunków pozostały tylko kawałki poroździérane, prawie w proch obrócone. Około dwóch tysięcy wizerunków mieszkańców napowietrznych, starannie przezemnie przerysowanych i ukolorowanych, uległo niepowrotnemu zniszczeniu. Uczulem w mózgu ból palący, jakby przejście ognistej strzały; wszystkie nerwy we mnie zadrgały, i chodziłem przez kilka tygodni odurzony, jakby w gorączce. W końcu jednak ocknęła się we mnie siła moralna i fizyczna. Chwyciłem raz jeszcze za fuzyą i torbę myśliwską, za album swoje i ołówki, i znów zapuściłem się w lasy, znów śledziłem niezmordowanie i rysowałem, dopóki zbiór mój nie zmartwychwstał z popiołów, odrodzony jak feniks, bo wyższej nierównie pod względem artystycznym wartości. Trzech lat usilnej pracy wymagało powetowanie szkody zrzędzonej przez szczury norweskic; lecz były to dla mnie lata szczęścia niewypowiedzianego.

„Im więcej rósł mój katalog, tém bardziej kordylił się pozostałe w nim próżnie, które koniecznie zapelnąć pragnąłem. Postanowiłem nieszczędnic ani ofiar piénieźnych, ani starań osobistych, aby dopiać tego celu w czasie jaknajkrótszym. Oddalając się coraz bardziej od siedzib ludzkich, w przeciągu ósmnastu miesięcy prześledziłem nasze lasy, i mając już zbiór kompletny wszystkich ptaków nowego lądu, popłynąłem do Anglii.

„Na widok bielejącego zdala brzegu téj niezna-

nej dla mnie krainy, na widok ogromnego miasta, którego przychylna opieka lub obojętność mogły mnie wywyższyć albo pogrzyżyć w nicości, uczucie dziwnej jakiejś obawy ścisnęło moje serce. Pomyślałem o wątpliwém powodzeniu swoim w kraju gdzie ani jednego nie miałem przyjaciela, o samotności swéj w tym odmęcie ludzi obcych, a może nieprzychylnych. Żałowałem rodzinnych lasów, nawet kosztu dalekiej podróży, i przedsięwzięcie które dotąd przedstawiało mi się w bohatérskim prawie uroku, uznałem teraz za niedorzeczne i zuchwale.

Jednakże skutek nie usprawiedliwił obawy znakomitego badacza amerykańskiego. Najpiérwsi mężowie Anglii, pomiędzy niemi i Walter Scott, podali mu dłoń przyjazną; a kiedy następnie udał się do Paryża, Cuvier, St. Hilaire i Humboldt równie zaszczytnie tam go przyjęli. Wszystkie uczone towarzystwa pospieszyły wezwać go do swego grona, a ludzie czynu i nauki chętnie mu zewsząd nieśli współczucie i uznanie.

Owocem téj podróży było wydanie w Edymburgu na początku przywiedzonego dzieła, którego przepyszne ryciny przewyższyły wszystko cokolwiek nauka w tym rodzaju posiadała, i które Cuvier przedstawił Instytutowi francuzkiemu jako „najwspanialszy pomnik wzniesiony naturze ręką sztuki.“ Składa się ono z pięciu tomów tekstu i z atlasu obejmującego 400 tablic ogromnego rozmiaru, na których ptaki Ameryki, od kolibra aż do sokoła i orła, wyobrazone są w naturalnej swéj wielkości. Rysunki te otoczone są szczegółami odnoszącemi się do organizacyi i obyczajów przedstawionych ptaków. Gniazda, jaja, drzewa służące im za schronienie, rośliny któremi się żywią, owa dy na które polują, wszystko tam jest w miejscu właściwém i w postawie przyrodzonej. Widziemy je w spoczynku, w ruchu, muskające powierzchnią wody i szybujące w przestrzeni; słyszymy niemal różnodźwięczne ich świegotania w rodzinnych gajach.

Tak olbrzymie dzieło mogło być wydane tylko kosztem zbiorowym; i rzeczywiście w samej Anglii i Francyi znalazło się 75 podpisujących, którzy to rozległe przedsięwzięcie wsparli swą pomocą. Wysokość każdego podpisu czyniła tysiąc dollarów (1200 r. sr.)

„Biografia ornitologiczna” Audubon’a, nie jest to rzeczywiście suche dzieło naukowe, ale prawdziwy zbiór jakby zyciorysów skrzydlatej zgrai mie-

szkańców napowietrznych, których autor chciał oddać nie tylko kształt zewnętrzny i upiérzenie, ale najskrytsze objawy życia i stosunek do otaczającej natury. Owoc to długoletnich spostrzeżeń namiętnego lubownika przyrody, który połączyć umiał w sobie wytrwałość uczonego, z inteligencją artysty i talentem pisarza. Audubon robi nas towarzyszami swego życia koczującego; przebywamy z nim niezmierne sawany, żeglujemy po rzekach przerywających samotnie amerykańskie, błędzimy po obszarach pokrytych potężną roślinnością piérwiastkową, zamieszkałych przez plemiona na polu jeszcze dzikie. Nie jest to praca pisarza przy zielonym stoliku, lub ciekawego podróżnika, co bada i porównywa tylko przedmioty nagromadzone po muzeach, albo ujrzone w przelocie: to ciepły, życiem drgający płód cierpliwego spostrzegacza, biegłego malarza, nieustraszonego myśliwca, a przytém głęboko czującego poety. Audubon przepędza noc całą pod drzewem, aby dokładniej studyować gnieźdzącego się w niém ptaka; przebywa wplaw rzekę, aby ścigać uciekającego. Nie zrażają go największe trudy i niebezpieczeństwa; porzucił strony rodzinne, porzucił żonę i dzieci, zaniedbał interesa osobiste dla miłości nauki. Jakże nazwiemy ten zapal niepowsięgniony, to zaparcie się samego siebie? Nie jestże to posłannictwo prawdziwego wybrańca Opatrzności?... Lecz posłuchajmy go raczój samego; bo dziennik jego, to żywy zbiór jego wrażeń, rozkoszy i cierpień: posłuchajmy go opowiadającego niektóre zdarzenia życia pełnego przygód, z urokiem tym i wdziękiem jaki przewodnicząca mu namiętność rozlewa po każdym jego słowie:

„Kiedym opuszczał Pensylwanię, pisze Audubon, aby powrócić do Kentucky, zabiérałem z sobą żonę i małego wówczas synka. Stan wody był dosyć niski; kupiłem więc statek płaski lecz obszerny, i złożywszy nań zapasy podróżne, puściłem się w drogę z dwoma tylko Negrami.

„Było to w końcu października. Ohio w spokojnych swych wodach odbijał jesienne po obu swych brzegach krajobrazy. Latorośl winna gęstemi sploty obwijala okoliczne drzewa, których barwy ciemniejące, od połysku fali oświetlonych słońcem południowém żywszego nabiérały blasku. Powietrze było łagodne i ciche, i tylko poruszenia wiosel naszych Negrów lekkimi bruzdy rysowały powierzchnią rzeki. Płynęliśmy zwolna i w milczeniu, podziwiając wspaniałość otaczających nas

widoków. Niekiedy myriady drobnych rybek, ściganych przez kota wodnego, podrzucały się w powietrze, i deszczem srebrzystym napowrót wpadały w wodę. Okunie o łusce połyskującej czepiały się tyłu naszego statku i ścigały nas massami. Rzadko kiedy w życiu doznałem wrażeń równie rozkosznych. Miałem przy sobie wszystko to co kochałem, a przyroda same tylko urocze nasuwała nam sceny.

„Podróż ta, w przestrzeni dwustu mil, mile i niepowrotne zostawiła mi wspomnienia. Od lat dwudziestu te samotne wtedy brzegi zmieniły całkiem piérwotną fizyognomię swoją; zatarła się ich piękność dziewicza, znikły starodrzewa i siekiéra osiedleńców z każdym dniem więcej przetrzebia pyszne owe lasy, co niegdyś żywym wieńcem zdobiły wyniosłości nadbrzeżne. Krew piérwobyłców i nowych przybyszów pomieszała się z falami rzeki, o której posiadanie zacięta między niemi toczyła się walka. Nie spotkasz tam już Indyanina ustrojonego w beret z piór różnobarwnych, ani stad bawołów i danieli hałaśliwą zgrają przedziérających się przez lasy. Osady, wsie i miasta zagarnęły samotne te obszary; odzywa się w nich stukot młota i skrzywienie piły, przygotowujących nowe pomieszkania, albo, co gorsza, podłożony ogień pochłania całe lasy. Cywilizacya, jak wszędzie tak i tutaj, objawia się niszczeniem dzieł przyrody. Spokojne łono rzeki Ohio prują liczne paropływy, czarnymi szlaki dymu zaciemniając powietrze. Handel i przemysł rozsiadają się na tych skalach odwiecznych, i co rok Europa rzuca nam nadmiar swój ludności, jakby dla prędszego ukończenia nieuniknionego już podboju.”

Skracamy z żalem te wyjątki, z których czytelnicy będą przynajmniej mogli powziąć wyobrażenie o sposobie pisania znakomitego ornitologa, o bogactwie kolorytu w jego obrazach. Nie zaniedbuje on nigdy sposobności roztoczenia przed naszym wzrokiem przyrodzonych piękności okolicy którą przebywa i skróślenia w śmiałych zarysach głównego jój charakteru. Opisując ptaki, nie zapomina i o drzewach, o kwiatach i o łąkach. Pod piórem jego świetném i wytworném zarówno błękit nieba i blask wody z zadziwiającą odtwarzają się wiernością. Styl jego, pełen prawdy przejmującej, umie nam uzmysłowić zjawiska, które zwykle sam tylko penzel malarza zdoła schwycić i utrwalić. Takim na przykład jest urywek poniższy, w którym

Audubon z dosadnością dramatyczną opisuje przejście uraganu:

„Podróżowałem konno, przy najpiękniejszej pogodzie i spokojnym powietrzu. Zaledwo jednak wjechałem w wąwóz czyli dolinę oddzielającą zatokę Łodzi od zatoki Highland, gdy niebo nagle zciemniło się gęstym, nieprzebytym tumanem. Uczulem palące pragnienie, które ugasilem w pobliskim strumyku. Wkrótce szmer jakiś przeciągły dał się słyszeć zdaleka; sina, okrągława plama wystąpiła na szarém tle odległego nieboskłonu. Gałęzie drzew zadrżały, najprzód w górze, potem coraz niżej, i w mgnieniu oka pnie ich, wyrwane z korzeniami lub potrzaskane, w szalonym odmiecie zapelnily powietrze. Las cały, porwany wirem uraganu, przebiegl przed osłupiałym moim wzrokiem, a czola drzew niebotycznych kruszyły się jedne o drugie, przechylone gwałtownym jego tchnieniem. Przestrzeń przed chwilą jeszcze zarośnięta lasem, stała się nagle pustkowiem zasianym tylko pieńkami i szczątkami połamanych gałęzi.

„Po uspokojeniu się największej wściekłości uraganu, mnóstwo podruzgotanych gałęzi długo jeszcze krążyło w powietrzu, i pęd owój zbitój kolumny, oznaczającej przejście burzy, trwał jeszcze przez parę godzin, jakby skutkiem elektrycznego prądu. Niebo powlokło się zielonawą i ponurą zasłoną; w powietrzu czuć było nieprzyjemną woń siarki. Czekałem w milczeniu póki przyroda nie odzyska jeśli nie dawną postać, to przynajmniej zwykłą spokojność. Interesa wzywały mię do Morgantown; ośmieliłem się więc przebyć łoże powietrznego prądu, prowadząc za cugle konia, którego przerażały te trupy drzew połamanych i poobalanych. Ruiny zniszczonego lasu tak gęsto zaścielały drogę, że nieraz zmuszony byłem rękami torować sobie przejście lub przeskakiwać większe zapory.

„Trąba ta powietrzna, której kolumna miała mniej więcej ćwierć mili szerokości, pozmiatała domy, pozrywała dachy, pounosiła z sobą całe trzody bydła. Znalaziono nazajutrz nieżywą krowę na wierzchołku potężnej jodły, dokąd zanosła ją burza. Cała dolina dziś jeszcze jest opustoszała, pokryta mchem i jeryną i zamieszkała tylko przez drapieżne zwierzęta.”

Taką jeszcze jest scena którą Audubon umiejętnie wprowadził w opis orla białogłowego, postrachu ptaków w obu półsferach. Znakomity ten ustęp przeczytaliśmy z najżywszym zajęciem, i nie wąt-

pimy że czytelnicy w tym nawet ulotnym przekładzie podobnego doznają wrażenia.

„Za zbliżeniem się zimy, w chwili gdy ptastwo wędrowne stadami w cieplejsze ciągnie okolice, puść się czólnem po Mississippi i spójrz na wierzchołek tego drzewa, wysoko górującego nad innymi. Tam orzeł czyha na zdobycz. Wzrok jego bystry i błyszczący przebiega samotną okolicę, zatrzymując się niekiedy w jednym punkcie. Wtedy król ptaków podwaja natężenie, i sluchu jego nie ujdzie nawet lekki opodal przebieg daniela, zaledwo rączą nogą dotykającego murawy. Na brzegu przeciwnym, w miejscu wyniesionym także, z równą bacnością czatuje samica, wydając od czasu do czasu krzyk krótki, ostry, jakby hasło umówione. Samiec odpowiada poruszeniem potężnych łotów, przegięciem szyi w kablak i piskiem gardłowym, podobnym do śmiechu szaleńca. Potem prostuje się i przyczaja, nieruchomy jak posąg. Pod nim z biegiem rzeki przeciągają stada kur wodnych, cyranek i dropiów; lecz orzeł gardzi tą nikczemną zdobyczą; uwaga jego zwrócona jest gdzieindziej. Nagle głos jakiś dziki ale dźwięczny odzywa się w oddaleniu: to śpiew odlatującego łabędzia. Stłumiony krzyk samicy raz jeszcze ostrzega samca, który wstrząsa piórze, podnosi skrzydła i już szybuje w powietrzu.

„Łabędź zbliża się z szyją wyciągniętą, z okiem bacznie wyteżonym. Siła śnieżnych jego skrzydeł zaledwo poddźwignąć zdoła ciężar ciała; łapy ma podkulone, dla ułatwienia lotu. Zbliża się... ale orzeł już go ściga, wydając krzyk przeciągły, straszniejszy dla łabędzia niż odgłos wystrzału karabinowego. Napastnik z szybkością błyskawicy pędzi ku ofiarze, która w śmiertelnej trwodze usiłuje uniknąć jego szponów. Łabędź pochyla szyję, opisuje półkole i stara się zanurzyć w rzekę. Lecz orzeł przewidział ten wybieg, i zmusza swoją zdobycz do pozostania w powietrzu, trzymając się ciągle pod nią i zagrażając jej od spodu. Zręczna ta taktyka nie chybia swego celu. Łabędź ustaje coraz bardziej, w miarę jak uznaje wyższość niezmordowanego przeciwnika. Ten go popycha ciałem i szponami w kierunku ukośnym, lękając się aby nie wpadł w rzekę, i łabędź, zmęczony walką, umierający, pada wreszcie na brzeg.

„Wtedy to ujrzysz z przerażeniem tryumf drapieżnego ptaka. Orzeł rzuca się na swą zdobycz, zatapia w nią swe szpony żelazne, bije skrzydłami i kracze z radości, napawając się konwulsyjnymi

drzaniem konającego łabędzia. Oczy jego krwią nabiegają i zaiskrzają się dumą. Samica która w ukryciu śledziła wszystkie jego ruchy, pewna z góry zwycięstwa, przylata teraz, i oboje nad ciałem rozszarpanej ofiary wspólną odbywają biesiadę.”

Otóż jak mistrzowskiemi rysy ten badacz-poeta umie odwzorowywać naturę. Ujmuje on rzeszę skrzydlatą ptaków swego kraju w ramy obrazu pełnego urozmaicenia i barwy miejscowej. To siła, urok i trzeźwość przyrody, schwycone na uczynku. Zaprawdę, potrzeba było zbiegu wielu rzadkich przymiotów i warunków, by powstać mogło dzieło tak znakomite, którego jednak większemu upowszechnieniu stoi, niestety, na zawadzie cena zbyt wygórowana. Wartoby więc w interesie nauki pomyśleć o nowym, przystępniejszym wydaniu pracy, która zająć powinna miejsce w księgozbiorniku każdego naturalisty.

Przybycie Audubona do Anglii wywarło w gronie uczonych wpływ podobny, jak w końcu zeszłego stulecia zjawienie się Franklina na świecie politycznym. Współczesny artykuł, umieszczony w *Blackwood's Magazin*, zawiera kilka uwag dotyczących osobistości słynnego ornitologa, które na zakończenie tego szkicu podajemy:

„Audubon miał oblicze spokojne i otwarte, krój rysów śmiały i oryginalny, oko żywe i bystre, mowę odznaczającą się akcentem nieco cudzoziemskim i niezwykłą malowniczością wysłowienia. Ubiór europejski nie zatarł genialnej szorstkości człowieka żyjącego na łonie natury. Lubił przysłuchiwać się rozmowom innych w poważnym milczeniu, które wtedy tylko przerywał, gdy szło o sprostowanie błędu lub rozstrzygnięcie jakiej wątpliwości. Czarne, kręjące się włosy ocieniały szerokie jego czoło. Ubiórał się z wyszukaną czystością, lecz trochę dziwacznie. Po szyi obnażonej, po włosach w nieładzie i ruchach niewykwiśniętych łatwo było poznać człowieka przywykłego do sa-

motności. Cywilizacja nasza nie zdołała na nim wyrzucić swego wpływu amalgamującego.”

Audubon w podeszłym już wieku, przy pomocy doktora Bachmann, zajmował się przygotowywaniem podobnego dzieła o zwierzętach ssących Ameryki północnej, do którego w dawniejszych swych podróżach wiele uzbierał materiałów; lecz zdrowie skolatanie trudami nie pozwoliło mu dokończyć tej pracy, i zdać ją musiał na synów, podobnie poświęcających się naukom przyrodzonym, którzy ją ogłosili w r. 1850.

Przed dokonaniem jeszcze tego drugiego na wielką skalę przedsięwzięcia, Audubon, pomimo wieku blisko siedmdziesięcioletniego krzepki dotąd i czerstwy, uczuł w siebie siły fizyczne i moralne. Oko, niegdyś tak jasne i bystre, nie mogło już za pomocą mikroskopu i lupy rozróżnić subtelných organów drobniejszych czworonogów, a ręka, tak przedtym pewna, odmawiała posługi w rysunku. Bolał nad tem nasz badacz, przywykły do życia czynnego, i podobno że to cierpienie moralne przyczyniło się do przyspieszenia jego zgonu. Ostatni promień szczerzej i serdeczniej radości przebiegł po twarzy Audubona, gdy na kilka dni przed śmiercią siedzącemu przy oknie w fotelu pokazano jeden z najudatniejszych jego rysunków.

Umarł Audubon 27 stycznia 1851 r. Zwłoki jego bez żadnej wystawności rodzina tylko i niewielu bliższych przyjaciół odprowadzili na poblizki cmentarzyk. Żaden pomnik nie zdobi jego mogiły; lecz trwalszym od marmuru pomnikiem zostaną jego prace na polu przyrodoznawstwa, a żal powszechny jaki wiadomość o jego śmierci rozniosła po całym świecie cywilizowanym, dowodzi iż wszędzie zasługę jego cenić umiano. Że w Stanach Zjednoczonych własni jego rodacy niedostatecznie ją uznali, jest to zarzut najsluszniej Amerykanom czyniony i bardzo niekorzystnie przemawiający za patriotyzmem ich i miłością nauki.

Ludwik J

PLEMIĘ JEZYDÓW.

Pomiędzy mało dotąd zbadanemi plemionami naszej ziemi najbardziej może zagadkowym i najgodniejszym uwagi jest plemię azyatyckie Jezydów.

Stanowią oni rażące przeciwieństwo nietylko z narodami chrześcijańskimi, lecz nawet z pogańskimi, jedyny zapewne w świecie przykład ludu od-

dającego cześć religijną wyłącznie duchowi złego. Turcy téż, Persowie, Arabowie i Kurdowie znają ich tylko pod imieniem „czcicieli szejtana.” Szczupły zapas wiadomości o dziwnym tym narodzie niedostateczne dotychczas dawał nam o nim wyobrażenie. W najnowszym dopiero czasie usiłowania znanego podróżnika Maurycego Wagner rzuciły nieco światła na jego obyczaje. Biorąc za podstawę zajmujące jego w tym przedmiocie sprawozdanie, podajemy tu czytelnikom naszym w pobieżnych zarysach krótką charakterystykę Jezydów.

Z jakiego pierwiastkowo pochodzą szczepu, na jakiej drodze wyrobiły się ich pojęcia religijne, o tém nie jeszcze z pewnością powiedzieć nie możemy. Wiadomo tylko że dzisiajszém ich siedliskiem jest Kurdystan, Armenia i cała prawie Azja Mniejsza, i że od r. 1829 podlegają berłu rossyjskiemu. Zamieszkali są częścią w siedzibach stałych, a częścią prowadzą życie koczownicze, przenosząc się z miejsca na miejsce z ruchomymi szałasami pilśniowemi, które zimową tylko porą zamieniają na wsie armeńskie, gdzie mieszkańcy czasowego pozwalają im pobytu.

Jakkolwiek w tułaczéj swéj wędrówce umieją oni, jak cygany, zastosować się do zwyczajów panujących, to przecież obrządki religijne z największą zachowują ścisłością. Czwartek jest u nich dniem poświęconym spoczynkowi, modlitwie, pokucie i dobrym uczynkom. W dniu tym bogatsi udzielają zwykle uboższym po misie gotowanego ryżu lub innego jakiego posiłku.

Jezydy uznają wprawdzie jednego Boga najwyższego, którego nawet, podobnie jak wszystkie narody sąsiednie, nazywają allahem; ale nie modlą się do niego. Rozumowanie ich w tym względzie nie zupełnie obrane jest z logicznej podstawy: allah, powiadają, jest dobry i łaskaw na ludzi bez prośby; trzeba więc tylko starać się o zjednanie bożka złego, szejtana. W wyobrażeniu ich szejtan jest czarnym aniołem, wypadłym z łaski allaha, lecz który niezawodnie kiedyś ją odzyska; postępują więc bardzo dyplomatycznie, ubiegając się zwłaszcza o jego względy.

Do dziwnéj téj mieszaniny pojęć mono- i polyteistycznych przybywa jeszcze pierwiastek na polu chrześcijański, cześć Zbawiciela, którego nazywają słońcem, światłem, technieniem allaha, a miejscami Jezusem. Jezydy nad Araxesem utrzymują że światło wyszło z piersi Najświętszej Panny i przybrało kształt ludzki. Krążą nawet między

niemi podania o proroku, zwiastunie nowéj prawdy (Isa-Peugambar), który dla potwierdzenia swéj nauki poniósł śmierć na krzyżu i wrócił potém do Boga, to znów o świetle zesłaném z nieba (Be-Isai-Nurani) dla oczyszczenia świata.

Dzień śmierci tego proroka, podobnie jak chrześciance Wielki piątek, Jezydy obchodzą uroczystie. Wieczorem, wśród tajemniczych ceremonij i śpiewów, piją wino i wszyscy zjednej misy jedzą chleb niekwaszony, co przypomina wieczerzę Pańską. Przez trzy dni roku zachowują post surowy, jadając, jak Mahometanie, tylko wieczorem; zdaje się jednak iż naśladowanie to islamu służy im raczej do ukrycia przed bacznością sąsiadów znienawidzonych swych obrządków.

Symbolem prawdziwego ich bożka, szejtana, jest Melek-Tauz, wyobrażany w postaci ptaka z głową kogucią. Zgodłem tém, oraz z metalowym świecznikiem o trzech nogach, z kłębem grubego włosia koziego, z małym bębniem i jakimś narzędziem muzycznym naksztalt szalamaji kapłani ich wychodzą corocznie z Lalesz (ogniska religijnego Jezydów), dla odprawiania nabożeństwa po gminach i pobrania dziesięciny w wólach, koniach, owcach lub pieniądzech. „Kościół jezydzki, mówi Wagner, musi mieć dobry żołądek, bo pochłania całe trzody z rogami, skórą i kośćmi nie doznając, jak się zdaje, żadnej niestrawności.”

Nabożeństwo zaczyna się od uroczystego wzniesienia pośród zgromadzonych posągu Melek-Tauza; poczem kapłani zapalają świece na świeczniku, biją w bęben i dmą w szalamaję. Wtedy tłum zbliża się z uszanowaniem, przykłęka, całując ręce kapłanów, i słucha tajemniczych modłów, których znaczenia żaden jeszcze profan nie przeniknął. W końcu wszyscy obecni otrzymują po odrobinie owego kłębu z włosia koziego, którą chowają jako relikwią.

Pobożni Jezydowie odbywają pielgrzymki do Lalesz, jak Mahometanie do Mekki a chrześciance do Jeruzalemu. Tam niegdyś przebywał pierwszy ich prorok, Szeik-Hadi, mieszkając, według podania, w dziś jeszcze istniejącém czworoboczném zabudowaniu, w którém ma być tyle pokojów ile dni w roku, a w każdym wieczysta goreje lampa.

Kapłani największego w tém plemieniu doznają poważania. Żyją oni w wielożeństwie i noszą grube wełniane koszule, na które zarzucają szeroką suknią wierzchnią z wełny czarnej. Niższego stopnia duchowni używają zawojów czarnych, wyżsi

zaś białych. Wpływ ich na gminy, do których dożywotnie należą, jest nieograniczony. Kapłan bywa razem sędzią, lekarzem, doradcą, słowem wszystkiem dla wszystkich.

Jezydy wierzą w nieśmiertelność duszy, a wiara ta dla duchownych staje się nowem źródłem dochodu; bo kapłan nieprędzej zapewni umierającemu wniście do raju, dopóki sowitego nie otrzyma okupu. „Biedakom, mówi nasz podróżny, wszędzie widać jest gorzej, nawet u czcicieli szatana. Kto niema tyle aby nasycić chciwość kapłana, umierać musi bez miłej nadziei podzielenia choć raju z bogatemi. Dla większej pewności, nawet w razie łaskawego ze strony kapłana przyrzeczenia, pozostali kładą zmarłym do grobu trochę pieniędzy, aby opłacić mogli wniście do raju, na przypadek gdyby modły duchownych okazały się bezskutecznymi. Nadto wtykają trupom do ręki sękaty kij i smarują im podeszwy mydłem, ażeby w ostateczności, jeśliby nie pomogły i pieniądze, odpędzili stojącego na straży u drzwi prowadzących do raju, a potem zgrabnie i lekko, bo prawdziwie jak po mydle, wślizgnęli się w środek” Widziemy że i Jezydy umieją być praktycznymi, nie tylko w życiu ale i po śmierci.

Pod względem moralnym stan téj wyjątkowój społeczności bardzo pocieszające przedstawia wypadki. Wagner mówi że Jezydowie są pobożni, gościnni, uprzejmi, litościwi, trzeźwi, skromni, odważni, i dodaje że tylu dobrych przymiotów nie posiada zapewne żaden z narodów wschodnich.

„W osławionych tych czcicielach szatana, pisze w inném miejscu nasz podróżny, znalazłem plemię dobroduszne i poczciwe, dzielące się chętnie ubogiem swém mieniem, nie żądając nawet wynagrodzenia lub poprzestając na bardzo małym. Wyższą nad wszelkie pochwały jest ich wstydlivość i czystość obyczajów: zajście Józefa z Potyfarą nie należałoby tu do rzadkości. Armeńczycy, którzy najczęściej z Jezydami przestają, chwalą ich słowność i uczciwość, i zapewniają że w interesach handlowych można im zaufać bezwarunkowo. Więzień, domów poprawczych, szafotów, policyi i innych tym podobnych dobrodziejstw wysoko posuniętej cywilizacyi nie znają dotąd nieokrzesani czciciele szatana.”

Takie są w głównych zarysach obyczaje i charakter dziwnego tego plemienia, o którym pierwszy p. Wagner dokładniejszą podał nam wiadomość.

MRÓWNIK (ORYCTEROPUS).

Od najdawniejszych czasów historia naturalna zajmowała umysły ludzi ukształconych, stanowiła bowiem, tak jak i dziś stanowi, jedną z najciekawszych i zarazem najpożyteczniejszych nauk. Lecz pomimo całego zamięłowania ze strony starożytnych do téj gałęzi wiedzy ludzkiej, pomimo wielowiekowych prac i trudów, żadna jój część nie została dostatecznie rozwiniętą. Ostatnim dopiero czasem należy przypisać ten olbrzymi krok postępu, we wszystkiem widzieć się dającego, zdobyty krwawą pracą wielu uczonych, poświęceniem życia i majątku. Na rozwój historyi naturalnej, szczególnież zwierząt, wpłynęły bez zaprzeczenia liczne podróże naturalistów do wszystkich zakątków znanego świata, odkrywające coraz to nowe rodzaje i gatunki, których cechy rzucają nieraz światło na samę naukę, a sposób życia i obyczaje zdolne są zająć każdego. Tym więc sposobem poznaliśmy wie-

le zwierząt, które przy terażniejszych klimatycznych warunkach zamieszkują strony podbiegunowe lub zwrotnikowe, to jest okolice zimne albo gorące, a które w naszym klimacie żyćby nie mogły. Do tych ostatnich należy mrównik.

Mrównik, wielkością do borsuka zbliżony, tak pod względem organizacyi jako i sposobu życia stanowi bardzo ciekawe stworzenie. Żywi się wyłącznie owadami, i cała jego budowa jest odpowiednią do tego rodzaju pokarmu; głowę bowiem ma wydłużoną, język wąski, długi i wysuwalny, a kłów i zębów przednich zupełnie jest pozbawiony. Z pierwszego wejrzenia ma niejaki do świni podobieństwo, od której jednakże różni się długimi, wąskimi, sterczącymi uszami, oraz grubym przy nasadzie, długim i włosistym ogonem. Przymioty jego uzbrojone są silnymi pazurami, szczególnież przednie, które, jakkolwiek czterema tylko palca

mi są opatrzone, więcéj przecieź oddają posług zwierzęciu niż tylne, posiadające pięć palców. Mrównik bowiem żyje pod ziemią, w norach przez siebie wykopanych, przepędzając dnie całe w ukryciu, i nocą dopiero wychodzi na świat, szukać mrówek i termitów, ulubionego swego pokarmu.

Najpiérw spostrzeżono mrówniki na przylądku Dobréj Nadziei, i ztąd powstało piérwsze ich gatunkowe nazwisko. Mrównik *Kapski* (*Orycteropus Capensis*) odznacza się od innych naturą tylko i ubarwieniem pokrycia; wymiary bowiem, obyczaj i sposób życia wspólne są wszystkim gatunkom, i małe zaledwie w tym względzie dają się widziéć różnice. Jest on brudno-szary na grzbiecie, jaśniejszy, z odcieniem rudawym pod spodem. Sierć pokrywająca nogi przybiéra kolor czarny, jest dłuższa aniżeli na innych częściach ciała i prosto stojąca.

Zupełnie różnym pod względem koloru skóry jest mrównik *Senegalski* (*O. Senegalensis*), którego ojczyzną są piaski Senegalu. Żyjąc w cieplejszym jeszcze aniżeli poprzedni klimacie, ma sierć na całym ciele krótszą i twardszą, a w niektórych miejscach, to jest pod brzuchem i nieco na bokach, przedstawia prawie zupełnie nagą skórę.

Barwa na całym wierzchu jest jednostajnie płowa, na głowie tylko i nogach przybiéra odcień rudy. Stopy, szczególniej przednie, ma wąskie, dłuższemi i silniejszymi jak tylne zakończone pazurami i na bokach porośle twardą siercią.

Najciekawszym jednak jest trzeci znany gatunek mrównika, przedstawiony na obok dołączonej tablicy, to jest: mrównik *Etiopski* (*O. Aethiopicus*). Zamieszkuje on Nubią i Abissynią, w miejscach najbardziej obfitujących w owady, któremi żyje. Tam to kopie głębokie nory podziemne, w których przepędza dnie zwykle w kłębek zwinięty. Jest nadzwyczajnie bojaźliwy i ostrożny; wieczorem po

wyjściu z kryjówki ogląda się na wszystkie strony, chwilę stoi na miejscu i słucha uważnie czy w bliskości niéma jakiego nieprzyjaciela. Przeważnie najlżejszy ślad niebezpieczeństwa, natychmiast spieszy w ukrycie, lub gdy jest zanadto oddalony od swego miejsca pobytu, w szybkiej ucieczce szuka jedyne go środka ocalenia. Nieprzyjaciółmi jego bowiem są zwierzęta drapieżne z rodzaju kota, jak lew, lampart i t. p., przeciw którym żadnym sposobem obronić się nie może. Schwytany, uderza przednimi nogami na wszystkie strony, i przywiedziony do ostateczności, silnym uderzeniem stara się napastnika odrzucić. Przeciwnie, przekonawszy się że mu żadne niebezpieczeństwo nie zagraża, z całą swobodą używa krótkich chwil wolności po całodzienném więzieniu, w wesołych płaskach i skokach stara się rozruchać członki długą nieczynnością zmordowane, a nacieszywszy się już dowoli, myśli dopiero o zaspokojeniu potrzeb cielesnych. Z największą uwagą wyszukuje śladu przebywania termitów lub mrówek, a znalazłszy takowe, szybko rozkopuje ziemię, aby się do samego gniazda dostać. Do téj roboty używa zarówno pomocy nóg przednich jak i tylnych; piérwszemi bowiem rozgrzebuje, drugimi odrzuca ziemię. Dostawszy się już do mrowiska, z wielką chciwością rozrzuca je nogami i wyławia biédne stworzenia swoim długim i lepkiem językiem.

Mrównik etiopski żyje zazwyczaj parami; odznacza się ciemnym, żółto-brunatnym kolorem sierci na grzbiecie, jaśniejszym, w piaskowy wpadającym, na głowie, szyi i spodniej części ciała, a prawie czarnym na nogach i wierzchu ogona; ma długie rogowe pazury i w wysokim stopniu rozwinięte zmysły węchu i słuchu. Dorosły jest bardzo tłusty, waży do 150 funtów; ma mięso białe, smaczne, z przyjemnością przez mieszkańców tamecznych na pokarm używane.

JESZCZE JEDNA WYPRAWA

DOTYCZĄCA KAPITANA FRANKLIN.

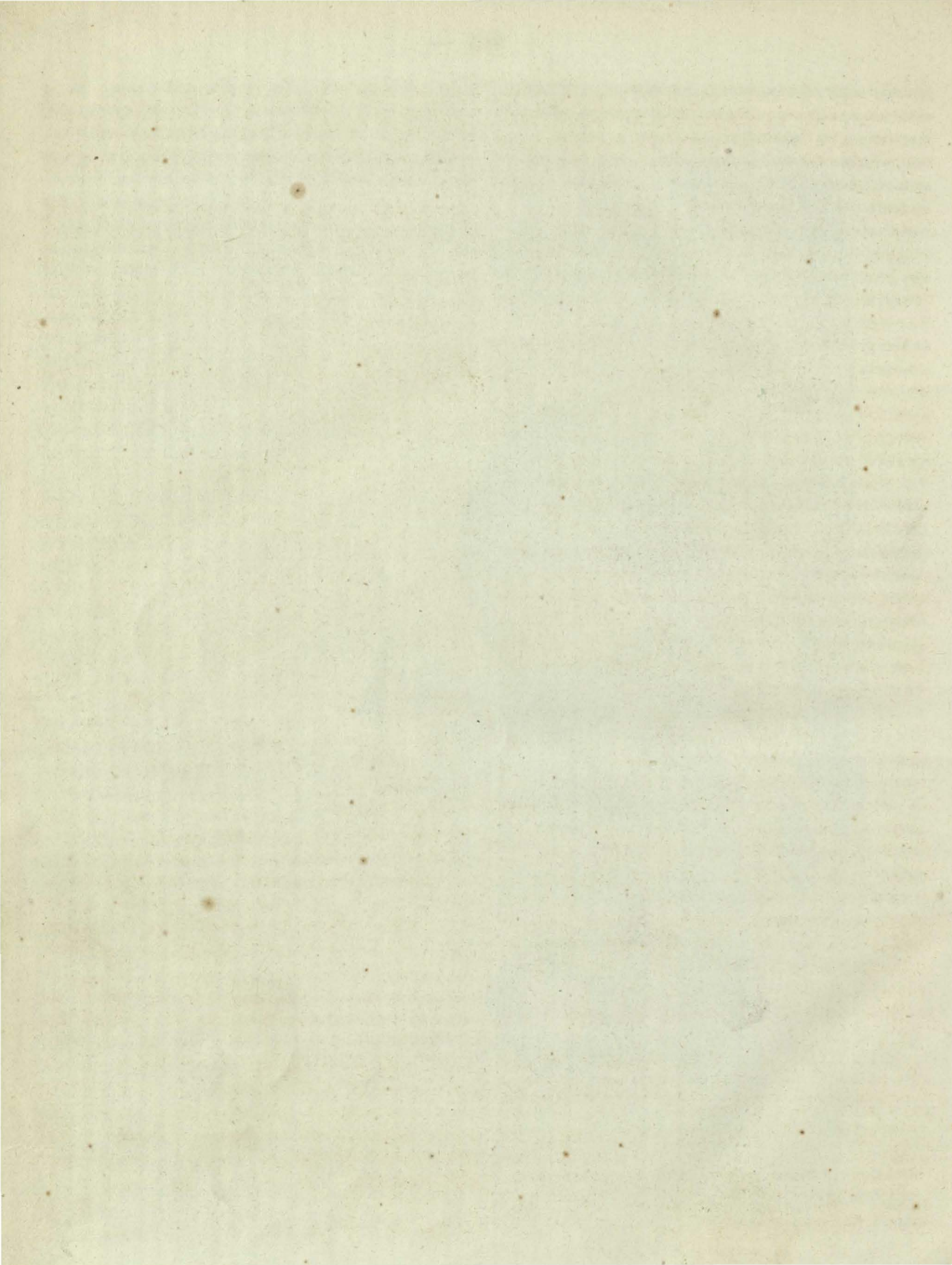
Bezowocne poszukiwania w okolicach bieguna północnego, celem odszukania kapitana Franklin, nie złamały dotąd odwagi i wytrwałości nieustraszonych żeglarzów angielskich. Na dowód tego przytaczamy następujący list do lorda Palmerston.

Londyn, w czerwcu 1856 r.

Milordzie!

W przekonaniu że zaginione okręty *Erebus* i *Terror*, albo ich szczątki, muszą się znajdować pomiędzy lodami, nieopodal miejsca gdzie Dr. Rae





odkrył ślad niezaprzeczony bytności ich osady, podpisani mają zaszczyt wyrazić waszjej wysokości życzenie przedsięwzięcia nowój wyprawy, celem uczynienia zadosyć honorowi narodowemu, a razem rozjaśnienia zagadki, która cały świat cywilizowany tak żywo zajmowała i zajmuje.

Życzenie to poparte jest przez wiele osób gruntownie obeznanych z miejscowością podbiegunową, które wiedząc już teraz dokładnie dokąd skierować się należy, nie wątpią że cel zamierzony bez wielkich trudności zostanie osiągniętym.

Nie przypuszczamy aby rząd Wielkiej Brytanii, poniosłszy tyle już ofiar dla odkrycia śladów tój wyprawy, zaniechać chciał dalszych poszukiwań, w chwili właśnie gdy miejsce gdzie znajdować się muszą albo same okręty, albo przynajmniej ich szczątki, najwyraźniej jest wskazane, nie mówiąc już o korzyściach naukowych jakie zapewnia dokładniejsze zbadanie okolic bieguna północnego.

Jakkolwiek ogół wyrzekł się już nadziei znalezienia przy życiu i ocalenia choć kilku uczestników wyprawy Franklina, wielu jednak ludzi znakomitych naszego kraju i Ameryki odmiennego jest przekonania. Dr. Kane na przykład w Stanach Zjednoczonych, który odkrycia swe w stronie bieguna posunął dalej od wszystkich żeglarzów morza Lodowatego, tak się w tym względzie wyraża:

„..... Kilka jest dróg któremi okręt śrubowy z łatwością dotrzeć może do miejsca naszych poszukiwań. Wiadomo że prosty statek żaglowy, przebywszy cieśninę Beringa i trzymając się brzegu amerykańskiego, zdołał wpłynąć w zatokę Cambridge, oddaloną o 150 mil od ujścia rzeki Black, i powrócił bez wypadku. Dowódzca tego statku objawił przekonanie iż droga o której mowa w każdej porze jest żeglowną. Inni znów marynarze zalecają kierunek na wyspę Regenta, na przesmyk Peel'a lub zatokę Repulse, a głos ich, wsparty długoletniem doświadczeniem, zasługuje na uwagę.....”¹⁾

Nie wdając się tu w roztrząsanie która z tych

¹⁾ Dziennik *United Service Gazette* z d. 22 grudnia 1856 r. najnowsza w tym względzie udziela wiadomość: „Nie ulega już wątpliwości że rząd zamierza jeszcze raz, ale ostatecznie, wysłać wyprawę w celu szukania śladów kapitana Franklina i jego towarzyszków. Wyprawa ta składać się będzie z trzech części. Jedna uda się lądem, druga przez cieśninę Beringa, trzecia przez cieśninę Davisa. Drugą wyprawą dowodzić będzie kapitan Collinson, jeśli się sam do tego zgłosi, albo kapitan Rochfort Maguire, oficer bardzo energiczny i wielkiego doświadczenia; dowództwo trzeciej ofiarowano kapitanowi Clintock. Względem dowódcy wyprawy lądowej nie mamy dotąd żadnej wiadomości.”

dróg jest najlepszą, pragniemy tylko abyś wasza wysokość przychylić się raczył do naszego zamiaru, którego urzeczywistnienie usunąć powinno wszelką wątpliwość co do losu kapitana Franklina i jego towarzyszków.

Zwracamy uwagę waszjej wysokości na różnicę zachodzącą między podróżą z celem stale oznaczonym, w okolice dokładnie już poznane, a wyprawami awanturnikami, których rzeczywiste niebezpieczeństwa w wielu osobach wzbudziły mniemanie że i nasza wycieczka może się nieudać. Dawniejsze wyprawy były niebezpieczne, bo zapuszczano się w strony całkiem nieznanne; przeciwnie naszym celem jest tylko staranniejsze przetrząśnięcie miejsc zwiedzanych już przez okręty Jój Królewskiej Mości.

Francuzi, po bezskutecznych długo poszukiwaniach, znaleźli wreszcie szczątki okrętów kapitana La Perouse, i zaraz rząd ich rozkazał wyprawę dla ostatecznego przekonania się o zgonie wielkiego marynarza i zebrania pozostałości *Astrolaba*. I my więc, których podróże podbiegunowe okryły sławą, nie powinniśmy ustawać, w chwili zwłaszcza gdy wszystko zapowiada nam powodzenie.

Kończąc, raz jeszcze błagamy waszę wysokość abyś zasługi spełnienia tak świętego obowiązku nie zostawił narodowi sąsiedniemu, który tyle już w tój sprawie się odznaczył, ani nawet wdowie po nieodżałowanym Franklinie, kiedy rządowi Wielkiej Brytanii tak łatwo z niego się wywiązać.

Mamy zaszczyt i t. d.

(Następują podpisy, między któremi wiele nazwisk znakomitych w marynarce i na polu nauki).

Jako dopełnienie przypuszczeń w liście tym wyłożonych, wyjmujemy jeszcze z *Athenaeum* londyńskiego urywek z niewydanego dziennika, który słynny podróżnik amerykański, doktor Kane, prowadził w okolicach podbiegunowych. Dr. Kane pisze pod dniem 30 maja 1855 r.

„Cielęta morskie stają się coraz częstszymi. Jeden z naszych ludzi zabił ich cztery, używając fortelu Eskimosów, którzy zastawiać się zwykli na swych saniach białymi zasłonami, dopóki się nie podsuną na odległość strzału. Mamy teraz świeżego mięsa więcej jak potrzeba. W ciągu ostatnich trzech tygodni żywiliśmy się ptarmiganami, ¹⁾ królikami i reniferami; to też skorbut ustawać między nami zaczyna.

¹⁾ *Ptarmigan*, pardwa czyli śnieguła.

„Przytylu pocieszających okolicznościach, mógłbym zrozpaczyć o nieszczęśliwym Franklinie i jego towarzyszach?... Gdyby mnie o los ich zapytano przed kilką miesiącami, gdy otoczony byłem ciemnością i dotknięty niedostatkiem żywności, to byłbym niewątpliwie odpowiedział: nie, oni żyć nie mogą. Lecz teraz, kiedy światło powróciło, widzimy dzikich krajowców zaopatrujących się najniezgrabniejszymi narzędziami myśliwskimi w obfitą strawę, i to w oddaleniu kilku mil tylko od miejsca na którym my niedawno walczyliśmy zgłodem.

„Zguba lub ocalenie Franklina zależeć musiały naturalnie od miejscowości. Otóż przekonałem się że nawet w najmniej gościnnych okolicach podbiegunowych niema przestrzeni większej nad mil dziesięć zupełnie огоłoconej z życia zwierzęcego. W wielu punktach najgrubsze lody zimowe poprzerywane są bagnami i stawami, kędy w najszersze mrozy chroni się wszystko co żyje. Jedno z takich schronień, na wyspie Littleton, przez całą zimę upłynioną dostarczało pożywienia trzem rodzinom. My sami od trzech tygodni żyjemy z łowów jednego tylko człowieka; niema więc wątpliwości iż grono jako tako zręcznych myśliwców wszędzie tu nagromadzić może dostateczne na zimę zapasy.

„Zmieniłem także zdanie względem zdolności

zaaklimatyzowania się Europejczyków lub Amerykanów w wysokich szerokościach. Człowiek znieść może klimat podbiegunowy aż do 72°; a trudno przypuścić żeby na 136 uczestników wyprawy Franklina, złożonej po większej części z mieszkańców krain północnych, zahartowanych w trudach i prowadzonych przez oficerów z doświadczeniem i odwagą, żeby, mówię, na tylu ludzi krzepkich i młodych choć kilkunastu dotąd nie przeżyło, żeby którykolwiek z nich oddział nie natrafił na zwierzynę i nie zdołał z roku na rok nagromadzić tyle drzewa, żywności i skór, aby się oprzeć srogości zimy.

„W szczupłym gronie towarzyszków naszych znajduje się kilku doskonale z klimatem tutajszym oswojonych. Peteresen na przykład, który dwa lata mieszkał w Upernawik, rzadko nawet zbliża się do ognia. Inny znów, niejaki Riley, człowiek silny, pracowity i wesóły, tak przywykł do zimna, że podróżując na saniach, sypia bez przykrycia, przy temperaturze 30° stopni niżej zera podług Fahrenheita (27⁵/₉° Réaumura). Podobnych ludzi musiało być dosyć i z Franklinem, i zdaje mi się że widzę ich na lodowej gdzieś płaszczyźnie bijących lisy, biorących niedźwiedzie na oszczepy i robiących wyprawy na foki i wieloryby. Nie tracę więc nadziei odszukania ich jeszcze i powrócenia ojczyźnie.”

K O N I E C.

UWIADOMIENIE.

Księga Świata wychodzić będzie i nadal w tym samym zakresie i pod takimi co i dotąd warunkami. Będzie to szósty już rok nieprzerwanego wychodzenia publikacyi, której treść, chaotyczna na pozór, bo rozlicznych dotykająca przedmiotów, stanowi jednak całość z pewnym systemem organicznie uporządkowaną.

Nie zbacząc od zasad ogólnych w pierwotnym planie skróślonych, wydawca starał się jednak do pisma tego wprowadzać nowe żywioły i ulepszenia, dobiérając sumiennie artykuły i zdolnych współpracowników, rozszerzając coraz bardziej dziedzinę przedmiotów krajowych i dołączając do nich litografie przez miejscowych artystów wykonane.

Obecnie zamiarem jest wydawcy w każdym zeszycie, prócz zwykłych rycin i litografij, umieszczać drzeworyty w tekście, zbliżając tym sposobem Księgę Świata do ilustracyj zagranicznych, które ona rzeczywiście u nas zastępuje. Czyniąc nadto zadosyć wymaganiu powszechności, żaląc się, słusznie poniekąd, na przerywanie pojedynczych zeszytów w pół artykułu, w pół myśli a nawet w pół wyrazu, na których dokończenie miesiąc potem czekać było potrzeba, postanowił odtąd każdy zeszyt oddawać w ręce prenumeratorów jako zamkniętą w sobie całość, co już nawet w drugiej połowie upłynionego roku miało miejsce.

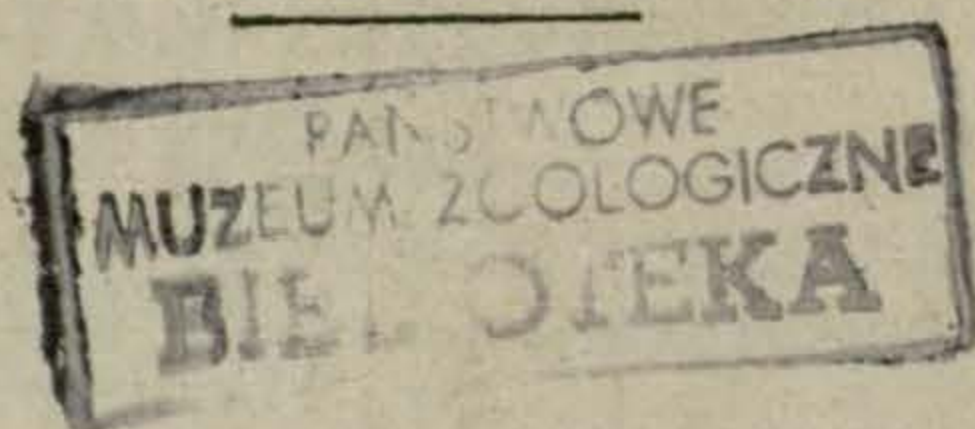
Uwiedomienie to wydawca zakończy wyliczeniem autorów którzy Księgę Świata, w ciągu pięcioletniego jej istnienia, oryginalnymi pracami swojemi zasilali i w większej części jeszcze zasilają: Bartoszewicz Julian; Dubrowski; Dziekoński Tomasz; Falkiewicz; Flatt; Gołębiowski Seweryn; Jenike; Kanigowski; Krzyżanowski Adryan; Leśniewski; Leśniewska Bronisława; Pietraszek; Pisulewski; Podczaszyński Bolesław; Połujański; Ł. z G. Rautenstrauch; Rybicki; Sikorski; Skimborowicz; Dr. Tripplin; Wieczorkowski; Wieniarski; Wiślicki Adam; ks. Wyszyński; Zakrzewski.

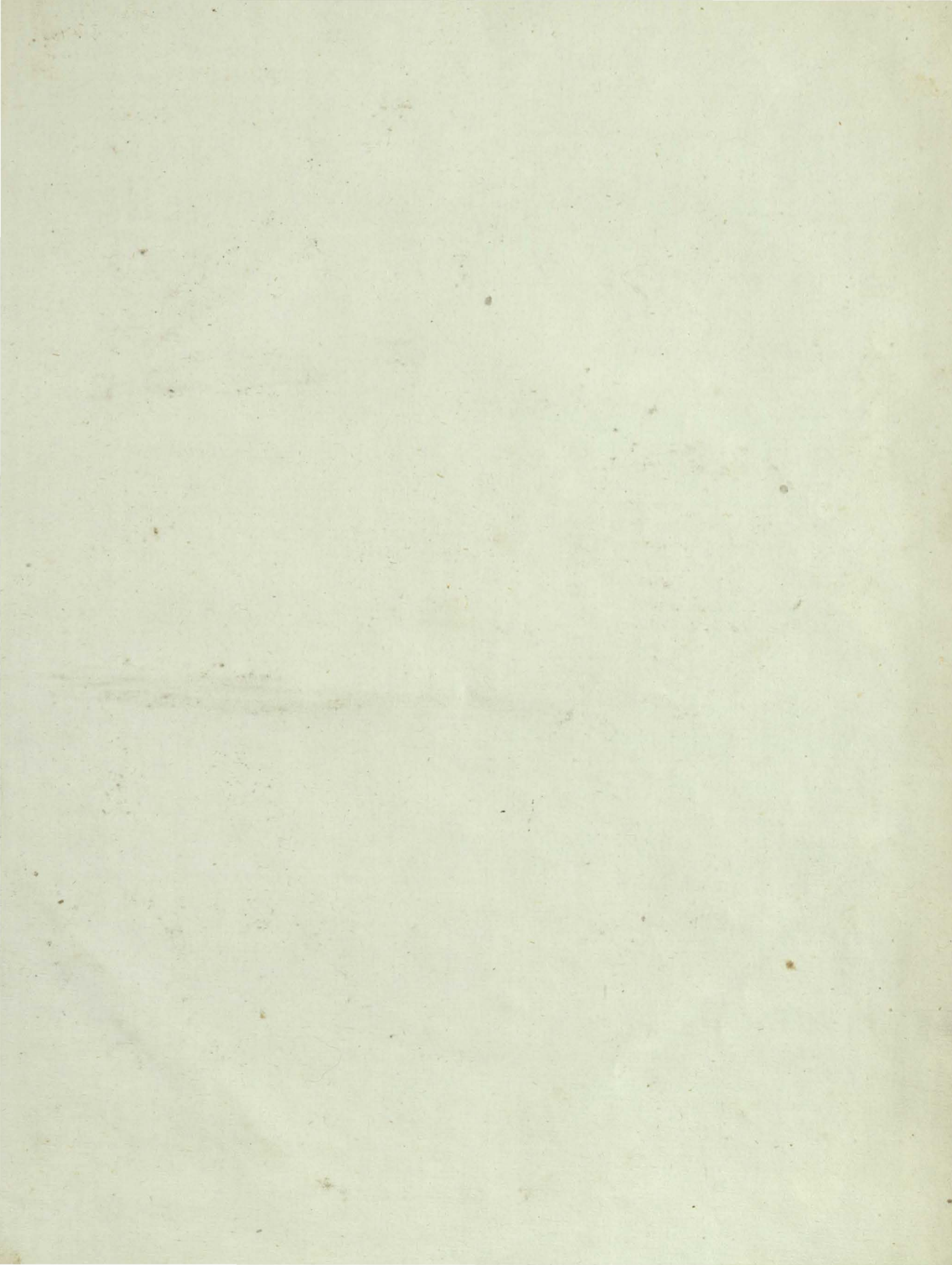
S. H. Merzbach.

SPIS RZECZY.

Strona.	Strona.
<p>Palermo (z ryciną na stali) 1</p> <p>Poselstwo księdza Jędrzeja Załuskiego do Portugalii i Hiszpanii, p. <i>Juliana Bartoszewicza</i>. Część I..... 4</p> <p style="padding-left: 2em;">„ II 44</p> <p>Niedźwiedzie (z litografią kolorowaną)..... 11</p> <p>Dwie podróże pani Idy Pfeiffer naokoło ziemi. Dzieje herbaty chińskiej..... 15</p> <p>Notaty z wycieczek po kraju, p. <i>Władysława Wieczorkowskiego</i>. Tatarski szlak..... 18</p> <p>Kościół katolicki w Dreźnie (z drzeworytem). 21</p> <p>Pajaki (z litografią kolorowaną)..... 27</p> <p>Szlachectwo na pustyni..... 28</p> <p>Pompeja (z drzeworytem)..... 30</p> <p>Chińczyk dyplomata 35</p> <p>Pelargonie (z litografią kolorowaną)..... 39</p> <p>Jakim sposobem nastąpiło odkrycie złota w Kalifornii..... 43</p> <p>Saint-Cloud (z ryciną na stali)..... 54</p> <p>Nowy projekt telegrafu elektrycznego naokoło ziemi 55</p> <p>Kraina Sennar, jój przyszłość i wpływ na losy Egiptu 58</p> <p>Polipy czyli zwierzkorzewy (z litografią kolorowaną)..... 59</p> <p>Latarnia morska na Southstack (z ryciną na stali)..... 62</p> <p>Kaszmir 65</p> <p>Żórawie (z litografią kolorowaną)..... 66</p> <p>Mechanika popularna, p. <i>J. Kr. Pietraszka</i>. Artykuł I..... 73</p> <p style="padding-left: 2em;">„ II..... 302</p> <p>Zachowanie ciał organicznych od zepsucia, według metody doktora Falconi..... 83</p> <p>Poprowadzenie kanału przez między-morze Suez, p. <i>Ludwika Jenike</i> (z mapą litografowaną)..... 85</p> <p>Muzeum peszteńskie, wspomnienie z podróży odbytej w roku 1854, p. <i>Bronisławę Leśniewską</i>. 90</p> <p>Krokodyl gangesowy (z litografią kolorowaną). 93</p> <p>Choroba górna 95</p> <p>Lawina w Szwajcaryi, p. <i>Dr. T. Tripplina</i> (z ryciną na stali)..... 97</p> <p>Rodzina Peel'ów..... 100</p> <p>Kolonizacya Nowej Kaledonii..... 103</p> <p>Lis siwy czyli wirginijski (z litografią kolorowaną)..... 105</p>	<p>Wspomnienia starego szlachcica Mnożysława Przekory, obrazek społeczny, p. <i>Tomasza Dziekońskiego</i>..... 106</p> <p>Berzelius (z wizerunkiem na drzewie)..... 118</p> <p>Boże Narodzenie u Anglików..... 122</p> <p>Skorupiaki (z litografią kolorowaną)..... 125</p> <p>Plamy słoneczne..... 128</p> <p>Osadnicy Kanady (z ryciną na stali)..... 130</p> <p>Słów kilka o wodach siarczano-gorzkich, słonych i żelaznych w królestwie polskim, p. <i>Adama Wiślickiego</i> 134</p> <p>Sen letni zwierząt..... 139</p> <p>Lirnik pyszny (z litografią kolorowaną)..... 140</p> <p>Historya i statystyka kawy..... 142</p> <p>Perspektywa powietrzna 145</p> <p>Łazienki, p. <i>Juliana Bartoszewicza</i> (z litografią Ceglińskiego)..... 147</p> <p>Czerwone skóry, wyjątek z dziennika podróży. 151</p> <p>Pchły ziemne (z litografią kolorowaną)..... 158</p> <p>Komitet bezpieczeństwa publicznego w San-Francisco..... 160</p> <p>Igrzyska hiszpańskie w 1847 r., p. <i>Dr. T. Tripplina</i>, (z ryciną na stali)..... 162</p> <p>Nowy Orleans..... 164</p> <p>Samuel Hahnemann, twórca systemu homeopatycznego (szkiec biograficzny)..... 167</p> <p>Żółwie błotne (z litografią kolorowaną)..... 172</p> <p>Kościół pamiątkowy w Wiedniu, p. <i>Lucyana Falkiewicza</i>..... 174</p> <p>Wędrowka geologiczna po Królestwie Polskim, p. <i>A. Wiślickiego</i> i <i>S. Löwenharda</i>, (z tablicą litografowaną)..... 183</p> <p>Szkocya i jój mieszkańcy (z litografią kolorowaną)..... 192</p> <p>Najnowsze zastosowania galwanoplastyki.... 194</p> <p>Góra Świętokrzyzka, ustęp z notatek podróżnych <i>Oskara Flatt</i>, (z litografią Ceglińskiego)..... 197</p> <p>Smok (z litografią kolorowaną)..... 205</p> <p>Dzienniki w Honolulu 206</p> <p>Tyraliery w Meksyku 208</p> <p>Tycyan Vecelli (z drzeworytem) 221</p> <p>Dwa miesiące w Symodzie, na brzegach Japonii 224</p> <p>Ferraria tigrida (z litografią kolorowaną).... 227</p> <p>Ruiny Braminabadu..... 228</p> <p>Tadeusz Czacki, p. <i>Hippolita Skimborowicza</i></p>

Strona.	Strona.	
(z wizerunkiem litografowanym p. Ceglińskiego).....	229	Arabowie pustyni (z litografią kolorowaną)... 321
Amerykańska owca górna (z litografią kolorowaną).....	238	Ciekawości zoologiczne Australii i Indyj..... 323
Przygoda na wyspie Ceylon.....	239	Wspomnienia z przejażdżki w Lubelskie i Podlaskie, p. <i>Oskara Flatt</i> .
Dészczomierz (pluviometr).....	245	Część I (z litografią Ceglińskiego)..... 325
Instytut gimnastyczny p. Triat w Paryżu.....	246	„ II..... 357
Polowanie na orłęta (z drzeworytem).....	249	Święto kwiatów w Koun-Boum..... 334
Prasa Stanów Zjednoczonych.....	252	Oblawa na wilki w Indyach Wschodnich (z litografią kolorowaną)..... 337
Motyle (z litografią kolorowaną).....	256	Atmosfera księżyca..... 338
Przetwarzanie się istot organicznych pod wpływem działaczy przyrodzonych.....	258	Podzamecze, Pilica i Smoleń pod względem przyrody i fabrycznego ruchu, p. <i>Adama Wiślickiego</i> 340
Wąwóz Via Mala (z ryciną na stali).....	261	Jan Sebastian Bach, p. <i>Józefa Sikorskiego</i> (z wizerunkiem na drzewie)..... 344
Braminowie i kasta książęca w Indyach Wschodnich.....	262	Gąsieniczniki (z litografią kolorowaną)..... 353
Paź królowy i żeglarz (z litografią kolorowaną).....	266	Wodospad Montmorency (z ryciną na stali)... 357
Pan Solłohub, p. <i>Juliana Bartoszewicza</i>	267	Użytki morskich mięczaków (z litografią kolorowaną)..... 369
Korsarze malajscy.....	275	Cudowne drzewo w Mongolii i zwierzęta w Tybecie..... 371
Lody podbiegunowe.....	280	Polowanie na dusiciela..... 374
Łyszczyk (z litografią kolorowaną).....	284	Jan Jakub Audubon, p. <i>Ludwika Jenike</i> , (z wizerunkiem na drzewie)..... 376
Nussir-u-deen, ostatni król Udy.....	285	Plemię Jezydów..... 381
Berlin, p. <i>Ludwika Jenike</i> (z ryciną na stali)..	293	Mrównik..... 383
List p. Barthelemy St. Hilaire do p. Bertin...	295	Jeszcze jedna wyprawa dotycząca kapitana Franklin..... 384
Olbrzymiec (z litografią kolorowaną).....	302	
Jaskinie i groty w pasmie juraicznego wapienia w Polsce, p. <i>Adama Wiślickiego</i>	306	
Oliwer Goldsmith (z wizerunkiem na drzewie).....	311	
Historia naturalna słoniów w obrazach.....	313	





Inst. Zool. PAN
Biblioteka

P. 2790.